Aleksander Dumas

Trzej muszkieterowie

Opracowanie lektury dostępne na stronie Bryk.pl

Aleksander Dumas
(ojciec)
Trzej muszkieterowie
tłum. nieznany

Tom I

Życie i dzieło Alexandra Dumasa

Alexandre Davy de la Pailleterre Dumas urodził się dnia 24 lipca 1803 r. w Viellers-Cotterets, w departamencie Aisne. W jego żyłach złączyła się błękitna krew francuskiego szlachcica z burzliwą krwią murzynki z San Domingo. Ojciec, piastujący w armji francuskiej godność generała, osierocił chłopca wcześnie, nie zostawiając rodzinie środków do życia, ponieważ nieustanne konflikty z Napoleonem stały na przeszkodzie jego karjerze materjalnej. Aleksander oddziedziczył po nim atletyczną strukturę, żelazne zdrowie, usposobienie szerokie, radosne, fantazję i wielki spryt. Matka — wdowa nie mogła ponieść kosztów wykształcenia chłopca; jeżeli młody Dumas rozporządzał pewnemi wiadomościami z dziedziny historji i językoznawstwa, to jest to wyłącznie zasługą pastora Abbé Grégaine. Zresztą chłopiec nie okazywał zamiłowania do umysłowej pracy, mało interesował się nauką, jeszcze mniej literaturą, pociągały go natomiast wolne przestrzenie pól i rozległe obszary lasów, był zapalonym fechmistrzem i nieporównanym strzelcem, opanował wszystkie sporty, wszystkie rodzaje cielesnych ćwiczeń. Pozatem żył wesołem życiem hulaki i nieroba. Punktem wyjścia dla jego karjery literackiej stała się przyjaźń z młodym, zdolnym Szwedem, Adolfem z Leuven, który rzucił propozycję napisania do spółki kilku sztuk teatralnych. Dumas się zgodził: rzecz jasna, że pierwsze twory jego młodzieńczej muzy nie znalazły uznania w oczach paryskich dyrektorów.

Tymczasem położenie majątkowe rodziny pogorszyło się znacznie. W r. 1822 Aleksander zbiera dokumenty, pozostawione w spuściźnie przez ojca, zaopatruje się w polecające listy i wyjeżdża do Paryża, tam też znajduje posadę w kancelarji księcia Orleanu. Zarabia 1.500 franków rocznie, zdobywa mocną pozycję materjalną, sprowadza do siebie matkę. Równocześnie zdaje sobie sprawę ze swego niedostatecznego wykształcenia, bierze się energicznie do pracy, czyta, studjuje, robi plany, chodzi do teatru — obserwuje efekty sceniczne, poczyna się orjentować w budowie sztuki teatralnej. Ogromne wrażenie wywierają na nim Szekspir i Schiller,

ulega wpływom niemieckich romantyków. Wreszcie sam wstępuje w krąg działalności dramatycznej. Sztuką Henryk IV i jego dwór zdobywa sobie publiczność, usuwając czasowo w cień młodego Wiktora Hugo. Od tej chwili z pod pióra Dumasa wychodzi jeden dramat za drugim. Najpopularniejsze są: Christine, Antony, Napoleon Bonaparte, Richard Darlington i t. d. Jako powieściopisarz wystąpi dopiero później.

W międzyczasie wydaje szereg szkiców podróżniczych, olśniewających grotesek, wypełnionych po brzegi najefektowniejszemi nieprawdopodobieństwami: z podziwu godną bezczelnością zdaje szczegółowe relacje o krajach, w których nigdy nie był. Następnie rzuca na rynek księgarski kilka tomów nowel, za któremi idą powieści. Rycerz z Hermentalu, romans wydany w roku 1843, pasuje go na mistrza powieści historycznej. Hrabia de Monte Christo i Trzej Muszkieterowie zdobywają mu wielką sławę.

Nieprawdopodobne rozmiary jego dzieła (napisał 1200 tomów), dają pole dla sporów o autentyczność wielu zpośród najlepszych jego powieści. Są podstawy, aby sądzić, że miał szereg współpracowników, którym powierzał opracowywanie swych potężnych pomysłów, podobnie jak wielki malarz powierza wykonanie draperyj lub małoznaczących grup uczniom. Umysł Dumasa był nazbyt rozległy, aby gubić się w drobiazgowej pracy, temperament nazbyt żywy, aby jednemu zagadnieniu poświęcić więcej niż jedną chwilę.

Rzecz jasna, że tak olbrzymi dorobek literacki dawał wielkie dochody, ale te były niczem wobec wydatków. Wydatki były niczem wobec potrzeb, a potrzeby przewyższały wytrzymałość tego herkulesowego organizmu. W roku 1870 autor Trzech Muszkieterów, zniszczony życiem, wyczerpany pracą, umiera w Puys, w posiadłości ziemskiej swego syna, przeżywszy lat 68.

Obok dramatów, komedyj, podróży i powieści, obejmuje spuścizna literacka Dumasa także: kilka pamiętników, w których z dochodzącą nieraz do cynizmu szczerością opowiedziane są karkołomne przygody autora. Jakim był w życiu, takim pozostał w dziełach: człowiekiem bujnym, beztroskim, zaczepnym, pełnym fantazji i humoru, siły i przedsiębiorczości, człowiekiem żywym. Jego postacie są pełnokrwiste, takim też jest jego język. Konstrukcja powieści Dumasa wyrosła z jego dramatu, jak kwiat wyrasta z łodygi, nic więc dziwnego, że dramat ten swoją wartością nieskończenie przewyższa. W perspektywie historycznej Dumas jest pierwszym romantykiem francuskim, jakkolwiek romantyzm ten ogranicza się tylko do zewnętrznego ujęcia wydarzeń. Jądro jego dzieła, to ani romantyzm, ani klasycyzm, tylko życie.

Rozdział I. Czem stary D'Artagnan wyposaża syna na drogę?

Pewnego poniedziałku kwietniowego roku 1625 w miasteczku Meung panował ruch tak niezwykły, jak gdyby na przykład wtargnęli doń hugonoci i zamierzali powtórzyć tego rodzaju krwawe sceny, jak w Roszelli.

Wielu mieszczan, widząc, jak kobiety uciekają w stronę ulicy Wielkiej, słysząc, jak dzieci wrzeszczą we drzwiach domów, co prędzej przywdziało pancerze i, wątpliwą odwagę swoją pokrzepiwszy muszkietem lub halabardą, podążyło w kierunku oberży pod Wolnym młynarzem, dokąd zbiegały się z głośnym zgiełkiem coraz większe, przejęte ciekawością tłumy.

W owych czasach popłoch tego rodzaju był chlebem powszednim. Żaden dzień nie mijał bez wypadku. To panowie darli się między sobą, to król z kardynałem wojował, to Hiszpan wojował z królem. Wreszcie poza temi wojnami, głuchemi lub głośnemi, jawnemi lub tajnemi, byli jeszcze rokoszanie, złodzieje, żebracy, hugonoci i wilki, rzucające się na wszystkich. Mieszczanie uzbrajać się musieli ciągle przeciw złodziejom i wilkom, często przeciw panom i hugonotom, a czasami nawet przeciwko królowi; ale przeciw kardynałowi i Hiszpanowi nie chwytali za broń nigdy. Dlatego też, w ów pierwszy poniedziałek kwietniowy 1625 roku, mieszczanie, usłyszawszy krzyki, a nie widząc ani czerwonożółtych żandarmów, ani barw księcia de Richelieu, które by ich przestraszały, rzucili się spiesznie ku oberży pod Wolnym młynarzem. Dopiero na miejscu każdy mógł zobaczyć i zrozumieć przyczynę zamieszania.

Był to młodzieniec... nakreślmy wizerunek jego jednem pociągnięciem pióra. Wyobraźcie sobie Don Kiszota w osiemnastym roku życia, Don Kiszota bez pancerza i nagolenników, Don Kiszota w kaftanie wełnianym, którego kolor niebieski przeszedł w odcienie to brudno-zielonkawe, to brudno-błękitne. Twarz pociągła i śniada, kości na policzkach wystające, wymowny znak przebiegłości, szczęki nadmiernie rozwinięte, nieomylna wskazówka pochodzenia gaskońskiego, oko rozwarte i rozumne, wreszcie nos zagięty, lecz o linjach wykwintnych, za duży na młokosa, na człowieka zaś dojrzałego za mały. Mniej wprawnemu oku wydałby się on może podróżującym synem zagrodnika, gdyby nie długa szpada, która, zwieszona na skórzanym pasie, biła go po nogach, i gdyby nie wierzchowiec z najeżoną szerścią, którego dosiadał.

Bo młodzieniec nasz miał wierzchowca, i to tak niezwykłego, że zwracał powszechną uwagę: był to podjezdek bearneński, mający już dwanaście do czternastu lat, maści żółtej, z ogonem pozbawionym włosa, którego brak nagradzały suto zarośnięte pęciny.

Rumak ten wspaniały, choć głowę nosił niżej kolan, mógł jednak przebyć z osiem mil francuskich dziennie. Nieszczęściem, zalety wszelkie tej szkapy tak były ukryte pod szerścią niezwykłej barwy, tak były zamaskowane dziwaczną jego postawą, ani trochę nie czyniącą zadość wymaganiom regularności kształtów, iż w czasach owych, kiedy wszyscy znali się na koniach, zjawienie się takiego podjezdka w Meung, od strony Beaugency, sprawiło wrażenie źle usposabiające i względem samego jeźdźca.

A wrażenie to tem przykrzejsze było dla młodego d'Artagnana (tak się bowiem nazywał ten nowy Don Kiszot na swoim Rossynancie), iż czuł dobrze, że zabawny wierzchowiec ośmieszał nawet tak dzielnego jak on jeźdźca. Wzdychał też okrutnie w głębi ducha, przyjmując ten dar od pana d'Artagnana ojca. Wiedział, iż bydlę warte było najwyżej dwadzieścia liwrów, lecz słowa ojcowskie, towarzyszące temu darowi, nieskończenie wyższą posiadały cenę.

— Synu mój — prawił szlachcic gaskoński, tem narzeczem czysto bearneńskiem, którego nawet Henryk IV-ty pozbyć się nigdy nie zdołał — synu mój, koń ten zrodzony jest w domu ojca twojego, będzie temu trzynaście lat, i dotąd w nim przebywał, więc kochać powinieneś to zwierzę. Nigdy się z nim nie rozstań, dozwól mu spokojnie i uczciwie umrzeć ze starości; a jeśli na wojnę z nim pójdziesz, oszczędzaj go, jakbyś starego sługę oszczędzał. Przy dworze — ciągnął dalej stary pan d'Artagnan — jeżeli tylko będziesz miał zaszczyt tam się dostać, do czego daje ci prawo twoje stare szlachectwo, godnie utrzymaj imię szlachcica, które przez przodków twoich zaszczytnie było noszone od pięciuset przeszło lat. Nie ustępuj nikomu, nikomu nic nie puszczaj płazem, prócz panu kardynałowi i królowi. Odwagą tylko, rozumiesz mnie, tylko odwagą szlachcic dziś sobie toruje drogę. Kto stchórzy na jedną sekundę, na zawsze wymyka mu się los, jaki mu zsyła fortuna. Młody jesteś i winieneś być waleczny dla dwóch powodów: najpierw, że jesteś gaskończykiem, powtóre, że jesteś moim synem. Okazji nie unikaj, goń za przygodami. Kazałem cię wyćwiczyć we władaniu szpadą; żelazną masz nogę, a dłonie ze stali; bij się o byle co, bij się tembardziej, że pojedynki są zakazane, więc z tego wynika, że, aby się bić, trzeba mieć podwójną odwagę. Na drogę, mój synu, mogę ci dać tylko piętnaście talarów, mojego konia i te rady, których wysłuchałeś. Matka twoja daje ci jeszcze przepis na balsam, który od cyganki dostała, a ma on cudowną własność gojenia wszelkich ran, które nie dosięgły serca. Korzystaj z tego wszystkiego i żyj szczęśliwie przez długie lata. Już nic mi nie pozostaje ci udzielić, chyba dorzucić jeszcze ten przykład, wprawdzie nie z mego życia, bo ja nigdy na dworze nie byłem. Mówię tu o panu de Tréville, który ongiś był moim sąsiadem, a dzieckiem

już miał zaszczyt dzielić zabawy z królem naszym Ludwikiem XIII, — niech go Bóg najdłużej nam zachowa! Niekiedy zabawy te w bitwę się przeistaczały, a król nie zawsze bywał silniejszy. Szturchańce, które odbierał, przejmowały go wielkim szacunkiem i przyjaźnią dla pana de Tréville. Później, w podróży swej do Paryża, pan de Tréville pojedynkował się aż pięć razy; od czasu śmierci starego króla, aż do pełnoletniości młodego, nie licząc wojen i oblężeń, w których brał udział, bił się jeszcze siedem razy; no! a od czasu pełnoletniości swej, aż do dziś, bił się razy ze sto! Dlatego, widzisz, dzisiaj, pomimo wszelkich zakazów królewskich, pomimo rozporządzeń i wyroków na pojedynkujących się, jest on kapitanem muszkieterów, co tyle znaczy, jak gdyby był wodzem legjonu Cezarów, i król go wielce ceni, a strachem przejmuje on nawet kardynała, który, jak wszystkim wiadomo, niełatwo czego się zlęknie. Co więcej, pan de Tréville doszedł do dziesięciu tysięcy talarów rocznego dochodu, zatem jest panem nielada. A zaczynał tak, jak ty dzisiaj. Otóż przedstaw mu się z tym listem, i wzoruj się na panu de Tréville, abyś, jak on, pokierował się w życiu.

To rzekłszy pan d'Artagnan ojciec własną ręką przypasał mu szpadę, ucałował czule w oba policzki, dodając błogosławieństwo ojcowskie.

Młodzieniec, wychodząc z pokoju, zastał matkę, czekającą nań z ową słynną receptą zbawiennego balsamu.

Tutaj pożegnania były czulsze i przeciągnęły się, nie dlatego, aby pan d'Artagnan nie kochał syna, który był jego jedynym potomkiem, ale że, jako mąż stateczny, uważałby za niegodne siebie dać się opanować wzruszeniu. Pani d'Artagnan zaś była tylko kobietą, a nadto była matką. Wylewała więc łzy obfite i, przyznać musimy na pochwałę pana d'Artagnan syna, że chociaż silił się być niewzruszonym, jak na przyszłego muszkietera przystało, wzięło w nim górę uczucie wrodzone, i łzy rzęsiste puściły się z jego oczu, a ledwie połowę ich ukryć mu się udało.

Tego jeszcze dnia młodzieniec wyruszył w drogę, zaopatrzony w trzy ojcowskie dary, składające się, jak powiedzieliśmy, z piętnastu talarów, konia i listu do pana de Tréville; rady zaś uważamy za dodatek do nich.

Z podobnem vade mecum d'Artagnan stał się dokładną kopją bohatera Cervantesa, z którym przy naszkicowaniu portretu porównaliśmy go, jak nakazywał nam obowiązek historyka. Don Kiszot brał wiatraki za olbrzymów, a za armję stado owiec, d'Artagnan postanowił poczytywać każdy uśmiech za zniewagę, a każde spojrzenie za wyzwanie. Z tego wynikło, że przez całą drogę od Tarbes aż do Meung trzymał zaciśnięte pięści i bez ustanku sięgał do rękojeści swej szpady, wszelako pięścią nie natrafił na żadną szczękę,

a szpada ani razu nie była z pochwy dobyta. Nie znaczy to, aby na widok niefortunnego żółtego podjezdka, nie wykwitał uśmiech na obliczach przechodniów; ponieważ jednak ponad tą szkapą pobrzękiwała szabla poważnego wyglądu, a ponad nią świeciły oczy bardziej dzikie, niż dumne, powściągano uśmiechy, a gdy wesołość brała górę nad przezornością, usiłowano przynajmniej śmiać się półgębkiem tylko, na podobieństwo masek starożytnych. Tak d'Artagnan, pomimo drażliwości, w nienaruszonym majestacie swoim dobił do nieszczęsnego miasta Meung.

Gdy zsiadał z konia przed bramą Wolnego młynarza, a nie było tam nikogo, ani stajennego, ani gospodarza, by strzemię mu przytrzymał, d'Artagnan spostrzegł przy otwartem oknie na dole szlachcica postawy pięknej i wyniosłej, z twarzą nieco pomarszczoną, który rozmawiał z dwiema osobami, słuchającemi go z widocznym szacunkiem. Rzecz prosta, iż według przyjętego zwyczaju, d'Artagnan zaraz pomyślał, że on jest przedmiotem tej rozmowy. Słuchał więc. Tym razem do połowy się tylko pomylił, albowiem nie o niego, lecz o jego konia tam chodziło. Szlachcic słuchaczom swoim wyliczał wszystkie jego przymioty, a jak już mówiliśmy, słuchacze wyglądali na przejętych szacunkiem niemałym dla opowiadającego i co chwila wybuchali śmiechem. Jeden półuśmiech, jak wiemy, wystarczał do rozbudzenia zapalczywości młodego d'Artagnana, łatwo pojmujemy więc, jakie sprawiła na nim wrażenie ta hałaśliwa wesołość.

Najpierw jednak d'Artagnan zapragnął zobaczyć, jak wygląda impertynent, który pozwala sobie żarty z niego stroić. Utkwił w nieznajomym dumne spojrzenie i zauważył, iż był to mężczyzna od czterdziestu do czterdziestu pięciu lat, o oczach czarnych i przenikliwych, cerze bladej, z nosem mocno wydatnym i czarnemi, pięknie ułożonemi wąsami; miał on na sobie kaftan i spodnie fijołkowe z plecionkami tegoż koloru, bez żadnej ozdoby, prócz zwykłych nacięć na rękawach, przez które przeglądała koszula. Ubranie to, jakkolwiek nowe, zmięte było tak, jak gdyby długo spoczywało w walizie podróżnej. D'Artagnan uczynił to spostrzeżenie szybko, ale drobiazgowo, jak gdyby przeczuwając, że osobistość owa ma w przyszłości wielki wpływ wywrzeć na jego życie.

Gdy wpatrywał się tedy w szlachcica w ubraniu fijołkowem, ten był zajęty najuczeńszem i najbieglejszem wskazywaniem przymiotów bearneńskiego podjezdka, dwaj zaś słuchacze śmieli się hałaśliwie, a dokoła ust opowiadającego, wbrew zwyczajowi, zarysował się widoczny, acz blady jeszcze uśmiech. Tym razem żadna już nie zachodziła wątpliwość, d'Artagnan był istotnie znieważany. Przeświadczony o tem najzupełniej, beret na oczy nacisnął i, usiłując naśladować ruchy wielkopańskie,

podpatrzone w Gaskońji u przejeżdżających dostojników, zbliżył się z ręką na rękojeści szpady, a drugą wspartą na biodrze. Na nieszczęście, w miarę jak podchodził bliżej, gniew go zaślepiał coraz gwałtowniej, i zamiast pełnej godności przemowy, którą przygotował sobie dla rzucenia wyzwania, nie znalazł na końcu języka nic, prócz obelgi grubjańskiej, z towarzyszeniem gestu wściekłości.

— Hej! panie — zawołał — panie, co się tam za okiennicą chowasz! Powiedz mi, jeśli łaska, co cię tak bardzo śmieszy, a pośmiejemy się razem!

Zagadnięty przeniósł spokojnie wzrok z wierzchowca na jeźdźca, jak gdyby potrzebował pewnego czasu dla zrozumienia, że dzika ta przymówka jest skierowana do niego, następnie, gdy znikła wszelka wątpliwość, brwi jego naciągnęły się lekko, i po dość długiem milczeniu, tonem ironji i nieopisanego zuchwalstwa, odpowiedział:

— Nie do ciebie mówię, mój panie.

— Ale ja mówię do ciebie, ja! — krzyknął chłopak, zrozpaczony tem połączeniem czelności i pięknych manier, konwenansu i pogardy.

Nieznajomy chwilę jeszcze popatrzył na niego i, oddalając się od okna, powoli wyszedł z zajazdu i stanął przed koniem o parę kroków od d'Artagnana. Spokój i drwiący wyraz jego twarzy, podwoiły wesołość towarzyszy, pozostałych przy oknie.

D'Artagnan, widząc, że się zbliża, chwycił szpadę i do połowy ją z pochwy obnażył.

— Koń ten stanowczo jest, a raczej był barwy jaskra polnego — ciągnął nieznajomy, zwróciwszy się do słuchaczów swoich z okna i jakby nie widząc d'Artagnana, albo wcale nie zważając na niego. — Kolor ten znany jest bardzo w botanice, lecz u koni, przynajmniej jak dotąd, był nader rzadki.

— Łatwo to z konia się śmiać, na to nie trzeba takiej odwagi, jak śmiać się z jego pana! — wykrzyknął z wściekłością współzawodnik Trévilla.

— Ja nie często się śmieję, mój panie — odrzekł nieznajomy — możesz to odgadnąć z mej twarzy; ale śmieję się wtedy, kiedy mi się podoba.

— A ja — krzyknął d'Artagnan — nie pozwalam, aby się śmiano wtedy, gdy ja nie chcę i gdy mi się nie podoba.

— Doprawdy? — ciągnął nieznajomy z większym, niż dotąd spokojem — A, to najzupełniej słuszne.

I, wykręciwszy się na pięcie, zmierzał z powrotem ku bramie zajazdu, gdzie stał jego osiodłany koń.

Lecz czyż d'Artagnan mógł puścić płazem takie drwiny? Porwał za szpadę i popędził za nieznajomym, krzycząc:

— Obróć no się, obróć, panie wesoły, bo mogę cię wypadkiem uderzyć z tyłu.

— Ty chcesz mnie uderzyć! — odparł ten, naraz zwracając się do młodzieńca szybko z miną zdziwioną a zarazem wzgardliwą. — Zwarjowałeś widocznie, mój kochanku! — Potem dodał do siebie półgłosem: — Szkoda wielka! Pyszny byłby nabytek dla Jego Królewskiej Mości, który ze wszystkich stron szuka takich śmiałków do swoich muszkieterów.

Zaledwie domawiał tych słów, kiedy d'Artagnan tak gwałtownie na niego natarł, że, gdyby nagle w tył nie uskoczył, byłby prawdopodobnie żartował po raz ostatni w swem życiu. Wtedy nieznajomy zrozumiał, że przechodzi to już granicę żartów, dobył więc szpady i, przesadnie kłaniając się przeciwnikowi, stanął w pogotowiu. Lecz w tejże chwili owi dwaj słuchacze, wspomagani przez gospodarza, wpadli na d'Artagnana, z całych sił łomocąc go kijami, pogrzebaczami i szczypcami kuchennemi. Napad ten tak dalece postać rzeczy zmienił, że kiedy d'Artagnan odwrócił się, aby stawić czoło temu gradowi pocisków, przeciwnik jego z tą samą przesadą schował szpadę do pochwy, i z aktora walki, którym o mało co nie został, stał się tylko widzem, i z roli tej wywiązując się ze zwykłą sobie obojętnością, mruczał tylko przez zęby:

— Niech ich powietrze ogarnie, tych gaskończyków! Wpakujcie go na tego pomarańczowego konia i niechaj jedzie z Bogiem.

— Nie prędzej aż cię zatłukę, nikczemniku! — wrzeszczał d'Artagnan, nie ustępując ani kroku napastnikom, nacierającym na niego ze wszystkich stron.

— Zawsze ta gaskonada! — mruknął szlachcic. O! na honor, gaskończycy zawsze są niepoprawni. Kończcie już ten taniec, kiedy chce koniecznie. On wam sam powie, jak będzie miał dosyć.

Ale nie wiedział, z jakim ma do czynienia zapaleńcem; d'Artagnan był z tych, co nie ustępują nikomu ani na krok. Walka trwała jeszcze kilka chwil; na koniec, wyczerpany, upuścił szablę, którą uderzenie kijów przełamało na dwoje. Od innego znów uderzenia jednocześnie zraniony w czoło, padł na wznak skrwawiony i prawie zemdlony.

Wtedy to właśnie nadbiegano ze wszystkich stron na miejsce, gdzie się ta scena rozgrywała. Oberżysta, lękając się głośniejszej awantury, przeniósł przy pomocy stajennych rannego do kuchni, gdzie go zaraz opatrzono.

Szlachcic zaś wrócił na dawne miejsce u okna i z pewnem rozdrażnieniem przypatrywał się tej tłuszczy, która jakby go gniewała niepomiernie.

— I cóż! jak się miewa szaleniec? — zapytał, zwracając się do oberżysty, który przyszedł go o zdrowie zapytać.

— Czy nic się waszej ekscelencji nie stało? — odezwał się oberżysta.

— Ja się zupełnie dobrze czuję, gospodarzu kochany, ale pytam właśnie, co się dzieje z naszym młokosem.

— Lepiej mu już — odrzekł gospodarz — ale wprzód zupełnie omdlał.

— Doprawdy? — pochwycił szlachcic.

— Lecz przed zemdleniem, zebrawszy wszystkie siły, wymyślał i odgrażał się panu.

— Toż to widocznie djabeł wcielony ten śmiałek — zawołał nieznajomy.

— O! nie, ekscelencjo, on djabłem wcale nie jest — odparł oberżysta ze skrzywieniem pogardliwem — bo, kiedy zrewidowaliśmy go, zanim odzyskał przytomność, w zawiniątku jego znaleźli tylko jedną koszulę, a w torbie marne dwanaście talarów; nie przeszkodziło mu to jednak przed zemdleniem powiedzieć, że gdyby to było w Paryżu, pożałowałbyś pan tego zaraz, lecz co się odwlecze, to nie uciecze.

— Więc to musi być jakiś przebrany książę — odrzekł nieznajomy chłodno.

— I ja tak myślę dostojny panie — odrzekł oberżysta — i powinieneś się mieć na baczności.

— A czy w gniewie jakiego nazwiska nie wymienił?

— I owszem, uderzał się po kieszeni i mówił: Zobaczymy, co powie pan de Tréville, na zniewagę, jaką wyrządzono jego protegowanemu.

— Pan de Tréville? — podchwycił nieznajomy z zajęciem — uderzał się po kieszeni, wymawiając nazwisko pana de Tréville?... Słuchaj, gospodarzu, pewny jestem, że nie omieszkałeś przetrząsnąć tej kieszeni, kiedy był zemdlony. Co tam w niej było?

— List do pana de Tréville, kapitana muszkieterów.

— Doprawdy?

— Tak, jak to powiedziałem waszej ekscelencji.

Oberżysta, zbytnią bystrością nieobdarzony, nie zauważył wyrazu, jaki słowa jego wywołały na obliczu nieznajomego. Ten zaś, opuszczając okno, o którego framugę był oparty, zmarszczył brwi z wyrazem niepokoju.

— Co u djabła? — syknął przez zęby — czyżby Tréville nasłał mi tego gaskończyka? Młokos to co prawda! Pchnięcie szpady jednak nie przestaje być pchnięciem, bez względu na wiek tego, który je zadaje, a na dzieciaka, mniej się zwykle uważa, niż na kogo innego!... Czyż nieraz drobna na pozór przeszkoda nie pokrzyżowała wielkich zamiarów?

I nieznajomy pogrążył się w zamyśleniu.

— Słuchaj, gospodarzu — rzekł — czy nie mógłbyś uwolnić mię od tego zapaleńca? Co prawda, zabić go nie mogę, a jednak — dodał z groźnym spokojem — a jednak zawadza mi. Gdzież on jest?

— W pokoju mojej żony, na pierwszem piętrze, opatrują go tam.

— Czy są przy nim łachmany jego i zawiniątko? Czy nie zdjął kaftana?

— Przeciwnie, w kuchni na dole wszystko to się znajduje. Lecz skoro panu ten szaleniec zawadza...

— Bez wątpienia. Jest on w twoim zajeździe przyczyną awantury z ludźmi przyzwoitymi. Wracaj do siebie, przygotuj rachunek i uprzedź mojego służącego.

— Jakto! Pan już nas opuszcza?

— Widzisz to przecie, skoro dałem ci rozkaz osiodłać mego konia. Czy nie zrobiono tego jeszcze?

— I owszem, i, jak to wasza ekscelencja mogła zauważyć, koń jego stoi w bramie, gotowy do podróży.

— Zrób zatem, co ci mówiłem.

— U! — rzekł w duchu oberżysta — miałżeby on istotnie bać się tego chłopaka?

Lecz groźne spojrzenie nieznajomego zbiło go z tropu. Skłonił się nisko i wyszedł.

— Nie trzeba, ażeby milady była przez tego dudka widziana — rzekł do siebie nieznajomy — powinnaby tu już niedługo nadjechać; spóźnia się nawet trochę. Najlepiej będzie, gdy wsiądę na konia i pojadę na jej spotkanie... Gdybym tylko mógł wiedzieć, co zawiera ten list do Trévilla!

I mrucząc tak, skierował się do kuchni.

Oberżysta tymczasem, nie przypuszczając, by obecność młodego chłopca wypędzała nieznajomego z zajazdu, zaszedł do swojej żony, gdzie zastał d'Artagnana, już najzupełniej przytomnego. Dał mu tedy do zrozumienia, iż mógłby mieć jaką nieprzyjemność z policją za szukanie przezeń zaczepki z wielkim panem, gdyż, podług oberżysty, nieznajomy był niezawodnie magnatem. Przekładając to wszystko, gospodarz oberży wreszcie namówił go tak, że młodzieniec, pomimo osłabienia, powstał, by w dalszą puścić się drogę. D'Artagnan, na pół ogłuszony, z owiązaną głową i bez kaftana, ruszył się z miejsca i, naglony przez gospodarza, zwlókł się powoli ze schodów; lecz pierwszą osobą, którą spostrzegł, wszedłszy do kuchni, był wróg jego, rozmawiający najspokojniej w świecie przy drzwiczkach karety podróżnej, zaprzężonej w dwa wielkie konie normandzkie.

Kobieta, z którą rozmawiał, a której główka wyglądała z okna pojazdu, jak w ramki oprawna, mogła mieć dwadzieścia do dwudziestu dwóch lat najwyżej.

Mówiliśmy już o tem, z jaką szybkością baczne oko d'Artagnana zdawało sobie sprawę z każdego oblicza: więc odrazu spostrzegł on też, że kobieta jest młoda i piękna. Piękność ta tem więcej go uderzyła, iż nic nie miała wspólnego z południową prowincją, gdzie dotąd zamieszkiwał.

Była to blondynka, blada, z długiemi włosami w lokach, spadającemi na cudne jej ramiona, o dużych a smętnych niebieskich oczach; ręce miała śnieżnej białości, a usta jak świeżo rozkwitłą różę. Rozmawiała z nieznajomym, wielce ożywiona.

— Jego eminencja zatem rozkazuje mi... — mówiła.

— Niezwłocznie powrócić do Anglji i donieść mi bezpośrednio, czy książę wyjeżdżał z Londynu.

— A co do innych zleceń? — zapytała piękna podróżna.

— Są one zawarte w tem oto pudełku, które pani otworzy, ale dopiero po tamtej stronie kanału.

— Dobrze... a co pan ze sobą zrobi?

— Ja powracam do Paryża.

— Nie ukarawszy tego zuchwałego chłopaka? — zapytała dama.

Nieznajomy zabierał się do odpowiedzi, lecz, zanim usta otworzył, d'Artagnan, który słyszał to wszystko, skoczył i stanął na progu.

— Oto jest właśnie ten zuchwały chłopak, który sam innych karze — zawołał — a jak na teraz mam nadzieję, że ten, którego ukarać powinien, nie wymknie mu się, jak za pierwszym razem.

— Czy tak? — odparł nieznajomy, marszcząc brwi.

— Nie, nie śmiałbyś wobec kobiety uciekać, tak przypuszczam przynajmniej.

— Zastanów się — krzyknęła milady, widząc, że szlachcic już chwyta za szpadę — pomyśl, że najmniejsza zwłoka wszystko może zgubić.

— Masz słuszność — zawołał — jedźmy więc, każde w swoją stronę.

I skinąwszy jej głową na pożegnanie, skoczył na konia, a jednocześnie woźnica karety śmignął potężnie batem nad swoim zaprzęgiem. Ruszyli galopem, każde z nich pędząc w przeciwnym kierunku.

— Hej! hej! A rachunek niezapłacony — wrzeszczał gospodarz, którego względy dla podróżnego, we wzgardę się zamieniły, na widok, że odjeżdża, nie zapłaciwszy należności.

— Zapłać, gamajdo! — krzyknął w pełnym galopie podróżny na swego pachołka, który, rzuciwszy parę sztuk srebra pod nogi oberżysty, podążył za swoim panem.

— A! łotr. A! łajdak, szlachcicem podszyty! — krzyczał d'Artagnan, goniąc za obydwoma.

Lecz ranny nie odzyskał jeszcze o tyle sił, ażeby wytrzymać podobne wstrząśnienia. Zaledwie ubiegł kilka kroków, poczuł szum w uszach, świat zawirował mu przed oczami, nareszcie krwawa chmura zasłoniła mu oczy, i padł na środku drogi, wołając jeszcze:

— Podły! podły! podły!...

— To prawda, że podły — mamrotał oberżysta, podszedłszy do d'Artagnana i próbując jemu się teraz przypodobać i pogodzić się z biedakiem, jak owa czapla w bajce ze ślimakiem.

— Podły! podły!... — powtarzał d'Artagnan — ale ona bardzo piękna!

— Co za ona? — zapytał oberżysta.

— Milady — wybełkotał d'Artagnan i zemdlał po raz drugi.

— A! i tej milady nie mam — rzekł do siebie gospodarz — ha! chociaż ten mi pozostaje z pewnością, na kilka dni conajmniej. W każdym razie jedenaście talarów w zysku.

Wiadomo, że suma taka znajdowała się w sakiewce d'Artagnana.

Oberżysta liczył na jedenaście dni choroby, czyli po talarze na dobę.

Ale osoby chorego nie wziął wcale w rachubę.

Nazajutrz o piątej z rana d'Artagnan podniósł się, zeszedł sam do kuchni, zażądał, prócz innych rzeczy, których spis nie doszedł do nas, wina, oliwy, rozmarynu, i, z receptą macierzyńską w ręce, sporządził sobie balsam, którym liczne rany swoje namaściwszy, sam je opatrywał, nie chcąc dopuścić żadnego lekarza. Dzięki zbawiennym skutkom balsamu cygańskiego, a być może i nieobecności lekarzy, stanął na nogi jeszcze tego wieczora, a nazajutrz był już prawie wyleczony.

Kiedy przyszło płacić za rozmaryn, wino i oliwę, jedyny wydatek jego, sam bowiem djetę najściślejszą zachował, gdy przeciwnie żółty konik, jak dowodził oberżysta, zjadł trzy razy więcej, niż przypuścić było można, d'Artagnan znalazł wprawdzie w kieszeni swój podarty woreczek aksamitny z jedenastoma talarami, lecz list, adresowany do pana de Tréville, zniknął bez śladu. Począł więc z największą cierpliwością poszukiwać listu, po dwadzieścia razy wywracał kieszenie, szperał po mniejszych kieszonkach, grzebał w zawiniątku, otwierał i zamykał woreczek; ale, skoro nabrał przekonania, że

trzeba list uważać za stracony, wpadł w trzeci paroksyzm gniewu, co omal znów nie spowodowało powtórnego użycia wina i oliwy rozmarynowej; bo na widok tego zapaleńca, grożącego, że wszystko, co w domu napotka, w drobne kawałki potłucze, jeżeli listu nie znajdzie, gospodarz znowu pochwycił za oszczep, połowica jego za miotłę, a parobcy za kije, te same, które poprzedniego dnia były w robocie.

— List! mój list polecający! — krzyczał d'Artagnan — albo klnę się, że wszystkich nadzieję na szpadę, jak jarząbki na rożen.

Nieszczęściem jednak, okoliczność pewna sprzeciwiała się spełnieniu tej groźby, bo w pierwszej walce szpada jego, jak mówiliśmy, została złamana na dwoje, o czem najzupełniej zapomniał. Z tego wynikło, że gdy d'Artagnan chciał ją z pochwy wydobyć, znalazł się uzbrojony, lecz tylko w odłamek na sześć czy osiem cali długi, który, gospodarz najstaranniej wsunął mu do pochwy, resztę klingi obciętej dla siebie sprzątnął i potem na szpikulec obrócił.

Prawdopodobnie jednak rozczarowanie to nie byłoby powstrzymało młodego zapaleńca, gdyby nie uwaga, uczyniona przez oberżystę, że gość jego słusznie tak ubolewa nad utratą listu:

— Ale, to prawda — odezwał się, opuszczając oszczep — gdzie może być ten list?

— Tak, gdzie ten list? — krzyczał d'Artagnan. — Powiadam wam, że to list do pana de Tréville i musi się znaleźć, już on na to poradzi! no! on na to poradzi!...

Groźba ta ostatecznie upamiętała oberżystę. Bo po królu i kardynale, pan de Tréville był człowiekiem, którego imię najczęściej powtarzali zarówno wojskowi jak i mieszczanie. Wprawdzie ojciec Józef żył jeszcze, lecz imię jego po cichu tylko wymawiano, taką grozą przejmowała Szara eminencja, jak nazywano samego kardynała. Odrzuciwszy więc oszczep na stronę i zalecając żonie, aby to samo uczyniła z miotłą, a parobkom z kijami, oberżysta pierwszy dał przykład szukania zatraconego listu.

— Czy ten list zawiera coś ważnego? — spytał po chwili nadaremnych szperań.

— Spodziewam się! — krzyknął gaskończyk, który miał nadzieję utorować nim sobie drogę do dworu — list ten stanowi o moim losie.

— Może w nim były obligi hiszpańskie? — pytał zaniepokojony oberżysta.

— Obligi na osobisty skarbiec królewski — odparł d'Artagnan, który, obiecując sobie przy pomocy listu wejść do służby Jego Królewskiej Mości, sądził, iż śmiało mógł tak odpowiedzieć.

— Tam do djabła! — jęknął zrozpaczony oberżysta.

— Mniejsza o to — kończył d'Artagnan z zacięciem, cechującem jego pochodzenie — pieniądze to jeszcze nic! Wolałbym tysiąc pistolów stracić, aniżeli to pismo.

Tak samo mógł powiedzieć o dwudziestu tysiącach, lecz wstrzymała go nieśmiałość młodzieńcza.

Zmożonemu poszukiwaniami oberżyście nagła myśl strzeliła do głowy.

— Ten list wcale nie zginął — zawołał.

— A! — odezwał się d'Artagnan.

— Nie, on tylko został zabrany.

— Zabrany! a to przez kogo?

— A przez tego wczorajszego szlachcica. On był w kuchni i to sam jeden, a kaftan pański tam leżał. Założyłbym się, że to on ukradł.

— Tak myślisz? — odparł d'Artagnan, słabo jednak przekonany, bo lepiej, niż kto inny znał rzeczywistą doniosłość listu i nie widział w nim nic takiego, coby mogło obudzić cudzą pożądliwość. Bo cóżby kto, czy to z pachołków, czy z podróżnych, zyskać mógł na posiadaniu tego świstka.

— Mówisz zatem — ciągnął d'Artagnan — iż tego grubijańskiego szlachcica posądzasz...

— Mówię panu, bo pewny tego jestem — kończył oberżysta. — Kiedy mu oznajmiłem, że wasza dostojność jest protegowanym pana de Tréville i że nawet posiadasz list do tego znakomitego męża, wielce się zaniepokoił, pytając, gdzie może list ten się znajdować, poczem niezwłocznie udał się do kuchni, gdzie leżał pański kaftan.

— Więc to on jest tym złodziejem, który mnie okradł odparł d'Artagnan — poskarżę ja się panu de Tréville, a ten królowi się poskarży. — Potem, z miną majestatyczną, wydobył z kieszeni dwa talary i dał je oberżyście, który z kapeluszem w ręce do drzwi go odprowadził. Tam d'Artagnan dosiadł żółtego rumaka, który bez żadnego już wypadku doniósł go do bramy Ś-go Antoniego w Paryżu, gdzie został sprzedany przez swego właściciela za trzy talary, co znaczyło, że zapłacony był dobrze, bo d'Artagnan pędził go niemiłosiernie, od ostatniego popasu. Nie ukrywał też handlarz koni, który go nabył, że sumę taką daje tylko dla niezwykłej jego maści.

Teraz bez konia wszedł d'Artagnan do Paryża piechotą, z węzełkiem pod pachą, i poty chodził, aż znalazł pokoik do wynajęcia, odpowiedni do szczupłych jego funduszów. Siedziba ta była rodzajem poddasza, przy ulicy Grabarzy, w pobliżu Luksemburga. Skoro tylko dał zadatek, zajął swoje mieszkanie i resztę dnia przepędził

na zaszywaniu kaftana i naszywaniu spodni galonami, które matka odpruła od kaftana starego pana d'Artagnana, i dała mu po kryjomu. Następnie udał się na bulwar de la Ferraille po nową klingę do szpady; zawrócił potem do Luwru, aby się wywiedzieć od pierwszego lepszego muszkietera, gdzie się znajduje dom pana de Tréville, a dom ten, jak usłyszał, stał przy ulicy Gołębiej, to jest w bliskiem sąsiedztwie siedziby d'Artagnana, co poczytał tenże za dobrą wróżbę dla przyszłych swych losów.

I, zadowolony z zachowania swego w Meung, bez wyrzutów sumienia z przeszłości, ufny w teraźniejszość i pełen nadziei na przyszłość, legł na posłaniu i zasnął snem sprawiedliwego. Czysto parafiański jeszcze sen ów wytrzymał go do godziny dziewiątej z rana, zerwał się więc szybko d'Artagnan, by podążyć do sławnego pana de Tréville, trzeciej osoby w królestwie, według klasyfikacji pana d'Artagnana ojca.

Rozdział II. Przedpokój pana de Tréville

Pan de Troisville, jak mieniła się rodzina jego w Gaskońji, albo de Tréville, jak wreszcie sam się przezwał w Paryżu, zaczynał tak samo, jak d'Artagnan, czyli bez grosza przy duszy, ale z zapasem śmiałości, dowcipu i sprytu, które sprawiają, iż najuboższy szlachetka gaskoński, otrzymując je w spuściźnie po przodkach, bogatszym się staje, niż najzamożniejszy perigordzki szlachcic, dziedziczący dostatki po swoim rodzicu. Zuchwały, nieustraszony, szczęśliwy dzięki wypadkom, które jak grad padały w owych czasach, wyniesiony na szczyt stromej drabiny, jaka się zwie łaską u dworu, z pomocą również wypadków, po cztery szczeble przeskakiwał na niej od razu.

Był przyjacielem króla, który, jak wiadomo, czcił niezmiernie pamięć ojca swego Henryka IV. Ojciec pana de Tréville służył mu wiernie w wojnach przeciwko Lidze, tak, że przy braku gotówki, a brakło jej przez całe życie Henrykowi bearneńczykowi, który zwykle płacił długi jedyną monetą, jakiej pożyczać nie potrzebował nigdy, to jest własnym dowcipem, przy braku zatem gotówki dla wynagrodzenia mu zasług, król upoważnił go, po poddaniu się Paryża, do wzięcia sobie na herb lwa złotego na czerwonej tarczy, z godłem fidelis et fortis. Zaszczytu wiele, lecz korzyści materjalnych za mało trochę. Kiedy też znakomity towarzysz wielkiego Henryka umarł, zostawił w spadku synowi tylko godło i szpadę. Dzięki tej podwójnej spuściźnie, z dodatkiem nieskazitelnego imienia, pan de Tréville przypuszczony został do dworu młodego księcia, gdzie, wierny godłu swemu, tak dzielnie szpadą mu służył, że Ludwik XIII, jeden z lepszych szermierzy swego królestwa, mawiał, iż, gdyby miał przyjaciela,

któremu przyszłoby pojedynkować się, radziłby mu wziąć na świadka najpierw Ludwika, a potem pana de Tréville, a nawet może wpierw jeszcze wybrałby tego ostatniego.

Miał też Ludwik XIII szczere przywiązanie do pana de Tréville, przywiązanie królewskie wprawdzie, samolubne, ale bądź co bądź zawsze przywiązanie. Bo w owych nieszczęsnych czasach starano się usilnie otaczać takimi ludźmi, jak pan de Tréville.

Wielu bowiem mogło szczycić się godłem: silny, lecz mało szlachty mogło zasłużenie nosić dewizę: wierny. Do ostatnich jednak należał de Tréville. Był to człowiek rzadki, z posłuszeństwem psa, odwagą ślepą, okiem bystrem i potężną dłonią, któremu wzrok dany był jakby tylko po to, aby dojrzeć niezadowolenie królewskie z jakiej osoby, a ręka, aby winowajcę uderzyć, chociażby nim był Besme, Maurevers, Poltrot, de Mere, czy Vitry. Potrzeba mu było tylko sposobności; czyhał na nią i obiecywał sobie ją pochwycić choćby za jeden włosek, skoro nawinęłaby się mu pod rękę.

Zrobił go też król wodzem muszkieterów, którzy w przywiązaniu, posuniętem do fanatyzmu, byli dla Ludwika XIII-go tem, czem przyboczna straż dla Henryka III-go, a straż szkocka dla Ludwika XI-go.

Kardynał zaś i pod tym względem nie chciał ustępować królowi. Gdy ujrzał tych groźnych wybrańców, którymi otoczony był Ludwik XIII, zapragnął także straż swoją posiadać. Miał więc i on swoich muszkieterów, i można było widzieć, jak dwie te, współzawodniczące z sobą potęgi, w poczet swój ze wszystkich prowincyj francuskich, a nawet z pod cudzoziemskich rządów, rekrutowały ludzi, sławnych z dzielności rycerskiej. Król też i kardynał często wieczorami, przy szachach, wszczynali sprzeczki o zalety swoich obrońców.

Jak jeden, tak drugi wychwalał postawę i męstwo tych, którzy należeli do niego; i obaj, potępiając w zasadzie pojedynki i burdy, sami podżegali ich z cicha do zaczepek, odczuwając prawdziwy żal lub radość niepomierną z porażki lub zwycięstwa swoich ludzi. Tak przynajmniej głoszą pamiętniki człowieka, który w zapasach tych pokonany bywał czasami, lecz najczęściej stawał się zwycięzcą.

Tréville, poznawszy słabą stronę swego pana, zawdzięczał tej przebiegłości długotrwałą i niezmierną łaskę króla, który nie pozostawił po sobie pamięci zbyt wiernego w przyjaźni. Wiedząc, czem się przypodobać Ludwikowi, popisywał się filuternie swymi muszkieterami przed kardynałem Armandem Duplessis, na co jeżyły się złością siwe wąsiki jego eminencji.

Tréville pojmował należycie ducha swojej epoki, kiedy się żyło kosztem, jeżeli nie swoim, to własnych ziomków: żołnierze jego był to legjon djabłów, jemu tylko ulegli, dla niego tylko znający karność.

Rozczochrani, podpici, pokiereszowani, muszkieterowie króla a raczej pana de Tréville, rozpraszali się po szynkach, spacerach, miejscach publicznych, hałasując, podkręcając wąsa, brzęcząc ostrogami, z rozkoszą bezgraniczną potrącając straż kardynalską, przy pierwszem spotkaniu i pośrodku ulicy dobywając szpady z żarcikami nieskończonemi, bo pewni byli, że w razie śmierci opłakiwani i pomszczeni zostaną niechybnie; często nawet zabijali przeciwników z najzupełniejszym spokojem, wiedząc dobrze, iż za to nie zgniją w więzieniu, był bowiem jeszcze pan de Tréville, który umiał się za nimi wstawić. Jakże też go na wszystkie tony wychwalali ci ludzie, jak go uwielbiali, i choć przeważnie nicponie i włóczęgi, drżeli przed nim, jak żaki przed nauczycielem, posłuszni na każde skinienie, gotowi dać się zabić, byleby oczyścić się przed nim z najmniejszego zarzutu.

Używał on też tej dźwigni potężnej, najpierw dla króla i jego stronników, potem dla siebie i swoich przyjaciół. Zresztą w żadnym z ówczesnych pamiętników, a niemało ich pozostało, niema śladu najmniejszego zarzutu przeciw temu zacnemu szlachcicowi, nawet ze strony jego nieprzyjaciół, których liczył sporo pomiędzy ludźmi zarówno pióra, jak broni. Przy genjalnych zdolnościach do intryg, stawiających go na równi z najpotężniejszymi, pozostał człowiekiem uczciwym. Co więcej, pomimo cięć, które szpecą ciało, i ciężkich ćwiczeń, które je nużą, stał się jednym z najpożądańszych gości w towarzystwach kobiecych, najwykwintniejszym zalotnikiem i najwyrafinowańszym dowcipnisiem swojego czasu; mówiono o zwycięstwach buduarowych Trévilla tak, jak przed dwudziestu laty o Bassompierze, a to znaczyło niemało. Dowódca muszkieterów był zatem podziwiany; lękano się go i kochano zarazem, co stanowi najwyższy szczyt powodzenia ludzkiego.

Ludwik XIV pochłaniał mniejsze gwiazdy dworu w promieniach swojej jasności; ojciec jego zaś, jako słońce pluribus impar, pozostawiał blask osobisty każdemu z ulubieńców swoich, każdemu z dworzan własną jego wartość. Oprócz przyjęć porannych u króla i kardynała, liczono owego czasu w Paryżu dwieście przeszło innych, także poszukiwanych. Pomiędzy niemi najbardziej ubiegano się o przyjęcie u Trévilla.

Dziedziniec jego pałacu przy ulicy du Vieux-Colombier podobny był do obozu, latem już od godziny szóstej z rana, zimą od ósmej. Pięćdziesięciu do sześćdziesięciu muszkieterów luzowało się tam ciągle, aby każdy widział ich w tak potężnej liczbie, a

przytem zbrojnych zawsze i gotowych na wszystko. Wzdłuż wielkich schodów, w których klatce dzisiejsza cywilizacja dom cały zbudować by mogła, mijali się bezustannie ci i owi interesanci paryscy, przychodzący z przeróżnemi prośbami, szlachta z prowincji, pragnąca być przyjęta w poczet muszkieterów, i służba wszelkiej barwy, wygalowana, przynosząca panu de Tréville listy od swoich panów. W przedpokoju na ławkach pod ścianami rozsiedli się wybrańcy raczej, niż ci, co zostali wezwani. Od rana do wieczora było tam gwarno, a tymczasem pan de Tréville przyjmował wizyty w gabinecie obok przedpokoju, słuchał zażaleń, wydawał rozkazy, i, jak królowi na balkonie w Luwrze, tak jemu dość było stanąć w oknie, ażeby odbyć przegląd ludzi swoich i broni.

W dniu, kiedy znalazł się tam d'Artagnan, zebranie było imponujące, zwłaszcza dla parafjanina, przybyłego z prowincji; co prawda, był on gaskończykiem, a w owych czasach szczególniej jego ziomkowie nie tracili przy byle czem swej junackiej fantazji. Lecz wejście to onieśmieliłoby niejednego. Po przedostaniu się przez ciężką, wielkiemi gwoździmi nabijaną bramę, wpadało się od razu pomiędzy zbrojne zastępy, snujące się po dziedzińcu, wyzywające się na słowa, sprzeczające się i swawolące zarazem wesoło. By utorować sobie przejście pośród tych fal wirujących, trzeba było być oficerem, wielkim panem, lub ładną kobietą.

Owóż pośród takiej wrzaskliwej zgrai i zamieszania przebijał się młodzieniec nasz z sercem bijącem, długi rapir swój przyciskając do chudych nóg, rękę trzymając przy kapeluszu, z półuśmiechem, zwykłym u parafjanina, chcącego dodać sobie pewności. Gdy się przez jedną gromadkę przecisnął, oddychał wtedy swobodniej; lecz czuł, że oglądano się za nim, i po raz pierwszy w życiu, on, który dobre miał dotąd wyobrażenie o sobie, śmiesznym się sobie wydawał.

Gorzej było jeszcze, gdy doszedł do schodów: na pierwszych stopniach stało czterech muszkieterów, fechtujących się z sobą dla rozrywki, a dziesięciu, czy dwunastu ich towarzyszy, zajmując platformę schodową, oczekiwało na swoją kolej w szermierce.

Z czterech pierwszych jeden, stojąc ze szpadą w ręce na wyższym stopniu schodów, nie pozwalał trzem innym bliżej podejść.

Ci trzej zaś z prawdziwą zręcznością napadali na niego szpadami.

D'Artagnan wziął zrazu broń tę za florety z gałkami, lecz przekonał się wkrótce po zadraśnięciu, że broń to była spiczasta i wyostrzona należycie, a za każdem zadraśnięciem nie tylko widzowie, lecz i szermierze sami śmiali się, jak szaleni.

Stojący na wyższym stopniu, z zadziwiającą zręcznością trzymał przeciwników swoich w oddaleniu.

Otoczono ich kołem: warunek był taki, że ugodzony winien był odstąpić od partji. W przeciągu pięciu minut trzech było draśniętych, jeden w rękę, drugi w brodę, trzeci zaś po uchu, przez obrońcę schodów, który w tych ćwiczeniach pozostał bez najmniejszego szwanku. Zręczność ta dawała mu prawo, według umowy, po trzykroć z kolei bronić swojego stanowiska.

Jakkolwiek d'Artagnan postanowił nie dziwić się byle czemu, przeczuwając, iż zobaczy wiele rzeczy zupełnie nowych dla siebie, rozrywka ta zastanowiła go jednak; widział on na prowincji swojej, gdzie głowy są tak łatwo zapalne, dużo ćwiczeń szermierskich, lecz gaskonada tych czterech fechmistrzów najdoskonalszą mu się wydała, o jakiej usłyszeć kiedykolwiek mógł nawet w Gaskońji. Zdawało mu się więc, że przeniesiony jest w owe bajeczne kraje olbrzymów, gdzie ongi dostał się Guliwer. A jednak nie na tem koniec: pozostawała mu jeszcze platforma i przedpokój.

Tam już się nie bito, lecz opowiadano sobie anegdoty o kobietach, w przedpokoju zaś dworskie historyjki. Na platformie rumieniec wystąpił na lica d'Artagnana, w przedpokoju młodzieniec zadrżał.

Wyobraźnia jego, rozbudzona i nieokiełznana, która czyniła go postrachem dla dziewcząt pokojowych, a niekiedy i dla młodych ich pań, w chwilach szału nawet nie śniła tych cudów miłosnych i zwycięstw, spotęgowanych najbardziej znanemi imionami i najjaskrawszemi szczegółami. Lecz jeżeli obyczajność jego zadraśniętą została na platformie schodów, w przedpokoju szacunek jego dla kardynała nadwerężony został niesłychanie.

Tam ze zdumieniem usłyszał głośną krytykę polityki, która trzęsła całą Europą, życie zaś prywatne kardynała, za roztrząsanie którego tylu możnych i wielkich ukaranych już było, życie tego wielkiego człowieka, tak czczonego przez pana d'Artagnana ojca, tutaj służyło za pośmiewisko muszkieterom pana de Tréville, którzy szydzili z jego pałąkowatych nóg i wypukłych pleców, a nawet śpiewali piosnki o pani d'Aiguillon, jego kochance, o siostrzenicy, pani de Combalet, gdy inni znowu namawiali się przeciw paziom i straży przybocznej księcia-kardynała.

Jednakże, gdy niechcący imię królewskie wyrwało się komuś niespodzianie wśród tego kardynalskiego bigosu, wnet jakby knebel zamykał na chwilę drwiące usta; spoglądano z wahaniem dokoła, jakby się lękając, aby nie zdradziła ściana, dzieląca ich od gabinetu pana de Tréville; wkrótce też najmniej znaczące słówko zwracało rozmowę

na eminencję i koncepty zaczynały się na nowo, nie szczędząc światła dla wszystkich jego postępków.

— O! wszyscy ci niezawodnie pójdą do więzienia, a potem na szubienicę — myślał ze zgrozą d'Artagnan — a może i ja z nimi razem, bo skoro ich słuchałem i słyszę, uważany będę za ich wspólnika. Coby na to mój ojciec powiedział, on, który mi cześć dla kardynała tak usilnie zalecał, coby powiedział, gdyby mnie zobaczył w tej pogańskiej kompanji?

Nikt o tem powątpiewać nie będzie, iż d'Artagnan nie ośmielił się wmieszać do rozmowy; otworzył tylko oczy i uszy, pięć zmysłów chciwie wytężając, aby pochwycić wszystko i, pomimo zalecań ojcowskich, czuł w sobie ochotę nie ganić, lecz raczej chwalić rzeczy niesłychane, które się tam odbywały.

Ponieważ jednak obcym był zupełnie tej zgrai dworaków pana de Tréville i po raz pierwszy go tam widziano, zapytano zaraz, czego chce. Na zapytanie to d'Artagnan skromnie wymówił swoje nazwisko, przekonawszy o pochodzeniu swem, jako ich spółziomka i prosił pokojowca, który go właśnie pytał, aby dlań zachował chwilę posłuchania u pana de Tréville, co tenże przyrzekł uczynić we właściwym czasie.

Przyszedłszy trochę do siebie z pierwszego oszołomienia, d'Artagnan począł rozglądać się swobodniej, badając potrosze ubiory i twarze.

Punkt środkowy najbardziej ożywionej gromadki stanowił muszkieter wzrostu wysokiego, z obliczem wyniosłem i w dziwacznym stroju, który zwracał ogólną uwagę.

Nie miał na sobie kaftana, przepisanego regułami, co zresztą nie było obowiązującem w owej epoce, w owych czasach nie tyle swobody, ile niezależności. Nosił na sobie obcisły żupan błękitny, zblakły i wytarty nieco, na którym połyskiwała wspaniała szarfa szeroka, haftowana złotem i mieniąca się blaskiem, jak powierzchnia wody na słońcu. Płaszcz aksamitny karmazynowy z wdziękiem opuszczał mu się z ramion, z przodu odsłaniając tylko świetną szarfę, przy której zwieszał się ogromny rapier.

Muszkieter powracał właśnie z warty i skarżył się, iż jest mocno zakatarzony, kaszląc od czasu do czasu z przesadą. Okrył się też dlatego płaszczem, jak głosił dokoła, a mówiąc to z miną wyniosłą, dumnie pokręcał wąsa, gdy tymczasem podziwiano z zapałem szarfę haftowaną, a d'Artagnan podziwiał jeszcze więcej, niż wszyscy.

— Cóż chcecie — mówił muszkieter — moda taka nastaje; wiem, że to głupstwo, ale modne. Zresztą trzeba przecież użyć na coś pieniędzy z rodzinnej sukcesji.

— O, Porthosie! — wykrzyknął jeden z obecnych — nie próbuj nawet wmówić w nas, iż szarfa ta z rodzicielskiej hojności ci się dostała; prędzej ci ją ofiarowała ta zakwefiona dama, z którą spotkałem cię zeszłej niedzieli przy bramie Ś-go Honorjusza.

— Nie, na honor, słowo szlacheckie daję, iż sam ją kupiłem za własne pieniądze — odparł ten, którego Porthosem nazwano.

— Tak — odezwał się inny muszkieter — tak samo, jak ja kupiłem ten woreczek nowy za to, co moja luba włożyła mi do starego.

— Mówię prawdę — podchwycił Porthos — a dowód najlepszy, że powiem wam, ile za nią zapłaciłem: dwanaście pistolów.

Zachwyt spotęgował się, wątpliwość jednak pozostała jeszcze.

— Wszak prawda, Aramisie? — zapytał Porthos, zwracając się do innego muszkietera.

Ten stanowił najzupełniejszy z nim kontrast. Był to chłopiec młody, od dwudziestu dwóch do trzech lat zaledwie, z obliczem łagodnem i niewinnem, ze słodkiem spojrzeniem czarnych oczu, z twarzą różową i zdobną w lekki puszek, jak brzoskwinia w jesieni. Zgrabny wąsik rysował mu nad ustami linję najregularniejszą; ręce jakby się obawiały opuszczać ku dołowi, by na nich nie nabrzmiały żyły; od czasu do czasu szczypał się w uszy, dla utrzymania na nich lekkiego i przejrzystego szkarłatu. Mówił zazwyczaj mało i powoli, kłaniał się często, śmiał się głośno, pokazując piękne zęby, o które, jak i o całą swą osobę, widocznie dbał niepomiernie.

Na pytanie przyjaciela odpowiedział potwierdzającem skinieniem głowy.

Potwierdzenie to jednak jakby bardziej jeszcze umacniało wszelkie powątpiewania co do szarfy; podziwiano ją ciągle, lecz nie mówiono już o niej, a rozmowa przeszła na inny przedmiot.

— Co myślicie o opowiadaniu koniuszego pana de Chalais? — zapytał inny znowu muszkieter, nie zwracając się do nikogo wyłącznie, lecz do wszystkich w ogólności.

— A cóż on opowiada? — zapytał Porthos tonem wyniosłym.

— Opowiada, iż spotkał w Brukselli Rocheforta, tę duszę kardynałowi zaprzedaną, a spotkał go w przebraniu kapucyńskiem, dzięki któremu oszukał tego dudka, pana de Laigues.

— Prawdziwego dudka — wtrącił Porthos — ale czy to pewne?

— Dowiedziałem się o tem od Aramisa — odparł muszkieter.

— Doprawdy?

— E! wiesz przecie sam o tem, Porthosie — odezwał się Aramis — wczoraj ci to opowiadałem, nie mówmy już o tem.

— Nie mówmy już o tem? tak sądzisz? — odparł Porthos. — Nie mówmy! o! ty djablo szybko załatwiasz się ze wszystkiem! Jakto? Kardynał każe szpiegować szlachcica, przejmować korespondencję jego przez zdrajcę, rozbójnika, wisielca, przez tego szpiega; i dla owej korespondencji ścinają głowę panu de Chalais, pod głupim pozorem, że chciał zabić króla, i brata królewskiego ożenić z królową?... Dotąd... nikt ani trochę nie rozumiał tej zagadki, tyś ją odkrył nam wczoraj, z wielkiem dla nas wszystkich zadowoleniem, a kiedy jeszcze nie możemy opamiętać się ze zdziwienia, dzisiaj powiadasz: nie mówmy już o tem!...

— Ha! to mówmy, kiedy sobie tego życzysz — odparł z całą cierpliwością Aramis.

— O! gdybym był koniuszym tego biedaka de Chalais — zawołał Porthos — Rochefort miałby się z pyszna odemnie.

— A ty od Czerwonego księcia — zauważył Aramis.

— A! Czerwony książę! brawo! brawo! — podchwycił Porthos, klaszcząc w dłonie i przytakując głową. — Pyszny jest ten Czerwony książę. Puszczę ja twój koncept w obieg, możesz być tego pewny. Jakiż ten Aramis dowcipny! Co za szkoda, żeś nie poszedł za swojem powołaniem, rozkoszny byłby z ciebie księżulek.

— O! to tylko chwilowa zwłoka — odparł Aramis — wiesz przecie dobrze, że nie przestaję uczyć się teologji.

— Wcześniej czy później, stanie się tak, jak mówi — dodał Porthos potakująco.

— Wcześniej — podchwycił Aramis.

— On tylko na jedną rzecz czeka, któraby go skłoniła ostatecznie do przywdziania sutanny — odezwał się jeden z muszkieterów.

— A na cóż czeka? — zapytał inny.

— Na to, aż królowa obdarzy spadkobiercą koronę francuską.

— Nie żartujmy z tego, panowie — rzekł Porthos — królowa, dzięki Bogu, jest w tym wieku, że może Francję obdarzyć potomkiem.

— Mówią, że pan de Buckingham jest we Francji — odparł Aramis z przebiegłym uśmieszkiem, który tym, na pozór zwyczajnym zupełnie słowom, nadał podejrzane trochę znaczenie.

— Aramisie, mylisz się tym razem, mój przyjacielu — przerwał mu Porthos — żyłka dowcipkowania za daleko cię ponosi... i gdyby cię usłyszał pan de Tréville, przekonałby cię, że bardzo nie w porę żartujesz.

— Cóż to?... chcesz mi dawać nauki?... Porthosie! — krzyknął Aramis, a w jego łagodnych oczach zapłonęły błyskawice.

— Mój drogi, bądźże muszkieterem, albo opatem, ale nigdy jednym i drugim jednocześnie — odpowiedział Porthos.

— Powiem, co ci Athos kiedyś powiedział: ty jadasz ze wszystkich żłobów. O! nie gniewaj się, proszę... byłoby to daremne, wiesz przecie, jaką umowę mamy między sobą, ty, Athos i ja. Ty chodzisz do pani d'Aiguillon i umizgasz się do niej; bywasz także u pani Bois-Tracy, krewnej pani de Chevreuse, i powiadają, iż bardzo posunięty jesteś w łaskach u tej pani. O! nie przyznawaj się do swego szczęścia, nikt tajemnicy twojej nie żąda, bo znana jest twoja delikatność. Skoro jednak posiadasz tę cnotę, czemuż, u djabła, nie robisz z niej użytku i względem Jej Królewskiej Mości. Niech kto chce i jak chce zajmuje się królem i kardynałem; lecz królowa jest świętością, i jeżeli mówić o niej, to mówić dobrze.

— Porthosie, jesteś przesadny i zarozumiały, jak Narcyz, ostrzegam cię — odrzekł Aramis — morałów nienawidzę, chyba tylko, gdy Athos je prawi. Co do ciebie, mój drogi, zanadto wspaniałą masz szarfę, abyś w tej sztuce moralizatorskiej był mocny. Będę opatem, jeśli mi się spodoba; tymczasem jednak jestem muszkieterem; a z tej racji mówię, co mi się podoba, a obecnie podoba mi się powiedzieć, że niecierpliwisz mnie.

— Aramisie!

— Porthosie!

— E! panowie! panowie!... — zawołano ze wszystkich stron.

— Pan de Tréville czeka na pana d'Artagnan — odezwał się pokojowiec, otwierając drzwi od gabinetu.

Na słowa te, przy których drzwi zostały otwarte, wszyscy zamilkli, i, wśród tej ciszy ogólnej, młody gaskończyk przeszedł całą długość przedpokoju i stanął przed wodzem muszkieterów, z całego serca winszując sobie, że w samą porę uniknął końca tej osobliwej sprzeczki.

Rozdział III. Posłuchanie

Pan de Tréville był właśnie w jak najgorszem usposobieniu; pomimo to grzecznie powitał młodzieńca, który skłonił mu się do ziemi i uśmiechnął się na przemówienie jego, w którem akcent bearneński przypomniał mu młodość i kraj jego; wspomnienie to zawsze miłe jest każdemu człowiekowi. Jednocześnie jednak, podchodząc do

przedpokoju, skinął w stronę d'Artagnana ręką, jakby prosił go o pozwolenie załatwienia się z innymi, zanim wda się z nim w rozmowę, i zawołał po trzykroć, a za każdym razem głos, potęgując się, przechodził z tonu rozkazującego w mocno zagniewany.

— Athos! Porthos! Aramis!...

Dwaj muszkieterowie, z którymi zawarliśmy już znajomość, wysunęli się z gromadki, a skoro próg gabinetu przestąpili, drzwi zaraz się za nimi zamknęły. Postawa ich, jakkolwiek niezbyt pewna siebie, wyrazem, pełnym godności i uszanowania, w zachwyt wprawiła d'Artagnana, który półbogów widział w tych ludziach, a w wodzu ich Jowisza olimpijskiego, zbrojnego we wszystkie pioruny.

Kiedy już dwaj muszkieterowie weszli, a drzwi się za nimi zamknęły i gwar w przedpokoju, podsycony zapewne tem wezwaniem, wszczął się też na nowo, pan de Tréville, milczący, z brwiami ściągniętemi, przemierzył kilkakrotnie wielkiemi krokami gabinet, mijając za każdym razem Porthosa i Aramisa, jak struny wyciągniętych, i zatrzymał się raptem przed nimi, patrząc wzrokiem zagniewanym.

— Czy wiecie, co król mi powiedział? — wrzasnął — i to wczoraj wieczorem; czy wiecie panowie?

— Nie — odpowiedzieli po chwili milczenia obaj muszkieterowie — nie, panie, nie wiemy.

— Ale spodziewamy się, że pan zrobi nam zaszczyt i powie — dodał Aramis miękkim głosem, z towarzyszeniem najwdzięczniejszego ukłonu.

— Powiedział mi, że odtąd muszkieterów swoich zaciągać będzie z gwardji kardynalskiej.

— Z gwardji pana kardynała! a to dlaczego? — żywo zapytał Porthos.

— Bo uważa, iż lura jego potrzebuje być wzmocniona dobrem winem.

Dwaj muszkieterowie zaczerwienili się aż po białka oczu. D'Artagnan, nie wiedząc co to znaczy, rad byłby o sto łokci znaleźć się pod ziemią.

— Tak, tak — mówił dalej pan de Tréville, unosząc się — Jego Królewska Mość ma słuszność, bo, na honor, prawdą jest, że muszkieterowie bardzo kiepsko przedstawiają się u dworu. Wczoraj, podczas gry z królem, kardynał opowiadał z miną pełną współczucia, która nie przypadła mi do smaku, że ci potępieńcy muszkieterowie, ci djabli... mówił, kładąc nacisk na każdem słowie, z miną ironiczną, która jeszcze więcej mi się nie podobała; ci rębacze, dodał, spoglądając na mnie kocio-tygrysiem okiem, zapóźnili się przy ulicy Féron w szynku, i patrol z gwardji kardynalskiej — myślałem,

że mi się w nos roześmieje — zmuszony był aresztować tych wichrzycieli porządku. Do djabła, musicie wiedzieć coś o tem. Aresztować muszkieterów! Wyście tam byli i inni, nie brońcie się, poznano was, kardynał wymienił was po nazwisku. Moja w tem wina, tak, moja wina, bo to ja ludzi moich wybieram. Słuchaj, Aramisie, czemu żądałeś ode mnie kaftana, kiedy ci w sutannie było tak dobrze? Słuchaj, Porthosie, czyż tylko po to masz szarfę złotą, aby na niej słomianą szpadę zawiesić? Athos! nie ma tu Athosa? Gdzież on jest?

— Panie, — smutno odpowiedział Aramis — Athos jest chory, bardzo chory.

— Bardzo chory, powiadasz? a na jakąż to chorobę?

— Obawiam się, ażeby to nie była ospa — odpowiedział Porthos, chcąc także należeć do rozmowy.

— Ospa! bajki mi pleciesz Porthosie! W jego wieku, na ospę chorować? Co nie, to nie!... pewnie raniony, a może zabity. O gdybym o tem wiedział!... Na rany boskie! panowie muszkieterowie, słyszeć o tem nie chcę, by chodzono do miejsc podejrzanych, robiono burdy uliczne i bito się w zaułkach. Nie chcę, byście się stali pośmiewiskiem gwardji kardynalskiej, składającej się z ludzi porządnych, spokojnych, śmiałych i nie takich, których aresztują, bo zresztą aresztować się nie dadzą, jestem tego pewny. Oni daliby się raczej zabić na miejscu, niż na krok jeden ustąpić. Bo tylko muszkieterowie królewscy uważają za stosowne uciekać.

Porthos i Aramis trzęśli się ze wściekłości. Byliby chętnie zdusili pana de Tréville, gdyby nie czuli, że właśnie wielka dla nich miłość kładała mu w usta te słowa. Gnietli kobierzec nogami, usta przygryzali do krwi, z całych sił rękojeście szpady przyciskając. W przedpokoju usłyszano to wołanie Athosa, Porthosa i Aramisa po nazwisku, i odgadnięto po głosie pana de Tréville, że się gniewa niechybnie. Dziesięć głów ciekawych, opartych o cienką ścianę, bladło z wściekłości, bo uszy ich, do drzwi przylepione, ani jednej sylaby nie straciły z tego, co było mówione, a usta powtarzały jedne za drugiemi słowa dowódcy, ubliżające wszystkim muszkieterom, zebranym w przedpokoju.

W jednej chwili, począwszy od drzwi gabinetu aż do bramy, cały pałac zawrzał.

— A! muszkieterowie królewscy dają się aresztować gwardji pana kardynała — ciągnął pan de Tréville, zarówno jak jego żołnierze wzburzony wewnętrznie — lecz przeszywając ich słowami, które zatapiał jedne po drugich, jak sztylety w sercach swoich słuchaczy. — Tak! sześciu gwardzistów Jego eminencji, aresztuje sześciu muszkieterów Jego Królewskiej Mości. Do wszystkich djabłów. Jużem się namyślił!

Jadę natychmiast do Luwru, podam się do dymisji z dowództwa nad muszkieterami królewskimi i poproszę, ażeby mi dano miejsce w gwardji kardynała, a jeżeli mi odmówią, tam do licha! zostanę księdzem.

Na te słowa gwar zewnątrz gabinetu w wybuch się zamienił: wszędzie słychać tylko było wykrzykniki i przekleństwa. Morbleu! Sangdieu! do wszystkich djabłów! — krzyżowały się w powietrzu, jak grad, gnany wichrem. D'Artagnan szukał kąta, gdzieby się mógł ukryć, i czuł chęć nieprzepartą schowania się pod stół.

— A więc tak! mój wodzu!... — odezwał się Porthos, nie posiadając się ze wzburzenia — tak!... prawdą jest, iż sześciu przeciw sześciu nas było, lecz napadnięci zostaliśmy znienacka i zanim zdążyliśmy wydobyć szpady, dwóch z nas padło zabitych, Athos zaś ranny, nie więcej wart był od tamtych. Znasz przecie Athosa, kapitanie. Dwa razy powstać usiłował i po dwakroć upadł bezsilny. Nie poddaliśmy się jednak, o nie! wzięto nas przemocą. O Athosie myślano, że nieżywy, i zostawiono go na polu walki. Oto cała historja. Ale, do djabła, panie kapitanie, nie wszystkie wygrywa się bitwy. Wielki Pompejusz przegrał pod Farsalą, a król Franciszek I-szy, który jakem słyszał, nie ustępował mu w niczem, został jednak pobity pod Pawią.

— A ja mam honor zapewnić pana kapitana, iż jednego z nich własną jego szpadą zabiłem — odezwał się Aramis — bo moja przy pierwszem zetknięciu na dwoje trzasła. Tak, panie, zabiłem, czy zasztyletowałem, jak się panu podoba.

— O tem nic nie wiedziałem — odparł pan de Tréville łagodniej. — Jak widzę, pan kardynał przesadzał.

— Zmiłuj się, kapitanie — ciągnął dalej Aramis, widząc, że Tréville uspokajać się zaczyna — zmiłuj się, nie daj poznać Athosowi, iż wiesz, że jest raniony: w rozpaczy byłby, gdyby do uszu królewskich to doszło, a ponieważ rana jest niebezpieczna, bo przez ramię do piersi dosięgła, można się obawiać...

W tejże chwili podniosła się portjera, i piękna, szlachetna głowa, tylko blada straszliwie, ukazała się z poza draperji.

— Athos! — wykrzyknęli dwaj muszkieterowie.

— Athos! — powtórzył Tréville.

— Pan wzywał mnie — rzekł do Trévilla Athos głosem osłabionym, lecz zupełnie spokojnym — wzywał mnie pan, jak mi mówili koledzy, więc śpieszę stawić się na rozkazy pańskie; oto jestem, czego sobie życzysz, kapitanie?

I z temi słowy muszkieter w mundurze galowym, krokiem pewnym wszedł do gabinetu. Pan de Tréville, do głębi poruszony tym dowodem odwagi, rzucił się ku niemu.

— Mówiłem właśnie tym panom — odezwał się — że zabraniam muszkieterom moim narażać życie bez żadnej potrzeby, bo tacy dzielni ludzie drodzy są królowi, a król wie o tem, iż muszkieterowie jego są najwaleczniejsi na świecie. Podaj mi rękę, Athosie.

I nie czekając, uchwycił prawą jego dłoń, z całych sił ściskając ją; nie spostrzegł jednak, że Athos, pomimo panowania nad sobą, drgnął z bólu, blednąc jeszcze bardziej.

Drzwi pozostały uchylone po wejściu Athosa, a chociaż rana jego w najgłębszej miała być trzymana tajemnicy, wszystkim była wiadoma, i dlatego okrzyk zadowolenia powitał ostatnie słowa kapitana i kilka głów, zapałem pociągniętych, ukazało się pomiędzy fałdami portjery. Pan de Tréville byłby niezawodnie ostremi słowy zganił to wykroczenie przeciw prawom etykiety, gdyby nie poczuł, że dłoń Athosa ściąga się kurczowo w jego ręce. Spojrzał wtedy bacznie na niego i dostrzegł, że bliski jest zemdlenia. I w jednej chwili Athos, walczący z wysiłkiem niesłychanym dla pokonania srogiego bólu, zwyciężony nim nareszcie, padł jak nieżywy na ziemię.

— Chirurga! — krzyknął pan de Tréville. — Mojego, królewskiego, najlepszego, chirurga! na rany Boskie! bo mój dzielny Athos skona!...

Na krzyki pana de Tréville, wszyscy wpadli do gabinetu jego, nie przyszło mu bowiem do głowy drzwi przed kimkolwiek zamykać. Rannego otoczono z wielkiem współczuciem. Na nic by jednak wszystko to się nie przydało, gdyby lekarz nie znalazł się był w pałacu. Przebił się on przez tłum, zbliżył się do zemdlonego wciąż Athosa, a ponieważ hałas i zamieszanie przeszkadzały mu bardzo, zażądał najpierwej, aby muszkieter przeniesiony być mógł do przyległego pokoju. Pan de Tréville sam otworzył drzwi, wskazując Porthosowi i Aramisowi drogę, ci zaś kolegę swojego, jak dziecko, na ręku zanieśli. Za nimi postępował chirurg, a za chirurgiem drzwi się zamknęły.

Wtedy gabinet pana de Tréville, to miejsce tak szanowane zwykle, chwilowo stał się dalszym ciągiem przedpokoju.

Każdy rozprawiał, gadał głośno, klnąc, pomstując, posyłając do wszystkich djabłów kardynała wraz z jego gwardją.

W chwilę potem Porthos i Aramis powrócili, chirurg zaś i pan de Tréville sami pozostali przy rannym. Powrócił i pan de Tréville nareszcie. Ranny odzyskał przytomność; chirurg oznajmił, że stan muszkietera nie przedstawia nic niepokojącego dla przyjaciół, osłabienie było po prostu następstwem znacznego upływu krwi.

Na skinienie pana de Tréville, wszyscy wyszli z wyjątkiem d'Artagnana, który nie zapomniał wcale, że miał mieć posłuchanie, i z zaciętością prawdziwego gaskończyka stał w miejscu, jak wryty.

Gdy drzwi za wszystkimi zamknięto, pan de Tréville, obróciwszy się, znalazł się sam na sam z młodzieńcem. Wypadek, który się przed chwilą wydarzył, po części przerwał mu myśli. Zapytał więc, czego sobie młodzieniec życzy. Wtedy d'Artagnan wymienił swe nazwisko, a pan de Tréville od razu sobie przypomniał jego przyjście.

— Przepraszam cię — rzekł doń z uśmiechem — wybacz, drogi mój ziomku, zapomniałem zupełnie o tobie. Lecz cóż chcesz! dowódca jest ojcem rodziny, i to jeszcze większą odpowiedzialnością obarczony, aniżeli prawdziwy ojciec. Żołnierze to duże dzieci; a ponieważ chcę, by rozkazy królewskie były spełniane, a pana kardynała nade wszystko...

D'Artagnan nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Spostrzegłszy to, pan de Tréville zrozumiał, że nie z naiwnym ma do czynienia, i nagłym zwrotem rozmowy przystąpił do rzeczy.

— Ojca pańskiego bardzo kochałem — rzekł doń. — Więc cóż dla syna jego uczynić mogę? Śpiesz się, bo czas mój nie do mnie należy.

— Panie — odezwał się d'Artagnan — wyjeżdżając z Tarbes i przybywszy tutaj, miałem zamiar cię prosić, w imię tej przyjaźni, której w pamięci swej nie zatraciłeś, o kaftan muszkieterski; lecz po wszystkiem, na co tu od dwóch godzin patrzę, pojmuję, że łaska taka byłaby nadmierną, i lękam się, iż na nią nie zasługuję.

— W rzeczy samej, młodzieńcze, jest to łaska — odrzekł pan de Tréville — może ona jednak nie być ponad twoją wartość, jak sądzisz. Wszelako, wobec postanowienia Jego Królewskiej Mości, z żalem ci oznajmiam, iż nikt nie może zostać muszkieterem, bez uprzedniej próby w kilku wojnach, bez dokonania czynów rozgłośnych, lub służby dwuletniej w innym pułku, mniej od naszego uprzywilejowanym.

D'Artagnan skłonił się w milczeniu. Tem goręcej jednak zapragnął wdziać mundur muszkieterski, odkąd dowiedział się, iż otrzymanie go połączone jest z takiemi trudnościami.

— Ale — ciągnął dalej Tréville, przeszywając ziomka wzrokiem tak przenikliwym, jakby chciał do głębi serca sięgnąć — ale przez pamięć na ojca twojego, dawnego mego kolegi, jak ci mówiłem, pragnę uczynić coś dla ciebie, młodzieńcze. Bearneńczycy nasi zwykle nie są bogaci, i wątpię by od czasu wyjazdu mojego z prowincji postać rzeczy zmieniła się bardzo. Pieniądze zapewne ci się nie przelewają.

D'Artagnan wyprostował się z miną dumną, która wyrażała, że nikogo o jałmużnę nie prosi.

— To dobrze, młodzieńcze, to dobrze — mówił dalej Tréville — znam ja tę dumę; i ja przybyłem do Paryża z czterema dukatami w kieszeni, a byłbym się bił z każdym, kto by mi powiedział, iż nie jestem w stanie kupić Luwru.

D'Artagnan prostował się coraz więcej; dzięki sprzedaży konia, rozpoczynał on karjerę z czterema dukatami więcej, aniżeli pan de Tréville.

— Otóż winieneś zachować to, co masz, chociażby to była suma niepoślednia; lecz potrzebujesz zapewne doskonalić się w ćwiczeniach, które szlachcicowi przystoją. Dziś zaraz napiszę do dyrektora akademji królewskiej list, a od jutra przyjęty tam zostaniesz bez najmniejszej zapłaty. Nie odmawiaj małej tej ulgi. Szlachta nasza, najlepiej urodzona i najbogatsza, prosi o nią nieraz, nie mogąc jej otrzymać. Nauczysz się jazdy konnej, fechtunku i tańca; wejdziesz tam w dobre znajomości, a od czasu do czasu będziesz mnie tu odwiedzał, abym wiedział, jak ci się wiedzie, i czy będę mógł zrobić coś dla ciebie.

Jakkolwiek obcy dworskim obyczajom, d'Artagnan odczuł chłód tego przyjęcia.

— Niestety — rzekł — widzę teraz dobrze, jak mi zbywa na liście polecającym, który mi ojciec dla pana powierzył.

— W istocie — odpowiedział Tréville — dziwi mnie, że przedsięwziąłeś podróż tak daleką bez tego wiatyku niezbędnego, jedynej ucieczki naszej, jako bearneńczyków.

— Miałem go, panie, i to w pięknej formie, dziękować Bogu — wykrzyknął d'Artagnan — lecz wydarto mi go podstępem.

I opowiedział całe zajście w Meung, ze szczegółami najdrobniejszemi odmalował szlachcica nieznajomego, a wszystko to z zapałem i prawdą, które oczarowały Trévilla.

— A to osobliwe — powiedział w zamyśleniu — mówiłeś więc o mnie i to głośno?

— Tak, panie, i popełniłem bez wątpienia niedorzeczność, lecz cóż pan chcesz, imię takie, jak pańskie, miało mi służyć w podróży za puklerz, osądź więc panie, czy chroniłem się za nie zbyt często.

Pochlebstwo to było na swojem miejscu, a pan de Tréville lubił kadzidła, jak król i kardynał. Nie mógł się więc powstrzymać od uśmiechu zadowolenia, lecz uśmiech ten zatarł się wkrótce, i Tréville powrócił znów do awantury w Meung.

— Powiedz mi — ciągnął dalej — czy ten szlachcic nie miał czasem blizny nieznacznej na policzku?

— Tak, jakby od zadraśnięcia kulą.

— Czy był to człowiek pięknej postawy?

— Tak.

— Wzrostu wysokiego?

— Tak.

— Bladej cery, o włosach czarnych?

— Tak, tak, zupełnie tak samo. Więc pan zna tego człowieka? O panie, jeżeli spotkam go kiedy, a spotkać go muszę, przysięgam, że choćby w piekle to samem było…

— Czekał na przyjazd kobiety? — badał dalej Tréville.

— Tak, i porozumiawszy się z tą, na którą czekał, odjechał.

— Czy nie wiesz o czem rozmawiali?

— Dał jej pudełko, mówiąc, że zawiera ono zlecenie, i mówił, aby nie otwierała go aż w Londynie.

— Czy ta kobieta była Angielką?

— Nazywał ją milady.

— To on! — wyszeptał Tréville — to on! sądziłem, że jest jeszcze w Brukseli.

— O! panie, jeżeli wiesz kim on jest — wykrzyknął d'Artagnan — wskaż mi go, a zrzekam się wszystkiego, nawet obietnicy twojej przyjęcia mnie do muszkieterów; bo przede wszystkiem pragnę się zemścić.

— Strzeż się, młodzieńcze — zawołał Tréville — przeciwnie, jeżeli zobaczysz go na tej samej stronie ulicy, przejdź na drugą! Nie potrącaj o taką skałę, strzaskałaby cię, jak szklankę.

— To nie przeszkadza, że jeżeli go kiedy odnajdę…

— Ale tymczasem nie szukaj go, jeżeli mogę ci radzić.

Naraz Tréville zamilkł, tknięty nagłem podejrzeniem. Straszna nienawiść, jaką młody podróżny tak głośno objawiał dla tego człowieka, który niezbyt prawdopodobnie miał mu list ojca wydrzeć, czyż nie kryła w sobie jakiego podstępu? czy sam ten młodzieniec nie był przez eminencję nasłany i nie przychodził po to, aby sidła na niego zastawić? a może ten rzekomy d'Artagnan jest szpiegiem kardynalskim, którego usiłują do domu jego wprowadzić, aby, zyskawszy zaufanie, następnie zgubił Trévilla, jak się to już tysiące razy zdarzało.

Więc zmierzył jeszcze bystrzejszem okiem d'Artagnana, niż za pierwszym razem. Widok tej twarzy dowcipem tryskającej, przebiegłej i pełnej przesadnej pokory, uspokoił go nienazbyt.

— Wiem dobrze, że to gaskończyk — pomyślał — lecz może być nim tak dobrze dla kardynała, jak dla mnie. Zobaczymy, weźmy go na próbę.

— Mój przyjacielu — przemówił wolno do niego — ponieważ chcę wierzyć w historję zgubionego listu, jako synowi mojego dawnego przyjaciela, pragnę ci wynagrodzić chłodne moje przyjęcie, które zauważyłeś od razu, i odkryję ci tajemnice naszej polityki.

Król i kardynał najlepszymi są przyjaciółmi, a jeżeli się zdarzają pozorne zajścia między nimi, to jedynie, aby oszukać głupców. Nie życzę sobie, by ziomek mój, młodzieniec przyzwoity i dzielny, stawiał pierwsze kroki swoje pośród tych wszystkich komedyj i, jak dudek jaki, sam się dał złapać, gdy w ten sposób tylu innych już się zgubiło. Wiedz zatem, że oddany jestem tym dwom panom wszechwładnym i że wszelkie postępki moje innego nie mają celu, niż służyć królowi i panu kardynałowi, temu najświetniejszemu genjuszowi, jakiego kiedykolwiek wydała Francja.

A teraz, młodzieńcze, stosuj się do tego, a jeśli, czy to z rodziny, czy ze stosunków, czy choćby z instynktu samego, masz niechęć jakąś dla kardynała, taką, jaką widzimy, objawiającą się u szlachty, pożegnaj mnie i najlepiej rozstańmy się od razu. Spodziewam się, iż otwartością moją w każdym razie zyskam w tobie przyjaciela, gdyż dotąd jesteś jedynym młodzieńcem, z którym mówię tak otwarcie.

Tréville myślał sobie jednocześnie: jeżeli młody lisek jest wysłańcem kardynała, tenże, wiedząc, jak dalece go nie cierpię, nie omieszkał z pewnością powiedzieć szpiegowi swojemu, iż najlepszym sposobem przypodobania mi się jest wygadywanie na niego w mojej obecności rzeczy niestworzonych; więc niezawodnie, pomimo zapewnień moich, przebiegłe to ziółko będzie się popisywało przede mną wstrętem do eminencji.

Ale, wbrew oczekiwaniom Trévilla, d'Artagnan odpowiedział z największą prostotą:

— Przybywam do Paryża z temi samemi zamiarami. Ojciec mój zalecał mi, aby nikomu nic nie przepuścić, nie znieść nic od nikogo, z wyjątkiem króla, kardynała i ciebie, panie, których uważa za najpierwsze osoby we Francji.

Zwracamy uwagę, iż d'Artagnan z własnego pomysłu dodał do pierwszych dwóch i Trévilla jeszcze, bo sądził, że dodatek ten zaszkodzić nie powinien.

— Mam zatem cześć najwyższą dla pana kardynała — ciągnął dalej — i uznanie najgłębsze dla wszystkich jego czynów. Tem lepiej dla mnie, jeżeli pan, jak słyszę, przemawiasz do mnie otwarcie, bo widzę, że w takim razie miałbym zaszczyt być wspólnych z panem przekonań; jeśli żywi pan dla mnie nieufność, bardzo zresztą naturalną, czuję, iż, mówiąc tę prawdę, gubię się w oczach pańskich; cóż robić,

pocieszam się tylko tem, że nie będziesz pan mógł nie mieć dla mnie szacunku, a na tym świecie chodzi mi o to najbardziej.

Pan de Tréville był do najwyższego stopnia zdziwiony. Taka przenikliwość i otwartość zarazem w zachwyt go wprawiały, doszczętnie jednak nie usuwały jeszcze wątpliwości. Im bardziej chłopiec ten wydawał się wyższym od innych swoich rówieśników, tem niebezpieczniejszym się stawał, w razie, gdyby grał tylko komedję. Pomimo to Tréville uścisnął dłoń d'Artagnana i rzekł:

— Dzielny z ciebie chłopiec, na teraz jednak nic więcej zrobić nie mogę dla ciebie, prócz tego, z czem ci się ofiarowałem przed chwilą. Dom mój dla ciebie zawsze będzie otwarty. Później zaś, mając zawsze do mnie przystęp, a więc możność korzystania z każdej sposobności, otrzymasz prawdopodobnie to, czego tak pragniesz.

— To znaczy — odpowiedział d'Artagnan — że czekasz pan, aż stanę się tego godny. O! bądź spokojny, panie dodał z poufałością czysto gaskońską — długo czekać nie będziesz.

I skłonił się, aby odejść, jakby reszta zgoła od niego tylko zależała.

— Ależ zaczekaj — rzekł, zatrzymując go Tréville — wszak obiecałem ci list do dyrektora akademji. Byłżebyś za dumny na to, aby go przyjąć, młody mój szlachcicu?

— Nie, panie — odparł d'Artagnan — zaręczam panu, że z tym nie będzie, jak z tamtym. Strzec go będę dobrze i przysięgam, że dojdzie podług swojego adresu, a biada temu, kto by usiłował mi go wydrzeć!

Na tę przechwałkę uśmiechnął się pan de Tréville i, zostawiając młodego ziomka we framudze okna, gdzie rozmawiali razem, usiadł przy stole i począł pisać przyobiecany list polecający. D'Artagnan tymczasem, nie mając nic lepszego do roboty, począł bębnić na szybach marsza, przypatrując się muszkieterom, wychodzącym kolejno i śledząc ich oczami, dopóki nie zniknęli na zakręcie ulicy.

Pan de Tréville, napisawszy list, zapieczętował i, podniósłszy się, podszedł do młodzieńca, aby mu go oddać. W chwili jednak, gdy rękę wyciągnął, pan de Tréville ze zdziwieniem ujrzał, jak protegowany jego podskoczył i, czerwony ze złości, wybiegł z gabinetu jak strzała, krzycząc:

— O! na rany boskie! teraz mi się nie wymknie.

— Kto taki? — zapytał Tréville.

— On, ten złodziej! — odparł d'Artagnan. — O! podły!

I zniknął.

— To djabeł wcielony! — mruknął Tréville. — A może — dodał — jest to tylko zręczny manewr z jego strony... uciekł, widząc, że w łeb wzięły wszystkie jego zamiary.

Rozdział IV. Ramię Athosa, szarfa Porthosa i chustka Aramisa

D'Artagnan, rozpędziwszy się, przebył przedpokój w trzech susach i wypadł na schody, które w mgnieniu oka przeskoczyć zamyślał, nie licząc ich bynajmniej, gdy, sadząc z głową naprzód wyciągniętą, natknął się na wychodzącego od pana de Tréville drzwiami bocznemi muszkietera, i tak go uderzył czołem w ramię, iż ten z bólu ryknął nieledwie.

— Przepraszam — rzekł, chcąc pędzić dalej — przepraszam, bardzo mi się spieszy.

Zaledwie jednak postąpił krok, gdy dłoń żelazna schwyciła go za przepaskę i powstrzymała w miejscu.

— Śpieszy ci się! — krzyknął muszkieter, blady, jak całun śmiertelny — i dlatego potrącasz mnie, mówiąc: „Przepraszam" i myślisz, że to mi wystarcza? O! nie tak bardzo, mój młokosie. Czy sądzisz, że skoro słyszałeś dzisiaj pana de Tréville, ostro do nas przemawiającego, to możesz już traktować nas, jak on się do nas odzywa? Mylisz się, mój kochany, bo ty nie jesteś panem de Tréville!... o, co nie, to nie!

— Na honor — odparł d'Artagnan, poznając Athosa, który po opatrunku dokonanym przez doktora, wracał do mieszkania — na honor, nie zrobiłem tego umyślnie; mówię więc: „Przepraszam" i to mi się wydaje dostatecznem. A zwracam uwagę pana — powtórzył — że, słowo honoru, śpieszy mi się i to bardzo śpieszy. Puszczaj mnie pan, proszę.

— Panie — rzekł Athos, puszczając go — jesteś nieokrzesany. Widać z daleka przybywasz.

D'Artagnan już ze cztery stopnie był przeskoczył, ale, na słowa Athosa, stanął jak wryty.

— Do kaduka! — zawołał — skądkolwiek przybywam, nie do ciebie jednak należy, mój panie, uczyć mnie gładkiego obejścia.

— A jednak nie jest to zbyteczne — odezwał się Athos.

— O! gdyby nie to, że się tak śpieszę — zawołał d'Artagnan — gdybym za kimś nie gonił!...

— O! mnie znajdziesz, nie goniąc, rozumiesz pan.

— A gdzież to, jeżeli łaska?

— Przy Karmelitach bosych.

— O której godzinie?

— Około południa.

— Dobrze, stawię się.

— Postaraj się pan tylko, abym nie czekał, bo o kwadrans na pierwszą uszy ci obetnę po drodze.

— Dobrze! — krzyknął mu d'Artagnan — będę tam dziesięć minut przed dwunastą.

I popędził, jak gdyby djabli go nieśli, w nadziei spotkania nieznajomego, którego miarowy chód nie mógł zaprowadzić daleko.

Lecz w bramie od ulicy Porthos rozmawiał z żołnierzem z gwardji. Rozmawiających dzieliła przestrzeń, akurat na objętość człowieka.

D'Artagnan, sądząc, iż się tam zmieści, śmignął między nich, jak strzała. Nie brał jednak wiatru w rachunek. W chwili, gdy miał się prześlizgnąć, wiatr rozdął szeroki płaszcz Porthosa i d'Artagnan najniespodziewaniej znalazł się pod połą.

Nic dziwnego, że Porthos nie chciał pozbyć się tej najważniejszej dla siebie części ubrania, bo, zamiast puścić swobodnie połę, pociągnął ją ku sobie tak, że d'Artagnan zaplątał się w aksamity płaszcza.

Chcąc wywikłać się z płaszcza, zasłaniającego mu oczy, usiłował wydobyć się z pomiędzy fałd, bojąc się zarazem uszkodzić owej wspaniałej szarfy. Gdy jednak oczy otworzył nieśmiało, przekonał się, iż nosem utknął na samych plecach Porthosa, a więc i na przepysznej szarfie.

Jak jednak wszystkie rzeczy na tym świecie najczęściej mają tylko złudne pozory, tak i szarfa z przodu jedynie lśniła złotem, a z tyłu z najprostszej była skóry. Pełen próżności Porthos, nie mogąc mieć szarfy całej ze złota, miał ją przynajmniej w połowie: tem się tłómaczy obecność kataru i niezbędność płaszcza.

— A! do krocset djabłów! — krzyknął Porthos, usiłując odczepić się od chroboczącego mu po plecach d'Artagnana — czyś się wściekł, że się tak rzucasz na ludzi?

— Przepraszam — odezwał się d'Artagnan, głowę z pod pachy mu wysadzając — ale śpieszy mi się bardzo, biegnę za pewną osobą i...

— Dobrze, że biegniesz, ale czy nie zapomniałeś wziąć z sobą oczu? — zapytał Porthos.

— Nie — odparł urażony d'Artagnan — i dlatego widzę nawet to, czego inni nie widzą.

Czy zrozumiał Porthos przymówkę, czy też nie, dość, że wpadł w gniew wściekły.

— Mój panie — rzekł doń — skórę podrzesz na sobie, jeżeli o muszkieterów tak się będziesz ocierał.

— Tego, mój panie, zanadto — odparł d'Artagnan.

— W sam raz dosyć, jak na człowieka, przywykłego patrzeć nieprzyjaciołom w oczy.

— O! do licha, aż nazbyt pewien jestem, że i do swoich nie stajesz pan plecami.

I zachwycony tym dowcipem szedł w dalszą drogę, śmiejąc się na całe gardło.

Porthos, pieniąc się ze złości, poskoczył za nim.

— Później, później — krzyknął d'Artagnan — wtedy, jak pan będziesz bez płaszcza.

— O pierwszej więc za pałacem Luksemburskim.

— I owszem — odkrzyknął mu tenże, niknąc na rogu ulicy.

Lecz i tam nikogo już nie było. Jakkolwiek nieznajomy szedł powoli, miał jednak czas go wyprzedzić znacznie, a może wstąpił do którego z domów.

D'Artagnan wymijał przechodniów, zeszedł aż do promu na rzece, wrócił przez ulicę Sekwany i Czerwonego Krzyża, lecz i to było daremne. Gonitwa ta jednak nie była bez korzyści, gdyż w miarę, jak czoło jego potem się zlewało, serce chłodło stopniowo.

Zaczął tedy rozważać wszystko; wypadki były liczne i opłakane. Zaledwie jedenasta wybiła, a poranek ten przyniósł mu niełaskę pana de Tréville, który nie omieszkał się pewnie obrazić tym sposobem warjackim, w jaki się z nim rozstał.

Nadto ściągnął na siebie dwa pojedynki z dwoma ludźmi, zdolnymi zabić trzech takich d'Artagnanów, z muszkieterami, o których miał wyobrażenie tak wysokie, że stawiał ich w myśli i sercu ponad wszystkich ludzi.

Prawdopodobny rezultat mógł być nader smutny. Przekonany był, że Athos zabije go, bo Porthosa niebardzo się obawiał.

Ponieważ jednak nadzieja jest uczuciem, które najdłużej w sercu ludzkiem tli się, krzepił się otuchą, iż zostanie przy życiu, poraniony, rozumie się, okrutnie. Na wszelki też wypadek sam się w duchu strofował:

— Jakiż ze mnie półgłówek i bałwan! Dzielny ten i nieszczęśliwszy Athos ranny jest w ramię, w które ja właśnie walę jak baran. To tylko dziwne, że nie zabił mnie na miejscu; miałby prawo zupełne, gdyż ból, który mu sprawiłem, musiał być okrutny.

Co się tyczy Porthosa, to co innego. Z nim sprawa zabawna, na honor.

I mimowoli śmiać się począł, patrząc wszelako, czy śmiech ten, którego przyczyna nie była znana nikomu, nie obrazi kogo z przechodniów.

— Z Porthosem zabawna historja; ale w każdym razie jestem ostatnim roztrzepańcem. Jak można tak wpadać na ludzi, nie ostrzegłszy ich pierwej i szukać im pod płaszczem tego, czego tam wcale niema! Byłby mi przebaczył z pewnością, gdybym mu nie wspomniał o tej szarfie przeklętej.

Słuchaj, d'Artagnanie, mój przyjacielu — dodał z całą dla siebie życzliwością — jeżeli wykręcisz się teraz, co mi się nie zdaje prawdopodobnem, trzeba być na przyszłość niezmiernie grzecznym, aby cię za przykład stawiano, by cię uwielbiano wszędzie. Uprzedzającym być i gładkim, to nie znaczy poniżać się. Spójrz na Aramisa, wszak to uosobienie słodyczy i wdzięku. A czyżby znalazł się taki, coby go tchórzem nazwał? Z pewnością, że nie, i odtąd postanawiam na nim się wzorować. A otóż i on, Aramis.

D'Artagnan, idąc i rozprawiając tak z sobą samym, doszedł do pałacu d'Aiguillon i tam spostrzegł Aramisa, rozmawiającego wesoło z kilku panami z gwardji królewskiej. Ten zobaczył go również, ponieważ jednak pamiętał, iż przy nim właśnie pan de Tréville tego ranka srogim gniewem się uniósł, więc świadek wyrzutów, które usłyszeli muszkieterowie, nie mógł być żadną miarą dlań przyjemny, i Aramis udał, że go nie widzi.

D'Artagnan przeciwnie, przejęty nawskroś postanowieniem zostania uprzejmym i miłym, podszedł do czterech młodzieńców, z uśmiechem najwdzięczniejszym składając im ukłon głęboki. Aramis z miną poważną odpowiedział mu lekkiem skinieniem głowy, lecz wszyscy czterej przerwali w tej chwili rozmowę.

D'Artagnan, nie w ciemię bity, zrozumiał, że obecność jego nie jest tu na rękę, lecz za mało miał obycia światowego, aby wybrnąć zręcznie z drażliwego położenia, w jakiem znajduje się każdy w towarzystwie mało sobie znanem, gdy toczy się rozmowa, która pod żadnym względem obchodzić go nie może. Głowił się więc, jak się wycofać zręcznie, gdy spostrzegł, że Aramis upuścił chusteczkę i, przez nieuwagę zapewne, nogą na nią nastąpił. Sądząc, iż nadeszła teraz chwila, aby okazać się grzecznym, schylił się i z wdziękiem, na jaki tylko mógł się zdobyć, wyciągnął chustkę z pod stopy muszkietera, pomimo wszelkich wysiłków tegoż, aby ją przytrzymać — i oddając mu ją rzekł:

— Zdaje się, iż ta chusteczka do pana należy, a zapewne nie chciałby pan jej zgubić.

Chusteczka była wyhaftowana bogato z koroną i herbem na rogu.

Aramis spąsowiał cały i wyrwał ją nieledwie z rąk Gaskończyka.

— O! o! — zawołał jeden z gwardzistów — może powiesz jeszcze, skryty Aramisie, że nie jesteś w dobrych stosunkach z panią de Bois-Tracy, skoro ta uprzejma dama zaszczyca cię pożyczaniem chusteczek.

Aramis przeszył d'Artagnana spojrzeniem, które mówiło, iż tenże kupił w nim sobie śmiertelnego wroga, a następnie z miną słodziutką rzekł:

— Mylicie się, panowie, chusteczka ta nie do mnie należy i nie wiem doprawdy, co temu panu do głowy przyszło, żeby mnie, a nie komu z was ją oddać. Najlepszy daję wam dowód, iż swoją mam w kieszeni.

I, mówiąc to, wyjął rzeczywiście chusteczkę, również elegancką, z batystu cieniutkiego, który w owych czasach drogim był bardzo, lecz bez haftów i herbów, tylko z cyfrą właściciela.

Tym razem d'Artagnan ani pisnął, zrozumiał bowiem, że nie w porę się wyrwał; lecz przyjaciele Aramisa nie dali za wygraną i jeden z nich, zwracając się do muszkietera, rzekł z udaną powagą:

— Jeżeli tak jest, jak utrzymujesz, zmuszony będę prosić cię o zwrot jej, drogi mój Aramisie, bo wiesz przecie, że jestem w ścisłych stosunkach z Bois-Tracy i nie życzę sobie, aby rzeczy żony jego za godła komuś służyły.

— Żądanie twoje nie jest dość właściwe — odparł Aramis — bo, jakkolwiek w zasadzie uznaję całą jego słuszność, odmówiłbym mu ze względu na formę.

— Tak, przyznaję — wtrącił się nieśmiało d'Artagnan — że nie widziałem, jak wypadała chustka z kieszeni pana Aramisa. Nogę tylko na niej trzymał, sądziłem więc, że do niego należy.

— I byłeś w błędzie, mój drogi panie — chłodno odrzekł Aramis, wcale tą pokorą nie zmiękczony. Następnie zaś, zwracając się do tego, który się podawał za przyjaciela pana de Bois-Tracy, rzekł: — Zresztą dochodzę do wniosku, mój ty przyjacielu pana de Bois-Tracy, że niemniej niż ty — jestem jego przyjacielem; chusteczka zatem tak samo z twojej, jak i z mojej, mogła wypaść kieszeni.

— Nie, na honor! — zawołał gwardzista jego królewskiej mości.

— Ty klniesz się na honor, a ja na słowo moje, widocznem więc jest, iż jeden z nas kłamie. Słuchaj, Montaian, najlepiej będzie, gdy się nią podzielimy.

— Wybornie — zawołali dwaj inni — prawdziwy sąd Salomona. O Aramisie, pełen jesteś mądrości.

Młodzieńcy zaśmiali się głośno i zdawaćby się mogło, iż sprawa cała została skończona. Po chwili rozmowa się urwała i gwardziści wraz z muszkieterem, uścisnąwszy się serdecznie za ręce, rozeszli się każdy w swoją stronę.

— Wypada mi teraz z tym miłym chłopcem się pogodzić — pomyślał d'Artagnan, stojący na uboczu podczas ostatniej rozmowy.

I w najlepszych zamiarach podszedł do Aramisa, który oddalał się już, bynajmniej na niego nie zwracając uwagi.

— Mam nadzieję, iż mi pan wybaczysz...

— O! mój panie — przerwał mu Aramis — pozwól sobie powiedzieć, iż w tym razie, nie postąpiłeś tak, jak na człowieka przyzwoitego przystało.

— Jakto, pan przypuszczasz...

— Przypuszczam mój panie, że głupcem nie jesteś, i wiesz o tem dobrze, jakkolwiek z Gaskonji przybywasz, iż bez przyczyny nie depcze się po chustkach od nosa. Do djabła! Paryż nie zabrukowany jest batystem.

— Panie, źle robisz, chcąc mnie urazić — odezwał się d'Artagnan, którego usposobienie kłótliwe zaczynało brać górę nad postanowieniami pokojowemi. — Żem gaskończyk, to prawda, a skoro wiesz o tem, nie potrzebuję ci mówić, że gaskończycy niełatwo to znieść potrafią, zatem, skoro kogoś proszą o przebaczenie, choćby za głupstwo nawet, przekonani są, iż czynią więcej, niż powinni.

— Nie mówię tego panu bynajmniej dla wywołania sprzeczki — odrzekł Aramis. — Dzięki Bogu, zabijaką nie jestem, i będąc tymczasowym tylko muszkieterem, biję się jedynie, skoro do tego jestem zmuszony, a zawsze z niemałą odrazą; tym razem jednak sprawa zbyt jest ważna, bo przez pana skompromitowaną została kobieta.

— Chcesz pan powiedzieć, przez nas — zawołał d'Artagnan.

— Czemu tak niezręcznie oddałeś mi pan chustkę?

— A po co pan tak niezręcznie upuściłeś ją na ziemię?

— Powiedziałem panu, i raz jeszcze powtarzam, że chusteczka ta nie pochodziła z mojej kieszeni.

— Podwójnie więc skłamałeś, mój panie, bo ja to dobrze widziałem!

— O! tak zaczynasz śpiewać, panie gaskończyku! poczekaj, nauczę ja cię życia.

— A ja do mszy cię zapędzę, panie opacie! Dobywaj szpady, jeśli łaska, natychmiast!

— O nie, mój piękny, nie tutaj przynajmniej. Czyż nie widzisz, że stoimy przed pałacem d'Aiguillon, pełnym zauszników kardynalskich. Kto mi zaręczy, że to nie eminencja polecił ci, abyś mu dostarczył mojej głowy? Wiedz, że dbam o nią aż do śmieszności, bo, jak mi się zdaje, bardzo dobrze pasuje mi ona do ramiona. Z przyjemnością zabiję cię, bądź spokojny, lecz zabiję cię pomalutku, w miejscu ustronnem i zamkniętem, tam, gdzie przed nikim nie będziesz mógł się ze śmiercią swoją pochwalić.

— I owszem, ale nie licz na to zbytecznie, a zabierz z sobą chusteczkę, czy to twoja lub nie, może ci się przydać do opatrunku.

— Pan jesteś gaskończykiem? — zapytał Aramis.

— Tak... pan, spodziewam się, nie odkłada spotkania przez przezorność.

— Przezorność, mój panie, zawsze jest cnotą, przydatną muszkieterom, a nieodzowną dla sług kościoła; ponieważ zaś jestem muszkieterem czasowym, pragnę pozostać przezornym! O drugiej będę miał zaszczyt oczekiwać w pałacu pana de Tréville. Tam wskażę panu właściwe miejsce.

Dwaj młodzieńcy pożegnali się ukłonem, Aramis puścił się ulicą, prowadzącą do Luksemburgu, d'Artagnan zaś, widząc, że dość już późno, skierował swe kroki w stronę Karmelitów bosych, mówiąc do siebie.

— O! ani chybi, cało z tego nie wyjdę; ale przynajmniej, jeżeli zginę, umrę z ręki muszkietera.

Rozdział V. Muszkieterowie króla i gwardziści pana kardynała

D'Artagnan nie miał w Paryżu żywej duszy znajomej. Stawił się więc na spotkanie z Athosem bez sekundanta. Miał zresztą zamiar niewzruszony wytłumaczyć się dzielnemu muszkieterowi przyzwoicie, lecz bez żadnej uległości. Lękał się rezultatu pojedynku, który nie miłym zwykle bywa, gdy silny i młody, ma za przeciwnika rannego, a zatem pozbawionego sił: wtedy bowiem zwyciężony zmniejsza triumf nieprzyjaciela, zwycięzca zaś posądzany bywa o zbrodnię i fałszywą odwagę. Zresztą, czytelnicy zauważyli zapewne, że d'Artagnan nie był człowiekiem pospolitym. Powtarzając więc sobie, iż śmierci nie uniknie, nie był wszelako zrezygnowany zejść z tego świata jak baranek, czemu inny na jego miejscu, z mniejszym zasobem odwagi, poddałby się niezawodnie.

Rozważał charaktery tych, z którymi stanąć miał do walki, i położenie przedstawiło mu się jaśniej. Dzięki szlachetnemu tłumaczeniu, miał nadzieję zyskać w Athosie przyjaciela; postawa jego pańska i wyniosła mocno mu przypadła do serca.

Cieszył się na myśl nastraszenia Porthosa wypadkiem z szarfą, bo jeżeli nie będzie od razu zabity, rozgłosi to powszechnie, a opowiadanie zręczne i składne może tamtego okryć śmiesznością. Wreszcie skryty Aramis nie przejmował go strachem, i w przypuszczeniu nawet, że z nim odbędzie pojedynek, obiecywał sobie płatnąć go przez

twarz, jak Cezar zalecał żołnierzom zrobić z Pompejuszem, aby zniweczyć na zawsze tę piękność, o którą był tak zazdrosny.

W duszy d'Artagnana tkwiło niezłomne postanowienie, wszczepione radami ojca. Nikomu nie przepuścić, od nikogo nic nie znieść, prócz od króla, kardynała i pana de Tréville.

Leciał więc, jak na skrzydłach, w stronę Karmelitów bosych, których klasztor był budynkiem bez okien, a otaczało go tylko zeschłe błonie. Był tu punkt spotkania i pojedynków dla ludzi, nie mających czasu do stracenia.

Kiedy mógł już objąć okiem błonie, roztaczające się u stóp klasztoru, ujrzał Athosa, oczekującego tam od pięciu minut, a właśnie zegar wydzwaniał południe. Słowny był zatem, jak Samarytanka, i najsurowiej przestrzegający warunków pojedynkowych nie miałby mu nic do zarzucenia.

Athos, któremu rana dopiekała straszliwie, choć świeżo opatrzona przez chirurga pana de Tréville, siedział na kamieniu przydrożnym z tą dystynkcją i spokojem, pełnym godności, jakie go nie odstępowały nigdy. Na widok d'Artagnana, powstał i z grzecznością postąpił kilka kroków ku niemu. Ten zaś szedł ku przeciwnikowi z kapeluszem w ręce, pióro od niego wlokąc po ziemi.

— Panie — rzekł Athos — zawiadomiłem dwóch moich przyjaciół, którzy za świadków służyć będą, lecz jeszcze ich nie widać. Dziwi mnie to, bo nie mają zwyczaju się spóźniać.

— Ja sekundantów nie mam — odparł d'Artagnan — wczoraj dopiero przybyłem do Paryża i nikogo tu nie znam, prócz pana de Tréville, a polecony mu zostałem przez ojca mojego, który ma zaszczyt liczyć się do jego przyjaciół.

Athos się zamyślił.

— I nikogo pan nie znasz prócz pana de Tréville? — zapytał.

— Tak, panie, nikogo.

— No, to jeżeli cię zabiję — kończył Athos, raczej do siebie mówiąc, niźli do d'Artagnana — jeżeli cię zabiję, wyglądać mogę na pożerającego dzieci!

— O! niezupełnie mój panie — odparł z dumnym ukłonem d'Artagnan — niezupełnie, skoro mnie zaszczycasz dobywaniem szpady, pomimo rany, która nie mało ci musi zawadzać.

— O! i bardzo zawadza, na honor, i przyznać muszę, żeś mi piekielnego narobił bólu, ale to mniejsza; lewej użyję ręki, jak zwykle to czynię w takich razach. Nie myśl wcale, abym ci ustępstwo robił, ja zarówno obydwiema władam rękami; to może być dla pana

nawet niekorzystne, bo mańkut dla nieprzyzwyczajonych osób bywa niebezpieczny. Żałuję nawet, iż wcześniej nie uprzedziłem pana o tem.

— Doprawdy — odrzekł z ukłonem d'Artagnan — jesteś pan tak rycersko grzeczny, iż nie wiem, jak mam ci być za to wdzięcznym.

— Zawstydzasz mnie pan — odparł Athos z miną pańską — mówmy o czem innem, proszę, jeżeli ci się podoba. A! do licha, toś mi bólu narobił, aż pali mię to ramię.

— Jeżeli pan pozwolisz... — nieśmiało zaczął d'Artagnan.

— Co takiego?

— Mam cudowny balsam na rany, balsam, od matki mojej pochodzący, którego na sobie już wypróbowałem.

— Więc cóż?

— Więc pewny jestem, iż za trzy dni najdalej byłbyś pan wyleczony zupełnie, a wtedy, panie, za honor sobie poczytam służyć ci w każdej chwili.

D'Artagnan wypowiedział to z prostotą, czyniącą mu zaszczyt, bez ujmy dla jego odwagi.

— Dalibóg — odrzekł Athos — podoba mi się ta propozycja, nie dlatego, abym ją miał przyjąć, lecz że o milę czuć ją szlachcicem. Tak przemawiali i postępowali owi dzielni rycerze z czasów Karola Wielkiego, których dzisiejsi za wzór brać sobie winni. Niestety, nie czasy to wielkiego monarchy, tylko kardynała, za trzy dni rozgłoszonoby już tajemnicę naszą, choćby najściślej była zachowana, wiedzianoby, mówię, że bić się zamierzamy i przeszkodzonoby temu. Lecz cóż to, czy już nie przyjdą, te włóczęgi?

— Jeżeli panu pilno — odezwał się d'Artagnan z tą samą prostotą, z jaką proponował przed chwilą odłożenie na trzy dni pojedynku — jeżeli panu pilno i życzysz sobie załatwić się ze mną zaraz, nie krępuj się, proszę.

— I to mi się bardzo podoba — rzekł Athos z wyrazem twarzy, okazującym zadowolenie — tak nie odzywa się półgłówek... tylko człowiek mężnego serca mówić tak tak potrafi. Przepadam za ludźmi takiego usposobienia, jak pańskie, i jeżeli nie pozabijamy się teraz, prawdziwą będę miał przyjemność rozmawiać z panem później. Zaczekajmy na panów tych, proszę, nie brak mi czasu, a przynajmniej wszystko odbędzie się prawidłowo. A! otóż i jeden z nich.

W głębi ulicy Vaugirard ukazał się olbrzymi Porthos.

— Jakto?... — zawołał d'Artagnan — Porthos jest świadkiem pana?

— Tak. Czyś pan temu nie rad?

— O! bynajmniej.

— Ot jest i drugi.

D'Artagnan obejrzał się i poznał Aramisa.

— Jakto?... — z większem jeszcze wykrzyknął zdziwieniem — to drugim świadkiem jest Aramis?

— A naturalnie, alboż kto kiedy widział, iżbyśmy razem nie byli? Athos, Porthos i Aramis, to trzej nierozłączni, jak nas nazywają wszędzie. Pan jednak, co przybywasz z Honolulu, czy z Kochinchiny...

— Z Tarbes — poprawił go d'Artagnan.

— Wolno panu nie znać tych szczegółów — dokończył Athos.

— Na honor — odrzekł d'Artagnan — nazwano was znakomicie, moi panowie, i jeżeli przygoda moja nabędzie rozgłosu, przekona, że w związku waszym nie brak wam łączności.

Porthos nadszedł tymczasem i ręką powitał Athosa; obejrzawszy się następnie na d'Artagnana, stanął zdziwiony.

Dodajmy nawiasem, iż szarfę zmienił i był bez płaszcza.

— A! co to takiego? — zapytał.

— Z tym panem właśnie mam się potykać — rzekł Athos, wskazując z ukłonem d'Artagnana.

— Ależ i ja biję się z nim — odparł Porthos.

— I ja również z tym panem mam się pojedynkować — odezwał się Aramis, dochodząc do miejsca.

— Lecz dopiero o drugiej — z zimną krwią zauważył d'Artagnan.

— Ale o co się bijesz, Athosie? — zagadnął Aramis.

— Na honor, nie wiem tak bardzo... w ramię mnie uraził; a ty Porthosie?

— Biję się, bo się biję — czerwieniąc się, odparł Porthos.

Baczny na wszystko Athos podchwycił uśmiech złośliwy na ustach gaskończyka.

— Mieliśmy sprzeczkę o ubranie — wtrącił młodzieniec.

— A ty, Aramisie? — pytał dalej Athos.

— Ja, biję się o teologję — odrzekł Aramis, spoglądając prosząco na d'Artagnana, by zachował w tajemnicy powód pojedynku.

Athos dostrzegł drugi uśmiech d'Artagnana.

— Doprawdy?... — podchwycił Athos.

— Tak, nie mogliśmy się zgodzić na pewien ustęp ze świętego Augustyna — odezwał się gaskończyk.

— Widocznie, sztuka z niego nie głupia — mruknął Athos.

— A teraz panowie, skoroście się zebrali — rzekł d'Artagnan — niech mi będzie wolno wytłumaczyć się wam.

Na słowo wytłumaczyć chmura przesunęła po czole Athosa, uśmiech wzgardliwy po ustach Porthosa, a skinienie przeczące było odpowiedzią Aramisa.

— Nie rozumiecie mnie, panowie — rzekł d'Artagnan, podnosząc głowę, a na oblicze jego padły promienie słoneczne, złocąc szlachetne i śmiałe jego rysy — pragnę się wytłumaczyć na wypadek, jeżeli nie będę w możności wszystkim trzem długu mego spłacić, pierwszemu bowiem panu Athosowi służy prawo zabicia mnie, a to odbiera dużo wartości zadaniu pana Porthosa, a twoje, panie Aramisie, nieledwie niweczy zupełnie. A teraz powtarzam, wybaczcie mi, panowie, ale to tylko jedynie, i baczność!

Z temi słowy ruchem, najpyszniej rycerskim, d'Artagnan wydobył szpadę.

Krew wrzątkiem uderzyła mu do głowy i w chwili tej rzuciłby się był na cały zastęp muszkieterów, z taką samą odwagą, jak na tych trzech obecnie.

Było już trochę z południa. Słońce do zenitu dobiegało, a miejsce na pojedynek wybrane, wystawione zostało na palące jego promienie.

— Piekielnie gorąco — rzekł Athos, dobywając szpady — nie chciałbym jednak zdejmować kaftana, gdyż czuję w tej chwili, iż rana mi się krwawi, a pragnę nie sprawić panu przykrości widokiem krwi nie twojem żelazem dobytej.

— To prawda — odrzekł d'Artagnan — a czy dobyta byłaby przeze mnie, czy przez kogo innego, zawsze z żalem prawdziwym patrzeć będę na krew tak dzielnego szlachcica; i ja więc bić się będę w kaftanie.

— Dalej, dalej — odezwał się Porthos — dosyć już tych grzeczności, pomyślcie, że czekamy na naszą kolej.

— Sam za siebie mów, Porthosie, kiedy masz się tak grubijańsko odzywać — przerwał Aramis. — Co do mnie, słowa tych panów uważam za właściwe i godne takich szlachetnych, jak oni, ludzi.

— Służę panu — odrzekł Athos, zasłaniając się szpadą.

— Jestem na rozkazy — odparł d'Artagnan, krzyżując swoją.

Zaledwie dwa rapiry zetknęły się ze szczękiem, gdy oddział gwardji jego eminencji, pod dowództwem pana de Jussac, ukazał się z poza węgła klasztoru.

— Gwardziści kardynalscy! — krzyknęli jednocześnie Porthos i Aramis. — Panowie! szpady do pochwy! Panowie!

Lecz było już za późno. Dwaj walczący widziani byli w postawie nie pozostawiającej żadnej wątpliwości o ich zamiarach wojowniczych.

— Hola! — krzyknął Jussac, zbliżając się do nich i dając żołnierzom swoim znak, aby uczynili to samo — hola! panowie muszkieterzy, bijecie się tutaj? A zakaz?... cóż mi na to powiecie?

— O! bardzo szlachetni jesteście, panowie gwardziści — odrzekł Athos, pełen skrytej nienawiści, bo Jussac był najpierwszym z tych, którzy go atakowali w przeddzień. — My, gdybyśmy was widzieli bijących się, zaręczam, iż nie przeszkadzalibyśmy wam bynajmniej. Zostawcie więc swobodę, a będziecie mieli przyjemność, żadnego nie doznając trudu.

— Panowie — odparł Jussac — z żalem oświadczyć wam muszę, iż rzecz to niepodobna do spełnienia. Obowiązek przede wszystkiem. Szpady do pochwy, jeżeli łaska, i proszę za nami.

— Panie — odezwał się Aramis przedrzeźniając Jussaca — z wielką przyjemnością poszlibyśmy za uprzejmą radą waszą, gdyby to od nas zależało; ale niestety to niemożliwe: pan de Tréville zabronił nam tego. Idźcie więc w swoją drogę, to będzie dla was najlepiej.

Drwiny te doprowadziły Jussaca do rozpaczy.

— Siłą was zaprowadzimy z sobą, kiedy nas słuchać nie chcecie.

— Pięciu ich jest — rzekł półgłosem Athos — a nas tylko trzech; znowu będziemy pobici i trzeba nam będzie życie tu położyć, bo oświadczam, że jeśli zostaniemy pokonani, na oczy się kapitanowi nie pokażę.

Athos, Porthos i Aramis zbliżyli się do siebie w chwili, gdy Jussac ustawiał swych żołnierzy w szeregu.

Chwila ta wystarczyła d'Artagnanowi do namysłu, że nastręczała mu się jedna ze sposobności, stanowiących o życiu człowieka; należało więc uczynić wybór między królem i kardynałem i należało w nim wytrwać. Bić się, znaczyło to nie słuchać prawa, narażać głowę, znaczyło to na samym wstępie zrobić sobie nieprzyjaciela z ministra, potężniejszego nawet, niż sam król. Wszystko to przewidywał młodzieniec, dodajmy jednak na pochwałę jego, iż nie zawahał się ani na chwilę. I rzekł, zwracając się do Athosa i jego przyjaciół:

— Panowie! pozwólcie mi w słowach waszych małą uczynić poprawkę. Powiedzieliście, że trzej tylko jesteście, a mnie się wydaje, iż nas jest tutaj czterech.

— Przecież pan nie należysz do naszych — zauważył Porthos.

— To prawda — odrzekł d'Artagnan — ale jeżeli nie ubiorem, to duszą do was należę. Czuję to, iż serce mam muszkieterskie, i ono pociąga mnie do was.

— Na bok! młodzieńcze — wrzasnął Jussac, który po ruchach i wyrazie twarzy odgadywał zamiary d'Artagnana. — Pozwalam ci się oddalić. Uciekaj, pókiś cały.

D'Artagnan ani drgnął.

— Dzielny chłopiec z ciebie — powiedział Athos, ściskając mu rękę.

— No, dalej! — wołał Jussac.

Athos, Porthos i Aramis spojrzeli na młodzieńca.

Wszystkim trzem tkwiła w myśli młodość d'Artagnana i lękali się jego braku doświadczenia.

— I tak trzech by nas tylko było, z których jeden ranny, bo to dziecko jeszcze — mówił Athos — pomimo to powiedzą, iż było nas czterech.

— Tak, lecz cofać się!... — odpowiedział Porthos.

— Trudno — dodał Athos.

D'Artagnan zrozumiał ich wahanie.

— W każdym razie wypróbujcie mnie panowie, a przysięgam wam, na cześć moją, że jeżeli zwyciężeni będziemy, z miejsca się tego nie ruszę.

— Jak się nazywasz mój zuchu? — zapytał Athos.

— D'Artagnan.

— Dalejże! Athos, Porthos, Aramis i D'Artagnan naprzód! — krzyknął Athos.

— I cóż panowie, czy usłuchacie mnie? — po raz trzeci zawołał Jussac.

— Stało się, panowie — rzekł Athos.

— Cóż więc zamierzacie uczynić? — pytał Jussac.

— Będziemy mieli zaszczyt przystąpić z wami do walki — odpowiedział Aramis, jedną ręką unosząc kapelusza, drugą wyciągając szpadę.

— A! opieracie się więc! — krzyknął Jussac.

— Do licha! to pana dziwi?

Poczem dziewięciu walczących rzuciło się na siebie, z wściekłością nie przekraczającą jednak zasad szermierki.

Athos wybrał niejakiego Cahusaca, ulubieńca kardynalskiego; Porthos miał Bicarata, Aramis znalazł się wobec dwóch przeciwników. D'Artagnan zaś padł na Jussaca samego.

Serce młodego gaskończyka biło jak młotem, zdawało się, że rozsadzi mu piersi. Nie ze strachu, broń Boże, nie było go tam ani cienia, lecz dlatego, że w męstwie nie chciał

się pokazać od innych gorszym, bił się jak tygrys rozjuszony, ze wszystkich stron napastując przeciwnika i zmieniając kilkakrotnie pozycję. Jussac był mistrzem w tej sztuce, bo dużo już praktykował; ciężkiem było jednak zadanie jego bronić się od przeciwnika, który, zręczny i rzutki, zmieniał co chwila metodę, napadając ze wszystkich prawie stron jednocześnie, a sam zasłaniając się, jak człowiek, który ma cześć najwyższą dla swojej skóry.

Walka ta doprowadziła Jussaca do utraty cierpliwości. Wściekłość go ogarnęła, iż ten, którego za dzieciaka uważał, trzyma go w szachu. Zaperzony więc, zaczął błędy popełniać. D'Artagnan zaś w braku doświadczenia, posiadał głęboką teorję, i przeto jeszcze zwinniej się sprawiał. Jussac, chcąc raz już skończyć, wymierzył od dołu straszny cios przeciwnikowi; ten natychmiast się zasłonił, i w chwili, gdy Jussac prostował się, przemknął pod szpadą jego jak wąż i na wylot go przebił. Jussac runął jak kłoda. Wtedy d'Artagnan wzrokiem szybkim i niespokojnym objął pole walki.

Aramis zabił już jednego ze swoich przeciwników, lecz drugi ostro nań nacierał. Położenie jego nie było niebezpieczne, mógł się bowiem obronić.

Bicarat i Porthos szpikowali się wzajemnie. Porthos dostał pchnięcie w ramię, a Bicarat w udo. Ponieważ jednak ani jedna, ani druga rana nie była głęboka, coraz zajadlej napadali na siebie.

Ale Athos, na nowo przez Cahusaca raniony, coraz większą okrywał się bladością, chociaż się ani na krok nie cofnął z miejsca; przełożył tylko broń do innej ręki, z równą zręcznością władając lewą.

Według praw pojedynkowych z tamtej epoki, d'Artagnan mógł jednemu z nich przyjść w pomoc, i gdy szukał oczami, którego z towarzyszy wypadłoby wesprzeć, pochwycił spojrzenie Athosa, a było ono zadziwiająco wymowne.

Athos wolałby umrzeć niż zawołać o pomoc, mógł jednak patrzeć, a spojrzeniem tem poparcia żądał. Odgadł to d'Artagnan i dopadł z boku Cahusaca, krzycząc strasznym głosem:

— Ze mną teraz sprawa, zabiję cię, panie gwardzisto!

W sam czas odwrócił się Cahusac. Athos, którego odwaga niezrównana podtrzymywała jedynie, upadł na jedno kolano.

— Na rany boskie, nie zabijaj go młodzieńcze, błagam — wołał na d'Artagnana — mam ja dawną sprawę z nim do załatwienia, jak się tylko wygoję. Rozbrój go tylko, wytrąć mu szpadę. O! tak! dobrze! wyśmienicie!

Okrzyk ten Athosa spowodował wytrącenie szpady z ręki Cahusaca; wyrzucona w powietrze padła o jakie dwadzieścia kroków.

D'Artagnan i Cahusac razem się rzucili, aby ją pochwycić; lecz d'Artagnan zwinniejszy, pierwszy na niej postawił nogę.

Cahusac poskoczył do gwardzisty, zabitego przez Aramisa, wyrwał mu rapir, i powracał, aby na nowo z d'Artagnanem rozpocząć walkę, na drodze jednak spotkał Athosa, który w tej przerwie miał już czas trochę odetchnąć i w obawie, aby d'Artagnan wroga nie zabił, sam stanął przed nim do walki.

D'Artagnan pojął, iż ściągnąłby na siebie niezadowolenie Athosa, gdyby mu zechciał przeszkodzić. Stało się też, iż w kilka sekund zaledwie Cahusac padł z gardłem przeszytem szpadą.

Jednocześnie Aramis przyłożył koniec szpady do piersi leżącego na ziemi przeciwnika, zmuszając go do poddania.

Pozostawał jeszcze Porthos i Bicarat. Porthos podrwiwał zawzięcie, zapytując Bicarata, która mogła być godzina, i winszował mu oddziału, który brat jego dostał w pułku Navarry; drwinkami temi jednak niewiele wskórać mu się udało, Bicarat bowiem należał do tych ludzi żelaznych, którym ręka opada, lecz tylko po śmierci.

Należało wszakże temu kres położyć! Lada chwila patrol mógł nadciągnąć i zabrać walczących, rannych i całych, zarówno królewskich, jak i kardynalskich.

Athos, Aramis i d'Artagnan otoczyli Bicarata, wzywając go, aby się poddał. Jakkolwiek jeden na czterech i z udem szpadą przebitem, Bicarat nie myślał ustąpić. Był on, jak d'Artagnan, gaskończykiem; udawał głuchego, a śmiejąc się i zasłaniając żwawo, znalazł nawet czas, aby końcem szpady wskazać miejsce na ziemi.

— Tu, — rzekł, parodjując ustęp bibljiny — tu umrze Bicarat, sam jeden przeciw wszystkim.

— Ależ czterech ich jest przeciw tobie jednemu — zawołał Cahusac — skończ raz, rozkazuję ci.

— O! rozkazujesz, to rzecz inna, — odrzekł Bicarat — jako brygadjerowi swemu, winienem ci posłuszeństwo.

I, uskoczywszy w tył, złamał na kolanie szpadę, kawałki przez mur klasztorny przerzucił i, skrzyżowawszy na piersiach ręce, zagwizdał piosnkę gwardzistów kardynalskich.

Waleczność wzbudza szacunek nawet w nieprzyjacielu. Muszkieterowie pokłonili się Bicaratowi szpadami i włożyli je do pochwy. To samo uczynił d'Artagnan, następnie

z pomocą Bicarata, który jeden tylko ze wszystkich kardynalskich gwardzistów trzymał się na nogach, zaniósł pod bramę klasztorną Jussaca, Cahusaca i tego z przeciwników Aramisa, który tylko był ranny; czwarty, jak wiadomo, już nie żył. Złożywszy ich tam, uderzyli w dzwon klasztorny, zabrawszy cztery szpady na pięć, i upojeni radością, podążyli do pałacu pana de Tréville.

Szli tak, splótłszy się ramionami, zajmując całą szerokość ulicy i każdego muszkietera spotkanego pociągając za sobą, tak, że w końcu orszak ten zmienił się w pochód triumfalny. Serce d'Artagnana rozpływało się z rozkoszy; szedł pomiędzy Athosem i Porthosem, ściskając ich czule.

— Choć nie jestem jeszcze muszkieterem — powiedział do nowych przyjaciół, przestąpiwszy próg pałacu pana de Tréville — ale zostałem przyjęty na praktykanta, nieprawdaż?

Rozdział VI. Jego Królewska Mość Ludwik Trzynasty

Cała ta sprawa narobiła wrzawy, pan de Tréville nagniewał się głośno na muszkieterów, a pochwalił ich po cichu. Ponieważ jednak nie było czasu do stracenia, popędził sam do Luwru, aby uprzedzić o tem króla. Spóźnił się wszakże, bo powiedziano mu, iż król zamknął się z kardynałem, pracuje i nikogo przyjąć nie może w tej chwili.

Stawił się więc wieczorem w zwykłych godzinach gry; król wygrywał, a jako strasznie skąpy, w przepysznym był humorze. Skoro więc zobaczył nadchodzącego Trévilla, odezwał się do niego:

— Proszę tutaj, panie kapitanie, proszę, muszę cię wyłajać; czy wiesz, że jego eminencja skarżył mi się na twoich muszkieterów, i z takiem rozdrażnieniem, że aż chory jest dzisiaj. O! ależ to djabły wcielone, ci twoi muszkieterowie!...

— Nie, Najjaśniejszy Panie — odpowiedział Tréville, widząc od razu na co się zanosi — nie, przeciwnie, to stworzenia dobre, łagodne, jak baranki, i szyję moją daję, iż jedno tylko pragnienie mają, aby dobywać szpady jedynie w usługach Waszej Królewskiej Mości. Cóż jednak począć, jeśli gwardziści pana kardynała wiecznie szukają zwady. Biedni młodzieńcy bronić się muszą, dla samego honoru swego zgromadzenia.

— Posłuchajcie no tego Trévilla! posłuchajcie! możnaby sądzić, że on tu mówi o zgromadzeniu religijnem. Doprawdy, kapitanie drogi, wielka ochota mnie bierze odebrać ci patent i dać go pannie de Chemerault, której przyobiecałem opactwo. Nie

myśl jednak, abym ci na słowo uwierzył. Nie darmo nazywają mnie Ludwikiem Sprawiedliwym, zaraz cię o tem przekonam.

— Ponieważ najzupełniej sprawiedliwości tej ufam, Najjaśniejszy Panie, z uległością i spokojem zdaję się na łaskę Waszej Królewskiej Mości.

Szczęście się odwróciło, i król zaczął przegrywać to, co wygrał, było mu więc na rękę, że użyjemy tego wyrażenia, chorągiewkę zwinąć. Wstał też po chwili i rzekł, chowając do kieszeni pieniądze, przed nim leżące, których część znaczną stanowiła wygraną.

— Vieuville, siadaj na mojem miejscu, a ja muszę z panem de Tréville pomówić w sprawie bardzo ważnej. A!... było tam osiemdziesiąt luidorów przedemną; połóż odpowiednią sumę, aby krzywdy nie mieli przegrani. Sprawiedliwość przede wszystkiem.

Potem obrócił się do Trévilla, pociągając go do framugi okna.

— A zatem, mój panie — ciągnął dalej — mówisz, że to gwardziści jego eminencji szukają zaczepki z twymi muszkieterami?

— Tak, Najjaśniejszy Panie, jak zwykle.

— Jakżeż się to stało, zobaczymy?... bo wiesz przecie, kapitanie, że sędzia winien obie strony wysłuchać.

— A! mój Boże w najprostszy i najzwyczajniejszy sposób. Trzech najlepszych żołnierzy moich, których Wasza Królewska Mość zna z imienia i miał sposobność ocenić wierność ich dla siebie, trzech tych żołnierzy, mówię, panowie: Athos, Porthos i Aramis, udali się na wycieczkę z pewnym młodym gaskończykiem, poleconym im z rana przeze mnie. Celem wycieczki miało być podobno Saint-Germain, a miejscem spotkania Karmelici bosi. Otóż tę przyjemność spaceru zakłócili im panowie: de Jussac, Cahusac, Bicarat i dwóch innych gwardzistów, którzy nie przyszliby tam pewnie w takiej liczbie, gdyby nie mieli złych zamiarów.

— Oh! o! dajesz mi do myślenia — odrzekł król — bez wątpienia, oni tam przyszli się bić.

— Ja ich nie oskarżam, lecz sąd pozostawiam Waszej Królewskiej Mości, bo po cóż aż pięciu ludzi zbrojnych przybyło w miejsce tak ustronne, jak okolice klasztoru Karmelitów bosych?...

— Tak, masz słuszność, Tréville, masz słuszność.

— Zobaczywszy moich muszkieterów, zmienili zamiar i, zapominając uraz osobistych dla nienawiści do naszego zgromadzenia... bo wiadomo Waszej Królewskiej

Mości, że muszkieterzy, którzy do króla należą, do króla wyłącznie, są nieprzyjaciółmi naturalnymi gwardzistów, do kardynała należących...

— Tak, mój Tréville, tak — powiedział melancholijnie król — i wierzaj mi, iż to bardzo smutne widzieć dwie takie partje we Francji, taką dwugłową monarchję. Skończy się to jednak, skończy. Mówisz więc, że to gwardziści zaczepili muszkieterów?

— Mówię, że prawdopodobnie tak się rzeczy miały, lecz nie przysięgam, Najjaśniejszy Panie. Wasza Królewska Mość wie, jak trudno poznać prawdę, a kto nie jest obdarzony tem uczuciem zadziwiającem, dzięki któremu, nazwano Ludwika XIII Sprawiedliwym...

— Masz słuszność, Tréville, ale ci twoi muszkieterowie nie sami tam byli, mieli z sobą jakiegoś dzieciaka.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, dzieciaka i jednego rannego; tak... trzech muszkieterów królewskich, z których jeden ranny, a z nimi jeden dzieciak, nie tylko stawili czoło pięciu najstraszniejszym gwardzistom pana kardynała, lecz nadto czterech powalili na ziemię.

— Ależ to zwycięstwo, zwycięstwo zupełne — zawołał król, promieniejąc radością.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, zwycięstwo zupełne.

— Mówisz więc, że czterech ludzi, z nich jeden ranny, a jeden dziecko nieledwie...

— Wyrostek, ale sprawiał się tak dzielnie w tej potrzebie, że pozwolę sobie polecić go Waszej Królewskiej Mości.

— Jak on się nazywa?

— D'Artagnan, Najjaśniejszy Panie, syn jednego z najdawniejszych przyjaciół moich, syn człowieka, który walczył przeciwko Lidze ze świetnej pamięci ojcem twoim, Najjaśniejszy Panie.

— Mówisz, że chłopak ten sprawiał się dzielnie? Opowiedz mi to, Tréville, wiesz, jak lubię opowiadania o bitwach i potyczkach.

Ludwik XIII, mówiąc to, dumnie pokręcił wąsa, przybierając postawę rycerską.

— Najjaśniejszy Panie — zaczął Tréville — pan d'Artagnan, jak rzekłem, jest jeszcze prawie dzieckiem, a nie mając zaszczytu być muszkieterem, ubrany był po mieszczańsku; gwardziści pana kardynała, widząc młodość jego, a co więcej, iż nie należy do zgromadzenia, zażądali, aby się usunął, zanim uderzą na naszych.

— Widzisz więc, Tréville, że to oni pierwsi zaczęli.

— Tak właśnie, Najjaśniejszy Panie, najmniejszej niema wątpliwości; wezwali go więc, aby się usunął, na co odpowiedział, że sercem jest muszkieterem, oddanym duszą całą Jego Królewskiej Mości, i pozostanie z panami muszkieterami.

— Dzielny chłopiec! — mruknął król.

— I został, a Wasza Królewska Mość ma w nim tak walecznego stronnika... on to właśnie wpakował Jussacowi pchnięcie, które pana kardynała o tak straszny gniew przyprawiło.

— To on ranił Jussaca? — wykrzyknął król — on?... ten dzieciak?... Ależ to nie do uwierzenia, Tréville!...

— A jednak tak, jak miałem zaszczyt Waszej Królewskiej Mości powiedzieć.

— Jussaca, najdzielniejszego rębacza w królestwie?...

— Trafiła kosa na kamień, Najjaśniejszy Panie.

— O! chcę go poznać, Tréville, chcę go widzieć, i jeżeli da się coś zrobić dla niego, zajmiemy się nim zaraz.

— Kiedy Wasza Królewska Mość przyjąć go raczy?

— Jutro w południe.

— Czy mam go samego przyprowadzić?

— Nie, wszystkich czterech mi przyprowadź. Chcę im podziękować; serca wierne są rzadkością, Tréville, wierność należy nagradzać.

— Najjaśniejszy Panie, w południe stawimy się w Luwrze.

— O! tylko, Tréville, pamiętaj, bocznemi schodami, tak, bocznemi; nie trzeba, aby kardynał o tem wiedział.

— Słucham, Najjaśniejszy Panie.

— Pojmiesz, Tréville, zakaz zakazem, bo koniec końców, bić się jest zabronione.

— Ale, Najjaśniejszy Panie, spotkanie to, przekracza wszelkie formy pojedynkowe, to bójka po prostu, napaść boć pięciu gwardzistów kardynalskich było przeciw trzem muszkieterom i panu d'Artagnan.

— Słusznie — odparł król — ale w każdym razie przyjdźcie bocznemi schodami.

Tréville uśmiechnął się. Ponieważ jednak wielką było rzeczą to, co otrzymał od tego dziecka, buntującego się przeciw swojemu panu, ukłonił się królowi z uszanowaniem i za zezwoleniem jego oddalił się.

Tego wieczora jeszcze trzej muszkieterowie zawiadomieni zostali o zaszczycie, jakiego mieli dostąpić. Że jednak znali króla od dawna, niezbyt tem podnieceni się czuli, ale d'Artagnan ze swoją wyobraźnią gaskońską, widział w tem szczęście swoje w

przyszłości i noc całą roił sny złote. Nazajutrz też o ósmej z rana był już u Athosa. Zastał go w mundurze galowym, gotowego do wyjścia. Ponieważ ułożyli się wspólnie z Porthosem i Aramisem, że pójdą na piłkę do pewnego domu gry, tuż przy stajniach pałacu luksemburskiego, Athos zaprosił go do towarzystwa, a d'Artagnan, jakkolwiek nie znał zabawy tego rodzaju, przyjął zaproszenie, nie wiedząc, co robić z czasem od dziewiątej rano, aż do południa. Dwaj muszkieterowie byli już na miejscu i rzucali piłką do siebie. Athos, biegły we wszystkich ćwiczeniach ciała, stanął z d'Artagnanem po stronie przeciwnej, wyzywając ich do gry. Lecz za pierwszym rzutem, jakkolwiek lewą ręką dokonanym, poczuł, że na ćwiczenia podobne rana jego jeszcze była za świeża.

D'Artagnan pozostał sam, ponieważ jednak oznajmił, że za mało zna się na zasadach gry, poprzestano więc na rzucaniu piłką, nie rachując punktów. Piłka, wyrzucona herkulesową ręką Porthosa, tuż koło twarzy d'Artagnana przemknęła, tak, że gdyby zamiast pójść bokiem, trafiła w niego, audjencja, pomyślał sobie, byłaby dziś stracona prawdopodobnie, bo z guzem nie mógłby przecież pokazać się królowi. Skoro zaś w wyobraźni jego gaskońskiej cała przyszłość zależała od posłuchania, grzecznie się Porthosowi i Aramisowi ukłonił, oznajmiając, iż nie będzie grał, dopóki dorównać im nie potrafi, i odszedł, aby zająć miejsce wśród widzów.

Na nieszczęście między widzami znajdował się pewien gwardzista jego eminencji, który, wzburzony jeszcze porażką wczorajszą swoich towarzyszy, przyrzekł sobie czepić się pierwszej sposobności dla pomszczenia kolegów. Sądząc, że nadeszła chwila stosowna, zwrócił się do sąsiada, mówiąc:

— Nic dziwnego, że ten młodzik przeląkł się piłki, pewno to czeladnik muszkieterski.

D'Artagnan drgnął, jak ukąszony przez żmiję i przeszył wzrokiem gwardzistę, który się wyrwał z tem grubijaństwem.

— O! — ciągnął tenże dalej, zawadjacko pokręcając wąsa — patrz na mnie, ile ci się podoba, mój paniczyku, a ja co powiedziałem, to powiedziałem.

— A ponieważ to, co powiedziałeś, jest jasne aż nadto i nie potrzebuje objaśnień, — odparł d'Artagnan, zniżonym głosem — będę pana prosił, abyś poszedł ze mną.

— Kiedy? — zapytał gwardzista tym samym drwiącym tonem.

— Natychmiast, jeśli łaska.

— Wiesz pan pewno, kim jestem?

— Wcale nie wiem i nie obchodzi mnie to bynajmniej.

— Źle robisz, bo gdybyś znał moje imię, nie śpieszyłbyś tak może.

— Więc jak się pan nazywasz?

— Bernajoux, do usług.

— A zatem, panie Bernajoux, — spokojnie rzekł d'Artagnan — czekam na ciebie przy bramie.

— Idź pan, przyjdę za tobą.

— O! nie śpiesz się pan zbytecznie, aby nas razem wychodzących nie dostrzeżono; pojmujesz, iż przeszkadzaliby nam widzowie.

— Dobrze — odrzekł gwardzista, zdziwiony, iż nazwiskiem swojem większego na młodzieńcu nie sprawił wrażenia.

Rzeczywiście, Bernajoux znany był wszystkim, z wyjątkiem d'Artagnana; był on jednym z tych, co brali udział w bójkach codziennych, które odbywać się nie przestawały, pomimo zakazów króla i kardynała.

Porthos i Aramis tak byli zajęci grą, a Athos przypatrywał się im z taką uwagą, że nie spostrzegli wyjścia młodego towarzysza, który, jak zapowiedział gwardziście, czekał na niego w bramie, gdzie i ten wkrótce się zjawił. Nie mając czasu do stracenia, wobec audjencji u króla, oznaczonej na godzinę dwunastą, d'Artagnan rozejrzał się dokoła, a widząc, iż ulica jest pusta, rzekł:

— Na honor, wielkie twoje szczęście, choć Bernajoux się nazywasz, że masz do czynienia tylko z czeladnikiem muszkieterskim; bądź spokojny jednak, postaram się jak umiem najlepiej. Baczność!

Bernajoux nie dal sobie dwa razy powtórzyć podobnej grzeczności, w mgnieniu oka szpada błysnęła mu w dłoni i rzucił się na przeciwnika, tusząc sobie, że młokosa onieśmieli od razu.

Lecz d'Artagnan odbył szkołę w przeddzień, świeżo więc ośmielony zwycięstwem, dumny ze swego przyszłego, zdecydowany był na krok me ustąpić. Spoiły się więc dwa ostrza aż po rękojeść, a że d'Artagnan trzymał się, jak wrosły w miejscu, przeciwnik jego zatem musiał w tył uskoczyć. D'Artagnan w lot sposobność uchwycił, bo, gdy skutkiem ruchu tego szpada Bernajoux zeszła z linji, trzepnął w nią z boku i złożywszy się, ugodził przeciwnika w ramię. Niezwłocznie potem d'Artagnan, krok w tył zrobiwszy, wzniósł szpadę do góry, lecz Bernajoux krzyknął, że to fraszka tylko i, na oślep rzucając się na d'Artagnana, sam się na szpadę jego natknął. Ponieważ jednak trzymał się na nogach i za zwyciężonego się nie uznał, cofał się tylko ku pałacowi pana de Trémouille, u którego krewniak jego był w służbie, d'Artagnan przeto sam nie mógł wiedzieć, jak mocno go zranił, nacierał nań ostro i dobiłby był przeciwnika za trzeciem pchnięciem, gdyby wzmagająca się na ulicy wrzawa nie była doszła do sali gry. Dwaj przyjaciele gwardzisty

słyszeli jego sprzeczkę z d'Artagnanem, a ponieważ widzieli ich wychodzących obydwóch, domyślili się, co zaszło, i nadbiegłszy z dobytą bronią wpadli na zwycięzcę.

Athos, Porthos i Aramis jednocześnie prawie także się tam znaleźli, i w chwili, gdy dwaj gwardziści rzucali się na młodzieńca, zmuszeni zostali przez nich do zmiany frontu.

Wtedy Bernajoux upadł; a ponieważ gwardziści w mniejszej byli liczbie, wołać poczęli w stronę pałacu de la Trémouille. Wszystko, co żyło w pałacu, na krzyk ten wyległo, waląc się hurmem na czterech towarzyszów, którzy ze swej strony wołali:

— Do nas, muszkieterzy!

Krzyki podobne nierzadko słyszeć się dawały; znano muszkieterów, jako nieprzyjaciół eminencji, i za nienawiść, jaką dla kardynała żywili, kochano ich powszechnie. Dlatego straż z innych oddziałów, nie należących do Czerwonego księcia, jak go mianował Aramis, była w ogólności po stronie muszkieterów króla. Z trzech też żołnierzy z oddziału pana Desesarts, którzy przechodzili tamtędy, dwóch nadbiegło na pomoc walczącym, gdy trzeci popędził w stronę pałacu pana de Tréville, krzycząc: „Do nas, muszkieterzy, do nas!" Jak zwykle, dom pana de Tréville pełen był żołnierzy tej broni, nadbiegli więc na ratunek kolegom. Zamieszanie stało się ogólne, a przeważająca siła była po stronie muszkieterów. Gwardziści kardynała i ludzie pana de la Trémouille schronili się więc do pałacu, w sam czas bramy pozamykawszy za sobą, by przeszkodzić nieprzyjacielowi wtargnąć tam jednocześnie z nimi. Od razu zaś tam przeniesiony został ranny Bernajoux i to w stanie bardzo niebezpiecznym.

Wzburzenie pomiędzy muszkieterami i sprzymierzeńcami ich doszło do najwyższego stopnia, naradzano się już pomiędzy sobą, czyby dla ukarania zuchwalstwa domowników pana de Trémouille. którzy rzucili się na muszkieterów królewskich, nie podłożyć ognia pod jego pałac. Myśl ta została podjęta z zapałem, gdy na szczęście wybiła godzina jedenasta, przypominając d'Artagnanowi i towarzyszom jego posłuchanie u króla, a ponieważ przykro by im było gdyby czyn tak piękny odbył się bez ich współudziału, namówili wszystkich do zaniechania zemsty.

Poprzestano też na rzuceniu kilku kamieni w bramy pałacu, bez skutku jednak: bramy nie ustąpiły. Pierwszy impet opuścił już atakujących, tembardziej, że ci, których mieli za swoich przywódców, odłączyli się od oblegających, podążając w stronę pałacu pana de Tréville, który, powiadomiony o awanturze, już na nich oczekiwał.

— Prędko, co tchu, do Luwru!... — zawołał — do Luwru!... ani chwili nie tracić. Postarajmy się z królem zobaczyć, zanim uprzedzi nas kardynał; opowiemy zdarzenie to królowi, jako dalszy ciąg sprawy wczorajszej i razem się to połączy.

Wyruszyli więc do Luwru, pan de Tréville z czterema młodzieńcami; lecz jakież było zdziwienie kapitana muszkieterów, gdy oznajmiono, że król wyjechał do lasku SaintGermain, aby polować na jelenie. Po dwakroć powtórzyć sobie kazał tę wiadomość, i za każdym razem towarzysze jego widzieli, jak mu się twarz zachmurzała.

— Czy Jego Królewska Mość już wczoraj miał zamiar być na polowaniu?

— Nie, ekscelencjo — odrzekł pokojowiec — lecz główny nadzorca sfor królewskich oznajmił mu rano, iż nocy dzisiejszej odkryto legowisko jelenia. Zrazu odpowiedział, że nie pojedzie, później nie mógł się oprzeć przyjemności, jaką obiecywało polowanie i, zjadłszy obiad, pojechał.

— A czy widział się król z kardynałem?

— Prawdopodobnie — odparł pokojowiec — bo rano zauważyłem zaprzężoną karetę jego eminencji, i mówiono mi, że jedzie do Saint-Germain.

— Uprzedzono nas... — rzekł pan de Tréville — Panowie, ja będę dziś u króla wieczorem; ale wam nie radzę tego próbować.

Przestroga była rozumna, nade wszystko, iż pochodziła od człowieka, aż nadto dobrze znającego króla, więc czterej młodzieńcy zawierzyć jej mogli. Pan de Trévil1e polecił im wrócić do siebie i oczekiwać od niego wiadomości. Pan de Tréville, powróciwszy do domu, wpadł na myśl, że należałoby jemu pierwszemu zanieść skargę. Wysłał jednego z domowników z listem do pana de la Trémouille, w którym go prosił o wydalenie ludzi swych za zuchwalstwo, jakiego się dopuścili względem muszkieterów. Lecz pan de la Trémouille, uprzedzony już przez koniuszego, który był krewnym Bernajoux, odpowiedzieć mu kazał, że ani panu de Tréville, ani muszkieterom, skarżyć się nie należy, ale przeciwnie jemu, na którego ludzi muszkieterowie napadli, a pałac jego chcieli puścić z dymem. Ponieważ rokowania pomiędzy dwoma panami przewlec by się mogły za długo, gdyż każdy przy swojem zdaniu obstawał, pan de Tréville wymyślił inny sposób załatwienia sprawy. Postanowił sam się udać do pana de la Trémouille.

Pojechał więc natychmiast i kazał się oznajmić.

Dwaj dostojnicy powitali się grzecznie, bo, choć nie byli przyjaciółmi, szanowali się wzajemnie. Obydwaj byli ludźmi zacnymi i honorowymi: a że pan de Trémouille, jako protestant i nie często widujący króla, nie należał do żadnego stronnictwa, nie

powodował się też w stosunkach towarzyskich w ogólności żadnemi uprzedzeniami. Tym razem jednak przyjęcie, jakkolwiek grzeczne, było chłodniejsze, niż zwykle.

— Panie — rzekł Tréville — obaj sądzimy, że mamy sobie coś do wyrzucenia, sam więc przychodzę, abyśmy wspólnie wyświetlili tę sprawę.

— Jak najchętniej — odpowiedział pan de la Tremouille — ale uprzedzam pana, iż dobrze jestem powiadomiony, a cała wina spada na pańskich muszkieterów.

— Zanadto sprawiedliwym jesteś pan człowiekiem i zanadto rozumnym — rzekł pan de Tréville — abyś nie przyjął propozycji, jaką mam mu uczynić.

— Mów pan, słucham.

— Jak się miewa pan Bernajoux, krewny koniuszego pańskiego?

— Ależ, panie, źle bardzo. Prócz pchnięcia rapirem w ramię, niezbyt zresztą groźnego, ma jeszcze płuca przebite, tak, że doktór bardzo na to głową kręci.

— Czy ranny zachował przytomność?

— Najzupełniej.

— I mówi?

— Z trudnością, jednakże mówi.

— Chodźmy zatem do niego i zaklnijmy go na Boga, przed którego sądem niedługo może stanąć, aby wyznał prawdę. Gotów jestem wziąć go na sędziego we własnej jego sprawie, a w to, co powie, uwierzę święcie.

Pan de la Trémouille zastanowił się chwilę, później, skoro nie było nad tę rozumniejszej propozycji, zgodził się na nią.

Zeszli obydwaj do pokoju, gdzie leżał ranny. Ten, skoro ujrzał dwóch wielkich panów, przychodzących do niego, usiłował podnieść się na łóżku, lecz słaby, wyczerpany wysiłkiem, opadł na posłanie, prawie nieprzytomny.

Pan de Trémouille podszedł do niego i dał mu powąchać soli, które go otrzeźwiły. Wtedy pan de Tréville, nie chcąc, aby go posądzano, że chce na chorego wpływać, prosił pana de la Trémouille, iżby go sam wybadał.

Stało się tak, jak pan de Tréville przewidział. Zawieszony pomiędzy życiem i śmiercią, Bernajoux ani na chwilę me myślał zataić prawdy i opowiedział dokładnie wszystko, jak się odbyło.

Niczego też więcej nie mógł pan de Tréville żądać; życząc zatem Bernajoux prędkiego wyzdrowienia, pożegnał pana de la Trémouille, powrócił do domu, i dał znać czterem przyjaciołom, że czeka na nich z obiadem.

Pan de Tréville przyjmował u siebie towarzystwo wyborowe, przede wszystkiem przeciwkardynalskie. Łatwo więc pojąć, iż w ciągu całego obiadu rozmowa toczyła się o porażkach gwardzistów Jego eminencji. Nadto, ponieważ bohaterem ostatnich dwóch dni był d'Artagnan, wszystkie więc pochwały spadły na niego. Athos, Porthos i Aramis pozostawili mu używanie ich w pełni, nie tylko jako dobrzy koledzy, lecz jako ludzie, dla których pochwały nie były rzadkością.

Około szóstej pan de Tréville oznajmił, iż nadszedł czas udać się do Luwru. Ponieważ wszakże minęła już godzina, oznaczona na posłuchanie przez Najjaśniejszego pana, zamiast więc wejść bocznemi schodami, podążył wraz z czterema młodymi ludźmi przez przedpokój.

Król nie powrócił jeszcze z polowania. Gdy już pół godziny czekali pośród tłumnie zebranych dworzan, wszystkie drzwi rozwarły się nareszcie i oznajmiono Jego Królewską Mość. Dreszcz do szpiku przejął d'Artagnana. Zbliżała się chwila, mająca stanowić o jego życiu. Przerażone spojrzenie utkwił w drzwiach, w których król miał się ukazać.

Pierwszy wszedł Ludwik XIII w stroju myśliwskim, pokryty pyłem; na nogach miał długie buty, a w ręce trzymał harapnik. Na pierwszy rzut oka poznał d'Artagnan, że w umyśle królewskim zanosiło się na burzę.

Jakkolwiek usposobienie to jawne było u Jego Królewskiej Mości, nie przeszkodziło dworakom ustawić się w rząd przy jego przejściu. W przedpokojach królewskich lepiej jest być widzianym bodaj zagniewanym wzrokiem, niż nie być widzianym wcale.

Trzej też muszkieterowie, bez wahania wystąpili naprzód, gdy przeciwnie d'Artagnan pozostał za nimi ukryty. Król, chociaż osobiście znał Athosa, Porthosa i Aramisa, przeszedł, nie patrząc na nich, nie odzywając się, jakby ich nie znał i nie widział nigdy. Tréville zaś, gdy oczy królewskie spoczęły na nim przez chwilę, spojrzenie ich tak śmiało wytrzymał, że zmusił króla do odwrócenia się od niego; poczem Jego Królewska Mość, mrucząc gniewnie, wszedł do swoich apartamentów.

— Kiepska sprawa — rzekł Athos z uśmiechem — tym razem jeszcze nie zrobią nas kawalerami orderu.

— Poczekajcie tu dziesięć minut — rzekł pan de Tréville — jeśli po upływie tego czasu nie ujrzycie mnie, z powrotem wracajcie do mego pałacu, na próżno bowiem czekalibyście na mnie.

Czekali więc dziesięć minut, kwadrans, dwadzieścia minut, a widząc, że pan de Tréville nie pokazuje się, wyszli zaniepokojeni mocno tem, to wyniknąć mogło.

Pan de Tréville śmiało wszedł do gabinetu króla i zastał go w bardzo złym humorze, siedzącego w fotelu i bijącego się po butach rękojeścią harapa. Nie przeszkodziło mu to wszakże z największą flegmą zapytać o zdrowie Jego Królewskiej Mości.

— Nie tęgie, mój panie, me tęgie — odrzekł król — nudzę się!...

Była to w rzeczywistości najgorsza choroba Ludwika XIII, który często brał dworzan swoich i prowadził do okna, mówiąc: Panie taki a taki, ponudźmy się razem.

— Jakto? Nudzi się Wasza Królewska Mość! Czyż Najjaśniejszy Pan nie używał dziś przyjemności polowania?

— Piękna mi przyjemność! Wszystko wyradza się, mój panie, i nie wiem, na honor, czy to zwierzyna tropu me zostawia, czy psy jus węchu nie mają. Szczujemy rogacza o dziesięciu gałęziach, sześć godzin upędzamy się za nim, i kiedy go już mamy nieledwie, a Saint-Simon przytyka róg do ust, by pojezdnego zatrąbić, trach! cała sfora leci w inną stronę i puszcza się za dwulatkiem. Zobaczysz, iż zmuszony będę wyrzec się polowania z psami, jak wyrzekłem się polowania z sokołami. O! jestem nieszczęśliwym królem, panie de Tréville! jednego tylko sokoła miałem, i ten zdechł mi przedwczoraj.

— Pojmuję tę rozpacz, Najjaśniejszy Panie, wielkie to nieszczęście, lecz o ile mi się zdaje, pozostało jeszcze sporo jastrzębi i kobusów.

— A żywej duszy nie ma, aby ich uczyła; brak już sokolników, ja tylko pozostałem jeden, znający tę sztukę. Jak mnie nie stanie, już będzie po wszystkiem, polować będą z pomocą sideł, siatek i dołów. Gdybym miał czas wykształcić uczniów! a tak!... od czegóż pan kardynał, który mi obecnie ani chwili spoczynku nie pozostawia, i prawi mi o Hiszpanji, o Austrji, o Anglji! Ale, ale! co do pana kardynała, panie de Tréville, niezadowolony jestem z ciebie!

Pan de Tréville oczekiwał tego zwrotu. Znał on króla na wylot; zrozumiał, że wszystkie te skargi były tylko przedmową, rodzajem bodźca, dla dodania sobie odwagi, i że skończy on na tem, na czem chciał zakończyć.

— Czemże miałbym nieszczęście niezadowolić Waszej Królewskiej Mości? — zapytał de Tréville, udając najgłębsze zdziwienie.

— Tak to, mój panie, spełniasz swój obowiązek? — ciągnął dalej król, nie odpowiadając na zapytanie pana de Tréville — na toż mianowałem cię kapitanem muszkieterów, aby mordowali oni człowieka, podburzali dzielnicę i chcieli Paryż spalić? Spodziewam się, iż wichrzyciele siedzą już w więzieniu i przychodzisz oznajmić mi, że sprawiedliwość została wymierzona.

— Najjaśniejszy Panie — spokojnie odpowiedział Tréville — przeciwnie, przychodzę jej domagać się od ciebie.

— A przeciw komu? — wykrzyknął król.

— Przeciw potwarcom.

— A! to coś nowego!... — odezwał się król. — Może mi powiesz, że trzech tych potępieńców muszkieterów twoich, Athos, Porthos i Aramis, wraz z owym bearneńskim młokosem, nie napadło, jak wściekli, na biednego Bernajoux i nie sponiewierało go tak, że prawdopodobnie kona już w tej chwili! Powiesz mi może, że nie obiegli następnie pałacu księcia de la Trémouille i nie chcieli go spalić, co nie byłoby wielkiem nieszczęściem w czasie wojny, boć to gniazdo hugonotów, lecz w czasie pokoju... przykład paskudny. Może zaprzeczysz temu wszystkiemu?

— Któż to ułożył tę piękną bajkę, Najjaśniejszy Panie? — spokojnie zapytał Tréville.

— Kto mi ją opowiedział? a któżby, jeżeli nie ten, który czuwa, gdy ja zasypiam, pracuje, gdy ja się bawię, który wszystkiem kieruje wewnątrz i zewnątrz w królestwie, we Francji, jako też i w Europie.

— Wasza Królewska Mość mówi o Bogu zapewne — rzekł Tréville — gdyż jednego Boga znam tylko, który potęgą przewyższa władzę Waszej Królewskiej Mości.

— Nie panie, ja tu mówią o podporze państwa, o jedynym słudze moim, przyjacielu, o panu kardynale.

— Jego Eminencja nie jest przecież jego świętobliwiścią, Najjaśniejszy Panie.

— Co pan przez to rozumiesz?

— Że papież tylko jest nieomylny, a nieomylność na kardynałów się nie rozciąga.

— Chcesz przez to powiedzieć, że mnie oszukuje i zdradza? Oskarżasz go? Słuchaj, powiedz mi, wyznaj szczerze, że go oskarżasz.

— Nie, Najjaśniejszy Panie, ja tylko mówię, że on sam się myli; mówię, że źle jest powiadomiony, że pilno mu było oskarżyć muszkieterów Waszej Królewskiej Mości, dla których jest bardzo niesprawiedliwy, i dlatego z nieczystych źródeł czerpał wiadomości.

— Oskarżenie wyszło od pana de la Trémouille, od niego samego. I cóż mi na to odpowiesz?

— To tylko mógłbym odpowiedzieć, Najjaśniejszy Panie, że nadto jest on zainteresowany w tej kwestji, aby w niej być świadkiem bezstronnym; lecz dalekim od tego jestem, znam go, jako szlachcica prawego i najzupełniej zdaję się nań, lecz pod jednym warunkiem, Najjaśniejszy Panie.

— Pod jakim?

— Iż Wasza Królewska Mość wezwie go do siebie, sam wybada, bez świadków, w cztery oczy, i że, po odejściu księcia, odwiedzę niezwłocznie Was, Najjaśniejszy Panie.

— Niech i tak będzie — niechętnie odburknął król i zgodzisz się na to, co powie pan de la Trémouille?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— Zdajesz się na jego sąd?

— Najzupełniej.

— La Chesnaye! — zawołał król — la Chesnaye!

Zaufany pokojowiec Ludwika XIII, u drzwi zawsze stojący, wszedł.

— La Chesnaye — rzekł doń król — posłać natychmiast po pana de la Trémouille; dziś jeszcze mam z nim do pomówienia.

— Czy daje mi Wasza Królewska Mość słowo, iż z nikim widzieć się nie będzie, pomiędzy moją a pana de la Trémouille bytnością?

— Z nikim, słowo szlacheckie.

— Zatem, Najjaśniejszy Panie, do jutra.

— Do widzenia, panie de Tréville.

— O której godzinie, jeżeli łaska Waszej Królewskiej Mości?

— O której ci się podoba.

— Przyjściem zawczesnem obawiam się obudzić Waszą Królewską Mość.

— Obudzić?... mnie? Alboż ja kiedy śpię? Nie sypiam już teraz, mój panie; drzemię czasami, i na tem koniec. Przyjdź więc, jak chcesz rano, choćby o siódmej; ale strzeż się, jeżeli muszkieterowie twoi zawinili!...

— Jeżeli są winni, Najjaśniejszy Panie, oddani będą w ręce Waszej Królewskiej Mości i postąpisz z nimi, jak uznasz za właściwe. Czy Wasza Królewska Mość ma jeszcze co mi rozkazać? Słucham i spełnić jestem gotów.

— Nie, panie, nie, i nie bez racji nazwano mnie Ludwikiem Sprawiedliwym. Do jutra zatem, panie, do widzenia.

— Niechaj Bóg strzeże Waszą Królewską Mość.

Jakkolwiek nietęgo sypiał król, pan de Tréville gorzej jeszcze spał tej nocy. Wieczorem jeszcze kazał zawiadomić trzech muszkieterów i towarzysza ich, aby stawili się u niego o wpół do siódmej z rana. Zabrał ich z sobą, za nic nie ręcząc, nic nie obiecując i nie ukrywając wcale, że o łaskę królewską dla nich i dla niego kości zostały rzucone.

Przyszedłszy do schodów bocznych, kazał im się zatrzymać. W razie gdyby król trwał w gniewie na nich, odeszliby, niewidziani; jeżeli zaś zgodzi się ich przyjąć, lepiej, że będą pod ręką.

Wszedłszy do prywatnego przedpokoju króla, pan de Tréville zobaczył la Chesnaya, który oznajmił mu, że wczoraj wieczorem nie zastano pana de la Trémouille w domu, a powrócił za późno, aby stawić się w Luwrze, teraz więc przyszedł dopiero i jest właśnie u króla. Okoliczność ta bardzo była na rękę panu de Tréville, upewniło go to bowiem, iż żaden wpływ obcy nie wślizgnął się pomiędzy nim a zeznaniem pana de la Trémouille.

Dziesięć minut upłynęło zaledwie, drzwi od gabinetu królewskiego otworzyły się, i wyszedł pan de la Trémouille, a zobaczywszy pana de Tréville, zbliżył się do niego i rzekł:

— Panie, Jego Królewska Mość posłał po mnie, aby wypytać, jak się rzeczy miały wczoraj rano w moim pałacu. Opowiedziałem mu prawdę, czyli, że wina była po stronie moich ludzi i gotów jestem wytłómaczyć się panu. Ponieważ spotykam pana, zechciej proszę przyjąć moje oświadczenie i uważać mnie za jednego ze swoich niezmiennych przyjaciół.

— Mości książę — odpowiedział Tréville — tak mocno ufałem w twoją prawość, że nie chciałem innego obrońcy przed królem, prócz ciebie samego. Widzę, że nie łudziłem się bynajmniej i dzięki ci za to, że jest jeszcze we Francji człowiek, o którym śmiało można powiedzieć to, co o panu mówię.

— Dobrze, dobrze — odezwał się wtem król, który słuchał tej grzecznej rozmowy, stojąc we drzwiach — powiedz mu tylko Tréville, ponieważ przyjacielem twoim się mieni, że i ja także chciałbym do przyjaciół jego się zaliczać, lecz on mnie zaniedbuje, trzy lata blisko nie widziałem go, i widzę tylko wtedy, kiedy sam po niego poślę. Powiedz mu to ode mnie, bo są to rzeczy, których król sam nie powinien mówić.

— Dzięki Najjaśniejszy Panie, dzięki — odpowiedział książę — lecz proszę wierzyć, nie mówię tu o panu de Tréville, proszę wierzyć, że nie ci, których Wasza Królewska Mość o każdej godzinie dnia widuje, najwięcej mu są oddani.

— A! usłyszałeś, com powiedział, tem lepiej — podchwycił król, stając we drzwiach. — Jak się masz, Tréville, gdzież są twoi muszkieterowie? Powiedziałem ci przedwczoraj, żebyś mi ich przyprowadził, czemużeś tego nie uczynił?

— Są na dole, Najjaśniejszy Panie i, za zezwoleniem twojem, la Chesnaye powie im, aby tu weszli.

— Dobrze, dobrze, niech przyjdą tu zaraz; niedaleko już ósma, a o dziewiątej czeka mnie wizyta. Idź już, mości książę, ale przede wszystkiem powracaj. Chodź, Tréville.

Książę skłonił się i wyszedł. W chwili, kiedy otwierał drzwi, trzej muszkieterowie z d'Artagnanem ukazali się na schodach.

— Pójdźcie tu, zuchy, pójdźcie, muszę was wyłajać — odezwał się król.

Muszkieterowie zbliżyli się z ukłonami; za nimi postępował d'Artagnan.

— Cóż, u djabła — ciągnął dalej król — czterech was jest, a w przeciągu dwóch dni uczyniliście już siedmiu gwardzistów jego eminencji, niezdolnymi do walki. To za wiele panowie, za wiele. Gdyby tak poszło dalej, jego eminencja za trzy tygodnie byłby zmuszony starać się o nowe uzupełnienie swoich zastępów, a ja obostrzyć moje rozkazy. Nie mówię, gdyby tak jeden gwardzista przypadkiem; ale siedmiu w przeciągu dwóch dni, to za wiele, powtarzam, za wiele.

— Oni też, Najjaśniejszy Panie, przychodzą, pełni smutku i żalu, usprawiedliwić się przed Waszą Królewską Mością.

— Pełni smutku i żalu! Hm! — odezwał się król — wcale ja nie wierzę tym obłudnikom, a nade wszystko temu obliczu gaskońskiemu. Chodź no tu, mój panie.

Zrozumiał d'Artagnan, że się to do niego stosuje, i podszedł, przybierając minę, jak można najrozpaczliwszą.

— Cóżeś mi mówił, że to młodzieniec? to dzieciak, Trévillu, istny dzieciak! I to on tak pokiereszował Jussaca?

— I po dwakroć tak pięknie naszpikował Bernajoux.

— Doprawdy!

— Nie licząc już tego — wtrącił Athos — że gdyby mnie był nie wyrwał z rąk Bicarata, z pewnością nie miałbym w tej chwili zaszczytu złożyć najuniżeńszego pokłonu Waszej Królewskiej Mości.

— Ależ to szatan wcielony z tego bearneńczyka, do stu par kaduków! panie de Tréville. jakby to powiedział król, ojciec mój. Przy takiem rzemiośle musi się siłę kaftanów dziurawić i siłę rapirów łamać. A wiadomo, iż gaskończycy zawsze są goli, nieprawdaż?

— Najjaśniejszy Panie, muszę to powiedzieć, że nie odkryto jeszcze kopalni złota w ich górach, jakkolwiek cud ten należałby im się od Stwórcy, w nagrodę za mężne popieranie sprawy ojca Waszej Królewskiej Mości.

— To znaczy, że gaskończycy i mnie królem zrobili, nieprawdaż, Trévillu, skoro synem swojego ojca jestem? Ha! niech i tak będzie, nie przeczę. La chesnaye, idź no

zobacz, czy przetrząsnąwszy wszystkie moje kieszenie, znajdziesz czterdzieści pistolów; a jeżeli je znajdziesz, to mi je przynieś. A teraz, słuchaj, młodzieńcze, tak, z ręką na sercu, jakże to było?

D'Artagnan opowiedział wypadki dnia poprzedniego ze wszelkiemi szczegółami: jak nie mogąc zasnąć z radości na myśl oglądania Jego Królewskiej Mości, przyszedł do swoich przyjaciół na trzy godziny przed posłuchaniem; jak udali się razem do domu gry, i jak dlatego, że obawiał się uderzenia piłką w twarz, wyszydzony został przez Bernajoux i wreszcie, jak ten swoich drwinek o mało co życiem nie przypłacił, a pan de la Trémouille, który nie zawinił niczem, o mało co nie postradał pałacu.

— To dobrze — mruknął król — tak, i książę opowiadał to samo. Biedny kardynał! siedmiu ludzi w przeciągu dwóch dni, i to najdroższych swoich: ale dosyć już tego. Panowie, słyszycie! dosyć: zapłaciliście sobie za ulicę Feron i powinniście już być zadowoleni.

— Jeśli Wasza Królewska Mość jest zadowolona — rzekł Tréville — to i my także.

— Tak, jestem zadowolony — rzekł król, biorąc garść złota z ręki la Chesnaya, i kładąc je do ręki d'Artagnana. — A oto — rzekł — dowód mojego zadowolenia.

W owych czasach pojęcia godności, dziś tak rozpowszechnione, nie było jeszcze w modzie. Szlachcic brał pieniądze królewskie, bynajmniej nie czując się upokorzonym. D'Artagnan więc bez żadnych ceregieli schował pieniądze do kieszeni, rozwodząc się w podziękowaniach dla Jego Królewskiej Mości.

— No — rzekł król, spoglądając na zegar — a teraz, kiedy już jest wpół do dziewiątej, oddalcie się; bo, jak wam mówiłem, oczekuję kogoś o dziewiątej. Dziękuję za przywiązanie wasze, panowie. Wszak mogę na nie liczyć, nieprawdaż?

— O! Najjaśniejszy Panie — jednym głosem wykrzyknęli trzej towarzysze — na ćwierci porąbać się damy dla Waszej Królewskiej Mości.

— Dobrze, dobrze, pozostańcie jednak cali, to lepiej, bo będziecie mi użyteczni. Tréville — dodał król półgłosem, kiedy tamci czterej oddalili się — skoro nie masz miejsca w muszkieterach, a zresztą postanowiliśmy, że dla wejścia do zgromadzenia tego trzeba odbyć nowicjat, umieść tego młodzieńca w kompanji pana Dessesarts, twojego szwagra. A! do licha! Trévillu, jak ja się cieszę na myśl o krzywej minie kardynała; będzie wściekły, ale wszystko mi jedno, jestem w swojem prawie.

I pożegnał skinieniem ręki pana de Tréville, który dopędził swoich muszkieterów i zastał ich dzielących się z d'Artagnanem czterdziestoma pistolami. A kardynał, jak powiedział król, wściekły był rzeczywiście, tak wściekły, że przez tydzień cały nie bywał

na szachach u króla, co temu ostatniemu nie przeszkadzało najuprzejmiej uśmiechać się do niego i przy każdem spotkaniu najpieszczotliwszym głosem zapytywać:

— I cóż, panie kardynale, jak się miewają ten twój biedak Bernajoux i ten nieszczęśliwy Jussac?

Rozdział VII. Muszkieterowie u siebie

D'Artagnan, wyszedłszy z Luwru, zasięgnął rady przyjaciół, jaki użytek powinienby zrobić z pozostałej dla niego części czterdziestu pistolów. Athos radził mu, aby wyprawił ucztę w gospodzie Pomme de-Pin, Porthos, aby przyjął lokaja, Aramis zaś, aby postarał się o milutką kochankę.

Tegoż dnia jeszcze odbyła się uczta, a lokaj już usługiwał do stołu. Potrawy dysponował Athos, lokaja Porthos nastręczył. Był nim pikardyjczyk, najęty na poczekaniu przez pełnego próżności muszkietera, który zdybał go na moście de la Tournelle, jak zabawiał się robieniem kółek na wodzie, plując na jej powierzchnię. Porthos utrzymywał, iż takie zajęcie dowodzi umysłu zastanawiającego się, rozważnego i sprowadził go bez żadnej innej rekomendacji. Wspaniała postać szlachcica, który, jak się zdawało lokajowi, przyjął go dla siebie, mocno zachęciła Plancheta — tak się nazywał pikardyjczyk — lekkiego wszakże doznał rozczarowania, gdy ujrzał, że miejsce zajęte już było przy szlachcicu przez innego sługusa, nazwiskiem Mousqueton, i gdy Porthos dał mu do zrozumienia, że jakkolwiek dom swój prowadzi na wielką skalę, nie potrzebuje dla siebie dwóch służących, a dla niego jest służba u d'Artagnana, rad nie rad tę służbę jednak przyjął. Wszelako, gdy usługiwał przy obiedzie, który pan jego wydawał, i zobaczył jak ten przy płaceniu, złotem sypie z kieszeni, uwierzył, że ma już los zapewniony i dziękował niebu, że dostał się do takiego Krezusa; w tem przekonaniu trwał aż do końca uczty, której resztkami wynagrodził sobie długą i przymusową wstrzemięźliwość. Gdy jednak wieczorem przyszło mu posłać łóżko dla swego pana, pierzchły złudzenia Plancheta. Jedynym sprzętem w mieszkaniu było łóżko, apartament zaś składał się z pokoju sypialnego i przedpokoju. W tym ostatnim położył się Planchet na kołdrze, wyciągniętej z łóżka d'Artagnana, bez której biedny pan jego musiał się odtąd obchodzić.

Co do Athosa, miał on pachołka, którego sam wykształcił do usług w sposób sobie właściwy, a zwał się on Grimaud.

Athos był zwykle milczący. W najściślejszej żył przyjaźni z kolegami swymi, Porthosem i Aramisem, a od lat sześciu blisko widzieli i często uśmiech na jego ustach, lecz śmiechu nie słyszeli nigdy. Mowa jego była zwięzła i jasna, wyrażająca to tylko, co chciał powiedzieć ale nigdy więcej, bez żadnych ubarwień, omówień ani przenośni.

Chociaż miał zaledwie trzydzieści lat i piękny był umysłem i ciałem, nikt nigdy nie słyszał, aby miał kiedykolwiek kochankę. O kobietach nie mówił nigdy. Nie przeszkadzał gawędom o nich w swej obecności, łatwo jednak było spostrzec, że ten rodzaj rozmowy nie podoba mu się wcale i, jeżeli wtrącił słówko, to pełne goryczy i zniechęcenia. Ta skrytość, dzikość i milczenie czyniły go starcem nieledwie. Ażeby też nie uchybić swoim zwyczajom, nauczył Grimauda spełniać rozkazy za najmniejszym jego gestem lub ust poruszeniem. Mówił do niego, lecz tylko w wyjątkowych okolicznościach.

Grimaud, który bał się pana, jak ognia, pomimo szczerego przywiązania do jego osoby i czci, nieraz sądząc, że jak najlepiej życzenia jego rozumie, pędził za rozkazem, spełniając go wprost przeciwnie. Wtedy Athos wzruszał ramionami i bez gniewu brał się do ćwiczenia Grimauda. W tych razach język mu się trochę rozwiązywał.

Porthos, jak można było zauważyć, miał usposobienie zupełnie odmienne i nie tylko mówił dużo, ale i głośno, a oddajmy mu tę sprawiedliwość, że nie obchodziło go wcale, czy go kto słucha czy nie; paplanie sprawiało mu samo przez się przyjemność i z upodobaniem sam siebie słuchał; rozprawiał o wszystkiem z wyjątkiem nauk, objawiając do nich zaszczepioną od dzieciństwa, jak mówił, nienawiść, którą żywił także i do uczonych. Powierzchowność jego nie dorównywała w dystynkcji Athosowi i w początkach znajomości poczucie własnej niższości często czyniło go niesprawiedliwym względem tego szlachcica, którego następnie przewyższyć usiłował świetnością ubioru. Lecz Athos w prostym kaftanie muszkieterskim z odrzuconą w tył głową i nogą wyciągniętą naprzód, w jednej chwili zabierał przynależne mu miejsce, na drugi plan usuwając nadętego Porthosa. Pocieszał się on jednak, napełniając przedpokój pana de Tréville i koszary Luwru rozgłosem swoich miłosnych awantur, o jakich Athos nie mówił nigdy. Teraz Porthos, przerzuciwszy się od mieszczanki do baronowej, już chwalił się księżną cudzoziemską, która mu jakoby bezgraniczne okazywała względy.

Przysłowie stare mówi: jaki pan, taki sługa. Przejdźmy więc od pachołka Athosa do lokaja Porthosa, od Grimauda do Mousquetona.

Był to normadczyk, który z Bonifacego przechrzczony został przez pana swego na Mousquetona, dla lepiej brzmiącego imienia. Przyjął on u Porthosa służbę z warunkiem, że dostanie tylko mieszkanie i będzie ubierany wspaniale; dla siebie zaś wyłącznie żądał dwóch godzin dziennie, które poświęcał tajemniczemu przemysłowi, mającemu służyć na inne jego potrzeby. Porthos przyjął warunek, jako nader dogodny dla siebie. Kazał mu sporządzić nowe ubranie ze swoich starych kaftanów i nicowanych płaszczów, a dzięki sprytnemu krawcowi, który z łachmanów tych nowe rzeczy robił, i miał żonę, dla której podobno Porthos pozbywał się arystokratycznych nawyknień, Mousqueton przy boku swego pana wyglądał wcale pokaźnie.

Co do Aramisa, którego charakter przedstawiliśmy dostatecznie, a z biegiem wypadków poznamy go, jak i jego kolegów, jeszcze lepiej, służący jego zwał się Bazin. Dzięki nadziei, z jaką pan jego nie rozstawał się nigdy, iż zostanie księdzem, nosił się zawsze czarno, jak przystało na domownika osoby duchownej. Był to berryjczyk trzydziestopięcioletni, łagodny, cichy, tłuściutki, spędzający wolne chwile na czytaniu ksiąg świętych, dostarczanych mu przez pana, i sumiennie zjadający dwa obiady zamiast jednego, składające się z niewielu lecz obfitych potraw. Zresztą na wszystko ślepy, głuchy i wierności wypróbowanej.

Gdyśmy poznali, powierzchownie przynajmniej, panów i sługi, przejdźmy do mieszkań przez nich zajmowanych.

Athos mieszkał przy ulicy Feron w pobliżu Luksemburgu; apartament jego składał się z dwóch pokoików, schludnie urządzonych, w domu meblowanym, którego właścicielka dość młoda i jeszcze piękna, nadaremnie słodkie oczy robiła do lokatora. Kilka zabytków świetnej przeszłości świeciło na ścianach tego skromnego mieszkanka, szpada, na przykład, złotem i srebrem bogato nabijana, kształtem sięgająca epoki Franciszka I-go, a rękojeść sama, bogato perłami i drogiemi kamieniami wysadzana, mogła mieć wartość dwustu pistolów conajmniej, jednakże Athos broni tej nigdy zastawić ani sprzedać nie chciał, nawet w najkrytyczniejszych chwilach życia.

Na szpadę tę Porthos przez długi czas łykał ślinkę, marzył o posiadaniu jej, choćby kosztem dziesięciu lat życia.

Pewnego razu, gdy miał schadzkę z jakąś księżną, zaproponował Athosowi, aby mu jej pożyczył. Ten, nie mówiąc nic, wypróżnił swe kieszenie, zebrał wszystkie kosztowności, woreczki, spinki i złote łańcuszki, i ofiarował Porthosowi; ale szpada, rzekł, przymocowana jest do miejsca i ruszona z niego nie będzie, dopóki pan jej mieszkania tego nie opuści. Prócz szpady był tam jeszcze wizerunek, przedstawiający

wielkiego pana z czasów Henryka III-go, ubranego wytwornie z orderem Św. Ducha na piersiach; wizerunek ten miał z Athosem pewne podobieństwo rysów, podobieństwo rodzinne, które zdradzało, że ten wielki pan, kawaler orderu króla, był jego przodkiem.

Na koniec skrzyneczka przepysznej roboty jubilerskiej, z temi samemi co szpada i portret herbami, zdobiła środek gzymsu kominka, stanowiąc rażący kontrast z innemi ozdobami. Athos nie rozstawał się z kluczykiem od niej. Razu pewnego otworzył ją w obecności Porthosa, a ten zobaczył wtedy, że skrzyneczka owa zawiera listy i dokumenty jedynie: listy miłosne i papiery familijne zapewne.

Porthos zajmował apartament obszerny i nader wspaniale wyglądający, przy ulicy du Vieux-Colombier. Ile razy przechodził z przyjaciółmi pod swemi oknami, gdzie Mousqueton w liberji jednem z nich wyglądał, Porthos podnosił w górę głowę i rękę, mówiąc: oto moje mieszkanie!

Lecz zastać go w domu nigdy nie było można, nikogo nie zapraszał i nikt nie miał pojęcia, ile zawierała bogactw rzeczywistych ta pozorna wspaniałość.

Aramis znowu zajmował mieszkanko małe, składające się z buduaru, sali jadalnej i sypialni, która, jak i inne pokoje, znajdowała się na parterze i wychodziła na ogródek świeży, zielony, cienisty i nieprzenikniony dla oczu sąsiadów.

O d'Artagnanie wiemy już, jak mieszkał, a z pachołkiem jego, jm. panem Planchet, zawarliśmy także znajomość.

D'Artagnan strasznie ciekawy z natury, jak wszyscy ludzie do intrygi zdolni, dokładał wszelkich usiłowań, by zbadać, czem są w rzeczywistości Athos, Porthos i Aramis; pod pseudonimami temi bowiem każdy z nich ukrywał nazwisko szlacheckie, szczególniej Athos, od którego czuć było wielkiego pana; zwrócił się tedy do Porthosa z pytaniem o Athosa i Aramisa, Aramisa zaś o Porthosa zagadnął.

Nieszczęściem, Porthos nic pewnego nie wiedział o życiu milczącego towarzysza. Mówiono, iż nieszczęśliwym był srodze w sprawach miłosnych i że zdrada okrutna na zawsze zatruła mu życie. Jaka była ta zdrada? nikt o tem nie wiedział. Co do Porthosa, z wyjątkiem nazwiska, które tylko panu de Tréville było wiadome, tak samo jak i dwóch pierwszych, życie jego łatwe było do poznania. Próżny i papla, jak szkło przejrzeć go było można. Badacz mógł tylko zostać zbity z tropu, gdyby wierzył wszystkim jego przechwałkom.

Aramis znowu, wyglądający, jakby nic skrytego nie miał, był przeciwnie chłopcem, na wskroś tajemnicami przesiąkłym, zbywał półsłówkami zapytania o innych, a wymijał te, które się do niego stosowały. Pewnego razu d'Artagnan po długich wypytywaniach

o Porthosa, dowiedziawszy się o pogłosce, obiegającej co do miłosnych awantur muszkietera z jakąś księżną, zechciał się dowiedzieć o podobnych sprawkach Aramisa.

— A ty, drogi kolego — rzekł doń — co ty mówisz o tych baronowych, hrabinach, księżniczkach?

— Przepraszam — przerwał mu Aramis — mówiłem, bo sam Porthos to mówił, roztrąbił już wszystkie te piękne rzeczy przed wszystkimi i przede mną. Lecz wierzaj mi, drogi panie d'Artagnan, że gdybym słyszał to z innego źródła, lub choćby sam on mi się zwierzył, nie byłoby spowiednika dyskretniejszego ode mnie.

— Nie wątpię — odparł d'Artagnan — zdaje mi się jednak ostatecznie, że sam także dość oswojony jesteś z herbami, o czem świadczy owa chusteczka haftowana, której zawdzięczam zaszczyt znajomości z tobą.

Tym razem nie rozgniewał się Aramis, przybrał tylko minkę jak najskromniejszą:

— Mój drogi, nie zapominaj, że mam zamiar wstąpić do stanu duchownego i że unikam wszelkiej światowości. Chusteczka, którą widziałeś, nie była mi powierzona, lecz zapomniana została u mnie przez jednego z moich przyjaciół. Zmuszony byłem zabrać ją, aby nie skompromitować jego i damy, którą kocha. Co do mnie, nie mam i nie chcę mieć kochanki, za przykładem Athosa, który tak samo, jak ja, postępuje.

— Lecz cóż u djabła! Księdzem nie jesteś, skoro jesteś muszkieterem.

— Muszkieterem tymczasowym, mój drogi, jak mówi pan kardynał, muszkieterem wbrew woli mojej, a w sercu jestem sługą kościoła, wierzaj mi, Athos i Porthos wpakowali mnie tu, aby mnie zająć, bo w chwili wyrzeczenia się ślubów miałem nieporozumienie maleńkie z... Lecz ciebie to nie obchodzi wcale i czas ci tylko zabieram.

— Bynajmniej, przeciwnie, to mnie zajmuje mocno, a na teraz nie mam nic a nic do roboty.

— Tak, ale ja muszę odmówić z brewiarza modlitwy — odrzekł Aramis — potem kilka wierszy ułożyć na żądanie pani d'Aiguillon, a następnie pójść na ulicę Św. Honorego, aby kupić różu dla pani de Chevreuse; widzisz więc, drogi przyjacielu, że jeżeli tobie nie pilno, mnie się bardzo śpieszy.

Uścisnął z czułością rękę przyjaciela i wyszedł.

Daremnie trudził się d'Artagnan, aby się czegoś więcej dowiedzieć o trzech swoich nowych znajomych. Postanowił zatem uwierzyć na razie w to, co o ich przeszłości mówiono, spodziewając się pewniejszych i szczegółowszych odkryć w przyszłości.

Tymczasem Athosa uważał za Achillesa, Porthos był w wyobraźni jego Ajaksem, Aramis zaś Józefem biblijnym.

Zresztą życie młodzieńców wesoło płynęło: Athos grywał, lecz zawsze nieszczęśliwie, ale grosza jednego nie pożyczał od przyjaciół, choć kieszeń jego nieustannie była na ich usługi; a gdy zdarzyło mu się grać na słowo, budził wierzyciela swego o szóstej z rana, aby wczorajszy dług mu zapłacić.

Na Porthosa przychodziły chwile burzliwe; wówczas, jeżeli wygrywał, stawał się nieustraszony i wspaniały, a gdy szczęście go zawiodło, znikał bez śladu na dni kilka, poczem zjawiał się znowu z twarzą wymizerowaną i wydłużonym nosem, ale z kieszeniami, pełnemi pieniędzy.

Aramis nie grywał nigdy. Był z niego muszkieter nieszczególny i współbiesiadnik najmniej wesoły pod słońcem. Zawsze miał jakąś pracę lub zajęcie. Czasami w połowie obiadu, gdy każdy podochocony winem i podniecony rozmową liczył, że dwie lub trzy godziny zostanie jeszcze u stołu, Aramis spoglądał na zegarek, wstawał z wdzięcznym uśmiechem i żegnał towarzystwo, aby pójść, jak mówił, na naradę z pewnym kazuistą, z którym miał się spotkać. Innym razem znowu powracał do siebie, aby pisać rozprawę, i prosił przyjaciół, by mu nie przeszkadzali.

Athos uśmiechał się na to z czarującym wyrazem melancholji, tak przypadającym do jego szlachetnego oblicza, a Porthos pociągał z kieliszka, klnąc się, że Aramis niczem innem nie będzie, niż prostym plebanem wiejskim.

Planchet, pachołek d'Artagnana, ze spokojem znosił swoje położenie; dostawał trzydzieści su dziennie i przez miesiąc cały wracał do domu wesoły, jak czyżyk, i uległy dla swego pana. Kiedy jednak wiatr przeciwny począł dąć na ognisko domowe przy ulicy Grabarzy, czyli, gdy czterdzieści pistolów króla Ludwika XIII zostały prawie zjedzone, począł tak jęczeć i skarżyć się, że o nudności przyprawił Athosa, Porthosa oburzył, a u Aramisa wywołał uśmiech wzgardliwego politowania.

Athos radził d'Artagnanowi, aby tego gbura odprawił, Porthos nalegał, aby przedtem oćwiczył, Aramis dowodził, że pan od sługi swego tylko uprzejmości wymagać powinien.

— Łatwo wam to mówić — odparł d'Artagnan — tobie, Athosie, który na migi rozumiesz się z Grimaudem, gadać mu zabraniasz, więc i złego słowa nie usłyszysz; łatwo tobie, Porthosie, bo prowadzisz życie świetne i dlatego bóstwem jesteś dla swego Mousquetona; Aramis znowu, zatopiony zawsze w studjach teologicznych, natchnął głęboką czcią sługę swego Bazina, człowieka łagodnego i pobożnego. Ale ja, nie mający

ani stanowiska, ani środków, ja, który nie jestem ani muszkieterem, ani gwardzistą, cóż pocznę, by natchnąć przywiązaniem, albo przejąć grozą lub szacunkiem mojego Plancheta?

— Rzecz to niemałej wagi — odpowiedzieli trzej przyjaciele — z lokajami, tak samo jak z kobietami, od razu należy postawić ich na tej stopie, na jakiej pozostać powinni. Musisz się więc zastanowić.

D'Artagnan zastanowił się i postanowił wygrzmocić Plancheta na zapas, co wykonane zostało sumiennie, jak wszystko, co spełnić zamierzył. Wreszcie, kiedy go już należycie oćwiczył, zabronił mu służbę opuszczać bez pozwolenia.

— Bo — dodał d'Artagnan — przyszłość zawieść mnie nie może, oczekuję niechybnie lepszych czasów dla siebie. Jeżeli więc zostaniesz przy mnie, los twój jest zapewniony, a zanadto dobrym panem jestem, abym ci miał w tem przeszkodzić, dając ci żądaną odprawę.

Ten sposób postępowania wzbudził w muszkieterach wielki szacunek dla dyplomacji d'Artagnana. Ze swej strony i Planchet uczuł się przejęty uwielbieniem i o rozstaniu nie było już mowy.

Pożycie czterech młodzieńców stało się wspólnem; d'Artagnan, jako przybysz z dalekiej prowincji, wrażliwy, jak zwykle natury młode i żywe, przyswoił sobie prędko nawyknienia nowego otoczenia.

Wstawano o godzinie ósmej w zimie, o szóstej latem i udawano się po zlecenia na dzień bieżący, oraz po nowiny do pana de Tréville. Jakkolwiek d'Artagnan nie był muszkieterem, pełnił jednak służbę z gorliwością godną uznania: zawsze był na warcie, bo nie odstępował nigdy tego z trzech przyjaciół, który ją odbywał.

Znano go w pałacu muszkieterów i uważano za dobrego kolegę. Pan de Tréville, który go na pierwszy rzut oka ocenił, prawdziwie przywiązał się do niego i nie przestawał polecać królowi. Trzej muszkieterowie kochali też bardzo młodego towarzysza. Przyjaźń, łącząca tych czterech ludzi, sprawiała, iż musieli widywać się trzy lub cztery razy dziennie, czy to chodziło o pojedynek, czy o inną sprawę, czy o jaką przyjemność; dość, że widziano ich goniących siebie, jak cienie, i spotykano odwiedzających się ustawicznie w drodze z Luksemburga na plac Ś-go Sulpicyusza, to znowu z ulicy du Vieux-Colombier do Luksemburga. Tymczasem pan de Tréville nie zaniedbywał przyrzeczeń. Pewnego pięknego poranku król wydał rozkaz panu Desessarts przyjęcia d'Artagnana, jako kadeta do swojej kompanji. Biedak, wzdychając, przywdział mundur kadecki, który rad był kosztem dziesięciu choćby lat życia zamienić

na kaftan muszkieterski. Pan de Tréville przyrzekł mu tę łaskę, lecz dopiero po dwóch latach nowicjatu, który mógłby być skrócony wreszcie, gdyby się nadarzyła d'Artagnanowi sposobność oddania jakiej przysługi królowi lub spełnienia jakiego świetnego czynu. Wysłuchawszy tej obietnicy, oddalił się i nazajutrz rozpoczął swoją służbę.

Odtąd przyszła kolej na Athosa, Porthosa i Aramisa odbywać wartę z d'Artagnanem za każdym razem, kiedy był na nią przeznaczony. W ten sposób kompanja pana Desessarts, zamiast jednego, zyskała czterech ludzi.

Rozdział VIII. Intryga dworska

Jednakże czterdzieści pistolów króla Ludwika XIII-go, równie jak wszystkie rzeczy świata tego, mające swój początek, musiały mieć i koniec, a sprawił on, iż czterej towarzysze wpadli w kłopoty. Z początku Athos podtrzymywał stowarzyszenie własnemi funduszami. Po nim nastąpił Porthos i, dzięki jednemu z tych zniknięć, które nie dziwiły już nikogo, starczył na potrzeby ogólne przez dwa tygodnie blisko. Na koniec przyszła kolej na Aramisa, z której wywiązał się jak najchętniej, mówiąc, iż dopomogło mu do tego sprzedanie kilku ksiąg teologicznych, za które otrzymał kilka pistolów. Po wyczerpaniu tych środków, udano się, jak zwykle, do pana de Tréville o udzielenie zaliczki na pensję; zaliczki takie nie mogły jednak daleko zaprowadzić trzech muszkieterów, mających moc rachunków zaległych i kadeta, który nie mógł jeszcze ich mieć wcale.

Gdy nareszcie zaskoczyła ich zupełna pustka, wysiłkiem ostatnim zgromadzono osiem czy dziesięć pistolów na grę dla Athosa. Niestety i gra go zawiodła: przegrał, co miał, a resztę, dwadzieścia pięć pistolów, na słowo.

Wtedy kłopot się zmienił w prawdziwą klęskę; widziano ich zgłodniałych, wraz z pachołkami, uwijających się po bulwarach i koszarach, czyhających na obiady dalszych przyjaciół swoich, bo, według Aramisa, powinno się w powodzeniu sypać na prawo i na lewo ucztami, aby ich choć cząstkę zebrać można w niedoli.

Athos zaproszony został cztery razy i za każdym razem prowadził z sobą przyjaciół z ich pachołkami. Porthosowi trafiło się sześć podobnych okazyj, z których dał korzystać i towarzyszom swoim: Aramis miał aż osiem. Był to człowiek cichy, ale był w stanie bez hałasu dużo zrobić. D'Artagnan zaś, nie znając w stolicy nikogo, jedno tylko znalazł śniadanie i to składające się tylko z czekolady, u księdza, swojego współziomka,

i u pewnego korneta, który pysznie wystąpił, ale cóż, kiedy, jak powiedział Planchet, raz się tylko je, choćby się przytem najobficiej jadło. D'Artagnan czuł się więc nieco upokorzony, że miał tylko półtorej uczty do ofiarowania towarzyszom, boć czekoladę u księdza można było liczyć tylko za połowę. Sądził więc, że jest dla nich ciężarem, zapominając w dobrej wierze młodzieńczej, że to on właśnie żywił całe towarzystwo przez cały miesiąc. Skłopotany umysł jego począł pracować pilnie. Rozważył, że koalicja czterech ludzi młodych, walecznych, przedsiębiorczych i czynnych, winna mieć cel inny, prócz włóczenia się po przechadzkach, prócz lekcyj fechtunku i wybryków mniej lub więcej rozsądnych.

Rzeczywiście, czterech ludzi takich, jak oni, oddanych sobie, zacząwszy od kieszeni, a skończywszy na życiu, wspomagających się nieustannie, nie cofających się nigdy przed niczem, wykonywujących osobno lub razem postanowienia, powzięte wspólnie; cztery ramiona, grożące czterem pięściom kardynalskim, wszystko to powinno było bądź skrycie, bądź jawnie, podstępnie czy przebojem, finezją czy siłą, dać moc przebijania sobie drogi do pożądanego celu, choćby był najbardziej daleki i najbardziej zakazany. To jedno tylko dziwiło d'Artagnana, że towarzysze jego nie pomyśleli o tem dotąd.

Pomyślał więc sam, i to bardzo poważnie, jaki nadać kierunek tej sile, w czwórnasób pomnożonej, w którą nie wątpił, jak Archimedes w swój lewar do poruszenia ziemi w jej posadach, gdy wtem usłyszał lekkie pukanie do drzwi. Zbudził Plancheta i rozkazał mu otworzyć. Zbudził Plancheta, ale nie należy przypuszczać, że działo się to w nocy i było do dnia jeszcze daleko. Nie! Biła właśnie czwarta po południu, a dwie godziny przedtem Planchet przyszedł do swego pana domagać się obiadu, ten zaś odpowiedział mu przysłowiem: kto śpi, ten obiaduje. Planchet zatem obiadował, śpiąc.

Wszedł człowiek, wyglądający dość pospolicie, z miną mieszczanina.

Planchet na deser radby był usłyszeć chociaż rozmowę, lecz mieszczanin oświadczył d'Artagnanowi, że ma mu coś ważnego do powiedzenia i pragnie pomówić z nim sam na sam.

D'Artagnan odprawił więc Plancheta i poprosił gościa, aby usiadł.

Nastąpiła chwila milczenia, podczas której dwóch tych ludzi patrzyło na siebie, jak gdyby chcąc poznać się na wstępie, poczem d'Artagnan skłonił się na znak, że gotów jest wysłuchać tego, z czem gość przychodzi.

— Słyszałem o panu d'Artagnan, jako o dzielnym młodzieńcu — odezwał się mieszczanin — a rozgłos, jakiego pan używasz, słusznie skłania mnie do powierzenia ci pewnej tajemnicy.

— Proszę pana — rzekł d'Artagnan, instynktownie przewąchując coś korzystnego.

Mieszczanin znowu przerwał, następnie począł mówić dalej:

— Mam żonę, która ma nadzór nad bielizną u królowej, a nie zbywa jej ani na rozsądku, ani na piękności. Ożeniłem się z nią, będzie temu trzy lata wkrótce, choć bardzo niewiele miała, ale ją proteguje ojciec chrzestny, pan de la Porte, szatny królowej.

— Cóż dalej? — zapytał d'Artagnan.

— Otóż! — począł znowu mieszczanin — otóż! mój panie, wczoraj z rana żona moja została porwana w chwili, gdy wychodziła z pracowni.

— A któż porwał pańską żonę?

— Na pewno nie wiem, lecz podejrzewam kogoś.

— Kogóż pan podejrzewasz?

— Mężczyznę, który krok w krok chodzi za nią od dawna.

— Do djabła!

— Ale pozwól pan sobie powiedzieć — ciągnął dalej mieszczanin — iż przekonany jestem, że w tem wszystkiem mniej jest miłości, niż polityki.

— Mniej miłości, niż polityki — podjął d'Artagnan z miną zamyśloną — a co pan przypuszczasz?

— Nie wiem, czy powinienem mówić to panu...

— Ależ pozwól pan zwrócić sobie uwagę, że ja od ciebie nic zgoła nie żądam. Pan tu przychodzisz i pan powiedziałeś, iż chcesz mi powierzyć tajemnicę. Rób więc, jak ci się podoba, możesz się pan jeszcze cofnąć.

— Nie, nie, wyglądasz pan na uczciwego młodzieńca, i czuję do pana zaufanie. Otóż sądzę, że moja żona została porwana nie z powodu miłostek swoich, lecz z powodu miłostek większej, niż ona damy.

— Ho! ho! czy nie chodzi tu przypadkiem o panią de Bois-Tracy? — odezwał się d'Artagnan, chcąc przed mieszczaninem popisać się, że wtajemniczony jest w sprawy dworskie.

— Wyżej, panie, wyżej!

— Panią d'Aiguillon?

— Jeszcze wyżej.

— Panią de Chevreuse?

— Wyżej, wyżej znacznie.

— O!... — d'Artagnan się zatrzymał.

— Tak panie — odpowiedział przerażony mieszczanin, tak cicho, że zaledwie można go było dosłyszeć.

— Z kim?

— A z kimże, jeśli nie z księciem de... Tak, panie! — odparł mieszczanin, nadając głosowi swojemu jeszcze bardziej głuche brzmienie.

— Lecz w jakiż sposób wiesz pan o tem wszystkiem?

— A! w jaki sposób?

— Zapewne. Tylko bez półsłówek, albo rozumiesz pan...

— Wiem od mojej żony.

— Która wie o tem... od kogo?

— Od pana de la Porte. Nie mówiłżem panu, że jest jego chrzestną córką, a pan de la Porte posiada zaufanie królowej! Umieścił ją zatem przy Jej Wysokości, aby biedna królowa nasza miała przynajmniej zwierzyć się komu, będąc opuszczoną przez króla, szpiegowaną przez kardynała i zdradzaną przez wszystkich.

— O! zaczyna się to wyjaśniać — odezwał się d'Artagnan.

— Otóż cztery dni temu żona moja do mnie przyszła, panie; odwiedzać mnie mogła dwa razy tygodniowo, a jak miałem zaszczyt powiedzieć panu, ona mnie bardzo kocha. Tymczasem żona zwierzyła mi się, że królowa ma wielkie obawy w tych czasach.

— Doprawdy?

— Tak. Pan kardynał widocznie śledzi ją i prześladuje więcej, niż kiedykolwiek. Nie może jej przebaczyć historji z sarabandą. Pan zna tę historję?

— To dobre, nie miałbym jej znać! — odparł d'Artagnan, który nic zgoła nie wiedział, lecz udawał wtajemniczonego.

— I teraz nienawiść w zemstę się zamieniła.

— Doprawdy?

— I królowa jest przekonana...

— O czem?

— Że napisano w jej imieniu do księcia de Buckingham.

— W imieniu królowej?

— Tak, ażeby do Paryża go ściągnąć i w sidła jakie uwikłać.

— Lecz cóż, u djabła, ma z tem wspólnego żona pańska?

— Znają jej przywiązanie do królowej i chcą od jej pani usunąć, lub zmusić, aby zdradziła tajemnicę Jej Wysokości i służyła za szpiega.

— Być może — odrzekł d'Artagnan — ale czy znasz pan człowieka, który ją porwał?

— Mówiłem już panu, iż zdaje mi się, że znam go.

— Jak się nazywa?

— Nie znam jego nazwiska, to tylko wiem, że to figura zaprzedana kardynałowi.

— Widziałeś go pan?

— Żona mi go pokazywała kiedyś.

— A ma on w sobie coś szczególnego, po czem możnaby go poznać?

— O! zapewne. Jest to mężczyzna postawy wyniosłej, brunet ogorzały z oczami przenikliwemi, białemi zębami i blizną na skroni.

— Z blizną na skroni! — krzyknął d'Artagnan — wszak to moja znajomość z Meung!

— Pan go znasz?

— Tak, tak, ale to nie należy do rzeczy. E! mylę się, to ją bardzo upraszcza, jeżeli bowiem obydwaj mamy z nim porachunki, dwie sprawy dadzą się załatwić za jednym zamachem. Gdzie można tego pana złapać?

— Nie wiem.

— I nie masz pan żadnych wskazówek, gdzie mieszka?

— Żadnych; pewnego razu, gdy odprowadzałem żonę do Luwru, wychodził stamtąd i właśnie mi go wtedy pokazała.

— Do djabła!... — mruknął d'Artagnan — wszystko to bardzo niejasne!... Od kogo dowiedziałeś się pan o porwaniu żony.

— Od pana de la Porte.

— Czy opowiedział panu jakie szczegóły?

— Nie, żadnych.

— A skądinąd nic się pan nie dowiedziałeś?

— I owszem, odebrałem...

— Co takiego?

— Nie wiem doprawdy... czy nie popełniam wielkiej niedorzeczności?...

— Znowu to samo!... pozwolę sobie jednak zwrócić uwagę pańską, że teraz cofać się już za późno.

— Ja się też nie cofam, do licha!... — zawołał mieszczanin, klnąc dla dodania sobie animuszu. — Zresztą, słowo uczciwości Bonacieux...

— Pan się nazywasz Bonacieux? — przerwał d'Artagnan.

— Tak, panie, to moje nazwisko.

— Przepraszam, że przerywam, lecz zdaje mi się, że jest mi ono znane.

— Być może, panie. Jestem właścicielem tego domu.

— O! o! — odezwał się d'Artagnan, na wpół powstając z siedzenia i z ukłonem — właścicielem tego domu?

— Tak, panie tak... A ponieważ trzy miesiące już mieszkasz u mnie i, zatopiony pewnie w swoich ważnych zajęciach, zapomniałeś zapłacić mi komornego, a ja wcale cię o to nie niepokoiłem ani na chwilę, myślałem, że będziesz miał wzgląd na moją delikatność...

— A jakże, drogi panie Bonacieux — odparł d'Artagnan — wierzaj mi, iż przejęty jestem wdzięcznością za postępowanie podobne i mówię, iż skoro mogę ci być w czemś użyteczny...

— Wierzę panu, wierzę i, jak powiedziałem, słowo uczciwości Bonacieux! ufam ci zupełnie.

— Dokończ pan więc, co mówić zacząłeś.

Mieszczanin dobył z kieszeni papier i dodał d'Artagnanowi.

— List! — odezwał się tenże.

— Który odebrałem dziś z rana.

D'Artagnan otworzył go, a ponieważ poczynało się ściemniać, zbliżył się do okna. Mieszczanin postąpił za nim.

„Nie szukaj żony twojej — czytał d'Artagnan — odzyskasz ją, gdy potrzebować jej już nie będę. Jeżeli jeden krok zrobisz dla odnalezienia jej, jesteś zgubiony".

— To dosyć stanowcze!... — ciągnął d'Artagnan — lecz koniec końców jest to tylko pogróżka.

— Tak... lecz pogróżka ta przeraża mnie; ja, panie, nie jestem wcale rycerzem i boję się Bastylji.

— Hm! — odezwał się d'Artagnan, — i mnie tyleż obchodzi Bastylja, co i pana. Gdyby tu tylko szło o machnięcie szpadą, mniejsza, ale...

— Jednakże ja na pana liczyłem wiele w tym razie...

— Doprawdy?

— Widząc cię, otoczonego nieustannie muszkieterami wspaniałej powierzchowności, i poznawszy, że to muszkieterowie pana de Tréville, a zatem nieprzyjaciele kardynała, myślałem, że pan i jego towarzysze, ujmując się za królową, zachwyceni będziecie wypłataniem figla jego eminencji.

— Bez wątpienia.

— Zresztą, myślałem, że pan, będąc mi dłużny za trzymiesięczne komorne, o które się nie upominałem...

— Tak, tak, już mi pan wspomniałeś o tem, i uznaję ten powód za dostateczny.

— Co więcej, że jeżeli uczynisz mi zaszczyt pozostania dłużej w domu moim, nigdy na przyszłość ani słówka o tem nie pisnę.

— Bardzo dobrze.

— W dodatku, jeśli będzie potrzeba, gotów jestem dać panu z pięćdziesiąt pistolów, jeżeli, czego nie przypuszczam, znajdziesz się w chwilowych kłopotach.

— Wyśmienicie, ależ pan widocznie bogaty jesteś, drogi panie Bonacieux?

— Mam się niezgorzej, mój panie, mogę to powiedzieć; zebrałem sobie coś około dwóch, czy trzech tysięcy talarów dochodu na handlu drobiazgami, a nade wszystko umieściwszy trochę grosza w przedsiębiorstwie słynnego podróżnika morskiego Jana Mocquet; w ten sposób, pojmuje pan... O! o! — wykrzyknął nagle mieszczanin.

— Co takiego? — zapytał d'Artagnan.

— Co ja widzę?

— Gdzie?

— Na ulicy, wprost okien pańskich, we framudze tamtych drzwi... mężczyzna w płaszczu.

— To on!... — zawołali razem d'Artagnan i mieszczanin, poznając jednocześnie człowieka, o którego chodziło obydwom.

— O teraz mi już nie ujdzie!... — krzyknął d'Artagnan, chwytając szpadę.

I dobywszy ją z pochwy, wybiegł z mieszkania.

Na schodach spotkał Athosa i Porthosa, idących go odwiedzić; przemknął pomiędzy nimi jak strzała.

— Człowiek z Meung!... — rzekł d'Artagnan i zniknął.

D'Artagnan opowiadał niejednokrotnie przyjaciołom zajście z nieznajomym, jako też i zjawienie się pięknej podróżnej, której człowiek ten tak ważne zadanie powierzył.

Zdaniem Athosa, d'Artagnan list ów mógł był zgubić w zamieszaniu. Według niego, szlachcic, jak go opisał d'Artagnan, nie mógł być zdolny do popełnienia podłości takiej, jak kradzież listu. Porthos zaś widział w tem jedynie schadzkę miłosną wyznaczoną przez damę kawalerowi, lub też na odwrót, schadzkę, którą zakłóciła obecność d'Artagnana i żółtego konika.

Aramis utrzymywał znowu, że skoro wypadki takie osłonięte są tajemnicą, byłoby najlepiej ich nie zgłębiać.

Zrozumieli zatem z kilku słów d'Artagnana, o co mu chodziło, a ponieważ byli przekonani, że, czy dopędzi nieznajomego, czy też go z oczu straci, ostatecznie powróci do siebie, szli więc dalej. Gdy weszli do pokoju d'Artagnana, nie zastali nikogo. Właściciel, lękając się następstw spotkania pomiędzy młodzieńcem a nieznajomym, osądził za właściwe i za najbezpieczniejsze umknąć do swego mieszkania.

Rozdział IX. D'Artagnan działa

Jak przewidziano, d'Artagnan po upływie pół godziny powrócił. I tym razem nieznajomy wymknął mu się jeszcze, zniknąwszy, jak zaczarowany.

Młodzieniec przebiegł sąsiednie ulice ze szpadą w ręce, lecz nie spotkał nawet nikogo podobnego do tego, którego szukał, i powrócił wreszcie tam, skąd zacząć był winien. Zastukał do drzwi, o które nieznajomy stał oparty, nadaremnie jednak uderzał w nie młotkiem, nikt nie odpowiedział, a sąsiedzi, zwabieni hałasem, wybiegłszy przed dom lub nosy do szyb przykleiwszy, zapewniali go, że ten dom, zamknięty na wszystkie strony, był zupełnie pusty przeszło od pół roku.

W czasie poszukiwań d'Artagnana, Aramis za towarzyszami podążył do mieszkania młodzieńca, tak, iż tenże, wróciwszy do siebie, zastał grono muszkieterskie w całym komplecie.

— No i cóż?... — zapytali razem trzej muszkieterowie, ujrzawszy d'Artagnana ze spoconem i gniewnie wzburzonem obliczem.

— A!... — krzyknął, rzucając szpadę na łóżko — ten człowiek jest chyba djabłem wcielonym, zniknął mi, jak cień, jak duch, jak widmo.

— Ty wierzysz w duchy? — zagadnął Athos Porthosa.

— Ja w to tylko wierzę, co widzę, a skoro nigdy nie widziałem duchów, nie wierzę w nie.

— Biblja — odezwał się Aramis — każe nam wierzyć w duchy; cień Samuela ukazał się Saulowi, i jest to jeden z artykułów wiary, przykro byłoby mi, gdybyś go podawał w wątpliwość, Porthosie.

— W każdym razie człowiek ten czy djabeł, ciało czy cień, złudzenie czy rzeczywistość, człowiek ten urodził się na moje utrapienie, bo przez tę jego ucieczkę

ominęła nas pyszna gratka, panowie, gratka, z której zyskałoby się sto, a może i więcej pistolów.

— W jaki sposób?... — zapytali razem Porthos i Aramis.

Athos zaś, nie sprzeniewierzając się milczeniu, zadowolił się spojrzeniem.

— Planchet — krzyknął d'Artagnan na sługę, który wyścibił głowę przez drzwi uchylone dla przysłuchania się rozmowie — idź do mojego gospodarza, pana Bonacieux i powiedz mu, aby nam przysłał pół tuzina butelek wina Beaugency, które nad wszystkie inne przekładam.

— Cóż to, masz otwarty kredyt u swego gospodarza? — zapytał Prothos.

— Tak — odparł d'Artagnan — od dzisiaj i, bądźcie spokojni, jeżeli wino będzie nietęgie, poślemy do niego po inne.

— Trzeba używać, a nie nadużywać — sentencjonalnie odezwał się Aramis.

— Zawsze mówiłem, że d'Artagnan to najtęższa głowa z nas wszystkich — rzekł Athos i, wygłosiwszy tę opinję, na którą d'Artagnan odpowiedział ukłonem, pogrążył się natychmiast w zwykłem milczeniu.

— Ale koniec końców, radzibyśmy wiedzieć, co to takiego? — zapytał Porthos.

— Tak — dodał Aramis — powiedz nam, przyjacielu drogi, jeżeli tylko nie zaplątana jest w to cześć jakiej damy, bo w takim razie lepiej by było, ażebyś zamilczał o wszystkiem.

— Bądźcie spokojni — odparł d'Artagnan — nie ucierpi na tem niczyj honor, ani cześć. — I opowiedział dosłownie przyjaciołom, co zaszło pomiędzy nim, a gospodarzem, i że człowiek, który porwał żonę godnego właściciela domu, jest tym samym, z którym i on miał na pieńku.

— Niezła sprawa — rzekł Athos, ze znawstwem próbując wina i skinieniem głowy dając poznać, że mu smakuje — można będzie wyciągnąć z poczciwca pięćdziesiąt do sześćdziesięciu pistolów. A teraz, przekonać by się należało, czy dla takiej sumki warto narażać cztery głowy.

— Ależ zastanów się — zawołał d'Artagnan — tu chodzi o kobietę, o kobietę porwaną, której bez wątpienia grożą, torturują zapewne, za to jedynie, że wierną jest swej pani!

— Strzeż się, d'Artagnan, ostrożnie! — odezwał się Aramis — mojem zdaniem, zanadto bierzesz do serca los pani Bonacieux. Kobieta stworzona została na zgubę naszą, ona jest przyczyną wszystkich naszych nieszczęść.

Na tę sentencję Aramisa Athos ściągnął brwi i przygryzł wargi.

— Nie o panią Bonacieux ja się troszczę — zawołał d'Artagnan — ale o królową, zaniedbaną przez króla, prześladowaną przez kardynała, która widzi, jak jedna po drugiej spadają głowy tych, którzy jej sprzyjają.

— A czemu kocha tych, których my najbardziej w świecie nienawidzimy?... Hiszpanów i Anglików?

— Hiszpanja jest jej ojczyzną — odrzekł d'Artagnan — rzecz prosta, że kocha Hiszpanów, jako dzieci jednej z nią ziemi. Co do drugiego zarzutu, jaki jej robicie, słyszałem, że ona kocha nie Anglików, tylko jednego Anglika.

— E!... na honor — wtrącił Athos — trzeba przyznać, że ten Anglik godzien jest kochania. Wspanialszej od jego postawy nie widziałem nigdy.

— Dodajmy, że ubiera się, jak nikt dotąd — podchwycił Porthos. — Byłem w Luwrze, gdy perły rozrzucał i, dalipan, podniosłem dwie z nich, które, rozumie się, sprzedałem po dziesięć pistolów. Ty, Aramisie, znasz go?

— Tak dobrze, jak i wy, panowie; byłem bowiem jednym z tych, którzy przytrzymali go w ogrodzie w Amiens, gdzie wprowadził mnie pan de Putange, koniuszy królowej. Byłem wówczas w seminarjum, i zdarzenie to, ze względu na króla, wydało mi się okrutne.

— Co nie przeszkodziłoby mi jednak — odezwał się d'Artagnan — gdybym wiedział, gdzie się znajduje książę de Buckingham, wziąć go za rękę i zaprowadzić do królowej, choćby tylko dlatego, ażeby kardynała doprowadzić do wściekłości; bo, panowie, naszym niezaprzeczonym, jedynym, wiekuistym nieprzyjacielem, jest tylko kardynał; i gdybyśmy w stanie byli wynaleźć sposób wypłatania mu figla potężnego, przyznaję, iż głowę własną chętnie bym za to oddał.

— I gospodarz ci mówił, d'Artagnanie — podjął Athos — że królowa przypuszcza, jakoby Buckingham zwabiony został fałszywem wezwaniem?

— Lęka się tego.

— Czekajcie! — odezwał się Aramis.

— Co takiego? — zapytał Porthos.

— Mówcie swoje, a ja postaram się przypomnieć sobie niektóre okoliczności.

— Jestem przekonany, — rzekł d'Artagnan — że porwanie kobiety, należącej do służby królowej, pozostaje w związku z wypadkami, o których mówimy, a może nawet i z obecnością pana de Buckingham w Paryżu.

— Nasz gaskończyk pełen jest pomysłów — rzekł z uwielbieniem Porthos.

— Bardzo go lubię słuchać — rzekł Athos.

— Panowie!... — zaczął Aramis — słuchajcie!...

— Słuchajmy, co powie!... — odezwali się trzej przyjaciele.

— Byłem wczoraj u pewnego uczonego doktora teologji, u którego zasięgam niekiedy rad co do moich studjów...

Athos uśmiechnął się.

— Mieszka on w pustej dzielnicy — ciągnął dalej Aramis — jego upodobania, powołanie, wymagają tego. Otóż w chwili, gdy wychodziłem od niego...

Tutaj Aramis zaciął się.

— Cóż dalej? — zapytali słuchacze — w chwili, gdy wychodziłeś od niego...

Widocznie Aramis czynił wysiłek, jak człowiek, który, zapędziwszy się w kłamstwie, naraz widzi nieprzewidzianą przeszkodę; lecz oczy trzech towarzyszów były w nim utkwione, słuch wytężony, cofać się już nie mógł.

— Doktór ten ma siostrzenicę — ciągnął dalej Aramis.

— A! siostrzenicę!... — przerwał mu Porthos.

— Osobę wielce czcigodną — rzekł Aramis.

Trzej przyjaciele wybuchnęli śmiechem.

— Jeżeli śmiać się będziecie, lub wątpić, nie dowiecie się niczego.

— Jesteśmy pełni wiary, jak wyznawcy Mahometa i niemi, jak groby — rzekł Athos.

— Wracam zatem do rzeczy — począł Aramis. — Siostrzenica ta czasami odwiedza wuja; otóż, wczoraj, przypadkiem, znalazła się tam jednocześnie ze mną, byłem więc zmuszony odprowadzić ją do karety.

— A! siostrzenica doktora ma karetę? — przerwał mu Porthos, którego jedną z licznych wad była ogromna niepowściągliwość języka — to piękna znajomość, przyjacielu.

— Porthosie — odparł Aramis — nieraz już zwracałem twoją uwagę, że brak ci zupełnie dyskrecji, i to ci szkodzi u kobiet.

— Panowie, panowie — zawołał d'Artagnan, który sprawę tę uważał za coraz ważniejszą — rzecz to nie bez znaczenia i prosiłbym w żarty jej nie obracać. Kończ, Aramisie, kończ.

— Naraz, mężczyzna wysoki, brunet, gładkiego obejścia... wiesz co? zupełnie w rodzaju twojego, d'Artagnanie.

— Może to ten sam... — rzekł d'Artagnan.

— Prawdopodobnie... — kończył Aramis — zbliżył się do mnie, a za nim szło kilku ludzi, i głosem uprzejmym odezwał się: —„Mości książę, i pani także...” — dodał zwracając się do damy, którą prowadziłem pod rękę...

— Do siostrzenicy doktora?

— Cicho bądź, Porthosie! — odezwał się Athos — nieznośny jesteś.

—„Raczcie wsiąść do tej karety, bez oporu i najmniejszego hałasu.”

— Wziął cię za Buckinghama! — wykrzyknął d'Artagnan.

— Tak sądzę — odrzekł Aramis.

— A tę damę? — zapytał Prothos.

— Wziął ją za królową! — podchwycił d'Artagnan.

— Nie inaczej — odparł Aramis.

— To djabeł z tego gaskończyka! — zawołał Athos nic nie ujdzie jego uwadze.

— To fakt — wtrącił Porthos — że Aramis ma postawę i ułożenie pięknego księcia; lecz zdaje mi się, że ubiór muszkieterski...

— Miałem na sobie płaszcz szeroki — rzekł Aramis.

— W lipcu, do djabła! — zauważył Porthos — czy doktór nie obawia się przypadkiem, abyś nie był poznany?

— To jeszcze rozumiem — rzekł Athos — że szpieg mógłby się złudzić postawą, lecz twarz...

— Miałem wielki kapelusz — rzekł Aramis.

— Boże wielki! — wykrzyknął Porthos — co tu ostrożności dla studjowania teologji!...

— Panowie, panowie — odezwał się d'Artagnan — nie traćmy czasu na drobnostki; rozbiegnijmy się na wszystkie strony i szukajmy żony gospodarza, w tem jest klucz całej intrygi.

— Przecież to kobieta pochodzenia tak niskiego, d'Artagnanie? — odezwał się Porthos, wykrzywiając wzgardliwie usta.

— To chrześniaczka de La Porta, zaufanego sługi królowej, wszak mówiłem wam o tem, panowie? Wreszcie, może to jest przezorność Jej Wysokości, że w tym razie szuka pomocy niżej. Głowy, sterczące wysoko, są bardzo widoczne, a kardynał ma dobre oczy.

— A zatem! — odezwał się Porthos — najpierw potarguj się ze swym gospodarzem, a targuj się dobrze.

— To niepotrzebne — odparł d'Artagnan — sądzę bowiem, że jeżeli nam zapłaci, to bardzo dobrze będziemy wynagrodzeni.

W tejże chwili odgłos szybkich kroków rozległ się na schodach, drzwi otworzyły się z trzaskiem i nieszczęsny kramarz wpadł do pokoju, gdzie odbywała się narada.

— Panowie! — krzyknął — ratujcie, na imię Boskie!... ratujcie mnie!... czterech ludzi przyszło i chcą mnie uwięzić, ratujcie mnie, ratujcie!...

Porthos i Aramis zerwali się z miejsca.

— Chwilkę, panowie — zawołał d'Artagnan, dając im znak, aby schowali szpady, na pół już wydobyte z pochew — chwilkę, potrzeba tutaj nie odwagi, lecz roztropności.

— O! — zawołał Porthos — nie pozwolimy!...

— Pozwólcie działać d'Artagnanowi — rzekł Athos — raz jeszcze powtarzam, że to najtęższa z nas wszystkich głowa. Ja obowiązuję się słuchać go we wszystkiem. Rób, jak chcesz, d'Artagnanie.

Czterech ludzi ze straży policyjnej ukazało się we drzwiach pokoju, ale na widok trzech muszkieterów ze szpadami u boku, stojących pośrodku, zawahali się, czy mają się dalej posunąć.

— Wejdźcie, panowie, wejdźcie — zawołał d'Artagnan — jesteście tutaj u mnie, a jak nas widzicie, wszyscyśmy wierni słudzy króla i pana kardynała.

— Zatem, panowie, nic nie będziecie mieli przeciw temu, abyśmy spełnili dane nam rozkazy? — zapytał ten, który wyglądał na dowódcę wyprawy.

— I owszem, nawet pomożemy wam, panowie, jeżeli tego będzie potrzeba.

— Co on gada?... — mruknął Porthos.

— Cicho, gapiu! — szepnął Athos.

— A jednak obiecaliście mi... — cichutko wybąkał kramarz.

— Możemy cię ratować, gdy sami zostaniemy wolni — rzucił mu w ucho d'Artagnan — a jeżeli okażemy chęć bronienia cię, razem nas z tobą wezmą.

— A jednak, zdaje mi się...

— Chodźcie, panowie, chodźcie — głośno powiedział d'Artagnan — nie mam żadnego powodu bronić tego pana. Pierwszy raz w życiu widziałem go dzisiaj, a przyszedł po to, ażeby się dopominać o komorne. Wszak prawda, panie Bonacieux? Odpowiadaj!

— Najczystsza prawda — zawołał gospodarz — lecz nie powiedział pan jeszcze...

— Ani słowa o mnie, ani o przyjaciołach moich, a o królowej nade wszystko — szepnął mu — albo zaprzepaścisz wszystkich, a siebie nie zbawisz. No!... panowie, dalej, zabierajcie tego jegomościa.

I d'Artagnan popchnął gospodarza ku straży, mówiąc:

— Bezwstydnym łotrem jesteś, mój drogi... przychodzisz upominać się o pieniądze, u mnie!... u muszkietera!... Do więzienia z nim!... Panowie, raz jeszcze powtarzam, zabierzcie go do więzienia i trzymajcie pod kluczem jak można najdłużej, zyskam przynajmniej na czasie, aby mu zapłacić.

Słudzy policyjni, rozwodząc się w podziękowaniach, uprowadzili swą zdobycz.

W chwili, gdy wychodzili już, d'Artagnan uderzył po ramieniu ich przywódcę, mówiąc:

— Może wypijemy za wspólne zdrowie nasze? — i napełnił dwa kubki winem Beaugency, pochodzącem z hojności pana Bonacieux.

— Będzie to dla mnie niemałym zaszczytem — odparł tenże — i z wdzięcznością przystaję.

— Do ciebie, zatem, panie... jakże się nazywasz?

— Boisrenard.

— Panie Boisrenard!

— Za zdrowie twoje, szlachetny panie: jak godność pańska, jeżeli wolno zapytać?

— A nade wszystko — krzyknął d'Artagnan, jakby zapałem uniesiony — za zdrowie króla i kardynała.

Może być, iż miałby jaką wątpliwość, co do szczerości d'Artagnana, gdyby wino było liche, lecz że było wyborne, przekonany więc został zupełnie.

— Co za paskudztwo zrobiłeś, u djabła? — zapytał Porthos, skoro wyszedł przywódca zbirów, gdy pozostali tylko we czterech. — Fe! czterej muszkieterowie pozwalają aresztować w obecności swojej nieszczęśliwca, który woła o pomoc. Szlachcic trąca się kieliszkiem z pachołkiem więziennym.

— Porthosie!... — odezwał się Aramis — Athos ci dowiódł już, że jesteś gapiem, teraz i ja po stronie jego staję. D'Artagnanie, jesteś wielki, i kiedy będziesz już na miejscu pana de Tréville, zamawiam sobie protekcję u ciebie, abym dostał opactwo.

— Doprawdy, nic nie pojmuję! — odrzekł Porthos — wy pochwalacie to, co zrobił d'Artagnan?...

— Spodziewam się — odezwał się Athos — ja nie tylko pochwalam, ale mu winszuję.

— A teraz, panowie — rzekł d'Artagnan, nie troszcząc się bynajmniej o wyjaśnienie postępowania swego Porthosowi — wszyscy za jednego, jeden za wszystkich, to nasze hasło, nieprawdaż?

— Jednakże — zaczął Porthos.

— Ręka do góry i przysięgnij! — zawołali razem Athos i Aramis.

Zwyciężony przykładem, klnąc z cicha, Porthos podniósł rękę i czterej towarzysze powtórzyli rotę przysięgi, podyktowanej przez d'Artagnana.

„Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich”.

— Tak... dobrze, a teraz, każdy niech idzie do domu rzekł d'Artagnan tonem takim, jak gdyby całe życie rozkazy tylko wydawał — i baczność, bo od tej chwili idziemy z kardynałem w zapasy.

Rozdział X. Pułapka z siedemnastego wieku

Ponieważ czytelnicy nasi nie są prawdopodobnie oswojeni z gwarą policji francuskiej, należy wytłumaczyć im, co to jest pułapka.

Jeżeli w jakimbądź domu zaaresztowano osobę, podejrzaną o jaki występek, aresztowanie pozostawało w najgłębszej tajemnicy. Kilku ludzi ukrywano w pierwszym pokoju i ktokolwiek zapukał do tego mieszkania, wpuszczano go i także aresztowano. W ten sposób, w ciągu dwóch lub trzech dni, wszyscy członkowie rodziny i przyjaciele domu obwinionego wpadali w ręce policji.

Taką była owa pułapka.

Tym razem sporządzono pułapkę z mieszkania, zajmowanego przez imci pana Bonacieux, i każdy, kto się tam ukazał, chwytany był i badany przez ludzi pana kardynała. Wejście do mieszkania d'Artagnana było oddzielne, odwiedzający go zatem wolni byli od wszelkiej kontroli.

Zresztą odwiedzali go tylko trzej muszkieterowie. Wszyscy oni i każdy z osobna, rzucili się do poszukiwań i nic nie znaleźli, nic nie odkryli.

Athos zapytywał pana de Tréville, co ze względu na nieme jego usposobienie, wielce zdziwiło kapitana. Pan de Tréville jednak nie wiedział nic, zauważył tylko, że gdy ostatnim razem widział kardynała, króla i królowę, kardynał wyglądał zgnębiony, król niespokojny, a zaczerwienione powieki królowej zdradzały noce bezsenne lub łzy. Ostatnia okoliczność jednak mało go uderzyła, królowa bowiem od chwili swojego małżeństwa, zawsze nie sypiała i płakała wiele.

Na wszelki wypadek jednak pan de Tréville polecił Athosowi baczność gorliwą względem króla, a nade wszystko względem królowej, prosząc, aby oznajmił to samo i towarzyszom.

D'Artagnan tymczasem nie ruszył się z mieszkania. Pokój swój zamienił w czatownię. Widział z okien tych wszystkich, którzy dali się złapać; następnie, wyjąwszy

taflę z posadzki, wygrzebał dół w tem miejscu, tak, że tylko cienki sufit przedzielał go od pokoju na dole, gdzie odbywały się badania. Wszystko więc słyszał, co się działo między badającymi i obwinionymi.

Badania, poprzedzone najszczegółowszemi pytaniami, dokonywane na osobach aresztowanych, były mniej więcej w tych słowach zawarte:

— Czy pan Bonacieux nie wręczył ci czego dla żony, lub dla kogokolwiek?

— Czy jedno lub drugie z nich nie uczyniło ci jakiego zwierzenia?

— Gdyby ci badający wiedzieli choć cośkolwiek, nie wypytywaliby tak gorliwie — pomyślał d'Artagnan. — A teraz, o czem pragną oni tak się dowiedzieć? Czy niema czasami księcia de Buckingham w Paryżu i czy widział się, lub ma się widzieć z królową?

D'Artagnan zatrzymał się na tym domyśle, któremu, według tego, co słyszał, nie zbywało na prawdopodobieństwie. Tymczasem pułapka nie ustawała, ale i czujność d'Artagnana także.

Wieczorem, dnia następnego po uwięzieniu biednego Bonacieux, gdy tylko Athos pożegnał d'Artagnana, by się udać do pana de Tréville i zaledwie wybiła dziewiąta, a Planchet, nie posławszy jeszcze łóżka swojego pana, zabierał się do tej czynności, dało się słyszeć pukanie do drzwi od ulicy. Otwarto je i zatrzaśnięto natychmiast; znowu ktoś wpadł w pułapkę.

D'Artagnan rzucił się do miejsca w podłodze bez tafli, położył się na brzuchu i słuchał.

Wkrótce rozległy się krzyki, potem jęki, które widocznie tłumić usiłowano. O badaniach mowy nie było.

— Do djabła! — pomyślał d'Artagnan — zdaje mi się, że to kobieta; rewidują ją, opiera się, używają przemocy, nędznicy!

Pomimo całej roztropności, d'Artagnan, o mało nie wyskoczył ze skóry, chcąc wmieszać się do sceny, rozgrywającej się na dole.

— Mówię wam, panowie, iż jestem panią tego domu; jestem panią Bonacieux; mówię wam, że do królowej należę! — wykrzykiwała nieszczęsna kobieta.

— Pani Bonacieux! — wyszeptał d'Artagnan — byłżebym tak szczęśliwy, iż znalazłem to, czego tak szukają wszyscy?

— Na panią właśnie czekaliśmy — odpowiedzieli badający.

Głos stawał się coraz bardziej stłumiony, szamotanie rozległo się pomiędzy ścianami. Ofiara opierała się o tyle, o ile kobieta zdoła się opierać czterem mężczyznom.

— Łaski, panowie, łas... — szeptał głos urywanemi i niewyraźnemi dźwiękami.

— Zatykają jej usta i zawloką do więzienia!... — krzyknął d'Artagnan, skoczywszy, jak na sprężynie. — Szpady! dobrze, mam ją u boku. Planchet!

— Słucham pana.

— Pędź co tchu po Athosa, Porthosa i Aramisa. Jeden z nich na pewno musi być u siebie, a może i wszyscy trzej już powrócili. Niech wezmą broń i przychodzą, niech się śpieszą. A! przypominam sobie, Athos jest u pani de Tréville.

— Lecz pan dokąd idzie?... dokąd?...

— Wychodzę oknem — zawołał d'Artagnan — prędzej stanę na miejscu! a ty połóż taflę, gdzie należy, zamieć podłogę, wyjdź drzwiami i pędź, dokąd ci mówiłem.

— O! panie, panie, zabijesz się jeszcze! — krzyczał Planchet.

— Milcz, durniu! — zawołał d'Artagnan. — Uchwycił się futryny okna, i z pierwszego piętra, które, na szczęście, nie było zbyt wysokie, zsunął się bez najmniejszej szkody dla siebie. Natychmiast poszedł do drzwi zapukać, mrucząc pod nosem:

— I ja także dam się wziąć w pułapkę, ale biada kotom, które się o taką myszkę obetrą.

Zaledwie rozległ się odgłos młotka pod ręką młodzieńca, zgiełk ustał natychmiast, słychać było zbliżające się kroki, drzwi się rozwarły i d'Artagnan ze szpadą obnażoną wpadł do mieszkania pana Bonacieux, a drzwi, będące widocznie na sprężynie, zatrzasnęły się za nim.

Wtedy ci, którzy mieszkali w nieszczęsnym domu Bonacieux i sąsiedzi najbliżsi, usłyszeli krzyki przeraźliwe, bieganie, szczęk stali i przeciągły łoskot łamiących się sprzętów. Nareszcie, po niedługiej chwili, ci, których hałas zwabił do okien, zobaczyć mogli otwierające się gwałtownie drzwi, i czterech ludzi, czarno ubranych, wyszło, a raczej wyleciało przez nie, jak spłoszone kruki, pozostawiając na ziemi połamane pióra u kapeluszów i strzępy swego ubrania.

Przyznać należy, iż d'Artagnan został zwycięzcą bez wielkiego trudu, tylko bowiem jeden policjant był uzbrojony i bronił się, lecz dla formy jedynie. Trzech innych próbowało wprawdzie zasypać d'Artagnana krzesłami, taboretami i całą masą garnków i rondli, lecz parę zadraśnięć wypolerowaną szpadą gaskończyka przeraziło ich okrutnie. Dziesięć minut czasu wystarczyło, aby zostali pokonani i d'Artagnan ujrzał się panem placu bitwy.

Sąsiedzi, którzy pootwierali okna, z zimną krwią, właściwą mieszkańcom Paryża w owych czasach zaburzeń i nieustanych bójek, pozamykali je, skoro tylko ujrzeli uciekających czterech ludzi czarnych; przeczucie mówiło im, że, jak na teraz, wszystko

było skończone. Zresztą noc już zapadała, a onego czasu, również jak i dziś, wcześnie zabierano się do snu w dzielnicy luksemburskiej.

D'Artagnan pozostał sam z panią Bonacieux i stanął przed nią. Biedna kobieta leżała na fotelu na wpół zemdlona. Obrzucił ją szybkiem wejrzeniem.

Była to zachwycająca dwudziestopięcioletnia kobieta, brunetka, z niebieskiemi oczyma, z noskiem lekko zadartym, ząbkami prześlicznemi, z cerą zabarwioną lekkim szkarłatem, z odbłyskami opalu. Tu jednak był koniec oznakom, przy których mogła uchodzić za wielką damę. Ręce jej były białe, lecz za mało drobne, nogi zaś nie zdradzały kobiety wyższego pochodzenia. Na szczęście, d'Artagnan nie był jeszcze wybredny, szczegóły te więc nie zajmowały go wcale.

Gdy się tak wpatrywał w panią Bonacieux, stojąc tuż przed nią, dostrzegł leżącą na ziemi chusteczkę batystową, którą, według zwyczaju podniósł, a na rogu jej poznał te same wyszyte litery, jak na chusteczce, która o mało nie spowodowała starcia śmiertelnego z Aramisem. Nie ufał on odtąd chusteczkom z cyframi i herbami, schował ją więc w milczeniu do kieszeni pani Bonacieux.

Właśnie zemdlona zaczęła powracać do zmysłów. Otworzyła oczy i, z przerażeniem wiodąc niemi dokoła, ujrzała pokój pusty zupełnie, i zobaczyła, że się znajduje sama ze swym wybawcą. Wyciągnęła ku niemu ręce, uśmiechając się słodko. Pani Bonacieux miała najcudniejszy w świecie uśmieszek.

— O!... panie — odezwała się — tyś mnie ocalił, pozwól niech ci podziękuję.

— Pani — odrzekł d'Artagnan — spełniłem to, co każdy szlachcic na mojem miejscu byłby zrobił, wcale więc nie zasługuję na podziękowanie.

— O! nie mów pan tak, a ja mam nadzieję, że będę mogła dowieść, iż przysługa twoja nie trafiła na niewdzięczną...

— Ale cóż ci ludzie chcieli ode mnie?... zrazu wzięłam ich za złodziei; a! dlaczego nie ma tutaj pana Bonacieux!...

— Pani, ludzie ci byli niebezpieczniejsi od złodziei, to służalcy pana kardynała; a męża pani, pana Bonacieux — nie ma, bo wczoraj go stąd zabrano i zaprowadzono do Bastylji.

— Mego męża do Bastylji!... — krzyknęła pani Bonacieux — O! mój Boże! a cóż on zrobił biedaczysko?... on, uosobiona niewinność?...

I coś na kształt uśmiechu zarysowało się na wystraszonej jeszcze twarzy młodej kobiety.

— Co zrobił? — podchwycił d'Artagnan — Mnie się zdaje, że jedyną jego zbrodnią jest to, iż ma szczęście i zarazem nieszczęście być mężem pani...

— Więc pan wiesz...

— Wiem, że pani była porwana.

— A czy pan wiesz przez kogo? O! jeżeli wiesz, powiedz mi, proszę.

— Przez człowieka czterdziestokilkoletniego, bruneta, ogorzałej twarzy, z blizną na lewej skroni.

— Tak, tak; ale jak się nazywa?

— O! tego nie wiem wcale.

— A mąż mój, czy wiedział co o mojem porwaniu?

— Dowiedział się o tem z listu, który sam napastnik do niego napisał.

— I podejrzewa przyczynę tego wypadku? — pytała pani Bonacieux z pewnem zakłopotaniem.

— Zdaje mi się, iż przypisuje go powodom politycznym.

— Wiesz pan, i ja teraz tak myślę, jak pan... A więc, kochany Bonacieux nie posądzał mnie ani na chwilę.

— A! o sto mil był od takiej myśli!... on szczyci się zacnością pani, a nade wszystko miłością.

Drugi uśmieszek, niedostrzegalny prawie, przemknął po szkarłatnych usteczkach pięknej kobietki.

— Ale — kończył d'Artagnan — w jaki sposób zdołałaś pani uciec?

— Skorzystałam z chwili, w której pozostawiono mnie samą, a ponieważ od razu wiedziałam, co mam myśleć o mojem porwaniu, z pomocą prześcieradeł zsunęłam się z okna; wtenczas, w przekonaniu, iż zastanę tu męża, podążyłam do niego.

— Aby szukać obrony?

— O! nie, biedaczysko drogi, wiem, że nie jest do tego zdolny, ale mógłby nam być do czego innego przydatny, chciałam go więc uprzedzić.

— O czem?

— O! tajemnica nie do mnie należy, nie mogę więc mówić o niej z panem.

— Zresztą — zauważył d'Artagnan — przepraszam panią, że, jakkolwiek młodszy od niej wiekiem, przypominam jej potrzebę ostrożności; zresztą, zdaje mi się, iż nie miejsce tutaj na zwierzenia. Ludzie, wygnani przeze mnie, w większej liczbie powrócą niedługo; jeżeli nas tu zastaną, jesteśmy zgubieni. Kazałem wprawdzie zawiadomić trzech moich przyjaciół, lecz kto wie, czy zastano ich w domu!

— Tak, tak... masz pan słuszność — z przerażeniem wykrzyknęła pani Bonacieux — uciekajmy, skryjmy się czem prędzej.

To mówiąc, wsunęła rączkę pod ramię d'Artagnana, pociągając go za sobą.

— Lecz dokąd uciekać? — pytał d'Artagnan — gdzie się schronić?

— Przede wszystkiem oddalmy się z tego domu, a potem zobaczymy.

I oboje, nie zadając sobie nawet trudu, aby drzwi zamknąć za sobą, szybko przebiegli ulicę Grabarzy, zboczyli w ulicę des Fossées-Monsieur-le-prince, i zatrzymali się dopiero na placu ś-go Sulpicjusza.

— A teraz... co poczniemy z sobą? — zagadnął d'Artagnan — dokąd mam panią zaprowadzić?

— Przyznaję, iż nie wiem sama, co mam panu odpowiedzieć — odrzekła pani Bonacieux — miałam zamiar przez męża zawiadomić pana de la Porte, aby nam mógł powiedzieć dokładnie, co zaszło w ciągu trzech ostatnich dni w Luwrze, i czy przyjście moje nie grozi tam niebezpieczeństwem.

— To ja mogę zawiadomić pana de la Porte — rzekł d'Artagnan.

— Zapewne, ale na nieszczęście w Luwrze znają pana Bonacieux, i jegoby z łatwością wpuszczono, gdy pana nie znają wcale i drzwi przed panem zamkną.

— E! — odparł d'Artagnan — musisz pani mieć w Luwrze przychylnego odźwiernego, a dzięki umówionemu hasłu...

Pani Bonacieux bystro spojrzała na młodzieńca.

— A gdybym panu powiedziała to hasło?... — rzekła — czy zapomniałbyś je natychmiast potem?

— Słowo honoru! słowo szlacheckie! — odrzekł d'Artagnan z taką szczerością w głosie, że niepodobieństwo mu było nie ufać...

— Wierzę panu; wyglądasz na młodzieńca uczciwego, zresztą, może w przyszłości spotka cię nagroda za poświęcenie dzisiejsze.

— I bez tych obietnic sumiennie spełnię wszystko, ażeby usłużyć królowi i stać się użytecznym królowej — rzekł d'Artagnan — rozporządzaj mną pani, jak przyjacielem.

— A gdzie mnie pan przez ten czas podziejesz?

— Czy nie masz pani nikogo, skądby cię mógł pan de la Porte zabrać?

— Nie, nikomu zwierzać się nie chcę.

— Zaraz — rzekł d'Artagnan — wszak jesteśmy przede drzwiami Athosa... tak, nie mylę się.

— Któż to jest Athos?

— Jeden z moich przyjaciół.

— A jeżeli jest w domu i mnie zobaczy?

— Nie ma go, a gdy wprowadzę panią do jego mieszkania, zabiorę klucz ze sobą.

— A jeżeli powróci?

— Nie powróci; wreszcie, powiem mu, że przyprowadziłem kobietę, i że ta kobieta u niego się znajduje.

— Ależ to mnie może straszliwie skompromitować!

— Cóż to panią obchodzi?... nikt pani nie zna; zresztą znajdujemy się w takiem położeniu, iż nie zważa się na żadne konwenanse.

— Chodźmy więc do pańskiego przyjaciela. Gdzież on mieszka?

— Przy ulicy Feron, stąd parę kroków.

— Chodźmy.

I puścili się w drogę. Jak przewidział d'Artagnan, Athosa nie było w domu; wziął więc klucz, który dawano mu zwykle, jako przyjacielowi domu, wszedł na piętro, i wprowadził panią Bonacieux do mieszkanka, znanego nam już z opisu.

— Jesteś pani, jak u siebie — powiedział jej — zamknij drzwi od wewnątrz i nie otwieraj nikomu, dopóki nie usłyszysz pukania trzykrotnego w ten sposób: uważaj pani. — I zapukał trzy razy: dwa razy szybko i dość mocno, a trzeci raz po niejakiej przerwie i znacznie lżej.

— Dobrze — rzekła pani Bonacieux — teraz kolej na mnie dać panu wskazówki.

— Słucham.

— Stań pan przy furtce, prowadzącej do Luwru od strony ulicy Drabiniastej i zapytaj o Germana.

— Dobrze, a potem?

— Będzie on pana wypytywał, Bóg wie o co, a ty mu odpowiesz na to wszystko tylko dwoma słowami: Tours i Bruksella. Wtedy będzie już na twe rozkazy.

— A co ja mam mu rozkazać?

— Każesz mu pan iść do pana de la Porte, pokojowca królowej.

— A jak pan de la Porte przyjdzie?

— Przyślesz go pan do mnie...

— Dobrze, ale gdzież i jak się znowu z panią zobaczę?

— Czy bardzo panu o to chodzi?

— Naturalnie!

— To już mnie pan pozostaw i bądź spokojny.

— Liczę na słowo pani.

— Może pan liczyć.

D'Artagnan pożegnał panią Bonacieux, rzucając jej najczulsze spojrzenie, jakiem mógł objąć zachwycającą jej osóbkę, a kiedy schodził na dół, usłyszał, jak drzwi za nim zamknęła na dwa spusty. W paru podskokach przybył do Luwru. Gdy przystąpił do furtki od ulicy Drabiniastej, biła godzina dziesiąta.

Przebieg wypadków, które opisaliśmy, trwał pół godziny zaledwie. Wszystko stało się tak, jak powiedziała pani Bonacieux.

Na umówione hasło, German skłonił się nisko; w dziesięć minut potem pan de la Porte był już u furtki; w paru słowach d'Artagnan objaśnił go o stanie rzeczy i wskazał, gdzie pani Bonacieux się znajduje. De la Porte upewnił się po dwakroć o dokładności adresu i pędem tam podążył. Zaledwie jednak uszedł dziesięć kroków, zawrócił.

— Młodzieńcze — rzekł do d'Artagnana — dam ci jedną radę.

— Jaką?

— Mógłbyś być niepokojonym za to wszystko, co zaszło.

— Tak pan sądzi?

— Tak. Czy masz jakiego przyjaciela, u którego zegar się spóźnia?...

— Bo co?

— Udaj się do niego, aby mógł zaświadczyć, że odwiedziłeś go o godzinie wpół do dziesiątej. Według prawa, to się nazywa alibi.

D'Artagnan ocenił zdrową radę; wziął nogi za pas i nie oparł się, aż u pana de Tréville. Zamiast jednak wejść do salonu, gdzie wszyscy byli zebrani, prosił, aby go wpuszczono do gabinetu. Ponieważ d'Artagnan był tam gościem codziennym, bez trudności żądanie jego spełniono i dano znać panu de Tréville, że młody ziomek jego, mając coś ważnego do powiedzenia, prosi o posłuchanie na osobności.

W pięć minut potem, pan de Tréville zapytywał młodzieńca, czem mógłby mu służyć, i czemu zawdzięcza odwiedziny w porze tak spóźnionej.

— Przepraszam pana — rzekł d'Artagnan, który skorzystał z chwili, gdy sam pozostał, by cofnąć o trzy kwadranse wskazówkę — myślałem, że skoro jest dopiero dwadzieścia pięć minut po dziewiątej, to czas jeszcze przedstawić się panu.

— Dwadzieścia pięć minut po dziewiątej! — zawołał pan de Tréville, spoglądając na zegar — ależ to niepodobieństwo!

— Zechciej się pan przekonać, zdaje mi się, że zegar nie zwodzi.

— Tak — rzekł pan de Tréville, — sądziłem, że już znacznie później. No cóż tam, czego sobie życzysz?

Wtedy d'Artagnan opowiedział panu de Tréville szczegółowo historję, dotyczącą królowej. Przedstawił mu obawy, jakie powziął ze względu na jej Królewską Wysokość; opowiedział mu, co zasłyszał o zamiarach kardynała względem Buckinghama, a wszystko to mówił z takim spokojem i pewnością siebie, że pan de Tréville z tem większem słuchał go zajęciem, bo sam, jak wspomnieliśmy, dostrzegł coś nowego pomiędzy kardynałem, królem i królową.

Biła godzina dziesiąta, gdy d'Artagnan pożegnał pana de Tréville, który dziękował mu za wskazówki, i polecił służyć serdecznie królowi i królowej, poczem wrócił do salonu. Lecz d'Artagnan, gdy był już na dole, przypomniał sobie, iż zostawił laskę; wbiegł więc szybko na górę, wpadł do gabinetu i palcem zwrócił wskazówkę na właściwą godzinę, aby nazajutrz nie dostrzeżono, że była cofnięta, i pewny już, że ma świadka, który w potrzebie dowiódłby jego alibi, zbiegł ze schodów i znalazł się wkrótce na ulicy.

Rozdział XI. Intryga zawiązuje się

Po wyjściu od pana de Tréville, d'Artagnan zamyślony powracał do domu drogą, jak mógł najdalszą.

O czem mógł myśleć, że tak zbaczał z drogi, spoglądając na gwiazdy, z westchnieniem, to z uśmiechem naprzemian!

Myślał o pani Bonacieux. Dla takiego muszkietera w zawiązku, kobieta młoda była nieledwie ideałem miłości. A ta była ładna, tajemnicza i przypuszczona do wszystkich nieledwie sekretów dworskich, które taką uroczą powagą odbijały się na jej powabnych rysach, a dawały do myślenia, że nie jest dlań nieczułą, co zawsze stanowiło nieprzeparty powab dla niewytrawnych kochanków; dla d'Artagnana zaś było to tem bardziej obiecujące, że wybawił ją przecież z rąk szatanów kardynalskich.

Szybkim lotem pędzą marzenia na skrzydłach wyobraźni. D'Artagnanowi zdawało się już, że go dogania wysłaniec młodej kobiety i oddaje mu jakiś bilecik, wyznaczający schadzkę, czy też wręcza mu łańcuch złoty a może brylant. Mówiliśmy już, iż młodzi rycerze bez obrazy przyjmowali datki królewskie, dodajmy jeszcze, że w owych czasach łatwej moralności nie wstydzili się też brać ich od swoich kochanek, które często obdarzały ich pamiątkami cennemi i trwałemi, jak gdyby chciały zwalczać nietrwałość ich uczuć mocą podarunków.

Torowano sobie drogi przez kobiety, nie tając się z tem bynajmniej. Te, które prócz piękności nic nie miały więcej, oddawały swoją urodę. Bogate znowu dawały część swoich pieniędzy i możnaby wymienić spory zastęp bohaterów z tej miłej epoki, którzy nie dostąpiliby nigdy naprzód ostróg, ani nie wygrywaliby następnie bitew, gdyby nie woreczek mniej lub więcej napełniony, który wielbicielki do siodeł ich przyczepiały.

D'Artagnan nie posiadał nic zgoła; nieśmiałość młodzieńcza, ta barwa mglista, kwiat krótkotrwały, ten puszek brzoskwini ulotniły się od podmuchu rad, niezbyt zgodnych z przepisami moralności, jakich trzej muszkieterowie udzielali przyjacielowi. Idąc za dzikim zwyczajem ówczesnym, d'Artagnan w Paryżu czuł się, jak na wojnie, mniej więcej, jak gdyby to było we Flandrji: tam Hiszpan, a tu kobieta. I tu i tam, wróg był do zwyciężenia i kontrybucje do ściągnięcia. Nadmienić nam wypada, że, jak na teraz, nastrój uczuć d'Artagnana szlachetniejszy był i bezinteresowny. Gospodarz wyznał mu, że jest bogaty, łatwo więc było odgadnąć, iż przy tak ograniczonym mężu żona trzymała klucz od kasy, nie to jednak wpłynęło na uczucie, wywołane widokiem pani Bonacieux, a iskra miłości nic prawie wspólnego nie miała z rachubą. Mówimy: nic prawie, gdyż świadomość, że kobieta młoda, piękna i rozumna jest bogata zarazem, nie osłabia miłości, przeciwnie, potęguje ją jeszcze.

W dostatkach bywa moc nawyknień i wybryków arystokratycznych, które piękności dodają uroku. Cieniutka jedwabna pończoszka, suknia ozdobna, zarzutka z cennych koronek, piękny trzewiczek, wstążka świeża we włosach, nie upiększą kobiety brzydkiej, lecz podnoszą urodę pięknej.

Zresztą nie ukrywaliśmy przed naszymi czytelnikami stanu majątkowego d'Artagnana. Nie był on miljonerem bynajmniej. Wprawdzie nie brakło mu nadziei zostania nim w przyszłości, lecz czas, który oznaczył sobie na tę szczęśliwą przemianę, dość był jeszcze daleki. A co za rozpacz widzieć kobietę ukochaną, pragnącą tysiąca drobnostek, składających się na jej szczęście, i nie mieć możności ich dostarczenia. Przeciwnie, gdy kochanka jest bogata, to, choć kochanek jej ubogi i ofiarować nic nie może, sama sobie starczy na wszystko — zazwyczaj z pieniędzy mężowskich, za co wprawdzie wdzięczność przypada w udziale bynajmniej nie mężowi.

Ale d'Artagnan, usposobiony na jak najtkliwszego kochanka, nie przestał być wiernym przyjacielem. Wśród zamiarów miłosnych względem żony gospodarza, nie zapomniał o swoich widokach.

Można było poszczycić się tą śliczną kobietką nietylko na przechadzkach w Saint-Denis, lub też w Saint-Germain na jarmarku, ale też i w towarzystwie Athosa, Porthosa

i Aramisa, którym z dumą pokazaćby mógł taką zdobycz. Że zaś po dłuższej przechadzce przychodzi głód, co miał sposobność zauważyć szczególniej od pewnego czasu, spożywanoby milutkie obiadki, w czasie których on miałby po jednej stronie rękę przyjaciela, po drugiej nóżkę kochanki. Wreszcie w wypadkach kłopotliwych, w ciężkich chwilach mógłby być zbawieniem dla przyjaciół.

A cóż się działo z panem Bonacieux, którego d'Artagnan oddał zbirom w ręce, wyparłszy się go głośno, a którego po cichu obiecał wybawić? Przyznać musimy, że przez myśl mu nawet nie przeszedł, a jeżeli wspomniał o nim, to tylko, aby sobie powiedzieć, iż dobrze mu tam, gdzie jest, gdziekolwiekby nawet się znajdował. Najbardziej samolubną namiętnością jest miłość.

Wszelako niechaj czytelnicy nasi wolni będą od obawy. Jeżeli d'Artagnan udawał tylko, czy rzeczywiście zapomniał o swoim gospodarzu, pod pozorem, iż nie wiedział, dokąd go wzięto, my nie zapomnimy o nim, a wiemy, gdzie się znajduje. Na chwilę jednak idźmy za przykładem rozkochanego gaskończyka.

D'Artagnan, zamyślony o swej przyszłej miłości, przemawiając do ciemności nocnych, do gwiazd się uśmiechając, szedł prosto ulicą Cherche Midi. A ponieważ była to dzielnica, w której mieszkał Aramis, przyszła mu myśl odwiedzenia przyjaciela, aby go objaśnić, dlaczego przysłał Plancheta z wezwaniem doń, iżby niezwłocznie stawił się w pułapce.

Alarm ten zasługiwał na wyjaśnienie, tak przynajmniej sądził d'Artagnan.

W duchu zaś dodawał jeszcze, że jest to dla niego sposobność pomówienia o ładniutkiej pani Bonacieux, która, jeżeli nie serce jego, to umysł przepełniała bezmiernie.

Nie można wymagać od pierwszej miłości, aby była dyskretna.

Pierwszemu uczuciu takiemu towarzyszy tak bezbrzeżna radość, że, gdyby nie dozwolić jej ujść na zewnątrz, zdławiłaby swoim ogromem.

Już od dwóch godzin światła pogasły w Paryżu, na ulicach robiło się pusto. Wszystkie zegary przedmieścia Saint-Germain wydzwoniły jedenastą; pogoda była łagodna i cicha. D'Artagnan postępował zaułkiem, gdzie dziś ulica d'Assas, i oddychał przyniesioną powiewem wiatru od strony ulicy Vaugirard, wonią, którą słały ogrody, odświeżone rosą wieczorną i chłodem cichej nocy letniej.

Z daleka brzmiały, przygłuszone szczelnie zamkniętemi okiennicami, śpiewy pijaków zapóźnionych w różnych szynkowniach. Doszedłszy do końca zaułka, d'Artagnan zawrócił na lewo. Dom, w którym mieszkał Aramis, znajdował się pomiędzy

ulicą Casette a ulicą Sarvandoni. Minął ulicę Casette i drzwi domu przyjaciela rysowały się już przed nim w ciemności, otulone gąszczem bluszczu i klonów, gdy dostrzegł coś na kształt cienia, wysuwającego się z ulicy Sarvandoni.

To coś płaszczem było osłonięte tak, że zrazu d'Artagnan sądził, iż jest to mężczyzna; lecz wzrost mały, chód niepewny i lękliwe ruchy, wkrótce dały mu poznać, iż była to kobieta. Co więcej, kobieta owa, jak gdyby wątpiąc w tożsamość domu, do którego dążyła, oglądała się dokoła, stawała, zawracała i szła znowu dalej.

D'Artagnan zapałał ciekawością.

— A gdybym jej ofiarował swe usługi! — pomyślał. — Z ruchów znać, że jest młoda, a może i ładna. O! z pewnością! kobieta, przebiegająca o tej porze ulicę, po to jedynie wychodzi, aby spotkać się z kochankiem. E! do licha! gdybym schadzce przeszkodził, nieosobliwe wybrałbym drzwi do wejścia w stosunki przyjazne.

Kobieta ciągle postępowała dalej, licząc domy i okna. Nietrudna to zresztą i niedługa była historja. W tej części ulicy trzy tylko znajdowały się domy mieszkalne. Dwoje okien wychodziło na nią: jedno w pawilonie, równoległym do zamieszkanego przez Aramisa, drugie z jego własnego mieszkania.

— Do kaduka — mruknął d'Artagnan, któremu przyszła na myśl siostrzenica teologa — a to byłoby zabawne, gdyby ta gołąbka zapóźniona szukała domu naszego przyjaciela. Na honor, jakoś bardzo mi na to wygląda. Kochany Aramisie... teraz już żadnej wątpliwości mieć nie chcę.

I kuląc się jak mógł najbardziej, przyparł się do muru, obok ławki kamiennej, w głębi framugi.

Młoda kobieta szła wciąż, a chód lekki znamionował jej młodość; od czasu do czasu pokaszliwała leciutko, zdradzając przy tej sposobności dźwięczny i świeży głosik. D'Artagnanowi przyszło na myśl, że kaszel ten może być hasłem umówionem.

Czy odpowiedziano na ten znak umówiony innym odpowiednim znakiem, który rozproszył niepewność gościa nocnego, czy też bez pomocy cudzej poznała, że stoi u celu wycieczki, dość że śmiało przystąpiła do okiennicy Aramisa i zapukała w trzech równych przerwach zgiętym paluszkiem.

— Ani chybi, że to do niego — mruknął d'Artagnan. — A! panie hipokryto!... mam cię, kochanku, jak nad teologją pracujesz!...

Zaledwie dało się słyszeć pukanie, otworzyło się okno wewnętrzne i przez szpary okiennicy światło się pokazało.

— Ho! ho! — z cicha szepnął podsłuchujący nie pod drzwiami, lecz pod oknami. — O! wizyta była oczekiwana. A teraz okiennica się otworzy i damulka wdrapie się przez okno. Wybornie!

Lecz, ku wielkiemu jego zdziwieniu, okiennica pozostała zamknięta. Co więcej, światło które zabłysło na chwilę, zniknęło i wszystko pogrążyło się w ciemnościach.

D'Artagnan, pewny, że to nie potrwa długo wytrzeszczał oczy i słuch wytężał pilnie.

Miał słuszność, w kilka sekund zaledwie, dwa urywane uderzenia rozległy się wewnątrz.

Kobieta z ulicy odpowiedziała jednem i okiennica się otworzyła.

Łatwo pojąć, jak d'Artagnan patrzył i słuchał z chciwością. Na nieszczęście, światło przeniesiono do innego pokoju! Ale oczy młodzieńca oswoiły się z ciemnością. Zwłaszcza, iż oczy gaskończyków, jak mówią, mają własność taką, jak oczy kocie: wybornie widzą wśród nocy.

D'Artagnan zobaczył więc, że młoda kobieta dobyła z kieszeni jakiś biały przedmiot, który, gdy go rozłożyła, przybrał kształt chusteczki. Rozłożywszy ją, pokazała rożek osobie, będącej w mieszkaniu.

Co u djabła, miała znaczyć ta chusteczka?

Z miejsca, gdzie stał d'Artagnan, nie mógł widzieć twarzy Aramisa, ale nie wątpił ani na chwilę nawet, że to jego przyjaciel prowadzi rozmowę z wewnątrz z damą stojącą na zewnątrz. Ciekawość jednak przemogła rozsądek. Korzystając więc z zajęcia, w jakiem widok chusteczki zdawał się pogrążać dwie osoby, wchodzące w grę, wyszedł ze swej kryjówki i, szybki jak błyskawica, tłumiąc odgłos kroków, przypadł do rogu muru, skąd wzrok jego jak najlepiej zagłębić się mógł do wnętrza mieszkania Aramisa.

Stanąwszy tam, o mało nie wydał okrzyku zdumienia. To nie Aramis prowadził rozmowę z damą pod oknem, lecz kobieta; d'Artagnan widział o tyle w ciemnościach, że mógł rozróżnić ubranie, nie widział jednak tyle, aby mógł zobaczyć rysy.

Jednocześnie prawie ta, która stała w pokoju, wyjęła z kieszeni drugą chusteczkę, zamieniając na tę, którą jej pokazano. Następnie obie kobiety powiedziały do siebie słów kilka. Nareszcie obie kobiety się zamknęły; kobieta, stojąca pod oknem, zawróciła i przeszła o parę kroków od d'Artagnana, zakrywając się kapturkiem płaszcza. Ostrożność ta jednak za późno została przedsięwzięta, bo przedtem już d'Artagnan poznał panią Bonacieux.

Pani Bonacieux! Podejrzewał on już, że to była ona, gdy zobaczył chusteczkę, wyjętą z kieszeni; nie przypuszczał jednak, aby pani Bonacieux, która posłała po pana de la

Porte, by ją do Luwru odprowadził, uganiała się sama jedna po ulicach Paryża o wpół do dwunastej w nocy, narażając się na powtórne porwanie. Musiał być powód nader ważny; a jakiż może on być dla kobiety dwudziestopięcioletniej? Miłość. Ale, czy to na rachunek własny, czy na cudzy, wystawiała się na nocne przygody? Pytanie to dręczyło młodzieńca, któremu szatan zazdrości pożerał serce, ni mniej ni więcej, jakgdyby już był uprawnionym kochankiem.

Ażeby przekonać się, dokąd pójdzie pani Bonacieux, pozostawał mu jedyny sposób: iść za nią. D'Artagnan instynktownie użył tego sposobu. Lecz, na widok mężczyzny, który oderwał się od muru, jak posąg od framugi, i na odgłos kroków, rozlegających się poza nią, pani Bonacieux wydała lekki okrzyk i poczęła uciekać.

D'Artagnan pogonił. Nietrudną było rzeczą dopędzić kobietę, której płaszcz krępował ruchy. Wkrótce też znalazł się tuż przy niej. Nieszczęsna, wyczerpana była nie zmęczeniem, lecz przerażeniem i, gdy d'Artagnan położył rękę na jej ramieniu, przyklękła na jedno kolano, głosem zdławionym wołając:

— Zabij mnie, ale nic się nie dowiesz!

D'Artagnan podniósł ją, wpół obejmując. Lecz, czując po ciężarze, że bliska jest zemdlenia, jął uspakajać ją najczulszemi słowy. Słowa te nie wpłynęły na uspokojenie pani Bonacieux, tak samo odzywać się mógł ktoś, mający zamiary jak najgorsze w świecie; lecz tu stanowił o wszystkiem głos. Brzmienie jego wydało się jej znajome. Uchyliła powieki i szybkiem wejrzeniem ogarnęła tego, który tak strasznie ją przeraził, a poznawszy d'Artagnana, wykrzyknęła radośnie.

— O! to pan! to ty!... dziękuję ci, Boże!

— Tak, to ja — odrzekł d'Artagnan — ja, zesłany przez Boga, abym czuwał nad panią.

— Czy i w tym zamiarze śledził pan mnie? — z uśmiechem zalotnym spytała młoda kobieta, której usposobienie drwiące poczynało się objawiać, bo znikły obawy wszelkie jej z chwilą, kiedy poznała przyjaciela w tym, którego uważała za wroga.

— Nie — odrzekł d'Artagnan — przyznaję, że nie; wypadek postawił mnie na drodze pani. Widząc kobietę, pukającą do okna jednego z moich przyjaciół...

— Jednego z przyjaciół pańskich? — przerwała pani Bonacieux.

— Bez wątpienia, Aramis jest najlepszym moim przyjacielem.

— Aramis! Któż to taki?

— Cóż znowu?... chcesz pani powiedzieć może, iż nie znasz Aramisa?

— Pierwszy raz w życiu słyszę to nazwisko.

— Więc to po raz pierwszy do domu tego przychodzisz pani?

— Rozumie się.

— I nie wiedziałaś pani, że w nim mieszka człowiek młody?

— Nie.

— Muszkieter?

— Nic nie wiedziałam.

— Więc pani nie do niego przyszłaś?

— Wcale nie. Wreszcie widziałeś pan dobrze, że osoba, z którą rozmawiałam, jest kobietą.

— Prawda, lecz ta kobieta jest jedną z przyjaciółek Aramisa.

— Nie wiem.

— Skoro u niego przebywa…

— To do mnie nie należy.

— Więc któż to taki?

— O! to nie moja tajemnica.

— Droga pani Bonacieux, jesteś czarującą, ale zarazem strasznie tajemniczą kobietą…

— Czy na tem coś tracę?

— Nie, przeciwnie, jesteś godna ubóstwienia.

— Kiedy tak, podaj mi pan ramię.

— Najchętniej. A teraz?

— A teraz prowadź mnie.

— Dokąd?

— Tam, dokąd idę.

— A dokąd pani idzie?

— Zobaczysz pan, ponieważ u drzwi mnie opuścisz.

— Czy będzie można poczekać na panią?

— Byłoby to daremne.

— Powrócisz więc pani sama?

— Może tak, a może nie.

— Ale któż pani towarzyszyć będzie, mężczyzna, czy kobieta?

— Nic jeszcze nie wiem.

— No to ja będę wiedział.

— W jaki sposób?

— Poczekam, ażeby zobaczyć, jak pani będzie wychodziła.

— Kiedy tak, to żegnam!

— Dlaczego?

— Nie potrzebuję pana.

— Ależ pani żądała...

— Pomocy szlachcica, a nie dozoru szpiega.

— Słówko trochę za ostre.

— A jak nazywają tych, którzy śledzą ludzi wbrew ich woli?

— Niedyskretnymi.

— Nazwa trochę za łagodna.

— Cóż robić, widzę że trzeba tak chcieć, jak pani chce.

— Czemuż ująłeś pan sobie zasługi, nie czyniąc tego od razu?

— Czyż nie ma ludzi bez winy i żalu?

— Żałujesz więc pan prawdziwie i szczerze?

— Sam nie wiem, doprawdy. To tylko wiem, że przyrzekam spełnić wszystkie pani rozkazy, jeżeli pozwolisz mi towarzyszyć tam, dokąd idziesz.

— I zostawisz mnie pan potem samą?

— Tak.

— I nie będziesz śledził mnie, gdy wychodzić będę?

— Nie.

— Słowo honoru?

— Słowo szlacheckie!

— Więc daj mi pan rękę i chodźmy.

D'Artagnan podał jej ramię, na którem oparła się na wpół roześmiana, na wpół drżąca, i udali się oboje w górę ulicy de la Harpe.

Doszedłszy tam, młoda kobieta zawahała się widocznie, tak samo, jak na ulicy Vaugirard. Musiała bramy domów poznawać po jakichś znakach, podchodząc ku nim.

— Teraz panie — rzekła — tutaj właśnie mam czynność do załatwienia; tysiączne dzięki za twoje zacne towarzystwo, które uchroniło mnie od wszelkich niebezpieczeństw, na jakie, idąc sama, byłabym wystawiona. Nadeszła chwila dotrzymania danego mi słowa, przyszłam na miejsce przeznaczenia.

— I nie będziesz pani miała żadnej obawy, powracając?

— Obawiać się mogę tylko złodziei.

— Czyż to nie dość?

— Cóżby mi zabrać mogli? szeląga przy sobie nie mam.

— Zapominasz pani o chusteczce z herbami haftowanemi.

— O jakiej?

— O tej, którą u nóg twoich znalazłem i do kieszeni jej włożyłem.

— Milcz! milcz! nieszczęsny! — krzyknęła kobieta — czy chcesz mnie zgubić?

— Widzisz więc pani, że ci jeszcze grozi niebezpieczeństwo, bo przyznajesz, że, gdyby słowo to usłyszane zostało, byłabyś zgubiona. O pani, wysłuchaj mnie — zawołał d'Artagnan, ujmując jej rękę i obejmując ją płomiennem wejrzeniem — wysłuchaj! bądź łaskawszą dla mnie i zaufaj mi; czyż nie wyczytałaś z mych oczu, iż serce moje przepełnione poświęceniem i sympatją dla ciebie!

— Wierzę — odrzekła pani Bonacieux. — Zażądaj pan tajemnic moich, a powiem ci je wszystkie, lecz nic domagaj się tych, które nie należą do mnie.

— Dobrze — odrzekł d'Artagnan — sam je więc odkryję; skoro tajemnice te mają mieć wpływ na życie pani, muszę je poznać.

— Strzeż się pan — zawołała młoda kobieta, z powagą, która dreszczem mimowolnym przejęła d'Artagnana. — O! nie mieszaj się do tego, co do mnie należy, nie usiłuj dopomagać mi w tem, co spełniam sama; żądam tego w imię sympatji, jaką budzę w panu, w imię przysługi, którą mi wyświadczyłeś, a której, póki życia, nie zapomnę. Chciej uwierzyć raczej w to, co mówię. Nie zajmuj się pan mną więcej, niech nie istnieję dla ciebie, niechaj tak będzie, jak gdybyś mnie nie widział nigdy w życiu.

— Czy i Aramis winien tak samo, jak ja uczynić? — zapytał do żywego dotknięty d'Artagnan.

— Pan już dwa, czy trzy razy powtórzył to imię, a mówiłam ci, że go wcale nie znam.

— Nie znasz pani człowieka, do którego okiennicy pukałaś przed chwilą? Pani masz mnie za zbyt naiwnego!

— Przyznaj pan, że układasz całą historję, aby wyciągnąć mnie na słówka, i tego Aramisa wymyśliłeś po prostu.

— Nic nie wymyśliłem, ani nic nie układam, prawdę tylko mówię najszczerszą.

— Utrzymujesz więc, iż jeden z przyjaciół twoich mieszka w tym domu?

— Powiedziałem i po raz trzeci powtarzam, iż dom ten zamieszkany jest przez mego przyjaciela, a jest nim Aramis.

— Wszystko to wyjaśni się później — szepnęła kobieta — a teraz milcz, błagam pana.

— Gdybyś pani w serce moje zajrzeć była w stanie — odezwał się d'Artagnan — wyczytałabyś w niem tyle ciekawości, iż litość byś dla mnie uczuła, a miłości tyle, iż

zaspokoiłabyś natychmiast moją ciekawość. Nie powinniśmy się obawiać tych, którzy nas kochają.

— Zaprędko prawisz o miłości, mój panie! — odezwała się młoda kobieta, potrząsając głową.

— Bo miłość ta przyszła na mnie nagle i to po raz pierwszy; nie mam jeszcze dwudziestu lat.

Kobieta spojrzała na niego ukradkiem.

— Posłuchaj mnie, pani, już wpadłem na ślady — rzekł d'Artagnan. — Trzy miesiące temu o mało nie doszło do pojedynku z Aramisem o chustkę podobną do tej, którą pokazywałaś damie, przebywającej u niego, o chusteczkę, w ten sam sposób znaczoną. Pewny tego jestem.

— Panie — odpowiedziała młoda kobieta — przysięgam ci, iż męczysz mnie okrutnie tem badaniem.

— Ale ty, pani, tak przezorna, pomyśl, że gdybyś została uwięziona z chusteczką tą; gdyby ci ją pochwycono, nie byłażbyś skompromitowana?

— Z jakiej racji, wszak litery moje są: K. B., Konstancja Bonacieux.

— Albo też Kamilla de Bois-Tracy.

— Cicho, panie, cicho! Jeżeli nie powstrzymuje cię myśl o mojem niebezpieczeństwie, pomyśl o tem, na które sam się narażasz!

— Ja?

— Tak, dla ciebie niebezpieczeństwo więzienia, dla mnie niebezpieczeństwo śmierci!

— To ja pani nie odstąpię.

— Panie — odezwała się, błagalnie składając ręce — panie, na imię boskie, na honor żołnierski, w imię uczciwości szlacheckiej, oddal się; słuchaj, północ już bije, to godzina, o której na mnie czekają.

— Pani — rzekł młodzieniec z ukłonem — nie jestem w stanie odmówić, gdy mnie ktoś prosi w ten sposób; bądź zadowolona, odchodzę.

— I nie będziesz pan szedł za mną, nie będziesz mnie śledził?

— Wracam natychmiast do siebie.

— O! wiedziałam to od razu, że zacnym młodzieńcem jesteś! — zawołała pani Bonacieux, podając mu rękę, a drugą biorąc za młotek u maleńkich drzwi, ukrytych w murze.

D'Artagnan pochwycił podaną sobie rękę i wycisnął na niej gorący pocałunek.

— O! wolałbym, gdybyśmy się nigdy nie spotkali — zawołał z tą naiwną prostotą, która więcej ujmuje kobiety, niż gładkie słówka grzeczności, odsłania ona bowiem głąb myśli i dowodzi, że uczucie bierze nad rozumem górę.

— Kiedy tak!... — odrzekła pani Bonacieux głosem pieszczotliwym nieledwie, ściskając rękę d'Artagnana, który przytrzymywał jej rączkę — kiedy tak, to kto wie, czy wtedy, gdy z przysięgi zwolnioną już będę, nie uczynię zadość ciekawości pańskiej?...

— A dla miłości mojej, czy to samo mi obiecujesz? — zawołał d'Artagnan w uniesieniu radosnem.

— O! co do tego, nie chcę się zobowiązywać, zależeć to będzie od uczuć, jakie potrafisz wzbudzić.

— Zatem dziś, pani...

— Dziś, panie, wdzięczność jedynie mam dla ciebie.

— O! jesteś pani zachwycająca nad wyraz — rzekł ze smutkiem d'Artagnan — i nadużywasz mojej miłości.

— Nie, korzystam tylko z pańskiej szlachetności, ot i wszystko. Wierzaj mi jednak szczerze, iż są ludzie, u których nic się nigdy nie traci.

— O! pani, najszczęśliwszym z ludzi mnie czynisz. Nie zapomnij wieczoru dzisiejszego, nie zapomnij swojej obietnicy.

— Bądź pan spokojny, w chwili przyjaznej przypomnę sobie o wszystkiem. A teraz, odejdź pan, na imię boskie! Spóźniłam się już, czekano mnie o samej północy.

— Pięć minut upłynęło zaledwie.

— Tak, lecz w niektórych razach pięć minut staje się pięcioma wiekami.

— Wtedy, gdy kochamy.

— A któż panu mówi, że nie mam do czynienia z zakochanym?

— Więc to mężczyzna oczekuje na panią? — wykrzyknął d'Artagnan — mężczyzna!

— O! znów zaczyna się rozprawa — zauważyła pani Bonacieux, na wpół z uśmiechem, na wpół ze zniecierpliwieniem.

— Nie, nie, odchodzę już, uciekam; wierzę w ciebie, pani, bo pragnę mieć zasługę w poświęceniu mojem dla ciebie, choćby nawet miało być ono głupotą, żegnaj mi pani, żegnaj!

I, jak gdyby nie czuł się na siłach, aby oderwać się od ręki, którą w dłoniach trzymał, zrobił ruch gwałtowny i pędem się oddalił, gdy pani Bonacieux tak samo, jak do okiennicy, po trzykroć zapukała uderzeniem powolnem i miarowem. Dobiegłszy do

rogu ulicy, obejrzał się, drzwiczki się otwarły i zamknęły i piękna żona kupca zniknęła za niemi.

D'Artagnan szedł dalej. Dał słowo, że nie będzie szpiegował pani Bonacieux i gdyby nawet życie jego zależało od tego, dokąd się uda, lub od osoby, która towarzyszyć jej miała, wróciłby do siebie, bo powiedział, że wróci.

W pięć minut był już na ulicy Grabarzy.

— Biedny Athos — mówił sam do siebie — nic on wiedzieć nie będzie, co to wszystko znaczy. Zasnął może, czekając na mnie, lub może powrócił do siebie i dowiedział się, że kobieta znajduje się w jego mieszkaniu. Kobieta u Athosa! No, przecież była tam jakaś u Aramisa. Wszystko to jest niesłychanie dziwne, i mocno jestem ciekawy, jak się to skończy.

— Źle, panie, źle — odpowiedział mu głos, po którym d'Artagnan poznał Plancheta, gdyż, rozmawiając z sobą głośno, jak zwykle ludzie roztargnieni, wszedł do sieni, z której schody prowadziły do jego mieszkania.

— Jakto, źle? co ty pleciesz, durniu? — zapytał d'Artagnan — co się takiego stało?

— Nieszczęście!

— Jakie?

— Najpierw, pan Athos uwięziony.

— Uwięziony?... Athos?... za co?

— Zastano go u pana, i za pana go wzięto.

— A któż go aresztował?

— Straż przyprowadzona przez czarnych ludzi, których pan zmusiłeś do ucieczki.

— Czemuż nie powiedział, jak się nazywa? Czemu nie powiedział, że do tej sprawy wcale nie należy?

— Tego się właśnie wystrzegał najbardziej; zbliżył się do mnie, mówiąc: „Pan twój nade wszystko winien teraz wolnym pozostać, a nie ja, ponieważ on wie o wszystkiem, ja o niczem. Będą myśleli, że go mają, przez co zyska na czasie; za trzy dni powiem im, kim jestem i muszą mnie wypuścić".

— Brawo!... Athos!... szlachetne serce!... — mruknął d'Artagnan — to patrzy na niego! A co zrobili zbiry?

— Czterech poprowadziło go nie wiem dokąd, do Bastylji, czy też do fortu Biskupiego; dwóch zaś pozostało z czarnymi ludźmi, którzy, wszystkie zakątki przetrząsnąwszy, zabrali papiery, jakie tylko były. Dwóch wreszcie, w ciągu tej

czynności, stało u drzwi na straży; potem, gdy wszystko już się skończyło, odeszli, zostawiając dom pusty i otwarty.

— A Porthos i Aramis?

— Nie zastałem ich, więc nie przyszli.

— Mogą jednak przyjść lada chwila, bo powiedziałeś im przecie, iż czekam na nich?

— Tak, panie.

— Zatem, nie rusz się stąd ani na krok; jeżeli przyjdą, powiedz im, co się zdarzyło, niech poczekają na mnie w oberży Pod Jabłkiem; tutaj mogłoby być niebezpiecznie, dom może być strzeżony. Ja śpieszę do pana de Tréville, by mu o wszystkiem oznajmić i sam do nich przyjdę.

— Dobrze, proszę pana.

— Ale ty zostaniesz i nie będziesz się bał! — rzekł, powracając jeszcze d'Artagnan, aby zalecić odwagę służącemu.

— Niech pan będzie spokojny — rzekł Planchet — O! pan mnie jeszcze nie zna, jak sobie powiem, to jestem odważny, muszę tylko sobie powiedzieć; zresztą jestem pikardyjczykiem.

— Więc zrozumiałeś już: zabić się raczej dasz, a nie opuścisz tego domu.

— Tak, panie; o! nie ma rzeczy, którejbym nie uczynił, by panu dowieść mego przywiązania.

— Dobrze — rzekł w duchu d'Artagnan — widocznie metoda, której użyłem względem tego chłopca, bardzo była trafna, przy sposobności będę ją nadal stosował.

I, o ile mu na to pozwoliły nogi, bo już czuł się zmęczony bieganiną, popędził na ulicę du Vieux Colombier.

Nie zastał pana de Tréville w domu; oddział jego był w Luwrze na służbie i on razem ze swym oddziałem. Potrzeba było dotrzeć do niego koniecznie i zawiadomić o tem, co się dzieje. D'Artagnan postanowił więc wcisnąć się do Luwru.

Mundur straży pana Desessarts winien mu był utorować drogę. Zszedł więc na ulicę Augustynów i zawrócił na bulwar, aby przejść przez Nowy Most. Powziął na chwilę zamiar przeprawić się promem przez rzekę, lecz, stanąwszy już nad brzegiem, wsunął machinalnie rękę do kieszeni i przekonał się, iż nie ma czem przewoźnika zapłacić.

Gdy podążył już w górę ulicy Guenegaud, dostrzegł dwie osoby, wychodzące z ulicy Dauphine, a powierzchowność ich mocno go uderzyła: była to kobieta i mężczyzna.

Pierwsza przypominała panią Bonacieux, drugi podobny był do Aramisa.

Nadto kobieta była okryta takim samym płaszczem, jaki zarysował mu się na tle okiennicy przy ulicy Vaugirard i na drzwiczkach ulicy de la Harpe.

Co więcej, mężczyzna miał na sobie mundur muszkieterski.

Kobieta szła z zapuszczonym kapturkiem, mężczyzna trzymał przy twarzy chusteczkę. Ostrożność ta wskazywała, że, jak jej, tak i jemu zależało na tem, aby ich nie poznano.

Weszli na most.

Tą drogą miał iść i d'Artagnan do Luwru; poszedł więc za nimi.

Nie zrobił jeszcze dwudziestu kroków, gdy upewnił się w podejrzeniu, że kobietą jest pani Bonacieux, a mężczyzną Aramis.

Wszystkie podejrzenia zazdrości wstrząsnęły mu serce.

Pani Bonacieux przysięgała mu, że Aramisa nie zna, a w kwadrans po tych zaklęciach, spotyka ją oto przy boku Aramisa!

Nie zastanowił się tylko, że znał piękną żonę kupca od trzech godzin zaledwie, że nic mu winna nie była, prócz nieco wdzięczności za wyrwanie z rąk czarnych ludzi, którzy porwać ją chcieli, i że żadnych mu nie dala obietnic. Wszakże, miał się za kochanka shańbionego, zdradzonego, sponiewieranego. Zakipiał gniewem, krew mu uderzyła do skroni, postanowił wszystko wyjaśnić.

Dwoje młodych ludzi spostrzegło, iż są śledzeni, podwoili więc kroku.

D'Artagnan pośpieszył, wyminął ich, następnie zawrócił i poszedł ku nim w chwili, gdy przechodzili pod latarnią, która rzucała światło na całę tę część mostu.

Zatrzymał się przed nimi i oni też stanęli.

— Czego pan sobie życzy? — zapytał muszkieter akcentem cudzoziemskim, jakby chciał dowieść d'Artagnanowi, iż myli się co do swych przypuszczeń.

— To nie Aramis! — wykrzyknął.

— Nie, panie, wcale nie Aramis, a po wykrzykniku tym, widzę, że za kogo innego mnie wziąłeś, przebaczam więc panu.

— Przebaczasz mi pan? — zawołał d'Artagnan.

— Tak — odrzekł nieznajomy — ustąp pan więc z drogi, skoro nie do mnie masz interes.

— Bardzo słusznie, mój panie! — odparł d'Artagnan — nie do pana, lecz do pani mam interes...

— Do pani?... wcale jej nie znasz!... — rzekł nieznajomy.

— Mylisz się pan, ja ją znam!

— O! — odezwała się pani Bonacieux z wymówką. — O, panie! dałeś mi słowo szlacheckie, spodziewam się, iż mogę na nie liczyć.

— A mnie — odezwał się w zakłopotaniu d'Artagnan — mnie pani przyrzekłaś...

— Weź mnie pani pod rękę — rzekł cudzoziemiec i chodźmy dalej.

D'Artagnan oszołomiony, zdrętwiały tern wszystkiem, co go spotkało, stał jak wryty z rękami na piersiach skrzyżowanemi, przed muszkieterem i panią Bonacieux.

Muszkieter zrobił dwa kroki i ręką odsunął na bok d'Artagnana.

Ten rzucił się w tył i dobył szpady.

Jednocześnie, z błyskawiczną szybkością nieznajomy uczynił to samo.

— Milordzie, na Boga! — krzyknęła pani Bonacieux, rzucając się pomiędzy walczących i rękami chwytając za ostrza.

— Milord!... — zawołał d'Artagnan, myślą nagłą oświecony — milord!... Wybacz panie, byłżebyś...

— Milord, książę de Buckingham — odezwała się półgłosem pani Bonacieux — a teraz możesz nas wszystkich zgubić.

— Milordzie, pani, przebaczenia! po tysiąc razy przebaczenia!... ale ja kochałem ją i byłem zazdrosny, a wiesz przecie, milordzie, co to kochać: przebacz mi i powiedz, w jaki sposób życie za ciebie oddać.

— Dzielny z ciebie młodzieniec — rzekł Buckingham, podając mu rękę, którą tenże uścisnął z szacunkiem — ofiarujesz mi usługi swoje, przyjmuję; idź za nami o dwadzieścia kroków aż do Luwru; gdyby nas kto śledził, zabij go!

D'Artagnan wziął pod pachę szpadę obnażoną, pozwolił pani Bonacieux i Buckinghamowi wyprzedzić się o dwadzieścia kroków i postępował za nimi, gotów spełnić co do litery zlecenia świetnego ministra Karola I-go.

Na szczęście jednak młodzieniec nie miał najmniejszej okazji, aby dowieść wierności, i młoda kobieta z pięknym muszkieterem dostali się do Luwru przez furtkę od ulicy Drabiniastej bez najmniejszej przeszkody.

D'Artagnan zaś udał się niezwłocznie do oberży Pod Jabłkiem, gdzie zastał oczekujących na siebie Porthosa i Aramisa.

Nie tłumacząc się ze sprawionego im niepokoju, oświadczył tylko, iż sam zakończył sprawę, do której chwilowo odwołał się o ich współudział.

A teraz, idąc za biegiem naszego opowiadania, zostawiwszy trzech przyjaciół, wracających do domu, zapuśćmy się w zaułki Luwru, za księciem de Buckingham i jego przewodniczką.

Rozdział XII. Jerzy Villiers, książę Buckingham

Pani Bonacieux i książę bez żadnych trudności weszli do Luwru; pierwsza, jako należąca do służby królowej, książę zaś dzięki mundurowi muszkieterów pana de Tréville, którzy, jak wiadomo, byli tego wieczora na służbie. Wreszcie German sprzyjał królowej, a w najgorszym wypadku tylko pani Bonacieux byłaby obwiniona o wprowadzenie kochanka swego do Luwru. Całą winę brała ona na siebie.

Dostawszy się na dziedziniec, oboje postępowali pod murem ze dwadzieścia pięć kroków. Potem pani Bonacieux nacisnęła klamkę drzwiczek służbowych, w dzień otwartych, lecz w nocy zwykle zamkniętych.

Wszedłszy tam, znaleźli się w ciemnościach.

Lecz pani Bonacieux znała wszelkie zaułki w tej części Luwru, która przeznaczoną była dla służby.

Zamknęła drzwi za sobą, wzięła księcia za rękę, przeszła kilka kroków po omacku, uchwyciła za poręcz, postawiła na stopniu nogę i zaczęła wchodzić na górę: książę naliczył dwa piętra.

Wtedy zawróciła na prawo, minęła długi korytarz, zeszła w dół jedno piętro, jeszcze kilka kroków i klucz włożyła w zamek.

Drzwi się otwarły, a książę wpuszczony został do komnaty, oświetlonej jedną tylko lampą nocną.

Wówczas rzekła do niego:

— Zaczekaj tu, milordzie, wkrótce nadejdzie.

Wyszła temi samemi drzwiami, zamykając je na klucz, tak że książę literalnie był uwięziony.

Jakkolwiek tak osamotniony, książę ani na chwilę nie doznał obawy.

Jedną z najwybitniejszych cech jego charakteru było uganianie się za przygodami i zamiłowaniem w romantycznych zdarzeniach.

Odważny, zuchwały i przedsiębiorczy, nie po raz pierwszy narażał życie dla podobnych zachcianek.

Dowiedział się już, iż rzekome wezwanie Anny Austrjackiej, na które przybył do Paryża po prostu było zasadzką. Zamiast powrócić do Anglji, skorzystał ze sposobności, jaką mu nastręczono, i oznajmił królowej, że nie odjedzie dopóki się z nią nie zobaczy.

Zrazu królowa odmówiła stanowczo, później zdjął ją strach, aby zrozpaczony książę nie popełnił jakiego szaleństwa. Gotowa już była przyjąć go i błagać, aby natychmiast

odjechał, kiedy tego wieczora, gdy przychyliła się do próśb jego, pani Bonacieux, mająca polecenie pójść po księcia i przyprowadzić go du Luwru, została porwana. W ciągu dwóch dni nie wiedziano wcale, co się z nią dzieje, i wszystko zostało w zawieszeniu. Skoro się jednak uwolniła i porozumiała z La Portem, rzeczy na nowo bieg swój przybrały i pani Bonacieux spełniła to niebezpieczne zadanie, które, gdyby nie uwięzienie jej, trzy dni przedtem doszłoby do skutku.

Buckingham, pozostawszy sam, stanął przed lustrem. Ślicznie wyglądał w ubraniu muszkieterskiem.

W trzydziestym piątym roku życia, słusznie uchodził za najpiękniejszego mężczyznę i najwytworniejszego kawalera zarówno we Francji, jak w Anglji. Ulubieniec dwóch królów, miljoner, wszechwładny w królestwie, gdzie sprawiał przewroty według fantazji i poskramiał według zachcianek, Jerzy Villiers, książę de Buckingham, wiódł życie w sposób tak bajeczny, że z biegiem wieków pozostawić mogło podziw u potomności.

Pewny siebie, przeświadczony o swojej władzy, spokojny, iż prawa, rządzące innymi, jego dosięgnąć nie mogą, szedł prosto do zamierzonego celu, choćby był on tak wysoki i olśniewający, że dla innego szaleństwem byłoby nawet o nim pomyśleć.

Dzięki temu dostąpił już kilkakrotnie zbliżenia do pięknej i dumnej Anny Austrjackiej i, oczarowawszy ją, zmusił do kochania.

Stanął teraz przed lustrem, jak powiedzieliśmy, przywrócił pięknym jasnym włosom ich falistość, która zniknęła pod ciężarem kapelusza, podkręcił wąsa i z sercem, wezbranem radością, szczęśliwy i dumny z dostąpienia chwili, której tak pragnął od dawna, uśmiechał się do siebie, przejęty nadzieją i dumą.

Naraz otworzyły się drzwiczki, ukryte w obiciu, i ukazała się kobieta.

Była to królowa.

Anna Austrjacka miała wtedy dwadzieścia pięć do dwudziestu siedmiu lat i była w całym blasku piękności.

Chód jej był chodem królowej i bogini zarazem, oczy z odbłyskiem szmaragdu wprawiały w zachwyt niewypowiedziany, spojrzenie ich tchnęło słodyczą i majestatem. Usteczka małe i pąsowe, a jakkolwiek warga dolna, jak u wszystkich książąt domu austrjackiego, wystawała bardziej niż górna, uśmiech roztaczał urok niepomierny.

Umiała jednak ustom nadać też wyraz okrutnie wzgardliwy, gdy chciała wyrazić nienawiść.

Płeć jej słynęła z miękkości i puszystości, ręce i ramiona zadziwiały pięknością i wszyscy poeci ówcześni opiewali je, jako niezrównane.

Wreszcie włosy jasne w pierwszej młodości, a teraz ciemniejsze, upudrowane, okalały cudownie jej twarz, od której krytyk najostrzejszy mógłby tylko wymagać nieco mniej różu, a rzeźbiarz najwybredniejszy trochę delikatniejszych linij nosa.

Buckingham stanął olśniony.

Nigdy tak piękną mu się nie wydała, ani na balach, uroczystościach, ani na turniejach, jak obecnie, w skromnej sukni z białego atłasu, mając przy boku donnę Estefanę, jedyną z dam hiszpańskich, która nie została wygnana przez zazdrość króla, ani przez prześladowanie Richelieu'ego.

Anna Austrjacka postąpiła parę kroków.

Buckingham rzucił się jej do kolan i, zanim zdołała mu przeszkodzić, ucałował brzeg jej sukni.

— Książę, wiesz już, że to nie ja pisałam do ciebie.

— O! tak pani, o! tak królowo — wykrzyknął książę — wiem, iż byłem szaleńcem, nierozumnym, sądząc, iż lód się ożywi, marmur ogrzeje; lecz, co począć, gdy kochamy, łatwo w miłość wierzymy; wreszcie nic na tej podróży nie straciłem, skoro cię oglądam.

— Tak — odrzekła Anna — lecz pan wiesz, dlaczego i w jakim celu widzę się z tobą, bo nieczuły na wszystkie moje udręczenia, uparłeś się pozostawać w mieście, gdzie narażasz swoje życie a moją cześć; przyszłam, ażeby powiedzieć panu, iż wszystko nas przedziela, głębokość morza, nieprzyjaźń rządów i świętość przysięgi. Świętokradztwem jest walczyć przeciw takim siłom, milordzie. Wreszcie, widzę się z tobą, aby ci jeszcze powiedzieć, że więcej widywać się nie możemy.

— Mów pani, mów królowo — rzekł Buckingham — słodycz głosu twego łagodzi gorycz twych słów. O świętokradztwie mówisz! ależ świętokradztwem jest rozłąka dwojga serc, które Bóg jedno dla drugiego stworzył.

— Milordzie!... — zawołała — zapominasz, iż nigdy nie powiedziałam, że cię kocham!...

— Lecz nigdy mi nie powiedziałaś także, że nie kochasz mnie pani wcale i doprawdy wyrzec takie słowa za wielką byłoby niewdzięcznością ze strony Waszej królewskiej mości. Bo powiedz mi, gdzie znajdziesz miłość podobną do mojej, miłość, której ani czas, ani oddalenie, ani rozpacz nie mogą ugasić; miłość, która się zadowala wstążką zgubioną, wejrzeniem przelotnem, słówkiem nieobliczonem. Trzy lata temu, pani, po raz pierwszy cię ujrzałem i odtąd w ten sposób cię kocham. Czy chcesz, abym ci powiedział, jak byłaś ubrana, gdym po raz pierwszy cię ujrzał? Chcesz, abym opisał szczegółowo każdą ozdobę twojego ubioru? Racz słuchać, królowo, widzę cię jeszcze:

siedziałaś na ziemi, według obyczaju hiszpańskiego, miałaś suknię z zielonego atłasu, złotem i srebrem haftowaną, rękawy rozwarte i djamentami podpięte na pięknych ramionach, na tych ramionach cudownych; pod szyją kryzę miałaś, maleńki birecik na głowie tegoż koloru, co suknia, a na nim wspaniałe pióro czaple. O! słuchaj, zamykam oczy i widzę cię taką, jaką byłaś wtenczas; otwieram je i widzę cię taką, jaką jesteś teraz, czyli stokroć piękniejszą jeszcze!

— Co za szaleństwo!... — szepnęła Anna Austrjacka, nie mając odwagi gniewać się na księcia, że tak wiernie zachował w sercu swem jej obraz — co za szaleństwo karmić namiętność daremną takiemi wspomnieniami!...

— A czemże żyć mogę? nic nie posiadam, prócz moich wspomnień. To szczęście moje, mój skarb, moja nadzieja. Za każdym razem, gdy widzę ciebie, jeden djament przybywa do skarbca mojego serca. Ten jest czwartym, który mi rzucasz, a ja go podnoszę skwapliwie; bo w ciągu trzech lat, pani, cztery razy widziałem cię tylko: pierwszy, jak już wspomniałem, u pani de Cheyreuse drugi, a trzeci w ogrodach w Amiens.

— Książę — rumieniąc się rzekła królowa — nie wspominaj tego wieczoru.

— O! pani, przeciwnie, wspominajmy, mówmy o nim: to promienny i najszczęśliwszy wieczór w mojem życiu. Czy przypominasz sobie tę noc przecudną? Jak ciepłe i wonne było powietrze, niebo błękitne, gwiazdami usiane!

O! ten raz jeden, pani, przez chwilę mogłem sam pozostać z tobą; gotowa byłaś wtedy wypowiedzieć mi wszystko, życia twego osamotnienie, smutki serdeczne twoje. Wsparta byłaś na mojem ramieniu, o patrz, na tem właśnie. Czułem, skłaniając ku tobie głowę, włosy piękne, twarz mi muskające, a za każdem dotknięciem takiem drżenie przenikało całą moją istotę.

O! królowo, królowo! o! ty wiesz, ile szczęścia niebiańskiego, rozkoszy, raju chwile podobne zawierają w sobie. Pani! majątek mój, sławę, lata, które mi do przeżycia pozostają, wszystkobym oddał za chwilę taką, za noc podobną! bo nocy tej, przysięgam, kochałaś mnie pani szczerze.

— Być może, milordzie, że tak było: wpływ otoczenia, urok pięknego krajobrazu, potęga twego wzroku, tysiące okoliczności wreszcie, które się zbiegają, aby zgubić kobietę, obiegły tego nieszczęsnego wieczoru. Widziałeś jednak, milordzie, jak królowa przyszła w pomoc kobiecie słabnącej. Za pierwszem słowem, które wyrzec się poważyłeś, za zuchwalstwem, któremu winna byłam odmówić, wezwałam pomoc.

— O! tak, to prawda i każda inna a nie moja miłość nie zniosłaby takiej próby; lecz moja wyszła z niej tem gorętsza, tem bardziej nieskończona… Sądziłaś, że, wracając do Paryża, uciekniesz przede mną, że nie poważę się opuścić skarbu, nad którym pan mój czuwać mi polecił. O! cóż mnie obchodzić mogą wszystkie skarby świata, wszyscy ziemscy królowie!

W tydzień już byłem z powrotem, pani. Tym razem nic mi nie miałaś do zarzucenia: zlekceważyłem moje stanowisko, życie, aby ujrzeć cię na sekundę; ręki twej nie dotknąłem nawet, a wtedy, widząc mnie tak uległego i skruszonego, przebaczyłaś mi pani.

— Tak, lecz oszczerstwo pochwyciło te wszystkie szaleństwa, w których nie brałam udziału, wiesz dobrze o tem, milordzie. Król, podżegany przez kardynała, wybuchnął straszliwym gniewem, pani de Vernet została wypędzona, Putange na wygnanie skazany, pani de Chevreuse wpadła w niełaskę i, kiedy chciałeś jako ambasador do Francji powrócić, sam król, pamiętasz to dobrze, milordzie, król sam oparł się temu.

— Tak, i Francja zapłaci wojną za odmowę swojego władcy. Nie mogę cię już widywać, pani; chcę zatem, byś nieustannie słyszała mówiących o mnie!

Jaki cel, myślisz pani, miała wyprawa na Charente i związek z protestantami Rochelli, który projektuję? O! tylko rozkosz widywania ciebie, królowo!

Nie mam, co prawda, nadziei dotrzeć z bronią w ręku do samego Paryża; lecz wojna może sprowadzić pokój i w takim razie niezbędny będzie pełnomocnik do układów, a pełnomocnikiem tym będę ja. Wtenczas nie poważą się odmówić mi, powrócę do Paryża, ujrzę cię znowu i przez chwilę chociaż szczęśliwym się stanę. Tysiące ludzi wprawdzie szczęście moje życiem przypłaci; lecz cóż mnie to obchodzi, bylebym ciebie mógł znowu zobaczyć. Wszystko to może jest szalone i nierozumne, lecz powiesz mi, królowo, która kobieta miała kochanka więcej rozmiłowanego, jaka władczyni gorliwszego sługę?

— Milordzie, milordzie, na obronę swoją wywołujesz rzeczy, które cię potępiają tylko, wszystkie dowody miłości, jakie dać mi zamyślasz, są nieledwie zbrodnią.

— Bo nie kochasz mnie, pani, wcale, bo, gdybyś mnie kochała, inaczej zapatrywałabyś się na to; bo, gdybyś mnie kochała, o! gdybyś mnie kochała!… byłby to nadmiar szczęścia, oszalałbym chyba!… Pani de Chevreuse, o której wspomniałaś przed chwilą, mniej, niż ty, pani, była okrutna. Holand ją kochał i odwzajemniała mu się miłością.

— Pani de Chevreuse nie była królową — szepnęła Anna Austrjacka, pomimo woli zwyciężona wyrazem tak głębokiej miłości.

— Więc kochałabyś mnie, pani? gdybyś nie była królową, kochałabyś mnie zatem? Mogę więc wierzyć, że godność stanowiska twego jedynie czyni cię dla mnie okrutną; mogę myśleć, iż gdybyś panią de Chevreuse była, biedny Buckingham mógłby mieć nadzieję?

Dzięki ci za te słodkie słowa, o piękna królowa moja, stokrotne dzięki.

— A! milordzie, przesłyszałeś się i źle zrozumiałeś; nie chciałam powiedzieć...

— Cicho! cicho! — odezwał się książę — jeżelim szczęśliwy z pomyłki, nie popełniaj pani okrucieństwa, uwalniając mnie od niej. Sama to powiedziałaś, iż w sidła mnie wciągnięto, położę w nich moje życie może, bo, słuchaj, to dziwna, od jakiegoś czasu mam przeczucie, że umrę niedługo.

I uśmiechnął się smutnie a zarazem czarująco.

— O! mój Boże! — zawołała Anna Austrjacka z przerażeniem, które dowodziło, iż więcej, niż wyznać chciała, obchodził ją książę.

— Nie dlatego bynajmniej to mówię, aby cię, pani, przerazić, o nie; to śmieszne nawet, iż o tem wspomniałem, i wierzaj mi, że rojenia podobne nie zajmują mnie wcale. Lecz słowo to, które wyrzekłaś, nadzieja, którą mi dałaś nieledwie, starczą za wszystko, nawet za całe życie.

— O! książę, i ja mam przeczucia, sny jakieś okropne. Śniłam, iż widzę cię, broczącego we krwi, rannego okrutnie.

— W serce, wszak tak, i to nożem ugodzonego? — przerwał jej Buckingham.

— O! tak, milordzie, tak samo, z lewego boku nożem. Kto ci mógł sen mój opowiedzieć? Bogu jednemu zwierzyłam się tylko w moich modlitwach.

— Niczego nie żądam więcej, kochasz mnie pani, to dosyć.

— Ja, pana kocham?...

— Tak, pani, czyżby Bóg zsyłał ci te same sny, gdybyś mnie nie kochała? Mogliżbyśmy mieć jedne przeczucia, gdyby istnienia nasze sercem się nie łączyły? Kochasz mnie, o, królowo, i opłakiwać mnie będziesz!

— O! Boże, mój Boże! — zawołała Anna Austrjacka — to już nad moje siły. Słuchaj, książę, zaklinam cię na Boga, oddal się, odjeżdżaj; ja nie wiem, czy kocham cię, czy nie, to tylko wiem, że nigdy nie złamię przysięgi. Ulituj się więc nade mną i odejdź. O! jeżeli we Francji nieszczęście spadnie na ciebie, jeżeli tu życie położysz, o! jeżelibym musiała

przypuszczać, że miłość dla mnie stała się przyczyną twej śmierci, byłabym niepocieszona, oszalałabym z pewnością. Odjeżdżaj zatem, odjeżdżaj, błagam cię o to!

— O! jakaś ty piękna! Jakże ja cię kocham!... moja królowo!... — mówił Buckingham wzruszony.

— Oddal się, oddal!... błagam cię raz jeszcze, a później powracaj; powracaj jako ambasador, jako minister, otoczony strażą, która cię bronić będzie, służbą, która czuwać nie przestanie. Wtedy nie będę drżała o życie twoje i sprawisz mi szczęście twoim widokiem.

— O! prawdąż to jest, co mi pani mówisz?

— Tak...

— Daj mi więc zakład przebaczenia twego, rzecz jaką, należącą do ciebie, któraby mi przypominała, że to nie było snem; coś, co nosiłaś na sobie, co mógłbym nosić także, pierścień, naszyjnik lub łańcuch.

— A czy odjedziesz, czy odjedziesz, gdy ci dam, czego żądasz ode mnie?

— Tak.

— Natychmiast?

— Tak.

— Opuścisz Francję, powrócisz do Anglji?

— Tak, przysięgam pani.

— Zaczekaj więc, zaczekaj.

Anna Austrjacka wróciła do pokoju i wyszła z niego za chwilę, niosąc szkatułkę z drzewa różanego z jej cyfrą, złotem nabijaną.

— Weź to, milordzie — rzekła — i zachowaj po mnie na pamiątkę.

Buckingham wziął szkatułkę i po raz drugi padł na kolana.

— Obiecałeś mi pan, że odjedziesz — wyrzekła królowa.

— Dotrzymam słowa. Podaj mi rękę, królowo, odjeżdżam.

Podała mu rękę, zamykając oczy i opierając się drugą na ramieniu donny Estefany, czuła bowiem, że ją opuszczają siły.

Buckingham przylgnął ustami namiętnie do tej pięknej ręki i, powstając, rzekł:

— Za sześć miesięcy, jeżeli nie umrę, ujrzę cię znowu, pani, choćbym miał całym światem wstrząsnąć!

I, wierny przyrzeczeniu, wybiegł z pokoju.

W korytarzu spotkał oczekującą nań panią Bonacieux, która równie ostrożnie i szczęśliwie wyprowadziła go z Luwru.

Rozdział XIII. Pan Bonacieux

W tych wszystkich wypadkach brała też udział pewna osobistość, którą z przyczyny podrzędnego jej stanowiska, zajmowano się miernie, pan Bonacieux, czcigodna ofiara intryg politycznych i miłosnych, tak splątanych z sobą w owej epoce rycerskiej i kochliwej zarazem.

Przypominają sobie czytelnicy, a może i nie przypominają, iż przyrzekliśmy nie stracić go z oczu.

Żandarmi, którzy go aresztowali, zaprowadzili go wprost do Bastylji, gdzie, drżącemu ze strachu, kazali przejść obok gromadki żołnierzy, nabijających muszkiety.

Stamtąd wprowadzony do niskiej galerji podziemnej, stał się dla tych, co go przywiedli, przedmiotem najboleśniejszych pośmiewisk i najdzikszego obejścia.

Widząc, że nie ze szlachcicem mają do czynienia traktowali go, jak ostatniego włóczęgę.

Po upływie blisko pół godziny woźny położył koniec jego męczarniom, lecz me uspokoił go bynajmniej, wygłaszając rozkaz, aby zaprowadzono pana Bonacieux do sali badań. Badano zwykle więźniów na miejscu, lecz z panem Bonacieux nie robiono zachodów.

Dwóch stróżów pochwyciło kramarza, przeprowadziło przez dziedziniec i kazało mu wejść do korytarza, w którym trzech żołnierzy stało na warcie.

Otworzono drzwi i wepchnięto go do pokoju niskiego, którego umeblowanie stanowił stół i krzesło. Zastępca sędziego siedział na krześle i zajęty był pisaniem przy stole.

Stróże przywiedli więźnia przed stół i na znak zastępcy sędziego oddalili się, aby nie słyszeli badania.

Zastępca sędziego, trzymający dotąd nos w papierach, podniósł głowę, iżby zobaczyć, z kim ma do czynienia.

Był to człowiek o obliczu odpychającem, z nosem spiczastym, żółtemi i wydętemi policzkami, o oczach małych, lecz badawczych i żywych. Fizjognomja jego stanowiła coś pośredniego pomiędzy kuną a lisem. Głowa, osadzona na szyi długiej i ruchliwej, wydobywała się z czarnej sukni, kołysząc się na kształt głowy żółwia, wyzierającego z twardej swojej skorupy.

Rozpoczął badanie, zapytując pana Bonacieux o imię, nazwisko, wiek, stan i miejsce zamieszkania.

Oskarżony odpowiedział, że nazywa się Jakób-Michał Bonacieux, że ma lat pięćdziesiąt jeden, że zwinął handel i mieszka przy ulicy Grabarzy Nr. 11.

Wtedy zastępca, zamiast prowadzić dalsze badanie, wypalił mówkę o niebezpieczeństwie mieszania się w sprawy publiczne takiemu, jak on pachołkowi.

Naukę tę pogmatwał z wykazaniem władzy i czynów pana kardynała, ministra niezrównanego, zwycięzcy dawnych ministrów, będącego wzorem dla przyszłych. Czynom jego i władzy nikt bezkarnie nie może stanąć na przeszkodzie.

Skończywszy część drugą przemowy, przeszył wzrokiem jastrzębim biednego Bonacieux i wezwał go do zastanowienia się, co ma myśleć o ważności obecnego położenia. Kramarz już się zastanowił, co ma myśleć, i do wszystkich djabłów odsyłał chwilę, kiedy panu de La Porte przyszło do głowy żenić go ze swoją chrześniaczką, a nade wszystko tę, kiedy żona przyjęta została na dozorczynię bielizny królowej.

Podstawą charakteru imci pana Bonacieux był głęboko zakorzeniony egoizm w połączeniu z brudnem skąpstwem, a wszystko to zaprawne wyskokiem tchórzostwa. Miłość, jaką w nim wzbudziła młoda żona, była uczuciem drugorzędnem, nie mogącem walczyć z wrodzonemi uczuciami, które wyliczyliśmy przed chwilą.

Zastanowił się nareszcie Bonacieux i nad tem, co mu powiedziano przed chwilą.

— Ależ, panie sędzio — odezwał się z zimną krwią — wierzaj mi, iż więcej, niż ktokolwiek, znam i oceniam zasługi niezrównane eminencji, przez którego mamy zaszczyt być rządzeni.

— Doprawdy? — z powątpiewaniem spytał urzędnik — gdyby to było prawdą, w jaki sposób znalazłbyś się w Bastylji?

— W jaki sposób, a raczej, dlaczego tu jestem — odrzekł pan Bonacieux — tego właśnie nie mogę w żaden sposób wytłumaczyć panu, bo sam nic a nic nie rozumiem; lecz tego tylko pewny jestem, że w niczem nie obraziłem pana kardynała, przynajmniej, o ile mi wiadomo.

— Musiałeś się jednak ciężkiej zbrodni dopuścić, skoro obwiniony jesteś o najwyższą zdradę.

— O zdradę?... — wykrzyknął przerażony Bonacieux — o zdradę najwyższą?... Skądże skromny kramarz, brzydzący się Hugonotami i nienawidzący Hiszpanów, może być obwiniony o nią? Zastanów się, panie, to niemożebne.

— Panie Bonacieux — odezwał się zastępca sędziego, świdrując go małemi oczkami, jak gdyby rzeczywiście miały dar czytania w najskrytszych tajnikach serc ludzkich — pan masz żonę, panie Bonacieux?

— Tak, panie — odpowiedział kramarz ze drżeniem, czując, że tutaj właśnie sprawa może się wikłać — to jest miałem ją, panie.

— Jak to?... miałeś ją?.. a cóżeś z nią zrobił, jeśli już jej nie masz?

— Porwano mi ją, panie.

— Czy tak?... O!...

Wykrzyknik ten dał kramarzowi do myślenia, że sprawa plącze się coraz więcej.

— Porwano ci ją?... — ciągnął dalej — a czy wiesz, kto ten gwałt popełnił?

— Zdaje mi się, że wiem.

— Któż taki?

— O! proszę pana, ja na pewno nie twierdzę, ale tylko podejrzewam.

— Kogóż mianowicie? No, odpowiadaj otwarcie.

Pan Bonacieux znalazł się w opałach; miałże przeczyć wszystkiemu, czy mówić? Przecząc, ściągnąć mógł na siebie podejrzenie, iż za wiele wiedział, a nic nie chciał wyznać; mówiąc zaś, dawał dowody dobrych chęci.

Postanowił mówić.

— Posądzam — rzekł — wysokiego bruneta, o dumnej postawie, wyglądającego na wielkiego pana; śledził nas kilkakrotnie, jak mi się zdawało, gdy chodziłem na spotkanie żony do furtki Luwru, aby ją zaprowadzić do domu.

Urzędnik okazał pewne zaniepokojenie.

— Jakże się nazywa? — zapytał.

— O! tego wcale a wcale nie wiem. Gdybym go jednak spotkał, poznałbym natychmiast, zaręczam, choćby wśród tysiąca ludzi.

Zachmurzyło się czoło urzędnika.

— Poznałbyś go wśród tysiąca, powiadasz? — ciągnął dalej.

— To jest — podchwycił Bonacieux, czując, że się zanadto pospieszył — chciałem powiedzieć...

— Mówiłeś, że poznałbyś go — rzekł zastępca sędziego — dosyć zatem na dzisiaj; zanim dalej pójdziemy, musi być ktoś zawiadomiony, iż znasz tego, który ci porwał żonę.

— Ależ ja nie mówiłem, że go znam! — zawołał zrozpaczony Bonacieux — powiedziałem przeciwnie...

— Wyprowadzić więźnia — rzekł do stróża urzędnik.

— A dokąd?... — zapytał woźny.

— Do lochu?

— Do którego?

— O! do pierwszego lepszego, byle dobrze zamknąć — odrzekł zastępca sędziego z obojętnością, która zgrozą przejęła biednego Bonacieux.

— O! biada nieszczęsnej mej głowie!... — mówił sobie w duchu — żona moja widocznie przeskrobała straszliwie; myślą, że jestem jej wspólnikiem i razem z nią karać mnie będą: wygada się, przyzna, że zwierzyła mi się ze wszystkiego; kobieta to zawsze kiepska głowa! Do pierwszego lepszego lochu!... tak! noc tylko mignie, a jutro pod koło lub na szubienicę! O! Boże mój, Boże! ulituj się nade mną!...

Nie zważając bynajmniej na lamentacje imci pana Bonacieux, z któremi zresztą oswojeni byli, dwaj stróże ujęli więźnia pod pachy i uprowadzili, gdy tymczasem komisarz pisał naprędce list, na który czekał woźny. Bonacieux ani oka nie zmrużył, nie dlatego, ażeby więzienie było zbyt nieprzyjemne, ale, że go dręczył straszliwy niepokój.

Całą noc przesiedział na stołku, drżąc za najmniejszym szelestem, a gdy pierwsze promienie słońca wdarły się do więzienia, wydało mu się, jakoby poranek przywdział barwy żałobne.

Naraz wzdrygnął się cały, usłyszał bowiem odsuwanie rygli. Pewien był, iż przychodzą, aby go na rusztowanie poprowadzić; kiedy więc zamiast kata, którego się spodziewał, ujrzał po prostu znanego mu zastępcę sędziego i woźnego, gotów był rzucić się im na szyję.

— Sprawa twoja, mój poczciwcze, zawikłała się okrutnie od wczorajszego wieczora — rzekł doń urzędnik — i radzę ci prawdę całą wyznać, bo tylko skrucha twoja, może zażegnać gniew kardynała.

— Ależ gotów jestem wszystko powiedzieć... wszystko przynajmniej, co wiem. Pytaj mnie pan, proszę.

— Najpierw, gdzie jest twoja żona?

— Powiedziałem przecie panu, iż mi ją porwano.

— Tak, lecz wczoraj o piątej po południu uciekła dzięki twojej pomocy.

— Żona moja uciekła!... — krzyknął Bonacieux — O! nieszczęsna! Panie, jeżeli się tak stało, to nie z mojej winy, przysięgam!...

— Cóż więc robiłeś u pana d'Artagnan, sąsiada twojego, z którym w ciągu dnia miałeś długą naradę?

— A! tak panie sędzio, to prawda, przyznaję, iż zawiniłem. Byłem u niego.

— Jaki był cel tych odwiedzin?

— Prośba, aby mi dopomógł w odnalezieniu żony. Sądziłem, iż mam prawo upominać się o nią; byłem widocznie w błędzie, błagam więc pana o przebaczenie.

— A pan d'Artagnan cóż na to?

— Przyobiecał mi pomoc, spostrzegłem jednak wkrótce, że mnie zdradza.

— Zeznajesz to w obliczu sprawiedliwości. Pan d'Artagnan zawiązał z tobą przymierze, na mocy którego zmusił do ucieczki służbę policyjną, która przyaresztowała twoją żonę i ukrył ją przed wszelkiem poszukiwaniem.

— Pan d'Artagnan moją żonę wykradł?... Co pan mówisz?

— Na szczęście, mamy go już w ręku i będziesz z nim skonfrontowany.

— A! i owszem — zawołał Bonacieux — bardzo mi będzie przyjemnie twarz znajomą zobaczyć.

— Wprowadzić tu pana d'Artagnana — rzekł komisarz do stróżów.

Wprowadzono Athosa.

— Panie d'Artagnan — rzekł do niego urzędnik — zeznaj, co zaszło pomiędzy tobą a tym oto panem.

— Ależ to nie pan d'Artagnan! — zawołał Bonacieux.

— Jakto? nie pan d'Artagnan? — wykrzyknął zastępca sędziego.

— Nie!... ależ nigdy w świecie!... — odrzekł Bonacieux.

— Więc jak się ten pan nazywa? — zapytał urzędnik.

— Nie mogę panu powiedzieć, bo go nie znam.

— Co?... nie znasz go?

— Nie.

— Nie widziałeś go nigdy?

— I owszem, ale nie wiem, jak się nazywa.

— Nazwisko pańskie? — zapytał urzędnik.

— Athos — odpowiedział muszkieter.

— Ależ to nazwisko nie człowieka, tylko góry! — zawołał badacz, tracąc poniekąd głowę.

— To jest moje nazwisko — odrzekł spokojnie Athos.

— Powiedziałeś jednak, że nazywasz się d'Artagnan.

— Ja?

— Tak, pan.

— Właściwie to mnie powiedziano: „Jesteś panem d'Artagnan?” Odpowiedziałem: „Czy tak?” Stróże wasi zakrzyczeli mnie, że są tego pewni. Nie chciałem im przeczyć. Zresztą mogłem się mylić.

— Panie, ubliżasz pan majestatowi sprawiedliwości.

— Bynajmniej — odparł spokojnie Athos.

— Pan jesteś d'Artagnan?

— Widzisz pan, że sam mówisz to jeszcze.

— Ależ... powiadam panu sędziemu — zawołał z kolei Bonacieux — iż nie ma najmniejszej wątpliwości. Pan d'Artagnan jest moim lokatorem, a że nie płaci mi komornego, tembardziej muszę go przecie znać. Pan d'Artagnan to młodzieniec najwyżej dwudziestoletni, a ten pan ma co najmniej trzydzieści lat. Pan d'Artagnan służy w pułku pana Desessarts, a ten pan jest z kompanji muszkieterów pana de Tréville. Przypatrz się, panie sędzio, mundurowi.

— To prawda — mrukną! urzędnik — prawda, do licha!...

W tej chwili drzwi otwarto z pośpiechem i posłaniec, wprowadzony przez jednego z odźwiernych Bastylji, doręczył urzędnikowi list.

— O! nieszczęsna!... — wykrzyknął zastępca sędziego.

— Co takiego?... o kim pan mówisz?... spodziewam się, że nie o mojej żonie?...

— Przeciwnie, o niej... Słuchaj, nietęga twoja sprawa.

— Masz tobie!... — wykrzyknął zrozpaczony kramarz — racz mi pan powiedzieć, czy sprawa moja pogorszyć się może przez to, co zrobiła żona podczas pobytu mojego w więzieniu!...

— Z pewnością, gdyż to, co zrobiła, jest następstwem planu, ułożonego pomiędzy wami, piekielnego planu.

— Przysięgam ci, panie sędzio, że mylisz się najokrutniej. Ja nic a nic w świecie nie wiem o tem, co ona miała zrobić, i wszystko, co zrobiła, jest mi zupełnie obce, a jeżeli głupstwo jakie popełniła, wyrzekam się jej, wypieram, wyklinam raz na zawsze!...

— Koniec końców — rzekł Athos do urzędnika — jeżeli już niepotrzebny tu jestem, wypraw mnie gdziekolwiek, strasznie nudny jest ten twój pan Bonacieux.

— Odprowadź więźniów do ich cel — rzekł zastępca sędziego, wskazując Athosa i Bonacieux — i strzeż ich pilniej, niż dotąd.

— A jednak — odezwał się Athos z właściwym sobie spokojem — jeżeli pan masz z d'Artagnanem do czynienia, nie rozumiem w czem ja go tu mogę zastąpić.

— Zrobić tak, jak mówiłem — krzyknął urzędnik — i pilnować najściślej! Rozumiecie!

Athos wzruszył ramionami, poszedł za strażnikami, a narzekania pana Bonacieux zmiękczyćby mogły nawet serce tygrysie.

Wprowadzono kramarza do tej samej celki, w której noc przepędził, i pozostawiono go tam przez dzień cały.

Wieczorem, około dziewiątej, gdy już był zdecydowany położyć się do łóżka, usłyszał na korytarzu kroki, które zatrzymały się przed drzwiami jego więzienia.

Ukazała się straż.

— Proszę za mną — rzekł oficer służbowy, postępujący za strażą.

— Za panem!... — wykrzyknął Bonacieux — za panem!... i dokąd że to, mój Boże?...

— Tam, dokąd mamy rozkaz pana zaprowadzić.

— Ależ to nie jest odpowiedź.

— Tę tylko dać ci możemy.

— A! Boże mój! Boże!... — szepnął biedny kramarz — teraz już po wszystkiem!...

I powlókł się bezmyślnie, bez najmniejszego oporu za strażą, która po niego przyszła.

Prowadzono go tą samą drogą, którą już przebywał; u bramy wjazdowej nareszcie zastał karetę, otoczoną przez 4-ch konnych strażników. Kazano mu wsiąść do powozu, oficer zajął miejsce obok niego, drzwiczki zamknięto na klucz, i znaleźli się obydwaj w więzieniu na kołach.

Powóz potoczył się zwolna, jak wóz pogrzebowy. Więzień widział przez zamknięte kraty: domy, bruk i nic więcej nad to; lecz, jako prawdziwy paryżanin, poznawał każdą ulicę po szyldach, słupach i latarniach.

W chwili, kiedy powóz zbliżył się do Saint-Paul, miejsca, gdzie tracono skazanych z Bastylji, Bonacieux o mało nie zemdlał i przeżegnał się dwa razy, myśląc, że tu się zatrzyma, ale pojazd toczył się dalej.

Później, strach go ogarnął jeszcze większy, gdy mijali cmentarz Ś-go Jana, gdzie chowano przestępców stanu. Jedna myśl go tylko pocieszała, a mianowicie, że, zanim ich grzebano, ucinano im głowy, a jego głowa siedziała jeszcze mocno na karku. Ale kiedy powóz zawrócił w kierunku placu de la Greve, kiedy zobaczył spiczaste dachy ratusza i powóz podjechał pod arkady, myślał, że wszystko się dla niego skończyło i chciał się wyspowiadać oficerowi. Gdy ten odmówił, krzyczeć zaczął tak niemiłosiernie,

że zagrożono mu zakneblowaniem gęby. Groźba ta pocieszyła trochę biednego Bonacieux, bo i na cóż mieliby go kneblować, gdyby miał być stracony.

Minęli też fatalny plac, nie zatrzymując się wcale.

Obawiać się teraz można było tylko la Croix-du-Trahoir, a powóz w tym właśnie potoczył się kierunku.

Teraz nie było już wątpliwości, w la Croix-du-Trahoir miał zakończyć i podróż swoją i żywot!

Nie mógł dojrzeć jeszcze strasznego tego krzyża (Croix), ale czuł go już blisko.

Kiedy oddzielała go już tylko odległość nie więcej nad dwadzieścia kroków, usłyszał gwar jakiś i powóz się zatrzymał.

Tego już było zanadto dla biednego Bonacieux. Zgnębiony wzruszeniami, które przechodził, jęknął słabo jękiem, jaki można było wziąć za ostatnie westchnienie umierającego, i zemdlał.

Rozdział XIV. Nieznajomy z Meung

Tłum hałaśliwy, na jaki natrafiono, zebrał się nie w oczekiwaniu na powieszenie człowieka, lecz dla przyjrzenia się już powieszonemu.

Powóz, zatrzymany przez chwilę, puścił się w dalszą drogę i, przebijając się przez tłuszczę, przeciął ulicę Ś-go Honoryusza, zawrócił na ulicę Dobrych dzieci i stanął przed niepozorną furtką.

Drzwiczki karety otwarto, dwóch ze straży pochwyciło w objęcia swoje pana Bonacieux, podtrzymywanego przez oficera; wepchnięto go do sieni, później na schody i wprowadzono do przedpokoju.

Wszystko to odbyło się bez jego wiedzy.

Szedł tak, jakby się znajdował we śnie. Przedmioty wszystkie mgła mu przesłaniała, słuch chwytał dźwięki, nie rozumiejąc ich wcale. Dałby się był zaprowadzić na rusztowanie i głowę na pniu położyłby, nie kiwnąwszy nawet palcem dla obrony, i aniby nawet pisnął błaganiem o litość.

Pozostał tak, jak go posadzono na ławeczce, plecami oparty o ścianę, z rękami zwieszonemi i przymkniętemi oczyma.

Gdy ośmielił się otworzyć powieki, nie zobaczył dokoła żadnego przedmiotu groźnego, mogącego wskazywać mu niebezpieczeństwo.

Ławeczka wysłana była wygodnie, ściany pokryte piękną skórą kordubańską, u okien zwieszały się wielkie firanki z czerwonej materji, podtrzymywane złotemi przepaskami.

Zrozumiał, iż przestrach jego był przesadzony, i począł kręcić głową to w prawo, to w lewo, to na dół, to do góry.

Ponieważ nikt nic nie miał przeciw tym poruszeniom, nabrał trochę odwagi i spróbował wysunąć najpierw jedną, a potem drugą nogę; nareszcie, podparłszy się na rękach, podniósł się z ławeczki i stanął.

W tejże chwili oficer pięknej powierzchowności uchylił portjery, kończąc jeszcze rozmowę z osobą, w przyległym pokoju będącą, i zwróciwszy się do więźnia, rzekł:

— To pan nazywasz się Bonacieux?

— Tak, panie oficerze, do usług pańskich — wybełkotał na wpół żywy kramarz.

— Proszę wejść — rzekł oficer.

I usunął się na bok, aby przepuścić kramarza, który usłuchał ślepo i wszedł do pokoju, gdzie go oczekiwano widocznie.

Był to obszerny gabinet o ścianach, przybranych bronią zaczepną i obronną, wysłany dywanami i zaciszny, a w kominku, pomimo końca września zaledwie, płonął suty ogień.

Stół czworokątny, pokryty książkami i papierami, pomiędzy któremi rozłożony był olbrzymi plan miasta Rochelli, zajmował środek pokoju.

Przed kominkiem stał mężczyzna średniego wzrostu, postawy wyniosłej i dumnej, z oczami przenikliwemi, twarzą wychudłą, którą wydłużała jeszcze spiczasta bródka, a ponad nią wznosiły się cienkie wąsiki.

Jakkolwiek mężczyzna ten miał zaledwie trzydzieści siedem lat, włosy, wąsy i bródka siwieć mu już poczynały. Gdyby nie brak szpady, wygląd miałby rycerski; buty ze skóry bawolej, lekko jeszcze pyłem pokryte, świadczyły, iż w ciągu dnia musiał dosiadać konia.

Był to Armand-Jan-Duplessis, kardynał de Richelieu, ale nie taki, jak go nam przedstawiają, starzec, wiekiem złamany, cierpiący, jak męczennik, z ciałem bezsilnem, zagasłym głosem, pogrążony w fotelu, jak w przedwczesnym grobie, żyjący tylko siłą swego genjuszu i wytrzymujący walkę z Europą przez nieustanny wysiłek myśli.

Był on taki, jak rzeczywiście wyglądał w owej epoce. Zręczny kawaler światowy, słaby ciałem, lecz podtrzymywany władzą ducha, która czyniła z niego jedną z najwybitniejszych postaci w świecie; przygotowujący się teraz, po osadzeniu księcia de

Nemours w księstwie Mantui, po wzięciu Nimes, Castres i Uzes, do wypędzenia Anglików z wyspy Re i do oblężenia Rochelli.

Na pierwsze wejrzenie nic w nim nie zdradzało kardynała i tym, którzy nie znali go z twarzy, trudno było odgadnąć, kogo mają przed sobą.

Biedny kramarz stał przy drzwiach, kiedy oczy osobistości, przez nas opisanej utkwione w nim były, i, jakby się goniąc, sięgały do głębi jego duszy.

— Więc to ów Bonacieux? — zapytał po chwili milczenia.

— Tak, monsiniorze — odrzekł oficer.

— Dobrze, podaj mi te papiery i zostaw nas samych.

Oficer wziął ze stołu wskazane papiery, podał je żądającemu, skłonił się do ziemi i wyszedł.

W papierach tych poznał Bonacieux protokół swój z Bastylji.

Od czasu do czasu mężczyzna, stojący przed kominkiem, odrywał oczy od pisma i zatapiał je, jak sztylety w serce biednego gospodarza.

Po dziesięciominutowem czytaniu i chwili badania wzrokiem zdanie kardynała zostało ustalone.

— Głowa ta nie spiskowała nigdy, — wyszeptał — lecz mniejsza o to, przekonajmy się sami.

— Obwiniony jesteś o zdradę — rzekł przeciągle kardynał.

— Powiedziano mi to właśnie, monsiniorze — zawołał Bonacieux, używając tytułu, jaki słyszał od oficera, — lecz przysięgam, iż nic o tem nie wiem.

Kardynał powstrzymał uśmiech.

— Spiskowałeś z żoną swoją, z panią de Chevreuse i księciem de Buckingham.

— Rzeczywiście, monsiniorze — odparł gospodarz — słyszałem, jak wymawiała wszystkie te nazwiska.

— W jakich okolicznościach?

— Mówiła ona, iż kardynał de Richelieu ściągnął do Paryża księcia Buckinghama, aby go razem z królową zgubić.

— Ona to mówiła? — zawołał kardynał gwałtownie.

— Tak, monsiniorze; powiedziałem jej, iż źle robi, plotąc podobne rzeczy, i że jego eminencja nie byłby zdolny...

— Milcz, jesteś głupiec — przerwał mu kardynał.

— Zupełnie to samo powiedziała mi żona, monsiniorze.

— Czy wiesz, kto twoją żonę porwał?

— Nie, monsiniorze.

— Masz jednak jakieś podejrzenia?

— Tak, lecz one nie w smak były panu sędziemu, więc już ich nie mam wcale.

— Żona twoja wydostała się na wolność. Wiedziałeś o tem?

— Nie, monsiniorze, dowiedziałem się w więzieniu dopiero i to z ust pana sędziego, wielce miłego człowieka!

Uśmiech znów się ukazał na ustach kardynała.

— Nie wiesz zatem, co się z żoną twoją stało po ucieczce?

— Nic zgoła nie wiem, monsiniorze, musiała pewnie powrócić do Luwru.

— O pierwszej w nocy nie było jej tam jeszcze.

— A! mój Boże! cóż się więc z nią stało?...

— To się wyda, bądź spokojny; nic się przed kardynałem nie ukryje, kardynał wie o wszystkiem.

— W takim razie, monsiniorze, czy sądzisz, iż kardynał zgodzi się, powiedzieć mi, co się stało z moją żoną?

— Być może, ale najpierw musisz wyznać wszystko, co wiesz o stosunkach żony twojej z panią de Chevreuse?

— Kiedy ja nie wiem o niczem, monsiniorze; nigdy jej nie widziałem.

— Gdy chodziłeś po nią do Luwru, czy wracała prosto do domu?

— Nigdy prawie: miała interesy do sklepów z płótnem, dokąd ją też odprowadzałem.

— A wielu kupców takich było?

— Dwóch, monsiniorze.

— Gdzie mieszkali?

— Jeden, przy ulicy Vaugirard, drugi przy ulicy de la Harpe.

— Czy wchodziłeś z nią do nich?

— Nigdy, monsiniorze; czekałem przede drzwiami.

— A czem się tłómaczyła, że wchodzi sama?

— Nie tłómaczyła się nigdy; kazała mi czekać i czekałem.

— Wygodny z ciebie małżonek, drogi mój panie Bonacieux! — rzekł kardynał.

— On mnie drogim swoim panem nazywa! — rzeki sobie w duchu kramarz. — Nieźle już rzeczy stoją!

— Czy poznałbyś te drzwi?

— Poznałbym.

— A pamiętasz numery domów?

— Pamiętam.

— Jakież więc?

— Nr. 25 przy ulicy Vaugirard; Nr. 75 ulica de la Harpe.

— Dobrze — rzekł kardynał.

To mówiąc, zadzwonił; wszedł oficer.

— Idź po Rocheforta — rzekł doń półgłosem — niech przyjdzie tu natychmiast, jeżeli już powrócił.

— Hrabia jest już tutaj — odrzekł oficer — i pragnie usilnie mówić z waszą eminencją!

— Niech przyjdzie, niech przyjdzie! — rzekł porywczo kardynał.

Oficer wybiegł z pokoju z pośpiechem, właściwym tym wszystkim, którzy kardynałowi służyli.

— Z waszą eminencją! — mruczał Bonacieux, tocząc błędnym wzrokiem.

W kilka minut zaledwie po wyjściu oficera drzwi się otworzyły i weszła nowa figura.

— To on! — wykrzyknął Bonacieux.

— Co za on? — zapytał kardynał.

— Ten, co żonę mi porwał.

Kardynał znowu zadzwonił. Oficer wszedł.

— Oddaj tego człowieka w ręce stróżów i niechaj czeka, aż go wezwę do siebie.

— Nie, monsiniorze! nie, to nie on! — wołał Bonacieux — nie, ja się pomyliłem: to ktoś inny, wcale do niego niepodobny! Ten pan jest człowiekiem uczciwym.

— Precz z tym durniem! — zawołał kardynał.

Oficer wziął kramarza pod pachę i wyprowadził do przedpokoju, gdzie oczekiwali dwaj jego dozorcy.

Nowoprzybyły powiódł wzrokiem niecierpliwym za wychodzącym Bonacieux, a skoro drzwi zamknęły się za nim, rzekł:

— Widzieli się.

— Kto? — zapytał kardynał.

— On i ona.

— Królowa i książę?

— Tak.

— Gdzie?

— W Luwrze.

— Jesteś tego pewny?

— Najzupełniej.

— Kto ci to mówił?

— Pani de Launay, która jak Waszej eminencji wiadomo, oddana mi jest zupełnie.

— Czemuż wcześniej tego nie powiedziała?

— Bo przypadkowo, a może też przez nieufność, królowa rozkazała pani de Surgis spać w swoim pokoju i cały dzień nie puściła jej od siebie.

— Ha! jesteśmy pobici. Postarajmyż się o odwet.

— Bądź spokojny, monsiniorze, pomogę ci z całej duszy.

— Jakże to było?

— O godzinie wpół do pierwszej w nocy królowa była w otoczeniu dam swoich…

— Gdzie?

— W sypialni swojej.

— Dobrze.

— Gdy wtem wręczono jej chusteczkę, przyniesioną przez dozorczynię bielizny…

— Cóż dalej?

— Nagłe wzruszenie ogarnęło królową i pomimo różu, którym twarz miała pokrytą, zbladła.

— Cóż dalej?… prędzej!

— Podniosła się jednakże i głosem niepewnym: moje panie — powiedziała — za dziesięć minut powrócę, poczekajcie na mnie. Otworzyła drzwi alkowy i wyszła.

— Dlaczego pani de Launay nie dała ci o tem znać natychmiast?

— Nic jeszcze nie było pewnego; zresztą królowa powiedziała: — moje panie, poczekajcie na mnie — nie śmiała więc sprzeciwić się rozkazowi królowej.

— Jak długo nie było królowej w jej pokoju?

— Trzy kwadranse.

— Czy żadna z dam nie poszła razem z nią?

— Donna Estefana tylko.

— A potem królowa wróciła?

— Tak, aby zabrać szkatułkę z drzewa różanego z cyfrą swoją, i wyszła znowu.

— A jak wróciła wreszcie, czy przyniosła szkatułkę?

— Nie.

— Czy pani de Launay wiedziała, co zawiera szkatułka?

— Tak, zapinki djamentowe, które król ofiarował królowej.

— Zatem bez szkatułki wróciła?

— Tak.

— Zdaniem pani de Launay, oddała ją Buckinghamowi?

— Jest tego pewną.

— Dlaczego?

— Gdyż pani de Launay, jako dama usługująca królowej przy toalecie, szukała brylantów wszędzie w ciągu dnia, udając zaniepokojenie wielkie, a nie znalazłszy, zapytała królowej, co się z niemi stać mogło.

— A cóż na to królowa?...

— Zaczerwieniła się okropnie i odpowiedziała, iż uszkodziwszy wczoraj jedną z zapinek, posłała ją swemu jubilerowi do naprawy.

— Trzeba udać się do niego i przekonać, czy to prawda, czy nie.

— Byłem już tam.

— I cóż jubiler?...

— Nie słyszał o niczem.

— Dobrze! słuchaj, Rocheforcie, nie wszystko jest stracone, a może... dobrze się nawet stało!...

— O! nie wątpię, że genjusz waszej eminencji...

— ...naprawi głupstwa swego agenta, wszak tak?

— To właśnie miałem powiedzieć, gdyby wasza eminencja była mi dozwoliła dokończyć zdania.

— A teraz, czy wiesz gdzie się ukrywali księżna de Chevreuse i książę de Buckingham?

— Nie, monsiniorze, ludzie moi nie mogli mi nic pewnego powiedzieć.

— A ja, wiem.

— Wy, monsiniorze?

— Tak, a przynajmniej przypuszczam. Obrali sobie siedzibę, jedną przy ulicy Vaugirard Nr. 25, drugą przy ulicy la Harpe Nr. 75.

— Czy wasza eminencja życzy sobie, ażebym ich kazał aresztować?

— Za późno, już ich tam nie znajdą.

— Bądź co bądź, przekonać się można.

— Weź z sobą dziesięciu z przybocznych moich i przetrząśnijcie obydwa domy.

— Idę, monsiniorze.

Rochefort wybiegł z pokoju.

Kardynał, pozostawszy sam, wpadł w chwilową zadumę, następnie zadzwonił po raz trzeci.

Oficer wszedł.

— Wpuść tu więźnia — odezwał się kardynał.

Bonacieux znowu został wprowadzony, oficer zaś na znak kardynała wyszedł.

— Oszukałeś mnie!... — surowo rzekł kardynał.

— Ja?... — wykrzyknął Bonacieux — ja miałbym oszukać waszą eminencję?...

— Żona twoja, idąc na ulicę Vaugirard i de la Harpe, wcale nie do kupców płótna wstępowała.

— Boże sprawiedliwy! a gdzież chodzićby mogła?...

— Do księżnej de Chevreuse i księcia de Buckingham.

— Tak — rzekł Bonacieux, przypomniawszy sobie wszystko — tak, wasza eminencja ma słuszność. Nieraz ja jej mówiłem, że to dziwnie, aby kupcy płótna w takich domach mieszkali, gdzie żadnych nie ma szyldów, a ona wtedy się śmiała. O!... monsiniorze — wołał Bonacieux, rzucając się do nóg eminencji. — O! prawdziwie wielkim kardynałem jesteś, człowiekiem genjuszu, którego świat cały uwielbia!...

Jakkolwiek drobnym był triumf, odniesiony nad istotą tak pospolitą, jak Bonacieux, ucieszył on jednak kardynała na chwilę. Naraz nowa myśl widocznie zaświeciła w jego umyśle, uśmiech przebiegł mu po ustach, i, podając rękę kramarzowi, wyrzekł:

— Powstań, przyjacielu, dobry z ciebie człowiek.

— Kardynał dotknął mojej ręki! ja dotknąłem ręki wielkiego człowieka! — zawołał Bonacieux — przyjacielem swoim mnie nazwał!

— Tak, przyjacielem, tak! — rzekł kardynał tonem ojcowskim, jaki niekiedy potrafił przybierać, wprowadzając tem jednak w błąd tylko tych, którzy go nie znali, — a ponieważ posądzono cię niesłusznie, słuchaj, należy ci się wynagrodzenie. Patrz, weź tę sakiewkę ze stoma pistolami, i nie gniewaj się na mnie.

— Ja mam się gniewać na pana, monsiniorze! — rzekł Bonacieux, wahając się, czy ma przyjąć sakiewkę, obawiał się bowiem, aby ten dar proponowany nie był tylko żartem. — Wolno ci było, eminencjo, kazać mnie uwięzić, wolno ci teraz brać mię na tortury, powiesić, jesteś panem życia i śmierci, a mnie nie godzi się słówka nawet wypuścić z ust. I ja mam się na pana gniewać? żartujesz chyba, eminencjo?...

— O! drogi mój panie Bonacieux, widzę żeś szlachetny i dziękuję ci za to. Weźmiesz więc sakiewkę i odejdziesz, nie mając do mnie urazy?

— Odchodzę, zachwycony waszą ekscelencją.

— Żegnam cię więc, a raczej mówię do widzenia, bo mam nadzieję, że zobaczymy się jeszcze!...

I pożegnał go ręką, na co Bonacieux odpowiedział niskim ukłonem aż do ziemi; wyszedł, cofając się, a gdy już był w przedpokoju, kardynał usłyszał, jak uniesiony zapałem, wrzeszczał na cale gardło: Niech żyje monsinior! niech żyje jego eminencja! niech żyje wielki kardynał!

Z uśmiechem przysłuchiwał się kardynał tym hałaśliwym objawom uczuć zapalającego się imcipana Bonacieux.

Gdy wreszcie krzyki te rozpłynęły się w oddali, rzekł sam do siebie:

— Znowu jeden, który da się zabić za mnie.

I z największą uwagą przyglądał się już mapie Roszelli, znacząc ołówkiem linję, gdzie miała być przeprowadzona sławna tama, która w osiemnaście miesięcy potem zamykała port oblężonego miasta.

Gdy tak pogrążył się w rozmyślaniach strategicznych, drzwi się uchyliły i stanął w nich Rochefort.

— I cóż? — zapytał kardynał gwałtownie, zrywając się szybko od stołu, co świadczyło, jak go ta sprawa obchodzi.

— Tak — odrzekł tenże — kobieta młoda, około dwudziestu sześciu lat mająca, i mężczyzna trzydziestopięcioletni przebywali rzeczywiście, ona cztery, on pięć dni, w domach, wskazanych przez Waszą eminencję; ale kobieta wyjechała tej nocy, a mężczyzna dziś z rana.

— To oni! — zawołał kardynał, patrząc na zegar — a teraz — mówił — za późno już puszczać się za nimi w pogoń. Księżna jest w Tours, a książę w Boulogne. Dogonić ich należy w Londynie.

— Jakie są rozkazy waszej eminencji?

— Ani słówka o tem, co zaszło. Królowa niech będzie zupełnie spokojna, niech nie przypuszcza, iż znamy jej tajemnicę, niech myśli, że szukamy dopiero jakiegoś spisku. Przyślij mi tu wielkiego kanclerza Seguier.

— A co wasza eminencja zrobiła z tym człowiekiem?

— Z jakim? — zapytał kardynał.

— Z tym Bonacieux.

— Zrobiłem, co się dało. Szpiega własnej jego żony.

Hrabia de Rochefort skłonił się, jakby uznając widocznie wyższość swego mistrza, i wyszedł.

Kardynał, znalazłszy się sam, usiadł przy biurku, napisał list i, zapieczętowawszy osobistą pieczęcią, zadzwonił.

Oficer znowu się stawił.

— Posłać mi po Vitraya — rzekł — i powiedzieć mu, aby przygotował się do podróży.

W chwilę potem człowiek, którego sobie życzył, stal przed nim w butach podróżnych z ostrogami.

— Vitray — rzekł — puścisz się pędem do Londynu. Ani chwili nie zatrzymasz się w drodze. List ten oddasz milady. Oto kwit na dwieście pistolów, udaj się do mojego skarbnika i każ sobie wypłacić. Dostaniesz drugie tyle, jeżeli za sześć dni będziesz z powrotem i spełnisz dobrze zlecenie.

Bez słowa odpowiedzi wysłaniec skłonił się, zabrał list i kwit i wyszedł.

Oto, co list ten zawierał:

„Milady!
Bądź na pierwszym balu, na którym znajdować się będzie książę de Buckingham. Będzie on miał dwanaście zapinek przy ubraniu swojem, zbliż się do niego i dwie mu z nich obetnij.
Skoro je będziesz miała, zawiadom mnie niezwłocznie”.

Rozdział XV. Urzędnicy i wojskowi

Nazajutrz po wypadkach, wyżej opowiedzianych, gdy Athos nie pokazywał się, d'Artagnan i Porthos zawiadomili o jego zniknięciu pana de Tréville. Aramis zaś, zażądawszy pięciodniowego urlopu, wyjechał do Rouen, gdzie, jak mówiono, miał do załatwienia interesy familijne.

Pan de Tréville był ojcem dla swoich podwładnych.

Najpodrzędniejszy z nich, skoro tylko nosił mundur oddziału, pewien był jego pomocy i poparcia, jak u rodzonego brata.

Tréville, dowiedziawszy się o wypadku z Athosem, udał się natychmiast do urzędnika, mającego kontrolę nad sprawami kryminalnemi. Sprowadzono oficera, dowodzącego wartą w więzieniu Krzyża Czarnego, i z jego objaśnień dowiedziano się, że Athos osadzony był czasowo w Forcie Biskupim.

Athos przeszedł wszystkie takie same przykrości, jakie znieść musiał Bonacieux.

Obecni byliśmy przy konfrontacji dwóch więźniów.

Athos, który milczał dotąd z obawy, aby d'Artagnanowi nie zbrakło potrzebnego czasu, oświadczył teraz stanowczo, iż nazywa się Athos, a nie d'Artagnan.

Dodał, iż nie zna ani pani, ani pana Bonacieux; że nie mówił z nimi nigdy; że przyszedł odwiedzić d'Artagnana około dziewiątej wieczorem, a przedtem był u pana de Tréville, u którego obiadował; dodał i to również, iż dwudziestu świadków może stwierdzić ten fakt i wymienił kilkanaście osób, wysoko postawionych, a pomiędzy innymi księcia de la Trémouille.

Drugi zastępca sędziego, również jak i pierwszy, uczul się oszołomiony tem jasnem i stanowczem zeznaniem muszkietera, któremu rad byłby pokazać swą wyższość, jako urzędnik cywilny człowiekowi, noszącemu szpadę; lecz nazwisko pana de Tréville i księcia de la Trémouille, zwróciło jego uwagę.

Odesłano Athosa do kardynała, lecz na nieszczęście był on wtedy w Luwrze u króla.

Była to właśnie pora, w której pan de Tréville, wyszedłszy od urzędnika, rozpatrującego sprawy kryminalne i od naczelnika Fortu Biskupiego, nie znalazł Athosa i przybył do Jego Królewskiej Mości. Jako dowódca muszkieterów, pan de Tréville miał wstęp do króla o każdej godzinie.

Wiadomo, jakie były uprzedzenia króla względem królowej, uprzedzenia, zręcznie podsycane przez kardynała, który pod względem intryg nieskończenie więcej nie dowierzał kobietom, aniżeli mężczyznom.

Jedną z najgłówniejszych przyczyn tego uprzedzenia, była przyjaźń Anny Austrjackiej dla pani de Chevreuse.

Dwie te kobiety więcej mu sprawiały niepokoju, niż wojna z Hiszpanją, zatargi z Anglją i finansowe kłopoty.

W jego przekonaniu, pani de Chevreuse, przewyższała królową nie tylko w intrygach politycznych, ale, co go znacznie więcej dręczyło, i w intrygach miłosnych.

Kiedy więc kardynał powiedział królowi, że pani de Chevreuse, która za karę zesłana była do Tours, przyjechała do Paryża, przebywała tu pięć dni, zmyliła tropy policji, król wpadł w gniew gwałtowny.

Kapryśny i niestały, chciał, aby go nazywano: Ludwikiem Sprawiedliwym i Ludwikiem Skromnym.

Potomność z trudnością zrozumie ten charakter, który historja wyjaśnia faktami, a nigdy rozumowaniem.

Gdy zaś kardynał dodał, że pani de Chevreuse nie tylko przyjechała do Paryża, ale królowa zawiązała z nią jeszcze na nowo tajemniczą korespondencję, gdy zapewnił, że

miał już w rękach nitkę tej zawiłej intrygi, a byłby nawet całą rzecz pochwycił na gorącym uczynku, lecz pewien muszkieter, wysłaniec królowej, poważył się z bronią w ręku napaść na czcigodnych sadowników, badających bezstronnie tę sprawę, Ludwik XIII-ty, nie będąc w stanie zapanować nad sobą, podążył ku apartamentom królowej, z bladą twarzą, z niemą pogardą i oburzeniem, które, gdy wybuchnęło, doprowadzało do najchłodniejszego okrucieństwa.

A jednak w tern, co mówił kardynał, nie było jeszcze ani wzmianki o Buckinghamie.

Wtedy właśnie wszedł pan de Tréville, zimny, grzeczny i ubrany bez zarzutu.

Obecność kardynała i widok zmienionego oblicza króla ostrzegły go, co zaszło pomiędzy nimi, i poczuł się silnym, jak Samson wobec Filistynów.

Ludwik XIII brał już za klamkę u drzwi.

Na szmer, sprawiony przez wchodzącego pana de Tréville, obejrzał się.

— O! w porę pan przychodzisz — odezwał się król, który, wpadłszy już w pasję, powściągnąć jej nie był w stanie — pięknych rzeczy dowiaduję się o pańskich muszkieterach.

— A ja — rzekł z zimną krwią de Tréville — piękne rzeczy mam donieść Waszej Królewskiej Mości o jego cywilnych urzędnikach.

— Co takiego? — zapytał wyniośle król.

— Mam zaszczyt oznajmić Waszej Królewskiej Mości — mówił dalej Tréville tym samym tonem — iż pewni prokuratorzy, komisarze i niżsi urzędnicy policji, ludzie wielce szanowni, lecz, jak widać, mocno zaciekli przeciw mundurowi wojskowemu, pozwolili sobie aresztować w domu i wrzucić do więzienia jednego z moich, a raczej z twoich muszkieterów, Najjaśniejszy Panie, człowieka bez zarzutu, nieledwie znakomitego, którego Wasza Królewska Mość zna z dobrej strony, bo jest nim pan Athos.

— Athos — machinalnie powtórzył król — tak, w istocie znam to nazwisko.

— Racz przypomnieć sobie, Najjaśniejszy Panie mówił dalej Tréville — iż pan Athos jest tym muszkieterem, który w owym smutnej pamięci pojedynku zranił tak niebezpiecznie pana de Cahusac. Ale, monsiniorze — ciągnął dalej Tréville, zwracając się do kardynała — spodziewam się, iż pan de Cahusac przyszedł już zupełnie do zdrowia?

— Dziękuję!... — odparł kardynał, przygryzając ze złości wargi.

— Otóż pan Athos poszedł odwiedzić jednego ze swoich przyjaciół, którego nie zastał, młodego bearneńczyka, kadeta z gwardji Jego Królewskiej Mości, z oddziału

Desessarts, zaledwie jednak zdążył usiąść i wziąć książkę do ręki, aby skrócić oczekiwanie na przyjaciela, gdy chmara pachołków i żołnierzy otoczyła dom, i kilkoro drzwi wyłamała…

Kardynał uczynił królowi znak porozumienia, jakby chciał wypowiedzieć: „To właśnie ta sprawa, o której mówiłem".

— Znane nam jest to wszystko — odpowiedział król a stało się to dla naszego dobra.

— Więc — rzekł Tréville — dla dobra Waszej Królewskiej Mości także pochwycono jednego z niewinnych muszkieterów moich, osadzono w więzieniu, jak złoczyńcę, i wśród urągających tłumów prowadzono tego zacnego rycerza, który po dziesięćkroć przelewał krew swoją w usługach Waszej Królewskiej Mości i gotów powtórzyć to zawsze.

— Ba! — odezwał się król z pewnem wahaniem — to się tak rzeczy miały?

— Pan de Tréville przemilczał — podchwycił z najwyższą flegmą kardynał — iż ten niewinny muszkieter, ten zacny rycerz, na godzinę przedtem, z bronią w ręku, napadł na czterech urzędników sądowych, wydelegowanych przeze mnie dla wyświetlenia sprawy jak najdrażliwszej.

— Wzywam Waszą Eminencję, aby tego dowiódł — wykrzyknął Tréville z prawdziwie gaskońską otwartością i z czysto żołnierską szorstkością — na godzinę bowiem przedtem pan Athos, który, jak zwierzyć się muszę Waszej Królewskiej Mości, jest człowiekiem wielce znakomitego rodu, zaszczycał nas, po skończonym obiedzie, rozmową w moim salonie, z księciem de la Trémouille, z hrabią de Chalus, którzy również z nim byli.

Król popatrzył na kardynała.

— Protokół zaświadcza — odezwał się kardynał, w odpowiedzi na nieme pytanie króla — że ludzie pobici zeznali to, co miałem zaszczyt przedstawić Waszej Królewskiej Mości.

— Protokół urzędników cywilnych nie wart słowa honoru żołnierskiego — z dumą odparł Tréville.

— No, no, Tréville, cicho bądź — rzekł król.

— Jeżeli jego eminencja, ma jakieś podejrzenia względem którego z moich muszkieterów — odezwał się Tréville — sprawiedliwość pana kardynała dość jest znana, abym sam zażądał śledztwa.

— W domu, gdzie śledztwo sądowe było zarządzone — kończył obojętnie kardynał — mieszka, zdaje mi się, pewien bearneńczyk, przyjaciel muszkieterów.

— Wasza eminencja chce mówić o panu d'Artagnan?

— Chcę mówić o młodzieńcu, którego protegujesz, panie de Tréville.

— Tak, eminencjo, ten sam.

— Czy nie przypuszczasz pan, iż młodzieniec ów namawiał do złego....

— Pana Athosa, człowieka dwa razy odeń starszego? — przerwał mu Tréville — nie, monsiniorze. Zresztą, pan d'Artagnan wieczór ten u mnie przepędził.

— Masz tobie! — rzekł kardynał — wszyscy więc spędzili wieczór u pana?

— Miałażby wasza eminencja nie wierzyć słowu mojemu? — rzekł Tréville z rumieńcem gniewu na czole.

— Nie, Boże uchowaj! — odrzekł kardynał — ale o której godzinie był u pana?

— O! mogę to na pewno powiedzieć waszej eminencji, ponieważ, kiedy wszedł do mnie, zauważyłem, iż było wpół do dziesiątej, chociaż sądziłem, że już znacznie później.

— A o której od pana wyszedł?

— O wpół do jedenastej, w godzinę po wypadku.

— Ależ koniec końców — odrzekł kardynał, który ani na chwilę nie wątpił o prawości Trévilla, a czuł wymykające mu się zwycięstwo — Athos aresztowany został w domu przy ulicy Grabarzy.

— Czyż nie wolno przyjacielowi odwiedzić przyjaciela?... muszkieterowi z mojego oddziału bratać się z kadetem z oddziału pana Desessarts?

— Zapewne, ale dom, w którym on się brata z przyjacielem swoim, jest bardzo podejrzany.

— Tak, dom ten podejrzany jest. Trévillu — odezwał się król — może sam nie wiedziałeś o tem?

— W istocie, Najjaśniejszy Panie, nie wiedziałem. W każdym razie dom może być podejrzany wszędzie, prócz części zamieszkanej przez pana d'Artagnana; bo, jeżeli mi wolno zaręczyć, Najjaśniejszy Panie, i wierzyć słowom jego, nie znajdzie się przywiązańszy poddany Waszej Królewskiej Mości i większy wielbiciel pana kardynała.

— Czy to nie ten d'Artagnan, który ranił kiedyś Jussaca, w nieszczęsnem spotkaniu przy klasztorze Karmelitów Bosych? — zapytał król, spoglądając na kardynała, który zaczerwienił się ze złości.

— A nazajutrz potem, ranił Bernajoux. Tak, Najjaśniejszy Panie, tak, ten sam; dobrą pamięć ma Wasza Królewska Mość.

— A zatem, co postanowimy? — zagadnął król.

— Więcej to Waszej Królewskiej Mości dotyczy, aniżeli mnie — odpowiedział kardynał. — Ja uznałbym czyn za karygodny.

— A ja go nie uznaję — rzekł Tréville. — Lecz Jego Królewska Mość ma sędziów; ich rzeczą jest sądzić, niech sądzą.

— Tak, tak — podchwycił król — odeślijmy sprawę do sądu: rzeczą sędziów jest sądzić, niech więc sądzą.

— Ale — ciągnął dalej Tréville — smutne to, iż w nieszczęsnych naszych czasach życie bez skazy, cnota niezaprzeczona nie uwalnia człowieka od potwarzy i prześladowania. Wojsko też niezbyt zadowolone będzie, mogę ręczyć, będąc narażone na obejście się srogie z powodu spraw policyjnych.

Słowa te były niebaczne; lecz pan de Tréville rzucił je ze świadomością skutku.

Pragnął wybuchu, gdyż mina, zapalając się płomieniem, rozświeca.

— Sprawy policyjne! — wykrzyknął król, podejmując słowa Trévilla — sprawy policyjne! Co tobie, mój panie, do tego? Patrz swych muszkieterów i nie zawracaj mi głowy. Słysząc cię, możnaby myśleć, że gdy nieszczęściem zaaresztują muszkietera, już cała Francja przepadnie. Patrzcie, co tu hałasu o jednego muszkietera! Rozkażę aresztować dziesięciu, do licha starego! stu, cały oddział! i nie pozwolę słowa się nawet odezwać.

— Z chwilą, gdy są podejrzani przez Waszą Królewską Mość, muszkieterowie stają się winnymi; jak widzisz zatem, Najjaśniejszy Panie, gotów jestem oddać ci szpadę moją, gdyż nie wątpię, iż pan kardynał, obwiniwszy żołnierzy moich, skończy na oskarżeniu i mnie samego; pójdę lepiej do więzienia z panem Athosem, który już się tam znajduje, i z panem d'Artagnan, którego zaaresztują na pewno.

— Skończysz ty raz, gaskońska głowo? — rzekł król.

— Najjaśniejszy Panie — odezwał się Tréville, bynajmniej głosu nie zniżając — rozkaż, by mi oddano muszkietera mojego, albo niechaj go sądzą.

— Osądzą go — rzekł kardynał.

— Tem lepiej! gdyż w takim razie, żądać będę pozwolenia od Jego Królewskiej Mości, abym mógł bronić jego sprawy.

Król obawiał się wybuchu.

— Jeżeli jego eminencja — rzekł — nie ma względów osobistych.

Kardynał, widząc zwrot do siebie, wystąpił pierwszy:

— Przepraszam — rzekł — lecz odkąd Wasza Królewska Mość widzi we mnie sędziego niesprawiedliwego, usuwam się.

— Słuchaj — powiedział król — czy przysięgasz mi na pamięć ojca mojego, iż pan Athos u ciebie się znajdował podczas wypadku i że udziału w nim nie miał?

— Na pamięć pełnego chwały ojca twojego i na ciebie, Najjaśniejszy Panie, który jesteś tym, którego kochani i czczę nad wszystko na świecie, przysięgam!

— Racz się zastanowić, Najjaśniejszy Panie — odezwał się kardynał. — Jeżeli w ten sposób uwolnimy więźnia, trudno będzie dojść prawdy.

— Pan Athos zawsze będzie gotowy odpowiadać, kiedy się spodoba urzędnikom cywilnym wezwać go na badanie. On nie ucieknie, panie kardynale; bądź spokojny, ja za niego ręczę.

— Rzeczywiście, on nie ucieknie — powtórzył król — znajdą go zawsze, jak mówi pan de Tréville. Zresztą — dodał, zniżając głos i błagalnie patrząc na eminencję — dajmy im bezpieczeństwo, to będzie politycznie.

Polityka Ludwika XIII wywołała uśmiech na usta Richelieu'go.

— Rozkazuj, Najjaśniejszy Panie — rzekł — masz prawo ułaskawiania.

— Prawo ułaskawiania stosuje się tylko do winowajców — odezwał się Tréville, chcąc mieć ostatnie słowo — muszkieter mój jest niewinny, nie dasz więc Najjaśniejszy Panie ułaskawienia, ale sprawiedliwość wymierzysz.

— On jest w Forcie Biskupim? — zapytał król.

— Tak, Najjaśniejszy Panie, w celi więziennej, pod zamknięciem, jak najstraszniejszy zbrodniarz.

— Tam do djabła! — mruknął król — co tu począć?

— Podpisać rozkaz uwolnienia i na tem koniec — odparł kardynał — ja również, jak Wasza Królewska Mość, sądzę, iż poświadczenie pana de Tréville jest aż nadto wystarczające.

Tréville nisko się skłonił z radością, która nie była jednak wolna od obawy; przekładałby najtwardszy upór kardynała nad to nagłe ustępstwo.

Podpisał król rozkaz uwalniający i Tréville zabrał go natychmiast.

Gdy miał wychodzić, kardynał uśmiechnął mu się przyjaźnie, mówiąc do króla:

— Porozumienie i harmonja przykładna panuje między wodzami a żołnierzami w muszkieterach twoich, Najjaśniejszy Panie; jest to bardzo korzystne dla służby i zaszczytne dla wszystkich.

— Wypłata mi on figla — rzekł do siebie w duchu Tréville — z takim człowiekiem nigdy nie można mieć ostatniego słowa. Śpieszmy jednak, bo król może zmienić zdanie natychmiast.

Pan de Tréville odbył triumfalne wejście do Fortu Biskupiego, skąd wyswobodził muszkietera, którego nie opuściła bynajmniej pełna spokoju obojętność.

Następnie, pierwszy raz po tem widząc d'Artagnana, rzekł mu:

— Dobrze ci się udaje; już ci zapłacono za cięcie szpadą Jussaca. Pozostaje ci jeszcze Bernajoux, nie trzeba jednak szczęściu zbytecznie ufać.

Pan de Tréville miał zupełną słuszność, iż nie dowierzał kardynałowi, zaledwie bowiem drzwi się za nim zamknęły, eminencja przemówił do króla w te słowa:

— Teraz, gdyśmy we dwóch pozostali, porozmawiamy poważnie, jeżeli łaska Waszej Królewskiej Mości. Najjaśniejszy Panie, książę de Buckingham od pięciu dni w Paryżu przebywał i dopiero dziś rano go opuścił.

Rozdział XVI. Pan De Seguier uczuwa gwałtowniejszą, niż dawniej, potrzebę uderzenia w dzwon

Niepodobna przedstawić wrażenia, jakie wywarty te słowa na Ludwiku XIII.

Zaczerwienił się i zbladł.

Kardynał zrozumiał, iż za jednym zamachem odzyskał stracone stanowisko.

— Buckingham w Paryżu! — wykrzyknął — co on tutaj robił?

— Spiskował bez wątpienia z wrogami Waszej Królewskiej Mości, z Hugonotami i Hiszpanami.

— Dość tego na Boga! spiskował przeciw czci mojej z panią de Chevreuse, panią de Longueville i Kondeuszami!

— O! Najjaśniejszy Panie, co za myśl! Królowa zanadto jest cnotliwa, a nade wszystko przywiązana do Waszej Królewskiej Mości.

— Słaba jest kobieta, panie kardynale — rzekł król — a o przywiązaniu jej do mnie, o jej miłości wiem dobrze, co myśleć.

— Bądź co bądź utrzymuję — rzekł kardynał — iż książę de Buckingham przyjechał do Paryża w celach czysto politycznych.

— A ja pewny jestem, że zupełnie po co innego, panie kardynale; lecz jeżeli winna jest królowa, biada jej!

— Ostatecznie, jakkolwiek wzdrygam się na myśl o zdradzie podobnej, Wasza Królewska Mość daje mi do myślenia: pani de Launay, którą z rozkazu Waszej Królewskiej Mości pytałem kilkakrotnie, mówiła mi dziś rano, iż nocy poprzedniej królowa długo czuwała, dziś płakała bardzo i cały dzień prawie pisała.

— Do niego, z pewnością, do niego — podchwycił król. — Kardynale, ja muszę mieć jej listy.

— Ale jakże je dostać, Najjaśniejszy Panie? Zdaje mi się, iż ani ja, ani Wasza Królewska Mość nie możemy się podjąć tej sprawy.

— A jakże poradzono sobie z marszałkową d'Ancre? krzyknął król w najwyższym uniesieniu — zrewidowano wszystkie jej szafy, a wreszcie i ją samą.

— Bo była ona tylko marszałkowa d'Ancre, awanturnicą florencką, i nic więcej, gdy dostojna małżonka Waszej Królewskiej Mości jest Anną Austrjacką, królową Francji, czyli najpierwszą monarchinią w świecie.

— Pomimo to występna jest, panie kardynale! Im więcej zapomniała o swojem wysokiem stanowisku, tem niżej upadła. Wreszcie postanowiłem już od dawna położyć kres tym politycznym i miłosnym intrygom. Ma ona także za sobą niejakiego La Porta...

— Którego ja uważam za główną sprężynę w tem wszystkiem — podchwycił kardynał.

— Zgadzasz się więc ze mną, że ona mnie zwodzi? — zagadnął król.

— Przypuszczam tylko i powtarzam Waszej Królewskiej Mości, że królowa spiskuje przeciw potędze króla swojego, lecz nie mówię, iż przeciw jego czci.

— A ja ci mówię, panie kardynale, że czyni jedno i drugie; mówię ci, że królowa nie kocha mnie; że kocha tego bezecnika Buckinghama. Czemu nie kazałeś go uwięzić, kiedy był w Paryżu?

— Uwięzić księcia! pierwszego ministra Karola I! Niepodobna!... Taki rozgłos! a gdyby wreszcie podejrzenia Waszej Królewskiej Mości, które za mylne pragnę uważać, miały jaką podstawę, co za skandal straszliwy! przygnębiający!

— Lecz jeśli narażał się, jak włóczęga, jak złodziej, trzeba było...

Zaciął się Ludwik XIII, przerażony własnemi słowy, a Richelieu nadstawił ucha, daremnie wyczekując słowa, które zamarło na ustach królewskich.

— Trzeba było?

— Nic, nic — rzekł król. — Lecz czy w ciągu pobytu jego w Paryżu, nie straciłeś go z oczu?

— Nie, Najjaśniejszy Panie.

— Gdzie mieszkał?

— Przy ulicy de la Harpe Nr. 75.

— Gdzież to jest?

— W okolicy Luksemburgu.

— I pewny jesteś, że królowa nie widziała się z nim?

— Sądzę, iż królowa nazbyt ceni swoje obowiązki, Najjaśniejszy Panie.

— Lecz porozumiewali się piśmiennie, panie kardynale; do niego to cały dzień pisała królowa; kardynale, ja muszę mieć te listy!

— A jednak, Najjaśniejszy Panie…

— Mości książę, niech się co chce stanie, żądam ich.

— Pozwolę sobie jednak zwrócić uwagę Waszej Królewskiej Mości…

— Czyż i ty nie zdradzasz mnie także, panie kardynale, sprzeciwiając się woli mojej? Czyż i ty także trzymasz z Hiszpanami, Anglikami, z panią de Chevreuse i królową?

— Najjaśniejszy Panie — z westchnieniem odezwał się kardynał — sądziłem, że mogę być wolny od podobnego podejrzenia.

— Panie kardynale, rozumiesz mnie; ja chcę tych listów.

— Jeden tylko byłby na to sposób.

— Jaki?

— Powierzyć te zadanie wielkiemu kanclerzowi, panu Seguier. Rzecz ta najzupełniej wchodzi w jego obowiązki.

— Niech poślą po niego natychmiast!

— Musi on być u mnie w tej chwili; kazałem go prosić do siebie, a wyjeżdżając do Luwru zostawiłem rozkaz, jeżeli się stawi, by zaczekał.

— Niech pójdą po niego bez zwłoki.

— Według rozkazu Waszej Królewskiej Mości, lecz…

— Lecz cóż?

— Lecz może królowa odmówi posłuszeństwa.

— Moim rozkazom?

— Tak, jeżeli nie będzie wiedziała, że pochodzą od króla.

— Ha! to, aby nie miała wątpliwości, sam ją o tem uprzedzę.

— Wasza Królewska Mość niechaj nie zapomina, że czyniłem wszystko, co mogłem, aby zażegnać burzę.

— Tak, mój książę, wiem, iż nader jesteś względny dla królowej, może nawet aż nazbyt i uprzedzam cię, że będziemy mieli do pomówienia o tem jeszcze później.

— Kiedy się Waszej Królewskiej Mości podoba; zawsze jednak szczęśliwy i dumny będę, poświęcając się dla zgody, którą utrzymać pragnę pomiędzy Waszą Królewską Mością i królową Francji.

— Dobrze, kardynale, dobrze; lecz tymczasem poślij po wielkiego kanclerza; ja zaś idę do królowej.

I, otworzywszy drzwi, prowadzące do jej apartamentów, udał się korytarzem, prowadzącym do Anny Austrjackiej.

Królowa otoczona była damami, panią de Guemence, de Sable, de Montbazon i de Guilot. W rogu pokoju siedziała pokojówka Hiszpanka, donna Estefana, która z nią przybyła z Madrytu. Pani de Guemence czytała głośno; słuchano jej z uwagą z wyjątkiem tylko królowej, która umyślnie prosiła o czytanie, aby, udając, że słucha, mogła tem swobodniej puścić wodze własnym swoim myślom.

Myśli te, choć ozłocone ostatnim odbłyskiem miłości, były niemniej smutne.

Anna Austrjacka pozbawiona była zaufania męża i prześladowana nienawiścią kardynała, nie mogącego jej przebaczyć odtrącenia najsłodszych jego uczuć. Widziała ona dokoła siebie upadających najbardziej oddanych jej ludzi, powierników najzaufańszych, najdroższych swoich ulubieńców.

Zdawaćby się mogło, iż posiada dar opłakany przynoszenia niedoli wszystkiemu, czego się tylko dotknęła; przyjaźń jej dla kogoś była hasłem do prześladowań.

Panie de Chevresse i de Vernet skazane zostały na wygnanie; La Porte na koniec nie tail przed władczynią swoją, iż lada chwila spodziewał się uwięzienia.

Kiedy właśnie najwięcej pogrążona była w ponurych i ciężkich myślach swoich, drzwi się otworzyły i wszedł król.

W tej chwili umilkła lektorka, powstały damy i zapanowało milczenie głębokie.

Król zaś bez najmniejszej oznaki grzeczności, rzekł głosem wzburzonym, zatrzymując się przed królową:

— Pani, będziesz tu miała wizytę pana kanclerza, obarczonego przeze mnie sprawami, które ci opowie.

Nieszczęśliwa królowa, której nieustannie grożono rozwodem, wygnaniem, a nawet sądem, zbladła pod powłoką różu, nie mogąc się powstrzymać od zapytania:

— Lecz po co ta wizyta, Najjaśniejszy Panie? Co pan kanclerz powiedzieć mi może, czegoby Wasza Królewska Mość sam oznajmić mi nie mógł?

Król, nic nie odpowiedziawszy, wykręcił się na pięcie, a w tejże chwili kapitan straży, pan de Guitot, oznajmił wizytę kanclerza.

Gdy ten się ukazał, król zniknął już poza drugiemi drzwiami.

Wszedł kanclerz, na pół uśmiechnięty, na pół zarumieniony wstydliwie.

Ponieważ spotkamy się z nim jeszcze w ciągu opowieści naszej, nie zawadzi przeto, aby czytelnicy zawarli z nim znajomość.

Kanclerz ów był uciesznym człowiekiem. Kanonik katedralny, nazwiskiem Des Roches le Masles, który był poprzednio pokojowcem kardynała, nastręczył go Eminencji jako człowieka pewnego. Richelieu mu zaufał i dobrze mu z tem było. Opowiadano o nim przeróżne historje, a między innemi następującą:

Spędziwszy burzliwie młodość, schronił się do klasztoru, aby czas jakiś przynajmniej pokutować za wybryki lat młodzieńczych. Lecz, wchodząc w to święte miejsce, biedny pokutnik nie mógł tak szybko zatrzasnąć drzwi za sobą, aby namiętności, przed któremi zmykał, nie wdarły się tam z nim razem. Nagabywany też był przez nie ustawicznie, a przełożony, któremu się ze stanem swym zwierzył, chcąc ustrzec go, o ile to było w jego mocy, polecił mu dla odpędzenia czarta kusiciela, szukać ucieczki w sznurze od dzwonu, chwytać za niego i dzwonić co siły na trwogę. Na odgłos dzwonu, zwiastującego iż pokusy oblegać zaczynały jednego z braciszków, mnisi uprzedzeni o przyczynie alarmu, winni byli całym zastępem udawać się na modlitwę.

Spodobała się ta rada przyszłemu kanclerzowi. Począł więc odpędzać złego ducha nawałem modłów mnisich; lecz djabeł nie łatwo da się usunąć z miejsca, które zajął i w miarę podwajania egzorcyzmów, potęgował nagabywania swoje tak, że dzwon bił na trwogę i we dnie i w nocy, oznajmiając ciągłe pokusy, jakim podlegał pokutnik.

Mnisi pozbawieni zostali spoczynku. We dnie nic nie robili innego, tylko biegali do kaplicy w górę i na dół z powrotem po schodach; w nocy zaś prócz ostatniej godziny kanonicznej i jutrzni, dwadzieścia razy jeszcze z łóżek zrywać się musieli, bijąc zawzięcie czołem o kamienne tafle celi klasztornej.

Nie wiadomo, czy djabeł opuścił stanowisko, czy też mnisi się zmęczyli; dość, że po upływie trzech miesięcy, pokutnik na nowo ukazał się w świecie z reputacją najstraszliwszego opętańca, jaki był kiedy na ziemi.

Wyszedłszy z klasztoru, został urzędnikiem, otrzymał prezydenturę z biretem, po śmierci wuja, przyłączył się do partji kardynalskiej, co było dowodem niepośledniej przenikliwości, i został nareszcie kanclerzem, służąc gorliwie jego eminencji w nienawiści jego przeciw królowej matce i zemście przeciw Annie Austrjackiej, podżegając sędziów w sprawie de Chalais, nareszcie, obdarzony zupełnem zaufaniem kardynała, na które zasługiwał należycie, dostąpił niezwykłego polecenia i, aby je spełnić, stawił się u królowej. Anna Austrjacka jeszcze stała, gdy wszedł, lecz zaledwie

go ujrzała, usiadła znowu na fotelu, dając znak damom, aby zajęły swoje miejsca na taburetach i poduszkach, i tonem wyniosłym zapytała:

— Czego żądasz, mój panie, w jakim celu tutaj przychodzisz?

— W imieniu króla, bez urazy Waszej Wysokości, przychodzę odbyć szczegółową rewizję w papierach pani.

— Jak to!... rewizję w moich papierach... do mnie należących! Ależ to niegodne!

— Zechciej mi pani wybaczyć, lecz w tym razie jestem tylko narzędziem, którem posługuje się król. Wszak był tu przed chwilą i czyż me oznajmił pani, abyś była przygotowana do tych odwiedzin.

— Rewiduj pan więc, widocznie jestem zbrodniarką: Estefano, daj klucze od moich stolików i biurek.

Dla formy jedynie przejrzał kanclerz sprzęty, bo dobrze o tem wiedział, że nie tam królową ukryła list, dnia tego pisany.

Gdy po razy dwadzieścia otwierał i zamykał szufladki biurka, trzebaż było nareszcie, pomimo doznawanego wahania, raz już przystąpić do zakończenia tej sprawy, czyli do zrewidowania samej królowej.

Zbliżył się więc kanclerz do królowej i tonem mocno niepewnym, z wyrazem wielkiego zakłopotania, rzekł:

— A teraz pozostaje mi do spełnienia rewizja najgłówniejsza.

— Jaka? — zapytała królowa, nie rozumiejąc, a raczej nie chcąc rozumieć.

— Jego Królewska Mość jest pewny, że list był przez panią pisany dnia dzisiejszego; wie o tem, iż nie został wysłany według adresu. Listu tego nie ma ani w stoliku, ani w szufladkach biurka, a jednakże musi gdzieś być.

— Śmiałżebyś podnieść rękę na swoją królową? — odezwała się Anna Austrjacka, wyprostowawszy się dumnie, mierząc kanclerza oczami nieledwie groźnemi.

— Pani, jestem wiernym poddanym króla i spełniam wszystko, co on mi rozkaże.

— A! więc tak! szpiegi pana kardynała sprawili się dobrze. Prawda, pisałam dziś list, który nie został wysłany. List ten znajduje się tutaj. I przyłożyła piękną rękę do stanika.

— A zatem oddaj mi pani ten list — rzekł kanclerz.

— Oddam go tylko królowi — odparła Anna.

— Pani, gdyby król był chciał, aby list jemu został wręczony, sam by go zażądał. Ale powtarzam, iż mnie polecił upomnieć się o list, a gdybyś mi go pani nie oddała...

— To co?

— Musiałbym go wziąć sam.

— Jak to, co pan chcesz przez to powiedzieć?

— Że rozkazy mi dane sięgają daleko, i że upoważniony zostałem do szukania papierów podejrzanych przy własnej osobie Waszej Wysokości.

— Co za ohyda! — zawołała królowa.

— Zechciej więc pani postępować zgodniej.

— Postępek ten jest gwałtem nikczemnym; czy wiesz o tem mój panie?

— Wybacz mi pani, tutaj król tylko rozkazuje.

— Ja tego nie zniosę! nie, nie, umrę raczej, a nie zezwolę na to! — krzyknęła królowa, w której zawrzała krew hiszpańska i austrjacka.

Kanclerz skłonił się głęboko i w widocznym zamiarze spełnienia poleconej mu czynności, z miną pachołka katowskiego podszedł do Anny Austrjackiej, z której oczu trysnęły łzy wściekłego bólu.

Królowa była, jak powiedzieliśmy, piękna niepospolicie.

Zlecenie, dane kanclerzowi, było nader delikatnej natury, lecz król, z niesłychanej zazdrości o Buckinghama, doszedł już do takiego zaślepienia, że o nikogo więcej nie był zazdrosny.

Bez wątpienia, iż Seguier szukał w tej chwili oczami sznura od owego pamiętnego dzwonu; nie mogąc go jednak znaleźć, pogodził się z losem i wyciągnął rękę w kierunku tym, gdzie, jak mówiła królowa, znajdował się list.

Anna Austrjacka skoczyła w tył tak blada, jak gdyby śmierć jej zajrzała w oczy, i, aby nie upaść, wsparła się lewą ręką na stojącym poza nią stole, prawą zaś wydobyła z za gorsu list i podała go kanclerzowi.

— Oto list, weź go pan — zawołała urywanym i drżącym głosem — zabierz go i uwolnij mnie od wstrętnej swojej osoby.

Kanclerz, drżąc ze wzruszenia, łatwego do pojęcia, wziął list, skłonił się do ziemi i wyszedł.

Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, królowa na pół zemdlona, upadła na ręce otaczających ją kobiet.

Kanclerz zaniósł list królowi, nie przeczytawszy z niego ani słówka. Król drżącą ręką go pochwycił, daremnie dopatrując adresu, zbladł okropnie, otworzył go zwolna, i, poznawszy z pierwszych wyrazów, iż pisany jest do króla hiszpańskiego, przeczytał go skwapliwie.

Zawierał on plan przeciw kardynałowi. Królowa namawiała brata swego oraz cesarza austrjackiego, aby pod pozorem urazy ku Richelie'mu za jego politykę, której

wiekuistą dążnością było poniżenie domu austrjackiego, wypowiedzieli Francji wojnę i postawili za warunek pokoju — odprawę kardynała.

Lecz w liście tym o miłości nie było nawet wzmianki.

Król, uradowany, kazał się dowiedzieć, czy kardynał znajduje się jeszcze w Luwrze. Odpowiedziano mu, że w gabinecie do pracy oczekuje na rozkazy Jego Królewskiej Mości.

Król udał się do niego niezwłocznie.

— Słuchaj, książę — rzekł doń — miałeś słuszność, a ja byłem w błędzie; cała intryga opiera się na polityce, a o miłości w liście tym mowy niema wcale. Chodzi tu natomiast o ciebie.

Kardynał wziął list i czytał z wielką uwagą, a skończywszy go, powtórnie jeszcze przebiegł.

— A co — odezwał się — widzisz teraz, Najjaśniejszy Panie, do czego są zdolni nieprzyjaciele moi; dwiema wojnami ci grożą, jeżeli mnie nie usuniesz. Doprawdy, Najjaśniejszy Panie, na twojem miejscu będąc, ustąpiłbym naleganiom tak potężnym, a ja czułbym się wielce szczęśliwym, usuwając się od moich spraw.

— Co ty wygadujesz, książę?

— Mówię, Najjaśniejszy Panie, iż tracę zdrowie w tych uciążliwych walkach i wiekuistej pracy. Mówię, iż prawdopodobnie nie będę mógł przenieść trudów, przy oblężeniu Rochelli i że lepiej byłoby mianować na moje miejsce pana Kondeusza, lub de Bassompierra, lub wreszcie jakiegoś dzielnego człowieka, któremu z zawodu wypada prowadzić wojnę, a nie mnie, człowieka duchownego, którego nieustannie od powołania mego odrywają ku rzeczom, do których żadnej nie mam zdolności. Będziesz przytem szczęśliwszym, Najjaśniejszy Panie, w wewnętrznych swoich stosunkach i nie wątpię, iż niemniej wielkim pozostaniesz dla obcych.

— Mości książę — rzekł król — rozumiem, bądź spokojny; wszyscy wymienieni w tym liście ukarani będą, jak na to zasługują, nawet sama królowa.

— Co mówisz, Najjaśniejszy Panie? Boże uchowaj, aby z mojej przyczyny królowa miała doznać najmniejszej choćby przykrości! Zawsze mnie poczytywała za swego nieprzyjaciela, Najjaśniejszy Panie, chociaż Wasza Królewska Mość zaświadczyćby mogła, jak wytrwale stawałem w jej obronie, nawet przeciw tobie, panie. O! gdyby cię, Najjaśniejszy Panie, zdradzała pod względem czci, to coś innego zupełnie, pierwszybym wtedy powiedział: „Królu, bądź bez litości, bądź nieubłagany dla występnej!” Na szczęście, nie ma tego wypadku, jak nowe zdobyłeś dowody, Najjaśniejszy Panie.

— To prawda — rzekł król — i jak zawsze tak i tym razem miałeś słuszność, panie kardynale; lecz królowa niemniej na mój gniew zasługuje.

— To ty, Najjaśniejszy Panie, jej gniew ściągnąłeś na siebie i nie dziwiłbym się doprawdy, gdyby poważną urazę żywiła do Waszej Królewskiej Mości: Najjaśniejszy Panie, postąpiłeś z nią tak surowo!...

— Zawsze tak postępować będę z moimi i twoimi, książę, wrogami, choćby najwyższe zajmowali stanowisko i choćby mi przez to groziło największe niebezpieczeństwo.

— Królowa jest moją, lecz nie twoją nieprzyjaciółką, Najjaśniejszy Panie; przeciwnie, jest przywiązaną małżonką, uległą i bez zarzutu; pozwól mi więc, Najjaśniejszy Panie, wstawić się za nią do Waszej Królewskiej Mości.

— Niechaj się upokorzy i pierwsza do mnie przyjdzie.

— Przeciwnie, Najjaśniejszy Panie, od ciebie powinien wyjść przykład; pierwszy zawiniłeś, gdyż sam posądziłeś królową.

— Ja! pierwszy krok tam zrobić! nigdy!

— Najjaśniejszy Panie, błagam cię.

— Zresztą, jak się do tego wziąć?

— Sprawiając jej, Najjaśniejszy Panie, jaką przyjemność.

— Jakąż?

— Dać bal, na przykład; wiesz przecie, Najjaśniejszy Panie, jak królowa lubi taniec; zaręczam ci, iż uraza jej nie wytrzyma tej próby.

— Panie kardynale, wiesz przecie, iż nie jestem za uciechami światowemi.

— Tem więcej będzie ci wdzięczna królowa, znając twój wstręt do zabaw, Najjaśniejszy Panie; zresztą, będzie to dla niej sposobność włożenia tych pięknych zapinek djamentowych, niedawno jej przez Waszą Królewską Mość w dzień imienin ofiarowanych, w które ustroić się nie miała dotąd sposobności.

— Zobaczymy, panie kardynale, zobaczymy — odrzekł król, który z radości, iż znalazł królową winną występku, o który niewiele się troszczył, a niewinną grzechu, którego mocno się obawiał, gotów był się z nią pogodzić — zobaczymy, ale, na honor, nadto pobłażliwym jesteś, panie kardynale.

— Najjaśniejszy panie — odezwał się kardynał — surowość pozostaw ministrom, pobłażliwość zaś jest cnotą królewską; posługuj się nią, a zobaczysz, iż dobrze ci z tem będzie.

To rzekłszy, kardynał, słysząc zegar, wydzwaniający godzinę jedenastą, złożył ukłon głęboki, prosząc króla o pozwolenie oddalenia się i błagając go, aby się pojednał z królową.

Anna Austrjacka, która po przejęciu tego listu, spodziewała się wymówek, mocno była zdziwiona, widząc nazajutrz króla, usiłującego się z nią pojednać.

Pierwsze jej uczucie było odpychające; duma kobiety i godność królowej tak okrutnie były w niej obrażone, iż zrazu przyjść do siebie nie mogła; lecz, pokonana radami swych dam przybocznych, zgodziła się na koniec, aby pozornie chociaż puścić to wszystko w niepamięć.

Król skorzystał z chwili sposobnej, aby jej oznajmić, iż nosi się z myślą wydania wielkiego balu.

Wszelka rozrywka była tak niezwykłą rzeczą dla biednej Anny Austrjackiej, iż na zapowiedź tę, jak nie mylił się kardynał, zniknął ostatni cień urazy, jeżeli nie w sercu, to przynajmniej na pięknem jej obliczu.

Zapytała o dzień, na jaki uroczystość była oznaczona, lecz król jej odpowiedział, iż należało mu wpierw porozumieć się pod tym względem z kardynałem.

W istocie, król zapytywał codziennie kardynała, kiedy będzie ów bal i zawsze zwlekał pod różnemi pozorami z oznaczeniem dnia tego. Upłynęło tak dni dziesięć.

W tydzień po zajściu przez nas opowiedzianem kardynał otrzymał list, opatrzony marką z Londynu, zawierający kilka wierszy następującej treści:

„Mam je, lecz ruszyć się nie mogę z Londynu, dla braku pieniędzy; proszę przysłać mi pięćset pistolów, w cztery lub pięć dni po ich odbiorze, stanę w Paryżu”.

W dniu, kiedy kardynał odebrał ten list, król powtórzył znów pytanie zwykłe.

Richelieu policzył na palcach i rzekł sobie w duchu:

— Przybędzie tu w cztery lub pięć dni po odbiorze pieniędzy, a że pieniądze tyleż czasu idą, wszystko zatem wyniesie dni dziesięć; przypuśćmy jeszcze wiatr przeciwny, wypadki nieprzewidziane, dolegliwości kobiece, a przeciągnąć się to może do dni dwunastu.

— I cóż? mości książę! — odezwał się król, — czy już obliczyłeś?

— Już, Najjaśniejszy Panie; dziś mamy 20 września; urzędnicy miejscy wydadzą ucztę 3 października Najwyborniej się więc składa; nie będzie to wyglądało, że pragniesz powrócić do królowej, Najjaśniejszy Panie.

A po chwili dodał:

— Ale, Najjaśniejszy Panie, zechciej nie zapomnieć i powiedzieć królowej z powodu balu, iż pragniesz zobaczyć, czy jej do twarzy w owych djamentowych zapinkach.

Rozdział XVII. Małżeństwo Bonacieux

Po raz drugi kardynał wspominał przy królu o zapinkach djamentowych, uczynił to widocznie nie bez ukrytego celu.

Król czuł się tem niejednokrotnie poniżony, iż kardynał, przy pomocy swej tajnej policji, lepiej niż on bywał powiadomiony o wszystkich jego sprawach domowych.

Ludwik XIII miał mieć nadzieję, iż, porozmawiawszy z Anną Austrjacka, sam wszystko wyświetli i poszczyci się przed eminencją tajemnicą, znaną kardynałowi, lub nieznaną, co w każdym razie podniesie go nieskończenie w oczach jego ministra.

Poszedł więc do królowej i, według zwyczaju, wystąpił z nowemi groźbami przeciw tym, którzy ją otaczali.

Anna Austrjacka opuściła głowę, dozwalając spłynąć potokowi bez słówka odpowiedzi, w nadziei, że król wyczerpie swe groźby, ale co innego zamierzał Ludwik XIII, pragnął on starcia zdań, z którego wynikłoby światło.

Doszedł na koniec do pożądanego rezultatu, obstając przy najrozmaitszych oskarżeniach.

Anna Austrjacka, zmęczona czczemi napaściami, zawołała:

— Ależ, Najjaśniejszy Panie, czemu nie wypowiesz tego, co masz na sercu. Cóżem uczyniła? Powiedz, jakiej dopuściłam się zbrodni? Niepodobna, aby Wasza Królewska Mość tak się srożył o jeden list, do brata mego pisany.

Król, zaskoczony tem pytaniem, nie wiedział co odpowiedzieć; sądził więc, że najwłaściwiej będzie, gdy się odezwie z zaleceniem, które winien był uczynić w przeddzień balu.

— Pani — rzekł wyniośle — niebawem dany będzie bal w ratuszu; mojem zdaniem, aby uczcić naszych zacnych urzędników, winnaś pani wystąpić w stroju uroczystym, a nade wszystko w tych zapinkach djamentowych, które ci dałem w dzień twoich imienin. Oto moja odpowiedź.

Odpowiedź ta była przerażającą.

Anna Austrjacka sądziła, iż Ludwik XIII wie o wszystkiem i że kardynał zobowiązał go do kilkodniowego milczenia, które wreszcie leżało w charakterze króla.

Zbladła straszliwie, oparłszy na konsoli cudnej piękności rękę, która się stała przezroczysta jak z wosku.

Patrzyła na króla wystraszonemi oczami, nie odpowiedziawszy ani słowa.

— Czy rozumiesz, pani — rzekł król, rozkoszując się w całej pełni tym niepokojem, choć nie odgadywał jego przyczyny — rozumiesz pani?

— Rozumiem, Najjaśniejszy Panie — wyjąkała królowa.

— I ukażesz się na tym balu?...

— Tak.

— Przybrana w zapinki?...

— Tak.

Bladość królowej stałaby się silniejsza, gdyby to jeszcze było możliwe; król zauważył to i tembardziej lubował się zimnem okrucieństwem, stanowiącem stronę ujemną jego charakteru.

— Dobrze — odezwał się król — to wszystko, co miałem pani do powiedzenia.

— A na kiedy oznaczony jest ten bal? — spytała Anna Austrjacka.

Ludwik XIII czuł instynktownie, iż nie powinien odpowiadać na to pytanie, które królowa zadała głosem nieledwie konającym.

— Ależ bardzo niedługo — rzekł — dnia jednak dokładnie nie przypominam sobie, zapytam o to kardynała.

— A! więc to kardynał oznajmił ci, Najjaśniejszy Panie, o tej uroczystości? — zawołała królowa.

— Tak, pani — odparł zdziwiony król — czemu mnie o to pytasz?

— Więc to za jego radą poleciłeś mi ubrać się w te zapinki?

— To jest, pani...

— Więc to on, Najjaśniejszy Panie, to on?...

— No tak, lecz cóż cię to obchodzi, czy on, czy też ja? Alboż polecenie takie jest zbrodnią?

— Nie, Najjaśniejszy Panie.

— Zatem będziesz pani na balu?

— Tak, Najjaśniejszy Panie.

— To dobrze — rzekł król, odchodząc — dobrze!... liczę na to z pewnością.

Królowa złożyła ukłon, nie tyle nawet przez etykietę, ale iż kolana uginały się pod nią.

Król wyszedł zachwycony.

— Zgubiona jestem — wyszeptała królowa — zgubiona jestem, bo kardynał wie o wszystkiem. On to kieruje królem, który nie wie jeszcze o niczem, lecz wkrótce się o wszystkiem dowie. Zgubiona jestem! Mój Boże! mój Boże! mój Boże!...

Padła na kolana i modlić się poczęła, ująwszy głowę drżącemi rękami.

W istocie położenie było straszne.

Buckingham powrócił do Londynu, pani de Chevreuse była w Tours. Królowa, więcej, niż kiedykolwiek, strzeżona, przeczuwała instynktownie, iż zdradza ją jedna z jej dam, lecz która, nie wiedziała na pewno.

La Porte nie mógł wydalać się z Luwru; żywej duszy nie było, której mogłaby się zwierzyć.

Wobec grożącego nieszczęścia i opuszczenia swojego, wybuchnęła płaczem.

— Czy nie mogłabym przysłużyć się czem Waszej Królewskiej Mości — odezwał się naraz głos, pełen słodyczy i współczucia.

Szybko obejrzała się królowa, trudno bowiem było się omylić, brzmienie głosu tego zwiastowało, iż tylko przyjaciółka może tak przemawiać.

I istotnie we drzwiach, prowadzących do pokoju królowej, ukazała się ładniutka pani Bonacieux; była ona zajęta układaniem sukien i bielizny w przyległym gabinecie wówczas, gdy wszedł król; nie mogła się oddalić i słyszała wszystko.

Królowa, widząc, że została podpatrzona, krzyknęła przeraźliwie, gdyż w pomieszaniu nie poznała od razu młodej kobiety, danej jej przez La Porta.

— O! nie lękaj się pani niczego — rzekła pani Bonacieux, składając ręce i płacząc sama nad ciężkiem strapieniem królowej — oddana ci jestem duszą i ciałem, Najjaśniejsza Pani, i jakkolwiek daleka i tak nisko postawiona przy Waszej Królewskiej Mości, sądzę, iż znalazłam sposób wybawienia jej z kłopotu.

— Ty? o nieba! ty?... — wykrzyknęła królowa — lecz słuchaj, spojrzyj mi w oczy. Ze wszystkich stron jestem zdradzana; czyż tobie mogę zaufać?...

— O! pani! — zawołała młoda kobieta, padając na kolana — klnę się w zbawienie duszy, iż gotowa jestem umrzeć dla Waszej Królewskiej Mości.

Wykrzyknik ten z głębi serca pochodził i również, jak pierwszy, wzbudził zaufanie.

— Tak — ciągnęła dalej pani Bonacieux — tak, pełno tu zdrajców dokoła; lecz przysięgam na święte imię Marji Dziewicy, że nikt nie jest tak oddany Waszej Królewskiej Mości, jak ja. Zapinki te, o które dopomina się król, dałaś pani księciu de Buckingham, nieprawdaż? Były one w owej szkatułce z różanego drzewa, którą niósł w ręku? Może się mylę? może nie o to chodzi?...

— O Boże! mój Boże!... — wyszeptała królowa, której zęby szczękały z przerażenia.

— Te zapinki należy odzyskać — mówiła pani Bonacieux.

— Tak, bez wątpienia, potrzeba koniecznie! — zawołała królowa — lecz, co począć, jak temu zaradzić?...

— Trzeba posłać kogoś do księcia.

— Lecz kogo?... kogo?... kogo?... komuż mogę zaufać?...

— Mnie, Najjaśniejsza Pani, zaufaj; uczyń mi ten zaszczyt, a ja znajdę posłańca!

— Lecz trzeba będzie napisać!

— O, tak. To nieodzowne. Dwa słowa ręką Waszej Królewskiej Mości z pieczęcią osobistą.

— Lecz te dwa słowa to potępienie moje, to rozwód, wygnanie!...

— Tak, jeżeli wpadną w niegodne ręce. Lecz zaręczam, iż dojdą według adresu.

— O! mój Boże!... trzeba więc, abym w twoje ręce powierzyła moje życie, cześć i dobre imię!...

— Tak, Najjaśniejsza Pani, trzeba, a ja wszystko ocalę.

— Ale w jaki sposób? powiedz mi to przynajmniej.

— Mąż mój parę dni temu został wypuszczony na wolność; nie miałam jeszcze czasu go odwiedzić. Jest to poczciwe człowieczysko, nie żywiący dla nikogo ani nienawiści, ani miłości. Wszystko, czego zażądam, uczyni; na mój rozkaz pójdzie, i odda list Waszej Królewskiej Mości, według wskazanego adresu, nie wiedząc nawet, co mieści.

Królowa w namiętnem uniesieniu ujęła obie ręce młodej kobiety, wpatrzyła się w nią, jakby chciała do głębi serca przeniknąć, a widząc najczystszą szczerość w jej oczach, czule ją uściskała.

— Uczyń to! — zawołała — a ocalisz mi życie, cześć moją ocalisz!...

— O! Najjaśniejsza Pani, nie przeszkadzaj przysługi, jaką mam szczęście ci oddać; nie ma nic, czegobym nie uczyniła dla Waszej Królewskiej Mości, która jesteś jedynie ofiarą przewrotnych intryg.

— To prawda, moje dziecię — odparła królowa — masz zupełną słuszność.

— Daj mi, Najjaśniejsza Pani, ten list, bo czas nagli.

Królowa pobiegła do stolika, na którym znajdował się atrament, papier i pióra, napisała dwa wiersze, zapieczętowała je pieczęcią własną i oddała pani Bonacieux.

— A teraz... — odezwała się królowa — zapominamy o rzeczy potrzebnej.

— O jakiej?

— O pieniądzach...

Pani Bonacieux zarumieniła się.

— To prawda — odrzekła — a wyznać muszę Waszej Królewskiej Mości, iż mąż mój…

— Iż mąż twój ich nie ma, to chciałaś powiedzieć.

— I owszem ma je, lecz jest skąpy okrutnie i to jedyna jego wada. Wszelako niechaj Wasza Królewska Mość nie troszczy się, znajdziemy sposób…

— Właśnie, że i ja ich także nie mam — odezwała się królowa; tych, którzy czytać będą pamiętniki pani de Motteville, odpowiedź ta nie zadziwi — ale poczekaj…

Królowa pobiegła do kasetki z klejnotami.

— Masz — powiedziała — oto pierścień drogocenny, jak mówią wszyscy; pochodzi on od brata mojego, króla Hiszpanji, należy do mnie i rozporządzać nim mogę. Weź ten pierścień, zamień na pieniądze i niechaj mąż twój jedzie.

— Rozkazy twe, Najjaśniejsza Pani, spełnione będą za godzinę.

— Czy widzisz adres — oddała królowa zaledwie dosłyszalnym głosem.

Do milorda księcia de Buckingham w Londynie.

— List doręczony zostanie jemu samemu.

— Szlachetne dziecię! — zawołała Anna Austrjacka.

Pani Bonacieux ucałowała ręce królowej, ukryła list za stanikiem i zniknęła lekka, jak ptaszek.

W dziesięć minut była już u siebie.

Od czasu uwolnienia męża nie widziała go jeszcze, nie wiedziała o zmianie, jaka w nim zaszła co do kardynała, o zmianie, wywołanej paru wizytami hrabiego de Rochefort, który stał się najlepszym przyjacielem pana Bonacieux, co prawda, bez wielkich trudów natchnąwszy go wiarą, iż żadne uczucie występne nie spowodowało porwania jego żony, lecz jedynie przezorność polityczna.

Zastała samego. Biedaczysko przyprowadzał dom swój z wielkim mozołem do ładu. Zastał sprzęty pogruchotane i szafy wypróżnione, sprawiedliwość bowiem nie należała wówczas do tych trzech rzeczy, które król Salomon wymienia, jako niepozostawiające śladu po swoich stopach. Służąca zaś, z chwilą uwięzienia pana, uciekła. Biedna dziewczyna, przejęta strachem, umknęła z Paryża i oparła się dopiero w Burgundji, swoim kraju rodzinnym.

Czcigodny kramarz, ujrzawszy małżonkę, nie omieszkał jej opowiedzieć o swoim szczęśliwym powrocie. Żona zaś odpowiedziała, winszując mu, iż skorzystała z pierwszej chwili, kiedy mogła się zwolnić od swych obowiązków i przybywa teraz, ażeby cała się jemu poświęcić.

Chwila ta wprawdzie dała czekać na siebie całe dni pięć, co w każdej innej okoliczności wydaćby się mogło panu Bonacieux nieco za długo, lecz z powodu wizyty swej u kardynała i odwiedzin Rocheforta, miał dużo do myślenia, a wiadomo, iż nic tak nie skraca czasu, jak dumanie.

Nadewszystko zaś, iż dumanie to miało barwę różową.

Rochefort nazywał go swoim przyjacielem, drogim Bonacieux i nieustannie kładł mu w uszy, iż kardynał ceni go wielce.

Kramarz widział się już na drodze do zaszczytów i majątku.

Pani Bonacieux rozmyślała także, lecz treścią jej rozmyślań nie była żądza wyniesienia.

Mimowolnie myśli jej obracały się nieustannie koło tego pięknego młodzieńca tak dzielnego i tak widocznie w niej srodze zakochanego.

W osiemnastym roku życia wydana za mąż za pana Bonacieux, żyjąc jedynie w kółku przyjaciół mężowskich, niezdolnych natchnąć najmniejszem uczuciem młodej kobiety, której serce wznioślejsze było, niż stanowisko, jakie zajmowała, pani Bonacieux pozostała nieczuła na pospolite pokusy. Lecz, w owej epoce nade wszystko, tytuł szlachecki wielki wpływ wywierał na mieszczaństwo, a d'Artagnan był szlachcicem; co więcej, nosił mundur gwardji, który po muszkieterskim najwięcej był ceniony przez niewiasty.

Był on, powtarzamy, piękny, młody, odważny na wszystko; mówił o miłości, jak człowiek rozkochany i spragniony kochania; było to więcej, niż potrzeba, ażeby zawrócić dwudziestotrzyletnią główkę, a pani Bonacieux znajdowała się właśnie w tym szczęśliwym okresie życia.

Jakkolwiek małżonkowie od tygodnia już przeszło nie widzieli się z sobą, a w ciągu tego czasu wypadki ważne stanęły pomiędzy nimi, powitali się wszelako z pewnem roztargnieniem; niemniej jednak pan Bonacieux okazał radość niekłamaną i przyjął żonę z otwartemi rękami. Pani Bonacieux podała mu do pocałowania czoło.

— Pomówmy trochę — rzekła ona.

— O czem?... — zapytał zdziwiony Bonacieux.

— Tak... coś bardzo ważnego mam ci do powiedzenia.

— Co prawda, i ja też mam zadać ci kilka poważnych pytań. Wytłumacz mi, proszę, swoje porwanie.

— Nie o to idzie... jak na teraz przynajmniej — odparła pani Bonacieux.

— A o cóż chodzi? o moje uwięzienie?

— Dowiedziałam się o niem od razu; lecz ponieważ nie byłeś winny żadnego występku, ani też żadnej intrygi i nie wiedziałeś o niczem, coby mogło ciebie lub kogokolwiek skompromitować, więc też nie przywiązywałam większej wagi do tego wypadku, niżby na to zasługiwał.

— Łatwo ci tak mówić, moja pani! — odparł Bonacieux, urażony tym brakiem współczucia — a czy wiesz, że siedziałem dzień jeden i noc w podziemnem więzieniu w Bastylji?...

— Ten dzień i noc jak nic ci przemknęły; dajmy więc pokój uwięzieniu twojemu, a powróćmy do tego, co mnie tu sprowadza.

— Jak to! co cię do mnie sprowadza? Czyż to nie pragnienie ujrzenia męża, z którym rozłączona byłaś od tygodnia przeszło? — zagadnął kramarz, dotknięty do żywego.

— Najpierw to, a potem co innego.

— Mów.

— Rzecz wielkiej wagi, od której szczęście nasze zależeć może w przyszłości.

— Losy nasze zmieniły postać swoją, moja pani, odkąd widzieliśmy się po raz ostatni, i byłbym zdziwiony, gdyby od dziś za kilka miesięcy, położenie moje nie obudziło w wielu ludziach zazdrości.

— Zapewne, zwłaszcza jeżeli postąpisz według wskazówek, które otrzymasz ode mnie.

— Ja, od ciebie?

— Tak, ty. Jest do spełnienia dobry i święty uczynek, mój panie, a przytem zarobić na tem możesz dużo pieniędzy.

Wiedziała dobrze pani Bonacieux, iż, mówiąc mężowi o pieniądzach, trafiała w słabą jego stronę.

Lecz nie wiedziała o tem, że człowiek ten stał się innym, odkąd przez dziesięć minut rozmawiał z kardynałem.

— Dużo pieniędzy do zarobienia?... — powtórzył Bonacieux, wydłużając wargi.

— Tak, dużo.

— Ile też, mniej więcej?...

— Może tysiąc pistolów.

— A czy to bardzo ważne, czego chcesz żądać ode mnie?

— Tak.

— Cóż robić potrzeba?

— Pojedziesz natychmiast. Ja ci powierzę list, którego nie dasz sobie odebrać w żaden sposób i oddasz go do rąk własnych.

— A dokądże mam jechać?

— Do Londynu.

— Ja? do Londynu?... Cóż znowu, kpisz sobie chyba, ja nie mam żadnego interesu w Londynie.

— Lecz inni potrzebują, ażebyś się tam udał.

— Co za inni?... Uprzedzam cię, iż nie myślę dłużej postępować na ślepo i chcę wiedzieć, nie tylko, na co się narażam, ale i dla kogo.

— Osoba bardzo wysoko postawiona posyła cię, a druga również dostojna oczekuje na ciebie. Nagroda przewyższy twoje żądania, oto wszystko, co ci mogę przyobiecać.

— Znowu intrygi! zawsze intrygi!... dziękuję, będę się teraz miał na ostrożności, pan kardynał już mnie objaśnił w tym względzie.

— Kardynał?... — wykrzyknęła pani Bonacieux — widziałeś się z kardynałem?

— Wezwał mnie do siebie!... — odparł dumnie kramarz.

— I poszedłeś na to wezwanie, niebaczny?...

— Wyznać muszę, iż nie miałem do wyboru iść, albo nie iść, bo znajdowałem się pomiędzy dwoma stróżami. Prawdę powiedziawszy, ponieważ nie znałem wtedy jego eminencji, więc gdybym był mógł się uwolnić od tej wizyty, z przyjemnością byłbym to uczynił.

— Źle się więc z tobą obszedł? groził ci?...

— Podał mi rękę i przyjacielem mnie swoim nazwał, przyjacielem! rozumiesz, moja pani? jestem przyjacielem wielkiego kardynała!

— Wielkiego kardynała!

— Jak to czyżbyś przeczyła temu tytułowi, moja pani?

— Nie zaprzeczam mu niczego, lecz mówię ci, że łaska ministra prędko przemija i że szalonym być trzeba, aby przywiązywać się do ministra; są władze wyższe od tej, które spoczywają na kaprysach ludzkich lub chwilowych wypadkach, z temi należy się łączyć.

— Bardzo mi przykro, moja pani, lecz nie znam wyższej władzy, niż wielkiego człowieka, któremu mam zaszczyt służyć.

— Ty służysz kardynałowi?

— Tak pani, i jako wierny sługa jego, nie pozwolę, abyś mieszała się do spisków przeciw rządowi i abyś służyła intrygom kobiety, która nie jest francuzką, a serce ma

hiszpańskie. Na szczęście, jest wielki kardynał, a jego czujne oko strzeże i przenika aż do głębi serca.

Bonacieux powtarzał słowo w słowo frazes, zasłyszany od hrabiego de Rochefort; lecz biedna kobieta, która liczyła na swego męża, i w tej nadziei zaręczyła za niego królowej, zadrżała na myśl o niebezpieczeństwie, w jakie o mało co nie wpadła.

Znając jednak słabość, a nade wszystko chciwość małżonka swego, nie traciła jednak nadziei, iż trafi z nim do ładu.

— A! jesteś kardynalistą, mój panie? — zawołała — to tak? służysz stronnictwu, które poniewiera twoją żonę i lży twoją królowę.

— Interesa prywatne niczem są wobec interesów ogółu. Trzymam z tymi, którzy zbawiają państwo — odparł z przesadą Bonacieux.

Był to inny frazes hrabiego de Rochefort, który to frazes Bonacieux zapamiętał i teraz zużytkował go przy sposobności.

— A czy wiesz, co to jest państwo, o którem rozprawiasz? — odezwała się pani Bonacieux, wzruszając ramionami. — Ciesz się, że jesteś zakutym mieszczaninem i zwróć się w tę stronę, skąd cię większą korzyścią obdarzą.

— E! e!... — rzekł Bonacieux, uderzając się po trzosie zaokrąglonym, który wydał dźwięk metaliczny — a cóż ty na to, pani kaznodziejko?

— Skąd masz te pieniądze?

— Nie domyślasz się?

— Od kardynała?

— Od niego i od mego przyjaciela hrabiego de Rochefort.

— Hrabiego de Rochefort?... ależ to on mnie porwał.

— Być może, moja pani.

— I ty przyjmujesz pieniądze od tego człowieka?

— A czyś mi nie powiedziała, że porwanie twoje było czysto polityczne?

— Nie przeczę, lecz miało ono na celu zmusić mnie do zdradzenia mojej pani, za pomocą tortur wydrzeć mi zeznania, które mogłyby narazić cześć, a może i życie mojej dostojnej władczyni.

— Moja pani — odparł Bonacieux — dostojna władczyni twoja jest przewrotną Hiszpanką, a co kardynał robi, to dobrze robi!...

— Mój panie — rzekła młoda kobieta — znałam cię, jako tchórza, skąpca i głupca, lecz nie wiedziałam, że jesteś nikczemny!

— Pani! — rzekł Bonacieux, który nigdy nie widział żony tak rozzłoszczonej, a unikał kłótni małżeńskiej— pani!... co ty mówisz?

— Mówię, że jesteś nędznikiem! — ciągnęła pani Bonacieux, widząc, że bierze przewagę nad mężem. — A!... więc ty się zajmujesz polityką, ty! i do tego kardynalistowską. A! sprzedajesz się czartowi za pieniądze, z duszą i ciałem?...

— Wcale nie czartowi, bo kardynałowi.

— To wszystko jedno! — krzyknęła młoda kobieta — Richelieu to szatan!...

— Cicho bądź, pani, milcz!... mógłby cię jeszcze kto usłyszeć.

— Tak, masz słuszność i musiałabym się wstydzić za twoje tchórzostwo.

— Czegóż więc ode mnie żądasz? zobaczymy!

— Mówiłam ci już, abyś natychmiast pojechał i uczciwie spełnił zlecenie, którem raczę cię obarczyć, a pod tym warunkiem zapomnę i przebaczę ci wszystko; co więcej — wyciągnęła rękę do niego — zwrócę ci moją przyjaźń.

Bonacieux był tchórzem i skąpcem, lecz kochał swoją żonę, rozczulił się.

Mężczyzna pięćdziesięcioletni nie może długo chować urazy do dwudziestoletniej żony. Pani Bonacieux dostrzegła to wahanie.

— I cóż, namyśliłeś się? — zapytała.

— Ależ, droga moja, zastanów się, czego żądasz ode mnie; Londyn bardzo daleko od Paryża, a kto wie, czy ze zleceniem, jakie mi powierzasz, nie łączy się niebezpieczeństwo!

— Mniejsza o to, jeżeli go unikniesz.

— Słuchaj, pani Bonacieux, słuchaj, ja stanowczo odmawiam: przerażają mnie intrygi. Ja widziałem Bastylję. Brrrrr! straszna ta Bastylja! Dość o niej pomyśleć, a dostaję gęsiej skórki. Torturą mi grożono. Czy ty wiesz, co to są tortury? Kliny drewniane, które ci między nogi wbijają, dopóki nie potrzaskają kości! Nie, nie pojadę stanowczo. A czemuż do licha, sama tam nie pojedziesz? bo, doprawdy, zdaje mi się, że myliłem się co do twojej płci! ty jesteś mężczyzną; to najzapamiętalszym!

— A ty jesteś babą, babą nikczemną, głupią i zbestwioną. A! tchórzysz! Więc dobrze, jeżeli nie jedziesz natychmiast, każę cię z rozkazu królowej aresztować i wpakować do Bastylji, której się tak lękasz.

Bonacieux pogrążył się w głębokiem zamyśleniu, a w umyśle swym wziął na szalę te dwa gniewy, kardynała i królowej: pierwszy przeważał ogromnie.

— Każ mnie aresztować w imieniu królowej — rzekł — a ja powołam się na jego eminencję.

Pani Bonacieux przerażona spostrzegła od razu, iż zagalopowała się zanadto.

Ze strachem wpatrzyła się przez chwilę w to oblicze głupie, pełne stanowczości niezwalczonej, jak zwykle u ludzi ograniczonych, którzy się boją.

— Ha! niech i tak będzie — rzekła. — Wreszcie może masz słuszność; mężczyzna zawsze więcej, niż kobieta, zna się na polityce, a ty, panie Bonacieux szczególniej, ty, który rozmawiałeś z kardynałem... A jednak — dodała — bardzo to bolesne, iż mąż mój, na którego przywiązanie liczyłam, tak mało uprzejmości ma dla mnie i nigdy nie chce zadowolić moich życzeń.

— Bo te życzenia zbyt daleko zaprowadzić mogą — odrzekł Bonacieux triumfująco — więc im nie dowierzam.

— Ha! to zrzekam się ich — rzekła z uśmiechem — dobrze, nie mówmy już o tem.

— Gdybyś mi powiedziała przynajmniej, co ja tam będę robić w Londynie — odezwał się Bonacieux, który przypomniał sobie, lecz trochę za późno, iż Rochefort zalecił mu podchwytywać tajemnice żony.

— Na cóż ci ta wiadomość — rzekła młoda kobieta, którą nieufność instynktowna zaczęła powstrzymywać — chodziło tu o rzecz małej wagi, jak zwykle, o zachcianki kobiece, o pewien sprawunek, na którym możnaby grubo zarobić.

Im więcej jednak stawała się skryta, tem bardziej dawała mu do myślenia, iż kryła przed nim ważną tajemnicę.

Postanowił więc udać się natychmiast do hrabiego de Rochefort, aby mu powiedzieć, iż królowa poszukuje posłańca do Londynu.

— Wybacz, że cię zostawiam, droga pani — rzekł — lecz, nie wiedząc, że do mnie przyjdziesz, umówiłem się z jednym z przyjaciół moich; powrócę za chwilkę i jeżeli pól minutki poczekać na mnie zechcesz, to skoro tylko się tam załatwię, przyjdę, ażeby odprowadzić cię do Luwru, gdyż już zaczyna się ściemniać.

— Dziękuję panu — odparła pani Bonacieux — nie dość odważny jesteś, abyś mi był przydatny, i sama potrafię powrócić do Luwru.

— Jak się pani podoba — odpowiedział jej kramarz. — Kiedyż cię znowu ujrzę?

— Niedługo; mam nadzieję iż w przyszłym tygodniu będę wolniejsza od służby, skorzystam więc z tego, aby powrócić, dla zaprowadzenia ładu w gospodarstwie naszem, które musi być nieco nadwyrężone.

— To dobrze: będę cię oczekiwać. Czy nie masz do mnie urazy?

— Ja! bynajmniej.

— Do widzenia zatem...

— Do widzenia.

Bonacieux pocałował żonę w rękę i popędził jak strzała.

— No, tego tylko brakowało, aby ten błazen został kardynalistą! — powiedziała do siebie pani Bonacieux, skoro się drzwi za jej mężem zamknęły. — A ja zaręczyłam królowej, obiecałam pani mojej... A! Boże mój, Boże! weźmie mnie za jedne z tych nędznic, od których roi się w pałacu, a które pomieszczono przy niej, aby ją szpiegowały! Ha! mój panie Bonacieux!... nie kochałam cię nigdy zbytecznie; a teraz nienawidzę! i daję słowo, że mi za to zapłacisz!

W chwili, gdy to mówiła, pukanie w suficie zmusiło ją do spojrzenia w górę, a głos z nad sufitu odezwał się do niej:

— Droga pani Bonacieux, otwórz mi drzwiczki od schodów, abym mógł do ciebie przyjść.

Rozdział XVIII. Kochanek i mąż

— A! pani — rzekł d'Artagnan, wchodząc drzwiami, które mu otworzyła młodziutka kobieta — pozwól powiedzieć sobie, iż nieosobliwego masz męża.

— Więc pan słyszałeś naszą rozmowę? — żywo spytała pani Bonacieux, patrząc z niepokojem na d'Artagnana.

— Caluteńką.

— Ale w jakiż sposób, mój Boże?

— Za pomocą środka mnie tylko znanego, dzięki któremu słyszałem wprzód rozmowę daleko bardziej ożywioną, jaką pani miałaś z kardynalskimi zbirami.

— A cóżeś pan sobie pomyślał o tem, co mówiliśmy?

— Różne rzeczy. Najpierw, że mąż pani jest, na szczęście, ciemięgą i głupcem, następnie, że pani jesteś w kłopocie, z czego mocno się cieszę, bo mi to daje sposobność oddania się na twoje usługi, a Bogu wiadomo, czy nie jestem gotów rzucić się w ogień dla ciebie; na koniec, że królowa potrzebuje człowieka odważnego, przytomnego i oddanego sobie, któryby odbył podróż do Londynu. Z trzech tych żądanych rzeczy, dwie co najmniej posiadam, i czekam na rozkazy.

Pani Bonacieux nic nie odpowiedziała, lecz serce jej biło z radości i nadzieja ukryta zabłysła w jej oczach.

— A jaką mi pan dasz pewność — rzekła — gdybym przystała na powierzenie ci tego posłannictwa?

— Miłość moją dla pani! Dalej, mów, rozkazuj: cóż należy czynić?

— Boże mój! Boże!... — szepnęła młoda kobieta — czyż mogę powierzyć panu taką tajemnicę? Jesteś prawie dzieckiem!

— Ha, widocznie potrzeba pani kogoś, coby za mną zaręczył.

— Przyznaję, iż bardzoby mnie to upewniło.

— Znasz pani Athosa?

— Nie.

— Porthosa?

— Nie.

— Aramisa?

— Nie. Któż są ci panowie?

— Muszkieterowie królewscy...

— A czy znasz pani pana de Tréville, ich kapitana?

—O! tak, tego znam, nie osobiście, lecz ze słyszenia, i nieraz mówiono o nim królowej, jako o dzielnym i zacnym szlachcicu.

— I nie obawiasz się, pani aby on cię dla kardynała zdradził, wszak prawda?

— O! nie, nie!

— To daj mu pani poznać swoje tajemnicę, i zapytaj go, czy choćby była najważniejsza i najstraszniejsza, może mi być powierzoną.

— Ależ tajemnica nie do mnie należy i odkrywać mu jej nie mogę.

— A o mało co nie zwierzyłaś się panu Bonacieux — odezwał się d'Artagnan ze złością.

— Tak, jak się powierza list wydrążeniu w drzewie, skrzydłu gołębia, lub psiej obroży.

— A jednak, wiesz pani doskonale, że cię kocham.

— Tak pan mówisz przynajmniej.

— Jestem człowiekiem prawym.

— Wierzę.

— Odważnym!

— O! tego jestem pewna.

— Zatem wystaw mnie pani na próbę.

Pani Bonacieux spojrzała na młodzieńca, powstrzymywana resztą lękliwego wahania.

Lecz tyle w oczach jego było zapału, głos tak był przekonywujący, iż uczuła odwagę zaufać mu zupełnie.

Wreszcie w takich się znajdowała okolicznościach, w jakich stawka równa się wygranej.

Królowa mogła być zgubiona tak dobrze przez zbytnią ostrożność, jak i wskutek zbytniego zaufania.

Przyznajmy też, iż mimowolne uczucie, którego doznawała dla tego opiekuńczego młodzieńca, skłoniło ją na koniec do omówienia.

— Posłuchaj pan — rzekła — powierzam się pańskiemu honorowi, zapewnienia twoje skłaniają mnie do tego. Lecz przysięgam przed Bogiem, który nas słyszy, że jeżeli zdradzisz mnie, a nieprzyjaciele moi zostawią mnie przy życiu, zabiję się, a ciebie obwinię o moją śmierć.

— A ja przysięgam przed Bogiem — rzekł d'Artagnan — że jeśli zostanę ujęty, spełniając twoje rozkazy, umrę wpierw, zanim zrobię lub powiem coś, coby kogokolwiek mogło narazić.

Wtedy młoda kobieta powierzyła mu straszliwą tajemnicę, której cząstkę odkrył mu przypadek na moście, przy latarni Samarytanki.

Było to dla nich wspólnem wyznaniem miłości.

D'Artagnan promieniał radością i dumą.

Posiadana tajemnica i kobieta ukochana przez niego, jednem słowem zaufanie i miłość czyniły go olbrzymem.

— Jadę — rzekł — jadę natychmiast!...

— Jak to! jedziesz pan — zawołała pani Bonacieux — a pułk twój, a dowódca?...

— Na honor, o wszystkiem przez ciebie zapomniałem, ukochana Konstancjo. Tak! masz słuszność, muszę mieć urlop.

— Jeszcze jedna przeszkoda — wyszeptała z goryczą pani Bonacieux.

— O! co do tej — rzekł po chwilowym namyśle d'Artagnan — bądź spokojna, usunę ją.

— Jakim sposobem?

— Jeszcze dziś wieczorem pójdę do pana de Tréville i zobowiążę go, aby wyjednał dla mnie tę łaskę, od swojego szwagra, pana Desessarts.

— A teraz druga rzecz jeszcze.

— Jaka? — zagadnął d'Artagnan, widząc, że pani Bonacieux waha się z wypowiedzeniem swej myśli.

— Może nie masz pieniędzy?

— Nie mylisz się pani — rzekł uśmiechając się d'Artagnan.

— Otóż — odparła pani Bonacieux, wyjmując z szafy trzos, który przed pół godziną mąż jej z taką miłością pieścił — weź to.

— Pieniądze kardynalskie — zawołał d'Artagnan, wybuchając śmiechem, wiemy bowiem, iż dzięki wyjętej tafli w posadzce, ani słówka nie stracił z rozmowy kramarza z żoną.

— Kardynalskie — odparła pani Bonacieux — widzisz przecie, że trzos ten przedstawia się dość przyzwoicie.

— Jak mi Bóg miły! — wykrzyknął d'Artagnan — to będzie ucieszna historja, pieniędzmi jego eminencji ocalę królowę!

— Miły i zachwycający z ciebie chłopiec — rzekła pani Bonacieux. — Wierzaj mi, iż Jej Królewska Mość nie okaże się dla ciebie niewdzięczną.

— O! jestem już wynagrodzony wspaniale — zawołał d'Artagnan. — Pozwalasz mi powiedzieć, iż cię kocham; to większe szczęście, niż mogłem się spodziewać.

— Cicho! — odezwała się pani Bonacieux, zadrżawszy.

— Co takiego?

— Słyszę na ulicy rozmowę.

— To głos...

— Mojego męża. Tak, to on!

D'Artagnan rzucił się do drzwi i zasunął rygiel.

— Nie wejdzie, dopóki ja stąd nie wyjdę — rzekł otworzysz mu, kiedy mnie już nie będzie.

— Lecz i ja tu być nie powinnam. Jeżeli zostanę, jak usprawiedliwię zniknięcie pieniędzy?

— Słusznie, trzeba wyjść.

— Wyjść, a jak nas zobaczy?

— To trzeba wejść do mnie.

— A! mówisz to takim tonem, że mnie przerażasz — zawołała pani Bonacieux.

Słowa te wyrzekła ze łzami w oczach.

Dostrzegł jej d'Artagnan i pomieszany, zmiękczony, rzucił się jej do kolan.

— U mnie — rzekł — będziesz bezpieczna, jak w świątyni, słowem szlacheckiem ci ręczę.

— Idźmy — rzekła — ufam ci, mój drogi.

D'Artagnan odsunął ostrożnie rygiel, i oboje, jak dwa lekkie cienie, przesunęli się przez drzwi wewnętrzne do korytarza, bez szelestu przebyli schody i weszli do pokoju d'Artagnana.

Znalazłszy się u siebie, młodzieniec, dla wszelkiego bezpieczeństwa zabarykadował drzwi.

Podeszli tu do okna i przez szparę w okiennicy ujrzeli pana Bonacieux, rozmawiającego z mężczyzną w płaszczu.

Na widok tego ostatniego, d'Artagnan skoczył jak oparzony i, chwytając rękojeść szpady rzucił się ku drzwiom.

Był to mężczyzna z Meung.

— Co robić zamyślasz? — krzyknęła pani Bonacieux — chcesz nas zgubić!

— Ależ przysiągłem sobie zabić tego człowieka — odparł d'Artagnan.

— Życie twoje nie do ciebie teraz należy. Zabraniam ci, w imieniu królowej, narażać się na niebezpieczeństwa, nie mające łączności z twoją podróżą.

— A w swojem imieniu, czy nic mi nie rozkazujesz?

— W mojem — odrzekła z żywem wzruszeniem pani Bonacieux — w mojem imieniu proszę cię o to. Lecz posłuchajmy, zdaje mi się, iż mówią o mnie.

D'Artagnan zbliżył się do okna i nadstawił ucha.

Pan Bonacieux otworzył drzwi i, widząc, że mieszkanie puste, powrócił do mężczyzny w płaszczu, którego pozostawił na chwilę samego.

— Wyszła — rzekł — musiała powrócić do Luwru.

— Pewny zatem jesteś — odparł obcy mężczyzna — że nie przypuszcza, w jakich zamiarach wyszedłeś?

— Nie — odrzekł zarozumiale Bonacieux — ona w ogóle mało myśli, to kiepska głowa kobieca!...

— A ten kadet z gwardji czy jest w domu?

— Chyba że nie, bo, jak pan widzisz, okiennica u niego zamknięta i żadnego światła nie widać przez szpary.

— To nic, należałoby się przekonać.

— W jaki sposób?

— Zapukać do jego drzwi.

— Zapytam służącego.

Bonacieux wszedł do mieszkania, przeszedł drzwiami, któremi umknęli zbiegi, stanął w sieni d'Artagnana i zapukał.

Nikt się nie odezwał. Porthos, dla większej parady u siebie, pożyczył na ten wieczór Plancheta. D'Artagnan zaś nie myślał dawać znaku życia.

W chwili, gdy palec pana Bonacieux odbił się o drzwi, dwojgu młodym ludziom o mało serce nie wyskoczyło z piersi.

— Nie ma nikogo — rzekł Bonacieux.

— Mniejsza o to, wejdźmy w każdym razie do pana, bezpieczniejsi będziemy, niźli tu na progu.

— A! mój Boże! — szepnęła pani Bonacieux — nic już nie usłyszymy.

— Przeciwnie — odparł d'Artagnan — i to daleko lepiej.

Odsunął taflę z posadzki, która tworzyła z pokoju jego coś na kształt ucha Djonizjuszowego, rozpostarł na ziemi dywan, ukląkł na nim, dając znak pani Bonacieux, aby również, jak on, pochyliła się nad otworem.

— Przekonany jesteś, że nie ma tam nikogo? — rzekł obcy mężczyzna.

— Ręczę za to — odrzekł Bonacieux.

— I myślisz, że twoja żona?...

— Powróciła do Luwru.

— Nie widząc się z nikim, prócz z tobą?

— Jestem tego pewny.

— W tem grunt... rozumiesz?

— O!... rozumiem, że nowina, którą powiedziałem panu, jest ważna...

— Nadzwyczajnie, drogi mój Bonacieux, nie taję tego bynajmniej.

— Więc kardynał będzie ze mnie zadowolony?

— Spodziewam się.

— Wielki kardynał!...

— Czy pewny jesteś, że żona w rozmowie z tobą nie wymieniła żadnego nazwiska?

— Nie zdaje mi się.

— Nie wymieniała ani pani de Chevreuse, ani pana de Buckingham, ani pani de Vernet?

— Nie, powiedziała tylko, że wyprawiłaby mnie do Londynu dla załatwienia sprawy jakiejś osobistości, wysoko położonej.

— Zdrajca!... — szepnęła pani Bonacieux.

— Cicho! — rzekł d'Artagnan, ujmując jej rączkę, którą mu bezwiednie oddała.

— W każdym razie — ciągnął mężczyzna w płaszczu — jesteś niedołęgą, bo trzeba ci było udać, iż przyjmujesz zlecenie, byłbyś już teraz w posiadaniu listu; rząd, któremu grożą, byłby ocalony, a ty...

— A ja?...

— Ha!... a tobie, kardynał dałby dyplom szlachecki....

— Powiedział to panu?

— Rozumie się, iż chciał ci sprawić tę niespodziankę.

— Bądź pan spokojny — odrzekł Bonacieux — żona moja ubóstwia mnie, jeszcze czas.

— Dureń! — szepnęła pani Bonacieux.

— Cicho! — rzekł d'Artagnan, ściskając mocniej jej rękę.

— Jak to?... jeszcze czas? — zapytał mężczyzna w płaszczu.

— Pędzę do Luwru, wywołuję panią Bonacieux, powiem jej, że się namyśliłem, dostaję list i lecę z nim do kardynała.

— To śpiesz się! ja tu powrócę wkrótce, aby się dowiedzieć, coś uczynił.

I wyszedł.

— Podły! — rzekła pani Bonacieux, i tę nazwę jeszcze stosując do męża.

— Cicho!... — odezwał się d'Artagnan, coraz mocniej ściskając jej rączkę.

Naraz, straszny ryk przerwał uwagę dwojga młodych ludzi.

Był to głos małżonka pani Konstancji, który, dostrzegłszy zniknięcie trzosa, darł się na całe gardło, że go okradziono.

— O! Boże!... — zawołała pani Bonacieux — gotów całą dzielnicę poruszyć.

Długo krzyczał Bonacieux; lecz hałasy podobne, dlatego że często się powtarzały wówczas, nikogo już nie zwabiały na ulicę Grabarzy, a przytem dom kramarza nie tęgą już miał reputację.

Widząc więc, że nikt nie przybywa, wybiegł z domu, krzycząc nieustannie i słychać już tylko było głos jego, oddalający się w kierunku ulicy du Bac.

— A teraz, kiedy już poszedł sobie, na pana kolej, abyś wyszedł — rzekła pani Bonacieux — odwagi, a przede wszystkiem roztropności, pamiętaj, że teraz należysz do królowej.

— Do niej i do ciebie! — zawołał d'Artagnan. — Bądź spokojna, piękna Konstancjo, stanę się godny jej wdzięczności; lecz czy powrócę, godny twojej miłości?

Młoda kobieta odpowiedziała mu na to żywym rumieńcem, który okrasił jej lica.

W kilka chwil potem d'Artagnan wyszedł osłonięty szerokim płaszczem.

Pani Bonacieux powiodła za nim rozkochanemi oczyma, lecz skoro zniknął przy zakręcie ulicy, padła na kolana i złożyła ręce.

— O! Boże!... — zawołała — weź w swoją opiekę królową i nie opuszczaj mnie!...

Rozdział XIX. Plan wyprawy

D'Artagnan udał się wprost do pana de Tréville. Rozważył, iż za chwilę kardynał uprzedzony zostanie przez tego potępieńca, który widocznie był jego agentem, i słusznie sądził, iż nie ma czasu do stracenia. Serce młodzieńca radością było wezbrane.

Zdarzała mu się sposobność, w której były jednocześnie sława i pieniądze do zdobycia, a na domiar czynniki te, jak gdyby na zachętę, zbliżały go do kobiety, którą ubóstwiał. Wypadek więcej czynił dla niego, niżby śmiał żądać od Opatrzności.

Pan de Tréville znajdował się w salonie, jak zwykle, otoczony szlachtą.

D'Artagnan, którego znano, jako dobrze widzianego, udał się prosto do gabinetu i polecił, aby dano znać, iż czeka w sprawie nader ważnej.

Po upływie pięciu minut wszedł pan de Tréville.

Na pierwszy rzut oka, poznał zacny kapitan z oblicza, na którem radość się malowała, iż zaszło rzeczywiście coś niezwykłego.

Przez całą drogę d'Artagnan stawiał sobie pytanie: czy wypadało zwierzyć się panu de Tréville, czy też żądać tylko udzielenia odeń pozwolenia na zupełnie swobodne działanie w tajemnej sprawie. Lecz pan de Tréville tak nieskończenie dobry był dla niego, a sam tak oddany królowi i królowej, tak serdecznie przytem nienawidził kardynała, iż młodzieniec postanowił opowiedzieć mu wszystko.

— Żądałeś widzenia mnie, młody mój przyjacielu? — odezwał się pan de Tréville.

— Tak, panie — rzekł d'Artagnan — i mam nadzieję, iż pan mi przebaczy, że go trudzę, gdy się dowiesz, o co tu chodzi.

— Mów więc, słucham.

— Chodzi tu ni mniej ni więcej — rzekł d'Artagnan, głos zniżając — o cześć, a może nawet i o życie królowej.

— Co mówisz?... — zagadnął pan de Tréville, potoczywszy wzrokiem dokoła, dla upewnienia się, czy są sami i skupiając wejrzenie badawcze na d'Artagnanie.

— Mówię panu, iż wypadek uczynił mię panem tajemnicy...

— Którą spodziewam się, młodzieńcze, iż zachowasz kosztem twojego życia.

— Ale winienem ją powierzyć panu, bo ty jedynie dopomóc mi możesz w spełnieniu zlecenia, które otrzymałem od Jej Królewskiej Mości.

— Czy tajemnica ta do ciebie należy?

— Nie, panie, lecz do królowej.

— A czyś upoważniony do powierzenia mi jej?

— Nie panie, zlecono mi najgłębszą tajemnicę.

— Dlaczegóż więc chcesz ją zdradzić przede mną?...

— Ponieważ, mówię, bez pana nie mogę nic zrobić, a lękam się, byś nie odmówił mi łaski, której żądać przychodzę, jeżeli nie będziesz wiedział, w jakim celu o nią proszę.

— Zachowaj tę tajemnicę, młodzieńcze, i mów, czego pragniesz?

— Pragnę, abyś pan dla mnie otrzymał od pana Desessarts, urlop dwutygodniowy.

— Kiedy?

— Tej nocy jeszcze.

— Opuszczasz Paryż?

— Jadę z poleceniem.

— Czy możesz mi powiedzieć dokąd?

— Do Londynu.

— Czy zależy komu na tem, abyś się tam nie dostał?

— Sądzę, iż kardynał dałby wszystko na świecie, aby mi w tem przeszkodzić.

— Sam jedziesz?

— Sam.

— W takim razie nie dojedziesz nawet do Bondy: ja ci to mówię, słowo Trévilla.

— Dlaczego?

— Zamordować cię każą.

— Umrę, spełniając swój obowiązek.

— Lecz posłannictwo twoje nie będzie spełnione.

— To prawda — zauważył d'Artagnan.

— Wierzaj mi — ciągnął dalej Tréville — w przedsięwzięciach tego rodzaju na czterech, jeden tylko dotrzeć może do miejsca.

— A! masz pan słuszność — rzekł d'Artagnan — lecz znasz przecie Athosa, Porthosa i Aramisa i wiesz, czy mogę nimi rozporządzać.

— Ale nie powierzaj im tajemnicy, której i ja znać nie chcę.

— Raz na zawsze przysięgliśmy sobie ślepe zaufanie i wierność bez granic; wreszcie pan może im powiedzieć, iż ufasz mi zupełnie, a tak samo, jak pan, i oni mi zawierzą.

— Mogę każdemu z nich posłać dwutygodniowy urlop, nic więcej; Athosowi, któremu rana dolega, aby udał się do wód w Forges; Porthosowi zaś i Aramisowi, aby towarzyszyli przyjacielowi, który potrzebuje ich pomocy w chorobie. Doręczenie urlopu będzie dowodem, iż upoważniam ich do podróży.

— Dzięki, panie, jesteś nieskończenie dobry.

— Idź więc do nich natychmiast i niech wszystko będzie tej nocy gotowe. A!... napisz-że mi zaraz prośbę do pana Desessarts. Być może, iż miałeś szpiega za piętami, a w takim razie odwiedziny twoje znane są już kardynałowi, będą tem przynajmniej uprawnione.

D'Artagnan napisał prośbę, a pan de Tréville, biorąc ją do ręki, zaręczył, iż przed drugą po północy cztery urlopy przesłane zostaną do własnych mieszkań muszkieterów.

— Zechciej pan odesłać mój do Athosa — rzekł d'Artagnan. — Przy powrocie do siebie, lękam się jakiego zdradzieckiego spotkania.

— Bądź spokojny. Bywaj zdrów i szczęśliwej drogi! Ale! ale! — rzekł Tréville, przywołując go na powrót.

D'Artagnan zawrócił.

— A masz ty pieniądze?

D'Artagnan zabrzęczał trzosem w kieszeni.

— Ale czy dosyć? — zapytał de Tréville.

— Trzysta pistolów.

— To dobrze, można z tem na koniec świata zajechać; ruszaj więc.

D'Artagnan pożegnał pana de Tréville, który podał mu rękę, młodzieniec uścisnął ją z szacunkiem i wdzięcznością.

Odkąd przybył do Paryża, mógł tylko poszczycić się tym niezrównanym człowiekiem, którego w każdym wypadku znajdował zawsze zacnym, prawym i wielkim.

Najpierw udał się do Aramisa, a nie był u niego od owego pamiętnego wieczoru, kiedy śledził panią Bonacieux.

Co więcej, ile razy widział go odtąd, spostrzegał smutek głęboki, rozlany na jego obliczu.

Tego wieczora również Aramis siedział chmurny i zamyślony.

D'Artagnan zagadnął go o tę ponurą melancholję, lecz Aramis zwalał wszystko na komentarze nad osiemnastym rozdziałem świętego Augustyna, które napisać był zmuszony na tydzień następny i to, jak mówił, tak go wielce zajmowało.

Gdy rozmawiali już czas jakiś, wszedł służący pana de Tréville, niosąc papiery zapieczętowane.

— Cóż to takiego? — zapytał Aramis.

— Urlop, żądany przez pana — odrzekł lokaj.

— Przeze mnie? ja wcale nie żądałem urlopu.

— Nic nie mów, tylko bierz — odezwał się d'Artagnan — ty, przyjacielu, masz pół pistola za fatygę; podziękuj bardzo panu de Tréville od pana Aramisa. Ruszaj.

Służący skłonił się nisko i wyszedł.

— Cóż to znaczy? — zapytał Aramis.

— Wybieraj się w podróż dwutygodniową i chodź ze mną.

— Ależ ja teraz właśnie nie mogę wyjechać z Paryża, nie wiedząc...

Aramis zaciął się.

— Co się z nią stało, nieprawdaż? — dokończył d'Artagnan.

— Z kim? — podchwycił Aramis.

— Z damą, która tu była, z damą o haftowanej chusteczce.

— Kto ci o tem powiedział? — zawołał Aramis, blednąc jak chusta.

— Widziałem ją.

— I ty wiesz, kto ona jest?

— Domyślam się przynajmniej.

— Słuchaj — rzekł Aramis — skoro tyle rzeczy już ci wiadomo, może wiesz także, co się z nią stało?

— Sądzę, iż powróciła do Tours.

— Do Tours? a tak, więc znasz ją widocznie. Lecz, jak mogła tam powrócić, nie powiedziawszy mi o tem ani słowa?

— Obawiała się, aby nie aresztowano.

— Czemu nie napisała do mnie?

— Bo lękała się tem skompromitować ciebie.

— D'Artagnanie, życie mi zwracasz! — zawołał Aramis. — Sądziłem już, że mną wzgardzono, że mnie zdradzono. Tak szczęśliwy się czułem, ujrzawszy ją znowu! Nie mogłem uwierzyć, aby narażała swoją wolność dla mnie; a jednak jaka przyczyna sprowadzić ją mogła do Paryża?

— Przyczyna, dla której dziś wyruszamy do Londynu.

— A cóż to za przyczyna? — zapytał Aramis.

— Dowiesz się o niej kiedyś, Aramisie; na teraz chcę naśladować powściągliwość w mowie siostrzenicy doktora.

Uśmiechnął się Aramis, przypomniał sobie bowiem bajkę, opowiedzianą przyjaciołom.

— Dobrze! skoro więc wyjechała z Paryża, a ty pewny tego jesteś, d'Artagnanie, nic mnie już nie zatrzymuje, i gotów jestem z tobą pojechać... Dokądże teraz idziesz?

— Do Athosa, ale proszę cię, śpiesz się, bo dużo czasu już straciliśmy. Zawołaj Bazina.

— Czy i on z nami pojedzie?

— Może. W każdym razie byłoby dobrze ażeby z nami poszedł do Athosa.

Aramis przywołał Bazina i rozkazał mu podążyć za nimi do Athosa.

— Chodźmy — rzekł biorąc płaszcz, szpadę i trzy pistolety i otwierając wszystkie szufladki dla przekonania się, czy w nich nie znajdzie choć kilku zabłąkanych pistolów.

Przekonawszy się ostatecznie, że poszukiwania te są zbyteczne, ruszył za d'Artagnanem, rozmyślając, w jaki sposób młody kadet z gwardji tak dobrze, jak i on, wiedział, kto była ta dama, której udzielił gościnności u siebie, i że lepiej jeszcze wiedział od niego, co się z nią stało.

Wychodząc, Aramis położył rękę na ramieniu d'Artagnana i wpatrzywszy się w niego badawczo, rzekł:

— Nie mówiłeś o niej nikomu?

— Nikomu w świecie.

— Ani Athosowi, ani Porthosowi nawet?

— Nie pisnąłem ani słówka.

— Tem lepiej.

Spokojny już zupełnie, Aramis szedł obok d'Artagnana, wkrótce obydwaj przybyli do Athosa.

Zastali go z urlopem w jednej i listem od pana de Tréville w drugiej ręce.

— Czy nie moglibyście mnie objaśnić, co znaczy ten urlop i ten list, który odebrałem? — zapytał ich zdziwiony.

„Drogi mój Athosie, i ja chciałbym, skoro zdrowie twoje koniecznie tego wymaga, abyś mógł odpocząć przez parę tygodni. Wybierz się więc do wód w Forges, lub dokąd ci się podoba, i powróć należycie do zdrowia.

Dobrze ci życzący,

Tréville."

— List ten i urlop znaczą, Athosie, że potrzeba jechać ze mną.

— Do wód w Forges?

— Wszystko jedno dokąd.

— W usługach króla?

— Króla i królowej, bo czyż nie jesteśmy sługami ich królewskich mości?

W tej chwili wszedł Porthos.

— Co u licha — rzekł — dziwne rzeczy się dzieją; odkądże to w muszkieterach udzielają ludziom urlopów, gdy o nie nie proszą wcale?

— Odtąd, odkąd mają przyjaciół, którzy żądają tego w ich imieniu — rzekł d'Artagnan.

— A! a! — zawołał Porthos — widocznie coś tu nowego się święci?

— Tak — rzekł Aramis — jedziemy.

— Dokąd?

— Na honor, nie mam pojęcia — odezwał się Athos — zapytaj d'Artagnana.

— Do Londynu, panowie — odrzekł tenże.

— Do Londynu! — wykrzyknął Porthos — a cóż my tam będziemy robili?

— Tego właśnie powiedzieć wam nie mogę, trzeba mi zaufać.

— Ależ na podróż taką potrzeba pieniędzy — dodał Porthos — a ja ich nie mam wcale.

— Ani ja — odezwał się Aramis.

— Ani ja — rzekł Athos.

— Ja mam — odparł d'Artagnan, wyciągając skarb swój z kieszeni i kładąc go na stole. — Trzos ten zawiera trzysta pistolów; każdy z nas weźmie po siedemdziesiąt pięć; to wystarczy, aby zajechać do Londynu i powrócić stamtąd. Zresztą, bądźcie spokojni, nie wszyscy my tam dojedziemy.

— A to czemu?

— Bo według wszelkiego prawdopodobieństwa, niektórzy z nas pozostaną w drodze.

— Czyż to jaka wyprawa wojenna?

— I to najniebezpieczniejsza, oznajmiam wam, moi panowie.

— Masz tobie! lecz jeżeli mamy iść na śmierć, chciałbym przynajmniej wiedzieć, dlaczego? — rzekł Porthos.

— O! dużo na tem skorzystasz — odezwał się Athos.

— Jednakże i ja jestem tego zdania, co Porthos — rzekł Aramis.

— A czy słyszeliście kiedy, aby król nam zdawał sprawę? Nie; mówi wam ot po prostu: Panowie, biją się w Gaskonji, czy też we Flandrji; idźcie tam bić się!... i idziecie. Dlaczego? wszak to was nie obchodzi bynajmniej.

— Słusznie powiada d'Artagnan — przemówił Athos — mamy trzy urlopy od pana de Tréville i mamy trzysta pistolów, nie wiem od kogo. Idźmy więc dać się zabić tam, dokąd nas posyłają. Czyż życie warte jest tyle rozpraw? D'Artagnanie, gotów jestem z tobą iść.

— Ja także — rzekł Porthos.

— I ja też — dodał Aramis. — Zwłaszcza, że chętnie opuszczę Paryż. Potrzebuję rozrywki.

— Tem lepiej! będziecie jej mieć niemało, moi panowie, bądźcie tego pewni! — podchwycił d'Artagnan.

— No, a teraz, kiedyż jedziemy? — zagadnął Athos.

— Natychmiast — odparł d'Artagnan — nie mamy do stracenia ani chwili.

— Hola! Grimaud, Planchet, Mousqueton, Bazin! — krzyknęli czterej młodzieńcy, przywołując swoich pachołków — czyścić nam buty i sprowadzić konie ze stajni pałacowej.

Każdy muszkieter trzymał w stajni ogólnych koszar konia swego i swego pachołka. Wszyscy czterej służący popędzili cwałem.

— A teraz ułóżmy plan wyprawy — odezwał się Porthos. — Dokąd najpierw jedziemy?

— Do Calais — odparł d'Artagnan — jest to droga najprostsza do Londynu.

— Niech i tak będzie! — rzekł Porthos — ale ja bym coś powiedział...

— Mów.

— Czterej mężczyźni, podróżujący razem, wyglądają zawsze podejrzanie: D'Artagnan da każdemu z nas zlecenie. Ja najprzód wyruszę drogą do Boulogne, we dwie godziny po mnie Athos wypuści się w stronę Amiens; Aramis podąży za nami drogą do Noyon; d'Artagnan zaś pojedzie, którędy mu się spodoba, w ubraniu Plancheta, gdy tymczasem Planchet uda się za nami, przebrany za d'Artagnana w mundurze gwardzistów.

— Panowie — odezwał się Athos — mojem zdaniem, me należy wtajemniczać pachołków w sprawy tego rodzaju: szlachta nieraz zdradza tajemnice podobne, służba sprzedaje je zawsze.

— Plan Porthosa wydaje mi się niepraktycznym, z tego względu, iż ja sam nie wiem, jakie zlecenia dać mu mogę. Jestem oddawcą listu, nic więcej. Nie mam i nie mogę stworzyć trzech kopii tego pisma koło zamknięte jest pieczęcią; według mego więc zdania, wypada nam podróżować wspólnie. List ten tu się znajduje, w tej oto kieszeni.

I wskazał, gdzie list ma ukryty.

— Jeżeli zabity zostanę, jeden z was go weźmie i dalej pojedzie; gdy padnie ten drugi, przyjdzie kolej na innego, i tak następnie; chodzi przecie o to, aby choć jeden dotarł do miejsca.

— Brawo, d'Artagnan! zgadzam się z tobą zupełnie rzekł Athos. — Nade wszystko należy być konsekwentnym; ja mam się leczyć kąpielami, wy mi towarzyszyć będziecie; jestem wolny. Jeżeli zechcą nas aresztować, pokażę list pana de Tréville, a wy wasze urlopy; jeżeli napastować was będą, bronić się będziemy razem; jeżeli sądzić nas będą, utrzymywać będziemy do ostatniego, że nie mieliśmy innego zamiaru, prócz kąpania się w morzu; pojedynczo nie trudno byłoby nam poradzić, gdy tymczasem czterech mężczyzn razem tworzy już zastęp pokaźny. Uzbroimy czterech pachołków w pistolety i muszkiety; gdyby nawet armję przeciw nam wysłano, stawimy jej czoło, a ten, który przeżyje, jak mówi d'Artagnan, doręczy list.

— Dobrze powiedział — zawołał Aramis — nie często mówisz, Athosie, lecz, gdy się odezwiesz, to już, jak święty Jan Złotousty. Ja przyjmuję plan Athosa. A ty, Porthosie?

— Ja także — odrzekł tenże — jeżeli tylko podoba się d'Artagnanowi. On, jako oddawca listu, jest z natury rzeczy wodzem wyprawy; niech postanowi, a my wykonamy.

— A więc! — odezwał się d'Artagnan — postanawiam, iż przyjmujemy plan Athosa i że za pół godziny wyruszymy w drogę.

I każdy z nich, sięgnąwszy ręką do trzosa, wziął siedemdziesiąt i pięć pistolów i przygotowywał się do wyjazdu o umówionej godzinie.

Rozdział XX. Podróż

O drugiej nad ranem czterej ochotnicy nasi, wyjechali z Paryża przez rogatkę Ś-go Djonizego.

Noc usposabiała ich do milczenia; mimowoli ulegli wpływowi ciemności i wszędzie podejrzewali zasadzki.

Pierwszy brzask dzienny rozwiązał im języki. Wesołość powraca ze słońcem.

Jak gdyby w przeddzień potyczki, serca im biły, oczy się świeciły, czuli, że życie, które może im przyjdzie pożegnać, jest bądź co bądź skarbem drogocennym.

Zastęp ich wyglądał nader groźnie.

Kare konie muszkieterów, postawa ich wojenna, miarowy z nawyknienia chód koni, aż nadto wyraźnie zdradzały ich sekretne incognito.

Za nimi jechali pachołkowie, zbrojni od stóp do głów.

Wszystko szło jak najlepiej aż do Chantilly, dokąd przybyli około godziny ósmej z rana. Należało spożyć śniadanie. Zatrzymali się przed oberżą, którą zalecał znak, przedstawiający świętego Marcina, oddającego ubogiemu połowę swojego płaszcza.

Przykazano pachołkom nie rozsiodływać koni i być w pogotowiu do niezwłocznego wyjazdu.

Weszli do sali ogólnej i zasiedli do stołu.

Jakiś szlachcic, przybyły drogą od Dammartin, jadł śniadanie przy tym samym stole. Wdał się z nimi w rozmowę o pogodzie i deszczu; podróżni nasi odpowiadali mu; wypił za ich zdrowie, ci znów odwzajemnili się mu grzecznością za grzeczność.

W chwili jednak, gdy Mousqueton oznajmił, że konie gotowe, i zaczęto wstawać od stołu, nieznajomy zaproponował Porthosowi wypić za zdrowie kardynała. Porthos zgodził się na to chętnie, z warunkiem, że szlachcic wypije też za zdrowie króla. Nieznajomy odparł mu ostro, że nie zna innego króla, prócz jego eminencji. Wtedy Porthos nawymyślał mu od pijaków, a tamten pochwycił za szpadę.

— Głupstwo zrobiłeś — rzekł Athos — trudna rada, nie ma teraz sposobu wycofania się, zabij tego człowieka i dopędź nas, jak możesz najprędzej.

I wszyscy trzej dosiedli koni i puścili się cwałem, a Porthos obiecywał przeciwnikowi swojemu, że przedziurawi go wszystkiemi pchnięciami, znanemi w szermierce.

— Już nas o jednego mniej — rzekł Athos, odjechawszy pięćset kroków.

— Dlaczego ten człowiek przyczepił się do Porthosa, a nie do którego z nas? — zapytał Aramis.

— Bo Porthos ze wszystkich nas krzyczy najgłośniej, wziął go więc za przywódcę — odrzekł d'Artagnan.

— Zawsze mówiłem, że ten kadet gaskoński jest studnią mądrości — mruknął pod nosem Athos.

I dalej jechali.

W Beauvais zatrzymali się przez dwie godziny, dla wytchnienia koni i chcąc zaczekać na Porthosa. Po upływie jednak tego czasu, ponieważ ani jego ani wieści o nim nie było, w dalszą ruszyli drogę.

O milę za Beauvais, w miejscu, gdzie droga wiła się wąwozem pomiędzy wzgórzami, napotkali ośmiu czy dziesięciu ludzi, którzy nie wiadomo po co kopali tu ziemię i w miękkim gruncie tworzyli kałuże błotniste.

Aramis, bojąc się zawalania bucików w tych sztucznych trzęsawiskach, zgromił ich ostro.

Athos chciał go powstrzymać, lecz było już za późno.

Robotnicy odpowiedzieli drwinkami.

Wobec takiego zuchwalstwa nawet chłodny Athos stracił głowę i na jednego z nich najechał koniem.

Wtedy ludzie ci cofnęli się do przydrożnego rowu i pochwycili ukryte muszkiety.

Wycelowali do siedmiu naszych podróżnych.

Aramisowi kula przebiła ramię, inna utkwiła Mousquetonowi w mięśniu, będącem przedłużeniem niższej części krzyża.

Mosqueton spadł z konia wprawdzie nie dlatego, że rana jego była niebezpieczna, lecz że jej obejrzeć nie mógł i sądził zapewne, że jest groźniejszą.

— To zasadzka — odezwał się d'Artagnan — nie dajmy się wziąć na wędkę! dalej w drogę!...

Aramis, choć ranny, chwycił się grzywy konia, który uniósł go za innymi.

Wierzchowiec Mousquetona także ich dognał i galopował w szeregu bez jeźdźca.

— Będziemy mieli konia zapasowego — rzekł Athos.

— Wolałbym kapelusz — odezwał się d'Artagnan — mój zdmuchnęła mi kula. Całe szczęście, na honor, że list się w nim nie znajdował.

— Otóż masz! gotowi zabić biednego Porthosa, jak będzie tamtędy przejeżdżał — zauważył Aramis.

— E!... gdyby był na nogach, dopędziłby nas już dotąd — rzekł Athos. — Wszystko mi się zdaje, że ten pijak trzeźwym już był przy pojedynku.

I pędzili jeszcze galopem przez godzin parę, choć konie tak były zmęczone, że obawiano się, aby wkrótce nie odmówiły posługi.

Podróżni jechali na przełaj, w nadziei, iż tym sposobem unikną zaczepki; lecz w Crevecoeur Aramis oświadczył, że dalej jechać nie może.

W istocie trzeba było wielkiej jego odwagi, ukrytej pod elegancką powierzchownością i gładkiem obejściem, aby wytrwać aż dotąd.

Co chwila bladł straszliwie i musiano go podtrzymywać na koniu; zsadzono go przed bramą oberży, pozostawiono z nim Bazina, który więcej zawadzał, niż pomagał, w utarczce, i puszczono się w drogę, w nadziei, że noc będzie można przepędzić w Amiens.

— Do djabła! — zaklął Athos, gdy znowu jechali pocztem, zmniejszonym do dwóch panów i tyluż pachołków — do djabła! już więcej nie dam się złapać i przyrzekam, że nie otworzę gęby, ani szpady nie dotknę, aż do samego Calais. Przysięgam...

— Nie przysięgajmy!... — odezwał się d'Artagnan — pędźmy co tchu, jeżeli tylko przystaną na to nasze konie.

I, spinając ostrogami boki wierzchowców, podniecali słabnące w nich siły.

O północy stanęli w Amiens i zatrzymali się w oberży pod Złotą Lilją.

Oberżysta wyglądał na człowieka najuczciwszego pod słońcem, przyjął podróżnych ze świecą w jednej, a szlafmycą w drugiej ręce; ofiarowywał każdemu z nich osobny śliczny pokoik.

Na nieszczęście dwa te pokoje położone były na przeciwnych krańcach oberży.

D'Artagnan i Athos odmówili; gospodarz odpowiedział, że nie rozporządzał innemi pokojami, godnemi tak wielkich panów; ci zaś oświadczyli, iż gotowi są przespać się w izbie ogólnej, choćby na materacu, rzuconym na ziemię.

Oberżysta nalegał, oni nie ustąpili; trzeba było nareszcie zrobić tak, jak chcieli.

Ale tylko co przyrządzili sobie posłanie i zatarasowali drzwi od wewnątrz, gdy ktoś zapukał do okiennicy od podwórza.

Spytali: kto tam? a poznawszy głosy pachołków swoich otworzyli.

Rzeczywiście byli to Planchet i Grimaud.

— Grimaud sam dopilnuje koni... — odezwał się Planchet — a ja, jeżeli panowie zechcą pozwolić, położę się pod ich drzwiami i będzie pewność, że nikt tutaj nie wejdzie.

— A na czem się położysz? — zapytał d'Artagnan.

— Mam posłanie — odparł Planchet, wskazując na wiązkę słomy.

— A to chodź — rzekł d'Artagnan, — nawet może i masz słuszność; twarz tego oberżysty nie bardzo mi się podoba, zanadto jest uprzejmy.

— I mnie także niekoniecznie — odezwał się Athos.

Planchet wdrapał się oknem i położył się w poprzek drzwi, a Grimaud zamknął się w stajni, zaręczając, iż o piątej z rana wraz z końmi będzie gotowy.

Noc upłynęła dość spokojnie, jednakże około drugiej nad ranem, ktoś próbował drzwi; ponieważ jednak Planchet, obudziwszy się nagle zawołał: kto tam? odpowiedział ten ktoś, że się pomylił i odszedł.

O czwartej posłyszano hałas okrutny w stajni.

Grimaud chciał zbudzić parobków, a ci go zaczęli bić.

Śpiący w oberży, otworzywszy okno, ujrzeli biedaka bez przytomności, z głową rozciętą trzonkiem od wideł.

Planchet wyskoczył na podwórze, chcąc siodłać konie, i lecz były ochwacone. Jeden tylko wierzchowiec Mousquetona, który przez kilka godzin podróż odbywał bez jeźdźca, mógł służyć do dalszej drogi, jednak przez pomyłkę, trudną do pojęcia, weterynarz, po którego posłano, jak się pokazało, dla puszczania krwi koniowi oberżysty, uczynił to z koniem Mousquetona.

Wszystko to stawało się niepokojącem, bo przygody ubiegłe mogły być wprawdzie zrządzeniem wypadku, lecz tak dobrze i wynikiem planu, uknutego z góry.

Athos i d'Artagnan pozostali, Planchet tymczasem poszedł się dowiedzieć, czy niema gdzie w pobliżu trzech koni do nabycia.

Przed bramą stały założone dwa konie, osiadłane do drogi, wypoczęte i silne. Dobrze się to zdarzyło.

Planchet zapytał, gdzie są ich właściciele, odpowiedziano mu, że nocowali w oberży i w tej chwili rachowali się z gospodarzem.

Athos udał się także dla załatwienia rachunku, d'Artagnan zaś i Planchet pozostali w bramie.

Oberżysta siedział w pokoju odległym, na dole, poproszono więc Athosa, aby się tam udał.

Athos, nie podejrzewając nic, przystąpił do oberżysty i wyjął z kieszeni dwa pistole, oberżysta siedział przy biurku, którego jedna z szufladek była otwarta.

Wziął od Athosa pieniądze i począł je oglądać na wszystkie strony, poczem krzyknął, że są fałszywe, oświadczając, że każe aresztować jego i towarzysza, jako podrabiaczy pieniędzy.

— Hultaju — syknął Athos, podchodząc do niego — uszy ci poobcinam.

W tej chwili czterech ludzi zbrojnych wpadło drzwiami bocznemi i rzuciło się na Athosa.

— Schwytano mnie — krzyknął Athos na całe gardło — d'Artagnan, uciekaj! — i strzelił po dwakroć z pistoletu.

D'Artagnan i Planchet nie w ciemię bici, nie czekając na powtórny rozkaz, odwiązali konie, które stały przed bramą, skoczyli na nie, spięli ostrogami i popędzili cwałem.

— Czy ty wiesz, co się z Athosem stało? — zagadnął w pędzie d'Artagnan Plancheta.

— A! panie mój! — odparł Planchet — widziałem, jak dwa te strzały położyły dwóch ludzi i zdaje mi się, że widziałem także przez szyby, jak rąbał się z innymi.

— Dzielny Athos! — szepnął d'Artagnan. — Ciężko pomyśleć, że opuścić go muszę! Zresztą, kto wie, co nas tu niedługo czeka. Naprzód Planchet, naprzód! zuch z ciebie, mój chłopcze.

— Ja panu mówiłem — odrzekł tenże — że Pikardyjczycy, to taki naród, co go w potrzebie poznaje się dopiero, a teraz na swojej ziemi jestem, to mi ducha dodaje.

I obadwaj, sadząc, co koń wyskoczy, przybyli jednym tchem do Saint Omer.

Tam, zarzuciwszy cugle na ramię, dali wytchnąć koniom, sami przekąsili naprędce, stojąc na ulicy, i dalej pocwałowali.

O sto kroków od bram Calais koń d'Artagnana padł, z nozdrzy i oczu krew mu się rzuciła, i nie było sposobu ratować; był jeszcze wierzchowiec Plancheta, lecz i ten się rozparł i niepodobna było zmusić go do dalszej drogi.

Na szczęście, blisko już mieli do miasta, porzuciwszy więc wierzchowce swoje na środku drogi, pośpieszyli do portu.

Planchet zwrócił uwagę swego pana na jakiegoś szlachcica, idącego ze służącym, o jakie pięćdziesiąt kroków przed nim.

Zrównali się z nim czemprędzej; wyglądał na mocno zajętego, obuwie miał pyłem pokryte, i dopytywał, czy nie mógłby się natychmiast przeprawić na brzeg angielski.

— Nic łatwiejszego — odpowiedział właściciel statku, gotowego do odpłynięcia — lecz dziś z rana przyszedł rozkaz, aby nie przewozić nikogo, bez szczególnego pozwolenia kardynała.

— Ja też je posiadam — rzekł szlachcic, wyjmując papier z kieszeni — oto jest.

— Każ je pan poświadczyć przez naczelnika przystani — rzekł właściciel statku.

— Gdzież znajdę naczelnika?

— Na letniem mieszkaniu.

— A w której to stronie?

— O ćwierć mili od miasta, nawet widać stąd dom, ten dach, pokryty dachówką, pod wzgórzem.

— Bardzo dobrze! — rzekł młody szlachcic.

I, skinąwszy na służącego swego, poszedł w tamtą stronę.

D'Artagnan i Planchet udali się za nim, w odległości pięciuset kroków.

Wydostawszy się z miasta, d'Artagnan przyspieszył kroku i zrównał się ze szlachcicem przed samym laskiem.

— Panu, jak mi się zdaje, bardzo pilno? — zagadnął go d'Artagnan.

— Ogromnie, mój panie.

— Bardzo mi przykro — rzekł d'Artagnan — lecz i mnie pilno niezmiernie, chciałem więc prosić pana o wyświadczenie mi przysługi.

— Jakiej?

— Ażebym ja był pierwej od pana.

— Niepodobna — odparł młody szlachcic — przebyłem sześćdziesiąt mil w ciągu czterdziestu czterech godzin, a jutro w południe muszę być w Londynie.

— Tę samą drogę i ja przebyłem w ciągu czterdziestu godzin, a jutro o dziesiątej rano muszę być w Londynie.

— Mocno mnie to boli, lecz ja pierwszy przybyłem, i wyprzedzić się nie pozwolę.

— I mnie bardzo przykro, lecz przybyłem później, a pierwszy tam stanę.

— Sprawa królewska!... — odezwał się szlachcic.

— A moja sprawa osobista!... — odparł d'Artagnan.

— Ależ, o ile mi się zdaje, szukasz pan ze mną zaczepki?

— A cóż pan chcesz, żeby to było, u licha!...

— Czego więc pan żądasz ode mnie?

— Chcesz się pan dowiedzieć?

— Zapewne.

— Otóż żądam rozkazu, który pan masz przy sobie, bo ja go nie posiadam, a jest mi bardzo potrzebny.

— Żartujesz pan chyba?...

— Nie żartuję nigdy!...

— Ustąp mi pan z drogi!...

— Nie przejdziesz!

— Mój ty zuchu, chcesz, abym ci łeb roztrzaskał?... Hola! Lubin! podaj pistolety.

— Planchet — odezwał się d'Artagnan — zabierz się do sługi, ja pana biorę na siebie.

Ośmielony poprzedniem powodzeniem, Planchet rzucił się na Lubina, a ponieważ był krzepki, przewrócił go na wznak i ukląkł mu na piersiach.

— Rób pan, co do pana należy — rzekł Planchet — ja zrobiłem już swoje.

Szlachcic, widząc to, dobył szpady i uderzył na Artagnana, lecz trafił na silnego przeciwnika.

W ciągu trzech sekund d'Artagnan zadał mu trzy pchnięcia, mówiąc za każdem:

— To za Athosa, to za Aramisa, a to za Porthosa.

Za trzeciem pchnięciem, szlachcic padł, jak kłoda.

D'Artagnan sądził, że umarł, a co najmniej zemdlony. Schylił się, aby zabrać, mu rozkaz kardynalski, lecz w chwili, gdy sięgnął ręką, aby go zrewidować, ranny, który nie wypuścił z ręki szpady, pchnął go w same piersi, mówiąc:

— A to dla ciebie...

— To dla mnie?... zobaczymy, czyje na wierzchu!... — krzyknął wściekły d'Artagnan, przybijając go do ziemi czwartem pchnięciem w brzuch.

Teraz już szlachcic zamknął oczy i zemdlał.

D'Artagnan poszukał w jego kieszeniach, zabrał rozkaz wolnego przejazdu, wypisany na imię hrabiego de Wardes.

Następnie, spojrzawszy po raz ostatni na pięknego młodzieńca, liczącego zaledwie dwadzieścia pięć lat wieku, którego zostawić miał leżącego bez czucia, a może i bez życia, westchnął nad dziwnem przeznaczeniem, doprowadzającem ludzi do wzajemnego tępienia się na rzecz tych, którzy obcymi są im zupełnie, a często nie wiedzą nawet o ich istnieniu.

Lecz z tej zadumy wyrwał go Lubin, który wydawał chrapliwe krzyki, wzywające o pomoc.

Planchet ściskał go z całych sił za gardło.

— Panie — rzekł tenże — jak ja go tak trzymam, to nie krzyczy, ale niechno go popuszczę, zaczyna na nowo. Widzę, że to Normandczyk, a to naród uparty.

— Zaczekaj! — odezwał się d'Artagnan i, wziąwszy chustkę, zatkał Lubinowi usta.

— A teraz — rzekł Planchet — przywiążmy go do drzewa.

Skrępowali go sumiennie, hrabiego de Wardes złożyli przy nim, a ponieważ i pan i sługa leżeli w głębi lasku, a dzień miał się ku schyłkowi, nie ulegało wątpliwości, iż pozostaną tak do dnia następnego.

— A teraz — odezwał się d'Artagnan — do naczelnika.

— Ale pan ranny jest, o ile mi się zdaje? — rzekł Planchet.

— To nic, zajmijmy się tem, co ważniejsze; później pomyślimy o mojej ranie, która zresztą nie wydaje mi się zbyt niebezpieczna.

I puścili się wyciągniętym krokiem w kierunku siedziby urzędnika.

Oznajmiono mu hrabiego de Wardes.

D'Artagnan został wpuszczony.

— Pan masz rozkaz z podpisem kardynała? — zapytał naczelnik.

— Tak panie, oto jest — odrzekł tenże.

— A! tak, w zupełnym jest porządku — rzekł naczelnik.

— Rzecz prosta — odrzekł d'Artagnan — należę do jego najwierniejszych.

— Jego eminencja widocznie chce komuś przeszkodzić w wyjeździe do Anglji.

— Tak, niejakiemu d'Artagnanowi, szlachcicowi bearneńskiemu, który z Paryża wyjechał wraz z trzema swymi przyjaciółmi do Londynu.

— Znasz go pan osobiście? — zapytał naczelnik.

— Kogo?

— A tego d'Artagnana.

— Wybornie.

— Proszę zatem o jego rysopis.

— O! z przyjemnością.

I d'Artagnan podał co do joty rysopis hrabiego de Wardes.

— A miał kogo przy sobie?

— Tak, służącego Lubina.

— O! będziemy ich pilnowali, jeżeli tylko wpadną w nasze ręce. Jego eminencja może być spokojny, odstawimy ich do Paryża pod dobrą eskortą.

— O! panie naczelniku, dobrze się zasłużysz kardynałowi.

— Czy pan zobaczysz się z nim po powrocie?

— Bez najmniejszej wątpliwości.

— Powiedz mu, proszę, że jestem wiernym jego sługą.

— Nie omieszkam.

Uradowany tem zapewnieniem naczelnik poświadczył rozkaz wolnego przejazdu i wrócił go d'Artagnanowi.

Ten zaś, nie tracąc czasu na zbyteczne grzeczności, pożegnał naczelnika, dziękując mu, i odszedł.

Wydostawszy się stamtąd, obydwaj z Planchetem puścili się pędem, nakładając drogi dla ominięcia lasku, i powrócili inną bramą.

Statek stał jeszcze gotowy do drogi, właściciel zaś oczekiwał w porcie.

— I cóż?... — zagadnął, ujrzawszy d'Artagnana.

— Oto karta moja poświadczona — rzekł tenże.

— A ten drugi pan?

— Nie popłynie dzisiaj, lecz proszę być spokojnym, za nas obydwóch zapłacę.

— To ruszajmy — rzekł kapitan.

— Ruszajmy — powtórzył d'Artagnan.

I razem z Planchetem wskoczył do łodzi, a w pięć minut potem stał na pokładzie.

Było to w sam czas, gdyż zaledwie pół mili upłynęli od brzegu, d'Artagnan ujrzał błysk, a następnie strzał obił się o jego uszy.

Strzelano z armaty, na znak zamknięcia portu.

Teraz należało pomyśleć o ranie.

Nie mylił się d'Artagnan, na szczęście bynajmniej nie była ona groźna; ostry koniec szpady natrafił na żebro i wzdłuż niego się ześlizgnął, co więcej, koszula przywarła do rany, z której zaledwie kilka kropel krwi się wydobyło.

Czuł się tylko okrutnie strudzony, położono mu na pokładzie materac, padł na niego i zasnął.

Nazajutrz, skoro świt, znalazł się o cztery mile najwyżej od brzegów Anglji; w nocy wiatr był słaby i płynęli wolno.

O dziesiątej z rana, statek zarzucił kotwicę w porcie Douvres.

O wpół do jedenastej, d'Artagnan stanął na ziemi angielskiej, mówiąc:

— Jestem nareszcie!

Nie koniec na tem; trzeba było dostać się do Londynu.

W Anglji poczta była dobra. D'Artagnan z Planchetem wzięli po podjezdku, pocztyljon popędził przed nimi; w cztery godziny stanęli u bram stolicy.

Gaskończyk nasz nie znal ani miasta ani języka; napisał wszakże na kawałku papieru nazwisko Buckinghama, a każdy mógł wskazać drogę do pałacu księcia.

Książę był w Windsorze na polowaniu z królem.

D'Artagnan zażądał widzenia się z zaufanym księcia pokojowcem, który, podróżując ze swoim panem, wybornie mówił po francusku; powiedział mu, iż przybywa z Paryża w sprawie, w której idzie o życie lub śmierć, i że zmuszony jest natychmiast mówić z jego panem.

Stanowczość, z jaką się d'Artagnan wyrażał, przekonała Patrycego — takie było imię tego pokojowca.

Kazał osiodłać dwa konie i podjął się przewodniczyć młodemu gwardziście. Plancheta zaś zsadzono z siodła, zesztywniałego, jak kij.

Biedny chłopak, gonił już ostatkami sił; d'Artagnan wydawał się żelaznym.

Przybywszy do zamku, rozpytywano się; król i Buckingham polowali z sokołami o milę stamtąd. W pół godziny niespełna znaleźli się w miejscu oznaczonem.

Patrycy posłyszał głos pana swego, przywołujący sokoła.

— Kogo mam oznajmić jego książęcej mości? — zapytał d'Artagnana.

— Młodego człowieka, który pewnego wieczora szukał z nim zaczepki na Nowym Moście przy latarni Samarytanki.

— Dziwna rekomendacja!

— Przekonasz się pan, że taka dobra, jak inna.

Patrycy puścił konia galopem, dotarł do księcia i oznajmił mu w słowach powyższych, że oczekuje go jakiś wysłaniec.

Buckingham poznał d'Artagnana od razu i domyślając się, że coś zaszło we Francji, o czem chcą mu dać wiadomość, zapytał tylko, gdzie jest ten, który nowiny przynosi, a ujrzawszy z daleka mundur gwardji królewskiej, spiął konia ostrogami i prosto do niego popędził.

Dyskretny Patrycy, pozostał na uboczu.

— Czy nie zdarzyło się królowej jakie nieszczęście? — zawołał Buckingham, całą myśl i uczucie swoje w pytanie to przelewając.

— Nie sądzę; przypuszczam jednak, iż w niebezpieczeństwie wielkiem się znajduje, z którego Wasza Miłość jedynie może ją wybawić.

— Ja?... — zawołał Buckingham — byłżebym tyle szczęśliwym, iżbym mógł stać się jej przydatnym w czemkolwiek! Mów! mów! proszę!...

— Oto list — rzekł d'Artagnan.

— List! od kogo?...

— Od Jej Królewskiej Mości, jak mi się zdaje.

— Od królowej — rzekł Buckingham, blednąc tak straszliwie, że d'Artagnan sądził, iż mdleje.

I złamał pieczęć.

— Co znaczy to miejsce przetarte? — zapytał, pokazując d'Artagnanowi w liście dziurę na wylot.

— A! a! — odparł tenże — nie widziałem tego; to szpada hrabiego de Wardes przedziurawiła list, przy pchnięciu mnie w piersi.

— Jesteś pan raniony? — zapytał Buckingham, zrywając pieczęć.

— O! nic to — rzekł d'Artagnan — lekkie draśnięcie.

— Boże sprawiedliwy! o czem ja się dowiaduję! wykrzyknął książę. — Patrycy! pozostań tutaj, a raczej towarzysz królowi wszędzie i powiedz, że błagam go pokornie, aby mi wybaczył, lecz sprawa wielkiej wagi powołuje mnie do Londynu. Jedźmy, panie, jedźmy!

I puścili się obaj galopem drogą do stolicy.

Rozdział XXI. Hrabina De Winter

Przez drogę książę kazał opowiadać sobie wszystko, o czem wiedział d'Artagnan.

Porównywując to, to słyszał z ust młodzieńca, ze wspomnieniami własnemi, mógł sobie wytworzyć dokładne pojęcie o ważności położenia, którego wreszcie list królowej, jakkolwiek krótki i niejasny, dawał niemylną miarę.

Lecz to go dziwiło najmocniej, że kardynałowi, pomimo wszelkich zabiegów, nie udało się młodzieńca zatrzymać w drodze. Gdy objawił zdziwienie swoje, wtedy d'Artagnan opowiedział mu o przedsięwziętych ostrożnościach i jak, dzięki poświęceniu trzech przyjaciół, których pozostawił skrwawionych po drodze, dostał się nareszcie do Anglji kosztem pchnięcia szpadą, które list królowej przebiło, a które oddał panu de Wardes z procentem lichwiarskim.

Słuchając tego opowiadania, pełnego prostoty, książę ze zdziwieniem spoglądał na młodzieńca, jakgdyby pojąć nie mógł, aby tyle roztropności, odwagi i poświęcenia mogło się łączyć z twarzą, mającą lat najwyżej dwadzieścia.

Konie pędziły, jak wicher, tak że w kilka minut jeźdźcy stanęli u bram Londynu.

Myślał d'Artagnan, iż, wjeżdżając do miasta, książę zwolni biegu swego wierzchowca, lecz on pędził, co koń wyskoczy, nie troszcząc się o tych, których, znalazłszy na drodze, niemiłosiernie tratował.

W istocie, kiedy przejeżdżali przez starą część miasta, zdarzyło się parę takich wypadków; Buckingham jednak nie obejrzał się nawet za tymi, których roztratował w przejeździe. D'Artagnan podążał za nim wśród krzyków, bardzo podobnych do złorzeczeń.

Wjechawszy w dziedziniec pałacowy, Buckingham zeskoczył z siodła i, nie troszcząc się o konia, zarzucił mu cugle na szyję i pędem wbiegł na ganek.

D'Artagnan poszedł za jego przykładem, z pewnym niepokojem jednak o te szlachetne zwierzęta, których wartość miał już sposobność ocenić; uspokoił się przecie, zobaczywszy, że z kuchni i stajni wypadło kilku służących, aby końmi zaopiekować się natychmiast.

Książę biegł tak szybko, że d'Artagnan z trudnością mógł za nim zdążyć.

Przebył kilka salonów tak wspaniałych, o jakich panowie francuscy pojęcia nawet nie mieli i dostał się na koniec do sypialni, będącej wytworem najwyższego gustu i bogactwa.

We framudze tego pokoju znajdowały się drzwi, przybrane draperją, które książę otworzył złotym kluczem, zawieszonym u szyi na złotym łańcuszku.

D'Artagnan przez dyskrecję pozostał w tyle, Buckingham zaś w chwili, gdy miał próg przestąpić, odwrócił się i, widząc wahanie młodzieńca, rzekł doń:

— Pójdź, a skoro będziesz miał szczęście stanąć przed królową, opowiedz jej, co tu widziałeś.

Ośmielony wezwaniem, poszedł d'Artagnan za księciem, który zamknął drzwi za nim.

Znaleźli się w kapliczce, wybitej perską materją, haftowaną złotem, i oświetlonej cudownie gorejącemi świecami.

Powyżej pewnego rodzaju ołtarza, pod baldachimem z aksamitu błękitnego, przybranym w białe i czerwone pióra, umieszczony był portret wielkości naturalnej, przedstawiający Annę Austrjacką, tak zadziwiająco podobny, że zjawisko to wyrwało okrzyk z piersi d'Artagnana.

Na ołtarzu, poniżej portretu, stała skrzyneczka z zapinkami djamentowemi.

Książę przystąpił do ołtarza, przyklęknął, następnie otworzył skrzyneczkę.

— Patrz pan — rzekł doń, wyjmując z niej wielką kokardę z błękitnej wstążki, iskrzącą się brylantami — patrz pan, oto są te nieocenione zapinki, z któremi, przysiągłem sobie, będę pochowany. Królowa dała mi je, królowa mi je odbiera: wola jej, jak boska, niech będzie spełniona we wszystkiem.

I całował jednę po drugiej zapinki, z któremi miał się rozłączyć.

Naraz krzyknął straszliwie.

— Co się stało? — zapytał niespokojny d'Artagnan — co ci się stało, milordzie?

— Wszystko stracone — zawołał Buckingham, blednąc jak trup — brakuje dwóch zapinek, zostało ich tylko dziesięć.

— Milordzie, miałżebyś je zgubić, a może przypuszczasz, że ci je skradziono?

— Skradziono mi je — odparł książę — a cios ten od kardynała pochodzi. Patrzaj pan, wstążki, na których były przymocowane, zostały nożyczkami ucięte.

— Może milord się domyśla, kto spełnił kradzież?... Kto wie, czy nie znajdują się one jeszcze w jego ręku.

— Zaczekaj! zaczekaj! — zawołał książę. — Raz tylko miałem na sobie te zapinki, a było to tydzień temu w Windsorze na balu u króla. Hrabina de Winter, z którą się poróżniłem dawniej, pogodziła się ze mną tego wieczora. Zbliżenie to było zemstą kobiety zazdrosnej. Nie widziałem jej odtąd. Ona jest agentką kardynała.

— Miałżeby kardynał mieć agentów we wszystkich stronach świata! — zawołał d'Artagnan.

— O! tak, tak — rzekł Buckingham, zgrzytając zębami ze złości — tak!... straszny z niego przeciwnik. A na kiedy ten bal jest oznaczony?

— Na przyszły poniedziałek.

— Na przyszły poniedziałek!... To więcej czasu, niż nam potrzeba. Patrycy! — zawołał książę, otwierając drzwi od kapliczki — Patrycy!

Zaufany pokojowiec stawił się natychmiast.

— Jubilera mojego i sekretarza!

Pokojowiec zniknął szybko i w milczeniu, co znamionowało nawyknienie do ślepego posłuszeństwa, bez żadnych uwag.

Chociaż jubiler wezwany był pierwszy, zjawił się wprzód od niego sekretarz. Rzecz prosta, mieszkał w pałacu.

Zastał on Buckinghama w sypialnym pokoju przy stole, piszącego własnoręcznie rozkazy.

— Panie Jackson — rzekł doń — udasz się natychmiast do lorda-kanclerza i powiesz, że polecam mu wykonać te rozkazy. Żądam, aby zaraz zostały ogłoszone.

— Ale, jaśnie panie, jeżeli lord-kanclerz zapyta o powody jakie skłonić mogły Waszą miłość do tak niezwykłych środków, cóż ja jemu odpowiem?

— Że tak mi się podoba, że nie jestem obowiązany z zachceń swoich zdawać komukolwiek sprawę.

— Więc kanclerz odpowiedź taką ma udzielić i Jego Królewskiej Mości — odparł sekretarz z uśmiechem — a gdyby przypadkiem przyszła królowi ciekawość dowiedzieć się, dlaczego żaden statek wypłynąć nie może z portów Wielkiej Brytanji?

— Masz słuszność — odrzekł Buckingham — mógłby pomyśleć, że zamierzam wypowiedzieć wojnę i że to pierwszy krok nieprzyjacielski przeciw Francji.

Sekretarz skłonił się i wyszedł.

— Z tej strony jesteśmy już zapewnieni — rzekł Buckingham, zwracając się do d'Artagnana. — Jeżeli zapinki wysłane miały być do Francji, później, niż pan, tam przybędą.

— Jakto?

— Każę nie wypuszczać statków, znajdujących się obecnie w portach Jego Królewskiej Mości i bez szczególnego pozwolenia żaden z nich nie poważy się podnieść kotwicy.

Z osłupieniem patrzył d'Artagnan na człowieka, który władzą nieograniczoną, daną mu w zaufaniu przez króla, posługiwał się dla zaspokojenia fantazyj miłosnych.

Buckingham odgadnął z wyrazu twarzy młodzieńca, co działo się w myśli jego, i uśmiechnął się.

— Tak — ciągnął dalej — tak, gdyż Anna Austrjacka jest moją rzeczywistą królową; na jedno jej słowo gotów jestem zdradzić swój kraj, króla, Boga mojego bym zdradził. Chciała, abym nie posyłał protestantom w Rochelli obiecanej im przeze mnie pomocy i uczyniłem tak. Nie dotrzymam słowa, to mniejsza, lecz pozostałem posłuszny jej życzeniom; czyż nie byłem wynagrodzony wspaniale za moje posłuszeństwo, powiedz sam... widzisz, temu to zawdzięczam ten portret.

D'Artagnan nie mógł wyjść z podziwu na jakiej to nikłej i niewidzialnej nitce zawieszone zostają losy całego narodu i życie tylu ludzi.

Gdy stał tak zadumany głęboko, wszedł jubiler.

Był to Irlandczyk, bardzo biegły w swej sztuce, który przyznawał sam, iż sto tysięcy liwrów zarabiał rocznie na księciu de Buckingham.

— Panie O'Reilly — rzekł książę, prowadząc go do kaplicy — obejrzyj te zapinki djamentowe i powiedz mi, ile każda z nich warta.

Jubiler jednym rzutem oka ocenił niepospolitą ich oprawę, obliczył wartość djamentów i odparł bez zająknienia:

— Tysiąc pięćset pistolów sztuka, milordzie.

— Ile dni potrzeba na zrobienie dwóch takich zapinek? Widzisz, że ich tu brakuje.

— Osiem dni, milordzie.

— Zapłacę trzy tysiące pistolów za sztukę, a muszę je mieć pojutrze.

— Milord będzie je miał.

— Nieoceniony z ciebie człowiek, panie O'Reilly, lecz tego nie dosyć; zapinki nie mogą być powierzone nikomu, trzeba, aby zostały zrobione w tym pałacu.

— Niepodobieństwo, milordzie, ja mogę je tylko wykonać tak, iż nie będzie różnicy między nowemi a dawniejszemi.

— Dobrze, kochany panie O'Reilly, ale dlatego też więźniem moim jesteś, i teraz już, choćbyś chciał wyjść z mego pałacu, nie możesz; poddaj się więc losowi. Powiedz mi nazwiska pomocników swoich, których potrzebować będziesz, i wskaż mi narzędzia, jakie ci mają przynieść.

Jubiler znał księcia, wiedział, iż wszelkie uwagi byłyby daremne, zdecydował się więc od razu.

— Czy będzie mi wolno zawiadomić moją żonę? — zapytał.

— O! możesz się nawet z nią widzieć, kochany panie O'Reilly; uspokój się, niewola twoja będzie przyjemna, a ponieważ każdy trud wymaga nagrody, oto kwit na tysiąc pistolów, niezależnie od tego co kosztować mają dwie zapinki, abyś puścił w niepamięć przykrość, jaką ci wyrządzam.

D'Artagnan z podziwu w podziw przechodził, wobec tego ministra, który pełnemi garściami przerzucał ludźmi i milionami.

Jubiler napisał do żony, dołączając do listu kwit na tysiąc pistolów i zobowiązując, aby w zamian przysłała mu najzręczniejszego ucznia, garnitur djamentów z oznaczeniem wagi i wartości oraz potrzebne mu narzędzia według dołączonego wykazu.

Buckingham poprowadził jubilera do przeznaczonego mu pokoju, który w ciągu pół godziny został przeistoczony w pracownię.

Następnie rozstawił warty przy wszystkich drzwiach z rozkazem, aby nikomu nie było wolno przestąpić progu, z wyjątkiem pokojowca Patrycego.

Zbytecznem byłoby dodawać, że O'Reillemu i pomocnikowi jego wzbroniono się wydalać dla jakiegobądź powodu.

Załatwiwszy się z tem, książę odezwał się do d'Artagnana:

— A teraz, młody mój przyjacielu — rzekł — Anglja należy tylko do nas dwóch; czegóż żądasz, czego pragniesz?

— Łóżka — odparł gwardzista — przyznaję, że, jak teraz, jest ono jedyną rzeczą, której potrzebuję najwięcej.

Buckingham dał mu gabinet, przyległy do jego pokoju.

Chciał mieć go pod ręką, nie dlatego, aby mu niedowierzał, lecz pragnął mieć kogoś, z kim mógłby mówić bezustannie o królowej.

W godzinę później ogłoszony został w Londynie rozkaz nie wypuszczania z portów żadnego statku do Francji, ani nawet statku pocztowego, przewożącego listy.

W oczach wszystkich było to wypowiedzeniem wojny pomiędzy dwoma królestwami.

Trzeciego dnia o jedenastej rano dwie zapinki djamentowe gotowe już były i tak doskonale naśladowane, tak podobne, iż sam Buckingham odróżnić nie był w stanie nowych od dawniejszych i najbieglejsi nawet znawcy równie, jak on, mogliby być oszukani.

Zaraz więc kazał wezwać d'Artagnana.

— Słuchaj pan — rzekł — oto zapinki djamentowe, po które przyjechałeś, a bądźże mi świadkiem, że wszystko spełniłem, co tylko było w mocy ludzkiej.

— Bądź spokojny, milordzie; opowiem, co widziałem; lecz książę oddajesz mi zapinki bez szkatułki?

— Ona by ci tylko zawadzała, a dla mnie tem droższą jest, skoro sama mi tylko pozostaje. Powiesz, żem ją zachował.

— Dosłownie zlecenie wasze spełnię, milordzie.

— A teraz — odezwał się Buckingham, patrząc bystro na młodzieńca — czem ci się zdołam uiścić z długu?

D'Artagnan zaczerwienił się aż po białka oczu.

Zrozumiał, iż książę szuka sposobu zmuszenia go do przyjęcia czegoś, a myśl, że krew towarzyszy i jego własna miałaby być zapłacona złotem angielskiem, wstręt w nim obudziła.

— Porozumiejmy się milordzie — odrzekł — a najpierw rozważmy fakta należycie, aby uniknąć pomyłki. Jestem w służbie króla i królowej Francji i należę do oddziału gwardji pana Desessarts, który, zarówno jak szwagier jego pan de Tréville, jest nadewszystko przywiązany do tronu. Wszystko, co spełniłem, to dla królowej jedynie, a nie dla waszej miłości. Co więcej, może byłbym niczego nie dokonał, gdyby mi nie szło o przypodobanie się damie mego serca, która jest dla mnie tem, czem dla was królowa.

— Zapewne — odrzekł książę z uśmiechem — i zdaje mi się nawet, że znam tę osóbkę, jest to...

— Milordzie, imienia jej nie wymówiłem — przerwał z żywością młodzieniec.

— Słusznie — podchwycił książę — jej więc winienem wdzięczność za twoje poświęcenie.

— Nie przeczę, milordzie, bo właśnie w tym czasie, gdy się zanosi na wojnę, przyznaję, że widzę w waszej miłości tylko Anglika, a więc wroga, którego wolałbym spotkać na polu bitwy, aniżeli w parku Windsorskim lub korytarzach Luwru; nie

przeszkodzi mi to wszelako wykonać sumiennie zlecenia, i jeżeli zajdzie potrzeba, dać się zabić, byle je spełnić wiernie.

— U nas jest przysłowie: „Hardy, jak Szkot” — mruknął Buckingham.

— A u nas: „Hardy, jak Gaskończyk” — odrzekł d'Artagnan. — Gaskończycy są Szkotami Francji.

Z temi słowy skłonił się księciu i zabierał się do odwrotu.

— Cóż znowu?... idziesz już sobie?... którędy?... w jaki sposób?...

— A prawda!

— Panie odpuść! ci Francuzi zawsze są pewni siebie!...

— Zapomniałem, że Anglja jest wyspą, a wy królem na niej, milordzie.

— Udaj się do portu, zapytaj o dwumasztowiec Zund i doręcz ten list kapitanowi; on cię zaprowadzi do małej przystani, gdzie na pewno nie spodziewają się ciebie, a dokąd zwykle przybijają tylko statki rybackie.

— Jak się nazywa ta przystań?...

— Saint-Valery; ale czekaj: gdy tam przybędziesz, idź do nędznej oberży bez nazwy i znaku, prawdziwej nory dla majtków; trudno ci się będzie omylić, jest tam tylko jedna.

— A potem?

— Zapytasz tam o gospodarza i powiesz mu: For ward.

— Co ma znaczyć?...

— Naprzód! — jest to hasło. On ci da konia osiodłanego i wskaże drogę, na której znajdziesz następne cztery przeprzęgi. Jeżeli chcesz, zostaw każdemu z nich adres swój w Paryżu, a cztery te konie podążą za tobą; dwa z nich już znasz; wierz mi, reszta gorsza od nich nie będzie. Cztery te konie są, jak na wojnę, przybrane. Choćbyś był najdumniejszy, nie odmówisz przyjęcia jednego z nich, a do przyjęcia innych nakłonisz trzech swoich towarzyszy, choćby się na nich później mieli bić z nami. Dla Anglika cel uświęca środki, tak przynajmniej utrzymujecie wy, Francuzi, wszak prawda?

— Dobrze, milordzie, przyjmuję — rzekł d'Artagnan — i, da Bóg, dobry użytek uczynimy z waszego podarku.

— A teraz podaj mi rękę, młodzieńcze; niedługo może spotkamy się na polu bitwy; lecz tuszę sobie, iż zanim to nastąpi, rozstajemy się, jak przyjaciele.

— Tak, milordzie, lecz z nadzieją, iż wkrótce zostaniemy wrogami.

— Bądź spokojny, przyrzekam ci.

— Liczę na słowo wasze, milordzie.

D'Artagnan pożegnał nareszcie księcia i udał się z pośpiechem do portu.

Wprost Wieży Londyńskiej zastał wskazany statek, oddał kapitanowi list, ten kazał go poświadczyć przez naczelnika przystani i rozwinął żagle natychmiast.

Oczekiwało tam pięćdziesiąt statków, gotowych do drogi.

Przepływając obok jednego z nich, d'Artagnanowi zdawało się, że poznaje kobietę, widzianą w Meung, tę, którą ów szlachcic nieznany nazywał milady, a która tak piękną wydała się d'Artagnanowi, ale skutkiem wartkiego prądu rzeki i silnego powiewu wiatru, okręt jego tak szybko pruł wody, iż za chwilę stracili się z oczu.

Nazajutrz o dziewiątej z rana wylądowano w Saint-Valery.

D'Artagnan udał się prosto do wskazanej oberży, poznał ją od razu po krzykach, wydobywających się z jej wnętrza.

Rozprawiano o wojnie między Anglją i Francją, jako o rzeczy bliskiej i niewątpliwej, a weseli majtkowie hulaszczo się bawili.

D'Artagnan przecisnął się przez ciżbę, dotarł do gospodarza i wymówił umówione For ward.

Gospodarz w tej chwili skinął, aby szedł za nim, i zaprowadził go do stajni, gdzie koń w pełnym rynsztunku czekał na niego, i zapytał d'Artagnana, czy nie potrzebuje jeszcze czego więcej.

— Potrzebuję dowiedzieć się, którędy mam jechać — odparł tenże.

— Udaj się pan stąd do Blangy, a z Blangy do Neufchatel. Tam zajedź do oberży pod „Złotą Broną", daj hasło oberżyście, a znajdziesz także konia, gotowego do podróży.

— Co się należy? — zapytał d'Artagnan.

— Wszystko już zapłacone sowicie. W drogę, mój panie, i niech cię Bóg prowadzi!

— Amen! — dokończył młodzieniec, puszczając się galopem.

W cztery godziny potem, był już w Neufchatel.

Pilnował się ściśle danych mu zleceń; tutaj, jak w Saint-Valery, zastał oczekującego wierzchowca; chciał zabrać pistolety z poprzedniego siodła, lecz w olstrach u konia znalazł inne.

— Jaki jest adres pański w Paryżu?

— Pałac gwardji oddziału pana Des Essarts.

— Dobrze — odpowiedziano.

— Którędy mam jechać — zapytał z kolei d'Artagnan.

— Drogą do Rouen, lecz miasto należy zostawić na prawo. W wiosce d'Ecouis zatrzymasz się pan przed jedyną oberżą pod „Talarem francuskim". Niech pana nie zraża jej powierzchowność, w stajni znajdzie się koń nie gorszy od tego.

— Hasło to samo?

— Zawsze to samo.

— Żegnaj, panie gospodarzu!

— Szczęśliwej drogi, dostojny panie; może czego potrzebujesz?

D'Artagnan przecząco potrząsnął głową i spiąwszy konia ostrogą, ruszył z kopyta.

W d'Ecouis powtórzyło się to samo.

Zastał gospodarza również uprzejmego, konia rączego i wypoczętego; zostawił tam swój adres i popędził do Pontoise.

Tam zmienił wierzchowca po raz ostatni, a o dziesiątej wpadł jak wicher na dziedziniec pałacu pana de Tréville.

W ciągu dwunastu godzin upalił sześćdziesiąt mil francuskich.

Pan de Tréville przyjął go, jak gdyby rozstali się dopiero z rana, ale, ściskając rękę mocniej, niż zazwyczaj, oznajmił mu, że oddział pana Des Essarts, jest na służbie w Luwrze i że może udać się na swoje stanowisko.

Rozdział XXII. Balet Merlaison

Dnia następnego w całym Paryżu mówiono tylko o balu, który panowie urzędnicy miejscy wydali na cześć króla i królowej, a w którym Ich Królewskie Moście mieli tańczyć balet „Merlaison", będący ulubionym tańcem króla.

Od tygodnia przygotowywano wszystko w ratuszu do tego uroczystego wieczoru.

Stolarze miejscy ustawiali trybuny, na których miały zająć miejsca zaproszone damy; kupcy korzenni przyozdobili salony dwustu świecami z białego wosku, co w owych czasach było niesłychanym zbytkiem; wreszcie zamówiono dwudziestu skrzypków za cenę podwójną, z racji, jak świadczy kronika, że mieli rzępolić noc całą.

O dziesiątej z rana niejaki pan de la Coste, chorąży gwardji królewskiej, po nim dwóch oficerów i kilku łuczników, zażądali od pisarza sądu trybunału, nazwiskiem Clement kluczy od wszystkich drzwi pokojów i sal ratusza.

Klucze te wręczone im zostały natychmiast. Przy każdym z nich była karta z oznaczeniem, jakie drzwi otwierał, a od chwili tej imci pan de La Coste poleconą miał straż nad wszystkiemi wejściami i przejściami pałacu.

O jedenastej nadszedł znowu Duhallier, kapitan gwardji, prowadząc za sobą pięćdziesięciu łuczników, których porozstawiał w ratuszu, pod wyznaczonemi im drzwiami

O trzeciej przybyły dwa oddziały straży, jedna francuska, druga szwajcarska. Oddział francuski składał się w połowie z podkomendnych pana Duhallier, a w połowie z podkomendnych pana Des Essarts.

O szóstej wieczorem zaczęli zjeżdżać się zaproszeni. W miarę jak przybywali, rozmieszczano ich w wielkiej sali na przygotowanych wzniesieniach.

O dziewiątej zjawiła się pani prezydentowa miasta. Jako osoba, zajmująca pierwsze po królowej miejsce w uroczystości, powitana została przez dostojników miasta i zasiadła w loży naprzeciw tej, którą miała zająć królowa.

O dziesiątej w małej sali od strony kościoła świętego Jana, przed srebrnym bufetem, strzeżonym przez czterech łuczników, zastawiono kolację dla króla, składającą się z konfitur.

O północy rozległy się niezliczone okrzyki na cześć króla, który zbliżał się ulicami, prowadzącemi z Luwru do ratusza, teraz uiluminowanemi latarniami w przeróżnych kolorach.

Panowie urzędnicy miejscy, przybrani w suknie sukienne, poprzedzani przez sześciu policjantów z pochodniami, wyruszyli co tchu naprzeciw króla i spotkali go na schodach, gdzie starszy cechu kupieckiego składał mu hołd i dzięki za przybycie, na co Jego Królewska Mość odpowiedział, zwalając opóźnienie swoje na kardynała, z którego winy teraz dopiero przybywa, gdyż zatrzymał go do godziny jedenastej roztrząsaniem spraw państwowych.

Jego Królewska Mość w stroju balowym znajdował się w towarzystwie brata swego, hrabiego de Soissons, wielkiego jałmużnika, księcia de Longueville, księcia d'Elbeuf, hrabiego d'Harcourt, hrabiego de la Roche-Guyon, pana de Liancourt, pana de Baradas, hrabiego de Cramail i kawalera de Souveray.

Wszyscy zauważyli, że troska jakaś osiadła na czole królewskiem.

Osobny gabinet przygotowany był dla króla, a osobny dla brata królewskiego. W każdym z nich gotowe były ubrania.

Tak samo przysposobiono wszystko dla królowej i dla pani prezydentowej.

Panowie i panie, należący do świty królewskiej, mieli się ubierać po dwie osoby razem w pokojach, na ten cel przeznaczonych.

Król, zanim wszedł do gabinetu, wydał rozkaz, ażeby go zawiadomiono o przybyciu kardynała.

W pół godziny po ukazaniu się króla nowe okrzyki oznajmiły przybycie królowej.

Panowie urzędnicy wyruszyli znów na spotkanie dostojnego gościa.

Królowa weszła do sali. Zauważono, iż również jak król miała wygląd smutny, a nade wszystko znużony.

W chwili, gdy wchodziła, zapuszczone dotąd firanki małej loży rozchyliły się, a z poza nich wyjrzało blade oblicze kardynała, przybranego w strój hiszpański.

Utkwił wzrok w oczach królowej, a uśmiech szatański okolił jego usta. Nie miała na sobie zapinek djamentowych.

Królowa zatrzymała się chwilę, aby przyjąć powitania panów miejskich i odpowiedzieć na ukłony dam.

Naraz w drzwiach sali zjawił się król, a za nim kardynał. Ten mówił coś z cicha do niego, a król był śmiertelnie blady.

Bez maski, mając na sobie zaledwie narzucony kaftan, z niezawiązanemi wstążkami, król przebił się przez tłumy, stanął przed królową i odezwał się zmienionym głosem:

— Pani, dlaczego nie masz na sobie zapinek djamentowych, skoro wiesz przecie, że przyjemnie byłoby mi je widzieć?

Królowa potoczyła wzrokiem dokoła i ujrzała za sobą kardynała z piekielnym uśmiechem na ustach.

— Najjaśniejszy Panie — rzekła głosem niepewnym — nie wzięłam ich, gdyż lękałam się, ażeby w tłoku takim nie uległy jakiemu wypadkowi.

— Źle zrobiłaś, pani. Jeżeli ci je dałem, to, abyś się w nie ubierała. Mówię ci, że źle zrobiłaś...

Głos króla drżał z gniewu; wszyscy ze zdziwieniem patrzyli i słuchali, nie pojmując, co to miało znaczyć.

— Najjaśniejszy Panie — odezwała się królowa — mogę posłać po nie do Luwru, gdzie się znajdują i życzenia Waszej królewskiej Mości zostaną spełnione.

— Zrób tak, pani, i to jak można najprędzej, gdyż za godzinę zaczną się tańce.

Królowa skłoniła głowę z uległością i poszła za damami, które miały zaprowadzić ją do gabinetu, dla niej przygotowanego.

Król zaś udał się do swego gabinetu. W sali nastąpiło chwilowe zamieszanie i niepokój.

Wszyscy zdołali spostrzec, że coś zaszło pomiędzy królewską parą; lecz tak cicho mówili oboje, a przez uszanowanie każdy się usunął, nikt zatem nic nie słyszał.

Skrzypki rzępoliły co sił, lecz nikt na nie nie zważał.

Pierwszy wyszedł król ze swego gabinetu.

Miał na sobie wytworny strój myśliwski, a brat królewski i inni panowie podobnież byli ubrani. Królowi ten strój najlepiej przypadał do twarzy, wyglądał w nim rzeczywiście, jak najpierwszy dostojnik swego królestwa.

Kardynał podszedł do króla i oddał mu pudełeczko. Król otworzył je, znalazł dwie zapinki djamentowe.

— Co to ma znaczyć? — zapytał kardynała.

— Nic — odrzekł tenże — ale, jeżeli królowa ukaże się w zapinkach, o czem wątpić sobie pozwalam, przelicz je, Najjaśniejszy Panie, a jeżeli dziesięć ich tylko będzie, zapytaj Jej Królewską Mość, kto mógł jej te dwie wykraść?

Król badawczo spojrzał na kardynała, lecz nie miał czasu na pytanie. Z ust obecnych wyrwał się okrzyk uwielbienia.

Jeżeli król był najpiękniejszym mężczyzną w królestwie, królowa niezaprzeczenie była najpiękniejszą kobietą we Francji.

W istocie strój łowiecki przecudnie przypadał jej do twarzy; miała kapelusik pilśniowy z błękitnemi piórami, obcisły surducik z perłowego aksamitu, spięty djamentowemi guzikami, spódniczkę błękitną atłasową, haftowaną srebrem. Na lewem ramieniu iskrzyły się zapinki, podtrzymywane węzłem tegoż koloru, co pióra i spódniczka.

Król zadrżał z radości, a kardynał zatrząsł się z gniewu. Ponieważ jednak stali z daleka od królowej, nie mogli żadną miarą policzyć zapinek.

Królowa je miała, lecz czy było ich dziesięć, czy dwanaście?...

W tej chwili dały skrzypki znak do rozpoczęcia baletu. Król podszedł do pani prezydentowej, z którą miał tańczyć, a brat królewski do królowej.

Stanęli w miejscach właściwych, i rozpoczęto taniec z figurami.

Król tańczył naprzeciw królowej, a za każdym razem, gdy się z nią mijał, pożerał oczami zapinki, nie mogąc ich się doliczyć.

Czoło kardynała zimny pot oblewał.

Balet ciągnął się całą godzinę, składał się on z szesnastu figur.

Skończył się nareszcie, wśród ogólnych zachwytów i oklasków; każdy z tańczących odprowadził damę swoją na miejsce; król zaś, skorzystawszy z przywileju opuszczenia damy tam, gdzie stanęli, czem prędzej zbliżył się do królowej.

— Dzięki ci, pani — rzekł — za względy, jakie okazałaś dla życzeń moich, lecz zdaje mi się, iż brakuje ci dwóch zapinek i oto je pani odnoszę.

Z temi słowy podał królowej dwie zapinki, oddane mu przez kardynała.

— Jak to? Najjaśniejszy Panie — zawołała królowa, udając najwyższe zdziwienie — dodajesz mi jeszcze dwie zapinki, to będę ich miała już czternaście.

Rzeczywiście król naliczył brylantów dwanaście na ramieniu królowej.

Przywołał kardynała.

— Cóż to ma znaczyć, panie kardynale? — zapytał go król surowo.

— To znaczy, Najjaśniejszy Panie — odparł tenże — iż pragnąłem, aby królowa przyjęła ode mnie te zapinki, a nie śmiąc ofiarować ich sam, uciekłem się do tego sposobu.

— Tem więcej wdzięczna jestem waszej eminencji — odrzekła królowa z uśmiechem, dowodzącym, iż nie dała się złapać na tę tak mądrze obmyślaną grzeczność kardynała — a przekonana jestem, iż dwie te zapinki więcej cię kosztują, niż tamte dwanaście Jego Królewską Mość kosztowały.

Pożegnawszy następnie króla i kardynała, skierowała się w stronę pokoju, w którym się ubierała i gdzie miała się rozebrać.

Cała uwaga, jaką przy zaczęciu tego rozdziału zmuszeni byliśmy zwrócić na dostojne osobistości, przez nas wprowadzone, oddaliła nas na chwilę od tego, któremu Anna Austrjacka zawdzięczała swój niesłychany triumf, jaki odniosła nad kardynałem.

Człowiek ten, zapomniany, nieznany, zamieszany w tłumie, zalegającym jedno z wejść do sali, przypatrywał się stamtąd scenie, zrozumiałej dla czterech jedynie osób: króla, królowej, jego eminencji i dla niego.

Królowa powróciła do swego pokoju, d'Artagnan zaś gotował się do odejścia, gdy uczuł na ramieniu lekkie dotknięcie.

Obejrzał się i spostrzegł młodą kobietę, dającą mu znak, aby szedł za nią.

Twarz jej była ukryta pod czarną aksamitną maską, lecz pomimo tej ostrożności, przedsięwziętej raczej dla innych, niż dla niego, poznał od razu zwykłą przewodniczkę swoją, zręczną i dowcipną panią Bonacieux.

W przeddzień zaledwie spojrzeć na siebie mogli w loży szwajcara Germana, dokąd d'Artagnan wywołać ją kazał.

Jej zaś tak spieszno było zanieść królowej dobrą nowinę o szczęśliwym powrocie wysłańca, iż kochankowie zaledwie słów parę zamienić z sobą zdołali.

Udał się więc d'Artagnan za panią Bonacieux, podniecony dwoistem uczuciem, miłości i ciekawości.

Przez całą drogę, w miarę jak korytarze coraz bezludniejsze się stawały, d'Artagnan chciał ją pochwycić, zatrzymać, bodaj chwilę na nią popatrzyć; lecz, jak ptaszyna lekka,

wymykała mu się z rąk, a gdy przemówić chciał do niej, z wyrazem rozkazującym, a pełnym wdzięku kładła mu na usta paluszek, co przypominało, iż jest pod panowaniem tej, której winien ślepe posłuszeństwo, a która me pozwalała ani trochę się zbliżyć.

Nareszcie po paru minutach kołowania, otworzyła drzwi i wprowadziła młodzieńca do zupełnie ciemnego gabinetu. Dając mu nowy znak milczenia, otworzyła ukryte za draperją drzwi drugie, przez które wpadło światło jaskrawe, i zniknęła.

D'Artagnan stał nieruchomy przez chwilę, zadając sobie pytanie, gdzie się znajduje, lecz wkrótce promyk światła, wpadający do pokoju, a z nim ciepłe i wonne powietrze, które go owiało, rozmowa kilku kobiet, odzywających się z szacunkiem i elegancją zarazem, po kilkakroć powtórzone słowo „Królewska mość", dowiodły mu jasno, iż znajduje się w gabinecie, przytykającym do pokoju królowej.

Stał więc w cieniu i czekał.

Królowa była widocznie wesoła i uszczęśliwiona, co zdawało się mocno dziwić otaczające je osoby, które przywykły widzieć ją z wiekuistą troską na czole.

Radosne to uczucie składała na karb pięknej uroczystości i przyjemności, jaką sprawił jej balet, a ponieważ królowej przeczyć nie wolno, czy się uśmiecha, czy płacze, unoszono się ogólnie nad uprzejmością panów urzędników miasta Paryża.

D'Artagnan, chociaż nie znał wcale królowej, odróżnił jednak głos jej pomiędzy innemi, najpierw po lekkim cudzoziemskim akcencie, nareszcie po mimowolnej wyniosłości, z jaką wyrażają się zwykle ludzie, najwyższą piastujący władzę.

Słyszał, jak zbliżała i oddalała się od drzwi otwartych, parę razy nawet widział cień jej postaci, przesłaniający światło.

Nareszcie z poza draperyj wysunęła się ręka przecudnych kształtów i białości; zrozumiał, że to jest nagroda dla niego: padł na kolana, ujął tę rękę i wycisnął na niej pełen uszanowania pocałunek.

Ręka usunęła się następnie, pozostawiając mu przedmiot, w którym rozpoznał pierścień.

W tej chwili drzwi się zamknęły i znalazł się pogrążony w ciemności.

D'Artagnan włożył na palec pierścionek i znowu czekał.

Widocznem było, że nie wszystko jeszcze skończone.

Po nagrodzie za wierność, nadchodziła nagroda jego miłości.

Zresztą balet był skończony, lecz zabawa zaledwie rozpoczęta.

Kolacja miała być o trzeciej, a zegar na wieży Ś-go Jana, wydzwonił przed chwilą trzy kwadranse do drugiej.

W istocie głosy zaczęły cichnąć w pokoju sąsiednim; nareszcie oddaliły się zupełnie.

Na koniec drzwi pokoju, w którym stał d'Artagnan, otworzyły się znowu i ukazała się w nich pani Bonacieux.

— A! jesteś nareszcie! — zawołał d'Artagnan.

— Cicho — rzekła młoda kobieta, kładąc rączkę swą na ustach młodzieńca — cicho! i wychodź, którędy przyszedłeś.

— Lecz gdzie i kiedy znowu cię ujrzę? — gorączkowo zagadnął d'Artagnan.

— Powie ci to bilecik, który, wróciwszy, zastaniesz u siebie. Odejdź już, odejdź!

To mówiąc, otworzyła drzwi, prowadzące na korytarz, i wypchnęła go z gabinetu.

Posłuszny był jak dziecko, bez najmniejszego oporu i trudności, co dowodzi, że naprawdę był zakochany.

Rozdział XXIII. Schadzka

D'Artagnan pędem powrócił do siebie, a chociaż było już po trzeciej po północy i najgorsze dzielnice Paryża miał do przebycia, nie wydarzyło mu się jednak nic złego.

Wiadomo, iż jest jakiś bożek, strzegący pijaków i zakochanych.

Zastał drzwi wchodowe uchylone, wszedł na schody i zapukał leciutko, w sposób, umówiony pomiędzy nim a służącym.

Planchet, którego odprawił z ratusza przed dwiema godzinami z zaleceniem, aby na niego czekał, otworzył drzwi.

— Czy przyniesiono list do mnie? — żywo zapytał.

— Nikt nie przynosił listu — odpowiedział Planchet; lecz jest tu taki, który nie wiadomo skąd sam się wziął.

— Co przez to rozumiesz, błaźnie?

— Chcę powiedzieć, że, wróciwszy, zastałem w pana pokoju na stole list, chociaż klucz od mieszkania miałem ciągle w kieszeni i na chwilę nie wyjmowałem go stamtąd.

— A gdzież on jest?

— Zostawiłem go tam, gdzie leżał. To coś nadprzyrodzonego, żeby listy w ten sposób przychodziły do ludzi. Gdyby chociaż okno było otwarte lub uchylone, to nie mówię; lecz gdzie tam, wszystko szczelnie było zamknięte. Panie, strzeż się, w tem jest jakaś nieczysta siła.

W trakcie tej rozmowy młodzieniec wskoczył do pokoju i rozerwał list.

Był on od pani Bonacieux i zawierał te słowa:

„Gorące podziękowania czekają na ciebie. Bądź dziś wieczorem, o godzinie dziesiątej, w Saint-Cloud, przed pawilonem, który się wznosi na rogu domu pana d'Estrées.
K. B."

D'Artagnan czytając, uczuł w sercu taki skurcz rozkoszy, jaki dręczy i uszczęśliwia zarazem serca kochanków.

Był to pierwszy w życiu bilecik i pierwsza schadzka, jaką mu wyznaczono.

Serce jego, wezbrane upajającą rozkoszą, zdawało się zamierać pod nawałem szczęścia, na wstępie do tego raju ziemskiego, który zwie się miłością.

— A co?... panie — odezwał się Planchet, widząc go płonącego i blednącego kolejno — a co? wszak zgadłem, że to jakaś sprawa nieczysta?

— Mylisz się, Planchetku, a na dowód masz talara i wypij za moje zdrowie.

— Dziękuję panu za talara i przyrzekam spełnić święcie jego rozkazy; lecz nie dowód to, żeby listy, które dostają się do zamkniętych domów...

— Spadają z nieba, mój drogi; z nieba prościuteńko.

— Więc jest pan bardzo zadowolony?

— Drogi Planchetku, jestem najszczęśliwszym z ludzi!

— Mogę więc skorzystać ze szczęścia pańskiego i spać się położyć?

— I owszem, kładź się.

— Oby wszystkie błogosławieństwa nieba spadły na pana, lecz prawdą a Bogiem, że ten list...

I Planchet oddalił się, potrząsając głową z powątpiewaniem, którego szczodrość d'Artagnana nie była w stanie rozproszyć.

D'Artagnan, pozostawszy sam, jął znowu odczytywać bilecik, obcałował każdą literkę, skreśloną ręką ślicznej swojej kochanki.

Położył się nareszcie i zasnął, snując sny złote.

O siódmej z rana zerwał się na równe nogi i zawołał Plancheta, który na powtórne wezwanie otworzył drzwi i zjawił się z twarzą, na której chmura niepokojów wczorajszych jeszcze zalegała.

— Planchecie, — rzekł doń d'Artagnan — wychodzę na cały dzień prawdopodobnie, jesteś więc do siódmej wieczorem wolny; lecz o tej godzinie bądź w pogotowiu i miej dwa konie.

— Masz tobie! znowu nam mają podziurawić skórę!

— Zabierzesz z sobą muszkiet i pistolety.

— A co? nie mówiłem? — wykrzyknął Planchet. — Byłem tego pewny! przeklęty list!

— Nie bój się, głupcze, idzie tu po prostu o przejażdżkę dla przyjemności.

— Zapewne! tak, jak tamta, gdzie kule gradem padały, a pułapki wyrastały z pod ziemi!...

— Zresztą, jeżeli tchórzysz, panie Planchecie — przerwał mu d'Artagnan — obejdę się bez ciebie; wolę podróżować sam, aniżeli mieć towarzysza, który trzęsie się ze strachu.

— Pan mi ubliża — rzekł Planchet — a o ile mi się zdaje, widział mnie pan w gorących wypadkach.

— Widziałem, lecz sądziłem, iż za jednym razem wyszafowałeś całą swoją odwagę.

— Zobaczy pan, że znajdzie się ona jeszcze w potrzebie; ale proszę pana, nie trwoń jej zbytecznie, jeżeli pan chce, aby wystarczyła na dłużej.

— A jak myślisz, czy masz jej jakikolwiek zapasik na dzisiejszy wieczór?

— Spodziewam się.

— A zatem liczę na ciebie.

— Będę gotów o oznaczonej godzinie, lecz ja myślałem, że pan jednego miał tylko konia w stajni gwardyjskiej.

— Być może, iż w tej chwili jeden jest tylko, lecz wieczorem będzie ich cztery — rzekł d'Artagnan i, skinąwszy Planchetowi głową, wyszedł.

Pan Bonacieux stał w drzwiach swego mieszkania. D'Artagnan chciał go ominąć, nie mówiąc nic do niego, lecz małżonek Konstancji tak mu się słodko i dobrodusznie ukłonił, że w ten sposób zniewolił swego lokatora nie tylko do odwzajemnienia się, lecz i do zawiązania rozmowy.

Jakże tu wreszcie nie mieć choć odrobiny pobłażania dla męża, którego żona wyznaczyła schadzkę.

Zbliżył się więc do niego z miną jak najbardziej uprzejmą.

Rzecz prosta, iż rozmowa zeszła na uwięzienie biedaka.

Bonacieux, nie wiedząc, że d'Artagnan wysłuchał jego rozmowę z nieznajomym z Meung, opowiedział młodemu lokatorowi o prześladowaniach tego potwora, pana de Laffemas, którego nie przestawał tytułować katem kardynalskim, przyczem rozwodził się obszernie o Bastylji, ryglach, zasuwkach, okienkach, kratach i przyrządach torturowych.

D'Artagnan słuchał z przykładną uwagą, nareszcie, gdy właściciel domu skończył mówić, odezwał się:

— A czy wiesz pan już, kto porwał panią Bonacieux? nie zapomniałem bowiem, iż tej właśnie przykrej okoliczności zawdzięczam szczęście poznania pana.

— O!... — odrzekł Bonacieux — mieli się oni dobrze na baczności i nie powiedzieli mi tego, a żona przysięga się na wszystkie świętości, że nic o tem nie wie. Ale cóż to się działo z panem tych dni ubiegłych — ciągnął dalej Bonacieux z miną najdobroduszniejszą — nie widywałem ani pana, ani przyjaciół pańskich, a sądzę, iż nie na bruku paryskim zebrałeś ten kurz, który wczoraj wieczorem Planchet z butów pańskich omiatał.

— Masz słuszność, drogi panie Bonacieux, przyjaciele moi i ja, odbyliśmy maleńką podróż.

— Daleko?

— O! mój Boże! czterdzieści mil zaledwie, odprowadziliśmy pana Athosa do wód w Forges, gdzie przyjaciele moi zostali.

— A pan powróciłeś, nieprawdaż? — mówił dalej Bonacieux, przybierając wyraz twarzy, jak mógł najzłośliwszy. — Taki piękny chłopiec, jak pan, nie dostaje długiego urlopu od kochanki. Z wielką niecierpliwością byliśmy oczekiwani w Paryżu nieprawdaż?

— Słowo daję, nie przeczę — odparł młodzieniec ze śmiechem — a mówię to tembardziej, bo widzę, że nic się przed panem nie ukryje. Tak, byłem oczekiwany, i bardzo niecierpliwie, zaręczam.

Lekka chmurka przemknęła po czole kramarza, lecz tak lekka, że d'Artagnan jej nie dostrzegł.

— I zostaniemy sowicie wynagrodzeni za pośpiech? — ciągnął kramarz z lekkiem wzruszeniem w głosie, wzruszeniem, którego także nie zauważył d'Artagnan, jak i poprzedniej chmury, która zaciemniła oblicze godnego człowieka.

— A!... bodajbyś pan był dobrym prorokiem! — zawołał d'Artagnan wesoło.

— E!... ja pytam tylko dlatego, aby wiedzieć, czy późno pan wrócisz?

— A na co ci to pytanie, gospodarzu drogi? — podchwycił d'Artagnan — czy chcesz czekać na mnie?

— Nie, ale od czasu uwięzienia mojego i kradzieży, spełnionej w mym domu, gdy kto otworzy drzwi, strach mnie przejmuje, a szczególniej w nocy. Cóż chcesz, u licha!... nie jestem żołnierzem!...

— Nie przestraszaj się pan więc, jeżeli wrócę o pierwszej, drugiej lub trzeciej nad ranem; a jeżeli wcale się nie zjawię, nie przerażaj się także.

Zapowiedź ta przyprawiła pana Bonacieux o taką bladość, że d'Artagnan nie mógł już jej nie spostrzedz i spytał o przyczynę.

— Nic, nic — odrzekł Bonacieux. — Widzisz pan, ja, od czasu moich nieszczęść, ulegam nagłym osłabieniom, a w tej chwili właśnie uczułem dreszcze. Nie zważaj pan na to i zajmij się raczej swojem szczęściem.

— Nie brak mi tego zajęcia, bo jestem szczęśliwy.

— Jeszcze nie, zaczekaj trochę, sam przecież mówiłeś że to dopiero wieczorem.

— Da Bóg, wieczór ten nadejdzie, może i pan oczekujesz go z równą niecierpliwością. Może pani Bonacieux ma odwiedzić gniazdo małżeńskie?

— Pani Bonacieux będzie dzisiejszego wieczora zajęta — odparł małżonek z powagą — zatrzymuje ją w Luwrze jej obowiązek.

— Tem gorzej dla ciebie, drogi gospodarzu, tem gorzej; ja, gdy jestem szczęśliwy, chciałbym świat cały takim widzieć, ha! widocznie to niemożebne.

I, śmiejąc się na całe gardło z żartu, który, jak sądził, sam tylko rozumie, pożegnał kramarza.

— Przyjemnej zabawy! — odezwał się głosem grobowym Bonacieux.

D'Artagnan był za daleko, aby mógł usłyszeć, a choćby nawet i usłyszał, nie zwróciłby na te słowa uwagi, tak miał rozpromieniony umysł na myśl o tem, co go czekało.

Poszedł prosto do pałacu pana de Tréville; przypominamy sobie, iż wczorajsze odwiedziny trwały krótko i nie dały żadnego wyjaśnienia.

Zastał pana de Tréville wielce rozradowanego.

Na balu król i królowa uprzejmi byli dla niego nad wyraz. Kardynał zaś kwaśny był okrutnie.

Richelieu, pod pozorem niedyspozycji, wymknął się z balu o pierwszej. Ich Królewskie Moście bawili się do szóstej z rana.

— A teraz — odezwał się pan de Tréville zniżonym głosem i, rozglądając się po wszystkich kątach pokoju, dla przekonania, czy sami są zupełnie — a teraz o tobie pomówmy, mój drogi. Jasnem jest, iż powrót twój szczęśliwy przyczynił się do rozradowania króla, triumfu królowej i pognębienia kardynała. Otóż musisz się mieć na baczności.

— A czegóż mam się lękać — odparł d'Artagnan — dopóki będę miał szczęście cieszyć się łaską Ich Królewskich Mości?

— Wszystkiego, wierzaj mi. Kardynał nie jest człowiekiem, któryby zapomniał, że wywiedziono go w pole i nie omieszka załatwić rachunków z winowajcą, a zdaje mi się, że jest nim pewiem znajomy mój, gaskończyk.

— Czy pan sądzisz, że kardynał również wie tyle, co i pan, że wiadomo mu o bytności mojej w Londynie?

— Do djabła!... w Londynie byłeś? Czyż to stamtąd wywiozłeś ten piękny djament, błyszczący na twoim palcu? Strzeż się, drogi d'Artagnanie, dar nieprzyjaciela to rzecz niedobra; opiewają to pewne wiersze łacińskie... Poczekaj no...

— Tak, niezawodnie — odparł d'Artagnan, który nigdy był nigdy w stanie wpakować sobie do głowy najpierwszych zasad łaciny, czem do rozpaczy przywodził nauczyciela swego — tak, zapewne, muszą być jakieś wiersze, które się do tego stosują.

— Z pewnością, że są — odparł pan de Tréville, który miał pociąg do literatury — cytował mi je niedawno pan de Beuserade... Zaraz, zaraz... poczekaj... A! wiem już:

...Timeo Danaos et dona ferentes.

Co ma znaczyć: „Nie dowierzaj nieprzyjacielowi, nawet gdy cię obdarza".

— Djament ten nie od nieprzyjaciela, lecz od królowej pochodzi — rzekł na to d'Artagnan.

— Od królowej! o! o!... — odezwał się Tréville. — W istocie to klejnot prawdziwie królewski, wart tysiąc pistolów, jak jeden grosz. Przez kogóż kazała ci go doręczyć?

— Sama mi go dała.

— Gdzie?...

— W gabinecie przyległym do pokoju, w którym zmieniała ubranie.

— W jaki sposób?

— Podając mi rękę do pocałowania.

— Pocałowałeś w rękę królowę!... — wykrzyknął Tréville, wpatrując się w d'Artagnana.

— Jej Królewska Mość zrobiła mi zaszczyt, wyświadczając mi tę łaskę.

— I to przy świadkach? niebaczna!... po trzykroć niebaczna!...

— Uspokój się, panie, nikt tego nie widział — rzekł d'Artagnan.

I opowiedział jak się to stało.

— O kobiety! o kobiety!... — zawołał stary żołnierz — znam ja waszą wyobraźnię romantyczną; wszystko, co na tajemnicę zakrawa, zachwyca was; a zatem nie widziałeś

nic więcej prócz ramienia i mógłbyś, spotkawszy królowę, nie poznać jej, a ona także, zobaczywszy ciebie, nie wiedziałaby kto jesteś.

— Zapewne, lecz dzięki temu klejnotowi... — podjął młodzieniec.

— Słuchaj — rzekł pan de Tréville — czy chcesz, abym ci dał radę, dobrą radę przyjacielską?

— Zaszczyt mi pan zrobi — odpowiedział d'Artagnan.

— Słuchaj więc: idź do pierwszego lepszego jubilera i sprzedaj ten djament za cenę, jaką ci ofiaruje, a choćby żydem był nawet, dostaniesz zawsze ośmset pistolów za niego. Pieniądze są bez nazwy, a pierścień ten posiada ją i to straszną, która zdradzić może tego, co go nosi.

— Sprzedać go?... pierścień od monarchini mojej?... nigdy! — zawołał d'Artagnan.

— Obróć go więc kamieniem pod spód, biedny szaleńcze, wiadomo bowiem, iż kadet gaskoński nie znajduje podobnych klejnotów w skarbcu swojej matki.

— Myślisz więc, panie, iż mam się czego obawiać?... — zagadnął d'Artagnan.

— Możnaby powiedzieć, młodzieńcze, że ten, co zasypia na minie, której lont jest zapalony, uważać może się za bezpieczniejszego w porównaniu z tobą.

— Do djabła! — rzekł d'Artagnan, którego przekonywająca mowa pana de Tréville zaczęła niepokoić — do djabła! co tu począć?...

— Przede wszystkiem mieć się bezustanku na baczności. Kardynał ma pamięć zawziętą, a rękę, sięgającą daleko; wierzaj mi, że on ci wypłata figla.

— Ale jakiego?...

— E, czy ja wiem!... posiada on wszystkie sztuczki djabelskie, któremi się posługuje! co najmniej spotkać cię to może, że cię uwiężą.

— Jakto! poważonoby się uwięzić człowieka, zostającego w służbie Jego Królewskiej Mości?

— O! przecież z Athosem nie robiono ceremonji. W każdym razie wierzaj człowiekowi, który trzydzieści lat spędził u dworu; nie zasypiaj spokojny, albo jesteś zgubiony. Przeciwnie, ja ci to mówię, wszędzie wroga upatruj. Gdy będzie szukał z tobą zaczepki, unikaj go, choćby to było dziecię dziesięcioletnie; jeżeli zostaniesz napadnięty czy w nocy, czy w dzień, bez żadnego wstydu rejteruj; gdy przez most przechodzić będziesz, pilnuj desek, aby się pod tobą nie zapadły; gdy iść będziesz koło budującego się domu, patrz w górę, aby cegła nie spadła ci na głowę; jeśli późno będziesz powracał, każ iść za sobą służącemu i uzbrój go, jeżeli pewnym go jesteś. Nie ufaj nikomu, przyjacielowi, bratu, kochance, a nade wszystko tej ostatniej.

D'Artagnan spochmurniał.

— Kochance! — powtórzył machinalnie — a czemuż jej więcej, niż komu innemu?

— Bo kochanka jest jednym z najulubieńszych środków kardynała, jednym z najskuteczniejszych. Kobieta sprzeda się za ośm pistolów, dowodem Dalilla. Znasz pewnie Stary Testament, co?

D'Artagnan pomyślał o dzisiejszem spotkaniu z panią Bonacieux; lecz, na pochwałę bohatera naszego, przyznać musimy, iż złe wyobrażenie pana de Tréville o kobietach w ogólności, nie natchnęło go najmniejszem podejrzeniem co do jego pięknej gosposi.

— Ale, ale — mówił dalej pan de Tréville — a co się stało z trzema twoimi towarzyszami?

— Chciałem właśnie zapytać pana, czy nie ma jakiej o nich wiadomości?

— Żadnej a żadnej.

— Ja zostawiłem ich po drodze: Porthosa w Chantilly, z pojedynkiem na karku; Aramisa w Crevecoeur z kulą w ramieniu; Athosa na koniec w Amiens, pod ciężarem zarzutu o fałszerstwo pieniędzy.

— A widzisz! — odezwał się pan de Tréville — a jakżeś ty tego uniknął?

— Cudem, przyznać to muszę, przy pomocy pchnięcia szpadą w piersi i przygwożdżenia na drodze do Calais, jak motyla do ściany, hrabiego de Wardes.

— A co, jeszcze jeden dowód! de Wardes, to stronnik kardynała a krewny Rocheforta. Słuchaj, mój drogi, przychodzi mi pewna myśl.

— Niech pan mówi, słucham.

— Będąc na twojem miejscu, jedną bym rzecz zrobił.

— Jaką?

— Skoro jego eminencja każe cię szukać w Paryżu, ja po cichu wróciłbym do Pikardji i postarałbym się dostać języka o trzech moich przyjaciołach. Cóż u djabła! przecie zasługują na ten dowód troskliwości z twej strony.

— Dobra rada pańska, jadę jutro.

— Jutro! a czemu nie dzisiaj?

— Dzisiaj zatrzymuje mnie sprawa nader ważna.

— A! młokosie! młokosie! miłostki pewno jakie?... Powtarzam ci, strzeż się: kobieta zgubiła nas wszystkich co do jednego, i gubi nas jeszcze tak samo. Wierzaj mi, jedź dzisiaj.

— Niepodobna.

— Dałeś więc tam słowo.

— Tak, panie.

— Ha! to już trudno; lecz przyrzeknij mi, że jeżeli nie zostaniesz zabity tej nocy, jutro wyjedziesz.

— Przyrzekam.

— Czy potrzebujesz pieniędzy?

— Chyba, że nie, mam pięćdziesiąt pistolów, tyle ile mi właśnie potrzeba.

— A twoi towarzysze?

— Myślę, że im także nie zbywa. Każdy z nas wyjeżdżając z Paryża, miał w kieszeni po siedemdziesiąt pięć pistolów.

— Czy zobaczę cię jeszcze przed wyjazdem?

— Pewnie już nie, chybaby zaszło coś nowego...

— Zatem szczęśliwej drogi!

— Dziękuję panu.

I pożegnał Trévilla, więcej wzruszony, niż kiedykolwiek jego prawdziwie ojcowską pieczołowitością dla muszkieterów.

Zaszedł jeszcze do Athosa, Porthosa i Aramisa. Żaden z nich nie powrócił. Służących nie było także i nic nie wiedziano ani o jednych, ani o drugich.

Mógłby wprawdzie dowiedzieć się czegoś od ich kochanek, lecz nie znał damy Porthosa, a tem bardziej Aramisa; Athos zaś nie miał jej wcale.

Mijając koszary gwardyjskie, zajrzał do stajen: trzy konie już były na miejscu.

Planchet osłupiały czyścił je zgrzebłem.

— A! panie — odezwał się Planchet, zoczywszy d'Artagnana — jakże się cieszę, żem pana zobaczył!...

— A to dlaczego, Planchetku?... — zagadnął młodzieniec.

— Czy pan dowierza naszemu gospodarzowi, panu Bonacieux?

— Ja? ani odrobinę.

— O! to bardzo dobrze!...

— Ale skąd to pytanie?

— Skąd? że kiedy pan z nim rozmawiał, ja się przypatrywałem, nie podsłuchując, broń Boże; o! panie, twarz mu się mieniła okropnie...

— Doprawdy!

— Pan był zajęty listem odebranym i nie zwrócił na to uwagi; lecz ja, któremu dziwne przedostanie się tego listu do nas dało do myślenia, ja nie straciłem ani jednej z jego min.

— Jakież to były miny?

— Zdradzieckie, proszę pana.

— Doprawdy?

— Co więcej, skoro tylko pan się z nim pożegnał i zniknął na zakręcie ulicy, on także porwał kapelusz, zamknął drzwi na klucz i popędził w stronę przeciwną.

— Masz słuszność, Planchecie, to bardzo podejrzanie wygląda, ale nie lękaj się, nie zapłacimy komornego, dopóki wszystko nie wyjaśni się należycie.

— Pan żartuje teraz, a zobaczy pan...

— Cóż ty chcesz, to, co zapisano tam w górze, spełnić się musi!...

— Więc pan nie zrzeka się dzisiejszej przejażdżki wieczornej?

— Przeciwnie, im więcej mam na pieńku z panem Bonacieux, tem usilniej pragnę stawić się na schadzce, jaką mi oznaczył list, który cię o taki niepokój przyprawił.

— Ha, kiedy pan tak chce...

— Nieodwołalnie, mój miły, bądź zatem tutaj w pogotowiu; o dziesiątej zajdę po ciebie.

Widząc, że nie ma sposobu powstrzymać pana od zamierzonego projektu, Planchet westchnął głęboko i jął z całych sił skrobać zgrzebłem trzeciego konia.

D'Artagnan zaś, jako chłopiec nader przezorny, udał się na obiad do owego księdza gaskońskiego, który onego czasu, kiedy trzej przyjaciele ciężkie przechodzili chwile, pożywił ich na śniadanie czekoladą.

Rozdział XXIV. Pawilon

O dziewiątej d'Artagnan był już w koszarach gwardji; Plancheta zastał gotowego. Czwarty koń już przybył.

Planchet uzbrojony był w muszkiet i pistolet.

D'Artagnan miał szpadę i dwa pistolety, za pas zatknięte.

Każdy dosiadł konia i wymknęli się po cichu.

Noc już zapadła, nikt ich wyjeżdżających nie widział.

Planchet pozostał z tylu i o dziesięć kroków podążał za panem.

Przebyli w poprzek bulwary i przez bramę Konferencyj wydostali się na drogę, prowadzącą do Saint-Cloud, o wiele, niż dzisiaj, piękniejszą.

W mieście Planchet trzymał się w przyzwoitej odległości, którą sobie nakazał; lecz w miarę, jak droga zaczynała być pusta i głucha, pomaleńku zbliżać się począł tak, że gdy wjechali do lasku Bulońskiego, znalazł się przy boku swego pana.

Trudno nam zataić, co prawda, iż kołysanie się drzew olbrzymich, łamanie się światła księżycowego w gęstych i ciemnych zaroślach wprawiało go w niemały niepokój.

Spostrzegł to d'Artagnan, że coś dziwnego dzieje się z jego pachołkiem.

— A co?... mości Planchecie — zapytał — co się dzieje z tobą?

— Czy pan nie uważa, iż te drzewa podobne są do kościołów ogromnych?

— A to dla czego?

— Bo pod ich sklepieniem, jak i w kościele, człowiek nie ma śmiałości odezwać się głośno.

— Czy dlatego, że strach cię przejmuje, Planchecie?

— Tak, panie, strach, aby kto nie usłyszał.

— Czemu? rozmowa nasza jest przecie pobożna, drogi Planchecie, nikt by jej nie mógł nic zarzucić.

— A! panie! — odrzekł Planchet, powracając do swej myśli zasadniczej — ten Bonacieux ma coś ponurego w oczach i wstrętnego w poruszeniu ust!

— Co cię zmusza, u djabła, myśleć o panu Bonacieux?

— Panie, człowiek nie myśli o tem, o czem chce, ale o tem, o czem musi!...

— E! tchórz z ciebie, Planchetku.

— Panie, nie trzeba mieszać przezorności z tchórzostwem; przezorność jest cnotą.

— A ty cnotliwy jesteś, wszak tak, Planchecie?

— O! panie, czy to nie lufa muszkietu błysnęła tam w dali? Możebyśmy głowy schylili?

— Doprawdy... — mruknął d'Artagnan, przypominając sobie przestrogi pana de Tréville — doprawdy, to bydlę i mnie w końcu nabawi strachu.

I puścił konia kłusem.

Planchet uczynił to samo i, jak cień swego pana, kłusował tuż przy nim.

— Czy całą noc tak jechać będziemy? — zapytał.

— Nie, Planchecie, bo ty już jesteś na miejscu.

— Ja? już na miejscu? a pan?...

— Ja pójdę jeszcze dalej kilka kroków.

— I pan zostawi mnie samego zupełnie?

— Boisz się, Planchecie!

— Nie, lecz zwracam pańską uwagę, że zanosi się na noc bardzo zimną. Chłody nabawiają reumatyzmu, a służący, który cierpi na tę chorobę, jest do niczego, zwłaszcza dla tak prędkiego pana.

— Dobrze!... jeżeli ci zimno, zajedziesz do jednej z tych karczem, które tam widzisz, i jutro o szóstej rano czekaj na mnie przed bramą.

— Proszę pana, przepiłem i przejadłem uczciwie talara, którego mi dziś rano dałeś; nie mam więc nawet podłego su na wypadek zziębnięcia.

— Masz tu pół pistola. Bywaj zdrów, do jutra.

I zeskoczył z konia, cugle rzucił Planchetowi i, owinąwszy się płaszczem, szybko się oddalił.

— Boże, jakże mi zimno! — zawołał Planchet, skoro tylko stracił z oczu swego pana; a ponieważ pilno mu było się rozgrzać, zapukał czem prędzej do drzwi domu, zdobnego we wszelkie pozory podmiejskiej karczmy.

D'Artagnan, który skierował się ścieżką poprzeczną, szedł dopóty, dopóki nie dotarł do Saint-Cloud.

Zamiast jednak trzymać się głównego traktu, zaszedł od tyłu pałacu, zapuścił się w zaułek bardzo ustronny i znalazł się wkrótce wprost oznaczonego pawilonu.

Było to miejsce zupełnie puste. Wielki mur, w którego rogu stał pawilon, stanowił jeden bok uliczki, a z drugiego boku żywopłot dzielił ją od ogródka, w którego głębi stała mizerna chałupka.

D'Artagnan stawił się na schadzkę, ponieważ jednak nie wskazano mu umówionego znaku, którym oznajmiłby swoją obecność, więc czekał.

Cisza panowała wokoło, sądzić mógł, iż go sto mil przedziela od stolicy.

Oparł się o płot plecami, bacznie wpierw obejrzawszy się po za siebie.

Poza płotem, ogrodem i chałupką, szare i nieprzejrzane mgły otaczały zwojami swemi tę bezmierną przestrzeń, w której zasypiał Paryż, tę otchłań rozwartą, bezbrzeżną, gdzie połyskiwało kilka światełek, jak gwiazdy.

W oczach d'Artagnana jednak wszystko przybierało kształty rozkoszne, każda myśl śmiała się do niego, ciemności nieprzebite stawały się przezroczyste.

Istotnie, po upływie chwil kilku, na wieży Saint-Cloud odwieczny dzwon wyrzucił ze swej ryczącej paszczy dziesięć powolnych uderzeń.

Głos spiżu zabrzmiał grobowym jękiem, który się rozpłynął w ciemnościach nocy.

Każde z tych uderzeń jednakże, tworząc godzinę tak upragnioną, cudowną harmonją dźwięczało w sercu młodzieńca.

Oczy miał utkwione w stojący w narożniku muru pawilonik, którego wszystkie okna były przysłonięte okiennicami, z wyjątkiem jednego na pierwszem piętrze.

Z okna tego dobywało się łagodne światło, srebrzące korony kilku razem stojących lip.

Z pewnością poza temi szybami, tak mile jaśniejącemi, oczekuje go piękna pani Bonacieux.

Kołysany tą myślą, pełną słodyczy, z całą cierpliwością czekał pół godziny jeszcze z utkwionym wzrokiem w to rozkoszne mieszkanko, gdzie dostrzegał część sufitu o listewkach złoconych, znamionujących elegancję i reszty pokoju.

Dzwon zegara wieżowego wybił wpół do jedenastej.

Tym razem odgłos ten, nie wiadomo dlaczego, przejął go zimnym dreszczem. Może przenikał go chłód i wrażenie czysto fizyczne przypisał uczuciom moralnym.

Potem zaczął przypuszczać, iż źle może przeczytał, że schadzka może oznaczona była na jedenastą. Podszedł do okna, stanął w promieniu światła, dobył list z kieszeni i raz jeszcze przebiegł go oczami.

Nie omylił się bynajmniej: oznaczona była godzina dziesiąta. Powrócił na stanowisko poprzednie; milczenie to i samotność poczynały go niepokoić.

Wybiła jedenasta.

Strach go przejął nie na żarty, czy nie wydarzyło się pani Bonacieux co złego.

Klasnął po trzykroć w dłonie, jak zwykle dają sobie znaki zakochani, lecz nikt mu nie odpowiedział.

Echo nawet milczało.

Wtedy pomyślał ze złością, że może młoda kobieta, oczekując na niego usnęła.

Podszedł do muru i usiłował się nań wdrapać, lecz tynk był świeży i gładki.

Daremnie połamał sobie paznokcie.

Naraz zwrócił uwagę na drzewa, wciąż srebrzone światłem, a ponieważ jedno z nich wyciągało ku drodze konary, pomyślał, że spośród nich mógłby łatwo zapuścić wzrok do wnętrza pawilonu.

Drzewo było do tego podatne. Zresztą d'Artagnan miał lat dwadzieścia zaledwie, nie zapomniał więc jeszcze ćwiczeń szkolnych.

W mgnieniu oka znalazł się pośród gałęzi i przez szyby przejrzyste zagłębił wzrok do wnętrza pokoju.

Zgroza przejęła go dreszczem od stóp do głowy.

Światło łagodne z lampy przyćmionej, oświetlało scenę przerażającego nieładu.

Jedna z szyb była stłuczona, drzwi pokoju, wysadzone i na pół złamane, wisiały na zawiasie; stół, który widocznie był zastawiony wytworną kolacją, leżał na ziemi; karafki w kawałkach, owoce zdeptane zalegały posadzkę; wszystko w tym pokoju świadczyło o walce gwałtownej i rozpaczliwej.

Zdało mu się nawet, iż w dziwnym tym nieładzie odróżnia strzępy ubrania i krwawe plamy na obrusie i firankach.

Z pośpiechem zsunął się na ziemię ze strasznie bijącem sercem, chcąc się przekonać, czy nie znajdzie innych jeszcze śladów niecnego gwałtu.

A w ciszy nocnej wciąż błyszczało spokojne i łagodne światło.

Wtedy spostrzegł d'Artagnan, czego nie zauważył poprzednio, że ziemia, wydeptana i rozrzucona miejscami, miała na sobie ślady stóp ludzkich i kopyt końskich. Koła powozu, przybyłego widocznie od strony Paryża, wyżłobiły na pulchnej ziemi głęboką brózdę równolegle z pawilonem, zataczając ją z powrotem ku miastu.

Szukając dalej, znalazł przy murze podartą rękawiczkę kobiecą.

Była to jedna z tych wonnych rękawiczek, za jakiemi przepadają kochankowie, gdy zerwać je mogą z pięknej ukochanej rączki.

Zimny pot kroplisty oblewał mu czoło, boleść okrutna serce ściskała, oddech stawał się szybki; a jednak dla własnego uspokojenia powtarzał sobie, iż ten pawilon niekoniecznie musi mieć łączność z panią Bonacieux, że ona mu oznaczyła schadzkę przed pawilonem, a nie w pawilonie, i służba, a prawdopodobnie zazdrość małżonka, zatrzymały ją w Paryżu.

Wszystkie te jednak rozumowania zostały zdruzgotane, zniweczone uczuciem niewytłomaczonego bólu, który w pewnych chwilach życia opanowywa całą naszą istotę i woła nam w duszy i tętni w uszach ponurym głosem, że wielkie nieszczęście nad nami krąży.

Wtedy ogarnęło go szaleństwo: pobiegł drogą, skąd przybył i nie zatrzymał się aż u przewozu, aby wybadać przewoźnika.

Ten mu powiedział, że około siódmej wieczorem przeprawił przez rzekę kobietę, zakrytą czarnym płaszczem tak, jak gdyby zależało jej na tem niezmiernie, aby nie była poznana; i właśnie, z powodu tych ostrożności, tem większą zwracał na nią uwagę, i przekonał się, że młoda jest i piękna.

W owych czasach dużo kobiet młodych i ładnych, starając się nie być poznanemi, przybywało do Saint-Cloud, jednakże d'Artagnan nie wątpił ani na chwilę, że to była pani Bonacieux.

Korzystając ze światła lampki, migocącej w chatce przewoźnika, raz jeszcze odczytał bilecik pięknej Konstancji, aby upewnić się, że nie jest w błędzie, że w Saint-Cloud, a nie gdzieindziej oznaczona była schadzka, przed pawilonem pana d'Estrées, a nie na żadnej innej ulicy.

Wszystko tak się składało, aby mu dowieść, że przeczucia jego nie były mylne.

Co tchu w piersiach wrócił do zamku; zdawało mu się, że pod nieobecność jego coś nowego w pawilonie zajść mogło i że nastąpi jakieś wyjaśnienie.

W uliczce ta sama pustka, to samo łagodne i spokojne światło rozlewało się z jedynego okna.

Wtedy przyszło mu na myśl, że ta niema rudera widziała coś niezawodnie, a może powiedziećby także była w stanie.

Drzwi ogrodzenia były zamknięte, przesadził więc płot i, pomimo ujadania psa na łańcuchu, zbliżył się do chaty.

Zrazu nikt nie odpowiedział na pukanie. Milczenie grobowe panowało w chatce, jak i w pawilonie; lecz gdy zaczął się do niej dobijać, posłyszał lekki szelest wewnątrz, tak lękliwy, jakby obawiał się zdradzić.

Przestał się więc dobijać, prosił z wyrazem takiego niepokoju, przerażenia i zarazem pieszczoty w głosie, że natchnąć był w stanie ufnością nawet największego tchórza.

Nareszcie uchyliła się stara spróchniała okiennica i zamknęła natychmiast, skoro tylko światło dymiącej lampki, palącej się w kącie, oświeciło szarfę, rękojeść szpady i kolby pistoletów d'Artagnana.

Jakkolwiek stało się to nader szybko, miał jednak czas dostrzedz siwą głowę starca.

— Na imię boskie! zaklinam was — zawołał — wysłuchajcie mnie: czekałem tu na kogoś i doczekać się nie mogę, umieram z niepokoju. Miałożby się tu jakie nieszczęście wydarzyć? powiedzcie.

Okno otworzyło się powoli i znowu ta sama twarz się ukazała; lecz bledsza jeszcze, niż za pierwszym razem.

D'Artagnan prostodusznie, nieledwie z imienia, opowiedział swoją historję; jak przed tym pawilonem miał schadzkę z młodą kobietą i jak, nie mogąc się jej doczekać, wdrapał się na lipę, a stamtąd przy świetle lampy ujrzał poprzewracane sprzęty w pokoju.

Starzec wysłuchał go z uwagą, potakując, a gdy d'Artagnan skończył, potrząsnął głową z miną złowróżbną.

— Cóż to ma znaczyć? — zawołał d'Artagnan. — Na Boga, błagam cię, tłumacz się jaśniej.

— O! panie — odezwał się starzec — o nic mnie nie pytaj; bo, gdybym opowiedział ci, co widziałem, nie wyszłoby mi na dobre z pewnością.

— Więc widziałeś? — podchwycił d'Artagnan. — W takim razie zaklinam cię! — ciągnął dalej, kładąc mu pistola — powiedz mi, powiedz, coś widział, a słowo szlacheckie ci daję, że ani słówka jednego nie uronię z mojego serca.

Tyle szczerości i bólu wyryło się na twarzy d'Artagnana, że starzec skinął na znak, iż mówić zacznie i odezwał się cichym głosem:

— Blisko dziewiątej było, gdy usłyszałem turkot na ulicy, a, pragnąc dowiedzieć się, coby to być mogło, podszedłem do moich drzwi i poznałem, że ktoś usiłuje wejść. Ponieważ ubogi jestem i nie lękam się złodziei, otworzyłem drzwi do chaty i ujrzałem trzech mężczyzn, stojących w pobliżu. Za nimi tuż w cieniu stała dwukonna kareta i konie wierzchowe. Należały one niechybnie do trzech mężczyzn, którzy przyjechali wierzchem.

— A! panowie łaskawi — zawołałem — czego żądacie?

— Musisz mieć drabinę? — odezwał się do mnie ten, który wyglądał na przewćdcę eskorty.

— Mam, panie, do zbierania owoców.

— Daj ją nam i wracaj do siebie, masz za fatygę talara; pamiętaj tylko, że jeśli słówko choć piśniesz, co będziesz widział i słyszał (gdyż pewny jestem, że patrzeć i słuchać będziesz, pomimo gróźb naszych) zginiesz niechybnie.

To mówiąc, rzucił mi talara i zabrał drabinę.

Rozumie się, że zamknąwszy za nim furtkę, udałem, iż wracam do domu; wyszedłem jednak drzwiami tylnemi i, przemknąwszy w ciemnościach, dostałem się do tej gęstwiny bzów, z pośród której niewidziany mogłem się wszystkiemu należycie przypatrzyć.

Trzej panowie rozkazali powozowi podjechać cichutko, wywlekli z niego małego, grubego, kusego, siwewego człowieka, ciemno i nędznie odzianego, który z ostrożnością wszedł na drabinę, ponurem wejrzeniem ogarnął wnętrze pokoju, zeszedł powoli i mruknął głosem stłumionym:

— Ona!

Poczem ten, który przemawiał do mnie, otworzył drzwi pawilonu kluczem, zamknął je za sobą i zniknął; jednocześnie dwóch innych weszło na drabinę.

Gruby staruszek stanął przy drzwiczkach karety, stangret trzymał lejce, a lokaj konie za uzdy.

Naraz krzyk przeraźliwy rozległ się w pawilonie.

Kobieta jakaś przyskoczyła do okna, otworzyła je, jak gdyby chciała rzucić się z niego. Lecz skoro spostrzegła dwóch mężczyzn, odskoczyła w tył; ci rzucili się za nią do pokoju.

Wtedy nic już nie widziałem, lecz słyszałem trzask łamanych sprzętów. Kobieta krzyczała i wołała ratunku. Lecz wkrótce wszystko ucichło; trzej mężczyźni zbliżyli się do okna, unosząc na rękach kobietę; dwóch z nich zeszło po drabinie. Umieścili kobietę w karecie, a przy niej siadł staruszek; ten, który wprzód w pawilonie pozostał, zamknął okno i po chwili wyszedł drzwiami i z uwagą popatrzył, czy rzeczywiście kobieta znajduje się w karecie. Dwaj towarzysze jego czekali nań, siedząc już na koniach, i on też zaraz wskoczył na siodło; służący usadowił się przy woźnicy; kareta, eskortowana przez trzech jezdnych, popędziła cwałem i wszystko się skończyło. Od tej chwili nic już nie widziałem, ani słyszałem.

Zgnębiony tą straszną nowiną, d'Artagnan oniemiał i zdrętwiał, a całe piekło gniewu i zazdrości targało mu serce.

— Lecz, wielmożny panie — ciągnął dalej starzec, na którym niema ta rozpacz, większe wrażenie sprawiła, niż krzyki i płacze — nie martw się tak bardzo, nie zabili ci jej, to najważniejsza.

— Nie wiesz, kto był przywódcą tej piekielnej wyprawy?

— Nie znam go wcale.

— Lecz mogłeś mu się przyjrzeć, skoro mówił do ciebie.

— A! to pan chce wiedzieć, jak wyglądał z twarzy?

— Tak.

— Wysoki, suchy, opalony, wąsy czarne, oczy czarne, postawa pańska.

— To on! i znowu on!... — wykrzyknął d'Artagnan. — To zły duch mój, widocznie! A ten drugi?

— Który?

— Ten mały.

— O! to, ręczyć mogę, nie żaden pan: nie miał nawet szpady, a tamci traktowali go przez nogę.

— Jakiś lokaj — mruknął d'Artagnan. — A! biedna, nieszczęśliwa kobieta! co oni z nią zrobili?

— Przyrzekł mi pan zachować tajemnicę — odezwał się staruszek.

— Bądź spokojny, przyrzekam ci raz jeszcze, jestem szlachcicem, słowo szlacheckie nad wszystko waży, a ja ci je daję.

D'Artagnan ze zranioną duszą powlókł się do przewozu.

Chwilami nie chciał wierzyć, aby to była pani Bonacieux, i nadzieja wstępowała mu w serce, że jutro w Luwrze odnajdzie ją.

To znowu przerażająca myśl go gnębiła, czy to nie intryga miłosna, czy nie zazdrośnik jakiś, zeszedłszy ją, kazał porwać.

Błąkał się w domysłach, dręczył, rozpaczał.

— O! gdyby byli moi przyjaciele! — zawołał z głębi duszy — miałbym chociaż nadzieję odnalezienia jej; lecz kto wie, co tu z nimi się dzieje?

Północ już się zbliżała; trzeba było odnaleźć Plancheta.

Do wszystkich karczem, w jakich się świeciło, zaglądał kolejno, ale w żadnej go nie zastał.

Gdy zaszedł do szóstej, przyszło mu na myśl, iż poszukiwania te mogą być bez skutku, gdyż kazał mu czekać na siebie o szóstej z rana dopiero, a teraz miał wszelkie prawo, znajdować się gdzie chciał.

Zresztą i to mu przyszło do głowy, że jeśli pozostanie bliżej miejsca porwania, prędzej pochwyci nitkę tego tajemniczego węzła.

Otóż w szóstej karczmie, jak mówiliśmy, zatrzymał się d'Artagnan, zażądał butelki wina przedniego gatunku, wsparł się na łokciach w najciemniejszym kącie stołu i postanowił do dnia przeczekać.

Lecz i tym razem nadzieje jego okazały się płonne.

Chociaż słuch wytężał pilnie, wśród przekleństw, rozpustnych piosenek i wymysłów, jakiemi obsypywali się robotnicy, pachołki i furmani, tworzący to zaszczytne towarzystwo, do którego i on należał mimowolnie, nic nie usłyszał takiego, co by mogło go naprowadzić na ślad ukochanej kobiety.

Wysączywszy z nudów butelkę, aby nie obudzić podejrzeń, rad nie rad umieścił się, jak mógł, w swym kącie, aby jako tako się przespać.

Nie zapominajmy, iż d'Artagnan liczył lat dwadzieścia i że w tym wieku sen ma swoje niezwalczone prawa, których domaga się gwałtownie nawet od serc najbardziej zrozpaczonych.

Nad ranem, około szóstej, przebudził się znużony, co zwykle bywa po źle spędzonej nocy. Niewiele czasu zabrało mu ubranie.

Pomacał kieszenie, czy nie skorzystano ze snu jego, aby go okraść, a znalazłszy trzos na miejscu i pistolety za pasem, wstał, zapłacił za wino i wyszedł, w nadziei, że z rana uda mu się prędzej odnaleźć pachołka.

Rzeczywiście, najpierwszą osobą, która mu wpadła w oczy przez szarawe mgły poranku, był czcigodny Planchet, czekający nań przed bramą małej pochyłej karczemki, którą d'Artagnan pominął w poszukiwaniach nocnych.

Planchet trzymał za uzdę dwa konie.

Rozdział XXV. Porthos

D'Artagnan, zamiast wprost do siebie powrócić, zsiadł z konia przed bramą pana de Tréville i wbiegł szybko na schody.

Tym razem postanowił opowiedzieć o wszystkiem, co zaszło.

Pan de Tréville bez wątpienia nie poskąpi mu dobrych rad w tej sprawie, a, widując się codziennie z królową, może będzie mógł zasięgnąć od niej wiadomości o nieszczęśliwej kobiecie, której z pewnością drogo zapłacić kazano za przywiązanie do jej pani.

Pan de Tréville wysłuchał opowiadania młodzieńca z powagą, świadczącą, iż w całej tej sprawie widział coś więcej, niż samą przygodę miłosną, a gdy d'Artagnan skończył nareszcie, wyrzekł:

— Hm!... wszystko to o milę czuć jego eminencją.

— Lecz co tu robić? — zapytał d'Artagnan.

— Nic, nic zgoła, jak na teraz, tylko opuścić Paryż, jak ci to już mówiłem i to jak można najprędzej. Zobaczę się z królową, opowiem jej szczegóły zniknięcia tej biednej kobiety, które posłużą za wskazówkę, a za twoim powrotem, może będę miał lepszą dla ciebie nowinę. Zaufaj mi.

D'Artagnan wiedział, że pan de Tréville, choć był Gaskończykiem, nie czynił próżnych obietnic, a zawsze więcej robił, aniżeli przyrzekał.

Pełen więc wdzięczności za przeszłą i przyszłą opiekę, pożegnał go d'Artagnan, a zacny dowódca, który czuł żywą sympatję dla odważnego i śmiałego młodzieńca, serdecznie uścisnął mu rękę, życząc szczęśliwej podróży.

Gotów wprowadzić w czyn rady pana de Tréville, poszedł od razu do swego mieszkania, aby spakować tłomoczek podróżny.

W pobliżu domu spostrzegł pana Bonacieux, stojącego w ubraniu rannem na progu swego domostwa.

Przyszło mu na myśl wszystko, co przezorny Planchet mówił mu o złowrogich minach gospodarza i począł mu się przypatrywać z większą, niż dotąd uwagą.

W istocie, pominąwszy bladość żółtawą i chorobliwą, dowodzącą ulania żółci, co mogło być wreszcie przypadkowe, d'Artagnan dostrzegł coś ponuro-przewrotnego w zmarszczkach jego oblicza.

Oszust nie tak się śmieje, jak człowiek uczciwy, innemi łzami płacze obłudnik, a innemi człowiek dobrej wiary. Każdy fałsz jest maską i, choćby najartystyczniej była zrobiona, zawsze można ją odróżnić od szczerej twarzy.

D'Artagnanowi zdało się więc, że pan Bonacieux nosi maskę i to jedną z najwstrętniejszych pod słońcem.

Wskutek tych spostrzeżeń, przejęty odrazą dla tego człowieka, chciał przejść, nawet nie odezwawszy się do niego, gdy Bonacieux tak samo, jak dnia poprzedniego, zaczepił go pierwszy.

— Cóż to! młodzieńcze — przemówił doń — widocznie hulamy sobie po nocy? siódma godzina rano!... a pan, widzę, zmieniasz porządek rzeczy, powracasz wtedy, gdy inni wychodzą.

— Pan na taką nie zasługujesz wymówkę, mości Bonacieux — odrzekł d'Artagnan — jesteś wzorem porządnych ludzi. Co prawda, gdy się ma ładną żonkę, nie potrzeba uganiać się za szczęściem: ono samo przychodzi; wszak prawda, panie Bonacieux?...

Ten zbladł jak śmierć i wykrzywił usta uśmiechem.

— O! o!... — odezwał się Bonacieux — dowcipniś z pana. Lecz gdzież to u djabła włóczyłeś się tak po nocy, mój młody panie?... widocznie manowce niezbyt wygodne były.

D'Artagnan spojrzał na swoje buty zabłocone strasznie; lecz jednocześnie wzrok przeniósł na trzewiki i pończochy kramarza. Rzecby można, że je ktoś w tej samej kałuży unurzał; jedne i drugie nosiły na sobie ten sam kolor błota.

Nagła myśl strzeliła do głowy d'Artagnana.

Ów mały, gruby, krótki siwiejący człowiek, tak jakby lokaj, ciemno ubrany, lekceważony przez ludzi, noszących szpady, to musiał być Bonacieux we własnej osobie. Mąż przewodniczył przy porwaniu małżonki.

Szalona ochota wzięła d'Artagnana porwać kramarza za gardło i zdusić go na miejscu, lecz, mówiliśmy już, był on chłopcem nader roztropnym, więc się powstrzymał.

Jednakże twarz tak mu się dziwnie zmieniła, że Bonacieux przeraził się wielce i chciał się chyłkiem od niego wymknąć; ponieważ wszakże stał wprost połowy drzwi, która była zamknięta, rad nie rad musiał pozostać na miejscu.

— A!... mój łaskawco, żarty ze mnie stroisz — rzekł d'Artagnan — ale zdaje mi się, że jeżeli moje buty potrzebują gąbki, tem bardziej twoje trzewiki i pończochy aż proszą o oczyszczenie. Miałżebyś i pan także, mości Bonacieux, szastać się po nocy?... Do licha!... byłoby to nie do darowania człowiekowi w twym wieku, tem bardziej tobie, co masz ładną i młodą żonkę.

— O!... uchowaj mnie Boże — odparł Bonacieux — ale wczoraj byłem aż w Saint-Mandé, aby się wywiedzieć o służącą, bez której obejść się nie mogę, a ponieważ złą miałem drogę, zabłociłem się tak okropnie i jeszcze nie miałem czasu oczyścić ubrania.

Wspomniane przez Bonacieux miejsce wycieczki stało się nowym dowodem, popierającym podejrzenia d'Artagnana.

Powiedział, że był w Saint-Mandé, dlatego tylko, że znajdowało się ono w stronie wprost przeciwnej, niż Saint-Cloud.

Przypuszczenie to pierwszą było pociechą w tym razie. Jeżeli Bonacieux wiedział, gdzie jest jego żona, można było, używszy środków nadzwyczajnych, zmusić kramarza do rozwiązania języka, można było wyrwać z niego tajemnicę. Należało tylko przypuszczenie to w pewność zamienić.

— Wybacz mi, drogi panie Bonacieux, że pozwalam sobie być z tobą bez ceremonji, lecz nic tak pragnienia nie pobudza, jak bezsenność, szalenie mi się pić chce; pozwól mi napić się u siebie wody, wszak to sąsiadowi uchodzi.

I, nie czekając przyzwolenia, wpadł do pokoju gospodarza i spojrzał nieznacznie na łóżko.

Stało nietknięte. Bonacieux nie kładł się tej nocy.

Niedawno więc wrócił do domu; towarzyszył zatem żonie do miejsca, dokąd ją zawieźć miano lub przynajmniej do pierwszej stacji.

— Dzięki, mości Bonacieux — rzekł d'Artagnan, wychylając szklankę wody — to wszystko, czegom żądał od ciebie. Teraz idę do siebie, każę Planchetowi oczyścić buty, a gdy się z niemi załatwi, przyślę go tutaj, jeżeli zechcesz, aby wyszczotkował i twoje trzewiki.

I zostawił kramarza, osłupiałego tem pożegnaniem, i zadającego sobie pytanie, czy wypadkiem nie pokpił sam własnej sprawy.

Na schodach d'Artagnan spotkał Plancheta bardzo pomieszanego.

— O! panie!... — zawołał, ujrzawszy d'Artagnana. — Nie mogłem doczekać się pana, znów coś nowego mamy!...

— Cóż tam znowu?... — pytał d'Artagnan.

— O założyłbym się o sto tysięcy, że pan nie zgadnie, jaką miałem wizytę w nieobecności jego.

— Kiedyż to było?

— Pół godziny temu, kiedy pan był u pana de Tréville.

— I któż to był taki?... mówże!...

— Pan de Carois.

— Pan de Carois?...

— We własnej osobie.

— Dowódca gwardji jego eminencji?

— On sam.

— Przyszedł mnie aresztować?

— Ja tak samo przypuszczam, proszę pana, pomimo że miał układną minę.

— Mówisz, że miał taką minę?

— Słodki był, jak miód.

— Doprawdy?...

— Powiedział, że przychodzi od jego eminencji, który bardzo panu sprzyja, i chce zabrać pana z sobą do Palais-Royal.

— A cóżeś mu odpowiedział?...

— Że to niepodobna, bo pana nie ma w domu, jak sam to mógł widzieć.

— Cóż on na to?

— Mówił, żeby pan nie omieszkał dziś jeszcze zajść do niego; a potem dodał cichutko:

„Powiedz twemu panu, że jego eminencja dobrze jest usposobiony dla niego i że prawdopodobnie los jego zależy od widzenia się z kardynałem”.

— Jak na kardynała, to niezbyt zręczne sidła... — odrzekł młodzieniec z uśmiechem.

— Ja też, widząc w tem zasadzkę, odpowiedziałem, że pan będzie niepocieszony za swoim powrotem.

— Dokądże pojechał? — zapytał pan de Carois.

— Do Troyes w Szampanji — odrzekłem.

— Kiedy wyjechał?

— Wczoraj wieczorem.

— Planchetku mój miły — przerwał mu d'Artagnan — prawdziwie nieoceniony z ciebie człowiek.

— Pojmuje pan — pomyślałem sobie — że, w razie, gdyby pan chciał widzieć się z panem de Carois, mam zawsze czas słowa swoje odwołać i powiedzieć, że pan nie wyjeżdżał; w takim razie kłamcą byłbym ja, a ponieważ nie jestem szlachcicem, wolno mi zatem kłamać.

— Uspokój się, nie stracisz opinji człowieka prawdomównego: za kwadrans wyjeżdżamy.

— I ja to chciałem panu poradzić; a dokąd jedziemy, jeżeli wolno zapytać?

— W stronę przeciwną tej, którą wymieniłeś. Czy ci zresztą nie pilno dowiedzieć się czegoś o Girmaudzie, Mousquetonie i Bazinie, tak jak mnie o Athosie, Porthosie i Aramisie?

— Zapewne, proszę pana, i pojadę, dokąd mi rozkażesz; powietrze na prowincji, jak mi się zdaje, będzie dla nas zdrowsze, niż powietrze paryskie.

— Więc spakuj rzeczy i jedźmy; ja wyruszam naprzód z rękami w kieszeniach, żeby nie domyślano się niczego. Ty podążysz za mną do koszar gwardyjskich. Ale, Planchecie, miałeś rację co do naszego gospodarza, to straszny szubrawiec.

— O! panie, skoro ja mówię, to niech mi pan wierzy; ja się znam na ludziach!... ho! ho!

Zgodnie z projektem, d'Artagnan wyruszył pierwszy i, aby nie mieć na sobie nic do wyrzucenia, po raz ostatni jeszcze zaszedł do mieszkania trzech swoich przyjaciół.

Żadnej nie było wiadomości; jedynie dla Aramisa zastał list, przesycony wonnościami, a pisany drobniutkim i wytwornym charakterem. Zabrał go z sobą.

W dziesięć minut zjawił się Planchet w stajniach koszar gwardyjskich. Aby nie tracić czasu, d'Artagnan sam już konia swego osiodłał.

— Tak, dobrze — odezwał się do Plancheta, gdy przytroczył mu tłomoczek do siodła. — Teraz siodłaj tamte trzy konie i ruszajmy w drogę.

— Czy dlatego, panie, abyśmy prędzej jechali, chcesz, by każdy z nas miał dwa konie? — zauważył Planchet z przebiegłą miną.

— Niepotrzebne żarty, Planchetku — odrzekł d'Artagnan — przy pomocy tych czterech koni będziemy mogli przywieźć trzech przyjaciół naszych, jeżeli ich odnajdziemy jeszcze żywych.

— Doprawdy, szczególniejsze byłoby to szczęście — odpowiedział Planchet — a zresztą nie trzeba nigdy tracić nadziei w miłosierdzie boskie.

— Amen!... — zakończył d'Artagnan, dosiadając konia.

I wyjechali z koszar gwardyjskich, każdy w inną stronę, jeden z nich bowiem przez rogatki de La Villette, a drugi przez Montmartre, zjechać się zaś mieli po za Saint-Denis.

Wybieg ten strategiczny, wykonany z wszelką ścisłością, uwieńczony został pożądanym skutkiem. Obydwaj wjechali razem do Pierrefitte.

Przyznać trzeba, że Planchet o wiele odważniejszy był we dnie, niż w nocy. Pomimo to wrodzona przezorność nie opuszczała go na chwilę; nie zapomniał najmniejszej okoliczności ubocznej z poprzedniej podróży i kogo tylko spotkał, uważał za wroga.

Z tego wynikło, że nieustannie chwytał za kapelusz, czem ściągał na siebie surową naganę ze strony d'Artagnana, który się lękał, aby dzięki tej grzeczności zbytecznej nie wzięto go za chudopacholskiego sługę.

Czy przejezdnych wzruszała owa uprzejmość Plancheta, czy też nie było czatów, rozstawionych na ich drodze, dość, że podróżni nasi dostali się bez najmniejszego wypadku do Chantilly i zatrzymali się w hotelu Grand-Saint-Martin, tam, gdzie stali za pierwszej podróży.

Oberżysta, zoczywszy młodzieńca z pachołkiem, prowadzącym dwa luźne konie, wyszedł pełen szacunku na spotkanie.

D'Artagnan, upaliwszy kilkanaście mil odrazu, uznał za stosowne wypocząć i dowiedzieć się, czy znajdzie tu jeszcze Porthosa.

Zresztą niezbyt roztropnie byłoby pytać od razu, co się stało z muszkieterem. Po namyśle, d'Artagnan, o nic nie pytając, zsiadł z konia i polecił go swemu służącemu; wszedł do niewielkiego pokoju, przeznaczonego dla tych, co sami być chcieli, i zażądał butelki najlepszego wina oraz śniadania, jak można najwykwintniejszego, co spotęgowało jeszcze bardziej dobre pojęcie gospodarza o podróżnym, powzięte z pierwszego wejrzenia.

Obsłużono go z cudowną szybkością.

Do pułku gwardji zaciągano najpierwszą szlachtę z królestwa, d'Artagnan więc, mający przy sobie służącego i cztery przepyszne konie, nie mógł, pomimo skromnego munduru, nie wywrzeć wrażenia.

Oberżysta sam pragnął mu usłużyć, co widząc, d'Artagnan rozkazał podać dwa kieliszki i rozpoczął następującą rozmowę:

— Na honor, drogi mój gospodarzu — rzekł, napełniając kieliszki — zażądałem najlepszego, jakie masz, wina, a jeżeli mnie oszukałeś, sam będziesz ukarany tem, czem zgrzeszyłeś, bo nie cierpię pić sam i musisz mi dotrzymać kompanji. Pijmy zatem! No, dalej! za czyje zdrowie pić będziemy, aby nie zranić niczyjej miłości własnej? Niechaj będzie za pomyślność twojego zakładu.

— Wasza dostojność zaszczyt mi czyni — odrzekł oberżysta — serdecznie dziękuję za dobre życzenia pańskie.

— Lecz nie chcę w błąd cię wprowadzać i z góry wyznaję, iż więcej w tem jest egoizmu, niż przypuszczasz: jedynie te zakłady mają powodzenie, w których goście są dobrze przyjmowani, w hotelach, gdzie wszystko bezładnie idzie, podróżny pada ofiarą wad i niedostatków gospodarza. Ja, co dużo podróżuję, szczególnie tą drogą, chciałbym, ażeby wszyscy oberżyści robili majątki.

— Istotnie, zdaje mi się, że nie po raz pierwszy mam szczęście pana oglądać.

— Ba! przejeżdżałem tędy do Chantilly conajmniej dziesięć razy, a trzy lub cztery zatrzymałem się u pana. Zaraz... byłem tu dziesięć czy dwanaście dni temu, odprowadzałem przyjaciół muszkieterów, a właśnie jeden z nich pokłócił się z jakimś nieznajomym człowiekiem, który, nie wiadomo dlaczego, szukał zaczepki.

— A tak! prawda, przypominam sobie. Czy nie o panu Porthosie wasza dostojność chce mówić?

— Tak właśnie nazywa się mój towarzysz podróży. Boże! drogi gospodarzu, powiedz mi, miałożby spotkać go jakie nieszczęście?

— Wasza dostojność pamięta zapewne, że nie mógł się puścić w dalszą drogę.

— Rzeczywiście, przyrzekł podążyć za nami i nie widzieliśmy go więcej.

— Zaszczycił nas, pozostając tutaj.

— Jak to? zrobił wam ten zaszczyt?

— Tak, panie, w tym oto zajeździe; i nawet jesteśmy mocno zaniepokojeni pod pewnemi względami.

— Pod jakiemi?

— Pod względem porobionych kosztów.

— Cóż znowu! on je wszystkie zapłaci...

— A! panie, balsam pociechy wlewasz mi w serce! Dużo już dotąd daliśmy naprzód, a jeszcze dzisiaj felczer nam oznajmił, że ponieważ pan Porthos nie płaci, na nas będzie poszukiwał należności, bo to ja po niego posyłałem.

— Czyż Porthos raniony?

— Nie wiem, jak mam powiedzieć.

— Jak to, nie wiesz pan?... powinieneś lepiej wiedzieć o tem, niż ktokolwiek.

— Zapewne, lecz w naszym stanie nie można wszystkiego, o czem się wie, rozpowiadać, nade wszystko, gdy nam zastrzeżono, iż uszy nasze odpowiadać będą za język.

— A czy ja mogę widzieć się z Porthosem?

— I owszem, wejdź pan na piętro, zapukaj do numeru I-go. Proszę tylko oznajmić, że to pan.

— Dlaczego?

— Bo mogłoby pana nieszczęście spotkać.

— Jakie?

— Pan Porthos mógłby przypuszczać, że to ktoś z domowników i w przystępie złości, przeszyłby pana szpadą lub w łeb palnął, broń Boże!

— Cóżeście mu zawinili?

— Żądaliśmy zapłaty.

— A! do licha, rozumiem; żądanie podobne on bardzo źle widzi, gdy nie jest przy pieniądzach; lecz o ile wiem, powinien je mieć.

— Takie i nasze było zdanie; a ponieważ w domu naszym panuje porządek i rachunki zamykamy co tydzień, przedstawiliśmy mu spis wydatków, lecz na złą chwilę trafiliśmy widocznie, gdyż za pierwszem słowem odesłał nas do wszystkich djabłów; co prawda, grał dnia poprzedniego.

— Jak to, z kim?

— A! mój Boże, albo ja wiem?... z jakimś panem przejezdnym, któremu zaproponował partję lancknechta.

— A! biedak, musiał wszystko przegrać.

— Wszystko, i konia nawet, bo gdy tamten miał się już ku odjazdowi, przekonaliśmy się, że lokaj jego siodłał konia pana Porthosa. Zrobiliśmy mu wtedy uwagę, lecz nam odpowiedział, że się mieszamy nie do swoich rzeczy, że nam nic do tego, ponieważ ten koń jest jego własnością. Daliśmy znać natychmiast panu Portbosowi o tem, co się dzieje, a on kazał nam odpowiedzieć, że trzeba być błaznami, aby wątpić w słowo

szlacheckie, i że skoro tamten szlachcic mówi, że koń do niego należy, tak musi być i basta.

— Zawsze ten sam — mruknął d'Artagnan.

— Wtedy — mówił dalej gospodarz — kazałem mu powiedzieć, że skoro porozumieć się nie możemy co do zapłaty, nie tracę nadziei, że zechce przynajmniej wyświadczyć łaskę mojemu koledze z pod „Złotego orła" i jemu także da co zarobić. Ale pan Porthos odpowiedział mi, że moja oberża jest najlepsza i życzy sobie w niej pozostać. Odpowiedź ta była zbyt dla mnie pochlebna, więc nie mogłem nalegać, ażeby się wyniósł; poprzestałem tylko na prośbie, aby ustąpił mi swego pokoju, który jest najładniejszy ze wszystkich, a zadowolił się milutkim gabinecikiem na trzeciem piętrze. Na to pan Porthos odpowiedział mi, że oczekuje lada chwila przybycia swojej kochanki, jednej z najznakomitszych dam dworu, powinienem więc zrozumieć, że pokój, zaszczycony jego pobytem, aż nadto mierny jest dla takiej osoby. Pomimo całkowitego uznania dla prawdziwości słów jego, czułem się w obowiązku obstawać przy swojem. Ale nie mogło być o tem ani mowy. Położył pistolet przy łóżku, oświadczając, iż za pierwszem słowem o jakichkolwiek przenosinach, palnie w łeb temu, kto poważy się wtrącać. I odtąd już nikt nie postał u niego, prócz jego pachołka.

— Jest tu więc i Mousqueton?

— Jest, panie.... w pięć dni po wyjeździe powrócił, mocno skwaszony, widocznie i on miał w podróży nieprzyjemności. Na nieszczęście, żwawszy jest od swego pana i dla niego to wszystko do góry nogami przewraca, a przypuszczając, że gdyby prosił, mógłby doznać odmowy, więc bez proszenia bierze, co mu się podoba.

— Tak, zawsze ja widziałem w Mousquetonie wierność i przebiegłość niepospolitą — odpowiedział d'Artagnan.

— Być może, ale jeżeli z taką wiernością i przebiegłością będę miał cztery razy do roku do czynienia, sam pójdę z torbami.

— Bynajmniej, przecie Porthos zapłaci.

— Hm!... — mruknął z powątpiewaniem oberżysta.

— Jest on ulubieńcem wielkiej pani, która nie pozostawi go w kłopocie o taką drobnostkę, jaką jest panu dłużny.

— Gdybym śmiał powiedzieć, co myślę o tem wszystkiem...

— Jak to, co myślisz?

— Co wiem, raczej.

— A cóż pan wiesz?

— I czego jestem nawet pewny.

— Czego?... doprawdy ciekawym.

— Powiedziałbym, że znam tę wielką panią.

— Pan?

— Tak, ja.

— Skądże ją poznałeś?

— O!... panie, gdybym mógł zaufać pańskiej dyskrecji.

— Mów pan, o słowem szlacheckiem ci ręczę, że nie będziesz żałował zaufania.

— Pojmuje pan, że niepokój do wielu rzeczy popycha.

— Jakżeś pan postąpił?

— O!... najpierw nic takiego nie zrobiłem, do czego nie miałby prawa wierzyciel.

— Więc?

— Pan Porthos dał nam list do owej księżnej i kazał wrzucić go do skrzynki pocztowej. Pachołka jego jeszcze nie było. Ponieważ nie wychodził z pokoju, zmuszony był obarczać nas swojemi zleceniami.

— Cóż dalej?

— Zamiast wrzucić ów list do skrzynki, co niezbyt pewne bywa, skorzystałem z tego, że jeden z moich posługaczy jechał do Paryża i rozkazałem wręczyć bilecik samej księżnej. Było to spełnieniem życzeń pana Porthosa, który nam list ten tak polecał; nieprawdaż?

— Niby...

— I czy wie pan, kto jest owa wielka dama?

— Nie, słyszałem o niej tylko od Porthosa.

— Wie pan, kto jest ta niby księżna?

— Mówiłem przecie, że nie znam jej wcale.

— To stara prokuratorowa, niejaka pani Coquenard, mająca lat pięćdziesiąt conajmniej, a udaje jeszcze zazdrosną. Ja od razu się dziwiłem, że jakaś księżniczka mieszka przy ulicy Niedźwiedziej.

— Skądże pan wiesz?

— Bo, gdy odebrała list, wpadła w gniew okrutny, wykrzykując, że pan Porthos jest wietrznikiem i że pewnie o jaką kobietę bił się i został raniony.

— Więc on raniony?

— A! Boże!... tom się wygadał!...

— Powiedziałeś pan, że Porthos jest ranny?

— Tak, ale mówić o tem srodze mi zabronił!...

— Czemuż to?

— Ha!... bo się przechwalał, że nadzieje na rożen tego jegomościa, z którym go pan w kłótni zostawił, a pomimo całej jego junakierji, jegomość ów od razu go z nóg zwalił. Pan Porthos więc, człowiek pełen pychy, tylko swoją księżnę chciał rozczulić opowieścią o przygodzie, ale przed nikim nie chce się przyznać, że został pokłuty rapierem.

— Więc to rany przykuły go do łóżka?

— Mistrzowskie pchnięcie, zaręczam panu. Rogatą duszę ma pański przyjaciel.

— Byłeś pan przy tem obecny?

— O!... wszystko to trwało zaledwie chwilę, może mi pan wierzyć. Stanęli naprzeciw siebie. Nieznajomy szybko się zwinął i natarł tak niespodzianie, że zanim pan Porthos odbić zdołał, żelazo przeciwnika utkwiło mu w piersi na trzy cale. Upadł na wznak. Korzystając z tego, nieznajomy oparł mu na gardle koniec rapiera; pan Porthos, widząc się na łasce przeciwnika, uznał się za pokonanego. Wtedy nieznajomy spytał go o nazwisko, a dowiedziawszy się, że ma z Porthosem, a nie z d'Artagnanem do czynienia, pomógł mu dźwignąć się, odprowadził do oberży, sam wsiadł na konia i odjechał.

— To on miał do d'Artagnana urazę?

— Widocznie.

— A czy wiesz, co się z nim stało?

— Nie... widziałem go po raz pierwszy i odtąd nie pokazał się więcej.

— Wybornie... wiem już, co wiedzieć chciałem. Mówiłeś pan, że pokój Porthosa znajduje się na pierwszem piętrze, numer I?

— Tak, panie, najpiękniejszy w całej oberży; pokój, który miałbym sposobność dziesięć razy wynająć.

— Ba!... nie kłopocz się pan — odezwał się z uśmiechem d'Artagnan — Porthos się uiści pieniędzmi księżnej Coquenard.

— O!... panie, prokuratorowa, czy księżna, byle tylko rozluźniła supły swego worka, wszystko to dla mnie jedno; ale ona dala tu odpowiedź stanowczą, że dosyć już ma tych wymagań i wiarołomstwa pana Porthosa i że mu złamanego szeląga nie przyśle.

— A czy powtórzyłeś tę odpowiedź swemu gościowi?

— Boże uchowaj!... byłby się dowiedział w jaki sposób wywiązaliśmy się z jego zlecenia.

— Więc on ciągle jeszcze czeka na pieniądze?

— Tak!... Wczoraj jeszcze pisał, ale tym razem służący oddał list na pocztę.

— Powiadasz pan, że prokuratorowa brzydka jest i stara?

— Conajmniej pięćdziesięcioletnia i wcale nie piękna, jak mówił mi Pathaud.

— W takim razie możesz być spokojny, da się ona zmiękczyć; a zresztą, nie wielkie rzeczy musi ci być Porthos dłużny.

— Jak to nie wielkie! Dwadzieścia pistolów, jak dotąd, nie licząc doktora. Niczego on sobie nie żałuje, widać przyzwyczajony do wygód.

— To chociaż go ona opuści, znajdą się jeszcze przyjaciele, zaręczam. Pozbądź się wszelkich obaw, gospodarzu drogi i nie ustawaj w pieczołowitości, jakiej stan jego wymaga.

— Obiecał mi pan pary z ust nie wypuścić o prokuratorowej i o ranie.

— Masz na to moje słowo.

— Bo widzi pan, on gotówby mnie zabić!

— Nie lękaj się; nie taki on straszny, jak się wydaje.

To powiedziawszy, poszedł d'Artagnan na górę, pozostawiając gospodarza, uspokojonego pod dwoma względami, o które najmocniej mu chodziło: o dług i swoje życie.

Zapukał do drzwi, najpokaźniej się przedstawiających, a oznaczonych wielkim czarnym numerem.

Gdy odpowiedziano, wszedł.

Porthos, leżąc na łóżku, grał z Mousquetonem w lancknechta, aby nie wychodzić z wprawy, a przed ogniem obracał się rożen, obładowany kuropatwami, po dwóch zaś rogach wielkiego komina, na rozżarzonych węglach wrzały dwa tygle, z których wydobywała się łechcąca powonienie para potrawy z ryb i królika.

Prócz tego stół do pisania i komoda zastawione były wypróżnionemi butelkami.

Na widok przyjaciela, Porthos krzyknął radośnie, a Mousqueton, powstawszy z uszanowaniem, ustąpił miejsca i poszedł zajrzeć do tygli, nad któremi zdawał się mieć osobliwszy nadzór.

— A! na Boga! to ty?... — zawołał Porthos do d'Artagnana — witaj mi i wybacz, że nie wstaję na twoje spotkanie. Ale nie wiem, czy wiesz, co mi się przytrafiło? — dodał niespokojnie, patrząc na d'Artagnana.

— Nie wiem.

— Nie mówił ci gospodarz?

— Zapytałem go o ciebie i prosto przychodzę.

Porthos odetchnął swobodniej.

— A cóż ci się przytrafiło, drogi Porthosie? — kończył d'Artagnan.

— Nacierałem na przeciwnika, któremu już trzy pchnięcia rapierem zadałem i chciałem czwartem z nim skończyć, gdy w tem nastąpiłem na kamień i zwichnąłem nogę w kolanie.

— Doprawdy?

— Słowo honoru! Szczęście tego łajdaka, by byłbym go ubił na miejscu.

— I cóż się z nim stało?

— Alboż ja wiem?... miał już dosyć, nie czekając reszty odjechał... Lecz z tobą, co się stało, drogi d'Artagnanie?

— Zatem zwichnięcie nogi zatrzymuje cię w łóżku, drogi Porthesie?... — ciągnął dalej d'Artagnan.

— A! Boże mój, nie wielkie to rzeczy; za kilka dni już wstanę.

— Czemuż nie kazałeś przenieść się do Paryża? Tutaj okrutnie ci nudno być musi.

— Miałem ten zamiar, lecz muszę ci coś wyznać, drogi kolego.

— Co takiego?

— Widzisz, jak ci mówiłem, nudziłem się straszliwie, a w kieszeni miałem owe siedemdziesiąt pięć pistolów, przypadłe mi z podziału, dla rozrywki więc kazałem poprosić do siebie przejezdnego szlachcica i zaproponowałem mu partyjkę gry w kości. Nie wzdragał się, a siedemdziesiąt pięć pistolów powędrowało z mojej do jego kieszeni, nie licząc konia, którego zabrał na przykładkę. Lecz co z tobą się dzieje, drogi mój d'Artagnanie.

— Cóż chcesz, kochany Porthosie, niepodobna mieć wszystkiego, znasz przecie przysłowie: „Nieszczęśliwy w grze, szczęśliwy w miłości". Zbyt jesteś kochany, aby fortuna nie mściła się za to; ale co cię niełaska jej obchodzi, czyż nie masz szczęśliwy człowieku swojej księżniczki, która niechybnie pośpieszy ci z pomocą?

— Widzisz, mój drogi, ponieważ gram nieszczęśliwie — mówił Porthos z miną najswobodniejszą — pisałem do niej, aby mi przysłała kilkadziesiąt ludwików, których mi bardzo potrzeba ze względu na położenie, w jakiem się znajduję...

— I cóż?

— Musiała do dóbr swoich wyjechać, bo mi nie odpowiada.

— Doprawdy?

— Ani słówka. Wczoraj wyprawiłem drugą odezwę, gorętszą jeszcze od poprzedniej. Lecz, skoro cię widzę, najdroższy, pomówmy o tobie. Przyznaję, iż zaczynałem niepokoić się o ciebie.

— Ale twój gospodarz dobrze się z tobą obchodzi widocznie — mówił d'Artagnan, wskazując pełne rondle i próżne butelki.

— Ujdzie od biedy! ujdzie!... — odparł Porthos. — Kilka dni temu przyniósł mi gbur rachunek, ale go razem z nim za drzwi wyrzuciłem, w ten sposób jestem tu, jakby na prawach zwycięzcy, albo zdobywcy. Widzisz też, że bojąc się zostać wyparty ze stanowiska, trzymam się ciągle pod bronią.

— Jednakże — śmiejąc się, zauważył d'Artagnan — zdaje mi się, że od czasu do czasu robisz wycieczki.

I wskazał palcem na rondle i butelki.

— Niestety! to nie ja!... Nędzne zwichnięcie trzyma mnie w łóżku; Mousqueton się tylko wymyka i znosi żywność. Mousquetonie, mój miły — mówił Porthos, zwracając się do pachołka — widzisz przecie, że przybyły nam posiłki, trzeba przysporzyć prowiantów.

— Mousquetonie — odezwał się d'Artagnan — musisz mi wyświadczyć przysługę.

— Jaką, proszę pana?

— Udziel Planchetowi swoich wiadomości i przepisów, bo mogę i ja kiedyś znaleźć się oblężonym, a nie gniewałbym się wcale, gdybym wtedy używał wygód, jakiemi pana swojego otaczasz.

— O! Boże, nic łatwiejszego, proszę pana. Potrzeba do tego tylko trochę sprytu i wprawy. Wychowałem się na wsi, a ojciec mój, w chwilach wolnych od zajęć, polował na cudzych gruntach.

— A z resztą czasu co robił?

— Panie, trudnił się rzemiosłem bardzo przyjemnem, według mego zdania.

— Jakiem?

— Ponieważ były to czasy wojen katolików z hugonotami i widział, że jedni tępią drugich, a czynią to w imię religji, wytworzył sobie wiarę pośrednią, która mu dozwalała być raz katolikiem, to znowu hugonotem. Przechadzał się zwykle ze strzelbą na ramieniu za płotami przy drogach, a gdy zobaczył katolika, nadchodzącego pojedynczo, wtedy religja protestancka brała górę w jego umyśle. Kierował lufę w stronę wędrowca, a gdy przypuścił go na dziesięć kroków, rozpoczynał przemowę, kończącą się zazwyczaj zrzeczeniem się trzosa ze strony przechodnia, pragnącego zachować życie. Rozumie się, że gdy hugonota znowu spotkał, taka wysoka gorliwość katolicka go przejmowała, że pojąć nie mógł, jak przed kwadransem, odważył się wątpić o wyższości świętej wiary

naszej. Ja, panie, jestem katolikiem, ale ojciec mój, wierny zasadom swoim, starszego brata zrobił hugonotem.

— Jakże skończył ten człowiek, pełen zacności? — zapytał d'Artagnan.

— O!... najnieszczęśliwiej, jak tylko być może, proszę pana. Pewnego razu na drodze zaklęsłej wpadł między hugonota i katolika, z którymi miał już raz do czynienia; spiknęli się na biedaka i powiesili go na przydrożnem drzewie, poczem jeszcze przyszli do karczmy, w której piliśmy z bratem i przechwalali się tem, co zrobili.

— A cóż wy na to? — zagadnął d'Artagnan.

— Pozwoliliśmy się im wygadać — odparł Mousqueton. — Potem, gdy wyszli z karczmy i każdy z nich udał się w swoją stronę, brat mój zaczaił się w drodze na katolika, a ja na protestanta i załatwiliśmy się z nimi, przejęci uwielbieniem dla przenikliwości biednego ojca naszego, który był tyle przezorny, że wychował nas, każdego w innej religji.

— O!... z tego, co mówisz Mosquetonie, widzę rzeczywiście, że to był nielada dziarski człowiek. Zatem, jak powiadasz, poczciwiec ten zajmował się w chwilach wolnych polowaniem na cudzych gruntach?

— Tak, panie... on mnie nauczył robić sieci na zające i króliki, i wędki zastawiać. Dlatego też, widząc, że ten kapcan oberżysta pasie nas prostem mięsiskiem, jak jakie włóczęgi, co mogłoby zaszkodzić i tak osłabionym żołądkom naszym, spróbowałem dawnego rzemiosła. Spaceruję od niechcenia po lasach książęcych, zastawiam na przesmykach siatki; czasami spoczywam nad stawami jego książęcej mości i, leżąc spokojnie, zapuszczam wędkę na ryby. Teraz, dziękować Bogu, nie brak nam, jak pan widzi, kuropatw i królików, karpi i węgorzy, co wszystko jest posiłkiem strawnym i zdrowym, jak chorym przystoi.

— Lecz kto wam dostarcza wina, czyżby gospodarz?

— Niby on i nie on.

— Nie rozumiem.

— On go co prawda dostarcza, jednakże nie wie o tym spotykającym go zaszczycie.

— Wytłumacz się jaśniej, Mousquetonie, opowiadanie twoje jest pełne rzeczy pouczających.

— Otóż tak, proszę pana. Przypadek zrządził, że w jednej z moich wędrówek spotkałem pewnego Hiszpana, który dużo zwiedził świata, a między innemi i drugą półkulę.

— Jaki może być związek antypodów z butelkami, stojącemi na stole i komodzie?

— Cierpliwości, panie, na każdą rzecz przyjdzie kolej.

— Słusznie: polegam więc na tobie, Mousquetonie, i słucham.

— Ów Hiszpan miał służącego, który towarzyszył mu w podróży do Meksyku. Służący był moim ziomkiem, przystaliśmy więc od razu do siebie, zwłaszcza, że usposobienia nasze zgadzały się najzupełniej. Nade wszystko lubiliśmy polować, on mi więc opowiadał, jak to w pampasach krajowcy polują na tygrysy i bawoły z pętlicami poprostu, które zarzucają na karki tych zwierząt. Nie mogłem z razu uwierzyć, jak można dojść do takiej wprawy, aby z odległości dwudziestu lub trzydziestu kroków, trafić końcem liny tam, gdzie się chce, lecz wobec dowodów, trzeba było dać się przekonać prawdziwości opowiadania. Przyjaciel mój stawiał z dala od siebie butelkę i za każdym zamachem chwytał ją pętlicą za szyjkę. Oddałem się więc i ja tym ćwiczeniom, a ponieważ natura nie poskąpiła mi pewnych zdolności, zarzucam dziś lasso tak dobrze, jak gdybym był człowiekiem z nowego świata. Otóż pojmuje pan?... Gospodarz nasz posiada piwnicę dobrze zaopatrzoną, a klucz od niej trzyma przy sobie, ale z tej piwnicy wychodzi okienko. Tamtędy więc zarzucam sznur, a ponieważ doszedłem, gdzie najlepszy jest kącik, z niego więc wyciągam. Pojmuje pan teraz, jaki związek mają butelki, tu rozstawione, z antypodami. Zechciej pan teraz spróbować naszego wina i powiedz nam bez uprzedzenia, co o niem myślisz?...

— Dziękuję ci, mój drogi, tylko co jadłem śniadanie.

— A zatem — odezwał się Porthos — podaj jedzenie na stół, Mousquetonie, a, gdy my będziemy jedli, d'Artagnan opowie, co się z nim działo w ciągu dziesięciu dni, odkąd nas opuścił.

— Najchętniej — rzekł d'Artagnan, a gdy Porthos i Mousqueton zajadali z łapczywością rekonwalescentów i serdecznem braterstwem, jakie wytwarza wspólność nieszczęścia, opowiedział, jak raniony Aramis musiał w Crèvecoeur pozostać, jak w Amiens zostawił Athosa w opałach, z czterema ludźmi, posądzającymi go o fałszerstwo pieniędzy, i jak on, d'Artagnan, zmuszony był naszpikować szpadą hrabiego de Wardes, aby się przedostać do Anglji.

Na tem zakończył zwierzenia, dodając jedynie, że za powrotem z Wielkiej Brytanji przyprowadził cztery przepyszne konie, z których jeden był dla niego, a reszta dla jego przyjaciół, i że dla Porthosa przeznaczony stoi w stajni hotelowej.

Na to wszedł Planchet i oznajmił, że konie wypoczęły dostatecznie i mogą zajść na nocleg do Clermont.

Ponieważ d'Artagnan uspokoił się o Porthosa, a pilno mu było dowiedzieć się o innych, uścisnął choremu rękę, oznajmiając, iż puszcza się w dalszą drogę na poszukiwania. A zresztą będzie tędy powracał za jaki tydzień, jeżeli więc zastanie jeszcze Porthosa w hotelu Grand-Saint-Martin, zabierze go wtedy z sobą.

Porthos odpowiedział, że według wszelkiego prawdopodobieństwa, zwichnięcie nogi nie pozwoli mu wyruszyć w ciągu tego czasu. A przytem musi pozostać w Chantilly, aby się od księżnej swojej doczekać odpowiedzi.

D'Artagnan złożył mu życzenia, ażeby odpowiedź była pomyślną i długo nie dała na siebie czekać; i raz jeszcze poleciwszy Mousquetonowi Porthosa, zapłacił swój rachunek i wyruszył w dalszą drogę z Planchetem, który się uwolnił od jednego z prowadzonych luzem koni.

Rozdział XXVI. Rozprawy Aramisa

D'Artagnan nie wspominał Porthosowi ani o ranie jego, ani tem bardziej o prokuratorowej.

Był to bowiem młody, lecz bardzo mądry chłopiec. Udawał, że święcie wierzy we wszystko, co mu opowiadał chełpliwy muszkieter, bo rozumiał, że nie ma przyjaźni, którąby wytrzymała próbę podchwyconej tajemnicy, zwłaszcza, gdy tajemnica taka może zranić miłość własną człowieka. Zresztą, zawsze się zdobywa moralną wyższość nad tymi, których się zna na wylot. D'Artagnan, dla przyszłych celów zdecydowany zrobić z przyjaciół narzędzia swojej fortuny, nie odrzucał sposobności pochwycenia niewidzialnych nici, przy których pomocy mógłby nimi kierować.

A jednak przez całą drogę smutek głęboki ściskał mu serce: myślał nieustannie o ładnej pani Bonacieux, mającej go nagrodzić za poświęcenie; dodajmy wszelako, że smutek jego nie tyle pochodził z żalu za utratą szczęścia, ile z obawy, czy nie spotkało jej nieszczęście.

Nie wątpił ani na chwilę, iż padła ofiarą zemsty kardynała, a wiadomo, iż eminencja mścił się okrutnie.

Jak się to stało, że on sam znalazł łaskę w oczach ministra, nie miał o tem pojęcia.

Nic tak nie skrócą czasu i drogi, jak myśl, która pochłania wszelkie władze umysłowe zamyślonego.

Byt zewnętrzny człowieka podobny jest wtedy do uśpienia, w którym myśl owa staje się sennem widziadłem. Pod jej wpływem czas traci miarę, przestrzeń granice, człowiek

wyrusza wtedy z jednego miejsca, przybywa na inne i nic więcej. Z odległości przebytej nic nie pozostaje w pamięci, prócz mglistych zmąconych obrazów, drzew, gór i widoków.

D'Artagnan, opanowany taką stałą myślą, puścił wodze koniowi i tak przebył przestrzeń kilkumilową, dzielącą Crèvecoeur od Chantilly, nie zdając sobie sprawy z niczego, co spotykał po drodze.

Opamiętał się na miejscu zaledwie i otrząsnął się z zadumy, dostrzegłszy oberżę, w której zostawił Aramisa.

Zatrzymał konia przed bramą.

Tym razem nie oberżysta, lecz żona jego wyszła na spotkanie; d'Artagnan jako fizjonomista, objął od jednego spojrzenia pogodne oblicze pani domu i przeczuł, że nie będzie potrzebował nic ukrywać przed nią, iż może zaufać tej twarzy, pełnej słodyczy.

— Dobra moja pani — zagadnął — czy nie mogłabyś mi powiedzieć, co się stało z jednym z moich przyjaciół, którego zmuszeni byliśmy zostawić tutaj przed dwunastoma dniami?

— Z pięknym młodzieńcem około dwudziestu trzech lat, łagodnym, miłym, przystojnym?

— Tak, tak, a co więcej rannym w ramię.

— A! nie ruszył się stąd, proszę pana.

— A! kochana pani, na Boga! — zawołał d'Artagnan, zsiadając z konia i rzucając cugle Planchetowi — powracasz mi życie; gdzież jest drogi Aramis, niech go uściskam? pilno mi go zobaczyć.

— Wybacz pan, lecz wątpię, aby mógł przyjąć cię w tej chwili.

— Dlaczego? — miałżeby jaką damę u siebie?

— Jezu Nazareński!... co też pan mówi!... biedny chłopczyna!... żadnej damy nie ma u niego.

— Więc któż tam jest?

— Proboszcz z Montdidier i przełożony jezuitów z Amiens.

— Boże mój!... — zawołał d'Artagnan — miałożby mu się tak pogorszyć?

— Wcale nie, mój panie; ale, wskutek choroby, spłynęła nań łaska i postanowił wstąpić do stanu duchownego.

— Prawda — odparł d'Artagnan — zapomniałem, że on jest muszkieterem tylko tymczasowo.

— Czy pan chce koniecznie się z nim zobaczyć?

— Więcej, niż kiedykolwiek.

— Niechże pan wejdzie na podwórze, potem na schody na prawo, drugie piętro, Nr. 5.

D'Artagnan pobiegł co tchu we wskazanym kierunku.

Lecz nie tak łatwo było dostać się do przyszłego kapłana: podwoje Aramisa niemniej były strzeżone od ogrodów Armidy; Bazin stał w korytarzu na straży i zagrodził mu przejście z tem więcej nieustraszoną odwagą, iż po długoletnich próbach widział się nareszcie bliskim celów, do których dążył niezachwianie.

Marzeniem bowiem jego było służyć duchownemu i czekał z niecierpliwością chwili, uśmiechającej mu się w przyszłości, kiedy Aramis zrzuci mundur, a przywdzieje sutannę.

Ta obietnica, powtarzana codziennie, zatrzymała go jedynie w służbie u muszkietera, która, jak mówił, przyprawić by go mogła niechybnie o utratę zbawienia.

Bazin więc znajdował się u szczytu szczęścia. Tym razem już, według wszelkiego prawdopodobieństwa, pan jego nie cofnie się przed powołaniem.

Nagromadzone cierpienia moralne i fizyczne wywarły skutek, tak długo oczekiwany. Aramis, złamany dolegliwością ciała i ducha, szukał dla swej myśli ucieczki w religji, uważając za przestrogę niebios podwójny cios, jaki weń ugodził: zniknięcie kochanki i otrzymanie rany.

Łatwo pojąć, jak w takich warunkach nieprzyjemne być musiało dla Bazina zjawienie się d'Artagnana, mogące znów rzucić Aramisa w wir rzeczy światowych, jakim się oddawał dotychczas.

Bazin postanowił więc mężnie bronić przystępu do swego pana, a że zdradzony przez właścicielkę oberży, nie mógł mówić o nieobecności Aramisa w domu, usiłował dowieść przybyłemu, że najwyższą niedyskrecją byłoby zamącać jego panu pobożne rozprawy, trwające od rana, a mogące się skończyć zaledwie wieczorem.

D'Artagnan jednak mało sobie robił z wymowy imci pana Bazina, a nie chcąc się wdawać w sprzeczkę z pachołkiem swego kolegi, jedną ręką odsunął go na bok, a drugą nacisnął klamkę Nr. 5.

Drzwi ustąpiły i stanął w pokoju.

Aramis w czarnym surducie, z głową, przybraną w czapeczkę okrągłą i płaską, mocno przypominającą krymkę, siedział przy stole, zawalonym papierami i wielkiemi foljałami.

Po prawej ręce miał przełożonego jezuitów, po lewej proboszcza z Montidier.

Firanki u okien zapuszczone, rzucały cień tajemniczy, pobudzający do rozmyślań bogobojnych.

Wszystkie przedmioty, mogące na pierwszy rzut oka zdradzić mieszkanie młodzieńca, a nade wszystko muszkietera, znikły, jak zaczarowane.

Bazin, nie chcąc widocznie budzić w panu swym myśli światowych, schował szpadę, pistolety, kapelusz z piórami, hafty, koronki i tym podobne przybory.

Natomiast, jak się zdawało d'Artagnanowi, w kąciku najciemniejszym wisiała na ścianie dyscyplina.

Na szelest, jaki sprawiło otwarcie drzwi, Aramis podniósł głowę i poznał od razu przyjaciela.

Lecz, ku wielkiemu zdziwieniu d'Artagnana, zjawienie się jego nie wywarło na muszkieterze wielkiego wrażenia, tak dalece umysł jego oderwany był od rzeczy tego świata.

— Dzień dobry, drogi d'Artagnanie; wierzaj mi, iż cię widzę z przyjemnością.

— I ja tak samo, — odparł d'Artagnan — lecz dotąd jeszcze nie jestem pewny, czy to Aramisa mam przed oczami.

— On we własnej swojej osobie, mój kochany; i cóż ci mogło nasunąć tę wątpliwość?...

— Obawiałem się, czy nie zabłądziłem przypadkiem, wchodząc do pokoju jakiegoś duchownego; później znów, zobaczywszy cię w towarzystwie tych dwóch panów, sądziłem, że jesteś niebezpiecznie chory.

Dwaj czarno ubrani panowie, zrozumiawszy przymówkę d'Artagnana, objęli go spojrzeniem groźnem, co nie przeraziło go wcale.

— Przeszkadzam ci może, drogi Aramisie, — ciągnął dalej d'Artagnan — bo zapewne spowiadasz się przed tymi panami.

Aramis lekko się zarumienił.

— Ty miałbyś mi przeszkadzać? wcale nie, mój drogi, słowo najświętsze ci daję; a najlepszy dowód, iż czuję się szczęśliwy, widząc cię całego i zdrowego.

— Nareszcie, — pomyślał d'Artagnan — nic jeszcze nie stracone.

— Bo ten pan, który jest moim przyjacielem — kończył Aramis z namaszczeniem, wskazując księżom d'Artagnana — uniknął wielkiego niebezpieczeństwa.

— Wielbij Boga, panie — odpowiedzili tamci, równocześnie chyląc głowy.

— I ja Go wielbię, przewielebni ojcowie — odpowiedział młodzieniec, kiwając głową.

— W porę przychodzisz, drogi d'Artagnanie — odezwał się Aramis — gdyż możesz w rozprawach naszych wyjaśnić niejedną rzecz swojemi światłemi poglądami. Pan rektor z Amiens, szanowny proboszcz z Montididier i ja, rozprawialiśmy nad pewnemi kwestjami teologicznemi, których znaczenie pochłania nasze umysły od dawna; radbym też zdanie twoje usłyszeć.

— Zdanie wojskowego jest pozbawione znaczenia — odrzekł d'Artagnan, doznając niepokoju z takiego obrotu rzeczy — i wierzaj mi, że możesz polegać w zupełności na wiedzy tych panów.

Ci znowu skłonili się równocześnie.

— Przeciwnie — odparł Aramis — i twój sąd będzie dla nas cennym; rzecz się ma tak: Pan rektor jest zdania, że moja rozprawa winna być nade wszystko dogmatyczna i dydaktyczna.

— Rozprawa twoja!... ty, piszesz teraz rozprawę?...

— Tak — odpowiedział jezuita — rozprawa jest niezbędna do egzaminu, poprzedzającego wyświęcenie.

— Wyświęcenie!... — wykrzyknął d'Artagnan, który nie dawał wiary temu, co mówili Bazin i oberżystka — wyświęcenie!...

I powiódł wzrokiem osłupiałym po trzech ludziach, których miał przed sobą.

— Zatem — ciągnął Aramis, z wdziękiem rozpierając się w fotelu i przypatrując się z upodobaniem swojej rączce białej i pulchnej, jak u kobiety, — a podnosił ją do góry, aby krew z niej zbiegła — jak już słyszałeś, zatem d'Artagnanie, pan rektor chciałby, aby rozprawa moja była dogmatyczna, a ja znowu chcę, ażeby była utworem myśli mojej, to jest idealna. Dlatego wielebny przełożony zaproponował mi przedmiot, nieopracowany dotąd, w którym znajdę materiał do wspaniałej rozprawy:

„Utraque manus in benedicendo clericis inferioribus necessaria est”.

D'Artagnan, którego erudycję znamy, ani się zmarszczył na tę cytatę, równie jak onego czasu, gdy pan de Tréville wyjechał z podobną z powodu podarku, który podejrzewał, iż od Buckinghama pochodzi.

— To ma znaczyć — ciągnął Aramis, chcąc mu ułatwić zrozumienie: „Kapłanom niższym obydwie ręce są niezbędne, gdy dają błogosławieństwo”.

— Przedmiot zachwycający! — zawołał jezuita.

— Zachwycający i dogmatyczny! — powtórzył proboszcz, który prawie tak samo silny w łacinie, jak d'Artagnan, przyglądał się bacznie jezuicie, by słowo w słowo za nim powtarzać wszystko, jakby jego echo.

Pośród tych zachwytów ludzi w sutannach, d'Artagnan pozostał najzupełniej obojętny.

— Godny podziwu! prorsus admirabile! — ciągnął dadej Aramis — lecz wymaga głębokich studjów nad ojcami kościoła i Biblią. Z całą pokorą wyznałem tym uczonym eklezjastom, że noce bezsenne w kordegardzie i służba królewska zmusiły mnie poniekąd do zaniedbania nauki. Łatwiej więc poszłoby mi, facilius natans, z przedmiotem, podług własnego wyboru, z przedmiotem, który, wobec ciężkich zagadnień teologicznych, byłby tem, czem moralność jest w metafizyce i filozofji.

D'Artagnan nudził się okrutnie, jak również i proboszcz.

— Pyszne exordium! — zawołał jezuita.

— Exordium! — powtórzył, proboszcz, aby coś powiedzieć.

— Quemadmodum inter caeteris...

Aramis rzucił okiem na d'Artagnana i zobaczył go ziewającego tak, że o mało mu nie wyskoczyły szczęki ze stawów.

— Mówmy po francusku, mój ojcze — rzekł do jezuity. — Pan d'Artagnan więcej zasmakuje w naszych słowach.

— Tak, znużony jestem drogą — powiedział d'Artagnan — nie mogę więc tej łaciny pochwycić.

— Zgoda — rzekł jezuita, gdy proboszcz, w uniesieniu radości zwrócił na d'Artagnana wejrzenie, wyrażające najwyższą wdzięczność — otóż słuchajcie, jaki z tej glossy wniosek można wyciągnąć: Mojżesz, sługa Boży... on jest tylko sługą, rozumiecie panowie!... Mojżesz błogosławi obydwiema rękami; podtrzymywać sobie każe dwie ręce, gdy Hebrajczycy biją nieprzyjaciół swoich: błogosławi zatem obydwiema rękami... Zresztą, co mówi Ewangelja: Imponit manus, a nie manum. Kładzie ręce, a nie rękę.

— Kładzie ręce — powtórzył z gestem proboszcz.

— A do świętego Piotra, przeciwnie, którego papieże są następcami: Porige digitos. Wystawiajcie palce: pojąłeś pan teraz?

— Zapewne — odrzekł, rozkoszując się Aramis — lecz jest to nader subtelne.

— Palce!... — począł znowu jezuita — Święty Piotr błogosławi palcami. Ilomaż palcami błogosławi?... Trzema: jednym dla Ojca, drugim dla Syna, trzecim dla Ducha Świętego.

Przeżegnali się wszyscy; d'Artagnan czuł się obowiązanym pójść za ich przykładem.

— Papież jest następcą Piotra Świętego i przedstawia trzy boskie władze; reszta hierarchji duchownej, ordines inferiores błogosławią w imieniu świętych archaniołów i aniołów. Najniżsi klerycy, jako to: djakoni i zakrystjani, błogosławią kropidłem, które przedstawia nieskończoną ilość palcy błogosławiących. Oto uproszczenie przedmiotu, Argumentum omni denudatum ornamento. Zrobiłbym z tego — kończył jezuita — dwa tomy tej objętości.

I porwany zapałem uderzył w świętego Chryzostoma in folio, pod którego ciężarem stół się uginał.

D'Artagnan drgnął.

— Zapewne — odezwał się Aramis — oddaję sprawiedliwość wszelkim pięknościom tego tematu, lecz jednocześnie uważam go za zbyt trudny. Co do mnie, wybrałem tekst następujący: Non inutile est desiderium in oblatione, albo co lepiej będzie: Trochę żalu nie zawadzi w ofierze Panu.

— Stój, ani słowa! — zakrzyczał jezuita — bo teza ta trąci herezją; zdanie podobne znajduje się w Augustinusie heretyka Janseniusa, którego księga prędzej czy później spalona zostanie rękami kata. Miej się na baczności, młody przyjacielu; dążysz do zasad fałszywych, zgubisz się, młodzieńcze!

— Zgubisz się — powtórzył proboszcz, smutnie kiwając głową.

— Poruszasz tę sławną sprawę wolnej woli, będącą śmiertelnym szkopułem. Dajesz ucho podszeptom Pelagijczyków i pół-pelagijczyków.

— Ależ, ojcze wielebny... — bąknął Aramis, ogłuszony nieco gradem argumentów, spadających mu na głowę.

— Jakże mi dowiedziesz — przerwał jezuita — kto się Bogu oddaje, powinien żałować świata? Posłuchaj przecie tego ze wszech stron niezbitego rozumowania: Bóg jest Bogiem, a świat jest djabłem. Żałować świata, znaczy żałować djabła, taki stąd wniosek wypływa.

— I ja mówię to samo — przywtórzył proboszcz.

— Ależ, zmiłujcie się!... — począł znowu Aramis.

—Desideras diabolum, nieszczęsny! — zakrzyczał jezuita.

— On djabła żałuje! A! młodzieńcze! — z jękiem odezwał się proboszcz — nie żałuj djabła, błagam cię.

D'Artagnan czuł, że głupieje; zdawało mu się, że jest w domu warjatów, i że sam zwarjuje, jak ci, na których patrzył.

Ale zmuszony był milczeć, nie rozumiejąc języka, którym wobec niego mówiono.

— Proszę mnie jednak wysłuchać — odezwał się Aramis grzecznie, z pewnem przecie zniecierpliwieniem — ja nie mówię, iżbym żałował; nie, nigdy bym nie wygłosił zdania, nie zgadzającego się z wiarą powszechną.

Jezuita wzniósł ręce ku niebu, proboszcz wyciągnął je jeszcze wyżej.

— Więc nie, ale przynajmniej na to się zgóźdźcie, że nie przystoi ofiarowywać Panu tego, do czego jesteśmy zniechęceni najzupełniej. Czy mam słuszność, d'Artagnanie?

— Ja myślę, że masz, do djabła starego! — zawołał tenże.

Proboszcz z jezuitą podskoczyli na krzesłach.

— Oto mój punkt wyjścia i oto mój wniosek: świat nie jest bez powabu, porzucam go, zatem spełniam ofiarę; Pismo zaś twierdzi stanowczo: czyńcie ofiary Panu.

— To prawda — odezwali się przeciwnicy, jak jeden.

— A zresztą — mówił dalej Aramis, szczypiąc się w ucho, aby zróżowiało, jak trząsał rękami, ażeby zbielały — a zresztą, na ten temat ułożyłem wiersz, który w roku zeszłym przedstawiłem panu Voiture, a podobał mu się nieskończenie.

— Wiersze! — z pogardą wyrzekł jezuita.

— Wiersze! — powtórzył proboszcz bezmyślnie.

— Powiedzże je, powiedz — zawołał d'Artagnan — to nas rozerwie cokolwiek.

— O nie, bo one są w duchu religijnym — odparł Aramis — jest to wierszowana teologia.

— Tam do djabła — mruknął d'Artagnan.

— Posłuchajcie — rzekł Aramis ze skromną minką, nie bez cechy pewnej obłudy.

Wy, co za szczęściem przyszłem tęsknicie,
Wlokąc dni smutne w ciężkiej niedoli,
Umilknie żal wasz, co w sercu boli,
Gdy go w ofierze Bogu złożycie,
Wy, co tęsknicie.

D'Artagnanowi i proboszczowi wiersz podobał się widocznie.

Jezuita obstawał przy swojem zdaniu.

— Strzeż się światowości w stylu teologicznym. Święty Augustyn o tem mówi: Severus sit clericorum sermo.

— Tak, ażeby kazanie było jasne — powtórzył proboszcz.

— Otóż — przerwał z pośpiechem jezuita, widząc, że akolita jego błąkać się zaczyna — otóż teza twoja podoba się damom i nic więcej: będzie ona miała powodzenie tylko takie, jak obrona praw pani Patru.

— Dałby Bóg!... — zawołał z uniesieniem Aramis.

— A widzisz! — zakrzyczał jezuita — świat wielkim głosem mówi do ciebie, altissima voce. Dążysz do świata, mój przyjacielu i drżę o ciebie, aby łaska nie pozostała bez skutku.

— Uspokój się, ojcze wielebny, ja za siebie odpowiadam.

— Zarozumiałość światowa!

— Ja siebie znam, mój ojcze, postanowienie moje jest nieodwołalne.

— Obstajesz więc przy rozwinięciu swojej tezy?...

— Czuję się powołany do tej, a nie do innej; będę ją dalej prowadził i mam nadzieję, że jutro będziesz, ojcze wielebny, zadowolony z poprawek, jakie według twoich wskazówek w niej poczynię.

— Pracuj powoli — odezwał się proboszcz — pozostawiamy cię w usposobieniu wyśmienitem.

— Tak, tak, grunt posiany dobrze — rzekł jezuita — nie ma obawy, aby część tego ziarna padła na skałę, i aby, co zostanie, ptaki niebieskie wybrały, aves coelitcomederunt illam.

— Niech cię zaraza pochłonie razem z twoją łaciną! — mruknął d'Artagnan, tracąc cierpliwość.

— Z Bogiem, mój synu — rzekł proboszcz — do widzenia, jutro.

— Do jutra, zuchwalcze młody — odezwał się jezuita — obiecujesz być jedną ze światłości kościoła; daj Boże, by światłość ta nie zamieniła się w ogień trawiący!

D'Artagnan, który w ciągu tej godziny gryzł sobie paznogcie z niecierpliwością, teraz już napoczynał ciało.

Powstały dwie sutanny, pożegnały Aramisa i d'Artagnana i skierowały się ku drzwiom.

Bazin, który tam stał i słuchał tego sporu z pobożną radością, poskoczył ku nim, wziął brewiarz proboszcza i mszał jezuity, i szedł przed nimi w postawie pełnej szacunku, torując im drogę.

Aramis sprowadził ich aż na dół i powrócił natychmiast do d'Artagnana, którego zastał jeszcze zamyślonego.

Znalazłszy się sam na sam, dwaj przyjaciele milczeli pomieszani; jeden z nich musiał jednak przerwać to milczenie, a ponieważ d'Artagnan jakby zostawiał przyjacielowi ten zaszczyt:

— Widzisz — odezwał się Aramis — zastajesz mnie, nawróconego do pojęć, stanowiących moje podstawowe zasady.

— Tak, zostałeś dotknięty łaską skuteczną, jak mówił przed chwilą ten pan.

— O!... od dawna już postanowiłem sobie usunąć się od świata; musiałeś mnie słyszeć, jak mówiłem o tem, nieprawdaż, mój drogi?...

— Nie przeczę, ale muszę wyznać, brałem to za żarty.

— Ja miałbym z takich rzeczy żartować!... O!... d'Artagnanie!...

— Ba!... przecież i ze śmierci można pożartować.

— To źle, d'Artagnanie, gdyż śmierć jest bramą, prowadzącą do zguby lub do zbawienia.

— Zgoda, lecz nie rozprawiajmy o teologji, jeżeli łaska, Aramisie; pewnie ci jej wystarczy na dzisiaj, co do mnie, zapomniałem nawet tej odrobiny łaciny, której nie umiałem nigdy; zresztą, muszę ci wyznać, że dziś od rana nic w ustach nie miałem, i głodny jestem, jak wszyscy djabli.

— Usiądziemy natychmiast do obiadu, mój drogi; tylko pamiętaj, że to dzisiaj piątek; w dniu takim nie powinienem ani jeść mięsa, ani patrzeć na nie. Jeżeli zechcesz poprzestać na moim obiedzie, składa się on z warzyw i owoców...

— Co rozumiesz przez te warzywa? — zapytał z niepokojem d'Artagnan.

— Szpinak — odparł Aramis — dla ciebie jednak dodam jaj, chociaż to ważne wykroczenie przeciw regule, bo jaja są mięsem, skoro powstają z nich kurczęta.

— Uczta niezbyt smakowita, lecz mniejsza o to; aby z tobą pozostać, zniosę i ją chętnie.

— Wdzięczny ci jestem za poświęcenie — odparł Aramis — lecz jeśli nie będziesz miał korzyści dla ciała, bądź przekonany, że duch twój wielce się umocni.

— Więc ty, Aramisie, stanowczo wstępujesz do stanu duchownego? Co powiedzą przyjaciele nasi, co pan de Tréville na to powie? Osądzą cię i mieć będą za zbiega, uprzedzam cię.

— Ależ ja nie wstępuję, tylko powracam do stanu duchownego. Właściwie zbiegłem z kościoła dla świata, wiesz przecie, że przymus najcięższy zadałem sobie, wdziewając kaftan muszkieterski.

— Ja nie wiem o niczem.

— Nie wiesz, w jaki sposób opuściłem seminarjum?

— Nie, ale to nic a nic nie szkodzi.

— Oto moja historja; zresztą Pismo Święte mówi: „Spowiadajcie się jedni przed drugimi”; a ja tobie się spowiadam, d'Artagnanie.

— Ja zaś daję ci rozgrzeszenie z góry; widzisz, że dobry ze mnie człowieczyna.

— Nie żartuj z rzeczy świętych, mój drogi.

— Więc mów, słucham cię.

— Zostawałem w seminarjum od roku dziewiątego mego życia: trzech dni brakowało mi do dwudziestu, miałem zostać księdzem i już miało być po wszystkiem. Pewnego wieczora udałem się, według zwyczaju, do jednego domu, który odwiedzałem z przyjemnością; co chcesz, jest się młodym i słabym. Wtem pewien oficer, który okiem zawistnem patrzał na mnie, gdym czytywał Żywoty Świętych pani tego domu, wszedł nagle, nie opowiedziwszy się wcale. Właśnie tego wieczora tłumaczyłem jej ustęp z Judyty i wykładałem wiersz po wierszu tej damie, przesadzającej się dla mnie w grzecznościach. Pochylona nad moim ramieniem czytała razem ze mną. Postawa jej, zbyt swobodna, przyznaję, obraziła oficera: nie wyrzekł słowa, lecz skoro wyszedłem, pobiegł za mną, a dopędziwszy mnie, powiedział:

— Mości księżulku, a lubisz ty kije?

— Nie mogę tego powiedzeć, mój panie — odrzekłem — ponieważ dotąd nikt nie poważył się częstować mnie niemi.

— Słuchaj więc!... mości księżulku, jeżeli noga twoja postanie w domu, w którym zastałem cię tego wieczora, ja, ja ci je zaproponuję!

Zbladłem okropnie i nogi pode mną drżały, szukałem odpowiedzi, nie znalazłem jej, zamilkłem.

Oficer na nią czekał, a, widząc, że nic nie mówię, począł się śmiać: obrócił się do mnie plecami i wszedł do domu.

Jestem szlachcicem i krew mam burzliwą, jak to zauważyć mogłeś, drogi d'Artagnanie; obelga była straszna, jakkolwiek nieznana światu, i czułem, jak rozdzierała mi serce w kawały. Oświadczyłem przełożonym moim, że nie czuję się przygotowanym godnie do przyjęcia święcenia, i, na moje żądanie, odłożono ceremonję do roku. Udałem się do najlepszego fechmistrza w Paryżu, zrobiłem z nim umowę o lekcje fechtunku codzień i przez rok cały je brałem. Potem, w rocznicę dnia, kiedy zostałem znieważony, zawiesiłem na kołku sutannę, ubrałem się i jak skończony kawaler i udałem się na bal, który wydawała jedna z przyjaznych mi dam, gdzie

wiedziałem, że zastanę mojego jegomościa. Było to przy ulicy Francis-Bourgeois, tuż przy la Force. Rzeczywiście, mój oficerek był tam; podszedłem ku niemu, gdy śpiewał pieśń żałośliwie miłosną, czule spoglądając na jedną z kobiet, i przerwałem mu w samym środku drugiej strofki.

— Mój panie — rzekłem — czy zabronisz mi jeszcze powrócić do pewnego domu przy ulicy Payenne i czy obiłbyś mnie kijem, gdyby mi przyszła fantazja nie być ci posłusznym?

Oficer spojrzał na mnie zdziwiony, a potem rzekł:

— Czego pan chcesz ode mnie, nie znam cię wcale.

— Jestem księżulkiem, który czytuje Żywoty Świętych i tłumaczy Judytę rymami.

— A! a!... przypominam sobie — rzekł drwiąco oficer — czego chcesz ode mnie, mój panie?

— Chcę, byś znalazł chwilkę swobodną na niewielką przechadzkę.

— Jutro z rana i to z całą przyjemnością, jeżeli żądasz.

— Nie jutro rano, lecz natychmiast, jeżeli łaska.

— Kiedy wymagasz koniecznie...

— Rozumie się, że wymagam.

— To chodźmy!... a wam, łaskawe panie — przemówił oficer — niech to wcale nie przeszkadza. Za chwilę tego pana wyprawię na tamten świat i powrócę dokończyć ostatniej strofki.

Wyszliśmy.

— Zaprowadziłem go na ulicę Payenne, w to miejsce, gdzie przed rokiem, o tej samej godzinie, powiedział mi grzeczne słówko, które ci powtórzyłem. Księżyc świecił przecudnie. Ujęliśmy za szpady i po pierwszem posunięciu lewej nogi przed prawą, położyłem go trupem.

— Do djabła!... — mruknął d'Artagnan.

— Potem — ciągnął dalej Aramis — ponieważ damy nie mogły doczekać się śpiewaka, a znaleziono go na ulicy Payenne, przebitego na wylot, domyślono się, że to ja go tak urządziłem i wynikł z tego skandal. Byłem zmuszony zrzec się sutanny na pewien czas. Athos, którego poznałem w tej epoce, i Porthos, który poza lekcjami fechtunku nauczył mnie kilku pchnięć znakomitych, skłonili mnie do postarania się o kaftan muszkieterski. Król bardzo kochał mojego ojca, zabitego podczas oblężenia Arras, udzielono mi więc łaski. Otóż pojmujesz, że teraz przyszła chwila powrotu mojego na łono Kościoła.

— A czemuż to teraz, bardziej niż wczoraj, lub jutro? Cóż ci się przytrafiło takiego dzisiaj, że ci podobne myśli ponure przychodzą do głowy?

— Rana ta, drogi d'Artagnanie, stała się dla mnie przestrogą niebios.

— Rana? ba! wszak zagoiła się już nieledwie i przekonany jestem, że dzisiaj nie ona jest sprawczynią twojego cierpienia.

— A cóżby innego być mogło?... — zapytał Aramis, czerwieniąc się.

— Ty, Aramisie, masz ranę, lecz w sercu, jest ona dotkliwsza i krwawiąca, a zadała ci ją kobieta.

W oczach Aramisa błysnęły ognie.

— A!... — odezwał się, pokrywając lekceważeniem wzruszenie — nie wspominaj mi o takich rzeczach: ja miałbym o tem myśleć! cierpieć z miłości! Vanitas vanitatum! Miałżebym, jak przypuszczasz, zawrócić sobie głowę i dla kogo? dla jakiejś tam gryzetki, pokojówki, której nadskakiwałem, stojąc na kwaterze, pfe!

— Wybacz, drogi Aramisie, lecz zdawało mi się, iż mierzyłeś wyżej.

— Wyżej, a czemże jestem, abym się miał o to kusić? biednym muszkieterem, nędznym, nieznanym i zbytecznym na świecie?

— Aramisie, Aramisie — zawołał d'Artagnan, patrząc z powątpiewaniem na przyjaciela.

— Z prochu powstałem i w proch się obracam. Życie jest pełne poniżeń i bólu — chmurząc się, mówił dalej — wszystkie nici, łączące je ze szczęściem, rwą się jedna po drugiej w ręku człowieka, a najsłabszemi są nici złote. O! drogi mój — prawił Aramis z odcieniem goryczy — wierzaj mi, ukrywaj rany, jeśli mieć je kiedykolwiek będziesz. Milczenie jest ostatnią rozkoszą nieszczęśliwych. Strzeż się, aby ktokolwiek miał wpaść na ślad twoich cierpień, ciekawi wyciągają na zewnątrz łzy nasze, jak muchy wysysają krew z ranionego łosia.

— Niestety!... drogi mój! — rzekł d'Artagnan, wzdychając głęboko — to, o czem mówisz, jest moją historją.

— Co takiego?

— Tak, kobietę kochaną, uwielbianą przeze mnie, porwano mi przemocą. Nie wiem, gdzie się znajduje, dokąd ją zabrano; może uwięziono, może już nie żyje.

— Ale masz przynajmniej tę pociechę, iż możesz powiedzieć, że nie porzuciła cię dobrowolnie. Jeśli nie daje znaku życia, zapewne dlatego jedynie, że wszelkie porozumiewanie się z tobą jest jej wzbronione, gdy tymczasem...

— Gdy tymczasem?...

— Nic — odparł Aramis — nic!

— A więc wyrzekasz się świata na zawsze; postanowienie twoje jest nieodwołalne?

— Na zawsze. Dziś jesteś mi druhem; jutro cieniem tylko będziesz dla mnie, a nawet przestaniesz istnieć zupełnie. Świat to grób, nic więcej.

— Do djabła! to, co mi prawisz, jest wcale niewesołe.

— Cóż chcesz, powołanie pociąga mnie, porywa.

D'Artagnan uśmiechnął się i milczał.

Aramis mówił dalej:

— A jednak, dopóki wiąże mnie jeszcze coś z ziemią, chciałbym pomówić o tobie, o naszych przyjaciołach.

— A ja — rzekł d'Artagnan — wolałbym pomówić o tobie, lecz widzę cię oderwanego od wszystkiego: miłość ci obrzydła; przyjaźń cieniem się stała, a świat w grób się zamienił.

— Niestety! i ty tak będziesz myślał — rzekł z westchnieniem Aramis.

— Nie mówmy więc o tem i spalmy ten list, który na pewno oznajmia ci nowe wiarołomstwo jakiejś tam gryzetki, czy pokojówki.

— Jaki list? — żywo zapytał Aramis.

— List, który przysłano dla ciebie w twojej nieobecności i oddano mi go dla ciebie.

— Od kogo?

— A!... pewnie od jakiej zrozpaczonej pokojówki lub gryzetki nieszczęsnej; może to służebna pani de Chevreuse, która musiała z panią do Tours powrócić i dla zadania szyku użyła papieru wyperfumowanego i zapieczętowała list koroną książęcą.

— Co ty wygadujesz?...

— Masz tobie! musiałem go zgubić — rzekł żartobliwie młodzieniec, udając, że szuka. — To całe szczęście, że świat jest grobem, ludzie, a rozumie się i kobiety tylko cieniem, a miłość uczuciem, które wstręt tylko budzi.

— O! d'Artagnanie, d'Artagnanie! — zawołał Aramis — zabijasz mnie!...

— A! jest, nareszcie! — wykrzyknął d'Artagnan i wyjął list z kieszeni.

Aramis skoczył, porwał, przeczytał, pochłonął go raczej; twarz mu jaśniała szczęściem.

— Piękny styl ma widocznie służebna — zauważył od niechcenia oddawca.

— Dziękuję ci, d'Artagnanie! — zawołał oszalały z radości Aramis. — Ona musiała do Tours powrócić; nie jest mi niewierną, kocha mnie niezmiennie. Chodź, niech cię uściskam, przyjacielu: szczęście mnie przygniata!

I poczęli tańczyć obydwaj wokół Świętego Chryzostoma, tratując kartki rozprawy, które pospadały na podłogę.

W tej chwili wszedł Bazin ze szpinakiem i jajecznicą.

— Wynoś się, pókiś cały — krzyknął Aramis ciskając w niego swoją okrągłą czapeczką — wracaj, skąd przyszedłeś, zabieraj te obrzydliwe jarzyny! każ podać zająca szpikowanego, kapłona tłustego, pieczeń baranią z czosnkiem i cztery butelki starego burgunda.

Bazin, nie rozumiejąc, co to ma znaczyć, tak się na pana swego zagapił, że w tem jego zdziwieniu ponurem jajecznica zsunęła mu się na szpinak, a następnie wszystko razem na podłogę.

— Nadszedł właśnie czas, abyś poświęcił istność swoją królowi królów — odezwał się d'Artagnan — jeżeli chcesz zrobić mi grzeczność: Non inutile desiderium in oblatione.

— Idź do djabła z twoją łaciną! Drogi mój d'Artagnanie, pijmy zdrowo, pijmy, co się zmieści, i opowiadaj mi, co tam słychać u naszych.

Rozdział XXVII. Żona Athosa

— Teraz pozostaje nam tylko dowiedzieć się czegoś o Athosie — odezwał się d'Artagnan do skaczącego z radości Aramisa, gdy mu opowiedział, co zaszło w stolicy od czasu ich wyjazdu, bo po sutym obiedzie zapomnieli, jeden o rozprawie, drugi o przebytych trudach.

— Czy sądzisz, że go nieszczęście jakie spotkało? — zapytał Aramis. — Athos jest rozważny, dzielny i zręcznie włada szpadą.

— Tak, i nikt tak, jak ja, nie może ocenić jego odwagi i zręczności; lecz wolę ja iść ze szpadą na lance, aniżeli na kije i obawiam się, aby Athos nie został zbity przez gawiedź. Ten motłoch wali mocno i nieprędko przestaje. Dlatego właśnie chciałbym jaknajprędzej w dalszą drogę wyruszyć.

— Ja radbym ci towarzyszyć — rzekł Aramis — chociaż nie czuję się na siłach, aby konia dosiąść. Próbowałem się biczować wczoraj dyscypliną, którą tu widzisz na ścianie, ale ból srogi przeszkodził mi w tem ćwiczeniu pobożnem.

— Bo też, mój drogi, kto widział leczyć postrzał uderzeniami rzemienia; ale ty chory byłeś, a choroba osłabia umysł; dlatego uniewinniam cię, mój drogi.

— Kiedyż myślisz odjechać?

— Jutro, skoro świt; odpocznij sobie tej nocy, a jutro, jeżeli będziesz w stanie, pojedziemy razem.

— Dobranoc więc — rzekł Aramis — bo, jakkolwiek żelazne masz siły, czujesz zapewne potrzebę spoczynku.

Nazajutrz, gdy d'Artagnan wszedł do pokoju Aramisa, zastał go, wyglądającego oknem.

— Czemuż się tak przypatrujesz? — zapytał go d'Artagnan.

— Na honor! podziwiam te trzy wspaniałe konie, które chłopcy stajenni trzymają za cugle; wszak to rozkosz królewska podróżować na takich wierzchowcach.

— Będziesz używał tej rozkoszy, drogi Aramisie; jeden z tych koni do ciebie należy.

— Co mówisz? a któryż?

— Którego sobie wybierzesz: żadnemu z nich nie daję pierwszeństwa.

— A ten czaprak bogaty na nim, czy także mój?

— Rozumie się.

— Żartujesz chyba d'Artagnanie.

— Przestałem żartować, odkąd mówisz po francusku.

— Więc to moje te strzemiona złocone, czaprak aksamitny, to siodło wykładane srebrem?

— Twoje własne, jak ten koń, który grzebie ziemię jest mój, a ten, który się wspina, do Athosa należy.

— Niech cię djabli!... wspaniałe bestyjki!...

— Rad jestem, że ci się podobały.

— Czy to od króla ten dar pochodzi?

— Pewno, że nie od kardynała; lecz co masz się głowić, od kogo pochodzą, dość, że jeden z nich należy do ciebie.

— Biorę tego, którego trzyma rudy parobek.

— Pysznie!

— Boże wielki!... — wykrzyknął Aramis — z radości nie czuję bólu; wsiadłbym na tego konia choćby z kulami za skórą. A! co za strzemiona!... Hola! Bazin, chodź tu natychmiast!

Bazin milczący i ponury stanął na progu.

— Szpadę moją do pochwy wpakować, wyprostować kapelusz, płaszcz oczyścić, nabić pistolety! — zawołał Aramis.

— Ostatnie rozporządzenie zbyteczne — przerwał mu d'Artagnan — w olstrach są pistolety nabite.

Bazin ciężko westchnął.

— Cóż tam, mości Bazinie, uspokój się — rzekł d'Artagnan — w rozmaitych warunkach zdobywa się królestwo niebieskie.

— Mój pan był już takim dobrym teologiem!... — wyszlochał Bazin — byłby został biskupem, a może kardynałem!...

— Słuchaj, biedny mój Bazinie, zastanów się troszeczkę! na co się zdało być księdzem, proszę? wojny się przez to nie unika; widzisz przecież, że kardynał ma odbyć pierwszą kampanję z szyszakiem na głowie i halabardą w ręku; pan de Nogaret de La Valette jest także kardynałem, a zapytaj lokaja jego, ile razy skubał dlań szarpie?

— Niestety! — westchnął Bazin — wiem ja, panie, o tem; wszystko na świecie przewróciło się do góry nogami.

Tak rozmawiając, wszyscy trzej zeszli na dziedziniec.

— Potrzymaj mi strzemię, Bazinie — zawołał Aramis.

I wskoczył lekko na siodło z właściwą sobie zręcznością, lecz gdy szlachetne zwierzę wspięło się kilka razy i krok zmieniło, odnowił się nieznośny ból Aramisa, muszkieter zbladł i począł się chwiać.

D'Artagnan, który to przewidywał, nie tracił go z oczu, skoczył doń, pochwycił w ramiona i zaprowadził do pokoju.

— Tak być musi, drogi Aramisie, trzeba, abyś sił nabrał, odpocznij — rzekł — sam pojadę szukać Athosa.

— Tyś człowiek ze spiżu — rzekł doń Aramis.

— Wcale nie, szczęście mi tylko sprzyja; lecz co tu będziesz robił, czekając na mnie? Spodziewam się, że nie glossy o palcach i błogosławieństwach, co?...

Aramis uśmiechnął się.

— Wiersze będę pisał — odparł.

— Zapewne wierszyki, wyperfumowane zapachem, jaki miał liścik służebnej pani de Chevreuse. Naucz Bazina prozodji, to go pocieszy. A co do konia, jeźdź na nim potroszę, to się przyzwyczaisz.

— O! nie troszcz się, zastaniesz mnie gotowego do drogi.

Rozstali się, a w dziesięć minut potem d'Artagnan, poleciwszy Bazinowi i oberżystce przyjaciela, kłusował w kierunku Amiens.

Co się tam dzieje z Athosem; może nie znajdzie go wcale?...

Pozostawił go w okolicznościach bardzo krytycznych. Athos mógł być zwyciężony.

Myśl ta czoło mu zachmurzyła; d'Artagnanowi z piersi dobywało się westchnienie, a chęć zemsty opanowywała mu serce.

Athos był najstarszym z jego przyjaciół i dlatego napozór najmniej zbliżony do niego upodobaniami i dążeniami.

Pomimo to przekładał go stanowczo nad innych.

Postawa jego szlachetna i wyróżniająca się, te błyski wielkości, tryskające od czasu do czasu z cienia, w którym ukrywał się tak chętnie, ta niezrównana łatwość w obejściu, czyniąca go towarzyszem najmilszym pod słońcem, rozum i uszczypliwa wesołość, odwaga, którą można było za ślepą poczytać, gdyby nie była wynikiem najwyższej zimnej krwi, tyle przymiotów wywoływało więcej niż szacunek, więcej niż przyjaźń ze strony d'Artagnana, budziły one w nim najwyższe uwielbienie.

Istotnie, w zestawieniu nawet z panem de Tréville, pełnym elegancji i szlachetności dworzaninem, Athos w szczęśliwszych swoich chwilach porównanie z nim korzystnie mógł wytrzymać.

Był on wzrostu średniego, lecz tak kształtny i pięknie zbudowany, że gdy nieraz szedł w zapasy z Porthosem, olbrzym ten, którego siła weszła w przysłowie pomiędzy muszkieterami, zmuszony był ugiąć się przed nim.

Głowa jego o przenikliwem wejrzeniu, nos prosty i broda, zarysowana, jak u Brutusa, posiadały wyraz wzniosły i słodki zarazem; ręce, o które nie dbał bynajmniej, wprawiały w rozpacz Aramisa, który pielęgnował swoje, posiłkując się niezliczoną ilością maści migdałowej i wonnych olejków; głos jego brzmiał przejmująco i zarazem dźwięcznie.

Przytem było w nim coś nieokreślonego, co oznaczało głęboką znajomość wyższego świata, świetną ogładę towarzyską, ta natura rodowa, która, pomimo jego wiedzy, przebijała się w każdym postępku.

Gdy chodziło o ucztę, Athos urządzał ją lepiej, niż każdy inny światowiec, rozmieszczając zaproszonych według zasad, odziedziczonych po przodkach, albo według tych, jakie zawdzięczali sami sobie.

Gdy szło o heraldykę, Athos znał wszystkie rodziny szlacheckie w królestwie, ich genealogje, związki, herby oraz ich pochodzenie. Najdrobniejsze szczegóły etykiety były mu też znane, wiedział, jakie przywileje przysługiwały wielkim właścicielom ziemskim, biegły był w sztuce łowieckiej i sokolnictwie, tak, że razu pewnego w rozmowie wielce zadziwił Ludwika XIII, który w tem był nielada mistrzem.

Jak wszyscy wielcy panowie z owej epoki, był z niego niezrównany jeździec i szermierz. Nadto takie miał wykształcenie umysłowe nawet pod względem nauk scholastycznych, że cytaty łacińskie Aramisa wywoływały uśmiech na jego ustach, gdy Porthos udawał tylko, że je rozumie. Parę też razy, ku wielkiemu zdziwieniu towarzyszów, poprawił Aramisa w języku łacińskim.

Prawość jego była niewzruszona w tym wieku, kiedy ludzie, trudniący się wojennem rzemiosłem, wchodzili w układy ze swojem sumieniem i wiarą, a ubodzy z siódmem przykazaniem boskiem.

Był to zaiste człowiek niepowszedni ten Athos.

A jednak bywało, iż ta wybrana natura, ten piękny twór boski, ten wykwit doskonałości, skłaniał się nieznacznie ku materjalizmowi, jak starcy ku zniedołężnieniu ciała i ducha.

Athos w chwilach upadku moralnego, co się przytrafiało nierzadko, zaćmiewał w sobie świetlane strony, które zapadały wtedy, jakby w ciemnościach nocnych.

Wtedy znikał półbożek, a pozostawał zaledwie człowiek. Głowa opadała mu na piersi, blask oczu przygasał, słowa trudno było z niego wydobyć, całemi godzinami wpatrywał się w butelkę i kielich, albo w Grimauda, który, przyzwyczajony spełniać rozkazy jego na migi, czytał w zamarłem spojrzeniu pana najmniejsze jego życzenie, spełniając je natychmiast.

W takich razach, choćby był w towarzystwie swoich przyjaciół, zaledwie jednem słowem i to z wysiłkiem mieszał się do ogólnej rozmowy.

Natomiast pił za czterech, a jedynym objawem tych libacyj było silniejsze ściągnięcie brwi i smutek bardziej ponury.

D'Artagnan, którego znamy z umysłu badawczego i przenikliwego, daremnie usiłował odgadnąć przyczynę takiego upadku ducha, ani nie mógł poznać okoliczności, które stan ten sprowadzały. Athos nie odbierał żadnych listów, a każdy postępek jego znany był przyjaciołom.

Trudno przypuścić, aby wino mogło sprowadzać ten smutek, bo pił wtedy właśnie, gdy chciał go przemódz; lecz to lekarstwo czyniło go jeszcze więcej ponurym.

Nie można było również przypisywać grze tych napadów czarnej melancholji, bo, przeciwnie, gdy Porthos śpiewał lub klął siarczyście zależnie od szczęścia, Athos przy wygranej lub przegranej zarówno pozostawał niewzruszony.

Widziano, jak w klubie muszkieterskim wygrał pewnego wieczora tysiąc pistolów, a przegrał następnie wszystko aż do pasa złotem haftowanego, w który stroił się na

wielkie uroczystości, później nanowo się odegrał, a nawet zyskał jeszcze sto pistolów, a jednak piękne brwi jego nie drgnęły ani na chwilę, ręce nie straciły perłowej białości i nie przestał rozmawiać nader przyjemnie i spokojnie.

Melancholji jego nie można było też przypisać wpływom atmosferycznym, jak to bywa z Anglikami, gdyż smutek jego cięższy się stawał zwykle przy nadchodzącej najpiękniejszej porze roku. Czerwiec i sierpień były miesiącami najstraszniejszemi dla Athosa.

O chwilę obecną nie troszczył się wcale, wzruszał ramionami, gdy o przyszłości mówiono; zatem tajemnica jego tkwiła w przeszłości, jak to mówiono ogólnikowo d'Artagnanowi.

Ten odcień tajemnicy otaczał całą jego osobę i czynił go bardziej jeszcze zajmującym człowiekiem, bo ani jego oczy, ani usta nic nie zdradziły, nigdy, w najwyższem nawet upojeniu trunkiem, choćby go zarzucano najzręczniejszemi pytaniami.

— Tak... — rozmyślał d'Artagnan — biedny Athos może już nie żyje w tej chwili i to z mojej winy, bo ja wciągnąłem go w tę sprawę, której nawet nie znał z początku.

— A my, panie — odpowiedział Planchet — prawdopodobnie zawdzięczamy mu życie. Pamięta pan, jak krzyczał: „Uciekaj d'Artagnan, jestem schwytany!" I, wystrzeliwszy z dwóch pistoletów, jak okrutnie łomotał szpadą! Mógłby kto myśleć, że dwudziestu ludzi tam było, a raczej dwudziestu zażartych djabłów.

Słowa te zdwoiły zapał d'Artagnana, popędzał konia, który, nie potrzebując bynajmniej zachęty, unosił jeźdźca galopem.

Około jedenastej zrana pokazały się wieże Amiens; o wpół do dwunastej stanęli przed bramą przeklętej oberży.

D'Artagnan rozmyślał już nieraz nad zemstą na przewrotnym oberżyście. Wszedł do oberży w kapeluszu naciśniętym na oczy, z lewą dłonią na rękojeści szpady, a prawą śmigając w powietrzu szpicrutą.

— Poznajesz mnie pan? — odezwał się do gospodarza, podchodzącego ku niemu z powitaniem.

— Nie mam tego zaszczytu, jaśnie panie — odparł tenże, olśniony świetnemi końmi d'Artagnana.

— A! więc nie znasz mnie wcale?

— Nie, jaśnie panie.

— No, no, dwa słowa przywrócą ci pamięć. Co zrobiłeś z tym szlachetnym panem, któremu przed dwoma tygodniami miałeś tyle czelności zarzucić fałszowanie pieniędzy?

Oberżysta zbladł, bo d'Artagnan przybrał postawę jak mógł najgroźniejszą, Planchet zaś naśladował swego pana.

— O! jaśnie panie, nie wspominaj mi o tem — zawołał gospodarz płaczliwym głosem. — Boże wielki! jakże ja błąd mój okupiłem drogo. O! ja nieszczęsny!...

— Czy powiesz mi, czy nie? co się z nim stało?

— Jaśnie panie, zechciej mnie wysłuchać i zmiłuj się nade mną. Racz usiąść, jeżeli łaska!

D'Artagnan, niemy z gniewu i niepokoju, zasiadł groźny, jak sędzia. Planchet wsparł się na poręczy fotela, przybierając postawę wyniosłą.

— Rzecz tak się miała, jaśnie panie — począł oberżysta, trzęsąc się ze strachu — bo teraz poznaję pana: pan odjechałeś wtedy, gdy miałem ten nieszczęsny zatarg, ze szlachcicem, o którym mowa.

— Tak, to ja; widzisz więc, że nie możesz spodziewać się przebaczenia, jeżeli nie powiesz mi całej prawdy.

— Racz mnie wysłuchać, panie, a dowiesz się o wszystkiem.

— Słucham.

— Zostałem uprzedzony przez władze, że wytrawny fałszerz pieniędzy przybędzie do mojej oberży z kilkoma towarzyszami, a wszyscy przebrani będą za gwardzistów, albo za muszkieterów. Konie, służba, nawet osoby jaśnie panów podane mi zostały w rysopisie.

— Cóż dalej? ... — rzekł d'Artagnan, domyślając się, skąd pochodził dokładny rysopis.

— Zgodnie więc z rozporządzeniem władzy, która przysłała mi posiłki w liczbie sześciu ludzi, przedsięwziąłem środki, jakie uważałem za konieczne dla zabezpieczenia się przeciw fałszerzom pieniędzy.

— Jeszcze?... — krzyknął d'Artagnan, któremu słowo fałszerz strasznie słuch drażniło.

— Wybacz, jaśnie panie, że wymawiam to brzydkie słowo, lecz ono właśnie służy mi za usprawiedliwienie. Władza napędziła mi strachu, a wiadomo, że mizerny oberżysta dbać winien o jej względy.

— Czy dowiem się już raz, czy nie, gdzie jest ten szlachcic, co się z nim stało? umarł? czy żyje?

— Cierpliwości, jaśnie panie, zaraz skończę. Stała się więc rzecz panu wiadoma — dodał obłudnie gospodarz, co nie uszło uwagi d'Artagnana i zdawało się usprawiedliwiać podejrzenie. — Przyjaciel pana bronił się rozpaczliwie. Pachołek jego, który nieszczęściem nieprzewidzianem zaczepił wysłańców władzy, bo to oni przebrani byli za chłopców stajennych...

— A! łajdaki!... — krzyknął d'Artagnan, zmówiliście się wszyscy, dziwna rzecz, żem dotąd nie wytępił was co do nogi.

— Nie, jaśnie panie, zmowy nie było żadnej między nami, jak się pan wkrótce przekona. Przyjaciel pański (przepraszam, iż nie tytułuję go czcigodnym imieniem, jakie nosi, lecz jest mi ono nieznane), przyjaciel pański, uczyniwszy niezdolnymi do walki dwóch ludzi dwoma strzałami pistoletu, począł się cofać, broniąc się szpadą, którą okaleczył jeszcze jednego z moich ludzi, a mnie płazem ogłuszył.

— Ty kacie przeklęty, skończysz już raz? — krzyknął d'Artagnan — gdzież Athos, co się z Athosem stało?...

— Cofając się, jak rzekłem jaśnie panu, trafił na schody do piwnicy, gdzie drzwi były otwarte, porwał klucz z zamku i zatarasował się z wewnątrz. Ponieważ stamtąd niema innego wyjścia, pozostawiono go w spokoju.

— Tak, nie szło im o zabicie, uwięzić go tylko chciano.

— Boże sprawiedliwy! uwięzić, jaśnie panie? ależ on sam się uwięził, przysięgam. Najpierw spisał się nielada, jednego zabił na miejscu, a dwóch ciężko poranił. Trupa i rannych zabrali ich towarzysze. Odtąd oczy moje ich nie widziały, ani uszy o nich nie słyszały. Ja sam, skoro odzyskałem zmysły, poszedłem do gubernatora i opowiedziałem mu wszystko, pytając, co z więźniem mam począć. Gubernator wyglądał, jakby spadł z księżyca; powiedział mi, że pierwszy raz o tem słyszy, że dane mi rozkazy nie wyszły od niego i że gdybym się poważył wspomnieć o tem komu, że starcie to z jego wiedzą nastąpiło, każe mnie poprostu powiesić. Pomyliłem się widocznie, uwięziłem niewinnego, a winowajca umknął szczęśliwie.

— Ale cóż Athos? — zakrzyczał znowu d'Artagnan, którego zniecierpliwienie potęgowało zaniedbanie sprawy tej przez władzę — co się stało z Athosem?

— Ponieważ pilno mi było oczyścić się z winy przed więźniem — ciągnął dalej oberżysta — wybrałem się do piwnicy, aby go uwolnić. A! panie, to chyba nie człowiek, to djabeł wcielony. Gdym zoproponował, że go wypuszczę na wolność, oświadczył, iż

widzi w tem zastawione sidła i że zanim wyjdzie musi postawić swe warunki. Odpowiedziałem mu z pokorą, nie mogłem bowiem ukrywać przed sobą, że wdałem się w nietęgą sprawę, podnosząc rękę na muszkietera Jego Królewskiej Mości, powiedziałem mu więc, że poddaję się warunkom w zupełności.

— Najpierw — rzekł on — żądam, aby powrócono mi pachołka mojego w pełnem uzbrojeniu. Rozkaz ten spełniliśmy z pośpiechem, bo, pojmuje pan, gotowi byliśmy na wszelkie rozkazy pańskiego przyjaciela. Pan Grimaud (ten powiedział nam swoje nazwisko, chociaż mówi tak mało), pan Grimaud wpuszczony został do piwnicy, choć mocno był ranny, i znowu zatarasowali drzwi, wyprawiając nas z rozkazem, ażebyśmy siedzieli w sklepie.

— Lecz gdzież jest Athos nareszcie?...

— W piwnicy, proszę pana.

— Jakto, nieszczęsny, dotąd jeszcze w piwnicy go trzymasz?

— Wielki Boże! nie, panie! My mielibyśmy go trzymać! Pan nie wie, co on tam narobił? O! gdyby pan mógł wywabić go stamtąd, byłbym mu wdzięczny dozgonnie i czcił, jak swego patrona.

— Więc ja go zastanę w piwnicy?...

— Rozumie się, proszę pana, uparł się i nie wychodzi. Codziennie podają mu przez okienko na widłach chleb i mięso na żądanie: ale, niestety! on czego innego spożywa więcej. Pewnego razu spróbowałem tam wejść z dwoma chłopcami moimi, lecz uniósł się wściekłością okrutną. Posłyszałem odgłos pistoletów nabijanych i muszkietu, który ładował jego służący. A na zapytanie nasze, jakie mają zamiary, pan odpowiedział, że we dwóch ze swoim służącym rozporządzają czterdziestoma strzałami, i że wypalą je do ostatniego, zanim dozwolą, aby czyjabądź noga postała w piwnicy. Wtedy, panie, zaniosłem skargę do gubernatora, a ten odpowiedział, że dobrze mi tak i że będę miał na drugi raz naukę, jak to niebezpiecznie ubliżać wielkim panom, którzy raczą u mnie popasać.

— W ten sposób od tego czasu?... — przerwał d'Artagnan, dusząc się od śmiechu z płaczliwej miny gospodarza.

— W ten sposób od tego czasu, panie, pędzimy najsmutniejsze życie pod słońcem. Bo trzeba panu wiedzieć, iż wszystkie nasze zapasy są w piwnicy; jest tam wino w butelkach i w beczkach, oliwa, korzenie, słonina i salcesony, a ponieważ wstęp jest nam wzbroniony, zmuszeni jesteśmy odmawiać podróżnym naszym napitku i jedzenia, i w

ten sposób zajazd nasz z każdym dniem chyli się do upadku. Tydzień jeszcze z tym dobrodziejem w piwnicy, a przepadniemy z kretesem.

— I dobrze ci tak, hultaju!... Łatwo ci było poznać, że jesteśmy ludźmi znakomitymi, a nie żadnymi fałszerzami, nieprawdaż?

— Tak, panie, to prawda — rzekł oberżysta. — O! o!... słyszy pan?... znowu wpada w wściekłość!...

— Musiano go zaniepokoić — zauważył d'Artagnan.

— Ależ nie mogło być inaczej! — wykrzyknął oberżysta — przybyło do nas właśnie dwóch panów angielskich.

— Cóż stąd?...

— Anglicy lubią dobre wino, jak panu wiadomo; ci zażądali najlepszego. Żona moja pewnie zaniosła prośbę do pana Athosa o pozwolenie wejścia do piwnicy dla zadośćuczynienia żądaniu tych panów, a on, jak zwykle, odmówił. A!... na miłosierdzie boskie!... słyszy pan, jaka wrzawa!

D'Artagnan usłyszał istotnie straszny rumor od strony piwnicy.

Powstał i poprzedzany przez gospodarza, załamującego ręce i, mając za sobą Plancheta z odwiedzionym kurkiem u muszkietu, podszedł do miejsca, gdzie rozgrywała się scena.

Dwaj Anglicy byli w rozpaczy, kawał drogi zrobili i umierali z głodu i pragnienia.

— Ależ to tyranja oczywista!... — mówili płynnie po francusku, z lekkim tylko odcieniem cudzoziemskim — ażeby ten skończony warjat nie dał porządnym ludziom wina skosztować. Nuże, wyważmy drzwi, a jak się wścieknie, ha!... w łeb mu palniemy!

— Zwolna, panowie, zwolna!... — odezwał się d'Artagnan, wyjmując pistolety z za pasa — na to ja nie pozwolę.

— Dobrze, dobrze — odezwał się z poza drzwi spokojny głos Athosa — niech mi się tu pokażą ci zjadacze niewiniątek, zobaczymy, co z tego będzie.

Anglicy, jakkolwiek nie wyglądali na tchórzów, spojrzeli po sobie z wahaniem, jakby w piwnicy tej siedział ludożerca zgłodniały, bohater — olbrzym z bajek ludowych, do którego pieczary nikt przystąpić nie mógł bezkarnie.

Nastąpiła chwila milczenia; nareszcie wstyd im się było cofać i większy z nich junak zszedł kilka stopni na dół i tak silnie kopnął nogą we drzwi, że ustąpiłby nawet mur.

— Planchet — krzyknął d'Artagnan, odwodząc kurki u pistoletów — ja biorę na siebie tego u góry, a ty weź tego na dole. Chcecie bitwy, panowie! niech będzie bitwa!...

— Boże mój!... — zawołał Athos głosem basowym słyszę d'Artagnana, jak mi się zdaje.

— Nie mylisz się — odrzekł d'Artagnan, podnosząc głos — ja sam, drogi kolego.

— Pysznie! — rzekł Athos — zabierzemy się do tych wywalaczy drzwi.

Anglicy pochwycili szpady, lecz we dwa ognie byli wzięci.

Zawahali się jeszcze; jednakże, jak poprzednio, duma zwyciężyła i pod powtórnem kopnięciem drzwi rozpękły się na dwoje.

— Usuń się d'Artagnanie, usuń się — wołał Athos? usuń się, bo strzelę!...

— Panowie! — odezwał się d'Artagnan, którego nigdy nie odstępowała rozwaga — panowie! zastanówcie się!... Cierpliwości, Athosie! W złą sprawę wdajecie się, panowie, możecie się zasypać. Ja z moim pachołkiem damy do was trzy strzały, z piwnicy dostaniecie tyleż, a jeszcze pozostają nam szpady, któremi ja i mój przyjaciel władamy niezgorzej. Mnie przypada załatwienie wspólnej naszej sprawy. Słowem mojem wam ręczę, że niedługo będziecie mieli czem ugasić pragnienie.

— Jeżeli się co znajdzie — mruknął drwiąco Athos.

Oberżyście zimny pot wystąpił na plecy.

— Jakto, jeżeli się co znajdzie?... — wyszeptał.

— Co u djabła! przecież coś być jeszcze musi — odparł d'Artagnan — uspokój się, we dwóch nie wypili chyba całej piwnicy. Szpady do pochwy, panowie!...

— A pan pistolety za pas!...

— Najchętniej.

I d'Artagnan dał przykład. Zwrócił się następnie do Plancheta z rozkazem opuszczenia kurka u muszkietu.

Dali się przekonać Anglicy i, mrucząc, schowali szpady. Opowiedziano im historję uwięzienia Athosa. A ponieważ pochodzili z dobrej szlachty, całą winę zrzucili na oberżystę.

— A teraz, panowie — zakończył d'Artagnan — wracajcie do siebie, a ja zaręczam, że za dziesięć minut przyniosą wam, czego dusza zapragnie.

Anglicy skłonili się i wyszli.

— No, mój drogi Athosie, otwórz mi, proszę, skoro sam pozostałem.

— Zaraz, zaraz, natychmiast!... — odparł Athos.

Wtedy rozległ się odgłos odrzucanych kolejno klepek, bali, które upadały z jękiem; była to barykada Athosa, którą oblężony własnoręcznie niweczył.

Po chwili, drzwi wypadły i ukazała się blada twarz Athosa, który szybkim rzutem oka zbadał otoczenie.

D'Artagnan rzucił mu się w objęcia i ściskał serdecznie; nakoniec miał go wyciągnąć z tej jamy wilgotnej.

Wtedy dopiero spostrzegł, że Athos chwieje się na nogach.

— Ranny jesteś?... — zapytał.

— Ja? uchowaj Boże!... pijany jestem, jak bela, nic więcej, a niema człowieka pod słońcem, któryby na to usilniej pracował. Jak Bóg żywy! gospodarzu mój! wypiłem na siebie samego sto pięćdziesiąt butelek chyba.

— Litości!... jeżeli choć połowę tego wypił pachołek, jestem zrujnowany.

— Grimaud jest sługą dobrego domu i nie poważyłby się przejmować moich zwyczajów. Pił prosto z beczki; patrz, zdaje mi się, że zapomniał wsadzić szpontu? Słyszycie? leje się!...

D'Artagnan parsknął śmiechem, który dreszcze oberżysty zamienił w gorączkę.

Jednocześnie Grimaud wyłonił się z cienia, po za plecami pana swego, z muszkietem na ramieniu, głowa mu się trzęsła, wyglądał, jak pijany satyr z obrazu Rubensa.

Polany był z przodu i z tyłu tłustym płynem, w którym gospodarz poznał najlepszą swoją oliwę.

Pochód przeciągnął przez główną salę i rozgospodarował się w najlepszym z całej oberży pokoju, zajętym przez d'Artagnana na mocy pierwszeństwa.

Tymczasem oberżysta z żoną wpadli z lampkami w rękach do piwnicy, nieprzystępnej im od tak dawna, a widok przerażający przedstawił się ich oczom.

Po za fortyfikacją, w której Athos uczynił wyłom, aby się przedostać, złożoną z klepek, desek i próżnych antałków, nagromadzonych według wszelkich zasad strategji, tarzały się po ziemi w kałużach oliwy i wina poogryzane kości od szynek, stos potłuczonych butelek zalegał kąt lewy piwnicy, a beczka, której kran pozostał otwarty, traciła tym otworem ostatnie krople krwi.

Obraz zniszczenia i śmierci, według słów starożytnego poety, roztoczył się na polu bitwy.

Z pięćdziesięciu salcesonów, zawieszonych u pułapu, dziesięć zaledwie zostało.

Wtedy ryki rozpaczy oberżysty i jego małżonki przebiły sklepienia piwnicy i sam d'Artagnan czuł się niemi wzruszony. Athos nawet się nie obejrzał.

Wreszcie rozpacz zamieniła się w wściekłość. Uzbroiwszy się w rożen, oszalały oberżysta wpadł do pokoju dwóch przyjaciół.

— Wina!... — odezwał się Athos, ujrzawszy go.

— Wina! — wykrzyknął gospodarz osłupiały — wina!... ależ wypiłeś go pan za sto pistolów przeszło; jestem człowiekiem zrujnowanym, zgubionym!...

— Ba!... — rzekł Athos — mieliśmy ciągłe pragnienie.

— Gdybyście chociaż na tem poprzestali, ale potłukliście wszystkie butelki.

— Popchnęliście mnie na nie i potłukły się. Twoja wina.

— Oliwa moja przepadła...

— Oliwa, to balsam cudowny na rany, biedny Grimaud opatrywać musiał te, które mu zadałeś.

— Salcesony pożarte...

— Szczurów zatrzęsienie w tej piwnicy.

— Pan mi za to zapłacisz!... — krzyczał oberżysta zrozpaczony.

— Błaźnie!... — krzyknął Athos, powstając, lecz opadł zaraz na krzesło: dał miarę sił swoich.

D'Artagnan przyszedł mu w pomoc, wznosząc szpicrutę do góry.

Oberżysta cofnął się, zalany łzami.

— To cię nauczy — rzekł d'Artagnan — obchodzić się grzeczniej z gośćmi, których ci Pan Bóg zsyła.

— Pan Bóg!... prędzej djabeł!...

— Mój drogi — zaczął d'Artagnan — jeżeli nam będziesz skrzeczał nad głową, zamkniemy się w piwnicy we czterech i zobaczymy sami, czy naprawdę spustoszenie jest tak wielkie, jak mówisz.

— Wyznaję, panowie! zawiniłem, lecz dla każdego grzesznika jest zmiłowanie: jesteście jaśnie panami, a ja mizernym oberżystą, będziecie mieli litość nademną.

— A!... skoro tak będziesz mówił — odezwał się Athos — serce mi się krajać gotowe, a łzy potoczą się z oczu, jak wino z twoich antałków. Nie taki djabeł czarny, jak go malują, zbliż się tu i porozmawiajmy.

Oberżysta postąpił niespokojny.

— Chodź, kiedy ci mówię, nie bój się — kończył Athos. — Pamiętasz, gdy miałem ci płacić, położyłem na stole sakiewkę.

— Tak, jaśnie panie.

— Sakiewka ta zawierała sześćdziesiąt pistolów... gdzież ona jest?

— Znajduje się w kancelarji sądowej, jaśnie panie, powiedziano, że to fałszywa moneta.

— Każ więc sobie ją oddać i weź te sześćdziesiąt pistolów.

— Jaśnie pan wie przecież, że co do kancelarji sądowej wpadnie, to i przepadnie. Gdybyż to były pieniądze fałszywe, byłaby jeszcze nadzieja, lecz skoro są dobre...

— Ułóżcie się tam, mój zuchu, to już mnie nie obchodzi, tembardziej, że nie mam ani grosza więcej.

— Czekajcie!... — odezwał się d'Artagnan — gdzie jest koń Athosa?

— W stajni.

— Co może być wart?...

— Pięćdziesiąt pistolów najwyżej.

— Wart osiemdziesiąt?... weź go i koniec.

— Co znowu?... konia mojego sprzedajesz, mojego Bajazeta?... a na czem ja na wojnę pojadę, czy na Grimaudzie?

— Przyprowadziłem ci innego — rzekł d'Artagnan.

— Innego?

— I to wspaniałego — zawołał gospodarz.

— Skoro jest inny, piękniejszy i młodszy, zabierz starego, a dawaj pić.

— Ale jakiego wina? — zapytał gospodarz, całkiem rozpogodzony.

— Tego, co stoi wgłębi przy krokwiach; będzie tam jeszcze dwadzieścia pięć butelek, reszta się potłukła, gdy upadłem. Przynieś mi sześć.

— To piorun, nie człowiek — szepnął na stronie oberżysta — jeżeli posiedzi tu dwa tygodnie, a będzie płacił, co wypije, stanę na nogi, jak się należy.

— A nie zapomnij — dodał d'Artagnan — zanieść cztery butelki tego samego wina dwom panom angielskim.

— Tymczasem — rzekł Athos — zanim przyniosą nam wina d'Artagnanie, opowiedz mi, co słychać z naszymi: bardzo jestem ciekawy.

D'Artagnan opowiedział mu, jak Porthosa zastał w łóżku ze zwichniętą nogą, Aramisa zaś za stołem pomiędzy dwoma teologami.

Przy końcu opowiadania wszedł gospodarz z żądanemi butelkami i szynką, która na szczęście znajdowała się poza obrębem piwnicy.

— Dobrze — rzekł Athos, napełniając dwa kieliszki — ten za Porthosa... a ten za Aramisa zdrowie; lecz co tobie przyjacielu? masz taką minę grobową...

— Niestety! — westchnął d'Artagnan — ponieważ jestem najnieszczęśliwszym człowiekiem na ziemi!

— Ty, nieszczęśliwy?... Ciekawy jestem, co to za nieszczęście? Powiedz!...

— Później — rzekł d'Artagnan.

— A to czemu? może myślisz, żem pijany, d'Artagnanie? Zapamiętaj to sobie, nigdy myśl moja nie jest tak jasną, jak przy winie. Mów... słucham cię obydwoma uszami.

D'Artagnan opowiedział swoją przygodę z panią Bonacieux.

Athos wysłuchał z całym spokojem, a gdy skończył:

— Nędza, wszystko nędza!... — rzekł.

Takie było jego przysłowie.

— Ty wszystko nazywasz nędzą, mój drogi!... — przerwał d'Artagnan — nie przystoi ci tak mówić, tobie, który nie kochałeś nigdy.

Przygasłe oczy Athosa zapłonęły nagle; lecz ogień ten przemknął, jak błyskawica, przesłoniła je zwykła pomroka smutku.

— Prawda — rzekł spokojnie — ja nigdy nie kochałem.

— Widzisz więc, ty masz serce z kamienia i źle robisz, będąc tak surowym dla nas, co mamy czułe serca.

— Czułe, strzałą przeszyte serca!... — zadeklamował Athos.

— Co mówisz?...

— Mówię, że miłość jest loterją, na której wygrywający zdobywa śmierć! Szczęście twoje, żeś przegrał, wierzaj mi, mój drogi. A jeśli chcesz posłuchać mojej rady, przegrywaj zawsze.

— Zdawało się, że ona mnie tak kocha!

— Zdawało ci się.

— O! ona mnie kochała!

— Dziecko! niema mężczyzny, któryby w to nie wierzył, i niema takiego, któryby się nie zawiódł.

— Z wyjątkiem ciebie, boś nie miał nigdy kochanki.

— To prawda — odparł Athos po chwili milczenia ja... ja nie miałem jej nigdy. Pijmy!

— Skoro taki filozof z ciebie, naucz mnie!... wspomóż!... potrzebuję nauki i pociechy.

— Pociechy? w czem?

— W mojem nieszczęściu.

— Śmiech bierze na twoje nieszczęście — rzekł Athos, wzruszając ramionami — ciekawy jestem, cobyś powiedział, gdybym ci opowiedział pewną przygodę miłosną.

— Twoją?

— Lub którego z moich przyjaciół, mniejsza o to.

— Powiedz mi, powiedz!...

— Pijmy, lepiej zrobimy.

— Pij i opowiadaj.

— Ha! dobrze — rzekł Athos, wychylając i napełniając kieliszek — te dwie rzeczy nieźle chodzą w parze.

— Słucham.

Athos zamyślił się; im dłużej to trwało, bladł coraz mocniej. Znajdował się on w tem stadjum odurzenia, w którym pospolici pijacy padają znużeni snem. On nie spał, marzył tylko głośno. To junactwo pijackie miało w sobie coś przerażającego

— Koniecznie chcesz? — zapytał.

— Proszę... — odrzekł d'Artagnan.

— Niech się stanie, czego żądasz.

— Jeden z moich przyjaciół, rozumiesz! nie ja — rzekł, przerywając sobie ze śmiechem ponurym — pewien hrabia z mojej prowincji, czyli z Berry, szlachetnie urodzony, jak jaki Dandolo lub Montmorency, rozkochał się, mając dwadzieścia pięć lat, w dziewczynie szesnastoletniej, pięknej, jak anioł. Z poza niewinności dziecięcej przebijał umysł żywy, umysł niekobiecy, poetyczny; mało powiedzieć, że podobała się... upajała. Żyła ona w małem miasteczku, przy bracie, który był proboszczem.

W tych stronach oboje byli nowymi przybyszami; skąd?... nikt nie wiedział; lecz, że była piękna, a brat jej świątobliwy, nikomu na myśl nie przyszło pytać, skąd się wzięli.

Zresztą krążyły pogłoski, jakoby byli dobrego pochodzenia. Przyjaciel mój, który był panem na całą okolicę, mógł uwieść ją, lub wziąć przemocą, zależało to od jego woli, wolno mu było!... któżby się był ujął za cudzoziemcami, za nieznanymi?... Na nieszczęście, był to człowiek uczciwy, poślubił ją. Głupiec, dureń, niedołęga!...

— Dlaczego?... skoro ją kochał? — zapytał d'Artagnan.

— Zaczekaj — mówił Athos. — Wprowadził ją do swojego zamku i uczynił z niej najpierwszą damę w okolicy; a trzeba jej przyznać, że umiała utrzymać się na stanowisku.

— Co dalej? — pytał d'Artagnan.

— Otóż! gdy była na polowaniu z małżonkiem ciągnął Athos głosem przytłumionym, mówiąc coraz szybciej — spadła z konia i zemdlała; hrabia rzucił się na jej ratunek, a ponieważ cisnęły ją suknie, przeciął je sztyletem i odsłonił ramiona. Zgadnij, co na jednem z nich było, d'Artagnanie?... — rzekł Athos, wybuchając strasznym śmiechem.

— Skądże mogę wiedzieć?

— Kwiat lilji! — powiedział Athos. — Była napiętnowana.

I duszkiem wychylił kielich, trzymany w ręku.

— To zgroza!... — wykrzyknął d'Artagnan — co ty mówisz?

— Prawdę!... Anioł był szatanem. Nieszczęsna dziewczyna była złodziejką.

— Cóż wtedy zrobił hrabia?

— Był wielkim panem, miał w dobrach swoich prawo życia i śmierci, podarł do reszty suknie hrabiny, związał jej ręce na plecach i powiesił na drzewie.

— O nieba!... Athosie!... — morderstwo!... — krzyknął d'Artagnan.

— Tak, morderstwo, nic więcej... — rzekł Athos blady, jak śmierć. — Ale wina nam braknie, jak mi się zdaje.

I porwał ostatnią butelkę za szyjkę, przyłożył do ust, wychylił duszkiem, jakby zwyczajny kieliszek.

Potem opuścił głowę na dłonie; d'Artagnan stał przed nim, przejęty grozą.

— Wyleczyło mnie to z kobiet pięknych, poetycznych i rozkochanych — rzekł, powstając, zaniechawszy w dalszym ciągu apologji hrabiego. — Daj ci Boże to samo! Pijmy!

— Umarła więc?... — wyjąkał d'Artagnan.

— Do licha!... — przerwał mu Athos. — Dawajże kieliszek. Szynki, chamie!... — krzyknął Athos — nie możemy już pić!...

— Co się z bratem jej stało? — począł lękliwie d'Artagnan.

— Z bratem?... — odparł Athos.

— Tak, z tym księdzem.

— O! dowiadywałem się o niego, aby go także pochwycić; ale uprzedził mnie, o dzień wcześniej opuścił probostwo...

— Czy przynajmniej dowiedziano się, kto był ten nędznik?...

— Bezwątpienia!... był to pierwszy kochanek i wspólnik dziewczyny, zacna osobistość, udająca proboszcza, dlatego może, aby wydać za mąż swoją kochankę i w ten sposób los jej zabezpieczyć. Spodziewam się że został poćwiartowany.

— O! Boże mój!... Boże!... — odezwał się d'Artagnan, oszołomiony tą straszną opowieścią.

— Spróbujże tej szynki, d'Artagnanie, wyśmienita? — rzekł Athos, krając kawał olbrzymi i kładąc mu na talerz. — Szkoda, że chociaż czterech takich nie było w piwnicy! wypiłbym o pięćdziesiąt butelek więcej.

D'Artagnan nie mógł dłużej znieść tej rozmowy, czuł, że przyprawiłaby go o szaleństwo.

Oparł głowę na rękach, udając, że zasypia.

— Teraz młodzież nie umie pić!... — rzekł Athos, patrząc na niego z politowaniem — a jednak lepszy ten jest od wielu innych...

Tom II

Rozdział I. Powrót

Zwierzenia Athosa oszołomiły d'Artagnana.

Ale w tem odkryciu połowicznem pozostało dużo stron niejasnych.

Po pierwsze, pochodziło ono z ust pijanego, a uczynione zostało człowiekowi, któremu nieźle zakręciło się w głowie, a jednak, pomimo wspomnień, zmąconych wyziewami paru butelek burgunda, d'Artagnan, przebudziwszy się nazajutrz rano, miał każde słowo Athosa w pamięci, jakgdyby wyryło mu się w umyśle.

Te wątpliwości pobudziły w nim pragnienie tem większe zdobycia jakiejś pewności, poszedł do przyjaciela z zamiarem rozpoczęcia wczorajszej rozmowy.

Zastał Athosa wytrzeźwionego zupełnie, co znaczy najprzebieglejszego i najbardziej nieprzeniknionego z ludzi.

Athos nawet, uścisnąwszy mu rękę, sam uprzedził jego myśl.

— Okrutnie pijany byłem wczoraj, drogi d'Artagnanie — rzekł — czuję to dziś jeszcze po kołowatym języku i pulsie przyśpieszonym; założyłbym się, że powiedziałem tysiące niedorzeczności.

To mówiąc, spojrzał bystro na przyjaciela, co tegoż zmieszało mocno.

— Gdzież tam — odparł d'Artagnan — o ile przypominam sobie, nic nadzwyczajnego nie mówiłeś.

— Zadziwiasz mnie! Zdawało mi się, żem najsmutniejszą historję opowiadał.

I patrzył na młodzieńca, jak gdyby na dno serca zajrzeć mu pragnął.

— Na honor!... — odparł d'Artagnan — byłem widocznie więcej, niż ty, pijany, skoro nic sobie nie przypominam.

Nie zadowolił się tem Athos i począł:

— Uważałeś zapewne, mój drogi, że ilu jest ludzi, tyle rodzajów pijaństwa, smutnego lub pełnego wesołości; mnie upojenie doprowadza do smutku i niech mi raz tylko zakręci się w głowie, napada mnie manja opowiadania ponurych bajek, która głupia

moja mamka wraziła mi w pamięć. To moja wada, wada główna, wyznaję... lecz, pominąwszy ją, dobry ze mnie pijak.

Athos mówił to w sposób tak naturalny, że d'Artagnan uczuł się zachwiany w swojem przekonaniu.

— A!... rzeczywiście było tak — począł młodzieniec, usiłując pochwycić prawdę — przypominam sobie, jakby sen jaki, że mówiliśmy o wisielcach.

— A widzisz! — rzekł Athos, siląc się do śmiechu, pomimo bladości, jaka pokrywała twarz jego — byłem tego pewny, wisielcy, to moja zmora.

— Tak, tak, przypominam sobie teraz; tak, była mowa... zaczekaj... była mowa o kobiecie.

— Patrzaj — odrzekł Athos, zieleniejąc prawie — to moja zwykła bajka o blondynce, a kiedy ją opowiadam, jestem pijany, jak bela.

— Tak, tak samo — ciągnął d'Artagnan — historja o blondynce, wysokiej, pięknej z niebieskiemi oczami.

— I powieszonej.

— Przez jakiegoś wielkiego pana, którego znasz — ciągnął d'Artagnan, bystro patrząc na Athosa.

— Jakże to łatwo skompromitować człowieka, gdy nie zdajemy sobie sprawy z tego, co mówimy — odrzekł Athos, wznosząc ramiona, jakby z politowaniem nad samym sobą — nie chcę więcej zaprószać sobie głowy, d'Artagnanie, to nader brzydkie przyzwyczajenie.

D'Artagnan milczał.

Nareszcie Athos, nagle zmieniając tok rozmowy, wyrzekł:

— Ale, dziękuję ci za konia, którego przyprowadziłeś dla mnie.

— Podoba ci się? — zapytał d'Artagnan.

— Podoba, lecz nie jest to koń do ciężkich trudów.

— Mylisz się; ujechałem na nim sześć mil w półtorejgodziny niespełna, a wyglądał tak, jak gdyby tylko obiegł plac Ś-go Sulpicjusza.

— Otóż masz! gotowym żałować.

— Żałować?...

— A tak, bo się go pozbyłem.

— Jakto?

— Wstałem dziś o szóstej, ty spałeś, jak zabity, a ja nie miałem co robić; czułem się całkiem przytępiony pijatyką wczorajszą; udałem się do sali i spostrzegłem jednego z

naszych Anglików, targujących się z handlarzami koni, ponieważ wierzchowiec jego zdechł wczoraj. Podszedłem do niego, a widząc, że daje sto pistolów za przepalonego bułanka, przebóg, mój panie, mówię do niego, ja mam także konia na sprzedanie.

— I bardzo ładnego nawet — rzekł — widziałem go wczoraj, trzymał go pachołek przyjaciela pańskiego.

— Czy pan sądzisz, że wart sto pistolów?

— O!... tak, ale czy pan się zgodzisz oddać mi go w tej cenie?

— Nie, lecz mogę postawić go na stawkę.

— Na stawkę do mnie?

— Tak.

— A w co będziemy grali?

— W kości.

— Stało się, jak się rzekło, i przegrałem konia. Ale i to dobre — ciągnął dalej Athos — że odegrałem czaprak.

D'Artagnan spochmurniał.

— Przykrość ci to sprawia?

— Rozumie się, że jeżeli mam ci powiedzieć prawdę — odparł d'Artagnan — koń ten miał służyć do wyróżnienia nas kiedyś w bitwie; był to dar, pamiątka. Źle zrobiłeś, Athosie.

— E!... mój drogi, postaw się w mojem miejscu; nudziłem się śmiertelnie, a zresztą, na honor, nie lubię koni angielskich. Słuchaj!... jeżeli o to tylko chodzi, aby przez kogoś zostać poznanym, w takim razie, siodło wystarczy; jest ono niepospolite. A co do konia, znajdzie się jakaś wymówka na usprawiedliwienie jego zniknięcia. Cóż u djabła! koń także jest śmiertelny; dajmy na to nosaty był, albo parszywy.

D'Artagnan nie rozpogodził się bynajmniej.

— Przykro mi mocno, że tak bardzo ci chodzi o tebydlęta, gdyż to nie koniec jeszcze mego opowiadania.

— Cóżeś tam jeszcze zrobił?

— Przegrawszy mojego konia, dziewięć przeciw dziesięciu, patrz, co za los! przyszła mi myśl twojego postawić.

— Spodziewam się jednak, że poprzestałeś na tej myśli?

— Wcale nie, wprowadziłem ją w czyn natychmiast.

— Otóż masz!... — zawołał przestraszony d'Artagnan.

— Grałem i przegrałem.

— Mojego konia?

— Twojego; siedem przeciw ośmiu; o jeden punkt, znasz przysłowie.

— Athosie, tyś nie przy zdrowych zmysłach, przysięgam!...

— Mój drogi, wczoraj trzeba mi było to mówić, kiedy opowiadałem głupie historje, a nie dziś. Przegrałem go więc z całym rynsztunkiem.

— To okropne!

— Posłuchaj, ty nic nie wiesz, ze mnie gracz byłby znakomity, gdybym nie był uparty; zapędzam się tak samo, jak przy piciu, zapędziłem się więc...

— Lecz o cóż już grać mogłeś, skoro nic ci nie pozostało?

— O!... mój przyjacielu, pozostawał nam jeszcze djament, migocący na twoim palcu, zauważyłem go wczoraj.

— Ten djament? — zawołał d'Artagnan, z żywością dotykając pierścienia.

— A jako znawca, ponieważ miałem podobne w domu, oceniłem go na tysiąc pistolów.

— Spodziewam się — rzekł d'Artagnan poważnie, ledwie żywy z przerażenia — iż nie wspomniałeś o nim.

— Przeciwnie, mój drogi: djament ten pozostał ostatnią ucieczką naszą; dzięki djamentowi, mogłem odegrać uprząż i konie nasze, a nadto pieniądze na drogę.

— Athosie, przerażasz mnie — wykrzyknął d'Artagnan.

— Wspomniałem więc partnerowi mojemu o tym djamencie, który i jego uwagę zwrócił. Co u djabła znowu, mój drogi, nosisz na palcu gwiazdę niebieską i chcesz, żeby jej nikt nie widział! Czyste niepodobieństwo!

— Kończ, mój drogi, kończ! — przerwał mu d'Artagnan — bo, daję słowo, twój spokój o śmierć mnie przyprawi.

— Podzieliliśmy więc ten klejnot na dziesięć części, po sto pistolów każda.

— A! drwisz sobie, aby mnie wypróbować? — odezwał się d'Artagnan, którego gniew poczynał chwytać za czuprynę, jak Minerwa Achillesa w Iliadzie.

— Ja wcale nie żartuję, do licha! chciałbym cię na mojem miejscu widzieć! dwa tygodnie już, jak twarzy ludzkiej nie oglądałem i zbydlęciałem w zetknięciu z butelkami.

— To wcale nie racja, żeby przegrywać mój djament! — odpowiedział d'Artagnan, zaciskając pięść kurczowo.

— Posłuchajże do końca; dziesięć części po sto pistolów każda w dziesięciu stawkach bez rewanżu; przegrałem wszystko w trzynastu pociągnięciach, w trzynastu: liczba 13 była mi zawsze fatalną, było to 13-go lipca, kiedy...

— Do wszystkich djabłów! — krzyknął d‘Artagnan, zrywając się od stołu, historja dzisiejsza zatarła wczorajszą w jego pamięci.

— Cierpliwości — przemówił Athos — jeszcze nie koniec. Anglik jest dziwak, widziałem go rozmawiającego z Grimaudem, a Grimaud mnie ostrzegł, że robił mu propozycję przyjęcia służby u niego. Daję Grimauda na stawkę, milczącego Grimauda, podzielonego na dziesięć części.

— Na dobitek!... — rzekł d‘Artagnan pomimowolnie wybuchając śmiechem.

— Grimauda we własnej jego osobie, rozumiesz! i dziesięcioma częściami Grimauda, który nie wart oberżniętego dukata, odegrywam djament. Powiedz teraz, że upór nie jest cnotą.

— To pocieszne, na honor! — zawołał d‘Artagnan, trzymając się za boki ze śmiechu.

— Pojmujesz, że gram dopóki czuję wenę; zaczynam na nowo grać o djament!...

— Idź do djabła! — odezwał się d‘Artagnan, na nowo się zachmurzając.

— Odegrałem już twoją uprząż, potem konia twego, następnie mojego i znowu przegrałem. Potem znowu odbiłem twoją uprząż i moją. Na tem stanęliśmy. Pysznie się udało; to też nie puszczałem się dalej.

D‘Artagnan odetchnął, jakby mu ratusz zdjęto z piersi.

— Więc djament pozostaje przy mnie? — nieśmiało zapytał.

— Nietknięty! a w dodatku rzędy naszych Bucefałów.

— Lecz na cóż nam się przydadzą bez koni?...

— Mam ja na nie pewne zamiary.

— Athosie, ty mnie przerażasz.

— Słuchaj, ty nie grałeś już oddawna?

— I nie mam chęci najmniejszej.

— Nie należy się niczego wyrzekać. Nie grałeś oddawna, jak mówiłem, to musisz mieć szczęśliwą rękę.

— Cóż stąd?

— Otóż Anglik z towarzyszem są tutaj jeszcze. Zauważyłem, że żal im bardzo uprzęży. Tobie widocznie zależy na koniu. Na twojem miejscu, stawiłbym uprząż o niego.

— Nie będzie chciał tak małej stawki, jak jedna uprząż.

— Stawiaj dwie! ja nie jestem taki, jak ty samolub.

— Doprawdy?... — zapytał d‘Artagnan zachwiany, tak dalece pewność Athosa poczęła się bezwiednie i jemu udzielać.

— Wygrasz odrazu, słowo uczciwości daję.

— Bo widzisz, skoro straciliśmy konie, chciałbym niezmiernie utrzymać się choć przy uprzęży.

— W takim razie postaw djament.

— O! to zupełnie co innego; nigdy, przenigdy.

— Djabli nadali! Zaproponowałbym ci dać Plancheta na stawkę.

— Ja wolę stanowczo nic już nie ryzykować.

— Szkoda… — rzekł ozięble Athos — ten Anglik jest wypchany pistolami. E! co tam!… raz jeden spróbuj, jeden raz, to niedługo potrwa.

— A jeżeli przegram?

— Wygrasz.

— Ale jeżeli przegram?

— No, to oddasz uprząż.

— Niech będzie jeden raz — przystał d'Artagnan.

Athos puścił się na poszukiwanie Anglika i zastał go w stajni, przyglądającego się uprzęży okiem pożądliwości. Dobrze się trafiło. Postawił mu swoje warunki; dwa rzędy przeciw jednemu koniowi, albo sto pistolów, do wyboru. Anglik obliczył się szybko; rzędy warte być mogły trzysta pistolów; przyjął stawkę.

D'Artagnan ze drżeniem rzucił kości: padły na trójkę; bladość jego przeraziła Athosa, ale powiedział tylko:

— Nie tęgi rzut, towarzyszu mój; będziesz pan miał konie z pełnym rzędem.

Triumfujący Anglik nie troszczył się nawet by zamieszać kości, tak pewny był zwycięstwa.

D'Artagnan odwrócił się dla pokrycia złego humoru.

— No, no, patrzcie — odezwał się Athos z właściwym sobie spokojem — niezwykły rzut w życiu mojem tylko cztery takich widziałem: dwa asy!…

Anglik spojrzał i zdziwił się, d'Artagnan spojrzał i radością się uniósł.

— Tak — ciągnął dalej Athos — tylko cztery razy: jeden u pana de Cregny; drugi u mnie, na wsi, w moim zamku… kiedy jeszcze miałem zamek; a trzeci u pana de Tréville, czem w podziwienie nas wprawił; czwarty raz nareszcie, w szynkowni padł na mnie i przegrałem sto luidorów i kolację.

— Pan zatem odbiera swojego konia? — odezwał się Anglik.

— Tak — rzekł d'Artagnan.

— Bez rewanżu?…

— Warunki nasze tak opiewały, zechciej pan sobie przypomnieć.

— Prawda; koń będzie zwrócony pańskiemu służącemu.

— Chwilkę, panowie — odezwał się Athos — za pozwoleniem, słówko mam do powiedzenia przyjacielowi mojemu.

— Proszę.

Athos pociągnął d'Artagnana na stronę.

— Czego chcesz odemnie, kusicielu! — przemówił d'Artagnan — każesz mi grać jeszcze, wszak tak?...

— Nie, chcę tylko, abyś się zastanowił.

— Nad czem?

— Odbierasz konia, prawda?

— Rozumie się.

— To źle, ja wziąłbym sto pistolów; wiesz przecie, że postawiłeś rzędy przeciw konia, lub sto pistolów, do wyboru.

— No, tak.

— Ja wziąłbym sto pistolów.

— Otóż ja biorę konia.

— Źle robisz, mówię ci; co po koniu na nas dwóch, nie mogę przecież usiąść za tobą, wyglądalibyśmy, jak dwaj synowie Aymona po stracie brata swego; nie możesz także poniżać mnie, paradując konno, gdy ja będę dreptał pieszo. Jabym nie wahał się ani chwilki i wziąłbym sto pistolów; i potrzebujemy pieniędzy na powrót do Paryża.

— Mnie o konia chodzi, Athosie.

— Źle robisz, bracie; koń może się spleczyć, zakuleć, zbić kolana, jeść u żłobu, gdzie jadły konie nosate, i już po koniu, czyli po stu pistolach; konia żywić musi właściciel, gdy tymczasem pieniądze właściciela żywią.

— Lecz jak powracać będziemy?...

— Na koniach pachołków naszych, do kata!... z miny i czupryny każdy pozna, że jesteśmy ludzie znakomici.

— Piękna mi mina na podjezdkach, gdy Aramis i Porthos pysznić się będą swoimi rumakami.

— Aramis!... Porthos!... — zawołał Athos, i począł się śmiać okropnie.

— Co takiego? — zapytał d'Artagnan, nie mogąc zdać sobie sprawy z tej wesołości.

— No, no, skończymy już raz — rzekł Athos.

— Więc zdaniem twojem?...

— Mojem zdaniem, należy wziąć sto pistolów, d‘Artagnanie; z tą setką ucztować będziemy do końca miesiąca; bo widzisz, strudzeni jesteśmy, dobrze będzie trochę wypocząć.

— Ja mam wypoczywać!... nie, Athosie, jak tylko stanę w Paryżu, puszczam się na poszukiwanie tej nieszczęśliwej kobiety.

— Słuchaj! czy sądzisz, że koń tak dalece ci się przyda, co brzęczące luidory w ręku! bierz sto pistolów, bracie, bierz.

D‘Artagnan czekał tylko okazji, ażeby się dać nakłonić. Ostatnia była wystarczająca. Zresztą, opierając się dłużej, mógł być posądzony przez Athosa o samolubstwo; zgodził się więc i wziął sto pistolów, które mu Anglik wyliczył natychmiast.

Zabrano się do odjazdu. Podpisanie ugody pokojowej kosztowało sześć pistolów, nie licząc w to starego Athosowego konia; panowie wsiedli na podjezdki pachołków, Planchet zaś i Grimaud puścili się pieszo z siodłami na głowach.

Jakkolwiek nie tęgie mieli konie nasi kawalerzyści, wyprzedzili jednak swą służbę i stanęli w Crèvecoeur.

Zdaleka spostrzegli Aramisa w melancholijnej pozie, wspartego na oknie i zapatrzonego w mgliste widnokręgi.

— Hola! Aramis!... co tam robisz, u djabła? — zawołali na niego dwaj przyjaciele.

— A! to wy!... — odpowiedział, jak ze snu zbudzony, młodzieniec — dumałem właśnie nad znikomością dóbr tego świata, a koń mój angielski, oddalający się i niknący w obłoku pyłu, był mi żywym obrazem nietrwałości rzeczy ziemskich. Życie samo da się streścić w tych trzech słowach: Erat, est, fuit.

— Cóż to ma znaczyć? — zapytał d‘Artagnan, poczynając domyślać się prawdy.

— To ma znaczyć, że dałem się w targu oszwabić: sześćdziesiąt luidorów za konia, który tak chodzi, że truchtem może zrobić trzy mile na godzinę.

D‘Artagnan i Athos wybuchnęli śmieche.

— Drogi d‘Artagnanie — rzekł Aramis — nie miej do mnie urazy, proszę, potrzeba mi pieniędzy; wreszcie ja pierwszy ponoszę karę, ten handlarz infamis obdarł mnie najmniej na pięćdziesiąt luidorów. Wy, co innego, dobrze się rządzicie! jedziecie na podjezdkach waszych pachołków, a luzem prowadzić każecie wasze paradne konie, powolutku, z odpoczynkami.

Jednocześnie wóz towarowy, który zarysowywał się od pewnego czasu na drodze z Amiens zatrzymał się, a Grimaud i Planchet wygramolili się z niego z siodłami na głowach.

Wóz próżny powracał do Paryża, a dwaj pachołkowie w zamian za gaszenie pragnienia, na które cierpiał woźnica, podwiezieni przez niego zostali.

— A to znowu co?... — odezwał się Aramis, widząc co się święci — siodła tylko?...

— Zrozumiałeś teraz?... co? — podchwycił Athos.

— Drodzy moi, to słowo w słowo, jak ja. Przeczuciem tylko zachowałem uprząż. Hola, Bazin! połóż tu mój rząd nowy z siodłem, razem z siodłami panów.

— Cóżeś z klechami swoimi zrobił? — zagadnął d'Artagnan.

— Zaprosiłem ich na obiad; wyborne tu wina mają, mówiąc nawiasem; spoiłem ich należycie; proboszcz zabronił mi zrzucenia munduru, a jezuita prosił mnie na wszystko, żeby ułatwić mu wstąpienie do muszkieterów.

— Bez napisania rozprawy! — zawołał d'Artagnan.

— Od tego czasu — ciągnął Aramis — życie mi błogo upływa. Zacząłem pisać poemat wierszem jednosylabowym; dosyć to trudne, lecz na trudnościach polega zasługa wszelkiej rzeczy. Treść jest światowa, przeczytam wam pieśń pierwszą, składa się ona z czterystu wierszy, a czytanie trwa zaledwie minutę.

— Słowo ci daję, Aramisie — odezwał się d'Artagnan, który narówni z łaciną wierszy nienawidził — połącz krótkość z trudnością, a pewnym być możesz, że twój poemat posiadać będzie dwie zasługi.

— Przytem — prawił dalej Aramis — zobaczycie, ile w nim namiętności szlachetnej. Hejże! przyjaciele, powracamy do Paryża. Brawo! jadę; zobaczymy naszego Porthosa, wybornie. Nie uwierzycie, jak mi tego olbrzymiego gułptasa brakło! onby za królestwo nie sprzedał swego konia. Chciałbym go już na nim widzieć. Pewny jestem, że będzie wyglądał na Wielkiego Mogoła.

Dali koniom wytchnąć przez godzinę; Aramis zapłacił rachunki, Bazina wpakował na wóz z jego towarzyszami, i wyruszyli, aby się połączyć z Porthosem.

Zastali go na nogach, nie tak bladego, jak za pierwszemi odwiedzinami d'Artagnana, i stół zastawiony na czterech, chociaż on sam jeden był tylko; na stole nęciły mięsiwa ponętnie przyprawione, wina wyborne i pyszne owoce.

— A! towarzysze mili — zawołał, biegnąc na ich spotkanie — przybywacie w porę, siadałem właśnie do zupy, proszę was na obiad, panowie.

— Oho! — odezwał się d'Artagnan — tych butelek Mousqueton nie chwytał na lasso, przytem cielęcina szpikowana, polędwica wołowa...

— Odżywiam się, odżywiam — odparł Porthos — nictak nie osłabia, jak te djabelskie zwichnięcia; czyś ty zwichnął sobie kiedy cokolwiek, Athosie?

— Nigdy; przypominam sobie tylko, że w owej utarczce przy ulicy Férrou takie cięcie dostałem, że po dwóch tygodniach przeszło czułem je, jak świeże.

— Czyż podobna, aby ten obiad był dla ciebie tylko, Porthosie? — rzekł Aramis.

— Nie — odparł tenże — oczekiwałem pewnych panów z sąsiedztwa, którzy kazali mi oznajmić przed chwilą, że nie przybędą; zastąpicie ich, a ja nic na zamianie nie stracę. Hola! Mousqueton! podaj stołki i drugie tyle butelek.

— Czy wiecie, co my tu jemy?... — zagadnął Athos po upływie kilku minut.

— Do licha! — odparł d'Artagnan — cielęcinę nadziewaną karczochami.

— A ja comber z jagnięcia — rzekł Porthos.

— A ja potrawę z drobiu — odezwał się Aramis.

— Mylicie się, panowie — odrzekł poważnie Athos — jecie koninę.

— Co mówisz! — zawołał d'Artagnan.

— Koninę, — odezwał się Aramis z obrzydzeniem.

Porthos tylko milczał.

— Tak, koninę!... nieprawdaż Porthosie, że koninę jemy? I nawet może z czaprakiem!

— Nie, panowie, czaprak zachowałem — rzekł Porthos.

— Na uczciwość, wszyscyśmy siebie warci — rzekł Aramis — ktoby myślał, że się umówiliśmy?

— Cóż chcecie — ozwał się Porthos — ten koń zawstydzał gości moich, nie chciałem więc ich poniżać!

— Zresztą, twoja księżna nie powraca z wód, wszak się nie mylę? — odparł d'Artagnan.

— Nie powraca — rzekł Porthos. — Daję wam słowo, gubernator tutejszy, szlachcic dostojny, który miał być dzisiaj u mnie na obiedzie, tak pragnął tego konia, że mu go nareszcie dałem.

— Dałeś? — zawołał d'Artagnan.

— O! Boże! dałem! tak się to mówi! — rzekł Porthos — wart był z pewnością sto pięćdziesiąt luidorów, a ten kutwa nie chciał dać więcej nad ośmdziesiąt.

— Bez siodła? — pytał Aramis.

— Tak, bez siodła.

— Zauważcie, panowie — ozwał się Athos, że jeden Porthos z nas wszystkich najlepszy zrobił interes.

Wtedy dopiero nastąpiły wybuchy śmiechu, które zmieszały biednego Porthosa; lecz wkrótce wytłumaczono mu przyczynę tej wesołości, którą według zwyczaju podzielił bardzo głośno.

— W ten sposób wszyscy jesteśmy przy groszu.

— Tylko nie ja — ozwał się Athos — wino hiszpańskie Aramisa tak mi przypadło do smaku, że kazałem wpakować sześćdziesiąt butelek razem ze sługami do furgonu; wysupłałem się więc do szczętu.

— A ja — rzekł Aramis — wyobraźcie sobie do ostatniego grosza wydałem na kościoły w Montdidier i jezuitów w Amiens; miałem wreszcie pewne zobowiązania, których dotrzymać musiałem, msze zamówione za was, panowie, i za mnie, które, gdy odprawione zostaną, bezwątpienia pomogą nam bardzo.

— Czy myślicie, panowie, że moje zwichnięcie nic mnie nie kosztowało? nie licząc już rany Mousquetona, dla której zmuszony byłem dwa razy dziennie sprowadzać chirurga, a ten kazał sobie płacić podwójnie za każdą wizytę, pod pozorem, że ten błazen Mousqueton pozwolił wpakować sobie kulę w takie miejsce, które aptekarzom tylko pokazywać można; zapowiedziałem mu też srogo, aby odtąd nie ważył się ranić w takie części ciała.

— No, no — rzekł Athos, zamieniając uśmiech porozumienia z d'Artagnanem i Aramisem — widzę, że postępowałeś z biedakiem arcywspaniale, tak, jak na dobrego pana przystoi.

— Krótko mówiąc — ciągnął dalej Porthos — po zapłaceniu kosztów, pozostanie mi jeszcze jakie trzydzieści talarów.

— A mnie dziesięć pistolów — dorzucił Aramis.

— Ho! ho! — ozwał się Athos — zdaje się, że jesteśmy Krezusami. A tobie, d'Artagnan, co tam pozostało ze stu pistolów?

— Z moich stu pistolów? Najpierw pięćdziesiąt z nich dałem tobie.

— Tak sądzisz?...

— Co u kaduka!

— A! prawda, przypominam sobie.

— Następnie, sześć zapłaciłem w oberży.

— Co za bydlę z tego oberżysty! po co było mu płacić?

— Kazałeś mi to zrobić.

— Zanadto jestem dobry, coprawda. Zatem po zamknięciu rachunku?

— Pozostaje mi dwadzieścia pięć pistolów.

— A ja — dodał Athos — wyciągając garstkę drobnych z kieszeni — ja...

— Ty, niemasz nic...

— Lub tak niewiele, na uczciwość, że nie warto tego rachować.

— A teraz obliczmy, co mamy razem:

— Porthos?

— Trzydzieści talarów.

— Aramis?

— Dziesięć pistolów.

— Ty, d'Artagnan?

— Dwadzieścia pięć.

— To czyni razem? — zagadnął Athos.

— Czterysta siedemdziesiąt pięć liwrów! — rzekł d'Artagnan, mocny w arytmetyce, jak drugi Archimedes.

— Po przybyciu do Paryża pozostanie nam jeszcze całe czterysta — odezwał się Porthos — nie licząc rzędów na konie.

— A skąd wziąć konie do szeregu? — wtrącił Aramis.

— Wielka rzecz!... z czterech podjezdków pachołków naszych zrobimy dwa pańskie wierzchowce, które ciągnąć będziemy na losy; czterysta liwrów wystarczy na połowę konia dla jednego z tych, co pozostaną pieszo; nareszcie, wyskrobki ze wszystkich kieszeni złożymy d'Artagnanowi, on ma szczęśliwszą rękę, pójdzie grać do pierwszej lepszej szulerni i sprawa skończona!...

— Jedzmy, bo stygnie — zawołał Porthos.

Zaspokojeni zgoła na przyszłość, czterej towarzysze pałaszowali, co się nazywa, przy obfitym obiedzie, którego pozostałości dostały się panom Mousquetonowi, Bazinowi, Planchetowi i Grimaudowi.

Stanąwszy w Paryżu, d'Artagnan zastał u siebie list od pana de Tréville, oznajmiający iż, zgodnie z jego żądaniem, król udziela mu łaskawego zezwolenia na wstąpienie do muszkieterów.

Ponieważ było to najgorętszem pragnieniem d'Artagnana, rozumie się, poza odnalezieniem pani Bonacieux, rozradowany pobiegł do kolegów, z którymi rozstał się przed pół godziną, i zastał ich smutnych i roztargnionych wielce.

Zgromadzili się u Athosa dla narady, co oznaczało jakieś nader ważne okoliczności.

Pan de Tréville kazał zawiadomić ich, że: zamiarem jest niezłomnym Jego Królewskiej Mości rozpocząć kroki wojenne I-go maja, należało więc umundurować się niezwłocznie.

Czterech filozofów patrzyło na siebie w osłupieniu; pod względem karności wojskowej nie było żartów z panem de Tréville.

— A ile na to potrzeba? — odezwał się d'Artagnan.

— O!... niema co gadać — zabrał głos Aramis — obliczyliśmy już ze sknerstwem iście spartańskiem, a każdemu z nas potrzeba tysiąc pięćset liwrów.

— Cztery razy po tysiąc pięćset, czyni sześć tysięcy — rzekł Athos.

— Mnie się zdaje — rzekł d'Artagnan — że wystarczy po tysiącu na każdego; coprawda, mówię nie jak Spartanin, lecz jak notarjusz...

Słowo notarjusz ocknęło Porthosa.

— Czekajcie, przychodzi mi pomysł do głowy — zawołał.

— I to coś znaczy; ja, nie mam go ani cienia — ozięble odezwał się Athos — a d'Artagnan oszalał ze szczęścia należenia do naszych; tysiąc liwrów!... oświadczam, że na mnie samego dwóch tysięcy potrzeba.

— Cztery razy dwa jest ośm — odezwał się Aramis — musimy więc mieć ośm tysięcy liwrów na przybory nasze, wprawdzie siodła już mamy.

— A nadto — rzekł Athos, czekając aż d'Artagnan, idący do pana de Tréville z podziękowaniem, zamknie drzwi za sobą — a nadto pyszny djament, który świeci u naszego druha. Co u djabła! nazbyt jest dobrym kolegą, aby braci swoich opuścił w potrzebie, kiedy sam nosi na palcu środkowym okup królewski.

Rozdział II. Poszukiwanie środków na wyprawę

Najbardziej ze wszystkich zajęty był bez wątpienia d'Artagnan, chociaż jemu, jako gwardziście, wszystko łatwiejby przyszło, niż panom muszkieterom, którzy byli wielkimi panami.

Ale nasz Gaskończyk, choć z młodszej linji był z usposobienia przewidujący i chciwy, a nawet tak próżny, jak sam nieledwie Porthos.

Prócz tej myśli, wyłącznej na pozór, niemniej go trapił niepokój nietyle egoistycznej natury.

Daremnie bowiem wywiadywał się o panią Bonacieux; znikąd żadnej nowiny.

Pan de Tréville mówił o niej z królową; ta, nie wiedząc, co się z nią dzieje, obiecała kazać jej szukać. Obietnica ta jednak była zbyt nieokreślona, aby zaspokoić d'Artagnana.

Athos nie wychodził z pokoju.

— Mamy dwa tygodnie tylko przed sobą — mówił do towarzyszów swoich — mniejsza o to!... Jeżeli nie znajdę nic przed upływem tego czasu, to jest, jeżeli nic do mnie nie przyjdzie, a nadto dobrym katolikiem jestem, aby roztrzaskać sobie głowę strzałem pistoletu, zadrę należycie z czterema gwardzistami Jego eminencji, albo z sześcioma Anglikami i dopóty będę się bił, dopóki się który nie znajdzie, kto mnie ubije, co prędzej, czy później musi mnie spotkać. Powiedzą wtedy, że poległem w sprawie królewskiej, spełnię więc obowiązek służby i uniknę potrzeby ekwipowania.

Porthos wciąż się przechadzał z rękami w tył założonemi, kiwając głową i mówiąc:

— Spróbuję, może mi się uda.

Aramis, stroskany, nieufryzowany, milczał.

Nieszczęsne te szczegóły dają nam miarę rozdrażnienia, jakie zapanowało w zgromadzeniu.

Trzej przyjaciele, gdyż, jak się rzekło, Athos poprzysiągł, że palcem nawet nie kiwnie dla umundurowania się; trzej przyjaciele skoro świt wychodzili z domu i powracali późną nocą.

Włóczyli się po ulicach, szukając na bruku, czy przechodzień jaki nie upuścił sakiewki. Rzecby można, że tropią czyjeś ślady, tak wytrwale i z uwagą przyglądali się każdej piędzi ziemi. Spotkawszy się, patrzeli na siebie z rozpaczą, jakby chcąc powiedzieć: znalazłeś co?

Porthos jednakże, jako pierwszy, któremu jakiś pomysł przyszedł do głowy, trzymał się go wytrwale i wziął się do dzieła. Czcigodny Porthos był człowiekiem czynu.

Pewnego dnia spostrzegł go d'Artagnan, jak szedł w kierunku kościoła Saint-Leu i udał się za nim bez myśli.

Wstąpił on w progi przybytku, podkręciwszy wprzód wąsa i musnąwszy śpiczastą bródkę, co zwykle oznaczało u niego silny zamiar podboju.

Ponieważ d'Artagnan postępował za nim nieznacznie, Porthos nie przypuszczał, że jest widziany.

D'Artagnan wszedł za nim, Porthos oparł się z jednej stronu filaru, on zaś uczynił to samo z drugiej.

Z kazalnicy ksiądz prawił kazanie i z tego powodu kościół był przepełniony.

Porthos zawzięcie przyglądał się kobietom, a dzięki troskliwym staraniom Mousquetona, powierzchowność jego nie zdradzała bynajmniej wewnętrznej niedoli. Kapelusz miał sfatygowany mocno, pióro spłowiałe fatalnie, hafty zaśniedziałe, a koronki nie trzymały się kupy; w półcieniu jednak drobnostki te nikły, i Porthos zawsze był pięknym Porthosem.

D'Artagnan spostrzegł na ławce najbliższej filaru, o który obydwaj byli oparci, jakąś piękność przejrzałą, przyżółkłą i zasuszoną, lecz wyprostowaną i sztywną, za czarnym kwefem. Oczy Porthosa spoczęły przelotnie i na tej damie, następnie począł strzelać wzdłuż całej nawy.

Dama znów, płoniąc się co chwila, zerkała ukradkiem na płochego Porthosa, ten zaś, dostrzegłszy to, coraz za palczywiej rzucał na wszystkie strony spojrzenia strzeliste.

Widocznie tem postępowaniem musiał do żywego dotknąć zekwefioną damę, gdyż gryzła wargi do krwi, drapała się po nosie i, jak opętana, kręciła się na siedzeniu.

Porthos, zauważywszy to, znowu podkręcił wąsa, musnął śpiczastą bródkę i jął mrugać na piękną damę, siedzącą w pobliżu chóru, wielką jakąś damę widocznie, bo murzynek przyniósł poduszkę, na której klęczała, a za nią stała służebna z herbowym futerałem od książki do nabożeństwa w ręce.

Czarno zakwefiona dama, śledząc spojrzenia Porthosa, poznała, że spoczęły one na damie z aksamitną poduszką, murzynkiem i służebną.

A Porthos wciąż przypuszczał szturm: to mrugając, to palec kładąc na ustach, to przesyłając zabójcze uśmiechy, które rozjątrzyły naprawdę przekwitłą piękność.

Ona też, bijąc się niby w piersi, chrząknęła tak groźnie, że wszyscy, nie wyjąwszy damy na czerwonej poduszce, zwrócili się w jej stronę, Porthos jednak nie zmienił wcale swej taktyki, zrozumiał dobrze, o co chodzi; lecz udał głuchego.

Dama z czerwoną poduszką, jako piękność niezwykła, sprawiła wrażenie na damie w czarnym kwefie, która widziała, że ma niebezpieczną rywalkę; ale też niemniejsze wrażenie wywarła na Porthosie, który uznał, że była piękniejsza od damy w czarnym kwefie.

Najbardziej wszakże wzruszony był d'Artagnan.

Poznał on w niej damę z Meung, Calais i Douvru, którą mężczyzna z blizną na twarzy, jego prześladowca, powitał tytułem milady.

D'Artagnan, nie tracąc jej z oczu, w dalszym ciągu śledził grę Porthosa, która go mocno bawiła; domyślał się, że dama w czarnym kwefie jest notarjuszową z ulicy Niedźwiedziej, tem więcej, że kościół Saint-Leu niezbyt odległy był od jej mieszkania.

Wywnioskował więc z tego, że Porthos szukał zemsty za swój zawód w Chantilly, kiedy notarjuszowa okazała się tak zacięta, iż poskąpiła swojej sakiewki.

Jednakże pośród tego wszystkiego zauważył i to także, iż ładna twarzyczka nie odpowiadała na zalecanki Porthosa.

Wszystko więc było złudzeniem; lecz dla istotnej miłości i zazdrości prawdziwej ponad rzeczywistością górują złudzenia i mrzonki.

Po skończonem kazaniu, notarjuszowa podeszła do kropielnicy; Porthos wyprzedził ją i zamiast jednego palca całą rękę zanurzył.

Uśmiechnęła się notarjuszowa, sądząc, że dla niej się na to zdobył; lecz rychło i okrutnie się zawiodła. Gdy o trzy kroki była już od niego, odwrócił głowę, uporczywie wpatrując się w damę, która, powstawszy, zbliżała się z murzynkiem i służebną.

Kiedy tuż przy nim się znalazła, Porthos wyjął z kropielnicy rękę, pełną wody, piękna nabożnisia dotknęła drobnemi paluszkami grubej jego dłoni, przeżegnała się z uśmiechem i wyszła z kościoła.

Tego już było nadto dla notarjuszowej, żadnej już nie miała wątpliwości, że dama owa i Porthos zalecają się do siebie.

Gdyby była wielką panią, zemdlałaby niezawodnie; lecz, jako zwyczajna notarjuszowa, poprzestała na odezwaniu się do muszkietera z wściekłością, źle pohamowaną:

— Cóż to! panie Porthosie, nie podajesz mi wody święconej?

Na dźwięk jej głosu, drgnął Porthos, jak człowiek zbudzony ze snu stuletniego.

— Pa... Pani!... — wykrzyknął — to pani? jakże mąż jej się miewa, kochany pan Coquenard? Czy zawsze taki sknera, jak był? Gdzież ja miałem oczy, żeby nie spostrzec pani w ciągu dwugodzinnego kazania?

— O dwa kroki znajdowałam się od pana — odparła notarjuszowa. — Lecz nie widziałeś mnie, mając oczy jedynie dla pięknej damy, której podałeś święconą wodę.

Porthos udał zakłopotanie.

— A! pani zauważyłaś...

— Ślepą być trzeba, żeby tego nie widzieć.

— Tak — rzekł od niechcenia — jest to księżna, przyjaciółka moja, z którą bardzo rzadko spotkać się mogę z powodu zazdrości jej męża; zawiadomiła mnie też, że, aby się ze mną zobaczyć, będzie w tym skromnym kościołku w tak oddalonej dzielnicy.

— Panie Porthosie — odrzekła notarjuszowa — czy będziesz na tyle łaskaw podać mi na pięć minut ramię, chętniebym pomówiła z panem.

— A jakże i owszem, pani — podchwycił Porthos, mrugnąwszy do siebie samego, jak szuler, drwiący z partnera, którego udało mu się oszukać.

W tej chwili właśnie przechodził d'Artagnan, goniąc milady; spojrzał ukosem na Porthosa i zobaczył odblysk triumfu w jego oczach.

— E! e! — rzekł do siebie, rozumując w duchu moralności niezwykle luźnej, właściwej tej miłej epoce — ten będzie miał wyekwipowanie na termin.

Porthos, ulegając ciśnieniu notarjuszowej, jak łódź pod naciskiem steru, doszedł do klasztoru Saint-Magloire, miejsca mało uczęszczanego, z obu stron zamkniętego kołowrotem. We dnie spotkać tam było można żebraków jedzących i dziatwę igrającą.

— A! panie Porthosie!... — wykrzyknęła notarjuszowa, upewniwszy się wpierw, że nikogo, prócz zwykłej ludności, tam nie było — a! panie Porthosie! jak widzę, wielki z pana zdobywca!

— Ja?... pani!... — nadymając się, przemówił Porthos — dlaczego?

— A te znaki porozumienia, a woda święcona? Ależ to conajmniej księżniczka krwi, owa dama z murzynkiem i pokojową!

— Mylisz się pani... mój Boże — odpowiedział Porthos — jest to zwyczajna księżna.

— A ten laufer przy drzwiach oczekujący? a kareta ze stangretem w liberji?

Porthos nie widział tego wszystkiego, lecz zazdrosne oko pani Coquenard niczego nie przepuściło.

Żal mu się też zrobiło, iż odrazu nie podniósł do rzędu księżniczek krwi damy z czerwoną poduszką.

— A! pieszczoch pięknych pań z ciebie, panie Porthosie — z westchnieniem mówiła notarjuszowa.

— Pojmuje pani, iż przy tej urodzie, w jaką uposażyła mnie natura, nie zbywa mi na powodzeniu.

— Mój Boże! jak ci mężczyźni zapominają prędko! — zawołała dama, wznosząc ku niebu oczy.

— Nie tak jednak, jak kobiety, o ile mi się zdaje — odparł Porthos — gdyż mogę powiedzieć, iż stałem się pani ofiarą, kiedy ranny, umierający widziałem się opuszczony przez chirurgów; ja, potomek znakomitego rodu, który polegałem na przyjaźni twojej, omało nie umarłem z ran, a następnie z głodu w podłej oberży w Chantilly, i to bez słówka odpowiedzi na palące moje listy...

— Ależ panie Porthosie — szepnęła notarjuszowa, czując się winną według pojęć wielkoświatowych z owego czasu.

— Który poświęciłem dla ciebie baronowę…

— Wiem o tem.

— Hrabinę…

— Panie Porthosie!

— Księżnę…

— Panie Porthosie, bądź wspaniałomyślny!…

— Masz pani słuszność, nie będę już kończył…

— To mąż mój ani chciał słyszeć o pożyczce…

— Pani Coquenard… przypomnij sobie pierwszy twój list, który zachowałem wyryty w pamięci.

Notarjuszowa jęknęła głucho.

— Bo też za wielką była suma, której żądałeś.

— Pani Coquenard, dałem ci pierwszeństwo. Gdybym był napisał do księżnej… Nazwiska jej nie wymienię, bo dobrze wiem, co to jest kompromitować kobietę; lecz i to wiem także iż mogłem był napisać tylko do niej, a przysłałaby mi tysiące.

Dama uroniła łzę.

— Panie Porthosie, przysięgam, że ukarałeś mnie straszliwie, i jeżeli w przyszłości w wypadku podobnym się znajdziesz, udaj się tylko do mnie.

— Fe!… pani!… — odezwał się Porthos, niby obrażony — nie mówmy o pieniądzach, proszę, to poniżające.

— Już więc nie kochasz mnie! — zwolna i smutno wymówiła notarjuszowa.

Porthos milczał wyniośle.

— Tak mi odpowiadasz? rozumiem, niestety!

— Pomyśl, pani, jaką wyrządziłaś mi obelgę: tkwi ona tu — rzekł Porthos, kładąc rękę na sercu i przyciskając je silnie.

— Załagodzę ją; cóż?… zgoda?… Porthosie drogi?

— Wreszcie, cóżem ja żądał od ciebie — ciągnął dalej Porthos, dobrodusznie wzruszając ramionami — tylko pożyczki. Ostatecznie nie jestem człowiekiem bez rozumu. Wiem dobrze, że pani bogata nie jesteś, a mąż twój dobrze musi wysysać krew ze swoich klijentów, dla wyciągnięcia kilku nędznych talarów! O! gdybyś była hrabiną, margrabiną lub księżną, to co innego, nigdybym ci tego nie przebaczył.

Notarjuszowa czuła się urażona.

— Dowiedz się, panie Porthosie, że kasa moja, jakkolwiek notarjuszowska, jest może lepiej zaopatrzona, niż tych twoich arystokratycznych brunetek.

— Wyrządzasz mi podwójną obelgę — rzekł Porthos, puszczając jej ramię — bo skoro jesteś bogatą, odmowa twoja nie ma usprawiedliwienia.

— Gdy mówię, żem bogata — podjęła żywo notarjuszowa, widząc, że zapędziła się zbytecznie — nie należy brać tego dosłownie. Właściwie nie jestem bogata, ale mam się dobrze.

— Pani, posłuchaj mnie! ... — rzekł Porthos — nie mówmy o tem, proszę! Nie poznałaś się na mnie... wszelkie uczucie między nami wygasło.

— Niewdzięcznik!...

— A! uskarżaj się, radzę ci!

— Wynoś się razem ze swoją piękną księżniczką! nie zatrzymuję.

— E! nie jest ona bynajmniej szpetna!

— Panie Porthosie, raz jeszcze mnie wysłuchaj, ostatni raz!... Kochasz mnie jeszcze?

— Niestety! pani — ozwał się ciężko melancholijnym głosem — gdy wybieramy się na wojnę, na której przeczucie mi mówi, że zostanę zabity...

— O! nie mów tak! — krzyknęła dama, wybuchając łkaniem.

— Coś mi tak mówi!... — ciągnął Porthos coraz więcej ponurym głosem.

— Powiedz lepiej, że znowu się zakochałeś!

— Wcale nie, mówię szczerze. Nic nowego mnie nie wzrusza, a nawet czuję tam, w głębi serca mego, coś, co za tobą przemawia. Lecz, jak wiesz, a może i nie wiesz, za dwa tygodnie zaczyna się wojna złowieszcza; strasznie będę zajęty wyekwipowaniem się mojem. Potem czeka mnie podróż do Bretanji, dla odwiedzenia rodziny i zrealizowania sumy, potrzebnej na wyjazd.

Dostrzegł ostatnią walkę, jaką staczała miłość ze skąpstwem.

— A ponieważ księżna, którą widziałaś w kościele, ma dobra, przylegające do moich, razem puścimy się w drogę. Wiesz dobrze, iż podróż nie tak się przykrzy, kiedy się ją odbywa we dwoje.

— Czy nie masz przyjaciół w Paryżu? — zagadnęła notarjuszowa.

— Sądziłem, iż mam ich — rzekł Porthos, przybierając na nowo wyraz melancholijny — przekonałem się jednak, iż jestem w błędzie.

— Masz ich, masz, panie Porthosie — odparła notarjuszowa w uniesieniu, które zdziwiło ją samą — przyjdź jutro do nas. Jesteś synem mojej ciotki, a zatem bratem ciotecznym; przybywasz z Noyou w Pikardji, masz kilka spraw w Paryżu, a nie znasz żadnego adwokata. Będziesz pamiętał?

— Jak najwyborniej.

— Przyjdź w godzinie obiadowej.

— I owszem.

— A z moim mężem trzymaj się ostro, bo to stary lis przebiegły, pomimo siedemdziesięciu sześciu lat.

— Siedemdziesiąt sześć lat! piękny wiek!...

— Późny wiek, powiedz lepiej, panie Porthosie, to też biedaczysko drogie może zostawić mnie lada chwila wdową — ciągnęła notarjuszowa, rzucając na Porthosa znaczące spojrzenie. Na szczęście, intercyzą ślubną umowa majątkowa zawarta na przeżycie.

— Cały majątek? — zagadnął Porthos.

— Cały.

— Przewidująca z ciebie kobieta, droga pani Coquenard — rzekł Porthos, czule ściskając jej rękę.

— A zatem, zgoda między nami, drogi panie Porthosie? — wdzięcząc się, zapytała.

— Na całe życie — podobnież odpowiedział Porthos.

— Do zobaczenia więc, mój zdrajco.

— Do widzenia, zapominajko moja.

— Do jutra, aniele mój.

— Do jutra, światło mego życia.

Rozdział III. Milady

D'Artagnan szedł za milady niepostrzeżenie.

Widział, jak wsiadała do karety i słyszał, jak wydała woźnicy rozkaz, ażeby jechał do Saint-Germain.

Niepodobna było gonić piechotą za powozem, który unosiła pędem para dzielnych koni.

Powrócił więc do mieszkania Athosa. Na ulicy Sekwany spotkał Plancheta, stojącego przed sklepem z ciastkami, w zachwycie nad brioszą o smakowitym wyglądzie. kocham moją biedną Konstancję więcej, niż kiedykolwiek,

Rozkazał mu osiodłać dwa konie w stajni pana de Tréville, jednego dla siebie, drugiego dla Plancheta, i przyprowadzić je przed mieszkanie Athosa, pan de Tréville bowiem oddał raz na zawsze stajnie swoje na usługi d'Artagnana.

Pan i sługa rozeszli się, każdy w swoją stronę.

Athos był w domu, smutnie wypróżniając jedną z owych butelek hiszpańskiego wina, które wywiózł z Pikardji. Dał znak Grimaudowi, aby przyniósł drugi kieliszek, co ten spełnił w milczeniu, jak zawsze.

D'Artagnan opowiedział Athosowi, co zaszło w kościele pomiędzy Porthosem i notarjuszową, i jak towarzysz ich, według wszelkiego prawdopodobieństwa, był już na drodze do wyekwipowania.

— Co do mnie — rzekł Athos, w odpowiedzi na to sprawozdanie — jestem spokojny, że uzbrojenie moje nie odbędzie się kosztem płci pięknej.

— A jednak taki z ciebie piękny, gładki mężczyzna i wielki pan, drogi Athosie! zaręczam, iż niema księżniczek, ani królowych, którychby nie dotknęły miłosne twoje pociski.

— Jakiś ty młody!... — rzekł Athos, wzruszając ramionami.

I kiwnął na Grimauda, aby drugą butelkę podał.

Tymczasem ukazała się nieśmiało głowa Plancheta w drzwiach uchylonych, z oznajmieniem. że konie gotowe.

— Co za konie? — zapytał Athos.

— Pożyczone mi przez pana de Tréville, dla przejażdżki do Saint-Germain.

— A ty tam po co? — zapytał jeszcze Athos.

Opowiedział mu wtedy d'Artagnan spotkanie swoje w kościele, że odnalazł kobietę, która wraz z mężczyzną w czarnym płaszczu i z blizną na skroni była jego ustawicznym niepokojem.

— To znaczy, żeś zakochany w niej, jak wpierw w pani Bonacieux — rzekł Athos, wznosząc z pogardą ramiona, jak gdyby się litował nad ułomnością ludzką.

— Ja?... wcale nie! — zawołał d'Artagnan. — Ciekawy jestem tylko wyjaśnienia tajemnicy, jaką się ona otacza. Nie wiem dlaczego, ale mi się zdaje, że ta kobieta, jakkolwiek nieznani sobie jesteśmy, wpływ jakiś wywiera na moje życie.

— Rzeczywiście, masz słuszność — ciągnął Athos — nie znam kobiety, której warto byłoby szukać, gdy zginie. Pani Bonacieux zginęła, tem gorzej dla niej, niech się sama odnajdzie.

— Nie!... mylisz się, Athosie — rzekł d'Artagnan — kocham moją biedną Konstancję więcej, niż kiedykolwiek, i gdybym wiedział, gdzie się znajduje, choćby to było na końcu świata, poszedłbym wyzwolić ją z rąk nieprzyjacielskich; lecz nie wiem nic zgoła, a dotąd poszukiwania moje pozostały bez skutku. Cóż chcesz, trzeba się trochę rozerwać.

— Rozrywaj się z milady, drogi d'Artagnanie, życzę ci z całego serca, jeżeli cię to jeszcze bawi.

— Słuchaj, Athosie, zamiast siedzieć w zamknięciu, jak skazany na kozę, siadaj na konia i jedź ze mną do Saint-Germain.

— Mój drogi, na konia siadam, gdy go mam, a gdy nie mam, idę piechotą.

— Otóż! ja siadam na co się przytrafi — rzekł d'Artagnan, uśmiechając się z mizantropji Athosa, która w in nym, niż on, podobałaby mu się z pewnością. Zatem, do widzenia, drogi Athosie.

— Do widzenia — odparł muszkieter, dając znak Grimaudowi, aby odkorkował przyniesioną butelkę.

D'Artagnan z Planchetem siedli na konie i ruszyli drogą do Saint-Germain.

Przez drogę młodzieniec nasz myślał o tem, co Athos powiedział o pani Bonacieux.

Jakkolwiek nie był zbyt uczuciowy, piękna kramarzowa wpiła mu się głęboko w serce. Gotów był iść na koniec świata, ażeby ją odnaleźć.

Lecz świat dużo ma końców, przez to samo, że jest okrągły, nie wiedział więc, w którą obrócić się stronę.

Tymczasem chciał się dowiedzieć, kto była ta milady. Rozmawiała z mężczyzną w czarnym płaszczu, a więc go znała. Mężczyzna zaś ten, według niego, po raz drugi porwał panią Bonacieux, tak samo, jak poraz pierwszy.

D'Artagnan skłamał więc tylko w połowie, co prawie przestaje być kłamstwem, bo, poszukując milady, tem samem szukał Konstancji.

Tak zadumany, od czasu do czasu dając koniowi ostrogę, przybył do Saint-Germain. Minął wzdłuż pawilon, w którym dziesięć lat później miał przyjść na świat Ludwik XIV. Wjechał w pustę ulicę, rozglądając się na prawo i lewo, czy nie ujrzy śladu pięknej Angielki, gdy wtem na parterze ładnego domku, ukazała się jakaś znajoma postać. Postać ta przechadzała się na tarasie, przybranym w kwiaty.

Pierwszy poznał ją Planchet.

— E! panie — rzekł, zwracając się do Artagnana — czy nie przypomina pan sobie tej twarzy, która się tam gapi na wrony?

— Nie — odrzekł d'Artagnan — a jednak przekonany jestem, że nie poraz pierwszy ją widzę.

— Wierzę bardzo; to Lubin, lokaj hrabiego de Wardes, tego samego, co go pan tak dobrze urządził miesiąc temu w Calais, na drodze do letniego mieszkania gubernatora.

— A! prawda!... poznaję go teraz. Sądzisz, że i on ciebie poznał?

— Wątpię, zanadto był zmieszany owego czasu.

— Kiedy tak, to idź i wciągnij go w gawędkę; a postaraj się dowiedzieć, czy pan jego umarł.

Planchet zsiadł z konia i poszedł prosto do Lubina, który go rzeczywiście nie poznał, poczęli więc jak najprzyjaźniej rozmawiać, a d'Artagnan tymczasem pociągnął konie w wąski przesmyk i, okrążywszy dom, zawrócił, aby wysłuchać narady z poza szpaleru leszczyny.

Po niedługim czasie usłyszał turkot powozu, następnie ujrzał karetę milady. Nie było najmniejszej wątpliwości, ona w niej siedziała.

D'Artagnan położył się na szyi konia, aby wszystko widzieć, nie będąc widzianym.

Milady wychyliła z poza portjery główkę uroczą, otoczoną zwojami złocistych włosów i dała jakiś rozkaz pokojowej.

Ta rzeźka i ładna dziewczyna, dwadzieścia parę lat mieć mogąca, prawdziwa subretka wielkiej damy, zeskoczyła i podążyła prosto na taras, gdzie stał poprzednio Lubin. Tego jednak przed chwilą odwołano do wnętrza domu, tak, że Planchet pozostał sam, rozglądając się dokoła, gdzie mu się pan jego podział.

Pokojowa, biorąc go za Lubina, podeszła doń i oddając mu bilecik, rzekła:

— To do waszego pana.

— Do mojego pana? — odparł zdziwiony Planchet.

— Tak, i bardzo pilny. Bierzcie prędko.

To mówiąc, co tchu zawróciła do karety, wskoczyła na kozioł, a konie popędziły z powrotem.

Planchet obracał list w ręce, wreszcie, przywykły do biernego posłuszeństwa, zbiegł z tarasu, puścił się w przesmyk i spotkał d'Artagnana, który, wypatrzywszy co zaszło, podążył naprzeciw niego.

— Do pana — rzekł Planchet, podając mu bilecik.

— Do mnie?... czyś tego pewny?

— Jakto, czy jestem pewny? Subretka powiedziała: „do waszego pana". Ja nie mam innego, a zatem... o! ładna bestyjka, ta subretka!...

D'Artagnan otworzył liścik i odczytał te wyrazy:

„Osoba, którą obchodzisz więcej, niż wyznać jest w stanie, pragnie dowiedzieć się, kiedy będziesz mógł przechadzać się w lesie. Jutro, w hotelu du Champ-du-Drap-d'Or, oczekiwać będzie odpowiedzi służący w liberji czarnej z czerwonem".

— Ho! ho! … — pomyślał d'Artagnan — to dosyć nie źle. Widocznie milady i ja troszczymy się zarówno o zdrowie jednej i tej samej osoby. A co! Planchecie, jakże pan de Wardes się miewa? czy żyje?

— Żyje, panie, i ma się tak, jak można się mieć z czterema pchnięciami szpadą w skórę, bo, nie wymawiając, pan mu ich tyle wpakował; teraz osłabiony jest mocno, gdyż wszystką krew utracił. Jak powiedziałem panu, Lubin mnie nie poznał wcale i opowiedział całą naszą historję od początku do końca.

— Bardzo dobrze, Planchetku, jesteś królem lokajów; siadaj teraz na konia i dopędzimy karetę.

Na to nie dużo potrzeba było czasu; w pięć minut niespełna ujrzano ją, jak zatrzymała się na zakręcie drogi; bogato ubrany jeździec stał u drzwiczek.

Jego rozmowa z milady była tak ożywiona, że d'Artagnan zatrzymał się po drugiej stronie i nikt, prócz subretki, obecności jego nie zauważył.

Mówiono po angielsku, językiem, którego nie rozumiał d'Artagnan; lecz po tonie mógł się domyśleć, że piękna Angielka mocno była zagniewana; zakończyła wreszcie gestem, nie pozostawiającym wątpliwości, co do natury tej rozmowy; było nim uderzenie wachlarzem, wymierzone z taką siłą, iż piękny ten sprzęcik kobiecy rozprysł się w drobne kawałki.

Jeździec wybuchnął śmiechem, który widocznie doprowadził milady do ostateczności.

Wtedy d'Artagnan osądził, że chwila jest stosowna dla wdania się w tę sprawę, podsunął się do samych drzwiczek i w postawie, pełnej szacunku, uchylając kapelusza, rzekł:

— Pani, czy pozwolisz ofiarować ci moje usługi?… zdaje mi się bowiem, że rycerz tu obecny pobudził cię do gniewu. Jedno słowo twoje, pani, a biorę na siebie ukaranie go za przekroczenie wymagań grzeczności.

Przy pierwszych słowach milady obróciła główkę, patrząc zdziwiona na młodzieńca, gdy zaś skończył, odparła poprawną francuzczyzną:

— Z miłą chęcią uciekłabym się pod pańską opiekę, gdyby ten, który się sprzecza ze mną, nie był moim bratem.

— A! proszę mi zatem darować — odezwał się d'Artagnan — pojmuje pani, że nic o tem nie wiedziałem.

— Co temu szpakowi do tego, czemu on się tu wtrąca! — schylając się do okna drzwiczek, wrzasnął jeździec, nazwany przez milady bratem — czemu sobie nie jedzie z Bogiem?

— Ty sam szpak jesteś, mój panie — rzekł d'Artagnan, skłaniając głowę do grzywy swego wierzchowca, aby tak samo przez okno drzwiczek rzucić jeźdźcowi odpowiedź — nie jadę dalej, bo mi się tak podoba.

Jeździec przemówił kilka słów po angielsku do siostry.

— Ja po francusku mówię do pana — przerwał mu d'Artagnan, — odpowiedz mi tak samo, proszę. Jesteś pan bratem tej pani, zgoda, lecz, na szczęście, moim nie jesteś.

Sądzić byłoby można, iż milady, lękliwa, jak każda kobieta, zechce pośredniczyć w sprzeczce, zakrawającej na wyzwanie, aby nie dopuścić wybuchu.

Ona zaś, wprost przeciwnie, rozparła się w karecie i z całym spokojem zawołała na woźnicę:

— Ruszaj do pałacu!

Ładna pokojóweczka rzuciła zaniepokojone spojrzenie na d'Artagnana, który wywarł na niej wrażenie piękną powierzchownością.

Kareta pomknęła, a dwaj mężczyźni pozostali, patrząc sobie oko w oko, żadna już bowiem zapora dotykalna nie stała pomiędzy nimi.

Jeździec cmoknął na konia, aby za powozem podążyć; lecz wrzący już gniewem d'Artagnan, zakipiał, poznawszy w nim Anglika, który w Amiens wygrał jego konia i o mały włos nie pozbawił go, dzięki Athosowi, pierścienia z djamentem.

— E! panie — zawołał — wydajesz mi się większym, niż ja, szpakiem, bo wyglądasz, jakbyś zapomniał, że mamy z sobą na pieńku.

— A! a! — odezwał się Anglik — to pan, panie graczu. Jak widzę, nie obejdzie się nigdzie bez ciebie.

— Tak, to ja, a przypomina mi to, że mam rachunek do załatwienia z panem. Zobaczymy, drogi panie, czy równie zręcznie władasz rapirem, jak kubkiem od kości.

— Widzisz przecie, mój panie, iż nie jestem przy szpadzie — odparł Anglik — czy chcesz udawać mężnego z człowiekiem bezbronnym?

— Spodziewam się, że w domu nie brak ci szpady, mój panie — odpowiedział gaskończyk. — A na wszelki przypadek, ja mam ich dwie i, jeżeli zechcesz, użyczę ci jednej.

— Nie potrzeba — rzekł Anglik — ja dostatecznie zaopatrzony jestem w narzędzia tego rodzaju.

— Tem lepiej! zacny mój panie, wybierz więc najdłuższą szpadę i pokaż mi ją dzisiejszego wieczora.

— A gdzież to, jeżeli łaska?

— Poza Luksemburgiem jest urocza miejscowość na podobne schadzki.

— Bardzo dobrze, stawię się.

— O godzinie?

— Szóstej.

— Ale, ale, masz pan zapewne paru przyjaciół?

— Trzech... nawet, którzy mocno będą zaszczyceni, dzieląc ze mną tę partję.

— Trzech?... wybornie się składa — rzekł d'Artagnan — będzie tylu, ilu potrzeba.

— A teraz kto pan jesteś? — zapytał Anglik.

— Jestem d'Artagnan, szlachcic gaskoński, gwardzista z oddziału pana Desessarts. A pan?...

— Ja, jestem lord Winter, baron de Scheffield.

— Jestem więc na usługi, panie baronie — rzekł d'Artagnan — jakkolwiek nazwisko pańskie djablo trudno zapamiętać.

I, dając koniowi ostrogę, puścił się galopem drogą do Paryża. Jak zwykle, przy podobnych zdarzeniach, zajechał prosto do Athosa.

Opowiedział Athosowi wszystko z wyjątkiem listu pana de Wardes. Athos był zachwycony na myśl, że d'Artagnan miał bić się z Anglikiem. Było to jego marzeniem, jak wiemy.

Natychmiast posłano po Porthosa i Aramisa, i rozpowiedziano im, co zaszło. Porthos dobył szpady i jął wymachiwać nią do ściany, przysiadując do ziemi, jak tancerz.

Aramis, zajęty tworzeniem poematu, zamknął się w gabinecie Athosa, prosząc, aby mu nie przerywano, aż do chwili wzięcia za szpady.

Athos pokazał Grimaudowi na migi, aby przyniósł mu butelkę. D'Artagnan zaś układał w duchu plan, którego wykonanie poznamy z czasem. Za domem obiecywał sobie milutką przygodę, co zdradzały uśmiechy, które, przelatując mu po licach, jakby wtórowały marzeniom.

Rozdział IV. Anglicy i Francuzi

O umównionej porze udano się poza Luksemburg wraz z czterema pachołkami na pole, gdzie zwykle pasły się kozy. Athos dał pastuchowi sztukę złota, byle się oddalił.

Pachołkom rozkazano trzymać straż dokoła.

Niebawem gromadka ludzi zbliżyła się w milczeniu do tegoż pola; przeszli je wzdłuż i połączyli się z naszymi muszkieterami; następnie, według obyczaju z za morza, przedstawili się sobie wzajemnie. Anglicy byli wszyscy ludźmi na wysokich stanowiskach, zatem imiona dziwaczne przeciwników swoich wzięli za żart jakiś niesmaczny, a nawet ich to zaniepokoiło trochę.

— Z tem wszystkiem — odezwał się lord Winter, usłyszawszy nazwiska trzech przyjaciół, nic a nic jeszcze nie wiemy, coście wy za jedni i ani myślimy bić się z podobnemi indywiduami; to jakieś cudaczne imiona…

— Nie mylisz się, milordzie — rzekł Athos — są to imiona przybrane.

— Dlatego właśnie mamy ochotę poznania prawdziwych — odparł Anglik.

— Graliście z nami w kości, nie dowiadując się wcale, kogo ogrywacie — mówił Athos — i nie przeszkodziło to wam w dodatku zabrać nasze konie?

— To prawda, ale ryzykowaliśmy pieniądze jedynie, tu zaś ryzykujemy krew naszą; można grać w kości z pierwszym lepszym, a bić się tylko z równym sobie.

— Sprawiedliwie mówisz, milordzie — rzekł Athos; wziął na bok jednego z czterech Anglików, tego właśnie, z którym sam miał się potykać i szepnął mu do ucha swe nazwisko. Porthos i Aramis poszli za jego przykładem.

— No, czy panu to wystarcza? — rzekł Athos do swego przeciwnika — czy uważasz mnie za godnego do skrzyżowania szpady?

— O! tak, panie — odparł Anglik, pochylając głowę.

— A teraz, mój panie, może masz ochotę usłyszeć coś bardziej jeszcze interesującego?

— Mianowicie?

— Ja, milordzie, uchodzę za umarłego i mam bardzo ważne powody, aby nie domyślano się, że żyję; teraz zaś zmuszony będę zabić pana, aby tajemnica moja na jaw nie wyszła.

Anglik patrzył się na Athosa, sądząc, że mówi przechwałki, lecz Athos bynajmniej nie żartował.

— Panowie — rzekł, zwracając się do towarzyszy, jak i do przeciwników — czyście już gotowi?

— Tak — odpowiedzieli Francuzi i Anglicy.

— A więc baczność! — rzekł Athos.

W tej chwili osiem szpad błysnęło w promieniach zachodzącego słońca i walka wszczęła się z zajadłością, łatwą do zrozumienia, pomiędzy nieprzyjaciółmi z krwi i obrazy. Athos z przeciwnikiem mierzył się z całą zimną krwią, zachowując reguły wszystkie, jak gdyby się znajdował na lekcji ćwiczeń w sali fechtunkowej.

Porthos, pomny na zbytnią ufność w siebie przy awanturze w Chantilly, wysilał się na możliwe podejścia i przezorność. Aramis zaś, spiesząc dokończyć trzeciej pieśni poematu swojego, nacierał gwałtownie, jak człowiek nie mający czasu do stracenia.

Athos najpierwszy zabił przeciwnika: jedno, jedyne pchnięcie i już było po wszystkiem; jak go uprzedził tak się też i stało: szpada przeszyła mu serce. Porthos z kolei swojego rywala ściął z nóg: przekłuł mu łydkę na wylot. A że Anglik nie stawiał oporu, tylko oddał szpadę, Porthos wziął go na ręce i odniósł do karety. Aramis napadł gwałtownie na swojego, tak, że ten, nie mogąc dotrzymać placu, cofał się z jakie pięćdziesiąt kroków, nakoniec widząc, że nie podoła, odwrócił się i zaczął uciekać, ścigany okrzykami szyderczemi pachołków.

D'Artagnan stosował metodę inną; bronił się tylko i zasłaniał; nakoniec, gdy zmordował już przeciwnika, ruchem silnym i zręcznym wytrącił mu broń z ręki. Baron, wi dząc się rozbrojonym, postąpił w tył kilka kroków, lecz noga mu się poślizgnęła i padł na wznak, jak długi.

D'Artagnan poskoczył i przyłożył mu szpadę do gardła:

— Mógłbym cię zabić, mój panie — rzekł do Anglika — lecz daruję ci życie, dla miłości twojej siostry.

Anglik ze swej strony zachwycony był, mając do czynienia ze szlachcicem wyższej natury, uścisnął go też serdecznie, nagadał komplementów muszkieterom, a ponieważ przeciwnik Porthosa był już umieszczony w karecie, a przeciwnik Aramisa stchórzył i zemknął, zajęto się jedynie nieboszczykiem. A gdy Porthos i Aramis ściągali z niego ubranie, w nadziei, że rana nie okaże się śmiertelną, wypchany złotem worek wypadł mu z za pasa. D'Artagnan go podniósł i podał lordowi Winter.

— Cóż u djabła mam z tem robić? — rzekł Anglik.

— Oddasz pan jego rodzinie — odpowiedział d'Artagnan.

— Oho! jego rodzina nie dba o taką bagatelę! … odziedziczy ona po nim coś lepszego: piętnaście tysięcy luidorów dochodu rocznego; schowaj pan ten woreczek dla swoich lokajów. D'Artagnan schował worek do kieszeni.

— A teraz, mój młody przyjacielu, mam bowiem nadzieję, iż pozwolisz mi się tak nazywać — rzekł lord Winter — dziś wieczorem, jeżeli tylko pragniesz, przedstawię cię siostrze mojej, lady Clarik; chcę koniecznie, aby i ona cię polubiła, a ponieważ ma niejakie wpływy u dworu, może w przyszłości słówko dorzucić za tobą.

D'Artagnan zaczerwienił się z radości i skłonił głową na znak zgody. Tymczasem zbliżył się doń Athos.

— Co myślisz robić z temi pieniądzmi? — powiedział mu do ucha.

— Myślę ci je oddać, kochany Athosie.

— A mnie one na co?

— Przecież go zabiłeś; do ciebie zatem należą te łupy pośmiertne.

— Jakto!… ja miałbym dziedziczyć po wrogu?… — odrzekł Athos — za kogóż mnie masz?

— Jest to zwyczajem na wojnie, dlaczegóż miałoby być niewłaściwe w pojedynku?

— Nawet na polu bitwy, nigdy nic podobnego nie robiłem…

Porthos wzruszył ramionami. Aramis poruszył ustami, przytakując Athosowi.

— Kiedy tak, dajże te pieniądze lokajom, jak to proponował lord Winter.

— Tak, tak — potwierdził Athos — ale zamiast naszym, dajmy ten woreczek lokajom Anglików.

Wziął woreczek i cisnął w ręce stangretowi:

— Masz, trzymaj, to dla ciebie i twoich kolegów.

Ten wybryk hojności u człowieka zupełnie bez grosza, uderzył Porthosa nawet, a wspaniałość Francuza, rozgłoszona przez lorda Wintera i jego przyjaciela, miała powszechnie wielkie uznanie, wyjąwszy u pp. Grimauda, Mousquetona, Plancheta i Bazina.

Lord Winter, żegnając d'Artagnana, zostawił mu adres siostry; mieszkała na Place-Royal nr. 6. Dzielnica ta była naówczas w modzie. Lord obiecał nawet wstąpić, zabrać go i sam osobiście przedstawić. D'Artagnan oznaczył godzinę ósmą wieczorem, w mieszkaniu Athosa.

Gaskończyk nasz marzył obecnie już tylko o milady. Przypominał, jakim szczególnym dotąd trafem kobieta ta zawsze spotykała się z nim i miała wpływ na jego losy.

Przeświadczony był, że jest ona kreaturą kardynała, a pomimo to czuł do niej pociąg nieprzezwyciężony; nie umiał wszakże określić uczucia, jakie nim owładnęło.

Jedyną miał tylko obawę, aby milady nie przypomniała sobie Meung i Douvru i nie poznała go. Domyśliłaby się natychmiast, że należy do stronników pana de Tréville, a więc oddany jest królowi duszą i ciałem, i z niczemby się przed nim nie zdradziła. Intryga miłosna pomiędzy nią i hrabią de Wardes, nie obchodziła naszego zarozumiałego młodzieńca, chociaż hrabia był młody, piękny, bogaty i w wielkich łaskach u kardynała. Niedarmo ma się lat dwadzieścia pięć i jest się urodzonym w Tarbes!

D'Artagnan zaczął od tego, że poszedł do siebie i ubrał się, w co tylko posiadał najjaskrawszego, następnie wrócił do Athosa i, podług zwyczaju, opowiedział mu wszystko. Athos wysłuchał cierpliwie projektów przyjaciela, pokiwał głową i z niejaką goryczą w głosie zalecił mu ostrożność i przezorność.

— Jakże to — powiedział doń — tylko co postradałeś kobietę, jak sam mówiłeś, dobrą, śliczną, bez zarzutu, i już chcesz lecieć do drugiej?

D'Artagnan czuł, że przyjaciel ma słuszność.

— Kochałem panią Bonacieux sercem, a milady głowę mi zawróciła — rzekł — chcę ją poznać jedynie po to, aby raz wiedzieć naprawdę, jaką rolę odgrywa u dworu.

— Nie trudno jej rolę odgadnąć z tego, coś mi powiedział. To jakiś wysłaniec kardynała; kobieta niebezpieczna, wciągnie cię w zasadzkę, gdzie conajmniej głową przypłacisz.

— E! do djabła, Athosie, zdaje mi się, że zanadto w czarnych kolorach widzisz wszystko!

— Mój kochany, nie ufam kobietom, cóż chcesz, byłem już zdradzony, nie wierzę już, a nadewszystko blondynkom... Mówiłeś, że milady ma włosy jasne?

— Jest najcudniejszą blondynką pod słońcem.

— O! biedny d'Artagnanie, żałuję cię serdecznie — rzekł Athos.

— Słuchaj, ja chcę tylko zwąchać, co się święci, a jak już będę wiedział, to się usunę.

— Ha! przewąchuj, skoro chcesz koniecznie — rzekł Athos flegmatycznie.

Lord Winter stawił się o godzinie umówionej, lecz Athos przedtem usunął się. Lord zastał więc d'Artagnana samego, a że była już ósma, zabrał go z sobą.

Elegancka kareta czekała przed bramą, a dzielne rumaki dostawiły ich za chwilę na Plac Królewski.

Lady Clarik przyjęła d'Artagnana uroczyście.

Mieszkanie jej odznaczało się przepychem i, chociaż wielu Anglików z powodu wojny musiało wyjeżdżać z Francji, milady, zamiast ich naśladować, kazała odświeżyć swój pałac, co dowodziło, że reskrypt ogólny, wydalający Anglików, jej wcale nie dotyczył.

— Widzisz przed sobą — rzekł lord Winter, przedstawiając siostrze d'Artagnana — widzisz młodego szlachcica, od którego życie moje zależało, a który nie skorzystał z przewagi, chociaż byliśmy wrogami podwójnie, bo znieważyłem go, powtóre jestem Anglikiem. Podziękuj mu pani, jeżeli masz choć trochę dla mnie przyjaźni.

Milady zmarszczyła lekko brwi; chmurka przeszła jej po czole i uśmiech tak dziwny zaigrał na ustach, że młodzieniec, spostrzegłszy te niezrozumiałe oznaki, uczuł coś nakształt dreszczu. Brat nic nie dostrzegł; bawił się z małpką, faworytką milady, ciągnąc ją za kurtkę.

— Witam pana u siebie — odezwała się milady głosem słodziutkim, w sprzeczności z oznakami złego humoru, jaki zauważył d'Artagnan, — zdobyłeś pan dzisiaj prawo do mej wdzięczności.

Wtedy Anglik się zbliżył i opowiedział milady całe zajście, najmniejszego nie opuszczając szczegółu.

Milady słuchała z wielką uwagą, lecz pomimo widocznego wysiłku woli, nie była w stanie ukryć, że opowiadanie to wcale nie jest jej miłe.

Krew uderzyła jej do twarzy, a mała nóżka niecierpliwie poruszała się pod fałdami sukni. Lord Winter i tego nie zauważył. Po skończonem opowiadaniu podszedł do stolika, gdzie stała na tacy butelka wina hiszpańskiego, napełnił dwie szklanki i skinął na d'Artagnana, aby przyszedł się napić. D'Artagnan wiedział, że odmówić nie może, bo obraziłby Anglika. Przystąpił do stołu, wziął szklankę, mimo to jednak nie spuszczał z oczu milady i dostrzegł w naprzeciw wiszącem zwierciadle rażącą zmianę jej fizjognomji.

Myśląc, że nikt na nią nie patrzy, nie ukrywała wewnętrznych uczuć i rysy jej oszpecił wyraz okrucieństwa.

Gryzła ze złości chusteczkę białemi ząbkami. Ładna subretka, którą już zauważył d'Artagnan, weszła do salonu i powiedziała kilka słów po angielsku lordowi Winter, on zaś natychmiast przeprosił d'Artagnan, tłómacząc się, iż musi odejść z powodu bardzo ważnej sprawy, a siostrze polecił bawić gościa.

D'Artagnan uścisnął rękę lorda i powrócił do milady.

Twarz jej z zadziwiającą szybkością przybrała znów wyraz łagodny i miły, jedynie plamki czerwone na chusteczce zdradzały, iż usta pogryzła aż do krwi.

A prześliczne były te usteczka, rzekłbyś z koralu najpiękniejszego. Zaczęła się ożywiona rozmowa.

Milady uspokoiła się napozór zupełnie. Opowiadała, że lord Winter nie jest jej bratem rodzonym, lecz tylko szwagrem, że ona sama wyszła za mąż za jego młodszego brata, który zostawił ją wdową z maleńkiem dzieckiem.

Dziecko to było jedynym spadkobiercą lorda Winter, gdyby się nie ożenił. Wszystko, co mu opowiadała piękna pani, niejasnem wydało się młodzieńcowi; nie mógł jednak domyśleć się, o co jej mianowicie chodzi. Nakoniec, po półgodzinnej rozmowie d'Artagnan nabrał przekonania, że milady nie jest Angielką, mówiła bowiem po francusku tak poprawnie, iż co do tego upewnił się zupełnie.

D'Artagnan wysadzał się na komplementy i plótł bajdy niestworzone. Na wszystkie niedorzeczności, jakie prawił nasz gaskończyk, milady uśmiechała się dobrotliwie.

Zauważył nareszcie, że wypada pożegnać miłą gospodynię; wstał, ukłonił się zamaszyście i wyszedł z salonu, uszczęśliwiony przyjęciem.

Na schodach spotkał piękną subretkę, która, przechodząc, potrąciła go lekko i rumieniąc się, zaczęła przepraszać głosikiem tak słodkim, iż przebaczył jej z łatwością.

Nazajutrz d'Artagnan znów przyszedł z wizytą i przyjęty zostałe jeszcze lepiej, niż dnia poprzedniego.

Lord Winter był nieobecny, sama więc milady bawiła gościa przez cały wieczór. Wypytywała go o stosunki, o przyjaciół, skąd pochodzi i czy nie zamyśla czasem wejść w służbę kardynała.

D'Artagnan, jak wiadomo, pomimo młodego wieku, odznaczał się rozsądkiem i chytrością; przypomniał sobie zaraz podejrzenia, jakie miał względem milady.

Zaczął więc wychwalać Jego Eminencję i zapewniał, że bezwarunkowo wstąpiłby był do straży przybocznej kardynała, a nie do królewskiej, gdyby znał był tak dobrze pana de Cavois, jak znał pana de Tréville.

Milady zmieniła rozmowę i jak najnaturalniej w świecie zapytała d'Artagnana, czy był kiedy w Anglji. D'Artagnan odpowiedział, że był rzeczywiście wysłany dla zakupu koni, których cztery sztuki na próbę przyprowadził.

Milady, podczas całej tej rozmowy, kilka razy aż do krwi usta przygryzała, miała bowiem do czynienia z gaskończykiem, którego podejść było trudno. O tej samej porze, co dnia poprzedniego, d'Artagnan wyszedł od milady. W korytarzu spotkał znów ładną

Katty. Spojrzała ona takiemi oczkami, iż trudno się było omylić, co znaczy to spojrzenie. Ale d'Artagnan zanadto był zajęty milady, aby na cośkolwiek innego zwrócić uwagę. Nasz gaskończyk poszedł nazajutrz znowu do lady Clarick i tak codzień chodził, a ona przyjmowała go z wzrastającą wciąż czułością.

Każdego też wieczora, wychodząc, spotykał na schodach lub w korytarzu piękną subretkę o zalotnem spojrzeniu. Lecz, jak już powiedzieliśmy, d'Artagnan nie zwracał wcale uwagi na natarczywość czułej Katty.

Rozdział V. Obiad u notariusza

Jakkolwiek świetną rolę odegrał Porthos w pojedynku, nie zapomniał jednak o zaproszeniu na obiad do pani notarjuszowej.

Nazajutrz, około godziny pierwszej, starannie odświeżony, w ubraniu najparadniejszem, doprowadzonem do możliwego porządku przez Mousquetona, udał się na ulicę Niedźwiedzią z miną człowieka podwójnie szczęśliwego.

Wzruszony, z bijącem sercem, zbliżał się do celu; lecz nie było to takie uczucie, jakie opanowało d'Artagnana, nie była to niecierpliwość miłości młodzieńczej. Interes czysto materjalny burzył jego krew... Nareszcie miał nadzieję przekroczyć próg tajemniczy, wstąpić na nieznane schody, po których jeden za drugim odbyły pielgrzymkę stare dukaty pana Coquenard.

Ujrzy nareszcie własnemi oczami skrzynię, której obraz widział tyle razy w swych snach; skrzynię, długą, głęboką, z kłódkami, zamkami, a w dodatku przytwierdzoną do podłogi śrubami, o której nasłuchał się tyle opowiadań, i którą rączki notarjuszowej, wprawdzie trochę chude i suche, lecz niepozbawione wdzięku i elegancji, otworzą nareszcie i ukażą jego oczom zachwyconym jej cudowne wnętrze.

Następnie on, tułacz bez grosza przy duszy, bez domu, żołnierz, pędzący życie w oberżach i karczmach, znający się na dobrem jedzeniu i lubiący spijać doskonałe wina, a zmuszony kontentować się cienkuszem, zasiądzie nareszcie do stołu, zastawionego obficie, użyje rozkoszy życia rodzinnego i pozwoli otoczyć się wygodami i staraniami, które wielki urok posiadają dla ludzi, zmuszonych obywać się bez nich: tak przynajmniej utrzymują starzy wojskowi.

Siadać codzień, jako krewny przy stole do smacznego obiadku, rozchmurzyć żółte i pomarszczone czoło starego notarjusza, podskubać od czasu do czasu młodych jego kancelistów, wykładając im tajemnice gry w basetę, lancusia i t. p. i w przeciągu godziny

zabrać, jako honorarjum, za naukę przynależne, ich oszczędności, uzbierane z całomiesięcznej pensji, — to uśmiechało się niesłychanie Porthosowi.

Muszkieter nasz przywodził sobie wprawdzie na pamięć przeróżne plotki, jakie obiegały w owym czasie o notarjuszach wogóle, o ich sknerstwie, odgrzewaniu resztek jedzenia i postach, ściśle zachowywanych; ponieważ jednak, pomimo pewnej oszczędności, którą Porthos zauważył, i która wcale mu się nie podobała, widział notarjuszową dość hojną niekiedy (jak na notarjuszową, ma się rozumieć), spodziewał się zatem zastać dom na stopie przyzwoitej.

Zbliżywszy się jednak do bramy posiadłości pana Coquenard, muszkieter nasz zaczął trochę powątpiewać; dostęp do mieszkania nie był wcale zachęcający: ulica cuchnąca i brudna; schody ciemne, światło bowiem wpadało przez okienko zakratowane, wychodzące na mur sąsiedniego domostwa. Na pierwszem piętrze drzwi czarne i niskie, nabijane gwoździami, jakby drzwi więzienia.

Porthos zapukał; po chwili otworzył mu jeden z dependentów; blady, wychudzony, z rozczochraną głową i przywitał ukłonem, wyrażającym cześć potrójną: dla wysokiej postaci muszkietera, znamionującej siłę, dla stroju wojskowego i dla twarzy różowej, cechującej człowieka, lubiącego dobrze jeść i pić.

Za dependentem stał drugi, mniejszy, za nim znów trochę większy, a dalej jeszcze wyrostek dwunastoletni.

Było zatem półczwarta dependenta, co na owe czasy oznaczało biuro notarjusza, używającego wielkiej wziętości.

Porthos miał przyjść o godzinie pierwszej; pani notarjuszowa jednak od dwunastej już go wyglądała, rachując, że serce kochające, a może i pusty żołądek kochanka przyprowadzą go wcześniej.

Pani Coquenard ukazała się w drzwiach od pokoju w chwili, gdy gość jej wchodził drzwiami od schodów, i to wybawiło muszkietera z wielkiego ambarasu. Aplikanci bowiem mierzyli go oczami z impertynencką ciekawością, a on nie wiedział narazie, co im powiedzieć, i stał niemy, jak pień.

— To mój krewny — zawołała pani notarjuszowa — chodź-że, chodź prędzej, panie Porthosie.

Nazwisko kuzyna podziałało na dependentów i zaczęli chichotać w najlepsze; Porthos odwrócił się, spojrzał groźnie i, jak za dotknięciem różdżki czarnoksięskiej, twarze wszystkich przybrały obojętny wyraz.

Nareszcie dotarł wraz z panią domu do gabinetu notarjusza, minąwszy przedpokój z dependentami i biuro, w którem właściwie powinni byli siedzieć; pokój ten był brudny, ciemny i zawalony staremi papierami. Przeszli biuro, skąd na prawo prowadziły drzwi do kuchni, i znaleźli się nakoniec w bawialnym pokoju.

Wszystkie te pokoje wcale nie zachwyciły Porthosa.

Rozmowa, prowadzona w jednym z nich, słyszana być mogła we wszystkich przez drzwi poroztwierane. Przechodząc, zapuścił badawczy wzrok do kuchni i zmuszony był przyznać, ze wstydem dla pani notarjuszowej, a z żalem dla siebie, iż nie dostrzegł tam ani ognia na kominie, ani ruchu i krzątaniny, jakie panują zwykle w tej świątyni obżarstwa podczas szykowania smacznego obiadu.

Pan notarjusz, przygotowany zapewne przez żonę do wizyty, nie okazał najmniejszego zdziwienia na widok Porthosa, który podszedł rezolutnie i ukłonił się z galanterją.

— Podobno jesteśmy spokrewnieni, panie Porthos? — rzekł notarjusz, unosząc się z trudnością z trzcinowego fotela, na którym siedział.

Starzec owinięty był w obszerny czerwony kaftan, pod którym ginęła jego sucha i koścista postać; małe siwe oczki błyszczały, jak robaczki świętojańskie i wraz z wargami, poruszającemi się bezustannie, skupiały w sobie całe życie obumarłej twarzy.

Na nieszczęście, nogi poczynały mu odmawiać posłuszeństwa i nie chciały już nosić starego grata: od pół roku zatem, gdy i ta dolegliwość przyłączyła się do wieluinnych, szanowny notarjusz dostał się zupełnie pod władzę małżonki.

Przystał z rezygnacją na kuzynostwo z muszkieterem, bo nie mógł zrobić inaczej. Pan Coquenard, gdyby był młody i rzeźki, z pewnością uchyliłby się od jakiegokolwiek pokrewieństwa z Porthosem.

— Tak, panie, jesteśmy kuzynami — odparł Porthos śmiało, choć, coprawda, nie rachował nigdy na przyjęcie entuzjastyczne ze strony męża swej bogdanki.

— Przez kobiety, zdaje mi się?... — rzekł notarjusz złośliwie.

Porthos nie zrozumiał przycinku i wziął to za naiwność staruszka, z której śmiał się pod wąsem.

Pani Coquenard wiedziała dobrze, że notarjusz naiwnością bynajmniej nie grzeszy i dlatego roześmiała się przymuszenie, a zaczerwieniła się ogromnie.

Stary Coquenard, odkąd wszedł Porthos, co jakiś czas spoglądał niespokojnie na wielką szafę, stojącą naprzeciw biurka dębowego, przed którem siedział. Porthos domyślił się, że szafa, choć nie odpowiadała kształtem tej, którą w snach swoich

oglądał, musi być jednak błogosławionem naczyniem, zawierającem skarby, i winszował sobie, że rzeczywistość okazała się wyższa i obszerniejsza, niż jego marzenie.

Pan Coquenard nie dochodził już bliższego pokrewieństwa z muszkieterem tylko, przenosząc niespokojny wzrok z szafy na Porthosa, zapytał:

— Zapewne kochany kuzynek przed wyjazdem na wojnę, będzie łaskaw zjeść choć jeden obiadek; wszak prawda, pani Coquenard?...

Teraz Porthos uczuł się dotknięty... w sam żołądek; widać, że i pani Coquenard ze swej strony także się obruszyła, bo zaraz dodała:

— Krewny mój nie przyszedłby więcej do nas, gdybyśmy go źle przyjęli; a rzeczywiście tak niedługo już będzie w Paryżu i tak mało czasu mu zostaje, aby się z nami nacieszyć, iż musimy go prosić, by wszystkie wolne chwile, jakiemi aż do wyjazdu rozporządzać może, zechciał nam łaskawie poświęcić.

— O! moje nogi! moje biedne nogi!... czemuż mnie słuchać nie chcecie?... — mruczał Coquenard usiłując się uśmiechnąć.

Pomoc, z jaką pośpieszyła Porthosowi w chwili, gdy został zaatakowany w nadziei spożywania smacznych obiadów, przepełniła serce muszkietera szczerą wdzięcznością dla dobrej notarjuszowej.

Niedługo nadeszła godzina obiadowa. Przeniesiono się do sali jadalnej, którą stanowiła duża izba, ciemna i brudna, dotykająca kuchni.

Dependenci czuli z pewnością niezwykłą woń potraw, rozchodzącą się po całym domu, ponieważ stawili się z wojskową akuratnością i każdy z nich, trzymając w ręku stołek, gotów był usiąść za danym znakiem, a poruszanie szczękami i wciąganie zapachów nosami zwiastowało straszliwe zamiary żarłoctwa.

— Do licha! — pomyślał Porthos, patrząc na tych trzech wygłodzonych młokosów, bo wyrostek nie był dopuszczony do honorowego stołu — do licha! ja na miejscu szanownego kuzynka, nie trzymałbym w domu takich obżartuchów. Wyglądają oni na rozbitków, którzy od sześciu tygodni nic w gębie nie mieli...

Coquenard, wtoczony z fotelem przez żonę z pomocą muszkietera, zaczął tak samo, jak dependenci, poruszać nosem i szczękami.

— Ho! ho! — zawołał — pyszna zupa, już sam zapach jej nęci!...

— Co u djabła czuje on w tej zupie tak zachwycającego?... — mówił Porthos, ujrzawszy obfitość bladego i chudego rosołu, po którym gdzieniegdzie pływały grzanki, jak wyspy na archipelagu.

Na znak, dany przez panią Coquenard, wszyscy z pośpiechem zajęli miejsca.

Pan Coquenard dostał zupy najpierwszy, następnie Porthos; potem pani Coquenard nalała sobie na talerz i rozdzieliła grzanki bez buljonu pomiędzy dependentów.

Nagle otworzyły się drzwi sali jadalnej i Porthos zobaczył przez nie małego smyka, który, nie mogąc do uczty należeć, pożerał suchy chleb, zaprawiając go zapachem, idącym z kuchni i sali stołowej!

Po rosole służąca podała kurę gotowaną, zbytek, na którego widok współbiesiadnikom oczy na wierzch powyłaziły.

— Znać zaraz, że moja pani kocha bardzo swoją familję — odezwał się notarjusz z tragicznym uśmiechem — z pewnością to na cześć kuzynka zdobyła się na taką znakomitą potrawę.

Biedna kura chuda była i pokryta skórą grubą i twardą, której nie mogły przebić nawet kości spiczaste; musiano jej zapewne dobrze się naszukać, zanim znaleziono w kącie na grzędzie, gdzie się skryła, aby w spokoju zakończyć żywot mizerny i długi.

— Do djabła! — pomyślał Porthos — to wcale nie wesołe, szanuję ja starość niezmiernie, lecz znacznie mniej ją cenię, gdy jest gotowana lub pieczona.

Obejrzał się dokoła, ażeby zobaczyć, czy wszyscy podzielają jego opinję, lecz zawiódł się zupełnie; ujrzał bowiem oczy płomieniejące, któremi pożerano już naprzód tę wspaniałą kurę, przedmiot jego pogardy.

Pani Coquenard przysunęła półmisek do siebie, oderwała zręcznie dwie wielkie czarne łapy i położyła na talerzu mężowskim, odcięła szyję z głową i odsunęła na bok dla siebie; odjęła skrzydełko dla Porthosa, i służącej, tej samej, która przyniosła półmisek, oddała kurę prawie nienapoczętą.

Powróciła ona, skąd przyszła, tak szybko, że Porthos nie zdążył nawet pochwycić wrażenia, jakie zawód ten wywołał na obliczach głodnych dependentów.

W miejsce kury ukazał się półmisek ogromny, pełen fasoli; sterczało w niej kilka kostek baranich, które zdaleka można było wziąć za pokryte mięsem.

Doświadczeni dependenci nie dali się uwieść tym pozorom i fizjognomje ich ze smutnych zamieniły się w zrezygnowane.

Pani Coquenard obdzieliła młodych ludzi tą wspaniałą potrawą z umiarkowaniem, godnem dobrej gospodyni.

Przyszła kolej na wino. Z butelki, nader szczupłych rozmiarów, sam notarjusz nalał po trochu w szklanki dependentom, sobie nalał niewiele więcej i posunął wino w stronę Porthosa i pani Coquenard.

Młodzi ludzie dopełnili szklanki wodą, a upiwszy trochę, znów wody doleli i tak powtarzali ciągle, a przy końcu obiadu, zamiast napoju koloru rubinowego, mieli coś nakształt bladego topazu.

Porthos obgryzał delikatnie skrzydełko kurze i od czasu do czasu uczuwał dreszcz rozkoszny, czując pod stołem lekkie dotknięcie nóżki notarjuszowej. Wypił jednym haustem wino, skromnie mu nalane i poznał po smaku, że jest to zieleniaczek z Montreuil, którym właśnie pogardzają tacy wytrawni, jak on, znawcy.

Pan Coquenard patrzył ze zgrozą, jak nasz muszkieter połknął prędko to wino, według niego doskonałe.

— Czy będziesz jadł jeszcze fasolę, kochany kuzynku? — zapytała pani Coquenard takim tonem, jakby chciała powiedzieć: wierz mi szczerze, nie jedz już...

— Zjesz djabła, jeżeli choć skosztuję — mruknął pod nosem Porthos...

A głośno dodał:

— Dziękuję, kochana kuzynko, nie jestem już głodny.

Cisza zapanowała ogólna.

Porthos czuł się nieswój i nie wiedział, jaką zrobić minę. Notarjusz pierwszy się odezwał, powtarzając kilkakrotnie:

— Winszuję ci szczerze, pani Coquenard, obiad twój dzisiejszy, to uczta prawdziwa; Boże wielki, jakżeż ja się najadłem!

Pan Coquenard zjadł talerz chudego rosołu, dwie łapki kurze i obgryzł kostkę baranią, jedyną, na której była odrobinka mięsa.

Porthos przypuszczał, że z niego żartują, pokręcił zatem wąsa i zmarszczył czoło; lecz nóżka gosposi leciuchnem dotknięciem dała mu znak, aby był cierpliwy.

Ta cisza, ten niby koniec obiadu, niezrozumiały dla Porthosa, miał jednak znaczenie okrutne dla biednych dependentów; spostrzegli oni wzrok surowy notarjusza i uśmiech słodki jego połowicy, a wiedząc doskonale, co to znaczy, powstali ociągając się, złożyli serwety powolutku, nareszcie ukłonili się i wyszli.

— Idźcie chłopcy, wynoście się, a pamiętajcie, że praca najpilniej pomaga trawieniu — rzekł notarjusz poważnie.

Wtedy pani Coquenard wstała od stołu i wyjęła z bufetu kawałek sera, talerzyk maleńki konfitur z dyni i placek z miodem i migdałami, który sama upiekła.

Notarjusz zmarszczył brwi na widok takiej obfitości; Porthos przygryzł usta, zobaczywszy, iż to, co jest na stole, obiadu nie zastąpi.

Obejrzał się za półmiskiem z fasolą; lecz półmisek także się ulotnił.

— Stanowczo dzisiaj uczta u nas — wykrzyknął Coquenard — uczta prawdziwa, epulae epularum; Lucullus przyjmowany przez Lucullusa.

Porthos spojrzał na butelkę i projektował sobie najeść się chleba, sera i popić winem; lecz i tu zawód go spotkał, butelka już była pusta, a państwo Coquenard udawali, że tego nie spostrzegają.

— Masz tobie, a tom się złapał — myślał Porthos — lecz dotrwajmy do końca.

Oblizał z rezygnacją łyżeczkę od konfitur i ugryzł kawałek placka, arcydzieła pani Coquenard.

— No — rzekł w duchu — teraz już ofiara spełniona... O! gdybym nie miał nadziei zajrzeć razem z panią Coquenard do starej szafy jej mężulka...

Pan notarjusz, po delicjach wspaniałego obiadu, którego nie przestawał nazywać zbytkiem nadzwyczajnym, uczuł potrzebę spoczynku.

Porthos miał nadzieję, że drzemka odbędzie się przy stole w tym samym pokoju; lecz przeklęty notarjusz inaczej postanowił: kazał się zaprowadzić do gabinetu swego i tam póty krzyczał i zrzędził, aż go posadzono naprzeciw szafy, na której podstawach, dla większej pewności, oparł schorzałe nogi.

Notarjuszowa zaprowadziła Porthosa do sąsiedniego pokoju i zaczęli tam jakoś dochodzić do porozumienia w wielu kwestjach.

— Mógłbyś przychodzić do nas na obiad przynajmniej trzy razy w tygodniu — mówiła pani Coquenard.

— Dziękuję serdecznie — rzekł Porthos — nie lubię nadużywać gościnności; a przytem, wiesz przecież, iż muszę pomyśleć o umundurowaniu.

— To prawda — rzekła czuła dama, wzdychając — a! to nieszczęśliwe umundurowanie!...

— Niestety, tak jest — rzekł Porthos — to mnie jedynie od ciebie oddala.

— Czegóż więc potrzebujesz do kompletnego umundurowania, panie Porthosie?

— O! bardzo dużo różnych rzeczy; muszkieterowie, jak pani wiadomo, są żołnierzami wyborowymi i potrzebują wielu przedmiotów, o których wyobrażenia nie mają tacy gwardziści naprzykład, albo straż pałacowa.

— Ale mniej więcej oznacz mi wiele...

— Wszystko to może kosztować około...

Porthos urwał, wolał bowiem ogólną sumę oznaczyć, niż targować się po szczególe.

Notarjuszowa słuchała, drżąc cała.

— Ileż to wyniesie? — zaczęła — spodziewam się, że nie przejdzie...

Zatrzymała się; głosu jej zabrakło.

— O! nie — rzekł Porthos — nie przeniesie wcale dwóch tysięcy pięciuset liwrów; sądzę nawet, iż rachując się dobrze, obszedłbym się dwoma tysiącami.

— Boże wielki! aż dwa tysiące liwrów — wykrzyknęła — ależ to majątek!

Porthos skrzywił się znacząco.

Pani Coquenard domyśliła się, co to znaczy.

— Pytałam o szczegóły — odezwała się — dlatego jedynie, że, mając dużo krewnych i znajomych pomiędzy kupcami, pewna jestem, iż o sto procent taniej wszystkiego dostanę, niż ty zapłacisz, gdybyś sam kupował.

— Aha! o to ci chodziło!

— Tak, najdroższy panie Porthosie! wszak potrzebujesz najpierw konia?

— Tak jest, konia najpierw.

— Otóż ja mam już wierzchowca dla ciebie…

— Naprawdę? — rzekł Porthos uradowany — to już spokojny jestem przynajmniej o konia; potrzeba mi następnie ubrać tego konia, a uprząż wierzchowca składa się z takich przedmiotów, które jedynie muszkieter sam osobiście kupić może; lecz to wszystko będzie kosztowało trzysta liwrów najwyżej.

— Trzysta liwrów?… zresztą przypuśćmy już, że trzysta liwrów — powiedziała notarjuszowa, wzdychając.

Porthos uśmiechnął się: trzeba pamiętać, że posiadał pyszne siodło, pochodzące od Buckinghama, zatem trzysta liwrów chciał zdrajca schować do kieszeni.

— Potrzebuję jeszcze — ciągnął dalej — wierzchowca dla lokaja i tłumoka dla siebie; co się tyczy uzbrojenia, możesz nie myśleć o tem wcale, mam wszystko, co mi potrzeba.

— Chcesz konia jeszcze i dla lokaja? — podjęła wahająco pani Coquenard — lecz to zanadto po pańsku, drogi przyjacielu.

— O! moja pani — rzekł Porthos wyzywająco — czy masz mnie za żebraka?

— Nie, kochany panie Porthosie, chciałam tylko powiedzieć, że ładny muł wygląda niekiedy zupełnie jak koń i zdaje mi się, że, jak ci dostarczę ładniutkiego muła dla Mousquetona…

— Niech będzie muł, kiedy tak chcesz, byleby był tylko dobry — odrzekł Porthos — coprawda, widziałem ja magnatów hiszpańskich, których świty całe na mułach siedziały… Ale, droga pani Coquenard, rozumiesz to dobrze: muł potrzebuje czapraka, dzwonków…

— Nie turbuj się o to.

— No, zostaje nam jeszcze waliza.

— O! to najmniejsza, nie kłopocz się tem wcale — zawołała dama — mąż mój posiada pięć czy sześć waliz rozmaitych, wybierzesz sobie najlepszą. Jest tam jedna mianowicie, którą szczególniej lubił brać do podróży i która jest tak ogromna, że światby w nią można zapakować cały.

— Więc ta waliza pusta jest obecnie? — zapytał Porthos naiwnie.

— Bezwątpienia, że pusta — odrzekła notarjuszowa, również naiwnie.

— A, moja najdroższa — zawołał Porthos — ja potrzebuję walizy dobrze naładowanej!

Pani Coquenard zaczęła znów wzdychać. Molière nie napisał jeszcze wówczas swego sławnego Skąpca. Pani Coquenard zatem uprzedziła Harpagona.

Nakoniec umundurowanie całe zostało omówione w sposób, jak wyżej, i wypadło, że zacna notarjuszowa przyrzekła dać ośmset liwrów gotówką i dostarczyć konia i muła w dodatku, ażeby miały zaszczyt służyć Porthosowi i Mousquetonowi i pomagać im do zdobycia bogactw i sławy.

Po skończonej umowie, Porthos pożegnał panią Coquenard. Miała ona wprawdzie ochotę zatrzymać go jeszcze, lecz nie pomogły ani spojrzenia czułe, ani słówka słodkie, Porthos wymówił się obowiązkami służby; notarjuszowa zatem zmuszona była ustąpić pierwszeństwa królowi.

Muszkieter nasz powrócił do siebie głodny i zły okrutnie.

Rozdział VI. Subretka i pani

Pomimo wyrzutów sumienia, jak o tem nadmienialiśmy i mądrych rad Athosa, d'Artagnan z każdą chwilą bardziej był zakochany w milady; odwiedzał ją codzień i nie ustawał w wynurzaniu uczuć miłosnych.

Zarozumiały gaskończyk pewny był, że prędzej czy później stałością i oddaniem się bezwarunkowem na usługi, zdobędzie serce surowej piękności.

Pewnego wieczora, gdy przybywał z podniesioną głową, lekki i szczęśliwy, jak człowiek, spodziewający się conajmniej złotego deszczu, spotkał niespodzianie pokojówkę milady, oczekującą na niego przy bramie.

Ładna Katty tym razem jednak nie poprzestała na czułem spojrzeniu, bo ujęła go delikatnie za rękę.

— Domyślam się — rzekł w duchu d‘Artagnan — ma ona zapewne powiedzieć mi coś od swojej pani; może przez nią oznacza mi rendez-vous… bo sama milady osobiście nie śmiałaby, naturalnie, tego uczynić…

I patrzył wyzywająco na ładną dziewczynę, z miną zdobywcy serc niewieścich.

— Chciałabym powiedzieć panu parę słówek, panie oficerze… — wyszeptała subretka.

— Mów, moje dziecię, mów śmiało — odezwał się d‘Artagnan — słucham cię z uwagą.

— Nie mogę w tem miejscu, bo to, co mam panu powiedzieć, jest bardzo ważne i niesłychanie tajemnicze.

— Więc cóż na to poradzić?

— Gdyby pan zechciał pójść ze mną — rzekła Katty nieśmiało.

— Pójdę, dokąd zechcesz, piękna panienko.

— To chodźmy, proszę pana.

Katty, która trzymała wciąż za rękę d‘Artagnana, poprowadziła go poprzez schodki ciemne i kręte i, przebywszy kilkanaście stopni, otworzyła małe drzwiczki.

— Wejdź śmiało, panie oficerze — rzekła — tutaj będziemy sami, będziemy mogli rozmawiać swobodnie; tu nikt nas nie podsłucha.

— Czyjże to pokoik, kochane dziecko?

— To mój własny, proszę pana, a oto drzwi do pokoju mojej pani. Lecz bądź pan spokojny, nie usłyszy ona rozmowy, nigdy wcześniej, niż o północy, nie kładzie się do łóżka i wtedy dopiero potrzebuje mojej pomocy.

D‘Artagnan rozglądał się dokoła.

Pokoik subretki odznaczał się gustownem umeblowaniem i czystością, pomimo to młodzieniec patrzył zawzięcie na drzwi, które mu wskazała Katty, jako prowadzące do apartamentów milady.

Katty odgadła o czem myśli młodzieniec, spuściła więc główkę i westchnęła.

— Kochasz pan bardzo moją panią? — zapytała

— Kocham więcej, niż mogę wypowiedzieć. O! Katty, ja poprostu szaleję za nią!…

Pokojówka westchnęła znowu i rzekła:

— Niestety!… panie, szkoda miłości pańskiej…

— Cóż u djabła widzisz w tem złego? — zapytał d‘Artagnan.

— A to, proszę pana — odparła Katty — że moja pani nie kocha pana ani odrobinki…

— Jakto? — przerwał d‘Artagnan — czyżby ci poleciła zawiadomić mnie o tem?

— O nie! broń Boże; to ja sama przez przyjaźń dla pana postanowiłam odkryć panu prawdę.

— Dziękuję, kochana Katty, lecz tylko za dobre serce, bo to, coś mi powiedziała, przyznaj sama, nie jest wcale przyjemne.

— To znaczy, że pan nie wierzy, wszak prawda?...

— Trudno uwierzyć, moja panienko, miłość własna nie pozwala...

— Zatem nie wierzysz pan stanowczo?

— Wyznaję, że nie uwierzę, chyba że mi dasz jaki dowód.

— Cóżbyś pan powiedział na ten oto dowód?...

Katty wyjęła z za gorsu mały bilecik

— Czy to dla mnie? — rzekł d'Artagnan, chwytając papier.

— Nie, to dla innego!...

— Dla innego?...

— Tak, panie.

— Nazwisko jego!... nazwisko!... powiedz mi natychmiast!... jak się nazywa? — krzyczał d'Artagnan.

— Przeczytaj pan adres.

— Hrabia de Wardes...

D'Artagnanowi stanęło przed oczyma zdarzenie w Saint-Germain; krew w nim zakipiała i zarozumiały gaskończyk, ruchem jak myśl szybkim, rozdarł kopertę, pomimo krzyku Katty.

— O, mój Boże!... co pan robisz najlepszego? — wołała.

— Ja?... nic nadzwyczajnego, jak widzisz.

I zaczął czytać:

„Nie odpowiedziałeś na list mój pierwszy, co to znaczy?... czyś chory jeszcze?... albo może zapomniałeś, jakim wzrokiem patrzyłeś na mnie, na owym pamiętnym balu u pani de Gwizjuszowej? Teraz zdarza się dobra sposobność, hrabio!... skorzystaj z niej koniecznie".

D'Artagnan zbladł śmiertelnie; próżność jego otrzymała cios niespodziany, i w nieświadomości młodzieńczej wziął to za zawód w prawdziwej miłości.

— Biedny, kochany panie d'Artagnan — odezwała się Katty pocieszająco, ściskając rękę młodzieńca.

— Więc mnie żałujesz, poczciwa dziewczyno? — rzekł d'Artagnan.

— O tak, żałuję z całego serca! bo ja wiem niestety, co to jest miłość?

— Ty znasz miłość? — zapytał d'Artagnan, przypatrując się pierwszy raz ładnej dziewczynie z niejaką uwagą.

— O! znam, na moje nieszczęście!

— Otóż, zamiast ubolewać nademną, pomóż mi lepiej do zemsty nad swoją panią...

— Jakiej pan zemsty pragniesz?

— Pragnę ją zwyciężyć, pragnę zastąpić rywala mojego.

— O! nie myślę panu do tego wcale dopomagać, panie oficerze — odrzekła Katty pośpiesznie.

— A to dlaczego? — zapytał d'Artagnan.

— Dla dwóch powodów.

— Dla jakich?

— Najprzód, moja pani nie kocha pana wcale...

— Skąd o tem wiesz?

— Pan ją obraziłeś śmiertelnie.

— Ja?... o czemże mógłbym ją obrazić?... ja?... co od chwili poznania leżę u nóg jej, niby niewolnik jaki; powiedz, proszę cię, powiedz wszystko, co wiesz...

— Jeżeli zdecyduję się wyznać... to jedynie mężczyźnie, który zajrzy do głębi duszy mojej!...

D'Artagnan spojrzał na Katty po raz drugi badawczo.

Dziewczyna była świeża i piękna; niejedna księżna lub królowa oddałaby koronę za podobną urodę.

— Katty — odezwał się — będę czytał w twej duszy, kiedy tylko zechcesz i jak długo zechcesz... bądź pewna, drogie dziecko.

I pocałował ją na początek, a biedna dziewczyna spłonęła, jak wisienka.

— O! nie — zawołała — pan mnie nie kocha, moją panią pan uwielbia... powiedziałeś mi to przed chwilą.

— I to dlatego nie chcesz mi odkryć drugiego powodu?

— Drugi powód proszę pana — zaczęła Katty ośmielona pocałunkiem a także wyrazem oczu młodzieńca — drugi powód... że w miłości każdy o sobie myśli...

Teraz dopiero d'Artagnan przypomniał sobie spojrzenia powłóczyste, jakie mu rzucała Katty przy owych niby przypadkowych spotkaniach w przedpokoju, na schodach, w korytarzu; dotknięcia rączki za każdem spotkaniem i westchnienia tłumione; a on niebaczny, pożerany chęcią przypodobania się wielkiej pani, nie zwrócił uwagi na pokojówkę.

Tak to zwykle bywa, kto na orła poluje, nie dba o szarego wróbelka.

Lecz tym razem gaskończyk nasz pojął odrazu wszystkie korzyści, jakie osiągnąć może, wyzyskując przywiązanie Katty, wyznane tak naiwnie, a zarazem tak śmiało. Przez nią miałby listy, przeznaczone dla hrabiego de Wardes; przez nią wiadomości, co się w domu milady dzie je, i wejście swobodne o każdej godzinie dnia i nocy do pokoiku Katty, przyległego do sypialni milady.

Zdrajca wiarołomny! poświęcał już w myśli, jak widzimy, biedną dziewczynę, aby posiąść milady, choćby podstępem, a nawet przemocą.

— A więc — odezwał się do dziewczyny — czy chcesz, kochana Katty, abym ci dał dowód miłości, o której jakbyś jeszcze powątpiewała?

— Jakiej miłości?

— Tej, którą zaczynam dla ciebie uczuwać...

— Ciekawa jestem tego dowodu?

— Czy pozwolisz, abym spędzał z tobą cały ten czas, jaki poświęcałem twojej pani?

— O!... pozwolę — odrzekła Katty, klaszcząc rączkami z zadowoleniem — pozwolę z największą chęcią!

— Dziękuję ci, drogie dziecko — rzekł d'Artagnan, sadowiąc się w fotelu — a teraz chodź tu do mnie, ponieważ chcę ci powiedzieć, iż jesteś najpiękniejszą z subretek, jakie widziałem kiedykolwiek!

Zbliżyła się nieśmiało, on zaś długo i tak przekonywająco dowodził miłości swojej, że dziewczynę, która w duszy pragnęła uwierzyć... przekonał nareszcie.

Dziwiło to jednak bardzo d'Artagnana, że Katty broniła się zawzięcie!

Czas prędko mija na takiem zajęciu, gdy jedna strona atakuje, a druga się broni, zwłaszcza, kiedy przeciwnikami są młodzi i czują, że ulegną sobie w końcu...

Północ wybiła; zaraz też ozwał się dzwonek w pokoju milady.

— Wielki Boże! — zawołała Katty — pani moja mnie woła. Wychodź pan, wychodź coprędzej!

D'Artagnan podniósł się, udając posłuszeństwo, i zamiast drzwi od schodów, otworzył drzwi od wielkiej szafy i wsunął się pomiędzy suknie i peniuary milady.

— Co pan robisz, na miłość Boską? — zawołała Katty.

D'Artagnan, który już przedtem zaopatrzył się w klucz, zamknął się w szafie, nic nie odpowiedziawszy.

— Co to jest?... — krzyczała milady głosem cierpkim — czy śpisz już i nie słyszysz, że dzwonię?

D‘Artagnan usłyszał, jak drzwi od pokoju milady otworzono z hałasem.

— Jestem już, jestem, proszę pani — odezwała się Katty, biegnąc na spotknie rozgniewanej milady.

Weszły obydwie do pokoju sypialnego, a ponieważ drzwi pozostały otworem, d‘Artagnan słyszał czas jakiś łajanie; nakoniec pani się uspokoiła i rozmowa zeszła na niego właśnie, gdy Katty rozbierała kapryśną damę.

— Co to znaczy? — mówiła milady — nasz gaskończyk dziś się nie pokazał.

— Jakto, proszę pani — odrzekła Katty — nie przyszedł?... Czyżby się sprzeniewierzył, zanim jeszcze otrzymał nagrodę za swoją miłość?

— O! nie! przeszkodził mu zapewne pan de Tréville, albo pan Desessarts. Znam ja się na tem, moja Katty, pewna jestem tego młokosa i trzymam go dobrze.

— Co pani myśli z nim zrobić?

— Co ja z nim zrobię?... O Katty, bądź spokojna popamięta on mnie, jest między nami sprawa, której się nie domyśla nawet... On mnie o mało nie pozbawił zaufania i łaski kardynała... O! ja się zemszczę.

— Byłam pewna, że pani go kocha?

— Że ja go kocham? ależ ja go nienawidzę!... Głupi młokos!... miał w ręku życie lorda Winter i nie zabił go... pozbawił mnie szlachetnością niedorzeczną trzystu tysięcy liwrów dochodu rocznego!

— To prawda — odezwała się Katty — syn pani jest jedynym spadkobiercą wuja, a do pełnoletniości syna, służy pani prawo używania majątku.

D‘Artagnan zadrżał, słysząc tę idealną istotę, wyrzucającą mu głosem cierpkim, który w rozmowie z nim starała się uczynić łagodnym i czułym, że nie zabił człowieka, otaczającego ją przyjaźnią i dostatkiem.

— Jużbym się była dawno zemściła, bez niczyjej pomocy, gdyby kardynał, nie wiem w jakim celu, nie zalecił mi dać spokój jeszcze...

— O tak! Ale pani za to nie oszczędziła młodej kobiety, którą tak kochał.

— Tej kupcowej z ulicy Grabarzy: czyż on pamięta o niej jeszcze? ręczę ci, że przy mnie zapomniał o tamtej... Śliczna zemsta, niema co mówić!...

Zimny pot oblał skronie d‘Artagnana. Więc to potwór był nie kobieta.

Chciał dalej słuchać, lecz milady położyła się do łóżka i rozmowa ustała.

— Możesz odejść — odezwała się — postaraj się tylko, ażebym miała jutro odpowiedź na list, który ci powierzyłam.

— Do pana de Wardes? — rzekła Katty.

— Ma się rozumieć, że do niego.

— O! — podchwyciła Katty — jego pani zupełnie inaczej traktuje, niż biednego pana d'Artagnana.

— Odejdź już — rzekła milady niecierpliwie — wiesz, że nie lubię komentarzy.

D'Artagnan usłyszał zamykanie drzwi i odgłos klucza w zamku, milady bowiem zamykała się na noc zawsze; Katty też cichuteńko zamknęła na klucz swoje drzwi.

D'Artagnan wyszedł nareszcie z ukrycia.

— O mój Boże — szepnęła Katty — co się panu stało? czegoś pan tak zbladł okropnie?

— Obrzydliwe, wstrętne stworzenie! — mruczał d'Artagnan.

— Cicho! cicho! na miłość Boską — prosiła Katty — wyjdź pan, ściana tylko cienka oddziela mój pokój od milady, słychać wszystko u niej, co mówimy!

— Dlatego właśnie ani myślę ruszyć się stąd — odpowiedział d'Artagnan.

— Co pan mówi?... — rzekła Katty, czerwieniąc się gwałtownie.

— Albo, jeżeli wyjdę... to później trochę...

Przyciągnął Katty do siebie; nie było sposobu opierać się dłużej, a zresztą opór sprawiłby hałas, a potrzeba było zachować się cicho! więc też Katty uległa...

Mścił się w ten sposób za obojętność i niegodziwość tych słów, że zemsta jest rozkoszą bogów...

Gdyby d'Artagnan miał choć odrobinę uczucia, byłby się zadowolił tą nową zdobyczą, lecz d'Artagnan był ambitny i marzył jedynie o wywyższeniu.

Należy jednak przyznać na pochwałę młodzieńca, że, korzystając z przewagi, zdobytej nad Katty, starał się najpierw dowiedzieć o losie pani Bonacieux; biedna dziewczyna przysięgła na krucyfiks, że nic nie wie, że pani jej nigdy całej prawdy nie odkryła, że może tylko zaręczyć, iż, o ile przypuszcza, pani Bonacieux nie została zamordowana.

Katty nie wiedziała także, dlaczego milady o mało nie straciła zaufania kardynała, ale d'Artagnan wiedział więcej. Widział on milady na statku, zatrzymanym w porcie z rozkazu ministra, w chwili gdy Anglję opuszczał i domyślał się, że chodzi o brylantowe zapinki. Lecz cała nienawiść milady do niego widocznie miała w tem głównie źródło, iż nie zabił jej szwagra i nie przyśpieszył w ten sposób chwili objęcia po nim spadku.

Nazajutrz d'Artagnan stawił się u milady o zwykłej porze. Zastał ją w okropnym humorze, widocznie brak odpowiedzi od hrabiego de Wardes tak ją usposobił.

Katty weszła do salonu, lecz milady nie dała jej się odezwać i odprawiła ją ostro. Pokojówka rzuciła spojrzenie młodzieńcowi, które mówiło: widzisz, co cierpię dla ciebie.

Na schyłku wieczora jednak piękna lwica złagodniała, słuchała uprzejmie wylewu czułości d'Artagnana, a nawet pozwoliła ucałować śliczną rączkę.

D'Artagnan wyszedł, miotany sprzecznemi uczuciami. Ponieważ jednak był to chłopak, nie łatwo dający się w pole wyprowadzić, więc też, umizgając się do milady, ułożył sobie jednocześnie pewien planik.

Przy drzwiach oczekiwała go Katty i tak samo, jak wczoraj, pociągnęła do siebie.

Katty wytrzymała srogie wyrzuty milady za opieszałość i nieakuratne wykonywanie poleceń. Piękna pani nie mogła zrozumieć milczenia hrabiego de Wardes i rozkazała pokojówce stawić się u siebie o dziewiątej z rana po list, już trzeci z rzędu.

D'Artagnan wymógł obietnicę na Katty, że mu jutro ten list doręczy. Biedna dziewczyna przyrzekła kochankowi; miłość szalona nią owładnęła, nie była w stanie odmówić...

Wszystko się odbyła tak samo, jak dnia poprzedniego.

D'Artagnan wlazł do szafy, milady zadzwoniła, rozebrała się, odprawiła Katty i zamknęła się na dwa zamki. D'Artagnan zaś, tak, jak nocy przeszłej, powrócił do siebie o piątej nad ranem.

O jedenastej przyszła Katty z listem milady do hrabiego. Tym razem biedne dziecię oddało bilet z własnej woli. Nie próbowała nawet perswazji, należała już duszą i ciałem do swojego pięknego żołnierza.

D'Artagnan otworzył list i czytał co następuje:

„Trzeci już raz piszę, aby powiedzieć, że cię kocham. Strzeż się, abym nie była zmuszoną napisać po raz czwarty, że cię nienawidzę!"

„Jeżeli żałujesz postępowania swego ze mną, to dziewczyna, która ci list mój wręczy, powie, w jaki sposób mężczyzna dobrze wychowany może prosić i otrzymać przebaczenie".

D'Artagnan, czytając, bladł i czerwieniał naprzemian.

— O! ty ją kochasz zawsze! — rzekła Katty, która nie spuszczała oczu z twarzy młodzieńca.

— Nie, Katty, mylisz się, już jej nie kocham, pragnę jedynie zemsty za pogardę, jakiej doznałem.

— Tak, tak, znam ja twoją zemstę; jużeś mi o niej wspominał.

— Cóż ci to szkodzi, droga Katty! wiesz przecież, że ciebie jedną tylko kocham.

— A ja skąd mogę o tem wiedzieć?

— Zobaczysz, jaką jej sztuczkę wypłatam.

Katty westchnęła. D'Artagnan usiadł i napisał:

„Pani! wątpiłem do tej chwili, że dwa twoje listy były dla mnie przeznaczone, czułem się bowiem niegodnym tak ogromnego zaszczytu; nadto byłem mocno cierpiący, a w każdym razie wahałem się zaraz odpowiedzieć.

Dziś zmuszony jestem uwierzyć mojemu szczęściu i łasce Twej nieporównanej, ponieważ nietylko drogocenny bilecik, lecz i służąca Twoja zaręcza, iż posiadam miłość twoją, o Pani!

Nie potrzebuję, aby mnie uczono, w jaki sposób otrzymać mogę przebaczenie. Stawię się dziś wieczór o jedenastej i mam nadzieję zasłużyć na rozgrzeszenie. Nie spóźnię się ani o minutę, aby na nowo nie obrazić pani.

Ten, którego uczyniłaś najszczęśliwszym z ludzi.

Hrabia de Wardes".

List ten był fałszem i uchybiał czci niewieściej, a nawet w pojęciu naszem i w świetle obyczajów tegoczesnych, był poprostu haniebny; lecz w owej epoce rządzono się innemi prawami, gdy szło o dopięcie celu.

D'Artagnan zresztą z własnych opowiadań milady wie dział, że zdolna jest do zdrady i różnych brudnych postępków, bardzo też mało miał dla niej szacunku.

Nienawidził, pogardzał nią prawie, a pomimo to czuł pociąg do niej szalony... czy nim opanowała namiętność, połączona z pogardą... czy żądza tylko, nie umiał sam z tego zdać sobie sprawy, dość, że pragnął tej kobiety.

Plan d'Artagnana był więc prosty: przez pokój Katty wejdzie do sypialni jej pani; skorzysta z pierwszej chwili zdziwienia, wstydu, przestrachu... i odniesie zwycięstwo; może mu się nie powiedzie, lecz trzeba też rachować i na traf szczęśliwy.

— Weź to... — rzekł młodzieniec, oddając Katty bilecik zapieczętowany — wręcz to milady, jako odpowiedź hrabiego de Wardes.

Biedna Katty zbladła śmiertelnie; domyślała się, co bilet zawiera:

— Posłuchaj, drogie dziecię — rzekł d'Artagnan — rozumiesz przecież, że to musi się raz już skończyć w ten lub inny sposób; milady może odkryć, żeś pierwszy bilecik oddała mojemu lokajowi zamiast służącemu hrabiego; że następnie listy ja

odpieczętowałem i przeczytałem, a nie hrabia de Wardes, dla którego były przeznaczone; wtedy co będzie? milady cię wypędzi, a znasz ją przecież doskonale, że na tem nie poprzestanie i będzie się chciała dalej mścić nad tobą.

— O, Boże! mój Boże... — biadała Katty — i dla kogo się ja na to wszystko naraziłam?

— Dla mnie, moja najpiękniejsza — odrzekł młodzieniec — to też przysięgam ci wdzięczność nieskończoną.

— Powiedz mi przynajmniej, co zawiera ten bilet?

— Milady ci powie...

— O! ty mnie nie kochasz! — wykrzyknęła Katty — o! ja nieszczęśliwa!

Na taki zarzut jest jedna tylko odpowiedź, na którą... wszystkie kobiety i po wsze czasy, zawsze się łapią.

D'Artagnan odpowiedział w taki sposób, że biedna Katty uwierzyła. Pomimo to zalewała się łzami, zanim zdecydowała się oddać liścik do rąk milady. Nakoniec przyrzekła, a tego pragnął jedynie d'Artagnan.

Obiecał jej w nagrodę niedługo zabawić wieczorem u milady, a po wyjściu prosto przyjść do niej. Obietnica ta osuszyła łzy Katty i pocieszyła ją ostatecznie.

Rozdział VII. Umundurowanie Aramisa i Porthosa

Od chwili, gdy czterech przyjaciół szukało sposobu wyekwipowania się należytego do zapowiedzianej kampanji, zaprzestali oni bywać u siebie w dniach umówionych, jak dotychczas.

Jadali samotnie tam, gdzie ich zastała godzina obiadowa, lub gdzie im się udało zjeść darmo.

Słudzy, za przykładem panów, wałęsali się po mieście i każdy, jak mógł, zdobywał sobie pożywienie.

Umówiono się jedynie, aby raz na tydzień schodzić się u Athosa około godziny pierwszej w południe, gdyż Athos według przysięgi, jaką sam sobie złożył, nie wychylał się za próg mieszkania.

Dzień, w którym Katty była u d'Artagnana, był właśnie przeznaczony na takie zebranie i zaledwie dziewczyna opuściła mieszkanie, młodzieniec udał się zaraz na ulicę Féron.

Athosa zastał filozofującego z Aramisem.

Aramis objawiał niejakie chęci powrotu do sutanny.

Athos według raz przyjętego zwyczaju ani namawiał, ani mu odradzał.

Nie lubił udzielać rad, nie będąc proszony, a nawet zapytany, ociągał się z odpowiedzią.

— Ludzie wogóle pytają o radę — mawiał — aby potem robić według swego widzimisię; a jeżeli przypadkiem zastosują się do czyjego zdania, to jedynie dlatego, aby potem mieć na kogo narzekać.

Porthos stawił się prawie razem z d'Artagnanem; czterech przyjaciół znalazło się więc w komplecie.

Fizjognomja każdego wyrażała uczucie odmienne; Porthosa — spokój i zadowolenie wewnętrzne; d'Artagnana — nadzieję; Aramisa — niepokój; Athosa zaś — obojętność.

Rozmowa ogólna toczyła się już od chwili; Porthos dawał właśnie do zrozumienia przyjaciołom, że wysoko położona osoba zajęła się jego umundurowaniem, gdy wtem wszedł Mousqueton.

Przyszedł on prosić Porthosa, aby natychmiast wracał do domu, gdzie, jak powiadał z miną strasznie skruszoną, obecność jego potrzebna jest gwałtownie.

— Czy przyniesiono moje umundurowanie?... — zapytał Porthos.

— Tak i... nie — odrzekł Mousqueton.

— Powiedzże, co się stało?...

— Chodźmy coprędzej, błagam pana.

Porthos wstał, pożegnał przyjaciół i udał się za Mousquetonem.

Za chwilę Bazin ukazał się na progu.

— Czego chcesz, mój przyjacielu?... — zapytał Aramis głosem słodkim, jaki zawsze przybierał, gdy go opanowywała myśl powrotu do stanu duchownego.

— Jakiś nieznajomy oczekuje na pana w domu — odpowiedział Bazin.

— Nieznajomy?... co to może być za człowiek?

— Żebrak, proszę pana.

— Daj mu jałmużnę, kochany Bazin, i proś go o modlitwę na intencję biednego grzesznika.

— Kiedy żebrak ten chce koniecznie z panem pomówić i utrzymuje, że pan będzie bardzo kontent z jego przybycia.

— Może ma do mnie interes osobisty?

— Tak, tak panie. Jeżeli pan Aramis (to są jego słowa) będzie się ociągał z powrotem, powiesz mu, że przychodzę z Tours.

— Z Tours?... — zawołał Aramis — panowie, wybaczcie, muszę was pożegnać, bo człowiek ten z pewnością przynosi mi wieści, jakich oczekuję oddawna.

Zerwał się i wyszedł pośpiesznie.

Zostali tylko Athos i d'Artagnan.

— Sądzę, że nasze zuchy znaleźli nareszcie, czego szukali. Jak ci się zdaje, d'Artagnanie?... — odezwał się Athos.

— Wiem napewno, że Porthos jest na dobrej drodze... — rzekł d'Artagnan — a co się tyczy Aramisa, o niego byłem spokojny zawsze: lecz ty, kochany Athosie, rozdałeś z taką hojnością złoto Anglika, które było twoją prawą własnością, a sam co poczniesz obecnie?

— Cieszę się bardzo, żem zabił tego głupca, tem więcej, że jest zasługą przed Bogiem zgładzić ze świata Anglika. Lecz gdybym był schował do kieszeni jego pieniądze, ciążyłyby mi one, jak wyrzut sumienia.

— Daj pokój, Athosie, mój drogi!... masz, doprawdy, dziwne uprzedzenia...

— Dosyć już o tem, mówmy o czem innem... Ale, ale, pan de Tréville powiedział mi, gdy był łaskaw odwiedzić mnie wczoraj, że utrzymujesz obecnie stosunki z jakimiś podejrzanymi Anglikami, z protegowanymi kardynała?

— To chyba mówił o Angielce, tej właśnie, o której ci wspomniałem.

— A tak! przypominam sobie, blondynka, z której powodu tyle ci dobrych rad udzieliłem, a ty, ma się rozumieć, nie słuchałeś ich wcale.

— Powiedziałem ci przecież dlaczego...

— Tak, zapewne widzisz w niej jedyną ucieczkę dla pozbycia się kłopotu, jaki masz z umundurowaniem.

— O!... wcale nie! ale przekonałem się, że za sprawą tej kobiety pani Bonacieux porwana została i ukryta.

— Rozumiem, mój drogi; chcąc odnaleźć jedną kobietkę; umizgasz się do drugiej. Masz rację, kochanku, jest to droga najdłuższa, ale za to najprzyjemniejsza.

Widzieliśmy już, z jakim pośpiechem młody muszkieter wybiegł za Bazinem, a raczej go wyprzedził; jednym skokiem znalazł się na ulicy Vaugirard.

Wpadł do siebie i rzeczywiście zastał w pokoju mężczyznę małego wzrostu, o spojrzeniu roztropnem, lecz ubranego w łachmany.

— To pan mnie potrzebujesz?... — zapytał muszkieter.

— Pragnę widzieć się z panem Aramisem: czy takie jest pańskie nazwisko?...

— Tak, panie, ja nim jestem: czy masz mi pan co oddać?

— Tak, jeżeli mi pan pokażesz pewną chusteczkę haftowaną.

— Oto jest — rzekł Aramis, wyjmując z zanadrza kluczyk i otwierając szkatułkę hebanową, wysadzaną konchą perłową — oto jest, widzisz ją pan.

— Dobrze — rzekł żebrak — a teraz odpraw pan lokaja.

Bazin bowiem, ciekawy dowiedzieć się, czego chce żebrak od jego pana, prawie jednocześnie wszedł do pokoju. Lecz pośpiech ten nie na wiele mu się przydał; na żądanie żebraka pan skinął, aby się usunął, i musiał usłuchać.

Po wyjściu Bazina żebrak obejrzał się szybko dokoła dla pewności, czy kto nie patrzy lub nie podsłuchuje; następnie rozpiął kamizelkę podartą i stary pas skórzany, rozpruł bok kaftana i wyjął zapieczętowany list.

Aramis wydał okrzyk radości na widok herbu na piecząstce, ucałował podpis i ze czcią religijną niemal rozłożył ćwiartkę papieru, zawierającą, co następuje:

„Przyjacielu! przeznaczenie chce, abyśmy byli rozłączeni jeszcze czas jakiś; lecz piękne dni młodości nie stracone dla nas niepowrotnie! Spełń powinność swoją na polu walki; ja spełniam swoją tam, gdzie mnie los postawił. Przyjmij to, co ci oddawca listu doręczy, bądź podczas wojny pięknym i dobrym szlachcicem, jakim zawsze byłeś; kochaj mnie i myśl o mnie... o mnie, która całuje twoje śliczne oczy! ”

„Żegnam cię... do widzenia! ”

Żebrak pruł ciągle kaftan i wyciągał sztuki złota z za podszewki; aż wyjął sto pięćdziesiąt podwójnych liwrów hiszpańskich i ułożył je na stoliku.

To uczyniwszy, otworzył drzwi, skłonił się i wyszedł, zanim osłupiały ze zdziwienia młodzieniec odważył się do niego przemówić.

Aramis odczytał list po raz drugi i spostrzegł, że było i post-scriptum.

„P. S. Możesz śmiało przyjąć z uszanowaniem oddawcę listu, ponieważ jest on hrabią i grandem hiszpańskim”.

— O sny moje złote! — zawołał Aramis. Jakież to życie jest piękne! tak, jesteśmy jeszcze młodzi! i dla nas jeszcze nastaną dni szczęścia!... O! twój jestem, twój jedynie, miłość moja, krew, życie moje!... wszystko, wszystko do ciebie należy! moja najpiękniejsza! moja ukochana!...

Całował list namiętnie, nie patrząc nawet na złoto błyszczące na stoliku. Bazin zapukał do drzwi; Aramis nie miał już powodu ukrywać się, pozwolił mu zatem wejść.

Lokaj oniemiał na widok złota i zapomniał, że przyszedł oznajmić d‘Artagnana, który, zaciekawiony, co to za żebrak zjawił się z interesem tak pilnym, wstąpił po drodze od Athosa do Aramisa.

A że nie miał zwyczaju robić ceremonji z przyjacielem i widział, że Bazin go nie anonsuje, wszedł, nie czekając oznajmienia.

— A! do wszystkich djabłów! kochany Aramisie, jeżeli to są owoce, jakie ci z Tours przysyłają, powinszuj odemnie ogrodnikowi, który je hoduje.

— Mylisz się, mój drogi — odrzekł Aramis zawsze dyskretny — to właśnie wydawca mój odesłał mi należność za poemat, który, jak wiesz, napisałem.

— O! o! — rzekł d'Artagnan — to twój wydawca musi być nadzwyczajnie hojny, mój kochany Aramisie.

— Jakto, proszę pana! — wykrzyknął Bazin — więc za poemat tak drogo płacą? To pan możesz stać się równym panu de Voiture i panu Benserade. Dumny jestem z mego pana. Poeta, to prawie ksiądz. O! panie Aramisie, zostań jedynie poetą, błagam cię!

— Bazinie, mój przyjacielu, — odrzekł Aramis — niech cię Bóg ma w swojej opiece, lecz, zdaje mi się, że mieszasz się do naszej rozmowy!

Bazin zrozumiał, że odezwał się niewłaściwie, spuścił więc głowę i wyszedł skonfudowany.

— A! — odezwał się d'Artagnan z uśmiechem, — doprawdy, na wagę złota sprzedajesz utwory swoje: szczęście ci służy, mój przyjacielu; ale, uważaj dobrze, bo zgubisz list, który wygląda ci z za kaftana, a który pochodzi zapewne także od wydawcy.

Aramis zaczerwienił się aż do białek oczu, wsunął bilecik i zapiął kaftan pod samą szyję.

— Posłuchaj, kochany d'Artagnanie — odezwał się — jeśli pozwolisz, pójdziemy teraz poszukać naszych przyjaciół, a ponieważ jestem obecnie bogaty, od dziś dnia mieć będziemy obiady wspólne, aż do chwili, kiedy z was który też się dorobi pieniędzy...

— Na honor! masz słuszność — rzekł d'Artagnan — służę ci z wielką przyjemnością. Nie jedliśmy już od dawna porządnego obiadu; a ponieważ ja osobiście szykuję się dziś wieczór na wyprawę trochę ryzykowną, przyznaję, że nie od rzeczy będzie, gdy dodam sobie odwagi kilkoma butelkami starego burgunda.

— Niech będzie burgund; nie czuję wcale do niego odrazy — rzekł Aramis, któremu widok złota rozwiał gdzieś myśli o stanie duchownym.

Włożył kilka podwójnych pistolów do kieszeni na potrzeby bieżące, schował resztę do szkatułki hebanowej, inkrustowanej konchą perłową, gdzie się już znajdowała chusteczka batystowa, talizman szczęścia i wszelkiej pomyślności.

Dwaj przyjaciele udali się najpierw do Athosa, który, wierny przysiędze niewychodzenia z domu, podjął się sprowadzić obiad do swego mieszkania, a ponieważ

odznaczał się znajomością urządzania uczt wykwintnych, d'Artagnan i Aramis z wielką chęcią powierzyli mu starania i kłopot o wybór potraw.

Następnie poszli do Porthosa, w drodze rozmawiali wesoło i układali najrozmaitsze projekty, gdy w tem na skręcie ulicy du Bac, spotkali Mousquetona, który z miną strasznie żałosną pędził przed sobą muła i konia.

D'Artagnan wydał okrzyk zdziwienia pomieszanego z uczuciem niejakiego ukontentowania.

— O! na Boga, toż to mój konik żółty — zawołał — Aramisie, spójrz na tego człapaka.

— O fe! co za obrzydliwa szkapa! — rzekł Aramis.

— Otóż, mój kochany — odparł d'Artagnan — na tym koniu przybyłem do Paryża.

— Więc pan zna tego konia? — podchwycił Mousqueton.

— Szczególny kolor — dodał Aramis — nie widziałem nigdy w życiu podobnej maści.

— Wierzę bardzo — podjął d'Artagnan, dlatego też sprzedałem go za trzy talary, i z pewnością zapłacono mi jedynie za skórę, bo zalety jego wewnętrzne nie warte i ośmnastu liwrów. Jakim jednak sposobem koń ten znalazł się w ręku Mousquetona?

— O! — zawołał lokaj — niech pan o tem lepiej nie wspomina, bo to, proszę pana, jest figiel męża naszej księżnej.

— Co za figiel? — opowiedz Mousquetonie!

— A to, proszę pana, jesteśmy w wielkich łaskach u pewnej wielkiej damy, księżnej de...; przepraszam! mój pan nakazał mi tajemnicę, nie mogę zatem nazwisk powiedzieć; pani owa zmusiła nas, abyśmy przyjęli na pamiątkę od niej wspaniałego rumaka hiszpańkiego i takiegoż muła. Doprawdy, że chciało się patrzeć bez końca na te cudowne stworzenia! Wtem mąż zazdrosny dowiedział się o wszystkiem, przejął w drodze wierzchowce znakomite i zastąpił je temi oto bydlętami!

— Które odprowadzasz mu z powrotem? — zapytał d'Artagnan.

— A, naturalnie — odrzekł Mousqueton — pojmujesz pan, iż nie możemy przyjąć nędznych habetów zamiast wierzchowców, jakie nam przyobiecano.

— Ma się rozumieć, że nie wypada, choć pragnąłbym nieskończenie widzieć Porthosa na moim koniu; miałbym przynajmniej wyobrażenie, jak sam wyglądałem, przybywając do Paryża... Nie zatrzymujemy cię, Mousquetonie, ruszaj dalej spełnić rozkaz twego pana. A czy jest on u siebie?

— Jest, proszę pana, lecz w bardzo złym humorze.

Lokaj skierował się w stronę bulwaru Grands-Augustinus, a dwaj przyjaciele udali się do nieszczęśliwego Porthosa i dzwonili do drzwi jego zawzięcie. Napróżno jednak: Porthos widział, jak przechodzili przez podwórze i nie myślał wcale otwierać.

Mousqueton szedł coraz dalej, przebył Most Nowy, pędząc ciągle przed sobą obrzydłe wywłoki i dotarł nareszcie do ulicy Niedźwiedziej. Tam zaś, według polecenia pana swego, przywiązał konia i muła do młotka przy drzwiach notarjusza, i, nie troszcząc się o los ich przyszły, powrócił do Porthosa z wiadomością, że rozkazy jego spełnił wiernie.

Po niejakim czasie zwierzęta nieszczęśliwe, które od rana nic nie jadły, narobiły takiego hałasu piekielnego, szarpiąc i stukając młotkiem u drzwi, że notarjusz wysłał z kancelarji wyrostka swego, aby dowiedział się od sąsiadów, do kogo należą ten koń i muł, taką wrzawę czyniący.

Pani Coquenard poznała odrazu swój prezent; pojąć tylko nie mogła, dlaczego go zwrócono z drogi. Niedługo jednak czekała na rozwiązanie zagadki, przybycie Por thosa ją oświeciła... Gniew i obraza, błyszczące w oczach muszkietera, pomimo iż usiłował hamować się, przejęły śmiertelną trwogą czułą Dulcyneę.

Mousqueton opowiedział swemu panu, iż spotkał Aramisa i d'Artagnana i że ostatni poznał podjezdka, który go przyniósł do Paryża i którego sprzedał za trzy talary.

Porthos niedługo zabawił u swej oblubienicy, wyszedł rozsierdzony, wyznaczając jej spotkanie przy klasztorze Saint-Magloire.

Pani Coquenard, drżąc cała, pośpieszyła do klasztoru Saint-Magloire. Przeczuwała biedaczka, co ją czekało, i przygotowana była na wymówki straszne. Porthos tak jej imponował pańskiem ułożeniem!...

Wszystko, co człowiek zraniony w miłości własnej wypowiedzieć jest zdolny: srogie wyrzuty, wymówki i przekleństwa, wszystko to spadło na kornie pochyloną głowę pani notarjuszowej.

— Niestety!... — odezwała się — starałam się zrobić jak najlepiej... Jeden z klijentów naszych jest handlarzem koni; zadłużył się on bardzo w kancelarji męża i nie chciał w żaden sposób zapłacić. Wzięłam w długu konia i muła; przyrzekł mi niegodziwiec dostarczyć wierzchowców królewskich...

— Otóż, moja pani — rzekł Porthos — jeżeli był winien więcej, niż pięć talarów, to ten twój handlarz oszukał cię djabelnie.

— Przecie każdemu wolno starać się o kupno tanie — odparła notarjuszowa, starając się usprawiedliwić.

— O! niezupełnie, szanowna pani. Ci, co szukają taniego towaru, winni pozwolić innym poszukać sobie przyjaciół hojniejszych.

Po tych słowach Porthos wykręcił się na pięcie i zamierzał odejść.

— Panie Porthos!... Panie Porthos! — zawołała notarjuszowa — moja wina, przyznaję, nie powinnam była się targować, gdy chodziło o wyekwipowanie kawalera tak znakomitego!

Porthos milczał i odsuwał się coraz dalej.

Notarjuszowa widziała go już oczami wyobraźni, niknącego niby w obłoku świetnym, otoczonego księżnemi, margrabinami, które rzucały mu pod nogi pełne wory złota...

— Stój!... zatrzymaj się, na miłość boską — zawołała — poczekaj! pogadajmy trochę!...

— Rozmowa z panią nieszczęście mi przynosi — odparł Porthos.

— Powiedz nareszcie, czego żądasz?

— Nic nie chcę, moja pani, bo z tobą to na jedno wychodzi...

Notarjuszowa zawisła na ramieniu Porthosa i w uniesieniu bolesnem zawołała:

— Panie Porthos! wybacz, ja nie znam się na niczem... skąd wiedzieć mogę, jaki koń być powinien?... czy ja wiem, co to jest uprząż na konia?...

— Trzeba było mnie to polecić, mnie, bo przecież ja znam się na tem doskonale, moja pani; lecz chciałaś robić oszczędności, pieniądze pożyczać na procent lichwiarski...

— Nie miałam racji, panie Porthos, wyznaję; teraz naprawię błąd mój, zaręczam słowem honoru!

— W jaki sposób? — zapytał muszkieter.

— Posłuchaj! Dziś wieczorem pan Coquenard udaje się do księcia de Chaulnet na naradę, która potrwa ze dwie godziny conajmniej; przyjdź zatem do mnie, będziemy sami i wszystko się dobrze ułoży...

— Tak, to lubię! to nazywa się mówić rozumnie, moja droga...

— Przebaczasz mi nareszcie?

— Zobaczymy — odrzekł Porthos majestatycznie.

Rozłączyli się, mówiąc:

— Do widzenia wieczorem.

— Do kaduka! — pomyślał Porthos, odchodząc w swoją stronę — zdaje mi się, iż nakoniec zbliżam się przecież do szkatuły starego Coquenarda.

Rozdział VIII. W nocy wszystkie koty szare

Jakkolwiek dzień jest długi, nadszedł nareszcie wieczór, oczekiwany tak niecierpliwie przez Porthosa i d'Artagnana.

D'Artagnan, podług zwyczaju, stawił się u milady około dziewiątej. Znalazł ją w humorze wyśmienitym; nigdy jeszcze nie był przyjęty tak mile.

Gaskończyk nasz poznał od pierwszego wejrzenia, iż bilecik jego musiała otrzymać i że wpłynął on na jej usposobienie.

Katty podała sorbety. Milady i dla niej była uprzejma; uśmiechała się do pokojowej słodziutko; lecz, niestety! biedna dziewczyna tak była w smutku zatopiona, że nie spostrzegła nawet dobrotliwości swej pani.

D'Artagnan spoglądał na obydwie kobiety, porównywał je w myśli, i przyznać musiał, że natura, stwarzając je, pomyliła się okrutnie; wielka pani otrzymała w udziale duszę przedajną i podłą, subretka zaś serce i charakter, godne księżnej krwi królewskiej.

O dziesiątej milady zaczęła okazywać niepokój i rozdrażnienie.

D'Artagnan wiedział dobrze z jakiego powodu; spoglądała na zegar, podnosiła się, siadała znów, uśmiechała się do gościa i patrzyła na niego wzrokiem, który mówił wyraźnie.

— Jesteś bardzo przyjemny, bezwątpienia, lecz byłbyś daleko milszy, gdybyś się już wyniósł.

D'Artagnan wstał z krzesła i wziął kapelusz; milady podała mu rączkę do ucałowania; młodzieniec poczuł lek kie uściśnienie i domyślił się, że pochodzi nie z kokieterji, lecz z wdzięczności za to, że odchodził.

— Musi go ona słuchać djabelnie — zamruczał i wyszedł.

Nie spotkał tym razem Katty ani w przedpokoju, ani na korytarzu, ani nawet w bramie. Sam musiał szukać schodków, prowadzących do pokoiku subretki.

Katty siedziała z twarzą w dłoniach ukrytą i gorzko płakała.

Słyszała, jak wszedł d'Artagnan, lecz nie podniosła głowy; młodzieniec zbliżył się i ujął ją za ręce. Wtedy, nie mogąc dłużej panować nad sobą, wybuchnęła głośnym płaczem.

Jak to przeczuwał d'Artagnan, milady po odebraniu listu z radości wielkiej opowiedziała wszystko pokojówce, a chcąc ją wynagrodzić za spełnienie tym razem polecenia wiernie i pomyślnie, obdarzyła pieniędzmi.

Katty, wróciwszy do swojej izdebki, cisnęła woreczek na ziemię, a złoto rozsypało się po kątach.

Strapiona dziewczyna, za dotknięciem d'Artagnana, podniosła głowę. Aż przeląkł się zmiany, jaka w niej zaszła; twarz, łzami zalana, była trupio blada; załamała rączki błagalnie, nie śmiąc słowa wymówić.

D'Artagnan nie odznaczał się czułością serca, a jednak poruszył go widok niemej boleści, lecz zanadto stały i uparty był w swoich zamiarach i zbyt chodziło mu o dopięcie tego, co przedsięwziął nocy dzisiejszej, aby chciał choć na jotę zmienić postanowienie.

Nie pozostawił też Katty najmniejszej nadziei, aby go czemkolwiek zmiękczyć mogła, wytłumaczył jej tylko, że to, co uczynić zamierza, jest poprostu jego zemstą.

Wszystko się tak składało, aby ułatwić ten akt zemsty.

Milady zapewne w celu ukrycia wstydu przed kochankiem rozkazała Katty pogasić światła w apartamentach, a nawet w jej pokoiku własnym. Hrabia de Wardes miał wyjść od niej przededniem, jednak nie chciała, aby się światło paliło.

Po niedługiej chwili usłyszano milady, wchodzącą do sypialni. D'Artagnan wskoczył do szafy natychmiast i zaledwie miał czas się zamknąć, gdy dzwonek się odezwał.

Katty udała się na wezwanie, lecz tym razem drzwi zamknęła za sobą; pomimo to słychać było wszystko prawie, co mówiono w sypialni, gdyż ściana była cienka.

Milady, upojona radością, kazała powtórzyć Katty wszystkie szczegóły mniemanego widzenia się jej z hrabią de Wardes; jaką miał minę, gdy list odebrał, jak odpisywał, co twarz jego wyrażała, czy wydawał się bardzo zakochany…

Na wszystkie te pytania biedna Katty, zmuszona udawać, odpowiadała głosem przytłumionym, na co jej pani nie zwróciła wcale uwagi; szczęście zwykle robi ludzi egoistami.

Gdy wreszcie nadeszła godzina przybycia hrabiego, milady kazała pogasić świece ostatecznie i wprowadzić hrabiego de Wardes, skoro tylko się zjawi.

Katty nie potrzebowała długo czekać.

Zaledwie d'Artagnan ujrzał przez dziurkę od klucza, że już wszystko pogrążone w ciemnościach, wyskoczył z szafy, wprzód nim pokojówka zdążyła drzwi zamknąć.

— Co to za hałas? — zapytała milady.

— To ja jestem — rzekł d'Artagnan półgłosem — ja, hrabia de Wardes.

— O Boże! mój Boże! — szeptała Katty — nie mógł nawet doczekać się godziny, którą sam oznaczył!

— To on? — odezwała się milady — dlaczego nie wchodzi? Hrabio, drogi hrabio, wiesz przecież, że czekam na ciebie!

Na takie wezwanie, d‘Artagnan odsunął zlekka Katty i pośpieszył do sypialni.

Jeżeli wściekłość i boleść może wystawić na męki duszę jaką, to tembardziej duszę zakochanego, który pod imieniem nie swojem, odbiera przysięgi miłości, przeznaczone dla rywala.

D‘Artagnan znalazł się w położeniu, jakiego nie przewidywał. Zazdrość szarpała mu serce i cierpiał prawie narówni z nieszczęsną Katty, płaczącą gorzko w sąsiednim pokoju.

— O tak, hrabio — mówiła milady najsłodszym głosem, ściskając go czule za ręce — o! tak, szczęśliwa jestem nad wyraz miłością, którą widzę w oczach twoich i słyszę w słowach, ile razy się spotykamy. Ja także kocham cię gorąco. Pragnę, abyś pamiętał o mnie, boję się zapomnienia i dlatego proszę cię, weź to, niech ci mówi o mnie bezustannie.

Zdjęła pierścień z palca i podała d‘Artagnanowi.

Przypomniał sobie, że widział u milady ten klejnot: był to wspaniały szafir, otoczony brylantami. D‘Artagnan wzbraniał się go przyjąć, lecz milady rzekła.

— Zachowaj ten pierścień przez miłość dla mnie... Przyjmując go — dodała głosem wzruszonym — wyświadczasz mi większą przysługę, niż sobie możesz wyobrazić.

— Ta kobieta jest pełna tajemnic — myślał d‘Artagnan i gotów był wyjawić jej wszystko. Otworzył już usta, aby wyznać milady kim był, i że przyszedł jedynie dla dogodzenia uczuciu zemsty, lecz ona zaczęła:

— Biedny, drogi aniele, którego ten potwór gaskończyk o mało nie zamordował!

Potwór, to był on właśnie.

— O! najdroższy — ciągnęła milady — czy rany bolą cię jeszcze?

— O tak! bolą okropnie — rzekł d‘Artagnan, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Bądź pewny — szepnęła milady — ja cię pomszczę! pomszczę okrutnie.

— Oho! — pomyślał d‘Artagnan — chwila zwierzeń nie nadeszła jeszcze.

Potrzebował czasu, by się uspokoić po tej rozmowie; lecz cała zawziętość, z jaką przyszedł, gdzieś się ulotniła.

Ta kobieta posiadała nad nim władzę zadziwiającą, nienawidził i uwielbiał ją jednocześnie; nie przypuszczał nigdy, aby dwa uczucia tak sprzeczne mieścić się mogły w sercu jednego człowieka i tworzyły razem miłość niepojętą, prawie szatańską.

Wybiła pierwsza po północy; nastąpiła chwila rozłączenia; d‘Artagnan, przy rozstaniu z milady, czuł już tylko żal wielki, a w pożegnaniach namiętnych, powtarzanych bez końca, ułożono schadzkę podobną na przyszły tydzień.

Biedna Katty spodziewała się pomówić trochę z ukochanym, gdy przez jej pokoik przechodzić będzie, lecz milady przeprowadziła go sama aż do schodów.

Nazajutrz rano d‘Artagnan pobiegł do Athosa. Czułpotrzebę wyspowiadania się przyjacielowi, tak go przerażała nadzwyczajność całej tej awantury.

— Twoja milady — rzekł Athos, wysłuchawszy opowiadania — wydaje mi się istotą bez czci i wiary, pomimo to, oszukując ją, źle czynisz. Teraz, potem, co się stało, spodziewaj się w niej nieprzyjaciółki strasznej, nieubłaganej…

Athos, mówiąc to, przypatrywał się z uwagą szafirowi, otoczonemu brylantami, który błyszczał na palcu d‘Artagnana, w miejsce pierścienia otrzymanego od królowej, a schowanego starannie do pudełka.

— Patrzysz na ten pierścionek?… — rzekł gaskończyk z dumą, kontent, że pochwalić się może podarkiem drogocennym.

— Tak — rzekł Athos — patrzę, bo przypomina mi klejnot nasz rodzinny.

— Piękny jest, wszak prawda?… — podchwycił d‘Artagnan.

— Przepyszny, wspaniały — odrzekł Athos — ale nie przypuszczałem, aby istniały dwa szafiry tak pięknej wody. Czy przehandlowałeś już swój djament?…

— O nie!… — odrzekł d‘Artagnan — jest to prezent od mojej pięknej Angielki, a raczej od mojej pięknej Francuzki; ponieważ, choć jej o to nie pytałem, przekonany jestem, że się we Francji urodziła.

— Więc ten pierścionek od milady pochodzi?… — zawołał Athos głosem, w którym czuć było ogromne wzruszenie.

— Od niej; dała mi go nocy dzisiejszej.

— Pokaż mi ten pierścień — rzekł Athos.

— Oto go masz — odrzekł d‘Artagnan, zdejmując pierścionek z palca.

Athos przypatrywał się i bladł coraz bardziej; włożył go na czwarty palec lewej ręki, pasował zupełnie, jakby dla niego robiony.

Wyraz gniewu i zemsty odbił się na twarzy Athosa, tak zwykle spokojnej.

— Niepodobna, aby to był ten sam — powiedział — w jakiż sposób znalazłby się w rękach lady Clarick? A jednak trudno znaleźć dwa kamienie tak do siebie podobne.

— Czy znasz ten pierścień?… — zapytał d‘Artagnan.

— Zdawało mi się, że go już widziałem, lecz mylę się pewnie…

Oddał d‘Artagnanowi, nie spuszczając go jednak z oczu.

— Słuchaj, d‘Artagnanie — odezwał się po chwili — zdejmij pierścionek z palca, lub odwróć kamień na wewnątrz, przypomina mi on straszne chwile w życiu i nie mógłbym rozmawiać z tobą swobodnie. Przyszedłeś zasięgnąć rady?... mówiłeś mi, iż w trudnem nader znajdujesz się położeniu?... Ale, poczekajno... pokaż mi jeszcze ten szafir; bo tamten, o którym wspomniałem; miał rysę na boku, wskutek pewnego wypadku.

D‘Artagnan zdjął znów pierścionek i podał Athosowi.

Athos zadrżał:

— Patrz — zawołał — to niepojęte!

I wskazał rysę, o której pamiętał.

— Od kogo dostałeś ten szafir?

— Od matki mojej, która go znów od swojej dostała. Jak ci już mówiłem, jest to stary klejnot rodzinny... przechodzący z pokolenia w pokolenie i jak świętość strzeżony.

— I ty go sprzedałeś?... — zapytał d‘Artagnan nieśmiało.

— O, nie — odparł Athos z dziwnym uśmiechem — oddałem go dobrowolnie pewnej nocy, w uniesieniu miłosnem, tak samo, jak i ty go otrzymałeś!...

D‘Artagnan zamyślił się; odgadywał w duszy milady przepaści czarne i niezgłębione... Nie włożył już pierścionka na palec, schował go do kieszeni.

— Przyjacielu — rzekł Athos, biorąc go za rękę — wiesz dobrze, jak cię kocham, i gdybym miał syna nie więcej byłby mi drogi. Proszę, wierz memu doświadczeniu, porzuć tę kobietę. Nie znam jej wcale, lecz mam przeczucie, głos wewnętrzny mi mówi, że to istota zgubiona i że nad nią ciąży fatalizm zbrodni.

— Masz rację — odparł d‘Artagnan. — Posłucham i nie chcę już jej znać nawet; przyznaję, że mnie samego ta kobieta przeraża.

— A więc będziesz miał dość odwagi?... — przerwał Athos.

— O będę miał, zaręczam — odpowiedział d‘Artagnan — od tej chwili sobie postanawiam.

— Otóż, powiem ci, moje dziecko, że dobrze zrobisz — rzekł Athos, ściskając rękę gaskończyka z ojcowskiemprawie uczuciem — proś Boga, aby ta kobieta, która choć na krótko w życie się twoje wplątała, nie pozostawiła w niem śladów straszliwych!

Po tych słowach Athos skłonił głową na pożegnanie, dając do zrozumienia, że chce sam pozostać.

D‘Artagnan, powróciwszy do siebie, zastał Katty. Miesiąc cały ciężkiej choroby nie byłby zmienił o tyle biednej dziewczyny, jak ta noc jedna bezsenna, w łzach spędzona.

Milady wysłała Katty do hrabiego de Wardes. Pani ta szalała z miłości niepohamowanej, radość zmysłów ją pozbawiała; pragnęła coprędzej upewnić się, kiedy znów kochanek przyjdzie do niej…

Biedna Katty, blada i drżąca, oczekiwała odpowiedzi d'Artagnana.

Athos posiadał na młodego człowieka wpływ wielki; rady przyjaciela i głos serca własnego nakazały mu stanowczo, aby teraz, gdy zemstę już zaspokoił i dumę zadowolił, opuścił milady zupełnie. Wziął też pióro, i napisał, co następuje:

„Niech pani nie liczy na prędką schadzkę ze mną: od czasu wyzdrowienia mego, mam tak dużo zajęć podobnych, że muszę niejaki porządek zaprowadzić. Gdy na panią kolej nadejdzie, będę miał honor zawiadomić ją o tem.

Całuję rączki pani

Hrabia de Wardes".

O pierścionku ani słowa: czy przemyślny gaskończyk chciał go zatrzymać, jako w danym razie broń przeciw milady? albo też, powiedzmy prawdę, w szafirze drogocennym pokładał jedyną nadzieję wyekwipowania się porządnego?

Nie można sądzić ludzi z tamtej epoki, według miary dzisiejszej.

To, co uważalibyśmy obecnie, jako hańbiące młodego człowieka, w owym czasie było rzeczą prostą i zwyczajną, a młodsi synowie w rodzinie ponieważ tylko najstarszy odziedziczał majątek i tytuły, starali się w buduarach dam wysoko postawionych wyrabiać sobie protekcję i zasiłek pieniężny.

D'Artagnan po napisaniu oddał list niezapieczętowany do rąk Katty, która przeczytała najpierw, nie mogąc nic zrozumieć, a gdy pojęła nareszcie znaczenie biletu, o mało nie oszalała z radości.

Nie śmiała biedaczka uwierzyć szczęściu swojemu, d'Artagnan był zmuszony powtórzyć wszystko, co list zawierał, a ona wtedy, pomimo niebezpieczeństwa, jakie jej groziło przy znanej porywczości milady, pobiegła pędem na plac Królewski.

Kobieta, nawet najlepszego serca, nie zna litości nad swoją rywalką.

Milady otworzyła list z równym pośpiechem, z jakim Katty jej doręczyła.

Po pierwszych wyrazach przeczytanych zzieleniała ze złości, następnie zgniotła w ręku papier, zwróciwszy się da Katty z błyskawicą w oczach, zawołała:

— Co to jest, co znaczy ten list?

— To jest odpowiedź na ten, który pani pisała — odrzekła Katty, trzęsąc się ze strachu.

— Niepodobna!... — krzyczała milady — niepodobna, aby szlachcic, człowiek dobrze wychowany, napisał do kobiety takie bezeceństwo!

Nagle zadrżała i zbladła.

— Boże wielki!... — wyrzekła — czyżby wiedział?... — i nie dokończyła.

Zgrzytnęła zębami, twarz jej z bladej stała się siną; chciała biec do okna, zachwycić powietrza... nie mogła ręki wyciągnąć, zachwiała się i padła na fotel....

Katty, sądząc, że zemdlała, przyskoczyła i zaczęła gorset odpinać. Milady zerwała się na nogi:

— Czego chcesz odemnie?... — wymówiła — po co mnie dotykasz?

— Pani zemdlała, chciałam ją ratować — odrzekła pokojówka, przerażona wyrazem twarzy milady.

— Ja miałabym zemdleć!... ja! cóż ty o mnie myślisz? Gdy mnie znieważą... o! to ja nie mdleję, ja się mszczę wtedy, rozumiesz?

I dała znak Katty, aby się oddaliła.

Rozdział IX. Marzenia o zemście

Wieczorem milady rozkazała służbie, aby skoro tylko d'Artagnan według zwyczaju przybędzie, wprowadzono go do niej natychmiast. Czekała jednak daremnie.

Nazajutrz Katty poszła odwiedzić młodzieńca i opowiedziała mu, co zaszło dnia wczorajszego.

D'Artagnan słuchał z uśmiechem; udręczenia milady, złość i wstyd jej tu była dlań zemsta prawdziwa.

Drugiego wieczora milady, niecierpliwsza jeszcze, powtórzyła rozkaz, dotyczący gaskończyka, lecz znów czekała napróżno. Rano Katty zjawiła się u d'Artagnana, ale nie wesoła i lekka, jak dawniej, przeciwnie, blada i smutna śmiertelnie. D'Artagnan pytał troskliwie, co jej jest; dziewczyna zamiast odpowiedzi list mu podała.

Poznał pismo milady; tylko tym razem adres był wyraźnie do d'Artagnana, a nie do hrabiego de Wardes.

Rozpieczętował i czytał:

„Kochany panie d'Artagnan; niedobrze jest zaniedbywać przyjaciół, a szczególnie, gdy ma się ich opuścić na czas tak długi. Szwagier mój i ja oczekiwaliśmy pana wczoraj i onegdaj, a pan się nie pokazałeś. Czy dziś wieczór będzie tak samo?

życzliwa Lady Clarick"

— Spodziewałem się tego listu — rzekł d'Artagnan — taki musiał być rezultat. Papiery moje idą w górę, gdy spadają wartości hrabiego de Wardes.

— Pójdziesz pan? — zapytała Katyy.

— Posłuchaj drogie dziecię — rzekł gaskończyk, starając się usprawiedliwić przed sobą samym, z niedotrzymania obietnicy, danej Athosowi — pojmujesz, że byłoby niepolitycznie wcale nie przyjąć tak wyraźnego zaproszenia. Gdybym nie poszedł, milady, nie mogąc pojąć, dlaczego bywać u niej przestałem, mogłaby tworzyć domysły rozmaite, a w końcu dojść prawdy. Niebezpieczna to rzecz zadzierać z kobietą tak mściwą, gdy przewidzieć niepodobna, co jest w stanie zrobić w zapędzie złości.

— O, mój Boże — rzekła Katty — pan potrafisz tak rzecz przedstawić, iż masz zawsze rację... Zaczniesz się znów do niej umizgać; a jeżeli teraz spodobasz się i zdobędziesz jej serce pod własnem imieniem, we własnej postaci, o! to będzie jeszcze gorzej.

Biedna dziewczyna instynktem odgadywała to, co miało nastąpić. D'Artagnan pocieszał, jak mógł, dziewczynę i zapewniał, że oprze się mężnie wszelkim pokusom.

Kazał powiedzieć milady, iż czuje wdzięczność ogromną za jej łaskawość i stawi się na rozkaz, nie odważył się jednak odpisać, ze względu, iż wprawne jej oko mogłoby poznać jego pismo. Punktualnie o dziesiątej, d'Artagnan był już na placu Królewskim. Służba, uprzedzona zapewne, oczekiwała w przedpokoju, i zanim zdążył prosić, już jeden z lokajów oznajmił go milady.

— Prosić — rzekła pani domu głosem dźwięcznym i przenikliwym, tak, że d'Artagnan słyszał w przedpokoju.

— Nikogo więcej nie przyjmuję!... słyszycie, nikogo!

D'Artagnan obrzucił milady ciekawym wzrokiem: blada była, a oczy zaczerwienione świadczyły o łzach lub bezsennie spędzonej nocy.

D'Artagnan przysunął się ze zwykłą galanterją; wtedy wysiłkiem nadludzkim przybrała wyraz spokoju i uprzejmości, choć zapewne nigdy uśmiech tak przyjemny nie gościł na twarzy równie zmienionej.

Na zapytanie d'Artagnana o zdrowie, odrzekła:

— Słaba jestem, bardzo nawet słaba...

— W takim razie mogę być natrętnym, pani potrzebuje wypocząć… zatem odchodzę…

— Przeciwnie — rzekła milady — zostań, panie d'Artagnan, miłe twoje towarzystwo pozwoli mi zapomnieć o cierpieniu.

— Oho!… — pomyślał d'Artagnan — nigdy jeszcze nie była tak przyjemna, miejmy się na baczności!

Milady roztoczyła cały swój powab; rozmawiała dowcipnie, uśmiechała się zalotnie, a jednocześnie gorączka, która ją na chwilę opuściła, powracała z całą potęgą, dodając blasku oczom i rozkosznego karminu usteczkom.

D'Artagnan widział znów Circeę, która go napowrót ujęła w sidła zaczarowane.

Miłość szalona, uśpiona na chwilę, zbudziła się w jego sercu… Milady uśmiechnęła się, a on czuł, że duszę oddałby za ten uśmiech…

Powoli milady stawała się coraz serdeczniejsza. Zapytywała d'Artagnana, czy miał kochankę?

— O! pani — rzekł młodzieniec z miną jak mógł najsentymentalniejszą — jesteś okrutna!… jak możesz pytać mnie o to, mnie… który od ujrzenia ciebie, oddycham i wzdycham jedynie dla ciebie i przez ciebie!

Milady uśmiechnęła się znacząco.

— Więc pan mnie kochasz? — rzekła.

— Czyż potrzebuję mówić? czyż pani tego nie widzi?…

— Przyznaję… domyśliłam się miłości pańskiej; lecz wiesz zapewne, że serce harde trudno jest zdobyć.

— O!… przeszkody mnie nie przerażają; boję się jedynie niepodobieństwa.

— Niema nic niepodobnego dla miłości prawdziwej.

— Tak pani myśli?

— Tak mówię i tak myślę — odparła milady.

— O! do djabła! — pomyślał d'Artagnan — śpiewamy na inną nutę… — Czyżby się zakochała wypadkiem ta kapryśnica i czyżby miała zamiar obdarzyć mnie znów szafirem, podobnym do tego, jaki wziąłem za hrabiego de Wardes?

D'Artagnan przysunął się z krzesłem do fotelu milady.

— Ciekawa jestem — rzekła — w jaki sposób dowiódłbyś miłości, o której tak mówisz?..

— Gotów jestem na wszystko, na każde żądanie… Czekam rozkazu.

— Nie cofniesz się przed niczem?

— Nigdy! — zawołał d‘Artagnan, wiedząc naprzód, że nie ryzykował wiele.

— Zatem, pogadajmy trochę — rzekła milady, przysuwając się jeszcze bliżej do młodego chłopca.

— Słucham z uwagą — rzekł tenże.

Milady milczała chwilkę zakłopotana; jak gdyby odwagi jej zabrakło; nareszcie udając nagłe postanowienie, rzekła:

— Mam wroga…

— Ty, pani!… — wykrzyknął d‘Artagnan, udając zdziwienie — na Boga!… czyż to możebne? taka piękna i taka dobra!

— Wroga śmiertelnego…

— Naprawdę?…

— Nieprzyjaciela, który znieważył mnie okrutnie… między nami teraz walka na śmierć… Czy mogę rachować, że pan mi dopomoże?

D‘Artagnan zrozumiał, do czego milady zmierza.

— Możesz pani liczyć na mnie — rzekł z przesadą — ramię moje i życie należą do pani, równie jak miłość moja.

— A więc — zaczęła milady — ponieważ jesteś szlachetny i zakochany…

Przerwała.

— Cóż dalej?… — zapytał d‘Artagnan.

— Co dalej? — ciągnęła milady. po chwili milczenia — przestań od dziś mówić o niepodobieństwach.

— O! pani, to szczęście nad siły moje — zawołał d‘Artagnan, rzucając się na kolana i okrywając pocałunkami białe rączki, których mu nie broniono.

— Pomścij mnie, zabij niegodnego de Wardes — myślała milady, zaciskając zęby — a potrafię się pozbyć i ciebie, głupcze jakiś, narzędzie bierne w moich rękach!…

— Rzuć się dobrowolnie w objęcia moje, ty, coś się tak bezwstydnie ze mnie naigrawała, obłudnico, niebezpieczna kobieto — myślał ze swej strony d‘Artagnan — a potem ja cię też wyśmieję, razem z tym, którego chcesz, abym zabił…

D‘Artagnan podniósł głowę wyzywająco.

— Gotów jestem! — powiedział.

— Zrozumiałeś mię zatem, kochany panie d‘Artagnan?

— Odgadywać będę chęci twoje ze spojrzenia…

— Gotów więc jesteś użyć dla mnie siły rammienia swego, tak już wsławionego powszechnie?

— Nawet w tej chwili.

— Lecz jakże zapłacę usługę podobną? znam dobrzezakochanych młodzieńców, nie lubią oni poświęcać się za darmo?

— Jednej tylko nagrody pragnę, wiesz o tem dobrze, jedynej, godnej mnie i ciebie!

Objął ją ramieniem i przyciągnął delikatnie ku sobie.

Prawie się nie opierała.

— Interesowny młodzieńcze!... — rzekła z uśmiechem.

— O!... — wykrzyknął d'Artagnan, uniesiony namiętnością, którą ta kobieta umiała w sercach rozniecać — szczęście takie wydaje mi się niemożliwe i boję się, aby, jak sen, nie znikło, pragnę je jaknajprędzej w rzeczywistość zamienić!

— Trzeba najpierw zasłużyć na to mniemane szczęście.

— Co mam czynić? rozkazuj, pani!...

— Czy napewno? — rzekła milady z resztką wątpliwości.

— Wymień mi zbrodniarza, który wycisnął łzy z twoich pięknych oczu.

— Kto ci mówi, że płakałam?

— Zdawało mi się...

— Kobiety z mojem usposobieniem nie płaczą nigdy.

— Tem lepiej!... A teraz powiedz mi, jak on się nazywa?

— Pomyśl jednak, że imię jego to moja tajemnica.

— Trzeba przecież, abym ją poznał.

— Tak, masz rację; widzisz, jak ci ufam!

— Uszczęśliwiasz mnie pani. Jakże się on nazywa?

— Znasz go dobrze.

— Czy być może?

— Tak.

— Czy to jeden z przyjaciół moich? — podjął d'Artagnan wahająco, aby tem lepiej uwierzono w jego nieświadomość.

— A gdyby był przyjacielem, czy cofnąłbyś się wtedy? — zawołała milady i błysk złowrogi zaświecił w jej oczach.

— Nie, nigdy, choćby to był brat mój rodzony! — wykrzyknął d'Artagnan, udając wielki zapał.

Nasz gaskończyk puszczał się odważnie, wiedział bowiem do czego dąży.

— Podoba mi się twoje poświęcenie bezwarunkowe rzekła milady.

— Niestety! czy za to tylko mnie lubisz? — zapytał d'Artagnan.

— Kocham cię także, dla ciebie samego jedynie — rzekła, biorąc go za rękę.

D‘Artagnana dreszcz przeszedł; gorączka, paląca milady, przez dotknięcie ręki udzieliła się także młodzieńcowi.

— Więc ty mnie kochasz?... — wykrzyknął — O!... gdyby to było prawdą, możnaby od niej rozum stracić!

Wziął ją w objęcia; nie broniła mu pocałunków, tylko im nie odpowiadała. Usta jej były zimne: zdawało się d‘Artagnanowi, iż posąg całuje... Był jednak upojony, zelektryzowany miłością; uwierzył prawie we wzajemność milady; uwierzył prawie w zbrodnię hrabiego. Gdyby de Wardes znalazł się pod ręką, byłby go zabił bezwątpienia.

— Nazywa się... — zaczęła.

— De Wardes, wiem o tem — zawołał d‘Artagnan.

— Kto ci powiedział?... — zapytała milady, chwytając go za ręce, i patrzyła mu w oczy, starając się czytać w głębi duszy młodzieńca.

D‘Artagnan zmiarkował, że się wygadał niepotrzebnie.

— Powiedz, powiedz natychmiast!... — powtarzała milady — skąd wiesz o tem?

— Skąd się dowiedziałem?

— Tak, tak, powiedz.

— Stąd wiem, że de Wardes wczoraj, będąc w towarzystwie, gdzie i ja się znajdowałem, pokazywał pierścień, który, jak mówił, otrzymał od ciebie.

— A! nędznik!... — zawołała milady.

Nazwa ta dosadna odbiła się, jak można się domyślać, w głębi serca d‘Artagnana.

— Co o nim myślisz?... — dodała milady.

— Zemszczę się strasznie nad tym nędznikiem — mówił d‘Artagnan z miną Jafeta Armeńskiego.

— Dziękuję ci, zacny przyjacielu!... a kiedyż mnie pomścisz?

— Jutro, dziś, zaraz; kiedy tylko rozkażesz...

Milady chciała zawołać: natychmiast; rozmyśliła się jednak, gdyż pośpiech taki mógłby być nieprzyjemny dla d‘Artagnana.

Oprócz powyższych względów, pragnęła udzielić mnóstwa przestróg, mnóstwa zastrzeżeń obrońcy swojemu, abymógł uniknąć wyjaśnień wobec świadków hrabiego de Wardes.

D‘Artagnan uprzedził ją.

— Jutro zostaniesz pomszczona, albo ja żyć nie będę.

— Nie!... — rzekła — pomścisz mnie, lecz sam nie umrzesz. Hrabia jest tchórzem.

— Może z kobietami, lecz nie z mężczyznami; wiem trochę o tem...

— Zdaje mi się, że w walce z nim nie mogłeś się uskarżać na brak powodzenia.

— Powodzenie, to, jak kochanka: wczoraj cię kochała, a dziś znać nie chce.

— To znaczy, że się wahasz?

— Nie waham się, niech mię Bóg broni; lecz, czy słuszne jest z twej strony wysyłać mnie na śmierć możliwą, nie dając nic, prócz odrobiny nadziei?..

Milady odpowiedziała spojrzeniem, które wyrażało:

— Jeżeli o to chodzi, mów śmiało, nie wstydź się?

Poczem dodała parę wyrazów objaśniających:

— Bardzo słusznie — wyrzekła czule.

— O!... jesteś aniołem — rzekł młodzieniec.

— Zatem wszystko już ułożone?... — podchwyciła.

— Oprócz tego, o co cię błagam, najdroższa!

— Mówię ci, że możesz zaufać mojemu uczuciu.

— Nie mam czasu czekać.

— Cicho; szwagier mój nadchodzi, nie chcę aby cię zobaczył!...

Zadzwoniła; weszła Katty.

— Wyjdź tędy — rzekła, otwierając drzwiczki, ukryte w ścianie — i powróć o jedenastej... dokończymy wtedy naszej rozmowy: Katty wprowadzi cię do mnie...

Biedne dziewczę o mało nie padło z przerażenia, słysząc te słowa.

— Co to znaczy?... cóż panna stoisz nieruchoma, jak statua? Prędzej, wyprowadź pana; a dziś o jedenastej, rozumiesz!...

— Widać jej schadzki zawsze odbywają się o jedenastej — pomyślał d'Artagnan — taki już jej obyczaj.

Milady wyciągnęła rękę, którą ucałował gorąco.

— Oho!... — rzekł, odchodząc i nie odpowiadając wcale na wyrzuty Katty — oho! nie trzeba być głupim; ta kobieta jest skończoną zbrodniarką: baczność!

Rozdział X. Tajemnica milady

Zamiast udać się za Katty, która go błagała, ażeby do niej wstąpił, d'Artagnan wyszedł z pałacu, a uczynił to dla dwóch powodów: po pierwsze unikał w ten sposób wymówek, oskarżeń i żalów biednej dziewczyny; po drugie pragnął sam pozostać,

pragnął wejść w siebie, zajrzeć w głąb własnego serca i zastanowić się nad tą kobietą, która stanęła mu na drodze życia.

Wszelako najjaśniejszem w tej sprawie było, że d'Artagnan kocha szalenie, a ona nie kocha go wcale.

Przez chwilę zdawało mu się, iż najlepiej uczyni, gdy wróci do domu i napisze do milady list długi, w którym wyzna, że on i de Wardes to dotąd jedna i ta sama osoba i że z tego powodu nie może się podjąć zabicia hrabiego, ażeby nie dopuścić się samobójstwa.

Lecz i w nim także siedział demon zemsty dzikiej; pragnął posiadać koniecznie tą kobietę pod własnem swojem imieniem, a że ten sposób zemsty, wydawał mu się nad wyraz słodki, nie chciał go się wyrzec.

Chodził dokoła placu Królewskiego, spoglądając co chwila w okna apartamentów milady, w których przez żaluzje błyszczało światło; widocznie piękna pani nie śpieszyła się tak do sypialni, jak za pierwszym razem...

Nakoniec pałac cały pogrążył się w ciemnościach; razem ze światłem znikła ostatnia wątpliwość z serca d'Artagnana, przypomniał sobie szczegóły nocy ostatniej i z sercem webranem, z głową rozpaloną, powrócił do pałacu i wbiegł do pokoiku Katty.

Dziewczyna, jak trup, blada, drżąc całem ciałem, pragnęła zatrzymać kochanka; lecz milady stała na czatach i posłyszawszy hałas, drzwi otworzyła.

Odbyło się to z bezwstydem i czelnością niepojętą; d'Artagnan nie wierzył uszom swoim i oczom.

— Wchodź prędzej — rzekła.

Zdawało mu się, że cała ta intryga jest złudzeniem sennej wyobraźni, nie zaś rzeczywistością dotykalną.

Pomimo to rzucił się ku milady, ulegając pociągowi niewytłumaczonemu, jak żelazo pod działaniem magnesu.

Drzwi się za nimi zamknęły. Teraz Katty rzuciła się na tę zaporę.

Zazdrość, gniew szalony, duma obrażona, wszystkie namiętności w sercu kobiety kochającej bez nadziei, popychały ją do odkrycia prawdy... Pomyślała jednak, że zgubi się sama, wyjawiwszy, iż pomagała do mistyfikacji i że zdradzała panią... a nadewszystko d'Artagnan stracony będzie dla niej bezpowrotnie.

Ostatni ten wzgląd skłonił ją do milczenia, do tego jeszcze poświęcenia ostatniego.

D'Artagnan zaś znalazł się u szczytu pragnień: nie był to już rywal nienawistny, kochany i przyjmowany w jego osobie, lecz on sam, odbierający dowody miłości.

Głos wewnętrzny odzywał się wprawdzie w głębi serca, że jest on narzędziem zemsty jedynie, narzędziem, które głaskano z potrzeby, zanim śmierć zada wrogowi; lecz duma, miłość własna, szaleństwo jakieś kazały milczeć instynktom ostrzegawczym.

Nadomiar gaskończyk nasz zarozumiały i zaufany w sobie, porównywał się hrabiną de Wardes i zapytywał w duchu, dlaczegóż i on nie mógłby być kochany pod własnem nazwiskiem?

Oddał się też cały wrażeniom chwili obecnej. Milady przestała być dla niego kobietą o uczuciach zgubnych, niegodziwych, które przed chwilą przerażały go okrutnie; widział w niej jedynie kochankę czułą, namiętną, oddającą się bez wyrachowania uczuciu, jakie zdawała się podzielać. Upłynęły tak dwie godziny.

Powoli uspokoili się, a milady, która nie miała powodu do uniesień, jak d'Artagnan, pierwsza wróciła do rzeczywistości i zapytała młodzieńca, czy poczynił już przygotowania do pojedynku jutrzejszego, czy postarał sięwynaleźć przyczynę, któraby koniecznie sprowadziła spotkanie pomiędzy nim i hrabią de Wardes.

Lecz d'Artagnan myślał zupełnie o czem innem; zapomniał się, jak głupiec jaki, i odpowiedział naiwnie, iż zapóźno już było, gdy wyszedł wieczorem od milady do wyzwania na szpady.

Obojętność, jaką okazał dla głównego celu milady, przeraziła ją niezmiernie. Nie ustawała więc w podżeganiach i zapytaniach.

Wtedy d'Artagnan, który nie brał nigdy na serjo tego pojedynku niemożliwego, postarał się zwrócić rozmowę na inny przedmiot, lecz mu się to nie powiodło.

Milady z żelazną wytrwałością wracała ciągle do swego założenia.

D'Artagnan sądził, że będzie bardzo sprytny i przebiegły, gdy doradzi milady odstąpić od zamiaru zemsty i przebaczyć zupełnie hrabiemu de Wardes. Na samą o tem wzmiankę, młoda kobieta trząść się zaczęła i odsunęła się od niego.

— Czyżbyś się bał, kochany d'Artagnanie?... — rzekła głosem cierpkim i drwiącym, który dziwnie zabrzmiał w ciemności.

— Nie myślisz tego, co mówisz, duszo moja droga!... — odrzekł d'Artagnan — a gdyby wypadkiem hrabia de Wardes nie był tyle winnym, jak sądzisz?

— W każdym razie — rzekła milady poważnie — znieważył mnie i przez to samo zasłużył na śmierć.

— Więc umrze, kiedyś go na śmierć skazała!... — mówił d'Artagnan serjo, tak że milady znów uwierzyła w poświęcenie prawdziwe.

Zaraz też przysunęła się do niego. Nie możemy zaręczyć, jak długą ta noc wydała się milady; lecz d'Artagnan myślał, że najwyżej parę chwil był u niej, gdy dzień zaświtał przez szpary okiennic i powoli rozjaśnił bladem światłem całą alkowę.

Wtedy milady, widząc, że d'Artagnan zamierza odejść, przypomniała mu obietnicę pomszczenia jej i zabicia hrabiego de Wardes.

— Gotów jestem to uczynić — rzekł d'Artagnan — lecz chciałbym być jeszcze pewnym jednej rzeczy?

— Czego?... — zapytała milady.

— Czy mnie kochasz, najdroższa?...

— Zdaje się, że dałam ci dowody...

— O tak, należę też do ciebie duszą i ciałem!...

— Dziękuję, mój drogi i zacny kochanku!... lecz, jak ja dowiodłam ci miłości mojej, tak i ty mi swojej dowiedziesz, nieprawdaż?

— Z pewnością. Ale ponieważ kochasz mnie, jak sama powiadasz, czy nie boisz się o mnie choć trochę?

— Czegóżbym się miała bać?

— Wszak mogę zostać raniony niebezpiecznie, nawet zabity...

— Niepodobna — rzekła milady — tyś taki waleczny, władasz szpadą tak znakomicie.

— Czyż nie wolałabyś — ciągnął d'Artagnan — użyć innego sposobu zemsty, któryby uczynił spotkanie niepotrzebnem?

Milady patrzała na kochanka w milczeniu: blade światło poranku nadawało jej oczom wyraz dziki i straszny.

— Widzę, że obecnie straciłeś już ochotę do walki — rzekła.

— Nie waham się wcale, lecz żałuję szczerze hrabiego de Wardes, odkąd wiem, że kochać go przestałaś... zdaje mi się, iż utrata miłości twojej jest karą dość okrutną, i nie potrzeba mu innej obmyślać...

— Kto ci powiedział, że go kochałam? — zapytała milady.

— Bez wielkiej zarozumiałości, mogę wierzyć, że kochasz obecnie innego, — powiedział młodzieniec tonem pieszczotliwym — a powtarzam ci, hrabia mnie bardzo interesuje.

— On ciebie obchodzi?

— Tak, mnie...

— A toż dlaczego znów?

— Bo ja jeden tylko wiem...

— Co wiesz?

— Że on biedny nie zawinił tak bardzo, jak go posądzasz i jak się może wydawać.

— Doprawdy! — zawołała milady niespokojnie — wytłumacz się, bo nie rozumiem wcale, co chcesz powiedzieć.

I patrzała na d'Artagnana, który ją trzymał w objęciu, a w jasnych jej oczach migały błyskawice.

— Jestem człowiekiem uczciwym — zaczął d'Artagnan, zdecydowany raz już skończyć — i odtąd miłość twoja do mnie należy i pewny jestem jej zupełnie... bo do mnie ona należy, wszak prawda?

— Cała, caluteńka!... ale mów dalej...

— Otóż szczęście mnie przekształciło zupełnie, wyznanie pewne mi cięży.

— Wyznanie?...

— Gdybym wątpił o twojej miłości, nigdybym się nie ośmielił; lecz ty mnie kochasz, moja najpiękniejsza? kochasz, powtórz mi raz jeszcze?

— Ależ kocham, kocham!

— Gdybym przez zbytek uczucia zawinił względem ciebie, czybyś mi przebaczyła?

— Może!

D'Artagnan próbował z najsłodszym, na jaki mógł zdobyć się, uśmiechem, zbliżył usta do ust milady, lecz go odepchnęła.

— Chcę usłyszeć wyznanie — rzekła, blednąc — muszę wiedzieć o wszystkiem.

— Oznaczyłaś schadzkę hrabiemu de Wardes zaszłego czwartku w tym samym pokoju, nieprawdaż?

— Ja?... wcale nie — rzekła milady głosem obojętnym i, nie zmieniwszy się na twarzy, tak że gdyby d'Artagnan nie miał dowodów dotykalnych, byłby się zachwiał w swojem przekonaniu.

— Nie kłam, śliczny aniołku — rzekł ze śmiechem, na nic się to nie przyda.

— Dlaczego? powiedz-że nakoniec, umieram z ciekawości!...

— O! uspokój się najdroższa, nie zawiniłaś względem mnie wcale, już ci przebaczyłem!

— Cóż dalej!

— De Wardes nie może się niczem pochwalić...

— Dlaczego? Opowiadałeś przecie o pierścionku...

— Ten pierścień, duszo moja, ja go posiadam. Hrabia de Wardes czwartkowy i d'Artagnan dzisiejszy są jedną i tą samą osobą.

Niebaczny, spodziewał się, iż po tem wyznaniu, nastąpi zdziwienie, pomieszanie i zawstydzenie niejakie; następnie mały wybuch gniewu, zakończony łzami. Pomylił się bardzo i prędko się o tem przekonał.

Milady wyprostowała się blada i straszna i odepchnęła d'Artagnana gwałtownem uderzeniem w piersi.

Rozwidniło się już zupełnie.

D'Artagnan starał się powstrzymać ją i uchwycił ręką peniuar z cienkiego indyjskiego muślinu, błagając o przebaczenie; lecz ona wyrywała się gwałtownie, chcąc od niego uciec.

Cienki muślin rozdarł się i obnażył ramiona milady... Na jednem z tych ramion, okrągłych i białych jak kość słoniowa, d'Artagnan, wzruszony niewymownie, spostrzegł i poznał kwiat lilji, oznakę niczem niezmazaną, wyciśniętą hańbiącą ręką kata.

— Wielki Boże! — wykrzyknął d'Artagnan, puszczając peniuar i martwiejąc prawie z przerażenia.

Dosyć tego było dla milady, czuła się zdradzona tym jednym wykrzyknikiem d'Artagnana.

Zapewne zobaczył!...

— Ten człowiek zna obecnie jej tajemnicę!... tajemnicę straszliwą, o której nikt w świecie nie wie... oprócz niego.

Odwróciła się, już nie, jak kobieta zła wściekle, lecz, jak zraniona pantera.

— A! nędzniku!... — rzekła — zdradziłeś mnie nikczemnie, a teraz znasz moją tajemnicę! Więc umrzesz!

Pobiegła do szkatułki ozdobnej, stojącej na toalecie, otworzyła ją drżącą ręką, wyjęła sztylet w złotej oprawie, z ostrzem cienko zakończonem i jednym skokiem rzuciła się na d'Artagnana.

Pomimo znanej odwagi młodzieniec przeląkł się; przeląkł się twarzy zmienionej, oczu rozszerzonych okropnie, bladości śmiertelnej i ust, do krwi przygryzionych; cofnął się do ściany, jak gdyby ujrzał żmiję, pełzającą ku sobie... i ręką, zimnym potem oblaną, ujął za szpadę i z pochwy ją wyciągnął.

Milady, na nic nie zważając, darła się do niego i starała się ostrzem do gardła mu dostać, a szpadę wytrącić z ręki.

D'Artagnan do tego nie dopuścił i końcem szpady mierzył raz w oczy, to piersi kobiety, a zasłaniając się w ten sposób, cofał się ku drzwiom pokoiku Katty.

Milady przez ten czas rzucała się na niego, jak wściekła, rycząc ze złości straszliwie.

Wyglądało to na pojedynek, to też d‘Artagnan odzyskiwał powoli krew zimną.

— Dobrze, piękna pani, doskonale! — mówił — lecz na Boga uspokój się, albo narysuję ci szpadą drugi kwiat lilji na pięknej twojej buzi…

— Podły! nikczemny! — syczała milady.

D‘Artagnan, szukając ciągle drzwi, trzymał się odpornie.

Słysząc wrzawę i hałas, jaki czynili, on, przewracając meble, ona, aby się dostać do niego, on zasłaniając się przed nią temiż meblami, Katty drzwi otworzyła. D‘Artagnan jednym skokiem wypadł z sypialni milady do pokoiku służącej, i, szybki jak błyskawica, zamknął drzwi za sobą, oparł się o nie całym ciężarem, a tymczasem Katty zasuwała rygle i zapory.

Wtedy milady próbowała wyważyć drzwi, zamykające jej drogę, lecz okazało się to nad siły kobiety. Gdy się przekonała nareszcie, że nic nie poradzi, biła ostrzem sztyletu w drzewo, aż koniec jego na drugą stronę przechodził.

Uderzeniom towarzyszyły przekleństwa straszne…

— Prędzej, Katty, prędzej — rzekł d‘Artagnan pół głosem, gdy już drzwi obwarowali — wyprowadź mnie z pałacu, bo, jeżeli zostawimy jej czas na opamiętanie, każe mnie zamordować lokajom.

— Nie możesz przecie wyjść — rzekła Katty — jesteś prawie bez ubrania…

— To prawda — odpowiedział, spostrzegłszy wtedy dopiero, w jakim się znajdował kostiumie, — to prawda; ubierz mnie, jak będziesz mogła, lecz śpieszmy się; czy pojmujesz, że tu idzie o życie!

Katty pojmowała aż nadto dobrze; odziała go też prędko w jakąś suknię kraciastą; wsadziła mu na głowę duży kapelusz z woalem i dała płaszcz szeroki; pantofle włożył na gołe nogi.

W takim stroju dobra dziewczyna pociągnęła go na schody. Czas już był wielki, milady bowiem na gwałt dzwoniła i rozbudziła całą służbę.

Odźwierny właśnie otworzył bramę i przepuścił d‘Artagnana w chwili, gdy milady nawpół naga, krzyczała z okna:

— Nie otwierać bramy!

Rozdział XI. Umundurowanie Athosa

Młodzieniec uciekał, a ona mu jeszcze wygrażała z otwartego okna. W chwili, gdy straciła go z oczu, padła zemdlona na podłogę. D‘Artagnan był tak dalece wzburzony,

że, nie troszcząc się i nie myśląc, jak Katty da sobie radę, przebył pół Paryża, biegnąc ciągle, i zatrzymał się dopiero u drzwi mieszkania Athosa.

Przebiegł podwórze, przeskoczył jednym tchem dwa piętra i pukał do drzwi Athosa, co sił starczyło.

Grimaud zbudzony przyszedł otworzyć, ledwie roszerzając oczy zaspane. D'Artagnan wpadł do przedpokoju tak raptownie, że o mało go nie przewrócił.

— Hola!... — zawołał — czego chcesz, głupia dziewczyno?

D'Artagnan odrzucił zasłonę i oswobodził ręce z pod płaszcza; na widok wąsów i gołej szpady, rozespany służący spostrzegł, że ma do czynienia z mężczyzną, i pewny był, że to być musi złodziej albo morderca.

— Na pomoc!... na pomoc!... ratujcie! — zaczął wrzeszczeć!

— Cicho bądź, potępieńcze! — rzekł młodzieniec — czyż mnie nie poznajesz?... Gdzie jest twój pan?

— Pan d'Artagnan!... czy podobna?

— Grimaud — odezwał się Athos, wychodząc z pokoju — Grimaud, zdaje mi się, mój chłopcze, że ośmielasz się rozmawiać.

— A! panie...

— Cicho!

Grimaud nie odważył się już ust otworzyć, wskazał tylko ręką d'Artagnana. Athos poznał towarzysza i, pomimo powagi swej, wybuchnął śmiechem szalonym, cousprawiedliwiało dziwaczne przebranie, na które patrzył: kapelusz przekrzywiony, spodnie, opadające na pięty, rękawy zakasane i wąsy, najeżone ze wzruszenia.

— Nie śmiej się, przyjacielu — zawołał d'Artagnan — przez Boga żywego, nie śmiej się, bo, klnę się na moją duszę i powtarzam, niema się z czego śmiać...

Mówił to uroczyście i ze zgrozą tak rzetelną, że Athos ujął go zaraz za ręce, wołając:

— Możeś ranny, przyjacielu drogi?... Jakiś ty blady!

— Nie, nie, lecz zdarzył mi się wypadek okrutny. Czy sam jesteś Athosie?

I d'Artagnan wpadł do pokoju Athosa.

— No, opowiadaj! — rzekł tenże, zamykając drzwi na klucz dla bezpieczeństwa: Król może nie żyje? albo zabiłeś kardynała? widzę, że jesteś strasznie pomieszany: mów, dusza mi zamiera z niepokoju.

— Athosie — rzekł d'Artagnan, zdejmując ubranie kobiece i zostawszy w jednej koszuli — Athosie, przygotuj się do usłyszenia historji nieprawdopodobnej, niesłychanej...

— Włóż najpierw ten szlafrok — rzekł poczciwy muszkieter przyjacielowi.

— Słucham cię teraz.

— Otóż — odpowiedział d'Artagnan, nachylając się do ucha Athosa i, głos zniżając — milady ma wypiętnowany kwiat lilji na ramieniu.

— O!... — jęknął Athos, jak rażony kulą w serce.

— Powiedz mi — ciągnął d'Artagnan — czyś pewny, że tamta nie żyje?

— Tamta? — powiedział Athos głuchym głosem, iż zaledwie go d'Artagnan usłyszał.

— Tak, ta, o której opowiadałeś mi niedawno w Amiens.

Athos westchnął głęboko i twarz w dłonie ukrył.

— Ta, o której mówię — kończył d'Artagnan — ma także dwadzieścia sześć do dwudziestu ośmiu lat.

— Blondynka?

— Tak.

— Oczy jasno-niebieskie, dziwnie przejrzyste, rzęsy i brwi czarne?

— Tak.

— Wysoka, dobrze zbudowana. Brak jej zęba bocznego z lewej strony?

— Tak.

— Kwiat lilji mały, czerwony, trochę zatarty, jakby od przykładania maści?

— Tak.

— Mówisz jednak, że jest Angielką?...

— Nazywają ją, milady, lecz może przecie być francuzką. A lord Winter nie jest jej bratem rodzonym, tylko szwagrem.

— D'Artagnanie, muszę ją koniecznie zobaczyć!...

— Strzeż się, Athosie, strzeż się... chciałeś ją zabić kiedyś, pamiętaj, że zdolna ci zapłacić podobną monetą, tylko że ona nie chybi...

— Nie będzie śmiała, nie odezwie się, boby się zdradziła.

— Do wszystkiego jest zdolna!... Czy widziałeś ją kiedy w gniewie?

— Nie — odrzekł Athos.

— To dzikie zwierzę, tygrysica, pantera! Athosie, mój drogi! boję się, czy nie ściągałem na nas obydwóch nieszczęścia, czy nie rozdrażniłem, nie pobudziłem do zemsty tej kobiety okrutnej!

Opowiedział następnie wszystko: złość bezrozumną milady i jej pogróżki śmierci.

— Masz rację i, na mą duszę, widzę, że gra nie warta świeczki — rzekł Athos. — Szczęśliwie się zdarza, że pojutrze opuszczamy Paryż, idziemy, według wszelkiego prawdopodobieństwa, na Roszellę, a gdy wyruszymy w drogę…

— Pójdzie ona na koniec świata za tobą, Athosie, jeżeli cię tylko pozna; pozwól, przyjacielu, niech ja jeden będę ofiarą zemsty tej strasznej kobiety.

— O!… mój drogi!… co mnie obchodzi, że będzie godziła na moje życie — rzekł Athos — czy sądzisz, że mi tak bardzo chodzi o to marne istnienie?

— Przeczuwam straszną tajemnicę w tem wszystkiem… Athosie! ta kobieta jest szpiegiem kardynała, to pewne!…

— Życzę ci zatem, ażebyś się pilnował bacznie. Kardynał może być zachwycony odwagą twoją i sprytem, z powodu sprawy londyńskiej; niemniej przeto nienawidzi cię za to, że ci się powiodło. Jawnie o nic cię nie może oskarżyć, a jednak chce wywrzeć zemstę, więc powtarzam ci raz jeszcze, miej się na baczności! Nie wychodź sam nigdy; jedząc, strzeż się trucizny; nie dowierzaj nikomu i niczemu, strzeż się własnego cienia.

— Całe szczęście — rzekł d'Artagnan — że trzeba tylko do pojutrza wieczorem chodzić po Paryżu, bo, gdy wyruszymy do armji, spodziewam się, że tam tylko z nieprzyjacielem ojczyzny będzie robota.

— Tymczasem — rzekł Athos — nigdzie cię samego nie puszczę; wracaj na ulicę Grabarzy, będę ci towarzyszył.

— Bardzo to wprawdzie blisko, lecz jakżeż ja pójdę tak, jak jestem ubrany?

— Masz słuszność — rzekł Athos i zadzwonił.

Wszedł Grimaud. Athos pokazał mu na migi, aby poszedł do d'Artagnana i przyniósł ubranie.

— Ależ to wcale nie przyśpiesza naszego umundurowania, kochany przyjacielu — rzekł Athos — albowiem, jeśli się nie mylę, zostawiłeś swoje ubranie u milady, która nie będzie na tyle uprzejma, aby ci je zwrócić. Szczęście całe, że posiadasz szafir w pierścionku.

— Szafir do ciebie należy, kochany Athosie, czyż nie mówiłeś, że to twój klejnot rodzinny?

— Tak, ojciec mój kupił go za dwa tysiące talarów, jak mi to sam opowiadał niegdyś. Dostałem go od matki, a ja, głupi szaleniec, zamiast zachować pierścień, jak relikwję świętą, podarowałem tej nędznicy.

— Zatem mój drogi, odbierz ten pierścień, jako drogą pamiątkę.

— Ja miałbym wziąć ten pierścionek, który był w ręku podłej istoty!... nigdy; d'Artagnanie, słuchaj: pierścień ten jest skalany.

— Więc go sprzedaj.

— Sprzedać klejnot! pochodzący od matki! Przyznaję, że uważałbym to za świętokradztwo.

— No to go zastaw; pożyczą ci na niego, tysiąc talarów conajmniej. Z taką sumą dasz sobie radę w obecnej potrzebie; a później kiedy pierwsze pieniądze przyjdą, wykupisz z zastawu i wróci on do ciebie czysty, obmyty z plam przeszłych, ponieważ przejdzie przez ręce lichwiarzy.

— Jesteś nieocenionym towarzyszem — rzekł Athos — moj drogi, wesołością nieprzebraną podnosisz z upadkuumysł, pogrążony w rozpaczy. Dobrze, zastawmy ten pierścień, lecz pod jednym warunkiem.

— Pod jakim.

— Pięćset talarów będzie dla ciebie, pięćset dla mnie.

— Cóż ty sobie myślisz, Athosie, ja nie potrzebuję nawet czwartej części tej sumy, a sprzedawszy siodło, będę już ją posiadał. A przytem, zdaje się, nie pamiętasz, że i ja mam pierścionek kosztowny.

— Który daleko więcej cenisz, niż ja swój; przynajmniej tak mi się zdawało.

— Tak, masz słuszność, ponieważ w okolicznościach nieprzewidzianych może on nas wybawić nietylko z wszelkiego kłopotu, ale jeszcze i z wielkiego niebezpieczeństwa; to nie jest djament jedynie drogocenny, to zaczarowany talizman.

— Nic nie rozumiem, lecz wierzę temu, co mówisz. Wracając do pierścionka mojego a raczej do twojego, weźmiesz połowę sumy, którą nam dadzą, albo rzucę go na dno Sekwany, i wątpię bardzo, czy jak, Polikratesowi, zwróci go nam jaka grzeczna i usłużna rybka.

— Kiedy tak, to przyjmuję — rzekł d'Artagnan.

Grimaud powrócił w towarzystwie Plancheta, który, niespokojny o pana swojego i ciekawy ujrzeć, co mu się przytrafiło, skorzystał ze sposobności i sam osobiście przyniósł ubranie.

D'Artagnan odział się pośpiesznie, Athos uczynił tak samo. Gdy już obydwaj mieli wychodzić, zwrócił się do Grimauda z takim ruchem, jak człowiek, biorący kogo na cel. Grimaud w tej chwili zdjął muszkiet ze ściany i podążył za panem. Przybyli bez żadnego wypadku na ulicę Grabarzy. Bonacieux stał u progu i patrzał drwiąco na d'Artagnana.

— Ehe! kochany mój lokatorze! — odezwał się — śpieszże się prędzej, masz teraz śliczną młodą dziewczynę, która czeka na ciebie, a kobiety, jak ci wiadomo, nie lubią, gdy im każą czekać.

— A! to Katty! — zawołał d'Artagnan i pobiegł coprędzej do siebie.

Rzeczywiście, na schodkach, prowadzących do pokoju, siedziało biedne dziewczę, przytulone do drzwi, drżąc ze strachu. Skoro tylko go zobaczyła, zawołała:

— Obiecałeś mi opiekę, przyrzekłeś mnie obronić od jej gniewu; pamiętaj, że ty mnie zgubiłeś!

— Przyrzekłem i dotrzymam — odpowiedział d'Artagnan — bądź spokojna, moja Katty. Ale opowiedz no mi, co się tam działo po mojem odejściu?

— Czyż to podobna opowiedzieć? — zaczęła Katty. — Na krzyki jej cała służba nadbiegła, pani pieniła się ze złości; jakie są na świecie przekleństwa i wymysły, wszystkie spadły na twoją głowę. Wtedy to przyszło mi na myśl, że przypomni sobie, jak przez mój pokój dostałeś się do jej sypialni i domyśli się, że jestem twoją wspólniczką, zabrałam tedy trochę pieniędzy, jakie miałam, zabrałam co lepsze ubranie i uciekłam coprędzej.

— Biedne dziecię! Cóż ja ci poradzę? Ja sam wychodzę na wojnę pojutrze!

— Rób, co chcesz ze mną, wypraw mnie z Paryża, choćby nawet z Francji.

— Nie mogę cię przecie wziąć z sobą, idąc oblegać — Roszellę — rzekł d'Artagnan.

— Wiem o tem; lecz możesz umieścić mnie gdziekolwiek na prowincji, u jakiej znajomej damy: w swoich stronach rodzinnych, naprzykład...

— O, moja droga! tam, gdzie ja się urodziłem, nie trzymają pokojowych, damy same się ubierają. Ale, poczekaj no, zdaje mi się, że poradzimy jakkolwiek. Planchet, ruszaj do pana Aramisa, proś go niech przyjdzie coprędzej. Powiedz, że mamy coś nader ważnego.

— Aha, rozumiem — rzekł Athos — dlaczego jednak nie poślesz po Porthosa? możeby jego margrabina...

— Margrabina, protektorka Porthosa, każe się ubierać dependentom swego męża — odparł Athosowi ze śmiechem. — A przytem Katty nie chciałaby zamieszkać przy ulicy Niedźwiedziej, nieprawdaż, Katty?

— Wszystko mi jedno, pójdę dokąd tylko panowie chcecie — odparła Katty — gdziebym się mogła ukryć dobrze i nikt nie wiedział, gdzie jestem.

— Teraz, Katty, kiedy się rozłączymy i, ma się rozumieć, nie jesteś już o mnie zazdrosną...

— O, panie d'Artagnan, zbliska czy zdaleka, będę cię zawsze kochała...

— Do wszystkich djabłów! z taką stałością — mruknął Athos.

— O! ja także, droga Katty — odezwał się d'Artagnan — nie przestanę cię nigdy kochać, bądź pewna. Lecz odpowiedz mi szczerze na jedno pytanie, czy nie mówiono u was o młodej kobiecie, którą pewnej nocy porwano i która zniknęła bez wieści?

— Poczekaj pan... Lecz na Boga, panie rycerzu, czyżbyś jeszcze i tę kobietę kochał?

— Nie, nie, jeden z moich przyjaciół za nią przepada. Athos, którego tu widzisz.

— Ja?... — krzyknął Athos takim głosem, jak gdyby na jaszczurkę nadepnął.

— Ty, ty, nie zapieraj się — ciągnął d'Artagnan, ściskając go za rękę. — Wiesz dobrze, jak my wszyscy interesujemy się nieszczęśliwą panią Bonacieux. A Katty nas nie zdradzi: prawda, moja droga?... Trzeba ci wiedzieć, dziecko kochane, że to żona tego obrzydliwego koczkodana, którego spotkałeś przed domem, idąc do mnie.

— O, mój Boże — zawołała Katty — przypomniałeś mi pan mój przestrach, czy on mnie aby nie poznał!

— Więc już widziałaś tego człowieka?

— Przychodził dwa razy do milady.

— To tak? i kiedyż był?

— Mniej więcej temu dwa tygodnie.

— Spodziewałem się tego.

— Wczoraj także przychodził.

— Wczoraj wieczorem?

— Tak, na chwilę przed przyjściem pana.

— Mój drogi Athosie, jesteśmy otoczeni szpiegami! Cóż, Katty, sądzisz, że cię poznał?

— Nasunęłam wprawdzie na twarz zasłonę, lecz może już przedtem mnie poznał.

— Proszę cię, Athosie, zejdź na dół, on cię najmniej z nas wszystkich podejrzewa i zobacz, czy stoi jeszcze przed drzwiami.

Athos wyszedł i powrócił zaraz.

— Niema go nigdzie, a dom zamknięty.

— Poszedł z raportem, poszedł donieść, że wszystkie ptaszki są obecnie razem w klatce.

— Ulotnijmy się zatem — rzekł Athos — Planchet zostanie i doniesie nam, co nastąpi.

— Chwilkę, przyjacielu. Posłaliśmy po Aramisa, trzeba zaczekać.

— Sprawiedliwie mówisz, czekajmy na Aramisa.

Właśnie Aramis wchodził.

Przedstawiono mu rzecz całą i wytłumaczono, że musi jaknajrychlej znaleźć miejsce dla Katty, u której z wielkich dam, z któremi się przyjaźnił.

Aramis zamyślił się i zaczerwienił okrutnie, a potem rzekł:

— Czy naprawdę zależy ci na tem, kochany d'Artagnanie?

— Będę ci wdzięczny do śmierci.

— Pani de Bois-Tracy zapytywała mnie przez swoją przyjaciółkę, mieszkającą na prowincji, czy wypadkiem nie mógłbym jej przysłać osoby, godnej zaufania, do usług jej osobistych. Otóż, kochany przyjacielu, jeżeli możesz zaręczyć, że ta oto panienka...

— O! panie — zawołał Katty — będę wdzięczną i poświęcę się cała na usługi osobie, która da mi możność opuszczenia Paryża.

— Skoro tak, kochana panienko — rzekł Aramis — to wszystko będzie dobrze.

Usiadł przy stoliku, napisał parę słów, zapieczętował pierścionkiem i oddał do rąk Katty.

— Obecnie, moje dziecko, — odezwał się d'Artagnan — wiesz, że równie dla nas, jak i dla ciebie, niebezpiecznie tutaj zostawać, zatem rozłączmy się... Znajdziemy się kiedyś w lepszych czasach.

— Gdziekolwiek i kiedykolwiek się spotkamy — rzekła Katty — zastaniesz mnie pan zawsze równie kochającą, jak obecnie.

— Przysięga gracza! — mruczał Athos, gdy d'Artagnan odprowadzał Katty na schody.

Niezadługo młodzi ludzie pożegnali się, przyrzekając zejść się o czwartej u Athosa, i zostawili Plancheta na straży mieszkania.

Aramis powrócił do siebie, Athos zaś i d'Artagnan zajęli się zastawianiem szafira.

Jak przewidział nasz gaskończyk, znaleziono z łatwością amatora, który pożyczył na pierścionek trzysta pistolów. W dodatku żyd, dający pieniądze nadmienił, że, gdyby zdecydowano się sprzedać klejnot, bardzo mu przypadający do gustu, jako odpowiadający drugiemu, posiadanemu przez niego, wyliczyłby na stół natychmiast pięćset pistolów.

Athos i d'Artagnan z ruchliwością ludzi wojskowych, a w dodatku, jako znawcy prawdziwi, w ciągu trzech godzin niespełna, zakupili wszystko, co było niezbędne do całkowitego umundurowania dla muszkietera. Przytem Athos był hojny, jak wielki pan do szpiku kości.

Muszkieter wynalazł pod wierzch okazałego konia andaluzyjskiego, czarnego, jak heban, o sierści lśniącej, nozdrzach rozdętych, z nóżką suchą i zgrabną, pełnego ognia i to sześciolatka zaledwie. Obejrzał go okiem znawcy i żadnej wady nie odkrył. Zaceniono mu tysiąc liwrów.

Athos odrachował na stół sto pistolów.

Grimaud dostał też konia, przysadzistego i wytrwałego pikardyjczyka, za którego zapłacono trzysta liwrów.

Po kupieniu siodła na tegoż konia i zbroi dla Grimauda, nie pozostało Athosowi ani szeląga ze stu pięćdziesięciu pistolów. D'Artagnan ofiarował przyjacielowi część sumy, jaka na niego przypadła, z zastrzeżeniem zwrotu, gdy będzie w możności oddania.

Athos za całą odpowiedź wzruszył ramionami.

— Ile to żyd dawał za szafir, chcąc go nabyć na własność?... — zapytał.

— Pięćset pistolów.

— To znaczy dwieście pistolów więcej; sto dla ciebie, sto dla mnie. Ależ to majątek, mój przyjacielu; idź prędzej do tego żyda.

— Jakto?... czyżbyś pragnął...

— Pierścionek ten stanowczo przypominałby mi nader smutne okoliczności; z drugiej strony, czyż będziemy kiedy w posiadaniu trzystu pistolów, aby go wykupić?... w ten sposób tracimy dwa tysiące liwrów. Idź, idź, kochany d'Artagnanie, powiedz mu, iż pierścionek do niego należy i powracaj z dwustu pistolami.

— Namyśl się jeszcze, Athosie...

— Trudno bardzo o gotówkę obecnie, trzeba się poświęcić. Idź, nie czekając, d'Artagnanie. Grimaud będzie ci towarzyszył wraz ze swoim muszkietem.

D'Artagnan powrócił w pół godziny z dwoma tysiącami liwrów, bez żadnego wypadku.

Takim zbiegiem okoliczności, Athos znalazł pod ręką potrzebne na wyekwipowanie pieniądze, których nie spodziewał się wcale.

Rozdział XII. Zjawisko

O godzinie czwartej czterej przyjaciele zeszli się już u Athosa. Ogólne zakłopotanie i myśli o umundurowaniu pierzchły bezpowrotnie, fizjognomja każdego zachowała jedynie wyraz osobistych i tajemnych obaw i pragnień; niestety! tak zawsze bywa, szczęście chwili obecnej zaćmiewa niepewność przyszłości.

Niespodziewanie ukazał się Planchet, niosąc dwa listy z adresem d‘Artagnana. Jeden z nich był to bilecik, elegancko złożony, formy podłużnej z ładną pieczątką zieloną, na której wyciśnięty był gołąbek, z gałązką oliwną w dziobku.

Drugi list był wielki, w kwadrat złożony i opatrzony przejmującemi trwogą pieczęciami jego eminencji księcia kardynała.

Na widok bileciku, d‘Artagnan poczuł bicie serca, zdawało mu się, iż poznaje od kogo pochodzi; chociaż raz tylko widział to pismo, utkwiło mu jednak w pamięci głęboko.

Pochwycił maleńki liścik i rozpieczętował żywo; list zawierał co następuje:

„Przechadzaj się w przyszły czwartek od szóstej do siódmej wieczorem po drodze z Chaillot i zaglądaj do wszystkich karet, przejeżdżających tamtędy; lecz, jeżeli dbasz o swoje życie i o życie tych, którzy cię kochają, nie mów nic, nie czyń najmniejszego poruszenia, któreby pozwalało przypuszczać, iż poznałeś tę, którą naraża się na wszystko, aby cię ujrzeć choć na chwilę.”

Podpisu nie było.

— To zasadzka... — rzekł Athos — nie idź tam, d‘Artagnanie.

— A jednakże pewny jestem, że znam to pismo.

— Może być naśladowane — podjął Athos — między szóstą a siódmą wieczorem droga z Chaillot jest najzupełniej pusta: zarówno bezpiecznie byłoby iść na spacer do lasu Bondy.

— A gdybyśmy poszli wszyscy!... — rzekł d‘Artagnan — cóż u djabła, tożby nas nie pożarto wszystkich czterech, a do tego czterech lokajów, konie i broń.

— Będzie to dobra sposobność pokazania się w pełnym rynsztunku dodał Porthos.

— Jeżeli to pisze kobieta — odezwał się Aramis — i jeżeli pragnie być widziana przez ciebie jedynie, pomyśl, d‘Artagnanie, iż ją kompromitujesz, sprowadzając nas wszystkich, a to niegodne prawdziwego szlachcica.

— Zostaniemy w tyle — rzekł Porthos — on sam zbliży się jedynie.

— Tak, ale strzał z pistoletu może paść z karety bardzo łatwo.

— Ba!... — odparł d‘Artagnan — mam nadzieję, że mnie nie trafi. Wreszcie obstąpimy karetę i zgładzimy ze świata w niej się znajdujących. Zawsze to nieźle, gdy mniej o kilku nieprzyjaciół prześladować nas będzie.

— Ma słuszność — rzekł Porthos — wojna to najmilsza rzecz; trzeba przecie wypróbować broń naszą.

— O tak, zróbmy sobie tę małą uciechę — dodał Aramis tonem słodkim i niedbałym.

— Jak wam się podoba — rzekł Athos.

— Panowie — mówił d'Artagnan — jest już wpół do piątej, zaledwie wystarcza nam czas do stawienia się na drodze z Chaillot.

— A nadto, gdy zapóźno wyruszymy — dodał Porthos — nikt nas nie zobaczy, a to byłaby wielka szkoda. Dalej, panowie, szykujmy się co rychlej.

— Zapomniałeś o drugim liście — odezwał się Athos — zdaje mi się jednak, że pieczęcie wskazują jego ważność i wart przeczytania; co do mnie, oświadczam ci, kochany d'Artagnanie, że on mnie daleko więcej zajmuje, niż ten mały bilecik, któryś tak czule schował w okolicy serca.

D'Artagnan zaczerwienił się i odpowiedział:

— Zobaczymy tedy, moi panowie, czego chce odemnie jego eminencja.

Rozpieczętował list i czytał:

„Pan d'Artagnan z gwardji królewskiej, z kompanji Des Essarts, ma się stawić w pałacu Kardynalskim dziś wieczorem o godzinie ósmej.

La Hondinierie

Kapitan gwardji"

— Do djabła!... — rzekł Athos — otóż mamy rendez-vous w zupełnie innym rodzaju, niemniej przeto niepokojące.

— Udam się na drugie, powracając z pierwszego — odezwał się d'Artagnan — jedno jest na siódmą, drugie na ósmą; będzie czas na wszystko.

— Hm! jabym nie poszedł — wtrącił Aramis — dobrze wychowany kawaler nie może chybić rendez-vous, oznaczonego przez damę; lecz szlachcic przezorny może wytłumaczyć się z niestawienia na rozkaz Jego eminencji, nadewszystko, gdy ma powody przypuszczać, że nie o komplementa chodzi.

— Podzielam zdanie Aramisa — rzekł Porthos.

— Panowie — odparł d'Artagnan — odebrałem już raz przez pana de Cavois podobne zaproszenie od jego eminencji; nie stawiłem się, a nazajutrz spotkało mnie straszne nieszczęście! Moja Konstancja znikła; niech sie teraz, co chce, stanie, pójdę.

— Jeżeliś tak postanowił — rzekł Athos — to rób, jak ci się zdaje.

— A Bastylja?... — wtrącił Aramis.

— Ba!... nie boję się i stamtąd mnie wydostaniecie — odrzekł d'Artagnan.

— Bezwątpienia — odezwali się Aramis i Porthos z zadziwiającą siebie pewnością, jak gdyby to była rzecz prosta zupełnie — bezwątpienia wydostaniem cię; lecz tymczasem, ponieważ wyruszamy w pole pojutrze, lepiejbyś uczynił, nie narażając się na Bastylję.

— Ja wiem, jak się urządzimy — rzekł Athos — nie odstąpimy go ani na chwilę przez cały wieczór. Przy każdej bramie pałacu kardynalskiego będzie czekał jeden z nas wraz z trzema muszkieterami; gdy zobaczymy powóz zamknięty, ze spuszczonemi firankami, o podejrzanym wyglądzie, wyjeżdżający z bramy, wpadniemy na niego niespodzianie: dawno już nie mieliśmy sposobności zajrzeć w oczy straży kardynalskiej, a pan de Tréville słusznie mógłby sądzić, że w nas zamarł duch wojowniczy.

— Stanowczo, Athosie — rzekł Aramis — byłeś stworzony na dowódcę armji; jak wam się ten plan podoba?

— Zachwycający! pyszny!... — powtórzyli chórem młodzi ludzie.

— Zatem — mówił Porthos — biegnę do koszar uprzedzić towarzyszy, aby byli gotowi na ósmą wieczorem. Punkt zebrania na placu przed pałacem kardynalskim; a wy, panowie, przez ten czas, każcie pachołkom wierzchowce posiodłać.

— Lecz ja konia nie posiadam — odezwał się d'Artagnan — wezmę chyba od pana de Tréville.

— Nie potrzeba — rzekł Aramis — weźmiesz jednego z moich.

— Ileż ty ich więc masz?... — zapytał d'Artagnan.

— Trzy tylko, — odpowiedział Aramis z uśmiechem.

— Mój drogi — rzekł Athos — jesteś z największą pewnością poetą najlepiej uposażonym w całem królestwie Francji i Nawarry.

— Ale, mój drogi Aramisie, co będziesz robił z trzema wierzchowcami? nie pojmuję nawet, jak mogłeś aż trzy kupować?

— Nie kupowałem bynajmniej; trzeciego przyprowadził mi dziś rano służący bez liberji i nie chciał powiedzieć, do kogo należy, utrzymywał, iż dostał rozkaz od swojego pana...

— Albo od pani swojej — przerwał d'Artagnan.

— To wszystko jedno — ciągnął Aramis, czerwieniąc się.

— Tylko poetom zdarzają się podobne wypadki — dodał Athos poważnie.

— W takim razie porozumiejmy się, — rzekł d'Artagnan — na którym z dwóch wierzchowców będziesz jeździł, na kupionym przez siebie, czy na darowanym?

— Na przyprowadzonym dzisiaj, ma się rozumieć; pojmujesz, d‘Artagnanie, iż nie mogę ubliżyć w ten sposób…

— Nieznanemu ofiarodawcy — podjął d‘Artagnan.

— Lub tajemniczej protektorce — dodał Athos.

— Więc ci już niepotrzebny ten, którego kupiłeś?

— Prawie.

— Sam go wybrałeś?

— Z największą ostrożnością, gdyż bezpieczeństwo jeźdźca, jak wiesz o tem dobrze, zależy prawie zawsze od konia!

— Proszę cię, odstąp mi tego wierzchowca za cenę, jaką dałeś za niego!

— Chciałem ci go właśnie ofiarować, kochany d‘Artagnanie, zostawiając swobodę zapłacenia mi tej bagatelki, kiedy ci się spodoba.

— Więc ileż kosztuje?

— Osiemset liwrów.

— Oto masz czterdzieści podwójnych pistolów, kochany przyjacielu — rzekł d‘Artagnan, wyjmując złoto z kieszeni — wiem, że taką monetą płacą ci za twoje poematy.

— Jesteś, jak widzę, kapitalistą?

— Ależ tak mój drogi, kapitalistą, co się zowie.

I d‘Artagnan brząknął resztą pistolów w kieszeni.

— Przyślij siodło do koszar muszkieterskich, a przyprowadzą ci konia razem z naszemi.

— Bardzo dobrze; ale oto piąta godzina niedługo, spieszmy się…

W kwadrans potem Porthos ukazał się na rogu ulicy Feron, na bardzo pięknym rumaku; Mousqueton jechał za nim na koniu owerniackim, małym, lecz także bardzo ładnym; Porthos jaśniał radością i dumą.

W tym samym czasie Aramis zjawił się z drugiej strony ulicy; dosiadał przepysznego bieguna angielskiego; Bazin dążył za nim na koniu rueńskim, trzymając za uzdę silnego meklemburczyka: był to wierzchowiec d‘Artagnana.

Dwaj muszkieterowie spotkali się w bramie; Athos i d‘Artagnan wyglądali oknem.

— A, do djabła! rzekł Aramis — pysznego masz konia, Porthosie.

— Tak — odparł Porthos — ten sam, którego miano mi przysłać odrazu; złośliwy figiel męża podstawił innego; ukarałem go też należycie i otrzymałem zadośćuczynienie.

Planchet i Grimaud stawili się także, prowadząc wierzchowce dla swoich panów; d'Artagnan i Athos zeszli na dół, siedli na koń, uszykowali się rzędem z przyjaciółmi i w takim porządku puścili się w drogę; Athos na koniu, którego zawdzięczał swej żonie, Aramis na wierzchowcu, podarowanym przez kochankę; Porthos na koniu zarobionym od notarjuszowej, i d'Artagnan na koniu, którego mu zesłała jego szczęśliwa gwiazda, najlepsza kochanka, jaka być może. Pachołkowie jechali tuż za nimi.

Przepowiednia Porthosa spełniła się, kawalkada sprawiała efekt znakomity; gdyby pani Coquenard znalazła się na drodze Porthosa i mogła była widzieć, jak wspaniałą miał minę na pysznym ogierze hiszpańskim, byłaby nie żałowała z pewnością talarów, wyciągniętych ze szkatuły mężowskiej.

Niedaleko Luwru przyjaciele nasi spotkali pana de Tréville, powracającego z Saint-Germain; zatrzymał ich i winszował pięknego umundurowania, świetnej zbroi i postawy marsowej, co w mgnieniu oka zgromadziło dokoła nich setki ciekawych.

D'Artagnan, korzystając ze sposobności, opowiedział panu de Tréville o liście z wielą pieczęcią i herbami książęcemi, rozumie się, że o małym bileciku ani pisnął.

Pan de Trévine pochwalił zamiar, który powziął d'Artagnan i przyrzekł solennie, że, gdyby nazajutrz nie pokazał się, potrafi go odnaleźć, gdziekolwiekby się znajdował.

Zegar na wieży Samarytańskiej wydzwonił szóstą; przyjaciele przeprosili pana de Tréville, tłumacząc się umówioną schadzkę, pożegnali i ruszyli w swoją stronę.

Wyciągniętym galopem dopadli drogi z Chaillot. Mrok zapadał, karety przejeżdżały w tę i w ową stronę; d'Artagnan, strzeżony zdala przez przyjaciół, zapuszczał wzrok w głąb powozów i nie mógł dojrzeć żadnej twarzy znajomej.

Nakoniec po kwadransie oczekiwania, gdy zmierzchło się zupełnie, ukazał się powóz, pędzący cwałem drogą do Sèvres; d'Artagnan przeczuł, ze w tym powozie musi być osoba, która mu schadzkę wyznaczyła: młodzieniec nie mógł powstrzymać gwałtownego bicia serca... Prawie w tej chwili główka kobieca wyjrzała oknem karety, z paluszkiem na ustach, jak gdyby nakazując milczenie lubprzesyłając pocałunek; d'Artagnanowi wydarł się z piersi cichy okrzyk radości; tą kobietą, a raczej zjawiskiem, jako że kareta przemknęła z szybkością błyskawicy, była pani Bonacieux.

Nie panując nad sobą i niepomny przestrogi, przesłanej w liście, d'Artagnan spiął konia ostrogami i w kilku susach zrównał się z karetą; lecz okno zamknięto, firankę spuszczono, zjawisko znikło bezpowrotnie!

Wtedy d'Artagnan wspomniał słowa listu: „Jeżeli dbasz i życie własne i tych, co się kochają, udawaj, że nic nie widzisz, że nie poznajesz nikogo".

Zatrzymał się więc, z obawy nie o siebie, lecz o nieszczęśliwą kobietę, która widocznie naraziła się na okrutne niebezpieczeństwo, wyznaczając mu to spotkanie.

Powóz oddalał się ciągle, pędząc co koń wyskoczy; wjechał do Paryża i przepadł bez śladu.

D'Artagnan stał na miejscu, jak przykuty, nie wiedząc, co myśleć, co począć... Jeżeli to była pani Bonacieux i jeżeli powracała do Paryża, dlaczego to widzenie przelotne, zamiana jedynie spojrzenia i pocałunku w powietrzu? Z drugiej strony, jeżeli to nie ona, co bardzo być mogło, ponieważ o zmroku łatwo się pomylić, więc jeżeli to nie pani Bonacieux, czyżby to miał być początek zemsty tej ręki, przeciw niemu uzbrojonej, wyzyskującej wpływ kobiety, o której wiedziano, iż była mu drogą nad wszystko?

Trzej towarzysze podjechali do niego. Wszyscy oni widzieli doskonale główkę kobiety, wyglądającą z okna powozu, lecz oprócz Athosa żaden z nich nie znał pani Bonacieux. Zdaniem jego była to ona sama, lecz mniej nią zajęty, widział też głowę mężczyzny, ukrytego w głębi.

— Jeżeli jest tak, jak mówisz — odezwał się d'Artagnan — to bezwątpienia przewożą ją z jednego więzienia, aby osadzić w innem. Czego oni chcą od tej istoty nieszczęśliwej, w jaki sposób będę mógł ją kiedykolwiek odnaleźć?

— Przyjacielu — rzekł Athos poważnie — pamiętaj, iż tylko z nieboszczykami nie można się spotkać na tej ziemi. Wiesz to również dobrze, jak ja, wszak, prawda? Jeżeli twoja ukochana nie umarła i jeżeli to ją widzieliśmy obecnie, przyjdzie dzień, w którym ją spotkasz. A może nawet, Bóg to raczy wiedzieć — dodał — może nawet prędzej, niżbyś pragnął...

Pół do ósmej wybiło; powóz zatem spóźnił się o dwadzieścia minut na oznaczone spotkanie.

Przyjaciele d'Artagnana przypomnieli mu o wizycie w pałacu kardynalskim, nadmieniając wszakże, że ma czas jeszcze cofnąć postanowienie.

Lecz d'Artagnan, uparty i ciekawy, nabił sobie głowę tą wizytą i pragnął usłyszeć, co powie Jego eminencja. Nic nie mogło skłonić go do zmiany raz powziętego zamiaru. Przybyli na ulicę Św. Honorego, na placu przed pałacem kardynalskim zastali dwunastu muszkieterów, spacerujących w oczekiwaniu na towarzyszy.

D'Artagnan był znany i miał dobrą opinję w prześwietnej kompanji muszkieterów królewskich, wiedziano bowiem, że przyjdzie czas, w którym zajmie w niej miejsce zaszczytne; traktowano go też, jako kolegę. Dlatego muszkieterowie stawili się z ochotą na wezwanie, a że w dodatku chodziło według wszelkiego prawdopodobieństwa o

wypłatanie złośliwego figla panu kardynałowi i jego zausznikom, ochoczo brali udział w tej wyprawie.

Athos podzielił ich na trzy oddziały; sam stanął na czele jednego, drugi oddał pod komendę Aramisa, a trzeci zlecił Porthosowi. Następnie każdy z oddziałów umieścił się na czatach, naprzeciw trzech bram pałacowych. D'Artagnan zaś wszedł śmiało przez bramę główną.

Jakkolwiek czuł plecy silne poza sobą, młodzieniec nie mógł się pozbyć pewnej obawy, gdy wchodził wolno na wielkie schody pałacowe. Postępek jego z milady wyglądał trochę na zdradę, a pewny był, że istnieją związki tajemne i polityczne pomiędzy tą kobietą a kardynałem; w dodatku de Wardes, któremu tak się przysłużył, był wiernym stronnikiem Jego eminencji. D'Artagnan wiedział, jak zresztą wszyscy, że kardynał, o ile był straszny dla swoich wrogów, o tyle bardzo przywiązany był i łaskaw dla przyjaciół.

— Jeżeli de Wardes opowiedział kardynałowi całe zdarzenie, o czem nie można wątpić, i w dodatku poznał mnie, co jest bardzo prawdopodobne, mogę się uważać za człowieka z góry potępionego — myślał d'Artagnan, kiwając głową. — Lecz dlaczego czekał aż do dnia dzisiejszego? Ha! to bardzo proste... milady przedstawiłaskargę z minką świętoszki, z którą jej tak do twarzy, iż niepodobna się oprzeć... a mój ostatni postępek przepełnił czarę cierpliwości kardynała...

Szczęśliwie się stało, że zacni moi przyjaciele czekają na dole, i nie pozwolą uprowadzić mnie bezkarnie. Jednakże pułk muszkieterów pana de Tréville nie może sam jeden wojować z kardynałem, który rozporządza siłami Francji całej i wobec którego królowa nawet jest bez znaczenia, a król nie ma własnej woli... D'Artagnanie, mój przyjacielu, jesteś waleczny, przezorny, pełen przymiotów doskonałych, lecz z tem wszystkiem zginiesz marnie przez kobiety. Z tym smutnym wyrokiem wszedł do przedpokoju, oddał pismo oficerowi służbowemu, który go wpuścił do sali poczekalnej, a sam udał się do dalszych apartamentów pałacowych.

W sali tej znajdowało się pięciu czy sześciu ludzi ze straży pana kardynała, którzy poznawszy d'Artagnana i wiedząc, że to on porąbał Jussaca, patrzyli na niego zukosa i uśmiechali się złowróżbnie. Uśmiechy te wydały się d'Artagnanowi złą przepowiednią; ponieważ jednak gaskończyk nasz niełatwo dawał się nastraszyć, a raczej dzięki dumie i zarozumiałości, właściwej ludziom pochodzącym z tej prowincji, ukrywał, co miał w duszy, zwłaszcza, gdy tam było nieco trwogi, wyprostował się więc wyzywająco przed

panami gwardzistami, wsparł ręką na biodrze i oczekiwał wezwania w postawie, pełnej powagi i godności.

Oficer służbowy powrócił i skinął na d'Artagnana, aby szedł za nim. Młodzieniec spostrzegł, że gwardziści, widząc go odchodzącego, szeptali coś pomiędzy sobą i kiwali głowami. Przeszedł korytarz, wielki salon i znalazł się w bibljotece, w której mężczyzna jakiś pisał przy biurku.

Oficer wprowadził go i odszedł, nie wyrzekłszy słowa.

D'Artagnan stał i przypatrywał się piszącemu. Sądził, że ma do czynienia z sędzią jakimś lub prawnikiem, przeglądającym akta sądowe; przekonał się jednak, że mężczyzna przy biurku nie pisał wcale, lecz poprawiał wiersze nierównej długości, skandując słowa na palcach; poznał tedy, że stoi wobec poety. Po niedługiej chwili poeta zamknął rękopis, na którego okładce wypisane było: Mira, tragedja w pięciu aktach, i podniósł głowę.

Wtedy poznał d'Artagnan, że to kardynał.

Rozdział XIII. Odmowa

Kardynał wsparł łokieć na rękopisie, twarz na ręku i patrzał przez chwilę na młodzieńca.

Nikt nie posiadał równie badawczego i głębokiego spojrzenia, jak kardynał de Richelieu, i d'Artagnan czuł się nawskroś przeniknięty tym wzrokiem.

Nie pokazywał tego jednak po sobie, trzymał kapelusz w ręce i czekał, aż Jego Eminencja przemówić raczy, a postawa jego nie wyrażała ani dumy, ani zbytniej uniżoności.

— Panie — odezwał się kardynał — czy jesteś z tych d'Artagnanów, którzy pochodzą z Béarn?

— Tak, Wasza wielebność — odparł młodzieniec.

— Jest kilkanaście rodzin, noszących to nazwisko, w Tarbes i okolicach; do której z nich należysz?

— Jestem synem tego, który brał udział w wojnach religijnych wraz z wielkim królem Henrykiem, ojcem obecnie nam panującego monarchy.

— Tak, tak, to ten sam… To pan wyruszyłeś przed ośmiu miesiącami ze swoich stron rodzinnych, aby szukać szczęścia w stolicy?…

— Tak, Eminencjo.

— Przybyłeś przez Meung, gdzie cię spokała jakaś nieprzyjemność; nie wiem, co takiego, lecz zawsze coś tam było.

— Eminencjo! — rzekł d'Artagnan — oto co mi się przytrafiło...

— Niepotrzeba, niepotrzeba... — przerwał kardynał z uśmiechem, dającym do zrozumienia, iż zna równiedobrze całe zdarzenie, jak ten, co chciał je opowiadać, — byłeś polecony panu de Tréville, wszak prawda?...

— Tak, Eminencjo; lecz właśnie w tej niefortunnej sprawie w Meung...

— List ci zaginął — podjął kardynał — tak, wiem o tem; lecz pan de Tréville jest znakomitym fizjonomistą i ocenia ludzi z pierwszego wejrzenia, a wskutek tej oceny umieścił pana w pułku szwagra swojego, pana Des Essarts, pozwalając ci się spodziewać, iż niedługo wstąpisz do muszkieterów.

— Wasza Eminencja jest doskonale powiadomiony — rzekł d'Artagnan.

— Od owego czasu miałeś przeróżne zdarzenia: przechadzałeś się poza zabudowaniami Chatreux w dniu, kiedy byłoby stokroć lepiej, abyś się tam nie znajdował; następnie wraz z przyjaciółmi odbyłeś podróż do wód w Forges; towarzysze zostali po drodze, pan pojechałeś dalej. Nic dziwnego, ważne sprawy powoływały cię do Anglji...

— Eminencjo! — rzekł d'Artagnan zmieszany — jeździłem...

— Na polowanie do Windsoru, czy dokądindziej, nikomu nic do tego... Ja wiem wszystko, mój panie, bo powinienem wiedzieć. Po powrocie przywołany zostałeś przed oblicze znakomitej osoby i miło mi wiedzieć, że zachowujesz pamiątkę, jaką ci dała...

D'Artagnan dotknął ręką djamentu, który dostał od królowej, i odwrócił go szybko; zapóźno jednak.

— Nazajutrz odwiedził cię pan Cavors — ciągnął dalej kardynał — i prosił pana, abyś przyszedł do mojego pałacu, nie posłuchałeś go i bardzo źle zrobiłeś...

— Eminencjo, obawiałem się... zdawało mi się, żem zasłużył na niełaskę Waszej wielebności.

— A to za co, mój panie?... za to, żeś słuchał rozkazu przełożonych i wypełnił go ze sprytem i odwagą, na jaką możeby się nie zdobył nikt inny na twojem miejscu? zasłużyć miałeś na moją niełaskę, gdy jesteś pochwały jedynie godzien!... Ja tylko nieposłusznych karzę, a nie takich, jak pan, co słuchają... zanadto nawet słuchają... A na dowód, wspomnij datę dnia, w którym wzywałem ciebie, i poszukaj w pamięci, co nastąpiło zaraz wieczorem...

— Tak, prawda, przypominam sobie, tego wieczora właśnie uwieziono panią Bonacieux. — D‘Artagnan zadrżał; przyszło mu na pamięć, że przed pół godziną nieszczęśliwa kobieta była blisko niego, przemknęła, jak widmo, gnane z miejsca na miejsce przez tego samego człowieka, wszechmogącego.

— Nakoniec — prawił dalej kardynał — ponieważ nie słyszałem nic o panu od niejakiego czasu, zapragnąłem wiedzieć, co porabiasz. Nadto należy mi się niejaka wdzięczność od pana; zauważyłeś pewnie, jak we wszystkich okolicznościach miano wzgląd dla ciebie…

D‘Artagnan ukłonił się z uszanowaniem.

— Otóż — mówił dalej kardynał — nie pochodziło to jedynie z poczucia naturalnego słuszności, lecz jeszcze z powodu planu, jaki nakreśliłem sobie co do pana…

D‘Artagnan, słuchając, nie mógł wyjść z podziwienia.

— Chciałem przedstawić ci plan mój tego właśnie dnia, w którym po raz pierwszy wzywałem pana; nie stawiłeś się, jak wiesz… Masz szczęście, że przez opóźnienie nic nie tracisz, bo dziś dowiesz się o wszystkiem. Usiądź pan, proszę, tu przedemną, panie d‘Artagnan; zanadto dobrym jesteś szlachcicem, aby słuchać, stojąc…

Kardynał wskazał młodzieńcowi krzesło, a ten tak był zdumiony tem, có nastąpiło, że, aby usiąść, czekał znaku drugiego.

— Jesteś odważny, panie d‘Artagnan — ciągnął kardynał — a co więcej, jesteś przezorny. Lubię ludzi z głową i sercem; nie przerażaj się — mówił z uśmiechem — ludźmi z sercem nazywam odważnych, nieustraszonych; lecz uważaj, co powiem: pan, chociaż młody i zaledwie w świat wchodzący, masz już potężnych nieprzyjaciół: jeżeli strzec się nie będziesz, zgubią cię napewno!…

— Niestety! Eminencjo — odparł młodzieniec — przyjdzie im to z łatwością, albowiem silni są i liczni, gdy ja sam tylko jeden!

— Tak, to prawda; lecz chociaż sam jesteś, dokonałeś już wiele i dokażesz więcej, nie wątpię o tem… Jednakże sądzę, że potrzebujesz przewodnika w karjerze awanturniczej, jaką sobie obrałeś, bo, jeżeli się nie mylę, przybyłeś do Paryża, powodowany zuchwałą myślą zrobienia majątku?

— Jestem w wieku szalonych nadziei, Eminencjo — rzekł d‘Artagnan.

— Szalone nadzieje są tylko dla głupców, a ty, mój panie, masz głowę nie dla proporcji. Cóżbyś powiedział naprzykład o stopniu chorążego w gwardji mojej, a po kampanji o dowództwie pułku?…

— O!… Eminencjo!

— Przyjmujesz, wszak prawda?

— To jest... Eminencjo... — bąkał d'Artagnan, pomieszany.

— Jakto! odmawiasz?... — zawołał zdziwiony kardynał.

— Służę w gwardji Jego Królewskiej Mości, Eminencjo, i nie mam powodu być niezadowolonym.

— Zdaje mi się — mówił kardynał — iż gwardja moja jest także gwardją królewską, i że kto tylko służy w armji francuskiej, przez to samo służy królowi.

— Wasza Eminencja źle pojął moje słowa.

— Pragniesz znaleźć powód, wszak prawda? Otóż jest: awans, kampanja, jaka się zapowiada, sposobność, jaką ci podaję, i masz już tłumaczenie przed światem; a dla ciebie samego — konieczność protekcji silnej i pewnej; albowiem potrzeba, abyś wiedział, mości d'Artagnanie, że ciężkie skargi na ciebie doszły uszu moich, wiem, iż nie wszystek czas twój w dzień a także i w nocy poświęcasz służbie króla...

D'Artagnan milczał; zaczerwienił się tylko okropnie.

— W dodatku — ciągnął kardynał, kładąc rękę na plice papierów — czytałem właśnie sprawozdanie, tyczące się pana, lecz, przed ukończeniem, zapragnąłem pomówić z tobą. Wiem, iż jesteś odważny i zdecydowany na wszystko, a postępowanie twoje, pod dobrym kierunkiem, zamiast cię na złą sprowadzić drogę, może ci zapewnić przyszłość świetną. Zastanów się tedy dobrze i zdecyduj się od razu.

— Dobroć Waszej Eminencji przejmuje mnie wdzięcznością głęboką, a poznając wielkość duszy jego, czuję się, jak robak, pełzający po ziemi; lecz ponieważ Wasza łaskawość pozwala mi mówić otwarcie...

Tu się zatrzymał.

— Tak, proszę i pozwalam, mów szczerze...

— A więc powiem Waszej Eminencji, że wszyscy moi przyjaciele służą w muszkieterach i w gwardji królewskiej, nieprzyjaciele zaś, jakimś fatalnym trafem, znajdują się w służbie Waszej Eminencji; byłbym zatem źle przyjęty przez jednych i niedobrze widziany przez drugich, gdy bym przyjął to, co mi ofiarowują tak łaskawie.

— Czyżbyś uważał, iż zamało ci daję według wartości twojej, mój panie? — rzekł kardynał pogardliwie.

— Przeciwnie!... Wasza wielebność jest stokroć lepszy dla mnie, niż zasłużyłem. Idziemy oblegać Roszellę, tam będę walczył pod okiem Waszej Eminencji, i jeżeli będę miał szczęście sprawiać się w sposób, który zwróci Jego uwagę, to po wojnie będę przynajmniej posiadał jakieś prawo do łaski, co zarazem usprawiedliwi odznaczenie,

jakiem obecnie chce mnie Wasza Eminencja zaszczycić. Wszystko powinno mieć swój czas: może później zdobędę prawo oddania się sam na usługi, gdy dzisiaj wyglądałoby, jak gdybym się sprzedał.

— To znaczy, że nie chcesz mi służyć, mój panie — rzekł kardynał tonem oburzonym, w którym jednak czuć było szacunek — zostań więc wolny i zachowaj swoją nienawiść i sympatje...

— Eminencjo!...

— Dobrze, dobrze — przerwał kardynał — nie mam żalu do pana; pojmujesz jednak, że dość sprawia kłopotu bronienie swoich przyjaciół i wynagradzanie ich... jednak dam ci pożyteczną radę: strzeż się i myśl o sobie, panie d'Artagnan, albowiem z chwilą, gdy wypuszczę cię z pod mojej opieki, życie twoje szeląga nie będzie warte.

— Będę bacznym, Eminencjo — odparł gaskończyk z dumną pewnością siebie.

— Pamiętaj zaś w chwili nieszczęścia — rzekł Richelieu z dziwnym akcentem — że to ja sam ciebie szukałem i że robiłem, co było w mojej mocy, aby cię to nieszczęście ominęło.

— Cobądź się stanie — rzekł d'Artagnan, kładąc rękę na piersiach i kłaniając się — będę wdzięcznym do śmierci Waszej Eminencji za to, co obecnie dla mnie raczył uczynić.

— Zatem, jak już powiedziałem, panie d'Artagnan, zobaczymy się po skończonej kampanji; będę cię miał na oku, bo i ja się tam udaję — ciągnął kardynał, wskazując ręką pyszną zbroję, którą przywdziać zamierzał — a po powrocie porachujemy się!...

— A! Eminencjo! — zawołał d'Artagnan — oszczędź mi swojej niełaski; pozostań bierny, jeżeli raczysz uznać, iż postępuję obecnie, jak uczciwy człowiek.

— Młodzieńcze — rzekł Richelieu — jeżeli będę mógł raz jeszcze powtórzyć to, co dziś słyszałeś, przyrzekam, że ci to powiem.

Ostatnie słowa kardynała wyrażały okrutną wątpliwość; przeraziły też d'Artagnana więcej, niż groźba, bo były niejako przestrogą. Kardynał widocznie starał się uchronić go od grożącego niebezpieczeństwa... Otworzył usta, chciał odpowiedzieć, lecz Richelieu skinął ręką wyniośle i pożegnał.

D'Artagnan wyszedł; lecz na progu zachwiał się i mało brakowało, ażeby się nie cofnął. Wspomniał jednak poważną postać Athosa; gdyby się związał z kardynałem, gdyby przyjął, co mu proponował, Athos rękiby mu nie podał... nie chciałby znać go więcej.

Ta obawa jedynie powstrzymała go; taki to jest wpływ rzetelnie wielkiego charakteru na otaczających.

Młodzieniec wyszedł temi samemi schodami, które przebył przed godziną; zastał przed bramą Athosa i czterech oczekujących na niego muszkieterów, bardzo już zniecierpliwionych.

Uspokoił ich paru słowami, a Planchet pobiegł donieść innym posterunkom, że nie potrzebują pilnować dłużej, ponieważ d'Artagnan zdrów i cały wyszedł z pałacu Kardynalskiego.

Gdy już znaleźli się u siebie, Athos, Aramis i Porthos zapytali o powód tego nadzwyczajnego wezwania; d'Artagnan opowiedział jedynie, że pan de Richelieu kazał się stawić dla zaproponowania mu służby w gwardji, ze stopniem chorążego, lecz on nie przyjął tej łaski.

— Dobrze zrobiłeś — zawołali razem Porthos i Aramis. Athos zadumał się głęboko i milczał. Lecz gdy zostali sami, powiedział:

— Postąpiłeś, jakieś był powinien, d'Artagnanie, lecz kto wie, może źle uczyniłeś...

D'Artagnan westchnął!... słowa przyjaciela odpowiadały myśli jego tajemnej; coś mu mówiło, że wielkie nieszczęścia czekają go w przyszłości.

Cały następny dzień upłynął na przygotowaniach do wymarszu; d'Artagnan poszedł pożegnać pana de Tréville.

Wierzono jeszcze, że rozłączenie gwardji od muszkieterów będzie chwilowe jedynie; król tegoż dnia miał odbyć narady w parlamencie, a nazajutrz także wyruszyć.

Pan de Tréville zapytał tylko d'Artagnana, czy może mu być w czem pomocny, na co tenże z dumą odrzekł, iż ma już wszystko, co potrzeba.

W nocy zebrali się wszyscy gwardziści pana Desessarts i muszkieterzy pana de Tréville, ci, których przyjaźń łączyła. Rozstawano się z nadzieją zobaczenia, kiedy się Bogu spodoba i jeżeli się Bogu spodoba.

Bawiono się wesoło, hałaśliwie, noc zeszła szybko, bo wiadomo, że tylko nadzwyczajną hulanką i oddaniem się zabawie zagłuszyć można niepokój wewnętrzny.

Nazajutrz rano na pierwszy odgłos trąbki, przyjaciele rozłączyli się: muszkieterowie pośpieszyli do pałacu pana de Tréville, gwardziści do pana Desessarts. Dowódcy następnie poprowadzili swoje pułki do Luwru, gdzie król miał przegląd uczynić.

Król był smutny i cierpiący, co mu odjęło niemało rycerskiej postawy. Rzeczywiście w przeddzień dostał napadu febry podczas narad parlamentarnych, właśnie gdy sprawował urząd najwyższego sędziego sprawiedliwości.

Pomimo to zdecydowany był wyruszyć za armją wieczorem i teraz uparł się zrobić przegląd osobiście, spodziewając się pokonać chorobę ruchem i zajęciem.

Po przeglądzie jedynie gwardja wyruszyła, muszkieterzy mieli dopiero iść razem z królem, co pozwoliło Porthosowi przejechać się jeszcze w pysznem swojem umundurowaniu po ulicy Niedźwiedziej.

Notarjuszowa oglądała go jeszcze, paradującego w nowym mundurze i na pięknym rumaku. Nie mogła obojętnie patrzeć, jak mijał jej dom, zanadto go kochała; dała znak, aby zsiadł z konia i przyszedł do niej. Porthos wyglądał wspaniale; ostrogi dzwoniły, pancerz błyszczał a szpada zuchwale obijała się po łydkach. Tym razem dependenci nie zdradzali ochoty do śmiechu; Porthos miał minę, jakby za najmniejsze ubliżenie uszy chciał obcinać.

Nasz piękny muszkieter wprowadzony został do pana Coquenard, którego małe siwe oczki paliły się złością na widok świetnego kuzynka, błyszczącego nowym strojem. Pewne przypuszczenie jednak pocieszało go wewnętrznie; mówiono, że kampanja będzie ciężka, wojna krwawa: miał zatem błogą nadzieję, że Porthos żywy nie powróci.

Porthos nagadał masę grzeczności panu Coquenard i pożegnał się z nim serdecznie; pan Coquenard ze swej strony życzył mu wszelkich możliwych pomyślności. Co się tyczy pani Coquenard, nie była ona w stanie zapanować nad wzruszeniem i zalała się łzami; lecz nikt nie ośmielił się fałszywie tłumaczyć tej boleści, wiedziano bowiem, że bardzo kocha krewnych swoich, z powodu których nieraz ciężkie utarczki staczała z mężem.

Prawdziwe pożegnanie nastąpiło dopiero w pokoju pani Coquenard a było rozdzierające...

Dopóki tylko notarjuszowa mogła dojrzeć kochanka, dawała mu znaki pożegnania chustką białą, wychylając się oknem z taką nierozwagą, jakby miała zamiar rzucić się z wysokości i podążyć za najmilszym. Porthos przyjmował te oznaki czułości, jak człowiek przywykły do podobnych objawów. Dopiero, zawracając przy końcu ulicy, uniósł kapelusz w górę, na znak pożegnania.

Aramis inaczej używał chwil ostatnich: pisał długi list. Do kogo? Nikt o tem nie wiedział. W pokoju sąsiednim Katty, która tego jeszcze wieczora wyjeżdżała do Tours, oczekiwała na rozkazy.

Athos zaś małemi haustami wypróżniał ostatnią butelkę wina hiszpańskiego. Przez ten czas d'Artagnan maszerował w szeregach swojego pułku.

Na przedmieściu św. Antoniego odwrócił się i patrzył wesoło na Bastylję; lecz ponieważ Bastylji tylko się przypatrywał, nie widział milady, która, siedząc na pysznym koniu izabelowatym, wskazywała go palcem dwom ludziom podejrzanej powierzchowności, a ci zbliżyli się do szeregów, aby mu się dobrze przypatrzeć.

Nareszcie pokazali oczami d'Artagnana, a milady skinęła głową, że to właśnie ten sam. Następnie pewna, że się nie pomylą przy wykonaniu jej rozkazów, zacięła konia i znikła, jak widzenie.

Dwaj mężczyźni udali się za pułkiem; przy końcu przedmieścia św. Antoniego, dosiedli koni osiodłanych które, oczekując na nich, trzymał za uzdy służący bez liberji.

Rozdział XIV. Oblężenie Roszelli

Oblężenie Roszelli było jednem z najdonioślejszych wydarzeń politycznych panowania Ludwika XIII i jednem z największych przedsięwzięć wojennych kardynała. Nie od rzeczy będzie powiedzieć słów parę o owem oblężeniu; wiele szczegółów z epoki tej wiąże się ściśle z historją, którą opowiedzieć zamierzyliśmy.

Widoki polityczne, jakie kardynał miał na celu, przedsiębiorąc oblężenie, były wielkiego znaczenia.

Z pomiędzy miast oddanych przez Henryka IV Hugonotom w posiadanie, jako miejsca obronne i pewne, pozostała w ich ręku jedynie Roszella. Chodziło więc o odebranie tego ostatniego posterunku, o wytępienie gniazda kalwinizmu, żywiołu niebezpiecznego, z którym łączyły się nieustannie fermenty buntownicze, lub zbiegi z wojsk cudzoziemskich. Hiszpanie, Anglicy, Włosi, awanturnicy wszelkich narodowości, błędni rycerze, należący do sekt przeróżnych, stawali na pierwsze wezwanie pod sztandary protestanckie, organizując się w rozległe stowarzyszenie, którego odnogi, rozbiegały się dowolnie po wszystkich punktach Europy.

Roszella nabrała nowego znaczenia wskutek upadku innych miast kalwińskich, była zatem ogniskiem niezgody i wygórowanych ambicyj. W dodatku port Roszelli, stanowił jedyne wejście otwarte dla Anglików do królestwa francuskiego. Otóż, zamykając go przed nosem Anglji, odwiecznej nieprzyjaciółki Francji, kardynał kończył dzieło rozpoczęte przez Joannę d'Arc i księcia Gwizjusza.

To też Bassompierre, który był jednocześnie protestantem i katolikiem — protestantem z przekonania, a katolikiem jako komandor orderu Świętego Ducha; Bassompierre, Niemiec z urodzenia, a Francuz sercem, Bassompierre tedy, który miał

dowództwo wyłączne przy oblężeniu Roszelli, mówił do magnatów protestanckich, tak samo, jak on, myślących:

— Zobaczycie, panowie, że będziemy tak głupi, iż zdobędziemy Roszellę!

Bassompierre miał rację; bombardowanie wyspy Ré pociągnęło za sobą prześladowanie protestantów w Cevennes; zdobycie Roszelli było przedmową edyktu Nantejskiego. Lecz, jak powiedzieliśmy wyżej, obok widoków ministra, wyrównywających i upraszczających położenie, których ocena do historji należy, kronikarz zmuszony jest zaznaczyć pewne dążenia człowieka zakochanego i zazdrosnego rywala.

Richelieu, jak wszystkim wiadomo, kochał szalenie królowę; czy miłość jego miała poprostu cel polityczny, czy była jedną z tych głębokich namiętności, jakie wzbudzała Anna Austrjacka w otaczających, nie możemy twierdzić stanowczo; w każdym razie wiadomo z początków naszego opowiadania, że Buckingham odniósł nad nim w miłości zwycięstwo, a w kilku okolicznościach, mianowicie z powodu zapinek brylantowych, dzięki poświęceniu trzech muszkieterów i odwadze niezrównanej d'Artagnana, zadrwił z kardynała okrutnie.

Chodziło zatem Richelieumu nietylko o uwolnienie Francji od wroga, lecz i o zemstę nad rywalem szczęśliwym; w końcu zemsta powinna była być straszna i głośna, godna człowieka dzierżącego w ręku, jako szpadę bojową, potęgę królestwa całego.

Richelieu wiedział dobrze, że, walcząc z Anglją, walczy z Buckinghamem; że, zwyciężywszy Anglję, zwycięży Buckinghama, nakoniec, iż, gdy upokorzy Anglję wobec Europy, upokorzy Buckinghama w oczach królowej.

Buckingham zaś, mając przedewszystkiem na względzie honor Anglji, żywił jednak obok tego podobne nadzieje, jak kardynał; on także gonił za zemstą osobistą. Pod żadnym pozorem nie mógł powrócić do Francji w roli ambasadora, chciał zatem wejść, jako zwycięsca.

Dlatego stawką prawdziwą tej wielkiej gry, jaką dwa najpotężniejsze mocarstwa rozgrywały pomiędzy sobą dlaprzyjemności dwóch ludzi zakochanych, były piękne oczy Anny Austrjackiej.

Pierwsze zwycięstwo było po stronie księcia Buckinghama: przybył znienacka pod wyspę Ré, prowadząc dziewięćdziesiąt okrętów i dwadzieścia tysięcy załogi, zaskoczył niespodzianie hrabiego de Toirac, rządzącego wyspą w imieniu króla i po krwawej utarczce, wylądował.

Hrabia de Toirac zamknął się w cytadeli Św. Marcina i osadził setką ludzi małą forteczkę, nazwaną La Prée.

Wypadek ten przyspieszył decyzję kardynała; nie czekając, zanim król i on sam będą mogli objąć dowództwo nad oblężeniem Roszelli, co było postanowione oddawna, wyprawił brata królewskiego dla kierowania pierwszemi ruchami wojska i rozkazał ściągać na plac boju wszystkie siły wojenne, jakiemi mógł rozporządzać.

Do jakiego właśnie oddziału, wysłanego, jako straż przednia, należał nasz przyjaciel d'Artagnan.

Król, jak już mówiliśmy, miał podążyć za wojskiem, zaraz po ukończeniu sądów najwyższych; lecz wychodzącego z izby sądowej, 23 lipca, napadła febra trawiąca; pomimo to wyjechał. Niedługo jednak był w stanie walczyć z niemocą, a czując pogorszenie gwałtowne, z wielkim żalem zatrzymał się w Villeroi. Gdzie król stanął, stanęli i muszkieterowie; wypadło stąd, że d'Artagnan, który był poprostu w gwardji, odłączył się, chwilowo przynajmniej, od swoich dobrych przyjaciół Athosa, Porthosa i Aramisa. Rozłąka ta, która była dla niego przykrością jedynie, byłaby się stała niepokojem prawdziwym, gdyby mógł był przeczuć, jakie straszne groziły mu niebezpieczeństwa.

Przybył jednak bez żadnego wypadku do obozu naprzeciw Roszelli, około 10 września 1627 roku.

Wszystko tam znajdowało się w tym samym stanie: książę Buckingham i jego Anglicy byli panami wyspy Ré, oblegali w dalszym ciągu, chociaż bez skutku, cytadelę św. Marcina i forteczkę La Prée, a pierwsze kroki nieprzyjacielskie wobec Roszelli rozpoczęto, z powodu fortu, wystawionego z rozkazu księcia d'Angoulême pod bokiem miasta. Gwardja pod dowództwem pana Desessarts obozowała w Minimes.

D'Artagnan, — zajęty, jak wiemy, myślą — aby jak najprędzej przejść do kompanji muszkieterów, niebardzo przyjaźnił się z kolegami; teraz więc był samotny i oddany na pastwę rozmyślań. A nie były to dumania wesołe: od dwóch lat, odkąd przybył do Paryża, plątał się nieustannie w sprawy publiczne; jego zaś interesy osobiste nie posunęły go naprzód ani w miłości, ani w bogactwie.

Jedyna kobieta, jaką ukochał, była to pani Bonacieux i ona właśnie zniknęła bez śladu i dotąd nie mógł dojść, co się z nią stało. Co do majątku, znaczenia... jakże się starał o te dobra ziemskie?... oto on, chudopachołek, zrobił sobie wroga z kardynała, to jest z człowieka, przed którym drżało królestwo potężne, począwszy od króla...

Ten człowiek mógł go na proch zetrzeć, a jednak tego nie uczynił: dla umysłu, przewidującego, jaki posiadał d'Artagnan, pobłażliwość ta była furtką, przez którą spoglądał w lepszą przyszłość.

Następnie zrobił sobie innego wroga, nie tak strasznego, jak myślał, lecz pomimo to czuł instynktownie, że nie można nim było pogardzać: wrogiem tym była milady.

Wzamian zdobył protekcję i życzliwość królowej.... ale życzliwość królowej w owym czasie była to jedna więcej przyczyna do prześladowania, a jej protekcja, jak wiadomo, bardzo źle osłaniała, czego dowodem był Chalais i pani Bonacieux.

Z tego więc, co dotąd zyskał, największą wartość — pięć a może sześć tysięcy liwrów — miał brylant, jaki błyszczał mu na palcu; a djament ten, jeżeli d'Artagnan w projektach ambitnych zechce go zachować, aby zapewnić sobie w przyszłości wdzięczność królowej, posiadał, jako że nie mógł być sprzedany, wartość tego kamyka, który wyczuwał pod nogą.

Mówimy tu o kamyku pod nogą, ponieważ d'Artagnan rozmyślał, spacerując samotnie po małej dróżce, wiodącej z obozu do wioski d'Angoutin. Rozmyślania te zawiodły go dalej, niż sądził; dzień miał się ku schyłkowi, gdy nagle, przy ostatnim błysku zachodzącego słońca, zdało mu się, że widzi poza płotem błyszczącą lufę rusznicy.

D'Artagnan posiadał oko wprawne, a umysł nadzwyczaj bystry, zrozumiał odrazu, że rusznica nie przyszła tu sama, a ten, co ją trzyma, nie schował się za płot w zamiarach przyjacielskich. Postanowił zatem uciekać na czyste pole, gdy oto z drugiej strony drogi, z po za skały, ukazała się druga rusznica. A więc była to zasadzka!

Młody człowiek rzucił okiem na pierwszą lufę i dostrzegł z niemałem przerażeniem, iż zniżała się w kierunku jego osoby; w chwili, gdy ujrzał, że się zatrzymała, padł plackiem na ziemię. W tejże chwili rozległ się strzał, a kula świsnęła mu ponad głową.

Nie było czasu do stracenia, d'Artagnan zerwał się na nogi, a jednocześnie kula z drugiej rusznicy zaryła się w ziemię akurat w tem samem miejscu, gdzie leżał.

D'Artagnan nie był z tych junaków, którzy giną marną śmiercią, byle tylko powiedziano o nich, że nigdy strachu nie znali; w dodatku cóż tu znaczyła odwaga?... D'Artagnan wpadł widocznie w zasadzkę, z góry ułożoną.

— Jeżeli trzeci strzał padnie — mówił w duchu, — już będzie po mnie.

I wziąwszy natychmiast nogi za pas, zmykał w kierunku obozu, z szybkością gaskończyków, sławnych i znanych ze zręczności w biegu. Pomimo jednak gwałtownego pośpiechu pierwszy ze strzelających, mając czas do powtórnego nabicia

fuzji, posłał mu drugi strzał tak celny, iż kula przeszyła kapelusz i wyrzuciła w powietrze na jakie dziesięć stóp odległości.

Ponieważ d‘Artagnan nie posiadał drugiego nakrycia głowy, podniósł go zatem z ziemi i, nie ustając w biegu, dopadł zdyszany i blady okrutnie mieszkania swego, usiadł, nic nie mówiąc nikomu, i począł nanowo rozmyślać. Zdarzenie to mogło mieć trzy przyczyny.

Pierwszą i najprawdopodobniejszą mogła być wycieczka oblężonych, którym uśmiechało się położenie trupem żołnierza z gwardji Jego Królewskiej Mości, boć to zawsze mniej o jednego nieprzyjaciela, a w dodatku ten nieprzyjaciel mógł posiadać woreczek, dobrze złotem nadziany.

D‘Artagnan zdjął kapelusz, opatrzył dziurę od kuli i pokiwał głową. Kula nie wypadła z muszkietu: była to kula z rusznicy; trafny strzał dawał do myślenia, że broń była specjalnie wybrana: zatem to nie wojenna zasadzka, ponieważ kula nie zdradzała muszkietu, używanego w wojsku.

Mogło to pochodzić także z polecenia kardynała. Pamiętamy, że w chwili, gdy w ostatnim odblasku słońcaspostrzegł lufę, skierowaną ku sobie, rozmyślał właśnie nad cierpliwością, okazywaną mu przez Eminencję.

Lecz d‘Artagnan odpędził tę myśl… Wobec ludzi, których mógł dosięgnąć jednem poruszeniem ręki, kardynał rzadko używał takich środków.

Mogła to być jeszcze zemsta milady.

Było to najprawdopodobniejsze… Napróżno starał się przypomnieć sobie fizjognomje lub ubranie morderców; tak szybko uciekał przed nimi, że nic a nic nie zauważył.

— O! przyjaciele moi, najmilsi przyjaciele — szeptał d‘Artagnan — gdzież jesteście? jakże mi was brak!

Bardzo złą noc miał d‘Artagnan. Po kilka razy zrywał się i chwytał szpadę w przekonaniu, że jakiś człowiek zbliża się do łóżka, by go przebić sztyletem. Dzień zaświtał jednakże, ciemności rozproszyły się, nie sprowadziwszy żadnego wypadku. D‘Artagnan czuł dobrze, że, co się odwlekło, nie minęło bezpowrotnie.

Cały dzień nie opuszczał mieszkania: tłumaczył się przed sobą samym, że czas jest brzydki.

Nazajutrz o dziewiątej zrana uderzono w bębny. Książę Orleański objeżdżał stanowiska. Gwardja stanęła pod bronią, d‘Artagnan zajął miejsce w szeregu.

Książę przesunął się wolno przed frontem armji; następnie wszyscy wyżsi oficerowie zbliżyli się, aby mu pokłon oddać; pan Desessarts, dowódca gwardji, podjechał wraz z innymi.

Po niejakiej chwili d'Artagnan spostrzegł, iż pan Desessarts daje mu znak, by się zbliżył ku niemu; w obawie pomyłki — czekał jednak powtórnego znaku od swego dowódcy; gdy jednak skinienie się powtórzyło, wystąpił z szeregu i stawił się po rozkazy.

— Książę — rzekł pan Desessarts — potrzebuje ludzi odważnych do zlecenia niebezpiecznego, które okryje chwałą tych, co je wykonają; dałem ci zatem znak, abyś się zbliżył i był w pogotowiu.

— Dziękuję, mój dowódco! — odrzekł d'Artagnan, który niczego tak nie pragnął, jak możności odznaczenia się pod okiem naczelnego wodza.

Stało się, że z Roszelli uczyniono wycieczkę pośród nocy i odebrano bastjon, zdobyty przez królewskich przed dwoma zaledwie dniami, chodziło więc o to, aby podsunąćrekonesans pod same mury dla zbadania, czy bastjon ów jest obsadzony wojskiem.

Książę, nie czekając długo, odezwał się głosem donośnym:

— Potrzebuję do tej sprawy trzech lub czterech ochotników, dowodzonych przez człowieka pewnego.

— Jeżeli idzie o kogoś pewnego, mam takiego pod ręką do usług waszej książęcej mości, — rzekł pan de Desessarts, wskazując d'Artagnana — co do czterech lub pięciu ochotników, niech tylko książę miłościwy da poznać swe zamiary, a ludzi nie zbraknie.

— Wzywam czterech ochotników za sobą, niech się stawią i dadzą zabić razem ze mną! — wyrzekł d'Artagnan, podnosząc szpadę.

Dwóch kolegów jego z gwardji przyskoczyło natychmiast, a dwóch żołnierzy przyłączyło się do nich; liczba wymagana była już gotowa.

D'Artagnan odmówił innym zgłaszającym się, nie chcąc czynić krzywdy tym, którzy mieli pierwszeństwo za sobą.

Nie było wiadomo, czy po wzięciu bastjonu roszelczycy go opuścili, czy zostawili w nim załogę; trzeba zatem było zbadać pozycję zbliska i dowiedzieć się prawdy.

D'Artagnan puścił się z czterema towarzyszami i szedł pod osłoną okopów: dwaj gwardziści szli obok niego, a żołnierze nieco w tyle.

Tak dotarli, kryjąc się w dołach, na jakie sto kroków od bastjonu! Wtedy d'Artagnan odwrócił się i spostrzegł że dwaj żołnierze zniknęli. Pomyślał, iż ze strachu pozostali za wałem i szedł dalej, nie oglądając się na nich.

Minąwszy kontr-eskarpę, znaleźli się prawie o sześćdziesiąt kroków od bastjonu. Nikogo widać nie było, bastjon stał cichy i wydawał się pusty.

Trzej towarzysze stanęli na tej straconej placówce i namyślali się, czy iść dalej, gdy wtem chmura dymu zakryła olbrzyma kamiennego i kilkanaście kul gwizdnęło koło uszu d'Artagnana i jego kolegów. Dowiedzieli się więc, czego chcieli, bastjon miał załogę. Dłużej stać w miejscu tak niebezpiecznem nie byłoby wcale roztropnie ani potrzebnie; d'Artagnan z towarzyszami odwrócił się, by dokonać odwrotu, bardzo podobnego do ucieczki.

Dopadli tak do wału, mającego ich zasłonić, gdy wtem jeden z gwardzistów zwalił się na ziemię: kula pierś muprzeszyła. Drugi, dotąd nietknięty, uciekał w kierunku obozu.

D'Artagnan nie chciał opuścić kolegi i pochylił się, aby go podnieść i zabrać do swoich, lecz w tej chwili strzelono dwa razy; jedna kula roztrzaskała głowę gwardzisty rannego, druga spłaszczyła się o skałę, przeleciawszy o dwa cale nad głową d'Artagnana.

Młodzieniec odwrócił się szybko. Atak nie pochodził z bastjonu, zakrytego wyskokiem wału; przyszli mu na myśl dwaj żołnierze, którzy zniknęli i przypomniał sobie morderców onegdajszych... postanowił przekonać się, co ma o tem sądzić, i upadł na ciało towarzysza, jak nieżywy.

Dwie głowy ukazały się ponad opuszczoną fortyfikacją, znajdującą się o jakie trzydzieści kroków: byli to owi dwaj żołnierze. D'Artagnan nie pomylił się. Ci dwaj ludzie poszli za nim z myślą zabójstwa, spodziewając się, iż śmierć młodzieńca policzona zostanie na karb nieprzyjaciela.

Ponieważ jednak mógł być jedynie ranny, a potem donieść o ich zbrodni, zbliżyli się, aby go dobić. Na szczęście, zwiedzeni podejściem d'Artagnana, zaniedbali koniecznej ostrożności i nie nabili powtórnie rusznic.

Gdy znaleźli się już o dziesięć kroków, d'Artagnan, który, padając, trzymał silnie szpadę w ręce, zerwał się niespodzianie i jednym skokiem był już koło nich.

Podli zbóje zrozumieli, że, gdyby uciekli do obozu, nie położywszy trupem młodzieńca, nie omieszkałby on wydać ich sprawki, postanowili więc natychmiast przejść do nieprzyjaciela. Pierwszy z nich ujął fuzję za lufę i wywinął nią, jak maczugą. Wymierzył okrutny cios w samą głowę d'Artagnana, lecz chybił, ponieważ tenże umknął szczęśliwie na stronę, ale ruchem tym dał swobodną drogę bandycie, z czego ten skorzystał i umykał w stronę bastjonu. Ponieważ jednak roszelczycy nie wiedzieli, w

jakich zamiarach człowiek ten do nich przybywa, dali ognia i zabójca padł na ziemię, trafiony kulą, która strzaskała mu ramię.

Gdy się to działo, d'Artagnan pochwycił drugiego żołnierza, atakując go szpadą. Walka trwała krótko; nędznik miał za całą obronę rusznicę nienabitą; szpada gwardzisty, odpierając razy broni nieużytecznej, opuściła sięniespodziewanie i przeszyła na wylot udo mordercy, który upadł niezwłocznie, nie mogąc się na nogach utrzymać.

D'Artagnan przyłożył mu koniec szpady o gardła.

— O! nie zabijaj mnie! — krzyczał zbójca — łaski, łaski, panie oficerze! wszystko panu opowiem!...

— Czy twoja tajemnica warta jest przynajmniej, abym ci życie darował? — zapytał młodzieniec, powstrzymując pchnięcie.

— O! tak, szczególniej dla pana, jeżeli cenisz swe życie, będąc tak piękny i waleczny i mając z tego względu świetną przyszłość przed sobą.

— Nędzniku! — rzekł d'Artagnan — dalej, gadaj prędzej, z czyjego rozkazu chciałeś mnie zamordować?

— Z rozkazu kobiety, której nie znam wcale, lecz którą nazywają milady.

— Mówisz, że jej nie znasz, a skąd wiesz, jak ją nazywają?

— Mój wspólnik znał ją i tak nazywał, bo z nim się ona układała, nie ze mną; ma on nawet list w kieszeni od tej damy, list wielkiego znaczenia dla pana, jak sam opowiadał.

— Dlaczego wziąłeś udział w tym napadzie?...

— Zaproponował mi, abyśmy we dwóch podjęli się tej roboty i przystałem...

— Cóżeście dostali za tę szlachetną wyprawę?

— Sto luidorów.

— Wcale nieźle — rzekł młodzieniec, rozweselony — widzę z tego, że coś wart jestem; sto luidorów!... to majątek dla takich nędzników; nie dziwię się też, że przystałeś i przebaczam, lecz pod jednym warunkiem!

— Pod jakim? — zapytał żołnierz niespokojny, widząc, że to jeszcze nie koniec.

— Oto pójdziesz i wyjmiesz list z kieszeni twego kamrata.

— Ależ, panie!... — zakrzyczał bandyta — chcesz mnie zabić, tylko innym sposobem; jak możesz żądać, abym szedł po list pod ogniem bastjonu?...

— Decyduj się i to szybko, bo klnę się na Boga, zginiesz z mojej ręki!...

— Łaski! panie, litości!... w imię młodej damy, którą kochasz... którą masz za umarłą... a która żyje!... — wołał zbójca, podnosząc się na kolana i podpierając ręką, bo siły go opuszczały wraz z utratą krwi.

— Skąd wiesz o kobiecie, którą kocham, kto ci powiedział, że myślę, iż ona nie żyje?...

— To wszystko jest w liście, który mój towarzysz ma w kieszeni

— Widzisz sam, iż muszę ten list posiąść koniecznie: nie ociągaj się zatem, nie wahaj, bo pomimo odrazy, jaką czuję do zmoczenia mej szpady po raz drugi w podłej krwi twojej, przysięgam na honor uczciwego człowieka...

Przy tych słowach d'Artagnan uczynił gest tak groźny, że ranny pomimo osłabienia zerwał się na równe nogi.

— Wstrzymaj się pan! wstrzymaj!... — zawołał, nabierając odwagi pod wrażeniem strachu — pójdę już... pójdę!...

D'Artagnan odebrał broń bandycie, kazał mu stanąć przed sobą i pchnął go w stronę wspólnika, koląc go w plecy końcem szpady.

Straszny był widok nieszczęśliwego, znaczącego śladami krwi drogę przebytą, jak śmierć, bladego, a pomimo to, pragnącego zawlec się niedostrzeżenie do ciała wspólnika zbrodni, rozciągniętego o dwadzieścia kroków.

Trwoga tak okrutna malowała się na twarzy bandyty, zlanej zimnym potem, że d'Artagnan zmiękł i, patrząc na niego z pogardą, zawołał:

— Stój! pokażę ci różnicę pomiędzy człowiekiem odważnym a podłym, jak ty, tchórzem; zostań, ja sam pójdę!..

I krokiem lekkim, baczny na wszystko, obserwując poruszenia nieprzyjaciela i zasłaniając się nierównością gruntu, d'Artagnan dotarł do drugiego żołnierza.

Miał dwa sposoby dojścia do celu: zrewidować mu kieszenie na miejscu, lub zabrać z sobą, czyniąc puklerz z ciała jego i dokonać rewizji pod tą osłoną.

D'Artagnan wybrał drugi sposób: zarzucił zbója oddychającego jeszcze na plecy w chwili właśnie, gdy nieprzyjaciel dał ognia.

Słabe wstrząśnienie, głuchy szmer trzech kul rozdzierających ciało, ostatni jęk i dreszcze konania, dowiodły młodzieńcowi, że ten, który pragnął go zamordować, ocalił mu obecnie życie.

D'Artagnan dostał się napowrót poza wał i cisnął trupa obok rannego, bladego już, jak nieboszczyk.

Natychmiast zajął się rewizją kieszeni, torby skórzanej, worka, w którym widocznie znajdowała się część sumy, jaką zbój otrzymał; kubek na kości do gry, jako też i kości

ponumerowane, stanowiły całą pozostałość po umarłym. Zostawił kubek i kości, gdzie były, cisnął worek rannemu, a sam z niecierpliwością otworzył torbę…

Pomiędzy papierami bez znaczenia odnalazł list następujący, zdobyty z narażeniem życia.

„Ponieważ straciliście ślady kobiety, a ona jest obecnie w klasztorze bezpieczna i spokojna, dokąd nie powinniście byli jej dopuścić, starajcie się przynajmniej nie chybić człowieka, przezemnie wskazanego, w przeciwnym razie, wiecie o tem, że mam rękę długą, nie skryjecie się przede mną, dosięgnę was i drogo zapłacicie za sto luidorów, które otrzymaliście odemnie”. Podpisu nie było.

Jednakże list pochodził widocznie od milady.

Schował go starannie, jako niezbity dowód i, usunąwszy się w miejsce, zakryte przez wał ziemny, począł badać rannego. Ten wyznał mu, iż podjął się wraz z kolegą, tym samym, który oto już zabity, porwać młodą damę, która miała pewnego dnia wyjeżdżać z Paryża rogatką de la Villette, i że, zatrzymawszy się w jakiejś oberży i zabanut, i powóz przejechał, zanim zdążyli na wskazane miejsce.

— Coście zamierzali uczynić z tą nieszczęśliwą? — zapytał d‘Artagnan z sercem ściśnionem.

— Mieliśmy ją odstawić do pałacu na Placu królewskim — odrzekł ranny.

— Tak!… tak!… — mruknął d‘Artagnan — to to samo: mieli ją odwieźć do milady.

Wtedy zrozumiał ze drżeniem, jakie okrutne pragnienie zemsty pchało tę kobietę, aby go zgubić koniecznie, jako i tych, których ukochał, i jak była wtajemniczona w sprawy dworu królewskiego, kiedy potrafiła odkryć wszystko. Zawdzięczała bezwątpienia wiadomości te kardynałowi, swojemu protektorowi.

Lecz pośród tych wszystkich machinacyj, widoczne było, co go przejęło radością prawdziwą, że królowa odkryła nakoniec, w którem więzieniu nieszczęśliwa pani Bonacieux pokutowała za poświęcenie swoje, i wyrwała ją z tej niewoli. I teraz ten bilecik, otrzymany od młodej kobiety, ukazanie się jej na drodze z Chaillot, ukazanie się, podobne do zjawiska błędnego, wszystko to jasne mu się stało.

Od tej chwili, jak to Athos przepowiedział, odnalezienie pani Bonacieux wydało mu się możebne; klasztor to przecie nie żadna forteca niezdobyta!…

Przekonanie to wróciło mu spokój serca i duszy. Nachylił się nad rannym, który śledził niespokojnie przeróżne wrażenia, zmieniające jego oblicze i podał mu rękę.

— No, dalej — rzekł do niego — nie myślę porzucić cię tutaj… Oprzyj się na mnie i wracajmy do obozu.

— Dobrze — odezwał się ranny, nie mogąc pojąć na razie takiej wielkoduszności — ale czy przypadkiem nie każesz mnie tam powiesić?

— Nie, bądź spokojny, masz moje słowo, że oto po raz drugi daruję ci życie.

Zbójca zwlókł się na klęczki i całował na nowo nogi swego wybawiciela. D'Artagnan, nie mając już powodu zostawać dłużej w bliskości nieprzyjaciela, przerwał ten wylew wdzięczności.

Gwardzista, który po pierwszym wystrzale zemknął do obozu, doniósł o śmierci czterech wysłańców. Można wyobrazić sobie zdziwienie i radość ogólną w pułku, gdy d'Artagnan ukazał się zdrów i cały.

Młodzieniec skomponował naprędce historję o przyprowadzonym przez siebie rannym żołnierzu, jakoby przebity został szpadą w niespodzianej wycieczce z bastjonu. Mówił o zgonie drugiego żołnierza i o niebezpieczeństwach, jakie przebyli.

Opowiadanie to przyjęto z uwielbieniem, był to dzień triumfu dla naszego gaskończyka. Cała armja powtarzała szczegóły tej wyprawy od rana do wieczora, a książę orleański winszował mu osobiście.

Nakoniec, ponieważ każdy czyn piękny znajduje nagrodę, zatem postępek d'Artagnana miał takie następstwo, iż przywrócił mu równowagę umysłu i pokój utracony.

W samej rzeczy d'Artagnan uważał się już za zabezpieczonego zupełnie, ponieważ z dwóch wrogów, jeden już nie żył, a drugi obowiązany mu był i wdzięczny, a przez to samo oddany mu wiernie. Spokój ten dowodził jedynie, że d'Artagnan nie znał jeszcze milady.

Rozdział XV. Wino andegaweńskie

Po wieściach prawie beznadziejnych o zdrowiu króla przyszła wiadomość do obozu, jakoby lepiej czuł się cokolwiek; a ponieważ wiedziano, jak pilnie mu było stanąć osobiście na czele wojska, rozpowiadano zatem, że skoro król będzie w stanie wsiąść na konia, wyruszy w drogę natychmiast.

Dotychczas zaś książę brat królewski, wiedząc, że stanowisko jego jest tymczasowe i że lada chwila zastąpi go książę d'Angoulême, Bassompierre lub Schomberg, którzy już nawet kłócili się o dowództwo, książę tedy nie działał prawie wcale. Tracił czas na małe podjazdy, bojąc się ryzykować i coś przedsięwziąć, aby raz przecie wypędzić

Anglików z wyspy Ré, gdzie szturmowali ciągle do cytadeli Ś-go Marcina i forteczki La Prée, gdy Francuzi oblegali Roszellę.

D'Artagnan, jak wspominaliśmy, uspokoił się prawie zupełnie, i, jak to zwykle bywa po niebezpieczeństwie minionem, zdawało mu się, że ono nigdy już nie powróci. Została mu tylko jedna troska i to niemała, brak wiadomości o przyjaciołach.

Pewnego poranku, w miesiącu listopadzie znalazł rozwiązanie zagadki milczenia towarzyszy w liście datowanym z Villeroi:

„Panie d'Artagnan!

Panowie Athos, Porthos i Aramis po sutym bankiecie, wyprawionym u mnie, podchmieliwszy sobie nad miarę, w tak głośny sposób dokazywali, iż naczelnik policji królewskiej, człowiek nader surowy, zmuszony był zamknąć ich na kilka dni w areszcie. Ja zaś spełniam polecenie, i jakie mi zostawili, i odsyłam panu dwanaście butelek wina andegaweńskiego, pochodzącego z mojej piwnicy, które pańscy przyjaciele nadzwyczaj polubili, i pragną, abyś wypił za ich zdrowie to ulubione wino.

Co zrobiwszy, pozostaję z szacunkiem pańskim sługą uniżonym i posłusznym

Godeau,

oberżysta i dostawca panów Muszkieterów".

— A to wybornie! — zawołał d'Artagnan — kochani przyjaciele! myślą o mnie przy zabawie, tak jak ja o nich w zmartwieniu. Z pewnością, wypiję za ich zdrowie z całego serca; tylko nie będę pił sam...

Pobiegł do dwóch gwardzistów, z którymi był bardziej zaprzyjaźniony, aby ich zaprosić na wyśmienite wino andegaweńskie, przywiezione tylko co z Villeroi.

Jeden z kolegów był już zaproszony na wieczór, drugi znów na dzień następny; zebranie zatem koleżeńskie oznaczono aż na trzeci dzień.

D'Artagnan, powróciwszy, odesłał swoje dwanaście butelek do bufetu gwardzistów, z poleceniem, aby je schowano starannie; w dzień uroczystości, ponieważ obiad był zamówiony na godzinę dwunastą, wysłał już o dziewiątej rano Plancheta, aby wszystko przygotował.

Planchet, dumny z wyniesienia do godności marszałka dworu, starał się urządzić ucztę, jak człowiek inteligentny i znający się na rzeczy; w tym celu przybrał sobie do pomocy lokaja jednego z gości, zaproszonych przez pana swojego, nazwiskiem

Fourreau, i jeszcze tego fałszywego żołnierza, który chciał zabić d‘Artagnana, a teraz, nie należąc do żadnego pułku, przyjął służbę u gaskończyka, a raczej u Plancheta, bardzo bowiem przywiązał się do d‘Artagnana, od chwili, gdy tenże życie mu darował.

Godzina obiadu nadeszła, dwóch zaproszonych przybyło, zajęli miejsca, a potrawy ustawiono na stole. Planchet usługiwał z serwetą pod pachą; Fourreau odkorkowywał butelki, a Brisemont — tak się nazywał rekonwalescent — przelewał wino do kryształowych karafek, bo ustało się po zmąceniu w podróży. Pierwsza butelka miała niejakie męty na spodzie, Brisemont zlał je do szklanki, a d‘Artagnan pozwolił mu wypić dla wzmocnienia, ponieważ nieborak był jeszcze okrutnie słaby.

Współbiesiadnicy, po zjedzeniu zupy, zamierzali wychylić pierwsze szklanki wina, gdy nagle rozległ się strzał armatni z fortu Ludwika, i z fortu Nowego; natychmiast gwardziści, sądząc, że chodzi o atak niespodziewany ze strony oblężonych, lub ze strony Anglików, zerwali się i pochwycili za szpady; d‘Artagnan, niemniej zwinny, uczynił, jak oni, i wszyscy trzej wybiegli, aby zdążyć na swoje stanowiska.

Zaledwie jednak ubiegli kawałek drogi, a już wiedzieli, co znaczy cały ten ruch i hałas: okrzyki: „niech żyje król!”, „niech żyje kardynał!” rozlegały się dookoła, a bębny biły na wszystkich punktach.

Rzeczywiście król niecierpliwy, jak to już mówiono, dążył bez wytchnienia i przybywał właśnie w tej chwili z całym dworem, prowadząc z sobą dziesięć tysięcy żołnierza świeżego; muszkieterzy szli przed nim i za nim. D‘Artagnan, stojąc w szeregach pułku swojego, powitał gestem wymownym drogich przyjaciół, oni ścigali go wzrokiem, a i pan de Tréville poznał go odrazu.

Po skończonej ceremonji przyjęcia króla, czterech przyjaciół znalazło się prędko i uściskało serdecznie.

— Przebóg!... — zawołał d‘Artagnan — nie można było przybyć bardziej w porę; mięso na stole nie zdążyło ostygnąć jeszcze!... prawda, panowie?... — dorzucił młodzieniec, zwracając się do dwóch gwardzistów i prezentując ich przyjaciołom.

— Oha, jak widzę, bankietujemy tu sobie — rzekł Porthos.

— Spodziewam się, — dodał Aramis — że niema kobiet na waszym obiedzie.

— A czy jest wino możebne w waszej dziurze?... — zapytał Athos.

— Ależ na Boga!... jest wasze własne, drogi przyjacielu — odrzekł d‘Artagnan.

— Nasze własne wino?... — zawołał Athos zdziwiony.

— Tak, tak, to, coście mi przysłali.

— My przysłaliśmy ci wino?...

— Wiecie przecie dobrze, wino młode ze wzgórz andegaweńskich?

— Tak, wiem doskonale, o jakiem winie chcesz mówić.

— O winie, które najlepiej lubisz.

— Zapewne, zapewne, jak nie mam szampańskiego, albo szambertina.

— Otóż w braku szampańskiego i szambertina, przyjmiecie to, jakie jest...

— A, tośmy sprowadzili winko andegaweńskie, zostaliśmy już smakoszami?... — mówił Porthos z uśmiechem.

— Ależ nie, wino to od was pochodzi.

— Od nas?... — krzyknęli razem trzej muszkieterowie.

— Czy to ty, Aramisie? ... — zapytał Athos, przysłałeś to wino?

— Nie, może to ty, Porthosie?

— Nie, pewno to ty, Athosie?

— Nie.

— Jeżeli nie wy — rzekł d'Artagnan — to wasz oberżysta.

— Jaki oberżysta?...

— Oberżysta Godeau, dostawca muszkieterów.

— Na honor — przerwał Porthos — niech pochodzi skąd chce, wszystko mi jedno; spróbujmy wina, a jeżeli dobre, to pijmy!

— O, nie!... — rzekł Athos — nie pijmy wina z nieznanego źródła...

— Masz rację, jak zawsze, kochany Athosie. Żaden z was zatem nie dawał zlecenia oberżyście Godeau?

— Nie!... a jednak to niby od nas była ta przesyłka?

— Oto list!... — rzekł d'Artagnan i podał papier towarzyszom.

— To nie jego pismo!... — mówił Athos, znam go dobrze — ja sam, przed wyjazdem, załatwiałem z nim nasze wspólne rachunki.

— Cały list fałszywy — odezwał się Porthos — nie byliśmy nigdy zamknięci w areszcie.

— D'Artagnanie — rzekł Athos z wyrzutem — jak mogłeś uwierzyć, żeśmy hałasowali?...

D'Artagnan zbladł, dreszcz po nim przebiegł...

— Co ci jest, chłopcze kochany — zawołał Athos tkliwie — cóż znowu się stało?

— Biegnijmy, śpieszmy się, drodzy przyjaciele!... — krzyknął d'Artagnan — okropne podejrzenie przyszło mi do głowy! byłażby to jeszcze zemsta tej kobiety?

Teraz znów Athos pobladł śmiertelnie.

D‘Artagnan puścił się w kierunku oberży, trzech muszkieterów i dwóch gwardzistów podążyło za nim.

Gdy tylko weszli do sali jadalnej, oczy ich uderzył widok Brisemonta, rozciągniętego na ziemi i wijącego się w strasznych konwulsjach.

Planchet i Fourreau, biali, jak płótno, próbowali wszelkich środków ratunku; widoczne jednak było, że pomoc na nic się nie przyda; skurczone bólem rysy nieszczęśliwego zwiastowały ostatnie chwile konania.

— A!... — zawołał ujrzawszy d‘Artagnana — a! to straszne!... to niegodziwe! pan darowałeś mi niby życie, a teraz mnie otrułeś!

— Ja!... — rzekł d‘Artagnan — ja? co mówisz, nieszczęsny?

— Mówię, żeś mi dał wina, żeś kazał je wypić... a! chciałeś się zemścić w ten sposób... a! to niegodnie z twej strony!

— Nie wierz temu, Brisemont, nie wierz, błagam cię; przysięgam...

— O! Bóg jest w niebie!... On cię ukarze... Boże mój, Boże, spraw, byś cierpiał kiedyś, jak ja obecnie!

— Na Ewangelję ci przysięgam — zawołał d‘Artagnan, nachylając się nad konającym — że nie przeczuwałem wcale, iż wino jest zatrute i że, jak widziałeś, sam miałem go się napić.

— Nie wierzę, nie wierzę — wybełkotał żołnierz i skonał w przystępie męczarni.

— To straszne! niepojęte!... — mruczał d‘Artagnan, gdy Porthos tłukł butelki z winem, a Aramis dawał rozkaz, (trochę spóźniony coprawda) aby sprowadzono spowiednika.

— O przyjaciele wierni!... — odezwał się d‘Artagnan — ocaliliście mi życie, nietylko mnie, lecz i tym oto panom... Panowie — dodał, zwracając się do gwardzistów — proszę zachować w tajemnicy całe to zdarzenie, którego byliście świadkami; osoby, zajmujące stanowiska wysokie, wmieszane są prawdopodobnie w tę sprawę, a wszystko złe, jak się domyślacie, skrupiłoby się na nas.

— O panie mój!... — jąkał Planchet nawpół umarły — o panie! jakże ja się szczęśliwie wykręciłem!...

— Jakto, hultaju — zawołał d‘Artagnan — więc i ty chciałeś napić się mojego wina?

— Za zdrowie króla, proszę pana; chciałem łyknąć właśnie małą szklaneczkę, lecz Fourreau mi przeszkodził, mówiąc, że mnie wołają...

— Niestety!... — rzekł Fourreau, dzwoniąc zębami ze strachu — chciałem go wyprawić, a sam się napić.

— Panowie — odezwał się d‘Artagnan do gwardzistów — pojmujecie sami, iż nasza uczta byłaby nader smutna po tem, co się stało; raczcie wybaczyć na dziś; odłóżmy zebranie na później. Młodzieńcy przyjęli grzecznie przemówienia d‘Artagnana i, widząc, że przyjaciele pragną sami pozostać, pożegnali się i odeszli.

Skoro gaskończyk nasz i trzech muszkieterów pozbyli się świadków, spojrzeli po sobie wzrokiem wyrażającym, iż pojmują całą ważność położenia.

— Naprzód — zaczął, Athos — wyjdźmy z tego pokoju; niedobra to kompanja z nieboszczykiem, który skończył śmiercią gwałtowną.

— Planchet — rzekł d‘Artagnan — polecam ci ciało tego biedaka. Pochowaj go w ziemi poświęcanej. Popełnił on zbrodnię, to prawda, lecz żałował.

Oberżysta dał im inny pokój, do którego przyniósł jajek na miękko i czystej wody (Athos sam jej zaczerpnął u źródła). W kilku słowach Porthos i Aramis zostali wtajemniczeni w położenie.

— A zatem — rzekł d‘Artagnan do Athosa — widzisz drogi przyjacielu, że to walka śmiertelna.

Athos pokiwał głową.

— Tak, tak — odparł — widzę dobrze; czy sądzisz, że to znów ona?

— Jestem tego pewny.

— Pomimo wszystko, przyznam ci się, iż jeszcze wątpię.

— A kwiat lilji na ramieniu?

— To jakaś Angielka za przestępstwo, spełnione we Francji, napiętnowana sromotnie.

— Athosie, to twoja żona, mówię ci — powtarzał d‘Artagnan — przypomnij sobie, jak rysopis zgadza się dokładnie.

— Byłem pewny, że tamta nie żyje, przecie ją powiesiłem doskonale.

Teraz d‘Artagnan kiwał głową.

— Ale teraz powiedz, co robić?... — rzekł młodzieniec.

— To fakt, że niepodobna zostać tak z mieczem, wiekuiście wiszącym nad głową — mówił Athos — i trzeba koniecznie, w jakikolwiek bądź sposób, wyjść z tego położenia.

— Lecz w jaki?

— Posłuchaj no; postaraj się dostać do niej i rozmówić; powiedz jej stanowczo: pokój lub wojna! Daję słowo szlachcica, że nic nigdy o tobie nie powiem i nic przeciw tobie nie przedsięwezmę, a ty zachowaj względem mnie neutralność: jeżeli się na to nie zgodzisz, pójdę do kanclerza, do króla samego, sprowadzę kata, podburzę dwór cały

przeciw tobie, ogłoszę wszędzie, żeś jest piętnowana, stawię cię przed sądy, a gdy cię wyrokiem uwolnią, w takim razie zabiję cię, klnę się na honor mój szlachecki, zabiję cię, gdzie spotkam, na ulicy, w zaułku, zabiję, jak psa wściekłego.

— Doskonały środek — rzekł d'Artagnan — bardzo mi się spodobał; lecz, jak się do niej dostać?

— Czas, drogi przyjacielu, czas sprowadza sposobną chwilę, a taka chwila, to, jak zdwojona stawka w grze: im więcej postawisz na kartę, tem więcej wygrasz, jeżeli umiesz czekać...

— Tak, ale czekać otoczonemu przez morderców i trucicieli...

— Ba!... — rzekł Athos — Bóg nas strzegł dotąd i będzie dalej strzegł.

— Nas samych, wierzę temu; zresztą wszakżeśmy mężczyźni, nasza to rola narażać życie, lecz ona!... — dodał półgłosem.

— Co za ona?... — zapytał Athos.

— Konstancja.

— Pani Bonacieux!... a! to prawda — mówił Athos — biedny przyjacielu! zapomniałem, żeś zakochany.

— Dowiedziałeś się przecie — odezwał się Aramis — z listu, znalezionego przy tym łotrze zabitym, że ona w klasztorze przebywa? O! w klasztorze jej bardzo dobrze i spokojnie, a po ukończeniu oblężenia Roszelli, przyrzekam wam, że ja także...

— Dobrze!... — rzekł Athos — dobrze, mój drogi Aramisie, znamy twoje powołanie i uczucia religijne.

— Jestem muszkieterem tymczasowym jedynie — odparł Aramis pokornie.

— Widać, że już dawno nie miał listu od kochanki, — szepnął Athos — lecz nie zwracajcie uwagi, znamy się przecie na tem.

— Otóż — rzekł Porthos — zdaje mi się, iż wynalazłem sposób bardzo prosty.

— Jakiż to? — zapytał d'Artagnan.

— Ona jest w klasztorze, powiadacie?.. — ciągnął Porthos.

— Tak.

— A więc, jak tylko skończymy z oblężeniem, wykradniemy ją zaraz z klasztoru.

— Trzeba się wpierw dowiedzieć, w którym jest klasztorze.

— Tak, to prawda — rzekł Porthos.

— Czy nie przychodzi ci na myśl, drogi d'Artagnanie, że to królowa sama oznaczyła klasztor na miejsce schronienia dla pani Bonacieux?

— Tak przypuszczam.

— Otóż Porthos nam w tem pomoże.

— W jaki sposób, jeżeli wolno zapytać?

— Ależ przez swoją margrabinę, księżnę czy księżniczkę, ona pewnie ma wpływ u dworu.

— Cicho, sza!... — rzekł Porthos, kładąc palec na ustach — zdaje mi się, że moja margrabina należy do stronników kardynała i dlatego nic wiedzieć nie może...

— Skoro tak — odezwał się Aramis — ja podejmuję się wywiedzieć o wszystkiem.

— Ty, Aramisie — krzyknęli razem przyjaciele — ty! w jakiż sposób?

— Przez jałmużnika królowej, z którym jestem w wielkiej przyjaźni... — rzekł Aramis, czerwieniąc się po uszy.

Po tem zapewnieniu czterej przyjaciele, skończywszy skromny posiłek, rozeszli się z obietnicą widzenia się tego samego jeszcze wieczoru; d'Artagnan powrócił do Minimes, a trzech muszkieterów udało się do koszar królewskich, gdzie kazali sobie urządzić mieszkanie.

Rozdział XVI. Oberża pod czerwonym gołębnikiem

Król tymczasem, zaledwie przybył do obozu, myślał tylko o tem, aby co rychlej uderzyć na nieprzyjaciela, miał on bowiem większą rację nienawidzieć Buckinghama, niż kardynał nawet, i czynił przygotowania naprzód do wypędzenia Anglików z wyspy Ré, następnie do przyśpieszenia oblężenia Roszelli. Lecz pomimo najlepszych chęci wszystko się opóźniało z powodu nieporozumień, wynikłych pomiędzy panami de Bassompierre i Schomberg, a księciem d'Angoulême.

Panowie Bassompierre i Schomberg piastowali godność marszałków Francji i upominali się o przynależne im prawa dowództwa armji pod rozkazami króla; ale kardynał, w strachu, aby Bassompierre, hugonota w duszy, nie chciał obchodzić się łagodnie z Anglikami i mieszkańcami Roszelli, jako jednowiercami, forytował księcia d'Angoulême, którego król, podżegany przez niego, zamianował namiestnikiem ogólnym.

Wynikło stąd, iż z obawy, aby panowie Bassompierre i Schomberg nie wycofali się z armji, musiano ustanowić naprędce pojedyńcze dowództwa: Bassompierre objął część obozu na północ miasta, począwszy od Leu aż po Dampierre; książę d'Angoulême na wschód, od Dampierre de Périgny; pan Schomberg na południe, od Périgny aż do Angoutin.

Kwatera księcia orleańskiego, brata króla, była w Dampierre. Kwatera królewska zaś to w Etré, to znów w Larie.

Nakoniec kwatera kardynała na wzgórzach piaszczystych wzdłuż brzegów morza, przy moście kamiennym, w prostem domostwie, bez żadnych szańców ani okopów.

W ten sposób brat królewski miał na oku Bassompierra, król księcia d'Angoulême, a kardynał pana de Schomberg. Natychmiast po ukończeniu tej organizacji zabrano się do wypędzania Anglików z wyspy.

Ogólne przypuszczenia wróżyły zwycięstwo: Anglicy, którzy przedewszystkiem potrzebują dobrego pożywienia, aby być wytrwałymi żołnierzami, a jedli jedynie mięso solone i zepsute suchary, mieli znaczną liczbę chorych w swojej armji; w dodatku morze, straszliwie burzliwe w tej porze roku, na wszystkich wybrzeżach oceanu rozbijało każdego dnia po kilka statków małych, i brzeg nadmorski, od szczytu l'Aiguillon aż do okopów fortecznych po każdym przypływie i odpływie morza, pokryty był literalnie szczątkami łodzi żaglowych i szalup strzaskanych. Dlatego nawet ludzie królewscy nie ruszali się z obozu, bo spodziewano się, że lada dzień Buckingham, który siedział na wyspie Ré przez upór jedynie, będzie zmuszony odstąpić od oblężenia.

Ponieważ jednak pan de Toirac doniósł, iż w obozie nieprzyjacielskim czynią przygotowania do ponownego ataku, król zatem osądził, że trzeba raz już skończyć i wydał rozporządzenie do bitwy stanowczej.

Nie mamy zamiaru opisywać każdodziennych wydarzeń i postępów oblężenia, przeciwnie, postanowiliśmy zaznaczyć jedynie wydarzenia, mające związek z historją, którą opowiadamy. Poprzestaniemy zatem na wspomnieniu w kilku słowach, że wyprawa powiodła się świetnie.

Anglicy, wyparci co do nogi, zwyciężeni we wszystkich potyczkach, rozbici w cieśninie pod wyspą Loix, zmuszeni zostali schronić się z powrotem na okręty, pozostawiwszy na placu boju dwa tysiące poległych, pomiędzy którymi dwustu pięćdziesięciu kapitanów i dwudziestu znakomitej szlachty; cztery armaty i sześćdziesiąt sztandarów, które odstawił do Paryża Klaudjusz de Saint-Simon i zawiesił z wielką okazałością na sklepieniach w kościele Najświętszej Panny. Śpiewano Te Deum w obozie, a stamtąd echo niosło je po całej Francji.

Kardynał miał zatem swobodę czasowo przynajmniej, posuwać obleganie miasta, nie obawiając się niczego ze strony Anglików. Lecz, jak tylko co mówiliśmy, spokój to był jedynie chwilowy.

Pochwycono wysłannika księcia Buckinghama, nazwiskiem Montaigu, i nabrano pewności co do istnienia przymierza pomiędzy Cesarstwem, Hiszpanją, Anglją i Lotaryngją. Przymierze zawarte zostało przeciw Francji.

Nadto, w mieszkaniu Buckinghama, które zmuszony był opuścić prędzej, niż sądził, znaleziono papiery, stwierdzające przymierze, a papiery te, jak zapewnia pan kardynał w pamiętnikach swoich, kompromitowały okropnie panią de Chevreuse, a tem samem i królową.

Richelieu znał energję, a nadewszystko zawziętość i nienawiść Buckinghama; gdyby liga mocarstw, grożąca Francji, odniosła zwycięstwo, cały wpływ jego przepadłby bezpowrotnie.

Sam król, słuchający go we wszystkiem, jak dziecko, nienawidził go tak samo, jak dziecko nienawidzi surowego nauczyciela, i oddałby go z pewnością na pastwę zemsty osobistej swego brata i królowej. Richelieu byłby zgubiony, a może z nim razem zginęłaby i Francja. Potrzeba się było zatem zabezpieczyć od ciosu tak okrutnego. Widziano też gońców, których liczba co chwila się zwiększała, zmieniających się dniem i nocą w małym domku przy moście kamiennym, gdzie kardynał obrał sobie siedzibę.

Snuli się mnichy, którym habit bardzo źle pasował, i rozpoznać było łatwo, że należeli przedewszystkiem do kościoła wojującego. Były kobiety, poprzebierane za paziów, którym zawadzał trochę ten kostjum, a szerokie poły ubrania nie maskowały dostatecznie kształtów zaokrąglonych; nakoniec byli tam chłopi z rękami usmolonemi, lecz o łydkach i nogach wykwintnych, których czuć było zdaleka pańskością i tytułami. Następnie były tam i wizyty mniej przyjemne, rozeszła się bowiem wieść kilkakrotnie, że chciano kardynała zamordować.

Coprawda, nieprzyjaciele eminencji rozpowiadali, że to on sam nasyłał na siebie tych niby morderców, aby w danym wypadku użyć prawa odwetu; lecz nie można dawać wiary ani temu, co mówią ministrowie, ani temu, co ich nieprzyjaciele rozgłaszają.

Nie przeszkadzało to jednak kardynałowi, któremu najzawziętsi wrogowie nie zaprzeczali odwagi osobistej, do robienia wycieczek nocnych; to dla zakomunikowania księciu d'Angoulême rozkazów wielkiej wagi, to znów dla porozumienia się z królem, nareszcie dla narady z wysłańcami, których nie chciał, aby widziano u niego w domu.

Muszkieterowie zaś, nie mający dużo do roboty przy oblężeniu, nie byli wcale krótko trzymani i wiedli życie nader wesołe. A jeszcze łatwiej im to przychodziło, zwłaszcza trzem naszym towarzyszom, że, będąc w przyjaźni z panem de Tréville, mieli wolność

bawienia do późna poza obozem, a nawet po zamknięciu go mogli wracać, mając na to od niego pozwolenie wyłączne.

Otóż pewnego wieczoru, gdy d'Artagnan, stojący na warcie przy okopach, nie mógł im towarzyszyć, Athos, Porthos i Aramis na swoich bojowych koniach, okryci płaszczami wojskowymi, z ręką na kolbach pistoletów, powracali we trzech z małej oberży, którą Athos wynalazł przed paru dniami na drodze do La Jarie, oberży, nazwanej „Gołębnik Czerwony". Posuwali się drogą, wiodącą do obozu, bacząc uważnie dokoła, aby nie wpaść w zasadzkę. Na jakie ćwierć mili od wioski de Boinar, zdało im się, iż słyszą zbliżający się orszak konny. Natychmiast wszyscy trzej zatrzymali się, stanęli w ścieśnionym szeregu i oczekiwali, zajmując środek drogi.

Po niejakiej chwili, ponieważ księżyc ukazał się właśnie z poza chmury, spostrzegli na zakręcie drogi dwóch jeźdźców, którzy na ich widok stanęli także, jakby się namyślając, czy jechać dalej, czy też zawrócić.

Wahanie to nasunęło niejakie podejrzenia trzem przyjaciołom. Athos więc wyjechał kilka kroków naprzód i głosem gromkim zawołał:

— Kto idzie?

— Kto idzie?... ja pytam — odrzekł jeden z jeźdźców.

— To nie jest odpowiedź wcale! — rzekł Athos — Kto idzie? powtarzam. Odpowiadajcie, albo damy ognia...

— Strzeżcie się panowie, namyślcie się dobrze nim strzelicie!... — odezwał się teraz głos dźwięczny, przyzwyczajony widocznie do rozkazywania.

— To jakiś oficer wyższej rangi, objeżdżający obóz z patrolem nocnym — rzekł Athos do swoich — co panowie czynić zamyślacie?...

— Coście za jedni? — mówił ten sam głos tonem rozkazującym — odpowiadajcie, albo pożałujecie ciężko nieposłuszeństwa.

— Jesteśmy muszkieterowie królewscy — rzekł Athos, coraz bardziej przekonany, iż ten, co ich wypytywał, miał do tego prawo.

— Z jakiego oddziału?

— Z oddziału pana de Tréville.

— Zbliżcie się w szeregu i zdajcie sprawę, co tu robicie o tej godzinie?

Trzej towarzysze podjechali z nosami na kwintę, albowiem wszyscy trzej przekonani byli, iż mieli do czynienia z mocniejszymi od siebie; zdali też na Athosa cały kłopot prowadzenia rozmowy.

Jeden z jeźdźców, ten, który z kolei drugi się odezwał, trzymał się na przedzie o jakie dziesięć kroków od towarzysza; Athos dał znak Porthosowi i Aramisowi, aby także zostali w tyle, a sam wysunął się naprzód.

— Wybacz, mój oficerze — zaczął — nie wiedzieliśmy z kim mamy do czynienia, lecz mogłeś sam zauważyć, iż dobrze straż pełnimy.

— Twoje nazwisko? — rzekł oficer, zakrywając płaszczem część twarzy.

— Ależ pan sam, mój panie — mówił Athos, którego to badanie burzyć poczynało — ależ pan także proszę, daj mi dowód, iż masz prawo mnie wypytywać?

— Nazwisko twoje? — powtórzył po raz drugi jeździec, opuszczając płaszcz w ten sposób, aby twarz było widać.

— Pan kardynał! — wybuchnął osłupiały muszkieter.

— Nazwisko twoje? — powtórzył po raz trzeci Jego Eminencja.

— Athos — odrzekł muszkieter.

Kardynał skinął na giermka, aby się zbliżył.

— Tych trzech muszkieterów pojedzie za nami — rzekł głosem cichym — nie chcę, aby dowiedziano się, że wyjechałem z obozu, a zabrawszy ich z sobą, będziemy pewni, że nie powiedzą o tem nikomu.

— Jesteśmy szlachtą, Wasza wielebność — odezwał się Athos — zażądaj od nas słowa honoru i nie troszcz się o nic więcej. Potrafimy dochować tajemnicy.

Kardynał zmierzył wzrokiem przeszywającym śmiałego mówcę.

— Masz słuch znakomity, panie Athosie, ale teraz znów posłuchaj, co powiem: nie przez nieufność żadną proszę, abyście za mną jechali, tylko dla mego bezpieczeństwa; jeżeli się nie mylę, to z pewnością dwaj pańscy towarzysze są panowie Porthos i Aramis?

— Tak, Eminencjo — mówił Athos, gdy dwaj muszkieterowie zbliżyli się z kapeluszami w rękach.

— Znam was, panowie — rzekł kardynał — znam was doskonale; wiem, że niezupełnie jesteście moimi przyjaciółmi, i przykre mi to bardzo, lecz wiem także, że jesteście dzielni i prawi szlachcice i że można wam zaufać. Panie Athosie, bądź łaskaw udać się za mną, jak i twoi dwaj przyjaciele, a wtedy będę miał eskortę, jakiej i najjaśniejszy pan mógłby mi pozazdrościć, jeżeli go przypadkiem spotkamy. Trzej muszkieterowie skłonili się jednocześnie, jak mogli najniżej.

— Na honor — odezwał się Athos — Wasza wielebność ma rację, zabierając nas z sobą; spotkaliśmy na drodze figury nader podejrzane i nawet z czterema z nich mieliśmy zajście pod „Czerwonym Gołębnikiem”.

— Mieliście panowie zajście, o cóż wam poszło? — rzekł kardynał — nie lubię ludzi łatwych do kłótni, wiecie o tem!

— Dlatego też właśnie uprzedzam Waszą wielebność o tem, co się przytrafiło; kto inny mógłby donieść fałszywie i wina cała na nasby spadła.

— Jakież były następstwa tej zwady? — rzekł kardynał, marszcząc brwi.

— Oto obecny tutaj mój przyjaciel otrzymał lekkie draśnięcie szpadą w ramię, co mu nie przeszkodzi wcale iść jutro do szturmu i wdzierać się na mury, jeżeli Wasza Eminencja rozkaże przypuścić atak.

— Ależ wy nie jesteście z takich, co to pozwalają sobie zadawać rany bezkarnie: no dalej, bądźcie otwarci, moi panowie, poczęstowaliście wy tam dobrze napastników; wyspowiadajcie się, bo wiecie, że mam prawo udzielić rozgrzeszenia.

— Ja, Eminencjo — rzekł Athos — nawet nie wydobywałem szpady, wziąłem tylko wpół tego, z którym miałem do czynienia i wyrzuciłem przez okno... Zdaje się, iż padając — ciągnął Athos z wahaniem — złamał sobie nogę.

— Aha! — mruknął kardynał — a pan Porthos co porabiał?

— Ja, Eminencjo, wiedząc, że pojedynki są zakazane, porwałem ławę jakąś i zwaliłem nią jednego ze zbójów... i jak mi się zdaje... krzyż mu przetrąciłem...

— Pojmuję — rzekł kardynał — a pan co, panie Aramisie?

— Ja, Eminencjo, ponieważ jestem z natury bardzo łagodny i, o czem zapewne Wasza wielebność nie wie, mam zamiar wstąpić niebawem do stanu duchownego, pragnąłem zatem przeszkodzić bójce i rozłączyć moich towarzyszy, gdy jeden z nędznych napastników podszedł mnie zdradziecko i ranił szpadą w lewe ramię. Wtedy zbrakło mi cierpliwości, wyjąłem też szpadę, a ponieważ w tej chwili łotr znowu napadał, zdaje mi się, iż poczułem, jakoby rzucając się na mnie, nadział się na szpadę, którą się zasłaniałem; wiem tylko, że upadł i że go wyniesiono razem z dwoma jego kompanami.

— A! do kaduka, moi panowie — rzekł kardynał — trzech ludzi niezdolnych do bitwy z powodu burdy karczemnej, nie próżnujecie, jak widzę; ale, z jakiego powodu powstała kłótnia?

— Nędznicy ci byli pijani — odparł Athos — a, widząc, że do oberży przybyła wieczorem kobieta, pragnęli drzwi wywalić i dostać się do niej.

— Drzwi wywalić!... — powtórzył kardynał — czegóż od niej chcieli?

— Chcieli zabawić się prawdopodobnie po swojemu — mówił Athos — miałem zaszczyt oznajmić Waszej Eminencji, iż nędznicy ci byli pijani...

— A kobieta była młoda i ładna?... — zapytał kardynał z pewną niespokojnością.

— Nie widzieliśmy jej, Eminencjo.

— Nie widzieliście jej?... o! to bardzo dobrze! — żywo podjął kardynał — mieliście słuszność bronić honoru kobiety, a ponieważ ja także udaję się do oberży pod „Czerwonym Gołębnikiem", przekonam się o prawdzie słów waszych.

— Eminencjo!... — odezwał się wyniośle Athos — jesteśmy szlachtą z urodzenia i nawet dla ocalenia głowy nie splamilibyśmy kłamstwem ust naszych.

— Ja też wierzę wam, moi panowie, i nie wątpiłem ani na chwilę, lecz — dodał, aby zmienić przedmiot rozmowy — czy dama ta była sama zupełnie?...

— Był tam jakiś mężczyzna, zamknięty z nią razemw pokoju — rzekł Athos — ponieważ jednak, pomimo hałasów i krzyków nie ukazał się wcale, można być pewnym, że jest nikczemnym tchórzem.

— Nie sądź lekkomyślnie bliźniego twego, mówi Ewangelja — odparł kardynał.

Athos pochylił głowę.

— A teraz, panowie, dosyć o tem — mówił dalej Richelieu — wiem już, co chciałem wiedzieć, proszę za mną...

Trzej muszkieterowie stanęli poza kardynałem, który, zasłoniwszy twarz płaszczem, ruszył stępa, trzymając się o jakie dziesięć kroków przed swoją świtą.

Dojechali niebawem do milczącej i odludnej oberży.

Na dziesięć kroków przed drzwiami, kardynał skinął na giermka i na muszkieterów, aby się zatrzymali; koń osiodłany stał uwiązany do okiennicy zewnętrznej, kardynał uderzył w nią trzy razy, zapewne w umówiony sposób.

Mężczyzna otulony płaszczem, natychmiast wyszedł i zamienił szybko kilka słów z kardynałem; poczem odwiązał konia, wsiadł na niego i puścił się galopem w kierunku Surgères, a może Paryża.

— Prawdą jest, coście mi opowiadali — dodał, zwracając się do trzech muszkieterów — nie moją będzie winą, jeżeli nasze spotkanie dzisiejsze nie wyjdzie wam na korzyść; tymczasem proszę za mną.

Oberżysta stał we drzwiach; dla niego kardynał był oficerem, odwiedzającym przejezdną damę.

— Czy masz pan jaki pokój na dole, gdzieby ci panowie mogli zaczekać na mnie przy dobrym ogniu na kominku? — zapytał kardynał.

Gospodarz otworzył drzwi dużej izby, gdzie właśnie piec stary i popsuty zastąpiono dużym i doskonałym kominem.

— Mam tę izbę wolną — odpowiedział.

— Dobrze — rzekł kardynał — wejdźcie tam, panowie, i bądźcie łaskawi czekać na mnie; za pół godziny będę z powrotem.

Gdy nasi muszkieterowie wchodzili do pokoju na dole, kardynał, nie żądając żadnych objaśnień, wstąpił na schody i szedł śmiało, jak człowiek dobrze znający drogę.

Rozdział XVII. Pożytek z luftów pieca

Widoczne było, iż powodowani rycerskością jedynie i usposobieniem awanturniczem trzej nasi przyjaciele, nie przypuszczając tego nawet, wyświadczyli przysługę osobie, którą kardynał zaszczycał szczególną swoją protekcją.

Kto to mógł być mianowicie?... To pytanie zadali sobie trzej muszkieterowie; następnie widząc, iż żadna odpowiedź, jaka im przychodzi, nie zadawala ich bynajmniej, Porthos przywołał gospodarza i kazał przynieść kości do gry.

Porthos i Aramis zasiedli zaraz przy stole i zaczęli grać w najlepsze, Athos chodził po pokoju i rozmyślał.

Chodząc tak i rozmyślając, Athos mijał i znów przechodził koło rozebranego, sterczącego w murze, luftu od pieca, którego drugi koniec dotykał pokoju nad nimi położonego; za każdym razem, gdy mijał ową rurę, słyszał wyraźnie szmer rozmowy, co nakoniec zwróciło jego uwagę.

Zbliżył się zatem i odróżnił parę słów, które, jak sądził, wielką miały doniosłość, skinął więc na towarzyszy, aby się uciszyli, a sam, pochylony, przyłożył ucho do otworu dolnego.

— Słuchaj dobrze, milady — mówił kardynał — sprawa jest wielkiego znaczenia, usiądź no i pogadajmy.

— Milady — mruknął Athos.

— Słucham waszą Eminencję z jak największą uwagą — odpowiedział głos kobiecy, na którego dźwięk Athos zatrząsł się cały.

— Nieduży statek z załogą angielską, z kapitanem, zupełnie mi oddanym, oczekuje na ciebie przy ujściu rzeki Charente, obok warowni La Pointe; rozwinie on żagle jutro przede dniem.

— Czy mam się tam udać dziś zaraz w nocy?...

— Zaraz, natychmiast, to jest, gdy wysłuchasz moich zleceń. Wychodząc stąd, znajdziesz dwóch ludzi przy bramie, służyć ci oni będą za eskortę; ja wpierw się stąd oddalę, ty zaś po mnie w pół godziny.

— Rozumiem, Eminencjo. Wróćmy teraz do posłannictwa, jakie raczysz mi zlecić; a ponieważ pragnę i nadal zasługiwać na zaufanie Waszej Eminencji, racz mi wyłożyć jasno i zwięźle, co mam robić, abym nie popełniła omyłki.

Nastała cisza chwilowa; kardynał widocznie namyślał się, jak mówić, a milady skupiała władze umysłu, aby zrozumieć dokładnie i wyryć sobie w pamięci słowa kardynała.

Athos skorzystał z chwili milczenia i kazał towarzyszom zamknąć drzwi od wewnątrz, a potem przyjść i słuchać z nim razem.

Muszkieterowie, lubiący wygodę przysunęli krzesła dla siebie i Athosa. Wszyscy trzej usiedli następnie i przyłożyli uszy do otworu.

— Pojedziesz do Londynu — zaczął kardynał — i udasz się prosto do Buckinghama.

— Ośmielam się zwrócić uwagę Eminencji — rzekła milady — że od czasu sprawy z zapinkami brylantowemi, o którą książę mnie podejrzewał, wystrzega on się mnie okrutnie.

— Tym razem — mówił kardynał — nie idzie wcale o zdobywanie zaufania; powinnaś przedstawić się księciu szczerze i uczciwie, jako pośredniczka.

— Szczerze i uczciwie — powtórzyła milady tonem, niewypowiedzianie dwuznacznym.

— Tak jest, szczerze i uczciwie — ciągnął kardynał tym samym tonem — całe to rokowanie musi być prowadzone jawnie.

— Wykonam dosłownie polecenia Waszej Eminencji, czekam teraz na rozkazy.

— Pójdziesz do Buckinghama i oznajmisz, że ja cię przysyłam; powiesz mu, iż wiem o wszystkich przygotowaniach, przez niego czynionych, i wcale ich się nie boję, bo za pierwszem poruszeniem z jego strony zgubię królowę bezpowrotnie.

— Czy on uwierzy, iż Wasza Eminencja jest w możności wykonać tę groźbę?

— Uwierzy, bo mam dowody w rękach.

— Potrzeba zatem, abym mu je przedstawiła?

— Bezwątpienia; powiesz mu także, że ogłoszę doniesienia Bois-Roberta i margrabiego de Beautru o spotkaniu się księcia z królową u pani konetablowej owego pamiętnego wieczoru, gdy ta pani wydawała bal maskowy. Powiesz mu, że wcale nie

wątpię, iż był tam przebrany za Wielkiego Mogoła; kostjum ten miał przywdziać kawaler Gwizjusz, a książę odkupił go od niego za trzy tysiące pistolów.

— Dobrze, Eminencjo.

— Opowiesz mu wszystkie szczegóły wejścia i wyjścia nocnego z zamku królewskiego, gdzie się wcisnął przebrany za wróżbiarza Włocha; dodasz także, aby nie wątpił o prawdziwości moich wiadomości, iż miał ukrytą pod płaszczem długą białą szatę, usianą w deseń łez czarnych, głów trupich i kości, na krzyż złożonych: ponieważ, w razie wypadku niespodzianego, chciał uchodzić za ducha Białej Damy, ukazującej się, jak wiadomo, w Luwrze, przed każdym wypadkiem wielkiej doniosłości.

— Czy to już wszystko, eminencjo?

— Powiedz mu, że znam także szczegóły spotkania w Amiens, że zrobię z tego małą powiastkę romantyczną, dowcipnie ułożoną, z planem ogrodu i portretami głównych działaczy w awanturze nocnej.

— Powiem mu wszystko.

— Powiedz, że ująłem Montaigu, że trzymam go w Bastylji, że nie znaleziono przy nim żadnego dokumentu, lecz że tortura rozwiąże mu usta, i wyda on wszystko, co wie... a nawet to, o czem nigdy nie wiedział.

— Słucham, Eminencjo.

— Nakoniec dodaj, że książę miłościwy, opuszczając wyspę Ré, zapomniał w pośpiechu zabrać z mieszkania swojego pewnego liściku pani de Chevreuse, a liścik ten w dziwny sposób kompromituje królowę, wykazując jasno, iż Jej Królewska Mość nietylko jest zdolna kochać nieprzyjaciół króla, ale w dodatku spiskuje z wrogami Francji. Czy dobrze zapamiętałaś wszystko, co mówiłem?

— Niech Wasza Eminencja osądzi: bal u pani konetablowej; wycieczka nocna do Luwru; wieczór spędzony w Amiens; schwytanie Montaigu; list pani de Chevreuse.

— Dobrze — rzekł kardynał — nic nie brakuje: masz doskonałą pamięć, milady.

— Jednak — podjęła ta, do której kardynał odezwał się w sposób tak pochlebny — jeżeli pomimo wszystko książę nie ulegnie i będzie w dalszym ciągu groził Francji?

— Książę jest zakochany, jak warjat, lub raczej, jak mazgaj — ciągnął Richelieu z goryczą — na wzór dawnych błędnych rycerzy wszczął wojnę obecną po to jedynie, aby otrzymać jedno spojrzenie uwielbianej piękności. Gdy przekona się, że wojna ta odbierze honor, a może i wolność władczyni myśli jego, jak się on wyraża, przysięgam ci, że zachwieje się w zamiarach.

— A jednak — mówiła milady z wytrwałością dowodzącą, że chciała zbadać dokładnie sprawę, którą jej polecono — gdyby po tem wszystkiem obstawał jeszcze przy swojem?

— Gdyby się jeszcze upierał... nie, nie, to niepodobna...

— To bardzo prawdopodobne — rzekła milady.

— Gdyby trwał przy swojem... — Jego Eminencja zatrzymał się, a po chwili zaczął: — Gdybyś przekonać go nie zdołała, w takim razie położę nadzieję całą w wypadku, w zdarzeniu, zmieniającem zwykle postać rządów...

— Gdyby Wasza Eminencja zechciał mi przytoczyć z historji choć jeden wypadek podobny — odezwała się milady — może i ja podzieliłabym także zaufanie jego do przyszłości.

— Więc słuchaj... oto naprzykład — rzekł Richelieu — gdy w roku 1610, z podobnej przyczyny, jaka podnieca księcia Buckingham, król Henryk IV, zaszczytnej pamięci, szedł opanować jednocześnie Flandrję i Włochy, aby z dwóch stron następnie uderzyć na Austrję, czyż nie nastąpił wypadek, który Austrję zbawił?... Dlaczegóżby król Francji nie mógł mieć tego szczęścia, co cesarz?

— Wasza Eminencja chce mówić o uderzeniu nożem przy ulicy de la Ferronnerie?

— Tak, właśnie — odparł kardynał.

— Czy wasza wielebność nie boi się, że skazanie na śmierć Ravaillaca nie odstraszy tych, co mieliby ochotę wejść w jego ślady?

— Po wszystkie czasy i we wszystkich krajach, tam zwłaszcza, gdzie ludność dzielą uczucia religijne, znajdą się fanatycy, pragnący stać się męczennikami. Otóż rzeczywiście przypominam sobie w tej chwili, że purytanie wściekli są na księcia Buckinghama, a ich kaznodzieje wskazują nań, jako na Antychrysta.

— Więc cóż z tego? — przerwała milady.

— Otóż — mówił dalej kardynał tonem obojętnym — wypadałoby teraz, naprzykład, znaleźć kobietę piękną, młodą i zręczną, która miałaby powód do zemsty osobistej na księciu. Kobietę taką możnaby łatwo spotkać; książę jest człowiekiem szczęśliwym do kobiet i, jeżeli nie budził uczuć miłosnych obietnicami stałości wiecznej, musiał w niejednem sercu wzniecić nienawiść przez nieustanne wiarołomstwa.

— Zapewne — rzekła milady chłodno — kobietę taką możnaby napotkać.

— Otóż kobieta, któraby dała w rękę nóż Jakóba Clément, lub Ravaillaca fanatykowi, zbawiłaby Francję.

— Tak, lecz zostałaby wspólniczką zbrodni.

— A czy zna ktokolwiek wspólników Jakóba Clément lub Ravaillaca?

— Nie, bo może stali oni zbyt wysoko, aby się ośmielono aż tam ich szukać: nie podpala się Pałacu Sprawiedliwości dla byle kogo, Eminencjo.

— Więc sądzisz, że Pałac Sprawiedliwości spłonął nie trafem jedynie nieszczęśliwym? — zapytał Richelieu obojętnie, jak gdyby to była kwestja bez żadnego znaczenia.

— Ja, Eminencjo — odpowiedziała milady — ja nic nie sądzę, fakt przytaczam, nic więcej; dodam tylko, że gdybym nazywała się panną de Montpensier, lub królową Maryą Medicis, nie potrzebowałabym być tak ostrożna, jak, nazywając się poprostu lady Claric.

— Słusznie — rzekł Richelieu — czegóż więc żądasz?

— Pragnę rozkazu, potwierdzającego z góry wszystko, co uznam, iż powinnam uczynić dla dobra Francji.

— Trzeba najpierw znaleźć kobietę, o jakiej mówiłem, która miałaby urazę śmiertelną do księcia.

— Już ją znalazłam — rzekła milady.

— Następnie trzeba wyszukać podłego fanatyka, chcącego służyć za narzędzie sprawiedliwości bożej.

— I to się znajdzie.

— Wtedy — mówił kardynał — będzie pora dopiero wymagać rozkazu, jakiego żądasz obecnie.

— Wasza Eminencja ma rację — rzekła milady — to ja byłam w błędzie, widząc w poleceniu, jakiem mnie zaszczyca, coś innego, niż jest ono w rzeczywistości, bo mam tylko oznajmić księciu od Eminencji, że zna wszystkie przebrania, z pomocą których zdołał on zbliżyć się do królowej na balu u pani konetablowej; że Eminencja posiadasz dowody widzenia się jego z królową w Luwrze, w kostjumie astrologa Włocha, że ukaże się romans bardzo dowcipny o awanturze w Amiens, z planami i portretami; że Montaigu siedzi w Bastylji i tortura przypomni mu, co zapomniał; nakoniec, że masz w ręku list pani de Chevreuse, kompromitujący ją i królową. Następnie, jeżeli pomimo wszystko ktoś zostanie niezłomny, to ponieważ misja moja tu się kończy, pozostanie mi tylko prosić Boga, aby cud uczynił dla ocalenia Francji. Wszak to mam zrobić, Eminencjo, i nic innego nie przedsiębrać?

— To tylko jedynie — odparł kardynał zimno.

— Obecnie — mówiła milady, nie zwracając uwagi na raptowną oziębłość kardynała — obecnie, gdy już otrzymałam instrukcje od Waszej Eminencji co do postępowania z jego nieprzyjaciółmi, czy pozwoli mi wasza wielebność powiedzieć słów parę o moich znów wrogach?

— Więc pani masz wrogów? — zapytał Richelieu.

— Tak, panie; mam wrogów, przed którymi powinieneś mnie bronić, bo zrobiłam ich sobie, służąc Waszej Eminencji.

— Cóż to za jedni? — zapytał książę.

— Pierwszy — to mała kupcowa, znana intrygantka, nazywa się Bonacieux.

— Ona jest przecież zamknięta w więzieniu w Mantes.

— To jest była tam rzeczywiście, lecz królowa wyjednała rozkaz od króla i przeniosła ją do klasztoru.

— Do klasztoru? — zapytał książę.

— Tak, mam wiadomość pewną, że do klasztoru.

— Do którego?

— Nie wiem, tajemnica zachowana jest ściśle.

— O! ja będę wiedział!

— A czy Wasza Eminencja powie mi, w którym klasztorze ta kobieta się znajduje?

— Nie widzę powodu, dlaczego nie miałbym tego zrobić.

— Dziękuję za jedno, lecz mam drugiego wroga o wiele niebezpieczniejszego, niż pani Bonacieux.

— Któż to jest?

— Jej kochanek.

— Jak on się nazywa?

— O! Wasza wielebność zna go doskonale — krzyknęła milady uniesiona gniewem — to nasz wspólny zły duch, to on w spotkaniu z gwardją Waszej Eminencji przechylił zwycięstwo na stronę muszkieterów królewskich; to on przebił szpadą trzykrotnie de Wardes'a, wysłańca Eminencji, to z jego winy nie udała się sprawa z brylantami; on to nakoniec, wiedząc, że to ja porwałam panią Bonacieux, zaprzysiągł mi śmierć.

— Aha! — rzekł kardynał — wiem już, o kim chcesz mówić.

— Ja mówię o tym łotrze, d'Artagnanie.

— To dzielny młodzieniec — rzekł kardynał.

— Dlatego właśnie, że taki dzielny, jest tem niebezpieczniejszy.

— Trzebaby posiadać dowody porozumiewania się jego z księciem Buckinghamem.

— Dowody! mam ich dziesięć!

— W takim razie to bardzo łatwo, pokaż mi je, a wyślę go do Bastylji.

— Dobrze Eminencjo! a co potem?

— Kto się dostanie do Bastylji, niema dla takiego przyszłości — rzekł kardynał ponuro. — O! na Boga, gdyby mi tak łatwo przychodziło pozbyć się moich wrogów, jak twoich osobistych, i gdybyś tylko o takich ukaranie prosiła...

— Eminencjo, sztuka za sztukę, życie za życie, człowiek za człowieka; oddaj mi tego, ja ci tamtego oddam.

— Nie wiem, co chcesz powiedzieć — odparł kardynał — nawet wiedzieć nie chcę; chcę ci się przysłużyć i nie widzę nic niestosownego w daniu ci tego, czego pragniesz, dla ukarania tak nieznacznej osobistości; tembardziej, że, jak powiadasz, d'Artagnan jest bezbożnikiem, pojedynkowiczem i zdrajcą.

— Pozbawiony czci wszelkiej, Eminencjo... podły...

— Podaj mi papier, pióro i atrament — rzekł kardynał.

— Oto jest, Eminencjo.

Nastała cisza chwilowa, dowodząca, iż Richelieu namyślał się, co ma pisać. Athos nie stracił ani słowa z rozmowy, wziął teraz za ręce przyjaciół i pociągnął w drugi koniec pokoju.

— Czego chcesz? — odezwał się Porthos — czemu nie pozwalasz nam słuchać dalej.

— Sza! — rzekł Athos po cichu — słyszeliśmy wszystko, co potrzeba; wreszcie nie bronię wam słuchać, tylko sam wyjść stąd muszę.

— Chcesz wyjść — rzekł Porthos — lecz jeżeli kardynał cię zawezwie, cóż mu odpowiemy?

— Nie czekajcie aż mnie zawoła, powiedzcie mu pierwsi, iż wyjechałem na zwiady, ponieważ ze słów gospodarza zmiarkowałem, że drogi nie są bezpieczne; powiem też słów parę giermkowi kardynała; reszta do mnie należy, bądźcie spokojni.

— Bądź ostrożny, Athosie! — rzekł Aramis.

— Nie turbujcie się — wiecie, że mam krew zimną.

Porthos i Aramis usiedli napowrót przy lufcie piecowym. Athos zaś wyszedł śmiało, nie kryjąc się wcale, odwiązał konia od kółka przy okiennicy, przekonał kilkoma słowami giermka o potrzebie pojechania naprzód, obejrzał starannie proch na panewce pistoletu, wziął szpadę w zęby i poleciał, jak potępieniec, drogą, prowadzącą do obozu!

Rozdział XVIII. Scena małżeńska

Jak to Athos przewidział, kardynał, niedługo poczekawszy, zszedł z góry, zajrzał do pokoju, gdzie byli muszkieterowie i zastał Porthosa, grającego zawzięcie w kości z Aramisem. Spojrzał szybko po wszystkich kątach sali i przekonał się, że brakuje jednego z muszkieterów.

— Gdzie się podział pan Athos?... — zapytał.

— Eminencjo — odrzekł Porthos — z opowiadań oberżysty nabrał on przekonania, iż drogi nie są bezpieczne i pojechał przodem na zwiady.

— A panowie coście przez ten czas porabiali, panie Porthosie?

— Ja wygrałem pięć pistolów od Aramisa.

— A teraz, czy jesteście gotowi powracać ze mną razem?

— Jesteśmy na rozkazy Waszej Eminencji.

— Na koń zatem, panowie, bo już późno.

Giermek oczekiwał kardynała przy drzwiach oberży.

Giermek potwierdził wszystko, co mówili muszkieterowie, z powodu wyjazdu Athosa. Kardynał skinął ręką na znak zadowolenia, wspiął konia i ruszył z równemi ostrożnościami, jak kiedy tu jechał.

Athos tymczasem pędził co koń wyskoczy, lecz, oddaliwszy się tak, iż pewnym był, że go nikt nie dojrzy, zwrócił na prawo, objechał dokoła, znalazł się z powrotem o dwadzieścia kroków od karczmy i, ukryty w gęstwinie drzew, czatował na ukazanie się orszaku. Poznawszy kapelusze z galonami towarzyszy swoich i płaszcz, bramowany frendzlą złotą, pana kardynała, poczekał aż jeźdźcydotrą do skrętu drogi, a gdy stracił ich z oczu, powrócił cwałem do oberży, gdzie go wpuszczono bez trudności.

— Mój oficer — rzekł Athos do oberżysty — zapomniał o ważnem zleceniu dla damy z pierwszego piętra i przysłał mnie do niej.

— Wejdź pan — odparł gospodarz — jest ona jeszcze w swoim pokoju.

Athos skorzystał z pozwolenia, lekkim krokiem przebiegł schody i dopadł uchylonych drzwi w chwili, gdy milady kładła już kapelusz na głowę. Wszedł do pokoju i zamknął drzwi za sobą. Na odgłos klucza w zamku, milady się odwróciła.

Athos stał przy drzwiach, owinięty płaszczem, w kapeluszu na oczy nasuniętym.

— Kto pan jesteś? czego tu chcesz?... — zawołała.

— O! to ona!... — mruknął Athos.

I, zrzucając płaszcz, oraz podnosząc kapelusz, postąpił ku milady.

— Poznajesz mnie pani?... — zapytał.

Milady zrobiła krok naprzód, następnie cofnęła się, jak gdyby węża ujrzała.

— No, no — mówił Athos — cieszę się, bo widzę, żeś mnie poznała.

— Hrabia de La Fère!... — szeptała milady, blednąc i cofając się do ściany.

— Tak, milady — odrzekł Athos — hrabia de La Fère, we własnej postaci, który przybył umyślnie z końca świata, aby mieć przyjemność ujrzeć panią. Usiądź pani i porozmawiajmy, jak mówi pan kardynał.

Milady, skamieniała z przerażenia, usiadła, nie wyrzekłszy ani jednego słowa.

— Jesteś szatanem wysłanym z piekła na ziemię!... — rzekł Athos. — Władza twoja jest wielka, wiem o tem; lecz z pomocą Boga, ludzie uczciwi dają radę i takim jak ty potworom. Raz już znalazłaś się na mej drodze; byłem pewny, iż pozbyłem się ciebie skutecznie, lecz omyliłem się widać, lub może piekło nie chciało cię przyjąć.

Milady, po tych słowach, przywodzących wspomnienia okrutne, opuściła głowę z głuchym jękiem.

— Sądziłaś, że nie żyję prawda? tak, jak ja pewny byłem, żeś umarła? imię Athosa zastąpiło nazwisko hrabiego de La Fère, tak samo, jak lady Clarick zastąpiłaAnnę de Bucil! Wszak się tak nazywałaś, gdy brat twój czcigodny błogosławił nasz związek?

— Lecz ostatecznie — mówiła milady głosem, przez strach stłumionym — co cię sprowadza? czego chcesz ode mnie? Wiesz zatem, co robiłam?

— Opowiedzieć ci mogę dzień po dniu od czasu, gdyś się zaciągnęła w służbę kardynała

Uśmiech niedowierzania przemknął po wargach zbielałych milady.

— Jeśli nie wierzysz, to posłuchaj: ty obciąłaś zapinki djamentowe z ramienia księcia Buckinghama: ty kazałaś porwać panią Bonacieux; zakochana w panu de Wardes, i sądząc, że z nim noc spędzisz, wpuściłaś pana d'Artagnan; ty także, myśląc, że de Wardes cię oszukał, chciałaś, aby go rywal jego zabił; a kiedy ten rywal odkrył twoją tajemnicę haniebną, pragnęłaś i jego się pozbyć, nasyłając dwóch podłych na niego morderców, a zobaczywszy, że kule nie trafiły, posłałaś mu wina zatrutego wraz z fałszywym listem, aby ofiara twoja sądziła, że wino to pochodzi od przyjaciół. Nakoniec dziś w tym pokoju, siedząc na tem samem krześle, przyrzekłaś kardynałowi Richelieu zabić księcia Buckinghama wzamian za dane ci pozwolenie zamordowania d'Artagnana.

Milady stała się teraz sina.

— Chyba szatanem jesteś?... — wyrzekła.

— Może być — odparł Athos — w każdym razie słuchaj i pamiętaj dobrze, co teraz powiem: zabij sama lub każ zamordować księcia Buckinghama, mało mnie to obchodzi! nie znam go: w dodatku jest Anglikiem; lecz nie waż się tknąć ani włosa z głowy d'Artagnana, który jest przyjacielem moim wiernym i którego bronić będę, albo przysięgam na głowę ojca mojego, zbrodnia ta byłaby twoją ostatnią...

— Pan d'Artagnan, ciężko mnie obraził — rzekła milady głucho.. — Pan d'Artagnan umrze.

— Nie wiedziałem doprawdy, że panią może coś jeszcze obrażać — rzekł, śmiejąc się Athos — a więc on miał nieszczęście ją obrazić i umrze?

— Umrze — odparła milady — najpierw ona, potem on...

Athosa szał ogarniał; widok tej istoty, pozbawionej kobiecości, przywiódł mu na pamięć zdarzenia okropne, wspomniał, że kiedyś w położeniu mniej niebezpiecznem, niż obecnie, chciał ją poświęcić dla zachowania czystości honoru swego; pragnienie krwi tej kobiety powróciło mu palące, i opanowało jak gorączka, wstał, wyjął pistolet z za pasa i nabił go...

Milady, jak trup blada, chciała krzyczeć, lecz głos jej zamarł; wydawała jedynie jęki nieludzkie, podobne do chrapania dzikiego zwierza.

Przytulona do ściany, na tle obicia ciemnego, z włosem rozwianym, wyglądała, jak obraz trwogi i okrutnego przerażenia. Athos podniósł wolno pistolet, wyciągnął rękę i dotknął lufą czoła milady, następnie głosem spokojnym, zdradzającym postanowienie nieodwołalne, rzekł:

— Pani, oddaj mi natychmiast papier, podpisany przez kardynała, albo na mą duszę w łeb ci wypalę.

— Zdecyduj się, zostawiam ci sekundę czasu.

Milady widziała po skurczeniu jego twarzy, że strzał padnie; wyjęła szybko papier z za stanika i podała Athosowi.

— Masz — rzekła — i bądź przeklęty!

Athos, schował pistolet za pas, wziął papier, — dla przekonania się, czy to ten sam, rozwinął go i czytał:

„Z mojego rozkazu i dla dobra państwa okaziciel niniejszego zrobił to, co zrobił.

3 grudnia 1627 roku.

Richelieu".

— A teraz — rzekł Athos, wdziewając płaszcz i kładąc kapelusz na głowę — teraz gdy ci żądło wyrwałem, żmijo jadowita, kąsaj, jeżeli możesz.

I wyszedł z pokoju, nie obejrzawszy się nawet.

Przy bramie zastał dwóch ludzi, trzymających konie w pogotowiu.

— Panowie — rzekł — znacie rozkazy Eminencji, odprowadzicie tę damę do fortecy La Pointe, a nie wolno wam jej opuścić, dopóki nie wsiądzie na pokład okrętu.

Skłonili głowami na znak posłuszeństwa.

Athos zaś skoczył lekko na siodło i ruszył z kopyta; zamiast jednak udać się drogą do obozu, poleciał przez pola, zatrzymując się od czasu do czasu i nasłuchując.

Nareszcie doszedł go odgłos kopyt końskich. Nie wątpił już, że to kardynał i jego orszak. Wtedy puścił siejeszcze przed siebie, potem zatrzymał się, otarł pot z konia trawą i liśćmi z drzew i stanął w poprzek drogi na dwieście kroków od obozu.

— Kto idzie?... — zawołał, gdy jeźdźcy się ukazali.

— A! to nasz dzielny muszkieter zapewne tam stoi — rzekł kardynał.

— Tak, Eminencjo — odpowiedział Porthos — to on.

— Panie Athosie — rzekł Richelieu — przyjm sedeczne podziękowanie za dobrą wolę, nam okazaną. Panowie, jesteśmy już na miejscu, skierujcie się do bramy na lewo, hasło: Król i Ré!

Mówiąc to, kardynał skłonił głową, na znak pożegnania, skręcił na prawo, i, mając giermka za sobą, udał się także do obozu, gdyż noc tę miał tam przepędzić.

— No cóż? — zapytali razem Porthos i Aramis, gdy ich kardynał nie mógł już słyszeć — czy podpisał papier, przez nią żądany?

— Tak — odrzekł Athos spokojnie — mam go już przy sobie.

Trzej przyjaciele nie odezwali się więcej do siebie, jechali w milczeniu aż do swej kwatery, raz tylko przemówiwszy, gdy straże o hasło pytały.

Posłano natychmiast Mousquetona, aby powiedział Planchetowi, że pan jego jest usilnie proszony, aby, gdy zejdzie z posterunku przy okopach, przybył w tej chwili do mieszkania muszkieterów.

Ze swej strony milady, jak to Athos przewidział, udała się bez oporu za swymi towarzyszami; miała wprawdzie ochotę kazać się zaprowadzić do kardynała i opowiedzieć mu wszystko, lecz odkrycie prawdy przez nią pociągnęłoby to samo ze strony Athosa: doniosłaby, że Athos ją powiesił, lecz on za to wydałby, że jest piętnowana.

Zdecydowała się zatem nic nie mówić i wyjechać z zachowaniem wszelkich ostrożności, dokonać ze zwykłą zręcznością trudnego dzieła, którego się podjęła, a następnie, spełniwszy wszystko ku zadowoleniu kardynała, stanąć przed nim i dopomnieć się o pomoc w zemście osobistej.

Wskutek tego postanowienia, po całonocnej podróży, o siódmej rano, była już w La Pointe, o ósmej wsiadła na okręt, o dziewiątej tenże okręt z listami polecającemi od kardynała, mając niby płynąć do Bayonny, podnosił kotwicę i rozwijał żagle ku Anglji.

Rozdział XIX. Bastion świętego Gerwazego

Gdy d'Artagnan stawił się na wezwanie, zastał trzech przyjaciół zebranych w jednym pokoju: Athos rozmyślał, Porthos wąsy podkręcał, Aramis modlił się z prześlicznej książeczki, oprawnej w błękitny aksamit.

— Na imię boskie! panowie — odezwał się — spodziewam się, że to, co usłyszę, warte jest zachodu, w przeciwnym razie uprzedzam, nie daruję wam tego; kazać mi przychodzić, zamiast zostawić w spokoju po nocy, spędzonej na szturmie do bastjonu, zdobyciu go i następnie zburzeniu... O! czemuż was tam nie było, panowie, gorącą mieliśmy rozprawę.

— Byliśmy gdzieindziej, tam nie było też wcale zimno — odpowiedział Porthos, podkręcając wąsa, właściwym sobie sposobem.

— Sza!... — rzekł Athos.

— Oho! — mówił d'Artagnan, zrozumiawszy lekkie zmarszczenie brwi muszkietera — pokazuje się, iż mamy znów coś nowego.

— Aramis — zaczął Athos — byłeś podobno wczoraj na śniadaniu w oberży „Parpaillot?"

— Tak.

— Jakże ci się tam podobało?

— Bardzo niedobre jadłem śniadanie; onegdaj był dzień postny, a zastałem jedynie mięso.

— Jak to może być? — rzekł Athos — w porcie morskim nie mają ryb?

— Utrzymują — odparł Aramis, zatapiając się napowrót w modlitwie — że tama, którą każe wznosić pan kardynał, wypłasza je na pełne morze.

— Nie o to się pytałem — podjął Athos — pytałem, czy byłeś tam swobodny, czy nikt ci nie przeszkadzał?...

— Zdaje mi się, że oberża nie jest bardzo uczęszczana; tak, pewny jestem, że dla pogadania na osobności będzie nam wcale nieźle w „Parpaillot".

— Idźmy więc do „Parpaillot", bo tutaj ściany są, jak papier cienkie.

D'Artagnan, obyty ze sposobem postępowania przyjaciela, a nauczył się poznawać ze słowa jednego, z gestu, ze znaku najmniejszego ważność okoliczności, wziął Athosa pod rękę i wyszedł z nim, nic nie mówiąc; Porthos udał się za nimi, gawędząc z Aramisem.

Spotkano w drodze Grimauda; Athos dał znak, aby się zbliżył. Grimaud, podług zwyczaju, usłuchał w milczeniu; biedny chłopak zapomniał już prawie mówić.

Przybyli do oberży „Parpaillot"; była siódma zrana; zaczynało świtać; trzech przyjaciół zadysponowało śniadanie i udało się do sali, gdzie, jak zapewniał gospodarz, nikt im nie przeszkodzi.

Na nieszczęście, złą godzinę wybrali na schadzkę; właśnie bębniono na poranny capstrzyk, każdy zrywał się po nocnym śnie, i, aby się wytrzeźwić i rozgrzać, przychodził wychylić miarkę w oberży; dragoni, szwajcarzy, gwardziści, muszkieterowie, lekka kawalerja — zmieniali się, jak w kalejdoskopie, ku wielkiemu zadowoleniu oberżysty, lecz wcale nie na rękę naszym przyjaciołom.

Odpowiadali też bardzo chłodno na powitania, zaczepki i żarty przybywających panów.

— Widzę już — odezwał się Athos — że dopytamy się tutaj jakiej dobrej awantury, a nie potrzebna nam wcale w tej chwili. D'Artagnan, opowiedz nam, coś robił w nocy; my zaś później ci opowiemy.

— Czy w istocie — zaczął jeden z kawalerzystów, przestępując z nogi na nogę, ze szklanką wódki w ręce, którą cedził powoli — czy w istocie byliście na wałach tej nocy, panowie gwardziści? zdaje mi się, że mieliście na pieńku z roszelczykami?

D'Artagnan spojrzał pytająco na Athosa, czy ma odpowiedzieć natrętowi, mieszającemu się nieproszenie do rozmowy, czy też nie.

— No, cóż — odezwał się Athos — czy nie słyszyszże pan de Busigny raczy przemawiać do ciebie? Opowiedz, co było tej nocy, kiedy panowie tego pragną.

— Podobno bastjon zdobyliście? — zapytał szwajcar, który pił rum kuflem od piwa.

— Tak, panie — odrzekł d'Artagnan — mieliśmy ten zaszczyt; podłożyliśmy nawet pod jeden węgieł baryłkę prochu, który, wybuchając, wysadził go w powietrze, a reszta budynku została porządnie zachwiana.

— Któryż to bastjon? — zapytał dragon, trzymając zatkniętą na końcu szpady gęś, którą przyniósł, aby mu ją upieczono.

— Bastjon świętego Gerwazego, — odparł d'Artagnan — z poza którego roszelczycy niepokoili naszych robotników.

— A ciepło tam było?

— O! i bardzo; straciliśmy pięciu ludzi, roszelczycy ośmiu czy dziesięciu.

— Sacrébleu! — wykrzyknął szwajcar, który pomimo obfitego repertuaru wymysłów w języku niemieckim miał zwyczaj kląć po francusku.

— Prawdopodobnie — przerwał kawalerzysta — zaraz dziś rano przyślą pionierów i naprawią bastjon.

— Tak, być może — dodał d'Artagnan.

— Panowie! — odezwał się Athos — idźmy o zakład.

— A, tak! o zakład! — rzekł szwajcar.

— O jaki? — zapytał kawalerzysta.

— Czekajcie! — przerwał dragon, zasadzając szpadę, jak rożen, na hakach żelaznych, wbitych w mur komina — domyślam się, o co wam chodzi... Gospodarzu przeklęty! przynoś natychmiast patelnię, nie chcę stracić ani kropelki tłuszczu z tego szacownego ptaszka.

— Masz rację — dodał szwajcar — szmalec gęsi wyborny jest z konfiturami.

— Dobrze już — rzekł dragon, podstawiając patelnię. — Teraz zobaczymy, o co zakład idzie. Panie Athosie, słuchamy!...

— Tak, słuchamy!... — potwierdził kawalerzysta.

— Otóż, panie Busigny, zakładam się z tobą — rzekł Athos — że moi towarzysze, panowie Porthos, Aramis, d'Artagnan i ja, zjemy śniadanie w bastjonie świętego Gerwazego i pozostaniemy tam przez godzinę, z zegarkiem w ręku, nie zważając na usiłowania nieprzyjaciela, aby nas stamtąd wysadzić.

Porthos i Aramis spojrzeli na siebie porozumiewawczo.

— Czy wiesz? — szepnął d'Artagnan do ucha Athosowi — że prowadzisz nas na niechybną śmierć.

— Większe daleko niebezpieczeństwo nam grozi — odrzekł Athos — jeżeli tam nie pójdziemy.

— Na honor! panowie — zawołał Porthos, rozwalając się na krześle i podkręcając wąsa — oto mi zakład, co się nazywa!...

— Przyjmuję — rzekł de Busigny — idzie tylko obecnie o ustanowienie stawki.

— Panów jest czterech — mówił Athos — i nas czterech; zatem obiad na ośmiu, przystajecie panowie?...

— Z ochotą — odparł de Busigny.

— Doskonale — dodał dragon.

— Zgadzam się — rzekł szwajcar. Czwarty słuchacz, milczący podczas całej tej rozmowy, i teraz skinął jedynie na znak zgody.

— Śniadanie dla panów gotowe — zawołał gospodarz.

— Przynieś je tutaj — rzekł Athos.

Oberżysta wykonał rozkaz. Athos skinął na Grimauda, wskazał mu duży koszyk w kącie izby i objaśnił gestem, że trzeba zawinąć mięso w serwety.

Grimaud domyślił się zaraz, że chodzi o śniadanie na świeżem powietrzu; wziął koszyk, zapakował mięso, dołożył butelki i cały pakunek przewiesił na ręce.

— Gdzie panowie spożyją swoje śniadanie? — zapytał gospodarz.

— Co ci do tego, — rzekł Athos — jeżeli ci zapłacę?...

I cisnął majestatycznie na stół dwa pistole.

— Czy dać reszty, panie oficerze?

— Nie; dodaj tylko dwie butelki wina szampańskiego, a reszta za serwety.

Gospodarz nie tak znów świetny interes zrobił, jak myślał z początku, nagrodził jednak sobie, kładąc do kosza wino andegaweńskie, zamiast szampańskiego.

— Panie de Busigny, — odezwał się Athos — czy pozwolisz nastawić swój zegarek podług mojego, albo mój podług twojego?

— Z chęcią — odparł zapytany, wyjmując z kieszeniod kamizelki przepyszny złoty zegarek, wysadzany brylantami — obecnie wpół do ósmej.

— Siódma i trzydzieści pięć minut — rzekł Athos — wiadomo teraz, że zegarek mój śpieszy się o pięć minut.

Skłoniwszy się zebranym, osłupiałym ze zdziwienia, czterej młodzi ludzie skierowali się ku bastjonowi świętego Gerwazego, za nimi postępował Grimaud z koszykiem, nie wiedząc, dokąd idzie, lecz przyzwyczajony do biernego posłuszeństwa, nie myślał i teraz wypytywać.

Dopóki znajdowali się w obrębie obozu, nie przemówili ani słowa; w dodatku chmara ciekawych szła za nimi, wiedząc o zakładzie i chcąc się przekonać, jak też nasi przyjaciele wybrną z powziętego zamiaru. Gdy minęli szańce obozowe i znaleźli się w czystem polu, wtedy d'Artagnan, niewtajemniczony w zamiary przyjaciela, osądził, iż przyszedł czas dowiedzenia się prawdy.

— Teraz, kochany Athosie — rzekł — bądź łaskaw powiedzieć mi dokąd idziemy?...

— Widzisz dobrze — odparł Athos — że idziemy do bastjonu.

— Cóż tam robić będziemy?

— Wiesz przecie, że będziemy jedli śniadanie.

— Dlaczego nie w Parpaillot?

— Albowiem musimy o ważnych niesłychanie sprawach pogadać, a tam trudno mieć pięć minut spokojnych z tymi natrętami; wchodzą, wychodzą, kłaniają się, witają, zaczepiają... to nie do wytrzymania; tutaj przynajmniej — dodał Athos, wskazując bastjon — nikt nam chyba nie przeszkodzi.

— Zdaje mi się — rzekł d'Artagnan, z roztropnością, nie czyniącą ujmy odwadze — zdaje mi się, iż moglibyśmy znaleźć jakie oddalone miejsce nad morzem...

— Gdzieby nas widziano naradzających się we czterech, a za kwadrans kardynał jużby wiedział przez szpiegów swoich, że spiskujemy...

— Tak, tak — rzekł Aramis — Athos ma rację; animae adventuntur in desertis.

— Pustynia byłaby bardzo dobra — odezwał się Porthos — lecz trzebaby ją znaleźć. Niema na świecie takiej pustyni, gdzieby ptak nie przeleciał ponad głową, ryba nie wyskoczyła ponad wodę, a królik nie wybiegł z kryjówki, a ja przypuszczam, że ptak, ryba, królik — wszystkoto służy za szpiegów kardynała. Lepiej zatem dotrwać w naszem przedsięwzięciu, przed którem, coprawda, niepodobna się cofnąć bez wstydu; założyliśmy się, a nikt się nie domyśla, o co nam chodzi, wszyscy są pewni, że dla wygranej przez godzinę będziemy siedzieli w bastjonie. Albo nas atakować będą, albo nie. Jeżeli nam dadzą spokój, będziemy mieli aż nadto czasu do rozmowy, i nikt nas nie podsłucha, bo zaręczam, że ściany bastjonu uszu nie mają. Jeżeli zaś atak do nas przypuszczą, to i tak o interesach naszych pogadamy, a w dodatku, odpierając napaść, okryjemy się chwałą. Widzicie więc, że wszystko wychodzi na naszą korzyść.

— Tak — rzekł d'Artagnan — lecz kula nas nie minie z pewnością.

— E! mój drogi — odparł Athos — wiesz dobrze, że nie te kule są najstraszniejsze, które pochodzą na wojnie od nieprzyjaciela.

— Zdaje mi się, iż na taką wyprawę trzeba było zabrać nasze muszkiety.

— Głupi jesteś, przyjacielu Porthosie; na co mieliśmy się obarczać nieużytecznym ciężarem?...

— Przydałby się wobec nieprzyjaciela kalibrowy muszkiet, ze dwanaście nabojów i woreczek z prochem.

— A czy nie słyszałeś, co opowiadał d'Artagnan?

— Cóż on mówił? — zapytał Porthos.

— D‘Artagnan mówił, że przy szturmie tej nocy poległo kilku Francuzów i tyluż roszelczyków.

— Więc cóż z tego?

— Nie miano czasu ich obedrzeć, wszak prawda? było tam coś pilniejszego do roboty.

— Zatem?

— Zatem zabierzemy ich muszkiety, różki z prochem i naboje, zamiast czterech muszkieterów i dwunastu kul, będziemy posiadali strzelb najmniej piętnaście i ze sto pewnych wystrzałów.

— O, Athosie! rzekł Aramis — jesteś naprawdę wielki!

Porthos schylił głowę z uznaniem. D‘Artagnan tylko nie wydawał się przekonany.

Zapewne Grimaud podzielał obawy młodzieńca, bo, widząc, że idą prosto do bastjonu, o czem dotąd powątpiewał, pociągnął swego pana za połę ubrania.

— Dokąd idziemy? — zapytał giestem.

Athos wskazał bastjon.

— Ależ my tam skórę zostawimy — odpowiedział Grimaud na migi.

Athos wzniósł rękę i oczy ku niebu.

Grimaud postawił kosz na ziemi, usiadł i kiwał głową.

Athos wyjął pistolet z za pasa, obejrzał, czy dobrze nabity, odwiódł kurek i przyłożył lufę do ucha Grimaud‘a.

Grimaud zerwał się na równe nogi.

Athos pokazał mu, ażeby wziął kosz i szedł przodem.

Doszedłszy w ten sposób do bastjonu, czterej przyjaciele stanęli i zwrócili się przodem do obozu.

Przeszło trzystu żołnierzy rozmaitej broni zgromadziło się przed obozem; na boku stali: pan de Busigny, dragon, szwajcar i czwarty, który nic nie mówił.

Athos zdjął kapelusz, włożył na koniec szpady, podniósł do góry i powiewał nim w powietrzu.

Zebrani przed obozem zrobili tak samo, dodając jeszcze głośne „hurra! “, które aż do nich doszło.

Poczem zniknęli wszyscy czterej we wnętrzu bastjonu, gdzie ich już Grimaud wyprzedził.

Rozdział XX. Narada muszkieterów

Jak Athos przewidywał, bastjon zajęty był jedynie przez poległych Francuzów i roszelczyków.

— Panowie, — rzekł Athos, który objął dowództwo nad wyprawą — gdy Grimaud zajmie się przygotowaniem śniadania, zacznijmy od zebrania broni i nabojów; możemy pomimo to rozmawiać, wykonywując tę czynność. Ci panowie — dodał, wskazując na nieboszczyków — nie usłyszą nas.

— Możnaby ich powrzucać do fosy — rzekł Porthos — po obejrzeniu wszakże, czy nie mają czego w kieszeniach.

— Tak — rzekł Athos — to należy do Grimaud'a.

— Dobrze — odezwał się d'Artagnan — niechże Grimaud ich zrewiduje i za mur poprzerzuca.

— Niech Bóg broni — rzekł Athos — oni nam się jeszcze przydadzą.

— Jakto!... te trupy nam się przydadzą?... — mówił Porthos. — Oho! w głowie ci się pomieszało chyba, drogi przyjacielu.

— Nie sądź lekkomyślnie, mówi Ewangelja i pan kardynał — odparł Athos — ile tam mamy fuzyj?

— Dwanaście — rzekł Aramis.

— Ile nabojów?...

— Setka przeszło.

— W sam raz tyle co trzeba; nabijmy broń.

Czterech muszkieterów zabrało się do dzieła. Kończyli nabijać ostatnią fuzję, gdy Grimaud dał znak, iż śniadanie gotowe.

Athos odpowiedział także giestem, że zrozumiał, i wskazał Grimaudowi rodzaj strzelnicy, gdzie, jak tenże domyślił się, powinien był stanąć na czatach. Żeby jednak osłodzić pachołkowi przykrość, Athos pozwolił mu zabrać z sobą bochenek chleba, dwa kotlety i butelkę wina.

— A teraz, proszę do stołu! — zawołał.

Czterech przyjaciół zasiadło na ziemi, z podłożonemi pod siebie nogami, jak Turcy na dywanie.

— A!... nareszcie... — zaczął d'Artagnan — teraz spokojny jesteś, że nas nikt nie usłyszy i mam nadzieję, iż wyjawisz nam swą tajemnicę.

— Pewny jestem, moi panowie, że wystarałem się dla was o przyjemność i sławę jednocześnie — mówił Athos. — Przespacerowaliście się cudownie; oczekuje nas śniadanie doskonałe i pięćset osób tam przed obozem, jak to możecie widzieć przez strzelnice, patrzy na nas i ma za szaleńców lub bohaterów; dwa te gatunki głupców, bardzo są do siebie podobne.

— Ależ ten sekret?.. — zapytał d'Artagnan.

— Widziałem milady wczoraj wieczorem — odparł Athos.

D'Artagnan niósł właśnie szklankę do ust; gdy usłyszał wyraz milady, ręka zadrżała mu gwałtownie i postawił wino na ziemi.

— Widziałeś swoją żo...

— Cicho bądź!... — przerwał Athos — zapominasz, że ci panowie nie są świadomi moich spraw małżeńskich; widziałem milady...

— Gdzie na Boga?...

— O dwie mile stąd, w oberży pod Czerwonym Gołębnikiem.

— Kiedy tak, to już po mnie — rzekł d'Artagnan.

— Niezupełnie — podjął Athos — albowiem o tej godzinie powinna ona już była opuścić brzegi Francji.

D'Artagnan odetchnął.

— Ależ powiedzcie, proszę — zapytał Porthos — co to za jedna ta milady?

— Prześliczna kobietka — odrzekł Athos, kosztując wina musującego ze szklanki. — O!... łotr oberżysta! — wykrzyknął — wpakował nam wino andegaweńskie zamiast szampańskiego i myśli, że się nie poznamy!... Tak — mówił dalej — prześliczna kobietka, u której d'Artagnan miał łaski, lecz nie wiem, co tam przeskrobał, dość że zapragnęła się zemścić. Przed miesiącem nasadziła na niegozbójów z muszkietami, przed tygodniem chciała go otruć, a wczoraj zażądała głowy jego od kardynała.

— Jakto!... żądała głowy mojej od kardynała?... — krzyknął d'Artagnan, blady z przerażenia.

— Tak — odezwał się Porthos — to prawda, Jak Ewangelja; na własne uszy słyszałem.

— I ja także — dodał Aramis.

— Kiedy tak — rzekł d'Artagnan, opuszczając ręce, — na nic się nie przyda walczyć dłużej; lepiej sobie w łeb palnąć odrazu.

— To jest ostatnie głupstwo, jakie się robi, — mówił Athos — bo niema już na nie lekarstwa.

— Ależ nie zdołam wymknąć się wrogom tak potężnym. Najpierw nieznajomy z Meung; następnie de Wardes pokłuty przezemnie szpadą; potem milady, której tajemnice odkryłem; nakoniec kardynał, którego zemsta spełzła na niczem z mojego powodu.

— Więc jest ich czworo — rzekł Athos — i nas jest czterech, liczba zatem jednakowa... Na Boga!... jeśli wierzyć pantominom Grimauda, będziemy mieli do czynienia z daleko większą liczbą nieprzyjaciół. Co tam takiego, Grimaud? — rzekł Athos. — Ze względu na ważność okoliczności, pozwalam ci mówić, mój przyjacielu; tylko mów zwięźle, proszę cię. Coś ujrzał?

— Oddział.

— Z ilu osób?...

— Dwudziestu.

— Jacy to ludzie?

— Szesnastu pionierów, czterech żołnierzy.

— Jak są daleko?

— O pięćset kroków.

— Dobrze; mamy jeszcze czas dokończyć pieczyste i wypić za zdrowie twoje, d'Artagnanie.

— Za twoje zdrowie! — powtórzyli Porthos i Aramis.

— Niechże będzie za moje zdrowie! chociaż nie wierzę, aby wasze życzenia przydały się na wiele...

— Ba! — rzekł Athos — Bóg jest wielki, jak mówią wyznawcy Mahometa, a przyszłość jest w Jego rękach.

Następnie wypił wino, postawił szklankę, podniósł się niedbale, wziął pierwszą z brzegu fuzję i stanął przy strzelnicy.

Porthos, Aramis i d'Artagnan uczynili tak samo. Grimaud otrzymał rozkaz stania poza panami i nabijania broni.

Niezadługo ujrzeli oddział nieprzyjacielski; wsuwał się on w podkop forteczny, stanowiący komunikację pomiędzy bastjonem a miastem.

— Do licha! — zawołał Athos — warto było ruszać się z miejsca dla dwudziestu hultajów, uzbrojonych w motyki i łopaty! Grimaud mógłby był kiwnąć na nich, aby precz poszli, jestem przekonany, że byliby nas pozostawili w spokoju.

— Wątpię, — rzekł d'Artagnan — bo jakoś odważnie się podsuwają. A jest tam pomiędzy nimi czterech żołnierzy i brygadjer z muszkietami.

— Bo nas jeszcze nie spostrzegli — odrzekł Athos.

— Na honor! — odezwał się Aramis — wyznaję, iż czuję wstręt do celowania w tych nędznych mieszczan.

— Zły to ksiądz — przerwał Porthos — który ma litość dla heretyków!

— Słusznie mówi Aramis — odezwał się Athos — zaraz ja ich uprzedzę.

— Co ty robisz, u djabła? — zawołał d'Artagnan — chcesz dostać kulą, mój drogi?

Athos nie zwrócił uwagi na ostrzeżenie i, stanąwszy w otworze muru, z fuzją z jednej, a z kapeluszem w drugiej ręce:

— Panowie — przemówił do żołnierzy i robotników, którzy, zdumieni zjawiskiem niespodziewanem, stanęli o pięćdziesiąt kroków od bastjonu, a on im kłaniał się grzecznie. — Panowie! moi przyjaciele i ja zajęci jesteśmy właśnie spożywaniem śniadania tu, w tym bastjonie. Otóż, wiadomo wam, jak to nieprzyjemnie być odrywanym od śniadania, i dlatego prosimy panów, jeżeli już koniecznie musicie wziąć się do roboty, abyście zaczekali, aż dokończymy naszego posiłku, lub przyszli trochę później; a może, co byłoby najwłaściwsze, abyście powzięli zbawienną myśl rozstania się z buntownikami i przyszli wypić z nami za zdrowie króla Francji!

— Uważaj, Athosie! — zawołał d'Artagnan — czy nie widzisz, że biorą cię na cel?

— Widzę, widzę — rzekł Athos — lecz te mieszczuchy nie potrafią strzelać i nie odważą się zadrasnąć mnie nawet.

Rozległ się odgłos czterech strzałów, kule utkwiły w murze koło Athosa, żadna go nie trafiła. Odpowiedziano im w tej chwili, lecz z lepszym skutkiem; trzech żołnierzy z pomiędzy napastników padło trupem i jeden robotnik ranę otrzymał.

— Grimaud, muszkiet świeży! — mówił Athos, stojąc ciągle na wyłomie.

Grimaud podał broń natychmiast. Jednocześnie i trzech przyjaciół nabiło broń; dano ognia powtórnie: brygadjer i dwóch pionierów padli nieżywi, reszta oddziału zaczęła się cofać.

— Dalej, panowie! urządźmy małą wycieczkę — rzekł Athos.

Czterej przyjaciele wybiegli z fortu, dotarli aż do pola bitwy, zabrali cztery muszkiety żołnierzom i małą dzidę brygadjera; a przekonani, że uciekinierzy nie oprą się aż w mieście, wrócili do bastjonu, obciążeni trafeami zwycięstwa.

— Nabijaj broń, Grimaudzie — rzekł Athos — a my, panowie, wróćmy do śniadania i do naszej poprzedniej rozmowy. Na czemże stanęliśmy?

— Przypominam sobie, — odezwał się d'Artagnan — jak mówiłeś, że po żądaniu głowy mojej od kardynała, milady opuściła brzegi Francji. Dokądże się udała?

— Do Anglji — odpowiedział Athos.

— W jakim celu?

— Aby sama zamordowała, lub kazała zamordować Buckinghama.

D'Artagnan wydał okrzyk zdziwienia i oburzenia zarazem.

— Ależ to haniebne! — zawołał.

— O! — rzekł Athos — wierzaj mi, to mnie obchodzi bardzo mało... A teraz, kiedyś skończył nabijanie, Grimaud — ciągnął Athos — weź dzidę brygadjera, uwiąż na niej serwetę i zatknij na szczycie bastjonu, niech buntownicy z Roszelli widzą, iż mają do czynienia z walecznymi i wiernymi żołnierzami króla.

Grimaud usłuchał bez odpowiedzi.

W chwilę potem sztandar biały powiewał nad głowami czterech przyjaciół: burza oklasków powitała ukazanie się chorągwi; połowa obozu wyległa na wały.

— Jakto! — podjął d'Artagnan — tak mało cię obchodzi, czy ona zabije lub każe zabić Buckinghama? Przecież książę jest naszym przyjacielem?

— Książę jest Anglikiem, książę walczy przeciw nam; niech robi z księciem, co jej się podoba, tyle mnie to obchodzi, co próżna butelka.

Athos cisnął daleko od siebie butelkę, z której właśnie wysączył wino do ostatniej kropli.

— Za pozwoleniem — rzekł d'Artagnan — ja nie tak myślę o Buckinghamie; dał nam przecież owe piękne konie.

— A nadto prześliczne siodła — dodał Porthos, który miał właśnie na sobie płaszcz, przybrany galonami od siodła.

— Wreszcie — odezwał się Aramis — Bóg chce nawrócenia, a nie śmierci grzesznika.

— Amen — podchwycił Athos — wrócimy do tego później, jeśli taka wola wasza; lecz na razie chodziło mi przeważnie o odebranie tej kobiecie pewnego upoważnienia na okaziciela, jakie wydarła kardynałowi, i za pomocą którego miała bezkarnie pozbyć się ciebie, a może i nas wszystkich.

Ależ to djabeł nie kobieta — odezwał się Porthos, podsuwając swój talerz do Aramisa, który właśnie rozkrawał jedzenie.

— A ten blankiet — rzekł d'Artagnan, — ten blankiet pozostał w jej rękach?

— Nie, przeszedł już do moich; choć nie powiem, że z łatwością, bobym skłamał.

— Kochany Athosie! — zawołał d'Artagnan — ileż razy już zawdzięczam ci życie.

— Więc to dlatego, żeby wrócić do niej, wyjechałeś sam naprzód? — zapytał Aramis.

— Tak.

— Czy masz ten list kardynała? — rzekł d‘Artagnan.

— Oto jest — odparł Athos, wyjmując papier szacowny z kieszeni kaftana.

D‘Artagnan rozwinął go drżącemi rękami i czytał:

„Z mojego rozkazu i dla dobra państwa okaziciel niniejszego zrobił to, co zrobił.

3 grudnia 1627 roku.

Richelieu.”

— W rzeczy samej — odezwał się Aramis — jest to rozgrzeszenie. według wszelkich reguł.

— Trzeba podrzeć ten papier — rzekł d‘Artagnan, któremu się zdawało, iż czyta wyrok śmierci na siebie.

— O! przeciwnie — przerwał Athos — trzeba go zachować starannie, nie oddałbym tego świstka, gdyby go nawet wzamian nakryto złotem.

— Cóż ona teraz przedsięweźmie? — zapytał młodzieniec.

— Zdaje mi się — rzekł Athos niedbale — napisze prawdopodobnie do kardynała, że jakiś potępieniec muszkieter, nazwiskiem Athos, wydarł jej przemocą list bezpieczeństwa, i poradzi mu, ażeby pozbył się jednocześnie z nim, dwóch przyjaciół jego, Porthosa i Aramisa. Kardynał przypomni sobie, że tych ludzi ciągle na swej drodze spotyka… i pewnego pięknego poranku każe aresztować d‘Artagnana, ażeby zaś nie nudził się bardzo w samotności, pośle nas dla jego towarzystwa do Bastylji.

— E! do licha! — wtrącił Porthos — twoje żarty wcale nie są zabawne, mój drogi.

— Ja nie żartuję — odparł Athos.

— Wiesz co, — dodał Porthos — że ukręcić łeb tej przeklętej milady, byłoby mniejszym grzechem, niż zabijać tych biedaków hugonotów, których cała wina na tem polega, że śpiewają po francusku psalmy, które my śpiewamy po łacinie.

— Cóż na to ksiądz dobrodziej? — zapytał Athos spokojnie.

— Mówię, że podzielam zdanie Porthosa — odpowiedział Arainis.

— O! i ja także! — dodał d‘Artagnan.

— Co za szczęście, że jest ona daleko — wtrącił Porthos — bo tutaj bardzoby nam przeszkadzała.

— Przeszkadza mi ona i w Anglji tak samo, jak i we Francji — rzekł Athos.

— Ona mi wszędzie zawadza — dodał d‘Artagnan.

— Ależ miałeś ją w rękach, Athosie, — wtrącił Porthos — dlaczegoś jej nie utopił, nie zadusił, albo nie powiesił? przecież tylko umarli nie powracają.

— Tak sądzisz, Porthosie? — odrzekł muszkieter z ponurym uśmiechem, zrozumianym tylko przez d'Artagnana.

— Przychodzi mi do głowy... — zaczął d'Artagnan.

— Co takiego? — odezwali się muszkieterzy.

— Do broni! — zawołał Grimaud.

Młodzieńcy zerwali się z miejsc i schwycili fuzje.

Tym razem zbliżał się mały oddziałek, złożony z dwudziestu do dwudziestu pięciu ludzi; nie byli to już robotnicy, lecz żołnierze z załogi.

— A gdybyśmy już powrócili do obozu? — odezwał się Porthos — zdaje mi się, że gra teraz nierówna.

— Niepodobna, a to dla trzech powodów — odparł Athos — po pierwsze nieskończyliśmy śniadania; po drugie mamy jeszcze wiele sobie do powiedzenia i to rzeczy wielkiej wagi, po trzecie brakuje jeszcze dziesięciu minut do oznaczonej godziny.

— Trzeba jednak ułożyć plan bitwy — rzekł Aramis.

— To bardzo proste — odparł Athos — skoro nieprzyjaciel zbliży się na odległość strzału, damy ognia; jeżeli zaś pomimo to dalej posuwać się będzie, damy znów ognia i strzelać tak będziemy, dopóki nabojów starczy; jeżeli zaś reszta, jaka pozostanie z oddziału, zechce szturm przypuścić, pozwolimy oblegającym dotrzeć aż do fosy, a wtedy zepchniemy im na głowy ten kawał muru, który utrzymuje się jedynie jakimś cudem w równowadze.

— Brawo!... — zawołał Porthos — ty, Athosie, stanowczo urodziłeś się na dowódcę, a kardynał, który ma się za wielkiego wojownika, niczem jest przy tobie.

— Panowie — rzekł Athos — nie wolno pudłować, proszę was, bierzcie na cel każdy swojego człowieka.

— Mam już mojego — rzekł d'Artagnan.

— I ja mojego — odezwał się Porthos.

— Ja idem — dodał Aramis.

— Zatem ognia!... — zakomenderował Athos.

Cztery strzały padły, jak jeden; czterech ludzi powaliło się na ziemię.

Zabębniono i mały oddział zbliżał się krokiem podwójnym.

Teraz strzały następowały już nie miarowe, lecz zawsze jednakowo celne.

Pomimo to roszelanie, jak gdyby wiedzieli o małej liczbie oblężonych, szli naprzód coraz prędzej.

Na trzy strzały dwóch ludzi padało, pozostali jednakże nie zwalniali kroku.

Nieprzyjaciół, gdy się dostali do stóp bastjonu, było jeszcze dwunastu do piętnastu; przyjęły ich strzały ostatnie, lecz nie powstrzymały wcale; skoczyli do fosy i chcieli wdzierać się na mury.

— Dalej, przyjaciele!.. — rzekł Athos — skończmy odrazu: do muru! do muru!

Wszyscy czterej z pomocą Grimauda jęli pchać kolbami muszkieterów kawał muru, który począł chwiać się od wiatru i, oderwawszy się od podstawy, spadł z łoskotem okrutnym do fosy: dał się słyszeć następnie jeden wielki okrzyk, chmura kurzu wzniosła się pod niebiosa i po wszystkiem...

— Czyżbyśmy ich zmiażdżyli co do nogi?... — odezwał się Athos.

— Na honor!... coś na to wygląda — rzekł d'Artagnan.

— Nie — dodał Porthos — widzę oto, jak dwóch czy trzech zmyka, utykając na nogi.

W samej rzeczy kilku biedaków, pokrytych krwią i kurzem, uciekało drogą ku miastu: tyle ich tylko pozostało z całego oddziału.

Athos spojrzał na zegarek.

— Panowie — rzekł — godzina już upłynęła odkąd tu się znajdujemy i zakład już wygrany; lecz trzeba pokazać, co umiemy, a w dodatku d'Artagnan nie opowiedział nam swojego pomysłu.

— Pomysłu mojego?... — zapytał d'Artagnan.

— Tak... wszak mówiłeś, że ci dobra myśl przyszła do głowy?

— A! przypominam sobie: otóż wyruszam do Anglji po raz drugi i idę prosto do Buckinghama.

— Nie zrobisz tego d'Artagnanie — rzekł Athos surowo.

— Dlaczego?... czy już raz tego nie zrobiłem?

— Tak, lecz wtedy nie byliśmy na stopie wojennej; wtedy pan Buckingham był naszym sprzymierzeńcem a nie wrogiem; to, co chcesz zrobić, wyglądałoby na zdradę.

D'Artagnan uznał słuszność dowodzenia i nic nie odpowiedział.

— Czekajcie — rzekł Porthos — zdaje się, że i mnie coś do głowy przychodzi.

— Słuchajmy pomysłu pana Porthosa!... — odezwał się Aramis.

— Proszę o urlop pana de Tréville pod jakimkolwiek pozorem, który wy już wymyślicie: ja nie bardzo jestem sprytny do wynajdywania pozorów, przyznaję... Milady nie zna mnie wcale, zbliżam się do niej, ona mi zaufa, a jak dostanę w ręce piękną panią, to ją uduszę.

— Nieźle!... — odrzekł Athos — podoba mi się pomysł Porthosa, możebym się nawet zgodził na niego...

— Wstydźcie się!... — przerwał Aramis — zabijać kobietę! Nie; posłuchajcie, ja mam prawdziwie dobry pomysł.

— Powiedz, Aramisie — rzekł Athos, który bardzo poważał młodego muszkietera.

— Trzeba uprzedzić królową!

— O! na honor! to racja — powiedzieli razem Porthos i d'Artagnan — znaleźliśmy sposób nareszcie.

— Uprzedzić królową!... — rzekł Athos — w jaki sposób? Czy mamy stosunki u dworu? Alboż możemy posłać kogo do Paryża, zarazby dowiedziano się o tem w obozie? Stąd do Paryża sto czterdzieści mil; list nasz byłby w Angers zaledwie, a my siedzielibyśmy już w więzieniu.

— Jeżeli chodzi o doręczenie listu Jej Królewskiej Mości — odezwał się Aramis, rumieniąc się jak panienka — ja się tego podejmę; znam w Tours pewną osobę, bardzo zręczną...

Aramis umilkł, spostrzegłszy uśmiech Athosa.

— Więc uważasz ten środek za niemożebny, Athosie?... — zapytał d'Artagnan.

— Niezupełnie — odparł Athos — chciałem jedynie zwrócić uwagę Aramisa, iż nie może opuszczać obozu i że nikomu zaufać niepodobna; że w dwie godziny po wyprawieniu posłańca policja cała, wszystkie czarne duchy kardynała będą umieli twój list na pamięć i wpakują do więzienia ciebie i twoją zręczną osóbkę.

— Nie biorąc w rachubę tego — rzekł Porthos — że królowa ocali pana Buckinghama, ale nas nie zasłoni przed zemstą kardynała.

— Panowie — dodał d'Artagnan — Porthos powiedział najświętszą prawdę.

— A! a! co tam się dzieje w mieście — przerwał Athos.

— Biją bębny na alarm.

Czterech przyjaciół umilkło i słuchało. Rzeczywiście odgłos bębnów dochodził wyraźnie.

— Zobaczycie, że oni nam tu cały pułk sprowadzą — rzekł Athos.

— Nie myślisz przecie trzymać się tutaj wobec całego pułku? — mówił Porthos.

— Dlaczego nie?... — przerwał muszkieter — mam wielką ochotę; stawiłbym czoło całej armji, gdybyśmy byli zabrali z sobą choć tuzin butelek więcej...

— Daję słowo, że słychać bębny coraz bliżej — rzekł d'Artagnan.

— Pozwól im podejść blisko — mówił Athos — kwadrans drogi oddziela nas od miasta. Więcej to czasu, niż potrzebujemy, ażeby się zastanowić; jeżeli stąd się

wyniesiemy, nie znajdziemy już nigdzie miejsca, równie odpowiedniego. A oto właśnie, moi panowie, mnie teraz przychodzi do głowy myśl doskonała.

— Mów...

— Pozwólcie mi wydać Grimaudowi kilka poleceń nieodzownych.

Athos skinął na służącego.

— Grimaud — rzekł Athos, wskazując na nieboszczyków koło bastjonu — weź tych panów podnieś i ustaw rzędem pod ścianą, włóż im kapeulsze na głowy a fuzje wpakuj im w łapy.

— O! wielki człowieku!... — wykrzyknął d'Artagnan — zaczynam cię pojmować.

— Zrozumiałeś go?... — rzekł Porthos.

— A ty czy rozumiesz, Grimaudzie?... — zapytał Aramis.

Grimaud dał znak, że wie, o co chodzi.

— Tego tylko potrzeba — rzekł Athos — a teraz powróćmy do mego projektu.

— A jednak i jabym chciał zrozumieć — przerwał Porthos.

— To zbyteczne.

— Tak, tak, zaczynaj; jaki jest twój pomysł? — zawołali razem Aramis i d'Artagnan.

— Milady, ta kobieta, ten potwór, ten szatan, ma szwagra, jakeś mi to mówił, d'Artagnanie.

— Znam go doskonale i zdaje mi się, że nie żywi on wielkiej sympatji dla bratowej.

— Nic w tem złego — rzekł Athos — gdyby ją nienawidził nawet, lepiejby jeszcze było.

— W takim razie mamy to, czego potrzeba.

— A jednak — przerwał Porthos — chciałbym koniecznie wiedzieć, co i dlaczego robi Grimaud.

— Cicho, Porthosie!... — rzekł Aramis.

— Jak się ten szwagier nazywa?

— Lord de Winter.

— Gdzie się znajduje obecnie?

— Wrócił do Londynu na pierwszą wieść o wojnie.

— Takiego człowieka właśnie potrzebujemy — mówił Athos — jego wypada uprzedzić o wszystkiem: doniesiemy mu, że zacna jego bratowa zamierza spełnić morderstwo i prosić będziemy, żeby ją miał na oku. Spodziewam się, iż jest w Londynie jaki zakład, w rodzaju Magdalenek, lub Sióstr Pokutujących; zamknie tam panią bratową i będziemy spokojni.

— Tak — rzekł d‘Artagnan — dopóki się stamtąd nie wymknie.

— O! na honor — mówił Athos — za wiele wymagasz, kochany d‘Artagnanie, dałem, co mogłem i uprzedzam, że nic lepszego już wymyślić nie potrafię.

— Ja uważam, że nie można wymyślić nic lepszego — rzekł Aramis — uprzedzamy jednocześnie królową i lorda de Winter.

— Dobrze, ale kto zawiezie listy do Tours i do Londynu?

— Ręczę za Bazina.

— A ja za Plancheta — dodał d‘Artagnan.

— W samej rzeczy, — odezwał się Porthos — jeżeli nam nie wolno opuszczać obozu, nasi służący mogą to uczynić w każdej chwili.

— Damy im pieniędzy — ciągnął Athos — macie przecież pieniądze?

Przyjaciele spojrzeli po sobie; chmura smutku osiadła na czołach, na chwilę rozjaśnionych.

— Baczność! — krzyknął d‘Artagnan — widzę punkciki czarne i czerwone, poruszające się w oddali; coś ty mówił o jednym pułku, Athosie? to armja prawdziwa.

— Na honor! tak jest — potwierdził Athos. — Widzisz ich, hipokrytów obrzydłych! podchodzą nas cichutko! Hola! Grimaud, skończyłeś robotę?

Grimaud dał znak, że ukończył, i wskazał kilkunastu truposzów, poustawianych w pozach malowniczych; jedni stali pod bronią; jak na warcie, inni celując z muszkietów, inni znów ze szpadą w ręce.

— Brawo! — rzekł Athos — czyni to honor bujnej fantazji.

— Wszystko mi jedno — zaczął znów Porthos — chciałbym jednakże zrozumieć…

— Zmykajmy najpierw — rzekł d‘Artagnan — potem zrozumiesz…

— Chwilkę, panowie, chwileczkę, niech Grimaud sprzątnie nakrycie.

— Oho! — zawołał Aramis — otóż punkciki czarne i czerwone powiększają się nader widocznie; podzielam zdanie d‘Artagnana; sądzę, że nie trzeba tracić czasu.

— Na uczciwość — rzekł Athos — nie mam już nic przeciw rejteradzie; założyliśmy się o godzinę, siedzieliśmy półtorej; nie opieram się zatem; wychodźmy, panowie, wychodźmy.

Grimaud już ich wyprzedził z nakryciem w koszu.

Czterech zuchów podążyło za nim i byli już kawałek drogi.

— A! do djabła, — krzyknął Athos — cośmy uczynili najlepszego?

— Zapomniałeś czego? — zapytał Aramis.

— A sztandar, na Boga! nie trzeba zostawiać swojej chorągwi, choćby ta chorągiew była jedynie serwetą.

Athos puścił się pędem z powrotem, dopadł bastjonu, wdrapał się na platformę i zerwał sztandar, ale roszelczycy zbliżyli się już na odległość strzału i dali ognia strasznego do człowieka, który, jakby dla przyjemności, wystawiał się na strzały. Możnaby rzec, iż czary jakieś osłaniały Athosa, kule świstały dokoła niego, a żadna ani drasnęła. Athos potrząsł sztandarem, zwracając się tyłem do załogi miasta, a salutując wojsko w obozie.

Z dwóch stron wielki krzyk powstał; z jednej strony był to okrzyk wściekłości, z drugiej uwielbienia.

Druga kanonada nastąpiła po pierwszej; trzy kule trafiły serwetę i dziurawiąc, uczyniły z niej prawdziwy sztandar! Obóz cały wrzeszczał: Schodź na dół! Schodź prędzej!

Athos zszedł nareszcie: przyjaciele oczekiwali go z niepokojem, powitali z radością.

— Chodźmy, Athosie, chodźmy — rzekł d'Artagnan — wyciągajmy nogi; teraz, kiedyśmy wszystko znaleźli, prócz pieniędzy, byłoby głupio dać się zabić.

Lecz Athos kroczył wciąż poważnie, pomimo nalegań przyjaciół, którzy, przekonawszy się wreszcie, że nic nie wskórają, zastosowali się do niego zupełnie.

— Co to jest? — zapytał Porthos — do czego oni strzelają? nie słyszę ani gwizdania kul, ani też nie widzę nikogo.

— Walą w naszych truposzów — odparł Athos.

— Ależ oni im nie odpowiedzą?

— Rzeczywiście; pomyślą, że to zasadzka i zaczną się naradzać; wyślą parlamentarza, i kiedy przekonają się, że to żart jedynie, będziemy już daleko. Dlatego nie potrzebujemy męczyć się szybkiem chodzeniem.

— A! teraz zrozumiałem! — rzekł Porthos zachwycony.

— No, przecie! — mruknął Athos, wzruszając ramionami.

Francuzi, widząc naszych przyjaciół, powracających wolnym krokiem, nie ustawali w okrzykach uwielbienia.

Nakoniec dała się słyszeć nowa kanonada: tym razem kule płaszczyły się o kamienie na drodze dokoła czterech przyjaciół i gwizdały grobowo około uszów. Roszelanie zdobyli bastjon nareszcie.

— To ludzie bardzo niezręczni — odezwał się Athos — iluśmy ich tam trupem położyli? dwunastu?

— Może piętnastu.

— Ilu zmiażdżyliśmy?

— Ośmiu lub dziesięciu.

— A my ani draśnięcia?... O! co to jest! co ci w rękę, d'Artagnanie? krew, jeśli się nie mylę.

— Bagatela — rzekł d'Artagnan.

— Kula zbłąkana?

— E! nie.

— Więc cóż zatem?

Mówiliśmy już, że Athos kochał d'Artagnana, jak dziecko własne; człowiek ten, niezłomny i zamknięty w sobie, okazywał niekiedy młodzieńcowi troskliwość iście ojcowską.

— Nic wielkiego — odparł d'Artagnan — ściana przygniotła mi palec, ten oto z pierścieniem i kamień zranił mnie do krwi...

— Ot widzisz, jaka to korzyść z posiadania djamentów i strojenia się, jak fanfaron — rzekł Athos z pogardą.

— Jakto? — zawołał Porthos — djament jest i my się uskarżamy na brak pieniędzy?

— Racja! — rzekł Aramis.

— Nareszcie i Porthos podał myśl dobrą.

— Bezwątpienia — odparł Porthos dumny z pochwały Athosa — ponieważ jest djament, sprzedajmy go...

— Ależ ten pierścień od królowej pochodzi — przerwał d'Artagnan.

— Tembardziej — podchwycił Athos — królowa ocala pana Buckinghama, swego kochanka; to bardzo słuszne, królowa nas ocala, swoich przyjaciół wiernych, nic moralniejszego: sprzedajmy zatem djament. Cóż pan opat o tem myśli? Nie pytam o zdanie Porthosa, on już je wygłosił.

— Myślę, — rzekł Aramis, czerwieniąc się — że pierścień jego nie pochodzi od kochanki, nie jest zatem zakładem miłości; d'Artagnan może go sprzedać.

— Mój drogi, mówisz, jak uosobiona teologja. Więc twojem zdaniem?...

— Sprzedać pierścionek — odrzekł Aramis.

— Kiedy tak, — rzekł d'Artagnan wesoło — sprzedajmy djament i więcej o nim nie mówmy.

Strzelanie z bastjonu nie ustawało, lecz mało to obchodziło czterech przyjaciół, albowiem kule już ich nie dosięgały, a roszelanie strzelali tylko dla zaspokojenia sumienia.

— Na honor, w sam czas Porthos wystąpił ze swoim projektem, bo oto jesteśmy w obozie. Zatem, panowie, ani słowa więcej o tym interesie. Patrzą na nas, idą na spotkanie; zapewne porwą nas na ręce i poniosą triumfalnie.

W samej rzeczy, jak to już mówiliśmy, obóz cały był w ruchu: z górą dwa tysiące osób przypatrywało sięszczęśliwej junakerji czterech przyjaciół; a nikt się nie domyślał prawdziwego jej powodu.

Rozlegały się okrzyki dokoła: niech żyje gwardja! niech żyją muszkieterowie!

Pan de Busigny podszedł pierwszy do Athosa, uścisnął mu ręce i przyznał, że zakład przegrany. Dragon i Szwajcar podążyli za panem de Busigny, a za nimi wszyscy ich towarzysze.

Nastąpiły powinszowania, uściski rąk, pocałunki do nieskończoności i wybuchy śmiechu niepohamowanego, z powodu niezaradności roszelanów. Nakoniec zgiełk powstał tak okropny, że pan kardynał myślał, iż to bunt chyba; wysłał La Houdinièra, kapitana straży swojej, aby dowiedział się, co to znaczy.

Opowiedziano rzecz całą wysłańcowi z ubarwieniem, jak zwykle, pod wrażeniem uniesienia.

— No, cóż tam takiego? — zapytał kardynał, ujrzawszy La Houdinièra.

— A to, Eminencjo — rzekł tenże — że trzech muszkieterów i jeden gwardzista założyli się z panem de Busigny, iż zjedzą śniadanie w bastjonie Świętego Gerwazego; poszli tam i, jedząc, odpierali nieprzyjaciela przez dwie godziny i natłukli masę ogromną roszelczyków.

— Czy dowiedziałeś się, jak się nazywają ci trzej muszkieterowie?

— Tak, Eminencjo.

— Jakże się nazywają?

— Panowie: Athos, Porthos i Aramis.

— Zawsze ci trzej waleczni!... — mruknął kardynał! — A gwardzista?...

— Pan d'Artagnan.

— Zawsze mój młody zapaleniec!... Stanowczo ci ludzie muszą do mnie należeć.

Wieczorem kardynał rozmawiał z panem de Tréville o wyprawie porannej; cały obóz o tem mówił jedynie.

Pan de Tréville, który słyszał o wszystkiem od bohaterów wycieczki, opowiedział ją kardynałowi również ze wszystkiemi szczegółami, nie pominąwszy epizodu z serwetą.

— Dobrze, panie de Tréville — rzekł kardynał — zachowaj tę serwetę. Każę na niej wyhaftować trzy lilje złote i dam ją, jako sztandar dla twego pułku.

— Eminencjo — odrzekł pan de Tréville — będzie to z ujmą dla gwardji; pan d'Artagnan nie należy do mnie, lecz do pana Desessarts.

— No, to go sobie zabierz — odrzekł kardynał — niesłusznem jest, aby tych czterech kochających się dzielnych wojowników, nie było razem w jednym pułku.

Tego samego dnia pan de Tréville, oznajmił wieść dobrą trzem muszkieterom i d'Artagnanowi i zaprosił ich na śniadanie na dzień następny.

D'Artagnan nie posiadał się z radości.

Wiadomo iż marzeniem jego życia było zostać muszkieterem.

Trzej przyjaciele byli także uradowani niesłychanie.

— Na uczciwość — rzekł d'Artagnan do Athosa — pomysł twój był wzniosły i, jak przepowiedziałeś, okryliśmy się chwałą, a w dodatku mogliśmy tam porozmawiać o rzeczach wielkiego znaczenia.

— Możemy obecnie i tu się naradzać, a nikt nas podejrzewać nie będzie, albowiem, z pomocą Boga, możemy uchodzić teraz za kardynalistów.

D'Artagnan poszedł złożyć uszanowanie panu Desessarts i oznajmił mu o swojem wyniesieniu.

Pan Desessarts lubił bardzo d'Artagnana i ofiarował mu pomoc pieniężną, ponieważ zmiana kompanji pociągnęła za sobą wydatki na umundurowanie.

D'Artagnan odmówił, lecz korzystając ze sposobności, zostawił mu djament, prosząc, aby go ocenił, gdyż, potrzebując pieniędzy, pragnie go sprzedać.

Nazajutrz, o ósmej zrana, lokaj pana Desessarts wszedł do d'Artagnana i oddał mu woreczek złota, zawierający siedem tysięcy liwrów.

Była to wartość djamentu królowej.

Rozdział XXI. Interesy familijne

Tak Athos nazwał obecne zajęcie. Sprawa rodzinna nie podlegała kontroli kardynała, ani też obchodziła kogokolwiek; można było zajmować się nią otwarcie.

Athos zatem wynalazł miano: Interesy familijne.

Aramis poddał myśl użycia pachołków.

Porthos wynalazł sposób wykonania, którym był: Djament królowej.

D‘Artagnan jedynie nic nie odkrył, on, najpomysłowszy zwykle z nich czterech; przyznać wypada, że jego paraliżowało samo to słowo... milady.

A!... prawda... zapomnieliśmy: odkrył on kupca na djament!

Śniadanie u pana de Tréville odbyło się wesoło i przyjemnie. D‘Artagnan miał już na sobie mundur. Ponieważ był jednakowego wzrostu z Aramisem, ten zaś, jak wiadomo, hojnie zapłacony przez księgarza, nabywcę poematu, kazał sobie zrobić parę kompletnych ubrań, — odstąpił przeto przyjacielowi całe umundurowanie.

D‘Artagnan byłby już u szczytu marzeń, gdyby nie myśli o milady, które na podobieństwo groźnej chmury, zasłaniały mu horyzont.

Po śniadaniu postanowiono zejść się wieczorem w mieszkaniu Athosa i tam ostatecznie naradzić się, co dalej czynić. Nasz gaskończyk spędził dzień cały, na pokazywaniu się w ubraniu muszkieterskiem po wszystkich ulicach obozu.

Wieczorem, o umówionej godzinie, czterech przyjaciół znalazło się razem; należało postanowić trzy rzeczy: Conapisać do brata milady? Co napisać do zręcznej osóbki w Tours? I którzy ze służących poniosą te listy?

Każdy zalecał swego.

Athos wychwalał dyskrecję Grimaud‘a, mówiącego tylko wtedy, gdy mu pan jego gębę odsznurował; Porthos rozpowiadał o sile Mousquetona, który był tak ogromny, że mógł dać radę czterem ludziom zwyczajnego wzrostu; Aramis, ufając zręczności Bazina, wysławiał zdolności swego kandydata; nakoniec d‘Artagnan pokładał ufność nieograniczoną w odwadze i śmiałości Plancheta i przypominał, jak się popisał w trudnej wyprawie londyńskiej.

Cztery te doskonałości długo walczyły o pierwszeństwo, a panowie ich rozprawiali i starali się dowieść, że każdy ma rację, czego powtarzać nie będziemy z obawy przed nudzeniem czytelnika.

— Niestety — rzekł Athos — ten, którego wyślemy, powinien posiadać cnoty wszystkich czterech.

— A gdzież znaleźć podobnego lokaja?

— Niema takiego na świecie — dodał Athos — wiem o tem doskonale: weźcie zatem Grimauda.

— Weźcie Mosquetona.

— Weźcie Plancheta; on jest odważny zręczny; to dwie najważniejsze zalety.

— Panowie — odezwał się Aramis — nie chodzi tu o to, który z naszych służących jest najdyskretniejszy, najsilniejszy, najzręczniejszy lub najodważniejszy; przedewszystkiem trzeba wiedzieć, który z nich najbardziej lubi pieniądze.

— Święta prawda, Aramisie — odparł Athos — trzeba rachować na wady ludzkie, a nie na cnoty. Księże szanowny!... jesteś wielkim moralistą.

— Zapewne — rzekł Aramis — bo nietylko potrzebujemy być dobrze obsłużeni, aby się nam udało, ale jeszcze musimy się zabezpieczyć od przegranej, bo idzie tu o głowy, i to nie o lokajskie...

— Ciszej Aramisie!...

— Prawda: lokaje wyjdą cali, — ciągnął Aramis — ale ich panowie! Czy służący nasi są tak nam oddani, aby poświęcali życie swoje dla nas? Nie, z pewnością nie...

— Na honor — odezwał się d'Artagnan — ręczyłbym prawie za Plancheta.

— Kiedy tak, kochany przyjacielu, dodaj zatem do jego wierności dobrą sumkę pieniędzy, która zapewniłaby mu dostatek, a wtedy będziesz mógł ręczyć za niego z pewnością.

— O!... Boże wielki!... i tak zostaniecie oszukani rzekł Athos, wielki pesymista, gdy szło o ludzi. Przyrzekną wam wszystko, aby dostać pieniędzy, a w drodze strach im rozum odbierze. Gdy ich złapą, zastraszą, wygadają najtajniejsze polecenia. Cóż u djabła?... przecież nie jesteśmy dziećmi!... Aby dotrzeć do Anglji — Athos zniżył głos — trzeba przebyć całą Francję, zasianą szpiegami i kreaturami kardynała; trzeba paszportu, aby móc wsiąść na okręt; trzeba umieć po angielsku, aby dać sobie radę w Londynie. Przyznam się, że to mi się bardzo trudnem wydaje...

— Ależ gdzietam — rzekł d'Artagnan, który pragnął, ażeby rzecz przyszła do skutku — podług mnie, przeciwnie, niema nic łatwiejszego. Ma się rozumieć, że, gdy wypiszemy do lorda de Winter niestworzone rzeczy, okropności o kardynale...

— Ciszej! — przerwał Athos.

— O intrygach i tajemnicach stanu — ciągnął d'Artagnan, stosując się do przestrogi — wtedy bezwątpienia czeka nas łamanie kołem; lecz, na Boga, nie zapominaj, że sam mówiłeś, iż napiszemy w sprawie czysto familijnej, po to, tylko, aby milady, od chwili przybycia do Londynu, uczynił dla nas nieszkodliwą. Ja sam napiszę do niego mniej więcej w tym sensie:...

— Słuchamy — rzekł Aramis, przybierając naprzód minę krytyka.

— „Szanowny panie i drogi przyjacielu..."

— A! tak: „kochany przyjacielu” do Anglika — przerwał Athos — dobry początek!... brawo, d‘Artagnanie!... Za to jedno słowo; będziesz poćwiartowany, zamiast być łamany kołem.

— No, to napiszę tylko: „panie”.

— Możesz nawet napisać: milordzie — dodał Athos, dbały o przyzwoitość.

— „Milordzie, czy pamiętasz małą łączkę, gdzie kozy się pasły, w Luksemburgu?”

— Dobryś! teraz Luksemburg! Pomyślą, że to aluzja do królowej matki! Dowcipnyś, ani słowa — rzekł Athos.

— Napiszę więc poprostu: „Milordzie, czy przypominasz sobie łąkę, gdzie ci życie darowano?”

— Kochany d‘Artagnanie — odezwał się Athos — nie będziesz nigdy dobrym redaktorem: „Gdzie ci życie podarowano!” Fe, to niegodne. Nie przypomina się takiej przysługi uczciwemu człowiekowi. Dobrodziejstwo wymówione staje się obrazą.

— O! mój kochany — przerwał d‘Artagnan — nieznośny jesteś i, jeżeli mam pisać pod twoją cenzurą, to, na honor, ani myślę...

— I dobrze zrobisz. Wywijaj muszkietem i szpadą, mój drogi, doskonale się z tych dwóch rzeczy wywiązujesz, lecz pióro oddaj księdzu dobrodziejowi, jemu się ono z prawa należy.

— O tak, rzeczywiście — rzekł Porthos — oddaj pióro Aramisowi, on przecie pisuje wypracowania po łacinie!

— Niechże tak będzie — rzekł d‘Artagnan — zredaguj ten list, Aramisie; lecz uprzedzam cię, trzymaj się dobrze, bo i ja potrafię krytykować.

— Owszem, krytykuj — odezwał się Aramis z naiwną ufnością w siebie, jaką wogóle poeci się odznaczają — proszę tylko obeznać mnie ze szczegółami; wprawdzie słyszałem już, że ta pani jest wielkie ladaco i przekonałem się nawet o tem, słuchając rozmowy jej z kardynałem.

— Mówże ciszej, do wszystkich djabłów! — krzyknął Athos.

— Lecz — ciągnął Aramis — zapomniałem niektórych szczegółów...

— I ja także — dodał Porthos.

D‘Artagnan i Athos spojrzeli po sobie w milczeniu... Nakoniec Athos, zbladł okrutnie i uczynił po namyśle gest, który zrozumiał d‘Artagnan i zaczął znów mówić:

— Otóż tak trzeba napisać: „Milordzie, bratowa twoja jest zbrodniarką, chciała ona kazać cię zabić, aby odziedziczyć twój majątek. Lecz nieprawnie poślubiła twego brata, ponieważ była zamężna we Francji, gdzie została...”

— Wypędzona przez męża — przerwał Athos.

— Ponieważ przekonał się, iż jest piętnowana — dodał d‘Artagnan.

— Wielki Boże!... — krzyknął Porthos — więc ona chciała zabić swego szwagra?

— Tak.

— Była zamężna? — zapytał Aramis.

— Tak.

— Mąż jej dostrzegł, że ma kwiat lilji na ramieniu? — zawołał Porthos.

— Tak.

Te trzy tak wypowiadał Athos głosem coraz to smutniejszym.

— Kto jeszcze widział ten kwiat lilji?... — zapytał Aramis.

— D‘Artagnan i ja, a raczej mówiąc ściślej, ja i d‘Artagnan.

— Czy mąż tej ohydnej istoty żyje jeszcze?

— Tak, żyje...

— Jesteś tego pewny?

— Jak najpewniejszy.

Nastała chwila grobowej ciszy; każdy czuł się po swojemu wzruszony.

— Tym razem — zaczął Athos, pierwszy przerywając milczenie — d‘Artagnan dał nam doskonały program i to właśnie trzeba najpierw napisać.

— Do djabła! masz rację — odparł Aramis — ale zredagowanie tego jest nad wyraz trudne. Sam pan kanclerz byłby w kłopocie, chcąc napisać list w tym sensie, a przecież kancierz bardzo przyjemnie pisze. Mniejsza jednak o to! uciszcie się tylko, panowie, zaczynam pisać.

Aramis wziął pióro, zamyślił się chwilkę i nakreślił kilkanaście wierszy, prześlicznym, drobnym, iście kobiecym charakterem; następnie głosem słodkim i powolnym, kładąc nacisk na każde zdanie, czytał, co następuje:

„Milordzie!

Osoba, pisząca tych kilka słów, miała zaszczyt skrzyżować szpadę z panem na małym placyku przy ulicy d‘Enfer.

Od tego czasu byłeś łaskaw głosić się przyjacielem tej osoby, ona też wdzięczna za życzliwość, odpłaca się, przesyłając przestrogę i dobrą radę.

Dwa razy już o mało nie stałeś się ofiarą zawziętości bliskiej krewnej twojej, którą uważasz za swoją spadkobierczynię, albowiem nie wiesz o tem, iż wprzód, nim zawarła małżeństwo w Anglji, była już zamężna we Francji. Lecz obecnie, za trzecim razem,

możesz zostać zwyciężony. Krewna pańska wyjechała z Roszelli do Anglji w nocy. Jeżeli chcesz przekonać się, do czego jest zdolna, znajdziesz przeszłość jej wypisaną niezamazanym znakiem na lewem jej ramieniu".

— Otóż to ślicznie napisane — rzekł Athos — masz styl sekretarza stanu, kochany Aramisie. Lord de Winter będzie się miał obecnie na baczności, jeśli tylko ostrzeżenie przyjdzie w porę; a gdyby nawet wpadło w ręce Jego Eminencji, nie może nas skompromitować. Ponieważ jednak służący, którego wyślemy, mógłby nas okłamać i powiedzieć, iż był w Londynie, a dotarł tylko zaledwie do Chatellerault, daj mu zatem razem z listem połowę tylko przyobiecanej sumy, resztę zaś niech dostanie wzamian za przyniesioną odpowiedź. Czy masz swój djament?

— Mam coś lepszego, bo pieniądze — i d'Artagnan cisnął worek na stół.

Na dźwięk złota Aramis się obejrzał, Porthos zadrżał, Athos zaś pozostał obojętny.

— Ile jest w tym woreczku? — zapytał.

— Siedem tysięcy liwrów w luidorach dwunasto-frankowych.

— Siedem tysięcy!... — zawołał Porthos — ten brzydki mały djament wart był aż tyle?

— Okazuje się, — rzekł Athos — ponieważ je tu widzimy, a wątpię, iżby nasz przyjaciel d'Artagnan dołożył co ze swoich pieniędzy.

— Z tem wszystkiem, panowie — odezwał się d'Artagnan — zapominamy zupełnie o królowej. Trzeba pomyśleć też o bezpieczeństwie ukochanego jej Buckinghama. Winniśmy to naszej królowej.

— Słusznie — rzekł Athos — lecz to do Aramisa należy.

— Cóż mam tedy uczynić? — odparł tenże, czerwieniąc się.

— Nic nadzwyczajnego: napisz drugi list do owej zręcznej osóbki, która mieszka w Tours.

Aramis wziął znów pióro, zebrał myśli, napisał, co następuje, i poddał ocenie przyjaciół swoich.

„Kochana kuzynko!..."

— Aha! — przerwał Athos — ta pani, taka zręczna, jest twoją kuzynką?

— Siostrą cioteczną...

— Niechże będzie i tak...

Aramis czytał dalej:

„Kochana kuzynko! Jego Eminencja, pan kardynał, którego niech Bóg zachowa jaknajdłużej dla szczęścia Francji i hańby jej wrogów, zakończy niedługo rozprawę ze zbuntowanymi heretykami Roszelli; prawdopodobnie nie otrzymają oni pomocy od floty angielskiej. Zdaje mi się, że pan Buckingham, zaskoczony wypadkiem wielkiej doniosłości, nie będzie w stanie wyruszyć z pomocą. Jego Eminencja jest najznakomitszym politykiem czasów przeszłych, teraźniejszych a prawdopodobnie i przyszłych. Zagasiłby on słońce samo, gdyby mu ono przeszkadzało. Opowiedz o tych szczęśliwych okolicznościach siostrze swej, droga moja kuzynko. Miałem sen, iż ten przeklęty Anglik zginął... Nie mogę tylko sobie przypomnieć od żelaza, czy od trucizny; to tylko pewne, iż mi się śniło, że zginął; a wiesz dobrze o tem: sny moje zawsze się sprawdzają. Bądź zdrowa, zobaczymy się niedługo."

— Cudownie! — zawołał Athos — jesteś królem poetów, drogi Aramisie, wyrażasz się niezrozumiale, jak Apokalipsa, a prawdziwie, jak Ewangelja. Pozostaje jedynie napisanie adresu na tym liście.

— Nic łatwiejszego — rzekł Aramis. Złożył elegancko liścik i napisał:

„Do panny Michon, właścicielki składu bielizny w Tours".

Trzech przyjaciół z uśmiechem spojrzało na siebie.

— A teraz — rzekł Aramis — pojmujecie, panowie, że Bazin może tylko zanieść ten list do Tours; kuzynka moja zna go i ufa mu; każdy inny mógłby popsuć całą sprawę. W dodatku Bazin jest żądny wyniesienia i uczony; czytał on historję i wie doskonale, iż Syxtus V został papieżem, chociaż w młodości pasł trzodę chlewną. Otóż, ponieważ ma on zamiar wstąpić do stanu duchownego jednocześnie ze mną, nie wątpi zatem, że zostanie papieżem, a przynajmniej kardynałem. Pojmujecie zatem, że człowiek o takiej ambicji nie da się złapać, lub, jeżeli zostanie ujęty, pozwoli się umęczyć, ale nic nie wygada.

— Dobrze, dobrze — przerwał d'Artagnan — zgadzam się chętnie na Bazina, lecz proszę o uznanie i dlaPlancheta: milady kazała go niegdyś za drzwi wyrzucić, kazała go obić okrutnie; Planchet ma dobrą pamięć i ręczę, że gdy mu się trafi sposobność zemsty, prędzej da się zamęczyć, niż się jej wyrzeknie. Nie mieszam się wcale do twoich interesów w Tours, Aramisie, lecz w Londynie jest moja sprawa osobista. Proszę zatem, aby Planchet tam się udał; był on już tam ze mną i potrafi bardzo poprawnie wypowiedzieć: London, sir, if yot please, a także: my master lord d'Artagnan; widzicie więc, że da sobie radę i tam i z powrotem.

— Kiedy tak — rzekł Athos — to trzeba Planchetowi dać siedemset liwrów na drogę do Londynu i siedemset, jak powróci; Bazin dostanie trzysta liwrów i trzysta za powrotem. Zmniejszy to nasz kapitał do pięciu tysięcy liwrów, weźmiemy więc każdy po tysiącu i użyjemy, na co nam się spodoba, a tysiąc oddamy do schowania naszemu księżulkowi, aby mieć na wypadek nieprzewidziany, lub na potrzeby wspólne. Czy zgadzacie się, panowie?

— Kochany Athosie — rzekł Aramis — mówisz, jak Nestor, który był, jak wiadomo, największym mędrcem Grecji.

— Więc już ułożone — ciągnął Athos — Planchet i Bazin pojadą; nie gniewa mnie to wcale, że Grimaud zostaje przy mnie; zna już moje zwyczaje, a ja to lubię; dzień wczorajszy dużo go kosztował, podróżby go dobiła.

Przywołano Plancheta i objaśniono go, co ma robić.

— Schowam list za podszewkę ubrania — rzekł Planchet — i połknę go, gdy mnie złapią.

— Tym sposobem nie będziesz mógł spełnić polecenia — powiedział d'Artagnan.

— Niech mi pan da kopię listu dziś wieczorem, a jutro już będę umiał ją na pamięć.

D'Artagnan spojrzał na przyjaciół, jak gdyby chciał im powiedzieć:

— A co, nie mówiłem?

— A teraz — dodał, zwracając się do Plancheta — masz osiem dni na dostanie się do lorda Wintera, osiem na drogę powrotną, razem dni szesnaście. Jeżeli szesnastego dnia od daty wyjazdu nie powrócisz o ósmej godzinie wieczorem, nie dostaniesz ani grosza, choćbyś powrócił o pięć minut po ósmej.

— Kiedy tak, to proszę pana o kupienie mi zegarka.

— Weź ten — rzekł Athos, dając mu swój z obojętnością pańską — i bądź chłopcem odważnym i uczciwym. Nie zapominaj, że gadulstwem, paplaniem i nieopatrznością narażasz głowę swojego pana, który tak wielką ufność pokłada w twojej wierności, iż zaręczył nam za ciebie. Lecz pamiętaj o tem, że, jeżeli z twojej winy spotka nieszczęście d'Artagnana, nie ukryjesz się wtedy przede mną, znajdę cię i rozpłatam w kawały.

— O! panie łaskawy!... — przemówił Planchet, upokorzony podejrzeniem i przerażony poważną i spokojną miną muszkietera.

— A ja — dodał Porthos, wytrzeszczając oczy straszliwie — ja obedrę cię ze skóry.

— O! panie.

— Ja zaś — odezwał się Aramis głosem słodkim i melodyjnym — ja cię upiekę na wolnym ogniu, jak dziki człowiek.

— O! panie.

Planchet rozpłakał się; nie śmiemy twierdzić, czy ze strachu z powodu pogróżek, jakie mu czyniono, czy z rozczulenia na widok jedności czterech przyjaciół.

D'Artagnan uścisnął mu rękę.

— Widzisz, Planchecie — rzekł — ci panowie mówią to wszystko przez przywiązanie do mnie, ale w gruncie oni cię bardzo lubią.

— Przysięgam panu — rzekł Planchet — albo zrobię wszystko podług rozkazu, albo mnie posiekają na drobne kawałki; lecz i w takim razie żadna cząsteczka moja nie piśnie o tajemnicy.

Postanowiono, iż Planchet wyruszy nazajutrz o ósmej zrana, aby mógł, jak o to prosił, nauczyć się listu na pamięć. Rano, gdy już dosiadł konia, d'Artagnan, który miał zawsze w sercu słabość dla księcia Buckinghama, odprowadził Plancheta na stronę i rzekł:

— Słuchaj dobrze, co ci powiem: gdy doręczysz list lordowi de Winter i gdy go już przeczyta, dodasz od siebie te słowa: „Strzeż pan dobrze Jego Wysokości księcia Buckinghama, gdyż chcą go zamordować". Pamiętaj, Planchecie, że jest to tak ważne a konieczne, iż bez wiedzy przyjaciół moich powierzam ci tę tajemnicę, a nawet za tytuł generała nie napisałbym jej w liście.

— Niech pan będzie spokojny, przekona się pan, iż można na mnie rachować.

Wskoczył na doskonałego konia, którego miał zostawić o dwadzieścia mil od obozu, a dalej jechać pocztą, i puścił się galopem, z sercem nieco ściśniętem z powodu potrójnej obietnicy, uczynionej mu przez muszkieterów, lecz zresztą pełen otuchy i dobrej myśli.

Bazin wyjechał zrana do Tours; przeznaczono mu tydzień na spełnienie polecenia. Czterech przyjaciół przez czas nieobecności wysłańców więcej, niż zwykle, miało wytężony słuch, wzrok i węch. Całe dnie im schodziły na podsłuchiwaniu, co mówiono, na szpiegowaniu, co się dzieje u kardynała i podpatrywaniu, skąd gońcy przybywają. Przestrach, niczem niepokonany, ogarniał ich, ilekroć wezwani zostali niespodzianie dla pełnienia jakiej czynności z rozkazu kardynała.

Musieli też strzec się zasadzki każdy zosobna; milady była zjawiskiem, które, gdy raz się komu ukazało, spędzało już sen spokojny z oczu tego człowieka.

W tydzień potem, Bazin, czysty i elegancki jak zawsze, uśmiechnięty podług zwyczaju, wszedł do oberży Parpaillot, gdzie czterej muszkieterowie siedzieli przy śniadaniu i rzekł, jak mu polecono:

— Panie Aramis, oto jest odpowiedź pańskiej kuzynki.

Współbiesiadnicy spojrzeli po sobie uszczęśliwieni: połowa zadania zatem spełniona, coprawda krótsza i łatwiejsza.

Aramis, czerwieniąc się mimowoli, wziął list, napisany charakterem niewprawnym i nieortograficznie.

— Boże wielki!... — zawołał, śmiejąc się — stanowczo tracę nadzieję, nigdy już widać ta biedna Michon nie będzie tak pisała, jak pan de Voiture.

— Cóż to za biedna Michon?... — zapytał szwajcar, który rozmawiał właśnie z muszkieterami, gdy list przyszedł.

— O mój Boże! mała rzecz — odrzekł Aramis — pewna właścicielka składu bielizny, śliczna dziewczyna, którą kochałem serdecznie, którą prosiłem o napisanie kilku słów do mnie na pamiątkę.

— Do licha!... — zawołał szwajcar — jeżeli taka piękna, jak jej pismo, nie zazdroszczę ci szczęścia, mój towarzyszu.

Aramis przeczytał list i podał Athosowi.

— Zobacz, co ona pisze — powiedział.

Athos rzucił okiem na kartkę i dla odwrócenia podejrzeń wszelkich, czytał głośno:

„Kochany kuzynku, obydwie z siostrą doskonale sny odgadujemy i nawet boimy się ich okrutnie; lecz mam nadzieję, że o twoim śnie będzie można powiedzieć, co sen to kłamstwo. Adieu! życzymy ci zdrowia, a staraj się, abyśmy od czasu do czasu miały wiadomości od ciebie.

Aglaé Michon”.

— O jakim śnie ona mówi?... — zapytał dragon, zbliżywszy się podczas czytania.

— Tak, o jakim śnie?... — dodał szwajcar.

— O! moi panowie — rzekł Aramis — to nic nadzwyczajnego miałem sen dziwny i opisałem go.

— O tak, to bardzo naturalne opowiadać sny swoje, lecz ja nigdy nie śnię!

— Bardzo pan szczęśliwy — odezwał się Athos, powstając — chciałbym o sobie to samo powiedzieć.

— Nigdy mi się nic nie śni — dodał szwajcar, zachwycony, że człowiek taki, jak Athos, zazdrości mu czegoś — nigdy! o! nigdy!

D‘Artagnan, widząc, że Athos się podniósł, uczynił to samo, wziął go pod rękę i wyszedł z nim razem.

Porthos i Aramis pozostali jeszcze z dragonem i szwajcarem.

Bazin zaś poszedł i rzucił się spać na pęku słomy, a ponieważ miał bujniejszą imaginację, niż szwajcar, śnił zatem, że Aramis został papieżem i kładł mu na głowę kapelusz kardynalski.

Lecz, jak to mówiliśmy, Bazin, powróciwszy szczęśliwie, połowę tylko kłopotu zdjął z głowy czterem przyjaciołom. Dni oczekiwania długie bywają nieskończenie; d'Artagnan przedewszystkiem poszedłby był o zakład, iż mają one obecnie czterdzieści osiem godzin. Zapomniał o nieprzewidzianych przeszkodach w podróży morskiej, przesadzał w myśli wszechwładzę milady. Zdawało mu się, że tej kobiecie, przedstawiającej mu się w postaci szatana, pomaga duch ciemności. Gdy spostrzegł ruch jaki w obozie, lub hałas posłyszał, wyobrażał sobie natychmiast, że to Plancheta złapali, że go prowadzą dla skonfrontowania z nim i z jego towarzyszami. Co więcej: zaufanie, pokładane w zdolnościach zacnego Pikardyjczyka, zmniejszało się z dniem każdym. Tak był niespokojny, tak niepewny, że uczucia te udzielały się Porthosowi i Aramisowi. Jeden tylko Athos zachowywał się biernie, jak gdyby żadne niebezpieczeństwo mu nie groziło, i był pośród rozgorączkowanych przyjaciół chłodny i poważny, jak zwykle.

Szesnastego dnia przedewszystkiem niepokój tak gwałtowny opanował d'Artagnana, Porthosa i Aramisa, iż, nie mogąc usiedzieć na miejscu, snuli się, jak błędne cienie, po drodze, którą miał Planchet powracać.

— Doprawdy — mówił im Athos — nie jesteście ludźmi skończonymi, lecz chyba dziećmi, kiedy wam jedna kobieta takiego strachu napędza. O cóż wam chodzi przedewszystkiem? Wpakują nas do więzienia? Przecież wyciągną nas i stamtąd; dowodem pani Bonacieux, którą jednak potrafiono uwolnić. Głowy nam utną? Toż codzień na fortyfikacjach narażamy się z wesołą myślą na gorsze rzeczy, ponieważ kula może nam nogę strzaskać, a przekonany jestem, że chirurg, odejmując nogę, więcej nam sprawia bólu, niż kat, ucinając głowę. Oczekujcie zatem cierpliwie. Za dwie, za cztery, za sześć godzin Planchet będzie tutaj: obiecał, a ja wielką pokładam ufność w obietnicy Plancheta, wydaje mi się on bowiem uczciwym i walecznym chłopakiem.

— A jeżeli nie przyjedzie?... — powiedział d'Artagnan.

— To cóż z tego, jeżeli nie przyjedzie, to widać go zatrzymano, ot i wszystko. Mógł zlecieć z konia, stoczyć się z mostu do wody, lub jechał tak szybko, że dostał zapalenia płuc. O!... panowie!... trzeba pamiętać, że różne wypadki czyhają na człowieka. Życie, jest to różaniec, złożony z przeciwności, którego ziarnka filozof przesuwa w rękach z

uśmiechem na ustach. Bądźcie filozofami, jak ja, moi panowie, siadajcie do stołu i pijmy, nigdy przyszłość nie wydaje się tak różowa, jak gdy patrzy się na nią przez szklankę chambertina.

— Bardzo dobrze — odrzekł d'Artagnan — mnie już sprzykrzyła się obawa przy piciu i to przypuszczenie, że wino pochodzi z piwnicy milady.

— Wybredny jesteś djabelnie — mówił Athos — taka piękna kobietka!...

— Kobietka piętnowana!... — dodał Porthos, grubo się śmiejąc.

Athos zatrząsł się, otarł zimny pot z czoła i wstał także, nie mogąc powstrzymać nerwowego drżenia.

Dzień długi upłynął, wieczór, choć powoli, zbliżał się jednak; oberże napełniły się gośćmi; Athos, który wziął do kieszeni swoją część ze sprzedaży djamentu, nie wychodził prawie z Parpaillot. Znalazł w panu de Busigny, który dał im przewyborny obiad, partnera godnego siebie.

Grali też i pili razem, jak zwykle, gdy siódma wybiła; słychać było patrole przejeżdżające, warty zmieniające się; o wpół do ósmej zatrąbiono capstrzyk.

— Zgubieni jesteśmy — szepnął d'Artagnan do ucha Athosowi.

— Chcesz powiedzieć, że straciliśmy — rzekł Athos, spokojnie wyjmując cztery pistole z kieszeni i ciskając je na stół. — Dalej, panowie, trąbią na capstrzyk, idźmy spać!

Athos opuścił Parpaillot razem z d'Artagnanem. Aramis z Porthosem szli pod rękę za nimi. Aramis przeżuwał jakieś wiersze, Porthos od czasu do czasu targał wąsy na znak rozpaczy.

Lecz oto nagle, w ciemności, cień jakiś się rysuje, którego kształty znane są dobrze d'Artagnanowi, a głos znany odzywa się:

— Przynoszę płaszcz, proszę pana, wieczór mamy chłodny.

— Planchet!... — wykrzyknął d'Artagnan, nie posiadając się z radości.

— Planchet!... — powtórzyli Porthos i Aramis.

— No tak... Planchet — dodał Athos — cóż w tem dziwnego?... Obiecał powrócić o ósmej a właśnie ósma bije. Brawo, Planchet!... jesteś słowny i, jeżeli kiedykolwiek opuścisz pana swojego, przyjmę cię do służby.

— O!... nie... nigdy! — zawołał Planchet — nigdy nie odstąpię pana d'Artagnana.

I w tej chwili d'Artagnan poczuł, że Planchet wsuwa mu bilecik do ręki. Uszczęśliwiony, miał ochotę uściskać wiernego sługę, jak to zrobił, gdy go wyprawiał; lecz zląkł się, aby taka publiczna oznaka czułości dlalokaja nie wydała się podejrzana przechodniom i zostawił to na później.

— Mam list w ręku! — rzekł do przyjaciół.

— Chodźmy do siebie i przeczytamy — odparł Athos.

Bilet ten palił dłoń d'Artagnana i chciał pośpieszać co prędzej; lecz Athos wziął go pod rękę i młodzieniec musiał iść równie powoli, jak jego towarzysz.

Nakoniec weszli do namiotu; zapalono lampę, Planchet stanął przy drzwiach, aby nikt nie przeszkodził, d'Artagnan zaś ręką drżącą złamał pieczęć i otworzył list, tak oczekiwany.

Zawierał on tylko pół wiersza pisma prawdziwie angielskiego i prostoty prawdziwie spartańskiej.

„Thank you, be easy".

Co znaczyło:

„Dziękuję, bądźcie spokojni".

Athos wziął list z rąk d'Artagnana, zbliżył do lampy i spalił.

Następnie, wołając Plancheta, rzekł mu:

— Obecnie, mój chłopcze, masz prawo upomnieć się o swoje siedemset liwrów, lecz z tego widzisz, iż nie było niebezpieczeństwa, żeś miał przy sobie bilecik tej treści.

— O ja go tak strzegłem i tylu sposobów użyłem, aby go ukryć! — rzekł Planchet.

— Opowiedz nam to — powiedział d'Artagnan.

— O panie!... to bardzo długie.

— Masz rację, Planchecie — odezwał się Athos — capstrzyk już wytrąbiono, zwróciłoby to uwagę, gdyby u nas dłużej się świeciło, niż w innych namiotach.

— Niechże tak będzie — rzekł d'Artagnan — idźmy spać. Dobranoc, Planchet, śpij dobrze!

— O!... proszę pana, będę spał spokojnie pierwszy raz od dni szesnastu.

— I ja także! — rzekł d'Artagnan.

— I ja także! — odezwał się Porthos.

— I ja także! — dodał Aramis.

— Chcecie wiedzieć prawdę?... to i ja także — zakończył Athos.

Rozdział XXII. Zrządzenie losu

Milady, pijana złością, rycząc prawie ze wściekłości, jak lwica w klatce zamknięta, gotowa była rzucić się w wodę i powrócić na brzeg morski, nie mogła się bowiem oswoić z myślą, iż d'Artagnan ją znieważył, Athos zaś jej groził; i że opuszcza Francję, nie zemściwszy się nad nimi. Po niejakim czasie położenie jej zdało się nie do wytrzymania; nie dbając zatem, co z tego dla niej samej wyniknąć może, poczęła błagać kapitana, aby ją na ląd wysadził. Kapitan zaś, któremu pilno było wyjść z fałszywego położenia, a znajdował się przytem pomiędzy strażami morskiemi, z jednej strony angielskiemi z drugiej francuskiemi i pragnął jak najprędzej dostać się do Anglji, odmówił stanowczo posłuszeństwa temu, co nazywał kaprysem kobiecym, obiecując pasażerce, która mu była polecona szczególnie przez kardynała, iż jeżeli morze będzie spokojne, a Francuzi pozwolą, wysadzi ją w jednym z portów Bretanji, w Lorient, lub w Brest.

Tymczasem wiatr dął przeciwnie, morze się wzburzyło, trzeba było lawirować, płynąć w zygzak, nie posuwając się naprzód.

W dziesięć dni po wyjeździe z Charente, milady, blada ze zmartwienia i wściekłości, ujrzała rysujące się w mgle sinej brzegi Finisterru. Wyrachowała tedy, że do przebycia tego kawałka Francji i powrotu do kardynała, potrzebowałaby najmniej trzech dni i dzień jeden na wylądowanie, to razem cztery. Dodawszy do tego dziewięć dni podróży, to już trzynaście straconych, trzynaście dni straconych, podczas których tyle ważnych wypadków mogło zajść w Londynie! Pomyślała także, iż z pewnością, kardynał byłby oburzony jej powrotem, a co za tem idzie, słuchałby z większą uwagą skarg, któreby na nią się posypały, niż tych, jakieby ona przeciw innym zanosiła. Pozwoliła też minąć Lorient i Brest, nie zwracając uwagi kapitana, który ze swej strony nie miał zamiaru tego jej przypominać. Tak więc milady płynęła dalej, a tego samego dnia, w którym Planchet wsiadał na okręt w Portsmouth z powrotem do Francji, wysłanka Jego Eminencji wkraczała triumfalnie do portu.

Miasto całe było w poruszeniu; cztery wielkie okręty, tylko co wykończone, spuszczano na morze.

Na wybrzeżu, błyszczący od złota, lśniący według zwyczaju — djamentami i innemi drogiemi kamieniami, w kapeluszu z białem piórem, spadającem na ramię, stał Buckingham, otoczony świtą, prawie tak, jak on sam, świetną.

Był to jeden z tych pięknych, rzadkich dni zimowych, w których nawet Anglja przypomina sobie, iż jest słońce na niebie. Chociaż miało się już pod zachód, jednak promienie słoneczne oblewały purpurą morze i niebo, złociły szczyty domów i pałaców miejskich i paliły się w szybach okien, niby odbicie pożaru.

Wpłynęli do portu nareszcie; lecz w chwili, gdy zabierano się do zarzucenia kotwicy, mała szkuta, straszliwie uzbrojona, zbliżyła się do statku kupieckiego, niby straż pobrzeżna, spuściła łódź, która skierowała się ku drabinie. W łodzi znajdował się oficer, sternik i ośmiu wioślarzy. Oficer tylko wszedł na pokład, gdzie go przyjęto z należnemi honorami.

Młody wojskowy przywołał patrona, mówił z nim chwilę i dał do przeczytania papiery, jakie miał przy sobie, poczem na rozkaz kapitana statku stawiła się cała załoga: majtkowie, pasażerowie, wszystkich na pokład przywołano.

Po tym rodzaju apelu, oficer wypytywał na cały głos, z jakiego punktu statek odbił, którędy płynął; gdzie do lądu przybijał; na wszystkie te zapytania kapitan odpowiadał śmiało, bez wahania. Wtedy oficer uczynił przegląd zgromadzonych, a, zatrzymując się przy milady, popatrzył na nią uważnie lecz w milczeniu. Następnie zwrócił się do kapitana, przemówił słów parę i, jak gdyby odtąd jemu statek powinien być posłuszny, nakazał obrót, jaki w tej chwili wykonano. Statek ruszył z miejsca, eskortowanyprzez szkutę, która równo z nim płynęła i zdawała się grozić sześcioma paszczami armat, skierowanych w bok okrętu kupieckiego, a łódź z tyłu kołysała się na falach, jak słaba łupina.

Podczas gdy młody oficer wpatrywał się w milady, ona także pożerała go wzrokiem. Pomimo jednak wprawy, jaką posiadała ta kobieta z oczami płomiennemi, do czytania w głębi duszy najskrytszych tajemnic ludzkich, natrafiła tym razem na fizjognomję skrytą, z której nic wybadać nie była w stanie. Młody człowiek, wpatrujący się w nią uporczywie, mógł mieć lat dwadzieścia sześć najwyżej, twarz jego była blada, a oczy jasno niebieskie posiadały zimny odblask stali; usta wąskie i zaciśnięte znamionowały skrytość, dół twarzy wydatny i broda silnie zarysowana, uprzedzały o mocy charakteru, który graniczy z uporem.

Gdy znaleziono się w porcie, noc już była kompletna. Mgła gęsta potęgowała ciemności i otaczała latarnie nadbrzeżne kręgiem podobnym do tego, jaki okala księżyc przed słotą. Milady, tak zwykle odważna, drżała mimowoli.

Oficer kazał przenieść pakunki milady, i złożyć je do łodzi; następnie podał jej rękę i prosił, aby z nim poszła.

Spojrzała na niego niedowierzająco.

— Kto pan jesteś? — zapytała — dlaczego tak wyłącznie mną się opiekujesz?

— Powinnaś się pani domyśleć z mego uniformu; jestem oficerem marynarki angielskiej — odparł młody człowiek.

— Czyż to leży w zwyczajach oficerów marynarki angielskiej poświęcać się na usługi swych współrodaczek, gdy przybywają do portów Wielkiej Brytanji, i posuwać galanterję do tego stopnia, aby je aż na ląd wysadzać?

— Tak, milady, zwyczaj ten zachowujemy nie dla galanterji, lecz przez ostrożność, i w czasie wojennym przybywających cudzoziemców odprowadzamy do hotelu dla nich przeznaczonego, ażeby, do czasu zasięgnięcia o nich pewnych wiadomości, zostawali pod nadzorem rządu.

Słowa te wymówił z nadzwyczajną grzecznością; pomimo to jednak nie uspokoiły one milady.

— Nie jestem przecież cudzoziemką, mój panie odezwała się najczystszym akcentem, jaki można słyszećod Portsmouth aż po Manchester — nazywam się lady Clarick i takie ostrożności...

— Są ogólne, milady, i napróżno starałabyś się pani ich uniknąć.

— Kiedy tak, więc idę z panem.

Podała rękę oficerowi i zeszła po drabinie do oczekującej łodzi, gdzie ogromny płaszcz rozesłany był na samym tyle. Młodzieniec posadził ją na nim, a sam zajął miejsce obok.

— Odbijać! — rzekł do majtków.

Osiem wioseł zanurzyło się w morze, jak jedno, i łódź poleciała, niby na skrzydłach.

Po upływie pięciu minut przybito do lądu. Oficer wyskoczył na brzeg i podał rękę milady. Powóz oczekiwał w bliskości.

— Ekwipaż ten dla nas jest przeznaczony? — zapytała milady.

— Tak, pani — odparł oficer.

— Czy daleko stąd do hotelu?

— To na drugim końcu miasta.

— Jedźmy zatem — rzekła milady i śmiało wsiadła do powozu.

Towarzysz jej, po dopilnowaniu, aby walizy milady uwiązano za powozem, usiadł przy niej i zamknął drzwiczki.

Natychmiast też woźnica, nie czekając rozkazu, ruszył, z kopyta i zapuścił się w kręte ulice miasta.

Przyjęcie tak niezwykłe dało milady dużo do myślenia; widząc też, że oficer nieusposobiony jest wcale do rozmowy, wsunęła się w głąb powozu i rozważała wszelkie przypuszczenia, jakie jej przez głowę przechodziły.

Po niejakim jednak czasie, zdziwiona długością drogi, wyjrzała oknem, dla przekonania się, dokąd ją wiozą.

Nie widać było już zabudowań; drzewa tylko wysokie stały przy drodze i przesuwały się, jak złowrogie cienie.

Milady strach ogarnął.

— To już nie miasto! — odezwała się.

Młody człowiek milczał.

— Uprzedzam pana, iż nie pojadę dalej, jeśli mi nie powiesz, dokąd mnie wieziesz!

Groźba ta nie spowodowała odpowiedzi.

— O! tego już za wiele! — krzyknęła milady — na pomoc!... ratunku!...

Nikt nie odpowiedział na wołanie, powóz pędził z jednakową szybkością; oficer siedział nieruchomy, jak posąg. Milady spojrzała na niego strasznym wzrokiem, jaki tylko ona posiadała, a który miał przerażającą moc; oczy jej błyszczały w ciemności, jak dwa rubiny.

Młody człowiek nie poruszył się nawet. Milady chciała otworzyć portjerę i wyskoczyć z powozu.

— Ostrzegam panią — rzekł obojętnie oficer — zabijesz się na miejscu, wyskakując.

Milady usiadła, pieniąc się ze złości; oficer spojrzał na nią i zadziwił się, widząc tę twarz tak piękną, zmienioną obecnie, bo wściekłość czyniła ją prawie wstrętną.

Przewrotna kobieta poznała, iż gubi się, pozwalając tak czytać w swej duszy; wypogodziła więc twarz i głosem słodkim zapytała:

— Panie! na miłość boską, powiedz mi, czy tobie, czy rządowi waszemu, lub osobistemu nieprzyjacielowi zawdzięczam gwałt, jakiego się względem mnie dopuszczono?

— Nie jest to żaden gwałt, a to, co panią spotkało, jest wynikiem prostej ostrożności, jaką zmuszeni jesteśmy zachować względem wszystkich, przybywających do Anglji.

— Zatem pan nie znasz mnie wcale?

— Pierwszy raz mam zaszczyt widzieć panią.

— I nie masz pan do mnie żadnej nienawiści?...

— Żadnej a żadnej, przysięgam.

Tyle było szczerości, powagi, a nawet łagodności w odezwaniu się młodzieńca, iż milady uspokoiła się.

Nakoniec, po godzinie prawie jazdy, powóz zatrzymał się przed żelazną kratą, zamykającą stromą drogę, wiodącą do ponurego i odosobnionego zupełnie zamku.

Przebyli dwa sklepienia i zatrzymali się w ciasnym i ciemnym dziedzińcu.

Drzwiczki powozu otworzyły się, młody człowiek wyskoczył lekko na ziemię i podał ramię milady, która, wsparłszy się na niem, wysiadła — pozornie spokojna.

— Widzę jednak — odezwała się, spojrzawszy dokoła, i zwracając następnie oczy na młodego oficera, z najmilszym uśmiechem, na jaki zdobyć się mogła — widzę, żejestem więźniem; lecz to trwać długo nie może; upewnia mnie — dodała — moje czyste sumienie, a grzeczność pana jest mi najlepszą gwarancją.

Pomimo tak pochlebnej przemowy oficer nie odpowiadał; wyjął z za pasa małą srebrną gwizdawkę, podobną do używanych przez nadzorców robotników na statkach wojennych i gwizdnął po trzykroć coraz z innego tonu.

Przybiegło kilku ludzi, wyprzęgli konie okryte pianą, a powóz wtoczyli do wozowni.

Wtedy oficer, zawsze z tą samą obojętną grzecznością, prosił milady, aby weszła do domu. Ona zaś, uśmiechnięta ciągle, wzięła go pod rękę i z nim razem przestąpiła próg drzwi niskich, łukowatych, prowadzących poprzez korytarz, oświecony tylko w głębi, do schodów kamiennych, które szły dokoła sklepień, także kamiennych.

Następnie stanęli przed drzwiami, mocno okutemi, młody oficer otworzył je kluczem, który miał przy sobie, i ukazał się pokój, przeznaczony dla milady.

Jednym rzutem oka oceniła ona apartament, do którego weszła. Był to pokój ze sprzętami zarówno stosownemi w więzieniu, jak i w zwyczajnem mieszkaniu; jednakże kraty żelazne w oknach i silne zewnętrzne zamki czyniły go stosowniejszym na więzienie.

Cała siła duszy, cała odwaga opuściła na chwilę tę istotę, wypróbowaną w przeróżnych okolicznościach; upadła na fotel, skrzyżowała ręce, zwiesiła głowę w przekonaniu, że ujrzy sędziego wychodzącego, aby zacząć badanie. Nikt się nie ukazywał, prócz kilku marynarzy, którzy przynieśli tłomoki i walizy i wyszli, nic nie mówiąc.

Oficer baczył na wszystko z równym spokojem, jaki milady już poznała; nie wyrzekł ani słowa, a rozkazy wydawał poruszeniem ręki, lub za pomocą świstawki.

Rzecby można, iż dla tego człowieka i podwładnych jego mowa ludzka nie istniała, lub stała się niepotrzebna.

Nakoniec milady nie była w stanie wytrzymać dłużej i przerwała milczenie.

— Na miłość boską, panie! — zawołała — co znaczy to wszystko?... Powiedz mi prawdę; nie braknie mi odwagi, niebezpieczeństwo znane nie przerazi mnie... Gdzie ja

jestem i co tu znaczę?... jeślim wolna, na co te kraty, te drzwi okute?... jeśli więźniem jestem, jakąż zbrodnię popełniłam?

— Jesteś pani w apartamencie, dla niej przeznaczonym. Rozkazano mi zabrać panią z okrętu i dostawić do tego zamku; polecenie to wypełniłem z surowością i ścisłością żołnierza, lecz sądzę, iż także z grzecznością szlachcica. Tu kończą się moje obowiązki względem pani, reszta należy do kogo innego.

— Kimże jest ta druga osoba? — zapytała milady — czy możesz mi pan powiedzieć jej nazwisko?...

Właśnie w tej chwili usłyszano brzęk ostróg na schodach; słychać było także zbliżającą się rozmowę kilku głosów, która następnie ucichła, i do drzwi podeszła jedna osoba.

— Pani, oto jest ten, o którym mówiłem — rzekł oficer, usuwając się na bok i przybierając postawę pełną szacunku i posłuszeństwa.

Jednocześnie drzwi się rozwarły, na progu ukazał się mężczyzna z gołą głową, ze szpadą przy boku.

Milady zdawało się, że poznaje tego człowieka; wsparła się ręką na fotelu i wyciągnęła szyję, jak gdyby chciała iść na spotkanie rzeczywistości.

Nieznajomy postępował wolno; w miarę, jak zbliżał się do światła, milady cofała się mimowolnie. Gdy już nie miała wątpliwości, zawołała przerażona:

— Boże wielki! to mój brat!... czy to ty jesteś rzeczywiście?

— Tak, piękna pani! — odparł lord Winter z ukłonem nawpół uprzejmym a nawpół ironicznym — ja sam we własnej osobie.

— Więc ten zamek?...

— Jest moją własnością.

— A ten pokój?

— I ten pokój.

— Jestem zatem twoim więźniem?

— Prawie że tak.

— Okrutnie nadużywasz twej władzy.

— Bez deklamacji, moja pani; usiądźmy proszę i porozmawiajmy, jak przystoi bratu i siostrze.

A zwracając się do drzwi i widząc, że młody oficer oczekuje na rozkazy:

— Zadowolony jestem, dziękuję panu: a teraz zostaw nas samych, panie Felton.

Rozdział XXIII. Rozmowa brata z siostrą

Podczas gdy lord Winter zamykał drzwi, zapuszczał okiennice i krzesło przysuwał do fotela siostry, milady zadumana puściła wodze domysłom i pojęła, że spisku tego nie odgadnie, dopóki się nie dowie, z kim ma do czynienia. Znała szwagra, jako honorowego szlachcica, zapalonego myśliwego, gracza hazardownego, śmiałego i przedsiębiorczego z kobietami, lecz niezdolnego do przeprowadzenia jakiejkolwiek intrygi. Jakim cudem dowiedział się o jej przybyciu i kazał ją pochwycić? Dlaczego teraz jeszcze ją zatrzymuje?

Athos powtórzył wprawdzie niektóre wyjątki z rozmowy jej z kardynałem, nie mogła jednak przypuścić, by zdołał tak szybko i śmiało plany jej pokrzyżować. Bała się owszem, czy przeszłe jej sprawki nie zostały wypadkiem odkryte. Buckingham mógł był domyśleć się, że to ona właśnie oderżnęła mu dwie zapinki brylantowe i teraz zechce mścić się za zdradę... Lecz Buckingham niezdolny był używać przemocy nad kobietą, tembardziej, jeżeli ta kobieta mogła być posądzona, iż uczyniła to przez zazdrość.. Wydało jej się to jednak najprawdopodobniejsze; pewna była, że chciano zemścić się za przeszłość, nie wiedząc nic o jej teraźniejszem posłannictwie. W każdym razie i na wszelki wypadek, wolała, że wpadła w ręce szwagra, którego miała nadzieję otumanić, niż gdyby miała do czynienia z nieprzyjacielem stanowczym i rozumnym.

— Rozmawiajmy więc, braciszku drogi — rzekła wesoło, zdecydowana wyciągnąć z rozmowy pomimo woli lorda Winter wszelkie możliwe objaśnienia i do nich zastosować postępowanie w przyszłości.

— Wróciłaś tedy do Anglji — rzekł lord Winter — pomimo postanowienia, tyle razy objawianego w Paryżu, iż noga twoja nie postanie na terytorjum Wielkiej Brytanji?

Milady odpowiedziała zapytaniem:

— Przedewszystkiem, objaśnij mnie, dlaczego kazałeś mnie szpiegować, skąd dowiedziałeś się naprzód nietylko o mojem przybyciu, lecz o dniu, godzinie, a także porcie, do którego przybiję?

Lord Winter przyjął taktykę milady, sądząc słusznie, że skoro jej używała, musi być dobra.

— Ależ ty mi powiedz, kochana siostrzyczko, po co przybyłaś do Anglji?

— Czyż nie domyślasz się, że dla widzenia ciebie?... — odparła milady, nie przeczuwając, jak tą odpowiedzią utwierdza podejrzenia szwagra, wzbudzone listem d'Artagnana.

— A! dla widzenia się ze mną?... — rzekł podejrzliwie lord Winter.

— Bez wątpienia. Cóż w tem dziwnego?

— Nie miałaś innego celu?

— Nie.

— Dlatego jedynie naraziłaś się na przebycie la Manche?

— Dla ciebie tylko.

— Do kaduka! jakżeś czuła, siostrzyczko moja!

— Czyż nie jestem krewną twoją najbliższą?... — zapytała milady słodkim głosem.

— A nawet jedyną moją spadkobierczynią, wszak prawda?... — rzekł z kolei lord Winter, patrząc jej w oczy surowo.

Pomimo władzy nad sobą, milady nie mogła powstrzymać drżenia, a że przy ostatnich słowach lord Winter położył rękę na ramieniu siostry, drżenie to uwagi jego nie uszło.

W istocie, cios wymierzony był prosto i trafnie.

Pierwszą myślą milady było, iż Katty ją zdradziła i opowiedziała baronowi o interesowności, z jaką nie umiała się ukryć przed służącą. Przypomniała sobie, jak niebacznie wyrzucała d'Artagnanowi, iż nie zabił jej szwagra.

— Nie rozumiem nic, milordzie — wymówiła chcączyskać na czasie i pragnąc, aby przeciwnik jej mówił. Co chcesz przez to powiedzieć? czy słowa twoje mają myśl jaką ukrytą?

— O mój Boże! wcale nie — rzekł lord Winter z pozorną dobrodusznością — chciałaś mnie widzieć i przyjechałaś do Anglji. Dowiaduję się o życzeniu, a właściwie domyślam się i, aby ci oszczędzić przykrości, towarzyszących nocnemu przybyciu do portu, i fatygi wylądowania, wysyłam jednego z moich podkomendnych na twoje spotkanie; daję mu powóz, a on przywozi cię do zamku, którego jestem gubernatorem, gdzie codzień bywam i gdzie, aby dogodzić wspólnemu pragnieniu widywania się, przygotowuję pokój dla ciebie. Cóż w tem więcej jest zadziwiającego nad to, co ty mi opowiadasz?

— Zadziwia mnie jedynie, żeś był zawiadomiony o mojem przybyciu.

— To przecież bardzo proste: czyż nie widziałaś, jak kapitan waszego statku, wchodząc do portu, wysłał przodem małą łódkę z książką legitymacyjną i spisem załogi? Jestem komendantem portu, przyniesiono mi papiery, znalazłem w nich twoje nazwisko. Serce powiedziało mi, coś ustnie potwierdziła, to jest, w jakim celu podjęłaś niebezpieczną podróż, w porze najburzliwszego morza. Posłałem więc szkutę na twoje spotkanie. Reszta ci wiadoma...

Milady domyśliła się, że lord Winter mówi nieprawdę, i to ją jeszcze bardziej przeraziło.

— Bracie mój — zaczęła — wszak to księcia Buckinghama widziałam na wybrzeżu wieczorem?

— Jego samego. O! pojmuję, że ten widok zrobił na tobie wrażenie: przybywasz z kraju, gdzie bardzo się nim zajmują, a wiem także, iż zbrojenie się jego przeciw Francji niepokoi mocno twego przyjaciela kardynała.

— Mego przyjaciela kardynała? — krzyknęła milady, widząc, że i na tym punkcie lord Winter dobrze jest powiadomiony.

— Czyż nie jest twoim przyjacielem? — odparł milord niedbale — o! przepraszam, myślałem, że tak jest; powrócimy jeszcze do księcia-milorda, a teraz nie zmieniajmy czułego nastroju rozmowy; mówisz zatem, że przybyłaś, aby się ze mną widzieć?

— Tak.

— Otóż odpowiedziałem ci, iż stanie się zadość twojej woli, będziemy się widywali codziennie.

— Mamże wiecznie tu pozostać? — zapytała milady z niepokojem.

— Czy nie wygodnie ci tutaj droga siostrzyczko? jeżeli czego ci brakuje, rozkaż tylko, a w tej chwili każę ci dostarczyć.

— Nie mam przecież kobiet moich służebnych, ani moich ludzi…

— Wszystko to się znajdzie, powiedz mi tylko, jak dom miałaś urządzony za pierwszego męża, a choć jestem szwagrem twoim jedynie, tak samo go ci urządzę.

— Za mego pierwszego męża! — zawołała milady, wpatrzywszy się w lorda.

— Tak, twego męża, Francuza; nie mówię tu o moim bracie. A zresztą, jeżeli zapomniałaś, to, ponieważ żyje jeszcze, mógłbym napisać do niego, przysłałby mi potrzebne wskazówki…

Pot zimny wystąpił na czoło milady.

— Żartujesz — wyrzekła głosem złamanym.

— Czyż wyglądam na to? — zapytał lord, powstając.

— A raczej znieważasz mnie — ciągnęła, wspierając się na fotelu, i wstając także.

— Ja ciebie znieważam! — rzekł lord Winter z pogardą — czyż naprawdę przypuszczasz pani, że to możebne?

— Mój panie — odezwała się milady — jesteś albo pijany, albo zwarjowałeś, wyjdź pan stąd natychmiast i przyślij mi jaką kobietę.

— Kobiety nie są dyskretne, moja siostro! czy nie mógłbym ci sam usłużyć? tym sposobem tajemnice nasze pozostałyby w rodzinie.

— Zuchwalcze! — krzyknęła milady i, jak poruszona sprężyną, rzuciła się na lorda, oczekującego ją z rękami założonemi, jednak opartemi na rękojeści szpady.

— Oho! — — powiedział — wiem ja, że masz zwyczaj mordować ludzi, lecz będę się bronił, a uprzedzam cię, moja pani, że chociaż jesteś kobietą...

— O! widzę, żeś podły do tego stopnia, iż podniesiesz rękę nawet na kobietę...

— Bardzo być może, a w dodatku mam wymówkę: rękamoja nie będzie pierwszą ręką męską, jaka dotknęła się ciebie, tak mi się zdaje przynajmniej.

Lord wskazał z pogardą lewe ramię milady i prawie dotknął go palcem.

Milady jęknęła głucho, cofnęła się w kąt pokoju, jak pantera szykująca się do napadu.

— O! jęcz, krzycz, ile chcesz — zawołał lord Winter — lecz nie próbuj kąsać, bo uprzedzam, że wszystko obróci się przeciwko tobie. Niema tu notarjusza, regulującego naprzód sukcesje, niema błędnego rycerza, któryby mnie wyzwał na pojedynek za trzymanie w niewoli pięknej damy; lecz mam pod ręką sędziów, którzy osądzą właściwie bezwstydną kobietę, mającą śmiałość poślubić lorda de Winter, brata mojego starszego, gdy mąż jej pierwszy żyje dotąd. Bądź pani pewna, iż dostaniesz się znów w moc kata, a ten ci drugie ramię przyozdobi.

Oczy milady tak dziko zabłysły, że on, choć mężczyzna i uzbrojony, — wobec kobiety bezbronnej, uczuł dreszcz przerażenia w całem ciele; pomimo to ciągnął dalej z wzrastającem uniesieniem:

— O tak, pojmuję to, odziedziczywszy mienie po moim bracie, miłoby ci było posiąść i mój majątek, lecz mówię ci, możesz mnie kazać zamordować, a na nic się to nie przyda, zabezpieczyłem się stosownie: nie dostaniesz ani szeląga... Czyż nie jesteś już dość bogata, posiadając około miljona? ale ty nurzasz się w zbrodniach jedynie dla przyjemności, to rozkosz twoja najwyższa spełniać występek po występku! O! gdyby mi nie chodziło o pamięć brata, zgniłabyś w więzieniu kryminalnem, lub wysłałbym cię do Tyburn na pociechę marynarzy, spragnionych obecności kobiet. Będę milczał jednak, lecz ty znoś cierpliwie niewolę. Za dwa tygodnie wychodzę z armją do Roszelli, w wilję dnia mojego wyjazdu wsadzę cię na okręt i wyślę do naszych kolonji południowych. Dostaniesz towarzysza, który w łeb ci palnie, gdybyś próbowała powrócić do Anglji, lub na kontynent.

Milady słuchała uważnie, oczy jej coraz więcej błyszczały.

— Obecnie zaś — mówił dalej lord Winter — pozostaniesz w tym zamku: mury tu są grube, drzwi dobrze okute, a kraty mocne; w dodatku okno twoje wychodzi wprost na morze. Ludzie mej załogi oddani mi są zupełnie, trzymają straż około twojego apartamentu i strzegą wszystkich przejść, prowadzących na dziedziniec, a tam są jeszcze trzy bramy żelazne do przebycia. Straż przy nich jest uprzedzona: krok jeden, jedno słowo, lub gest, zdradzający chęć ucieczki, a w tej chwili dają ognia do ciebie. Jeśli cię zabiją, mam nadzieję, że trybunały angielskie wdzięczne mi będą, żem je wyręczył. Ah! rozpogodziłaś czoło, twarz ci się wyjaśniła: dwa tygodnie, myślisz sobie, ba! do tej pory wynajdę podstęp jaki; szatan mi pomoże, znajdę sposób, poświęcę kogo!... Za dwa tygodnie będę stąd daleko, mówisz sobie... O! sprobuj tylko!

Milady poznała, że brat ją odgadł, wpiła paznogcie w ciało aby się powstrzymać, by nadać twarzy wyraz jedynie boleści.

Lord Winter ciągnął:

— Oficera, dowodzącego w mojej nieobecności, widziałaś już i znasz go zatem; umie on wypełniać rozkazy, pewny bowiem jestem, że jadąc tu z Portsmouth, próbowałaś go wciągnąć w rozmowę. Jak ci się wydaje? posąg marmurowy może mu tylko wyrównać? Próbowałaś wiele razy mocy twych dźwięków i, niestety, dużo mężczyzn dało się złapać; spróbuj, radzę, jego ujarzmić, a jeżeli ci się uda, nazwę cię chyba szatanem z piekła rodem.

Podszedł do drzwi i otworzył je gwałtownie.

— Przywołać pana Feltona, — wymówił. — Poczekaj chwilę, zaraz mu cię polecę.

Nastało po tych słowach milczenie; dał się słyszeć chód wolny i miarowy, zbliżający się stopniowo. Następnie z cienia korytarza ukazał się młody wojskowy, którego już znamy, i stanął na progu, oczekując rozkazów barona.

— Wejdź tu, kochany John — rzekł lord Winter. — Wejdź i zamknij drzwi za sobą.

Młody człowiek uczynił to według rozkazu.

— Teraz — rzekł lord — przypatrz się dobrze tej kobiecie: młoda ona i piękna, posiada wszelkie powaby ziemskie, otóż mówię ci!.. to jest potwór, który w dwudziestu pięciu latach spełnił tyle zbrodni, ile tylko możesz wyczytać przez rok w kronikach trybunalskich. Głos słodki uprzedza na jej korzyść; piękność służy za wędkę ofiarom, ciało jej dotrzymuje obietnic, trzeba oddać jej tęsprawiedliwość; będzie próbowała uwieść cię, a może nawet zabić... Wyciągnąłem cię z nędzy, Feltonie, zrobiłem moim adjutantem, ocaliłem życie, wiesz kiedy i w jakiej sprawie... Jestem nietylko opiekunem twoim, lecz przyjacielem; nietylko dobroczyńcą, lecz ojcem prawie. Ta kobieta

powróciła do Anglji, aby godzić na moje życie; dostałem nareszcię do rąk tę gadzinę!... Otóż przyzwałem cię i mówię: przyjacielu Feltonie... John... dziecko moje!... strzeż mnie, a przedewszystkiem strzeż siebie samego przed tą kobietą; przysięgnij na zbawienie, że pilnować jej będziesz aż do chwili wymiaru sprawiedliwości. Johnie Felton, polegam na twojem słowie. Johnie Felton, wierzę uczciwości twojej.

— Milordzie — odrzekł młody oficer, spojrzawszy z nienawiścią i pogardą — milordzie, przysięgam, że stanie się podług twojej woli.

Milady słuchała z miną ofiary zrezygnowanej; twarz jej piękna wyrażała słodycz i poddanie. Lord Winter zaledwie poznawał rozjątrzoną tygrysicę, którą gotował się pokonać przed chwilą.

— Noga jej nie przestąpi nigdy progu tego pokoju, słyszysz, Johnie — mówił baron dalej — nie wolno jej pisać do nikogo; mówić do ciebie będzie jedynie, jeżeli uczynisz jej ten zaszczyt i odezwiesz się do niej.

— Dosyć, milordzie... przysiągłem i dotrzymam.

— A teraz, pani, staraj się pogodzić z Bogiem, ludzie już cię osądzili.

Milady opuściła głowę, niby zdruzgotana ostatniemi słowy.

Lord Winter wyszedł, skinąwszy na Feltona, który udał się za nim i drzwi na klucz zamknął.

Po chwili dał się słyszeć na korytarzu ciężki chód żołnierza z marynarki, który straż trzymał, z toporem u pasa i halabardą w ręce.

Milady przez kilka minut siedziała spokojnie, spodziewając się, że ją obserwują przez dziurkę od klucza. Następnie podniosła wolno głowę; twarz jej przybrała wyraz straszny, pełen groźby wyzywającej. Wstała, podbiegła do drzwi i słuchała, potem wyjrzała oknem, nareszcie padła na fotel i poczęła rozmyślać.

Rozdział XXIV. Baczność, panowie!

Jego Eminencja, kardynał, oczekiwał wieści z Anglji, lecz nie nadchodziły inne, prócz złych i groźnych.

Chociaż Roszella była osaczona, choć zwycięstwo zdawało się pewne, dzięki ostrożnościom przedsięwziętym, a głównie z powodu tamy morskiej, niedającej przystępu statkom do miasta oblężonego, jednak trwać mogła długo jeszcze.

A był to wstyd niemały dla armji królewskiej i niedogodność wielka dla pana kardynała, który nie potrzebował już wprawdzie siać niezgody pomiędzy Ludwikiem

XIII i Anną Austrjacką, bo to już było zrobione, lecz musiał godzić pana Bassompierre, poróżnionego z księciem d'Angoulême. Brat zaś króla, który dowodził oblężeniem przy rozpoczęciu, umył ręce od wszystkiego i pozostawił kardynałowi staranie o doprowadzenie go do końca.

Miasto Roszella, pomimo niesłychanej wytrwałości komendanta, buntowało się potrosze, okazując chęć poddania; komendant kazał powywieszać wichrzycieli bez sądu.

Środek ten ochłodził zapalone głowy i nakłonił mieszkańców do wytrwania, pomimo widma śmierci głodowej. Śmierć ta wydała im się mniej gwałtowną, niż zgon na szubienicy.

Ze swej strony, od czasu do czasu, oblegający chwytali wysłańców z Roszelli, wyprawianych do Buckinghama, lub szpiegów tegoż, starających się dostać do oblężonego miasta.

W jednym jak w drugim wypadku, sprawa kończyła się szybko: „Na szubienicę! " mówił kardynał i proces skończony. Zapraszano zwykle króla na ceremonje wieszania. Jego Królewska Mość przybywał słaby i omdlewający i obierał najlepsze miejsce dla przypatrzenia się operacji. To go rozrywało nieco podczas długiego oblężenia, lecz nudził się pomimo to śmiertelnie i ciągle mówił o powrocie do Paryża. Dosyć, że gdyby zbrakło było wysłańców i szpiegów, Jego Eminencja z całą pomysłowością swoją, znalazłby się w wielkim kłopocie.

Czas upływał jednakże, a roszelanie się trzymali; ostatni szpieg, jakiego pojmano, niósł list do Buckinghama. W liście tym pisano, że miastu grozi zagłada; lecz zamiast pisać: „Jeżeli nie dacie nam pomocy przed upływem dwóch tygodni, poddamy się bezwarunkowo", pisano po prostu: „Jeżeli nie przyjdziecie przed upływem dwuch tygodni, pomrzemy wszyscy z głodu".

Roszelanie całą nadzieję pokładali w Buckinghamie. Książę był ich Mesjaszem. Widoczne było, że, gdyby się przekonali, iż nie mogą rachować na Buckinghama, wraz z tą nadzieją i odwaga ich rozchwiałaby się.

Czekali też niecierpliwie wiadomości z Anglji, któreby doniosły, że Buckingham już idzie.

Kwestja zdobycia miasta szturmem, rozbierana powielekroć na radzie królewskiej, odrzucana była zawsze. Naprzód dlatego, że Roszella uchodziła za niezdobytą, następnie kardynał pomimo wszystko, co o nim mówiono, wiedział doskonale, iż konieczność rozlewu krwi w tem spotkaniu, gdzie Francuz miał walczyć z Francuzem,

była czynem, cofającym politykę o lat sześćdziesiąt, a kardynał w owej epoce uchodził za człowieka postępowego. Rzeczywiście, rabunek Roszelli i wymordowanie trzech do czterech tysięcy hugonotów, którzyby się dali zabić, nie ustępując, przypomniałyby zanadto w roku 1628 rzeź Świętego Bartłomieja z roku 1572. W dodatku ostateczny ten środek, jakiemu król, dobry katolik, nie miał nic do zarzucenia, upadał zawsze, zbijany argumentem dowódców oblężenia: „Roszella jest niezdobyta, można ją wziąć jedynie głodem".

Kardynał nie mógł się opędzić złym przeczuciom z powodu milady, i on zrozumiał okrutny charakter tej kobiety, która raz pełzała, jak wąż, to znów groźna była, jak lwica. Miałażby go zdradzić?... a może umarła?... Znał ją bowiem dosyć, by wiedzieć, że czy z nim trzyma, czyjest przeciw niemu, czy jako przyjaciółka, czy jako wróg, nie siedziałaby spokojnie bez przyczyny. Lecz skąd biorą się przeszkody?... Tego nie mógł się domyśleć.

Zresztą miał podstawę, by liczyć na nią: odgadywał w przeszłości tej kobiety straszne tajemnice, jakie tylko pod cieniem jego purpury ukryć się mogły, i czuł dobrze, że była mu oddana dlatego, że czuła się bezpieczna pod tak wszechwładną opieką.

Postanowił prowadzić wojnę sam, nie oglądając się na pomoc obcą. Budował w dalszym ciągu sławną tamę, mającą za cel ogłodzenie Roszelli. Zwrócił wzrok na nieszczęśliwe miasto, zamykające w swych murach tyle zapału i tyle bohaterstwa, a, przywodząc na pamięć słowa Ludwika XI, poprzednika swego w polityce, jak on sam był poprzednikiem Robespierra, powtarzał maksymę kuma Tristanowego; „Dziel, a będziesz panował".

Henryk IV, oblegając Paryż, kazał ciskać przez mury miasta chleb i żywność; kardynał kazał rzucać świstki papieru, na których wystawiał Roszellanom, iż postępowanie ich dowódców jest egoistyczne i barbarzyńskie. Wodzowie mieli zboża poddostatkiem, a nie dzielili się z nikim.

Przyjęli za zasadę, że nic nie znaczy śmierć kobiet, dzieci i starców, niech tylko ludzie zdatni do obrony murów będą silni i zdrowi.

Dotychczas, bądź przez poświęcenie, bądź przez niemożność przeciwdziałania, maksyma ta, nie będąc uznana ogólnie, przeszła jednakże z teorji w praktykę; kartki rzucane zachwiały ją teraz. Na kartkach było wypisane, że dzieci, kobiety i starcy, którym pozwalano z głodu umierać, są to dzieci, żony i ojcowie obrońców miasta. Słuszneby zatem było, aby rozdzielano równo pożywienie, i w jednakowem położeniu, jednakową zasadę wogóle przyjęto.

Odezwy te odniosły oczekiwany skutek: skłoniły znaczną liczbę mieszkańców do pojedyńczego porozumienia się z armją królewską.

Lecz w chwili, gdy kardynał ujrzał już owoce swego pomysłu i radował się, że go użył, jeden z mieszkańców Roszelli zdołał prześlizgnąć się przez straże królewskie, a Bóg jeden wie tylko, jakim cudownym sposobem, tak wielka była czujność Bassompierra, Schomberga i księcia d'Angoulême, pilnowanych znów przez kardynała. Otóż jeden z mieszkańców Roszelli, powtarzamy, dostał się do miasta, a powracał z Portsmouth, i opowiedział oblężonym, jako widział tam wspaniałą flotę, gotową rozwinąć żagle w przeciągu kilku dni.

Co więcej, Buckingham zawiadomił prezydenta miasta, iż nakoniec wielka liga przeciw Francji doszła do skutku, a państwo całe jednocześnie zajęte zostanie przez armje: angielską, cesarską i hiszpańską. List ten odczytywano na placach publicznych, kopje rozlepiano po rogach ulic, a ci nawet, którzy zaczęli rokować z królewskimi, zerwali układy, postanawiając czekać pomocy, tak szumnie zapowiedzianej.

Niespodziewane te wypadki popsuły szyki Richelieumu i zmusiły go wbrew woli do zwrócenia oczu na drugi brzeg kanału, w stronę, gdzie działała milady.

W tymże czasie, wolna od wzruszeń i kłopotów swego prawdziwego dowódcy, armja królewska pędziła wesołe życie. Nie brakło żywności w obozie, a tembardziej pieniędzy; pułki rywalizowały w zuchwalstwie i wybrykach wesołości. Łapać szpiegów, wieszać ich, robić hazardowne wycieczki na tamę lub na morze; obmyślać szalone projekty i wykonywać z zimną krwią, takie były zajęcia, skracające armji długie dnie; długie nietylko dla oblężonych, trawionych głodem i niepokojem, lecz i dla kardynała, który ich ściskał blokadą, jak obręczą żelazną, aby nie dopuścić pomocy, ani posiłków.

Czasami, gdy kardynał, zawsze na koniu, jak ostatni z żandarmów, wodził zamyślony wzrok po fortyfikacjach, postępujących nie tak szybko, jak pragnął, które wznosili pod jego rozkazami inżynierowie, zwołani z całej Francji, i gdy przy takim objeździe napotkał muszkietera z kompanji pana de Tréville, zbliżał się i patrzył pilnie na niego, a, poznawszy, że to nie jeden z czterech towarzyszy, zapuszczał gdzieindziej bystry wzrok i myśl potężną.

Pewnego dnia, toczony śmiertelną nudą, straciwszy nadzieję układów z oblężonem miastem, bez żadnej wieści z Anglji, kardynał wyjechał z obozu bez celu, jedynie w towarzystwie Cahusaca i La Houdinièra, a, postępując wzdłuż brzegów morskich, marzył, wpatrując się w ogrom oceanu.

Jadąc tak wolno, stanął na wzgórzu, z wysokości którego ujrzał poza płotem siedmiu ludzi, wyciągniętych na piasku, a dokoła nich próżne butelki.

Czterej z nich, byli to nasi muszkieterowie, oczekujący widocznie na głośne czytanie listu, jaki jeden z nich tylko co odebrał. Musiał list ten być bardzo ważny, skoro skłonił ich do porzucenia kart i kości, leżących nieopodal na bębnie.

Trzech ludzi było zajętych odkorkowywaniem ogromnej butelki wina z Collioure; byli to służący tych panów.

Kardynał, jak wspomnieliśmy, był w złem usposobieniu, a wtedy nic go tak nic gniewało, jak wesołość innych. Dziwne miał uprzedzenie, że to, co go gniewa i martwi, sprawia otaczającym przyjemność. Skinął więc na la Houdinièra i Cahusaca, by się zatrzymali, sam zaś zsiadł z konia i podsunął się do wesołej kompanji, bardzo mu podejrzanej, w nadziei, że piasek stłumi odgłos kroków, a płot osłoni go, i że pochwyci choć kilka słów rozmowy, jak się zdawało interesującej nadzwyczaj. Gdy był już o dziesięć kroków, rozpoznał narzecze gaskońskie, a ponieważ wiedział już, że to muszkieterowie, nie wątpił, iż trzech z pomiędzy nich są to, jak ich nazywano, nierozłączni, to jest: Athos, Porthos i Aramis.

Łatwo pojąć, jak pragnął usłyszeć, o czem rozmawiają. Oczy mu dziwnym zaświeciły blaskiem i, jak kot, skradał się do płotu.

Nie pochwycił jeszcze słowa, gdy naraz odezwał się dźwięczny głos, zwracający uwagę muszkieterów.

— Baczność, oficer nadchodzi! — zawołał Grimaud.

— Odzywasz się, głupcze jakiś? — rzekł Athos, unosząc się na łokciu i wzrokiem piorunując Grimauda.

Grimaud nie dodał ani słowa, wskazał tylko palcem w kierunku kardynała i jego eskorty.

Muszkieterowie zerwali się na nogi i skłonili się z szacunkiem.

Kardynał pienił się ze złości.

— Panowie muszkieterowie — rzekł — każą się pilnować, jak widzę! Czyżby się bali napadu Anglików?... lub też prości muszkieterowie uważają się za wyższych oficerów?

— Eminencjo — odparł Athos, on jeden bowiem zachował zimną krew w tym wypadku — Eminencjo, muszkieterowie, gdy nie są na służbie, piją i grają w kości, a wtedy są oficerami wyższymi dla swych lokajów.

— Lokaje! — mruczał kardynał — którzy mają rozkaz ostrzegać panów o zbliżeniu kogokolwiek, to nie są lokaje, to poprostu warta.

— Wasza Eminencja ma jednak dowód, iż gdyby nie ta ostrożność, bylibyśmy narażeni na niemożność złożenia mu uszanowania i podziękowania za to, iż raczył d'Artagnana do nas przyłączyć. D'Artagnanie, ty, któryś właśnie pragnął wyrazić swą wdzięczność Eminencji, zbliż się i korzystaj ze sposobności.

Wszystko to wypowiedziane zostało z powagą i zimną krwią, odznaczającą Athosa w chwilach niebezpieczeństwa, a razem z wyszukaną grzecznością, dającą mu pozór godności iście królewskiej.

D'Artagnan wyjąkał parę słów podzięki, które zamarły mu na ustach, pod groźnem spojrzeniem kardynała.

— Wszelako, moi panowie — ciągnął kardynał, nie odstępując od myśli pierwotnej i nie zważając, co Athos mówi — nie lubię ja, aby prości żołnierze, dlatego, że służą w pułku uprzywilejowanym, udawali wielkich panów; karność wojskowa jest dla nich taką samą jak dla wszystkich.

Athos pozwolił kardynałowi skończyć, a, skłaniając głowę na znak zgody, zaczął mówić:

— Eminencjo, nie zapomnieliśmy karności wojskowej. Nie będąc dziś na służbie, sądziliśmy, iż wolno nam zabawić się według upodobania. Gdybyśmy jednak mieli szczęście otrzymać polecenie osobiste waszej Eminencji, gotowi jesteśmy do posłuszeństwa natychmiast. Widzi Wasza dostojność — mówił dalej Athos, marszcząc brwi, albowiem ten rodzaj indagacji poczynał go niecierpliwić — iż, aby gotowymi być na wypadek alarmu, jesteśmy tu z bronią nawet.

Wskazał na cztery muszkiety, ustawione obok bębna z kartami i kośćmi.

— Wasza dostojność raczy wierzyć — dodał d'Artagnan — pośpieszylibyśmy na Jego spotkanie, gdybyśmy przypuszczali, że to on zbliża się ku nam z tak małą eskortą.

Kardynał gryzł usta ze złości.

— Czy wiecie, panowie, — rzekł — na co wyglądacietak zawsze razem, uzbrojeni i strzeżeni przez lokajów? wyglądacie na spiskowców.

— O! co do tego Wasza Eminencja ma rację — odezwał się Athos — spiskujemy, jak to już można było widzieć, lecz przeciw Roszelanom jedynie.

— O! panowie umiecie politykować!... — rzekł kardynał, marszcząc brwi — znalazłoby się w waszych głowach dużo rzeczy, o których nie wiemy, gdyby można tam czytać, jak to wy czytaliście ten list, schowany za mojem nadejściem.

Athosowi krew uderzyła do twarzy, przystąpił do kardynała i rzekł:

— Zdaje się, iż rzeczywiście podejrzewasz nas, Eminencjo, i że podlegamy prawdziwej indagacji, jeżeli tak, to niech Wasza wielebność raczy powiedzieć, o co chodzi, a będziemy przynajmniej wiedzieli, czego się trzymać.

— A gdyby to było badanie?... — odparł kardynał — nie tacy, jak wy, podlegali mu, panie Athosie, i musieli odpowiadać.

— Mówiłem już, Eminencjo, racz pytać, gotowi jesteśmy odpowiadać.

— Co to był za list, który miałeś czytać panie Aramisie, a który schowałeś?

— List od kobiety, Eminencjo.

— O! pojmuję — rzekł kardynał — trzeba być dyskretnym z taką korespondencją; jednakże można ją pokazać spowiednikowi, a wiecie zapewne, że ja otrzymałem święcenia.

— Eminencjo — odezwał się Athos ze spokojem tem straszniejszym, iż głowę narażał, tak odpowiadając — list od kobiety, lecz nie nosi podpisu ani Marion de Lorme ani pani d'Auigillon.

Kardynał zbladł śmiertelnie, oczy mu dziko zabłysły, odwrócił się, niby chcąc coś rozkazać La Houdinièrowi i Cahusacowi. Athos widział to poruszenie i posunął się do muszkietów, na które trzech przyjaciół patrzyło już z minami ludzi, jacy nie dadzą się wziąć łatwo.

Kardynał był samotrzeć; muszkieterów razem z lokajami było siedmiu; pomyślał zatem, że partja nierówna, tembardziej, iż miał to przekonanie, że Athos i jego towarzysze spiskują rzeczywiście; nagłym więc zwrotem opanował gniew i roześmiał się wesoło.

— No, no — zawołał — jesteście mężni młodzieńcy, zuchwali przy blasku słońca, wierni w ciemnościach; dobrze jest być strzeżonym, jeżeli drugich strzeże się uczciwie. Panowie, pamiętam tę noc, kiedyście mnie przeprowadzali do Czerwonego Gołębnika; gdyby było jakie niebezpieczeństwo na drodze, w którą się udaję, prosiłbym, abyście ze mną jechali, lecz, ponieważ nie mam się czego obawiać, zostańcie, gdzie jesteście, dokończcie butelek i listu waszego. Adieu, panowie.

Dosiadł konia, podanego przez Cahusaca, pożegnał ich ręką i odjechał.

Młodzi ludzie, stojąc nieruchomo, ścigali go wzrokiem i milczeli, aż im znikł z oczu.

Następnie spojrzeli po sobie.

Wszyscy mieli miny przerażone, czuli dobrze, iż pomimo łaskawego pożegnania kardynał odjechał z furją w duszy.

Athos tylko uśmiechał się wzgardliwie.

A gdy kardynał już nie mógł ich słyszeć:

— Grimaud za późno nas ostrzegł!... — zawołał Porthos, chcąc na kimś wywrzeć złość swoją.

Grimaud chciał się tłómaczyć.

Athos położył palec na ustach i Grimaud zamilkł.

— Aramisie, czy byłbyś list oddał?... — zapytał d'Artagnan.

— Byłem zdecydowany — odrzekł Aramis głosem słodziutkim — gdyby zażądał był listu, podać mu jedną rękę a drugą przebić go szpadą na wylot.

— Spodziewałem się tego — rzekł Athos — i stanąłem pomiędzy nim a tobą. Kardynał jest nieostrożny bardzo, odzywając się w ten sposób do ludzi; możnaby myśleć, że miał jedynie w życiu do czynienia z kobietami i dziećmi.

— Kochany Athosie — rzekł d'Artagnan — podziwiam cię, lecz pomimo to, my nie mieliśmy racji...

— Jakto! my racji nie mieliśmy! — przerwał Athos. — Czyjeż to powietrze, którem oddychamy? Czyj ocean, na który patrzymy? Czyj piasek, na którym leżeliśmy? Do kogo należy list twojej kochanki? Czy do kardynała? Na honor, człowiek ten wyobraża sobie, iż świat cały do niego należy. Staliście teraz, jąkając się, osłupieli, upokorzeni, jak przed Bogiem; rzecby można, że Bastylję ujrzeliście lub że Meduza w kamienie was zamieniła. Kochasz kobietę, którą kardynał kazał uwięzić, chcesz ją wydostać z rąk jego; jest to partja, jaką rozgrywasz z Jego Eminencją: ten list, to twoje atu; pocóż pokazywać atu przeciwnikowi? tak się nie robi. Niech sam odgadnie, i owszem! O!... my odgadujemy doskonale jego zamiary.

— W rzeczy samej, bardzo rozsądnie to powiedziałeś, Athosie — rzekł d'Artagnan.

— Niechże nie będzie więcej mowy o całem zdarzeniu i niech Aramis czyta list kuzynki, od miejsca, w którem kardynał nam przerwał.

Aramis wyjął list z kieszeni, towarzysze przysunęli się, a lokaje zajęli się napowrót butelką z winem.

— Przeczytałeś zaledwie parę wierszy, zacznij od początku — rzekł d'Artagnan.

„Kochany kuzynku!

„Zdecydowana jestem jechać do Stenay, gdzie siostra moja umieściła naszą kuzynkę w klasztorze karmelitek. Biedne dziecko, pogodziło się z losem, przekonana jest bowiem, że tam tylko znajdzie zbawienie duszy. Sądzę jednakże, jeżeli nasze interesy familijne ułożą się po myśli, wtedy powróci ona do tych, których tak bardzo kocha,

tembardziej, iż wie o tem, że myślą o niej bezustannie. Oczekując tej zmiany, niebardzo się martwi, pragnie jedynie listu od narzeczonego. Wiem, że ten rodzaj kontrabandy z trudnością przechodzi kraty klasztorne; lecz dałam ci już dowód zręczności w tej mierze, drogi kuzynku, i teraz podejmę się z ochotą zlecenia. Siostra moja zasyła ci podziękowanie za twoją stałą o niej pamięć. Miała bardzo przykre chwile do przebycia; lecz uspokoiła się nakoniec trochę, wysłała bowiem wiernego sługę tam, dokąd wiesz, aby pilnował jej interesów. Adieu, kochany kuzynku, pisz do nas, jak możesz najczęściej, to jest, gdy będziesz miał pewność, że listy twoje dojdą rąk naszych. Całuję cię serdecznie.

Marya Michon".

— O! ileż ja ci zawdzięczam, drogi Aramisie! — zawołał d'Artagnan. — Kochana moja Konstancja! mam nakoniec o niej wiadomość; żyje, jest bezpieczna w klasztorze, jest w Stenay! Athosie, powiedz mi gdzie leży Stenay?

— Kilka mil od granicy Alzacji, w Lotaryngji; jak tylko oblężenie się skończy, możemy wybrać się w te okolice...

— Niedługo to nastąpi, mam nadzieję — odezwał się Porthos — dziś rano powieszono szpiega, który zeznał, że Roszelczycy zjadają już skórę z trzewików. Przypuśćmy, że, zjadłszy skórę, wezmą się do podeszew to niedługo nie pozostanie im nic innego, jak zjadać się wzajemnie.

— Biedni głupcy! — rzekł Athos, wypróżniając szklankę doskonałego Bordeaux, które choć nie posiadało w owej epoce sławy dzisiejszej, niemniej na nią zasługiwało. — Nieszczęśliwi, bezrozumni! jak gdyby religja katolicka nie była najkorzystniejszą i najprzyjemniejszą ze wszystkich wyznań! A jednak — dodał, smakując z upodobaniem wino — to dzielni ludzie... Aramisie, co ty u djabła robisz? — ciągnął Athos — chowasz ten list do kieszeni?

— Trzeba go spalić — rzekł d'Artagnan — a nawet kto wie, czy pan kardynał nie ma sposobu wygrzebywania tajemnicy z popiołów?

— Z pewnością go posiada — odparł Athos.

— Cóż zatem chcesz zrobić z tym listem? zapytał Porthos.

— Zbliż się, Grimaud — zawołał Athos.

Grimaud wstał i słuchał.

— Za karę, że odezwałeś się bez pozwolenia, mój przyjacielu, zjesz natychmiast ten kawałek papieru; następnie w nagrodę usługi, jakąś nam oddał, wypijesz tę oto szklankę wina. Masz najpierw list; dalej! gryź prędko.

Grimaud uśmiechnął się i z oczami utkwionemi w szklankę, którą Athos winem napełnił, pożuł papier i połknął go...

— Brawo, panie Grimaud! — rzekł Athos, — teraz bierz i pij; możesz nie dziękować.

Grimaud w cichości połykał Bordeaux, lecz wzrok, wzniesiony w niebo, bardziej był wymowny przez cały czas miłego zajęcia.

— A teraz, — rzekł Athos, — jeżeli tylko panu kardynałowi nie przyjdzie dowcipna myśl otworzenia żołądka Grimaudowi, to, jak mi się zdaje, możemy być prawie spokojni.

Przez ten czas Jego Eminencja odbywał dalej samotną przejażdżkę, mrucząc pod wąsami:

— Ci ludzie muszą do mnie należeć; muszą, stanowczo!

Rozdział XXV. Pierwszy dzień niewoli

Powróćmy do milady, którą straciliśmy z oczu, zatrzymawszy się na brzegach Francji.

Odnajdujemy ją w położeniu rozpaczliwem, w jakiem ją pozostawiliśmy; w przepaści czarnych rozmyślań, czarnych, jak piekło, u drzwi którego zostawiła prawie nadzieję: pierwszy raz bowiem ogarnęło ją zwątpienie, pierwszy raz się lękała.

Po dwakroć zwykłe szczęście jej nie dopisało, po dwakroć odkryto ją i zdradzono, a obydwa razy rozbiło się powodzenie jej o ten genjusz fatalny, zesłany przez Boga na jej pognębienie: d'Artagnan zwyciężył ją, tę siłę, w złem niezwyciężoną.

Nadużył miłości, upokorzył dumę, oszukał ambicję, a teraz oto gubi ją bezpowrotnie, czycha na swobodę, życiu jej nawet zagraża. Co więcej, zdarł z niej maskę, którą się osłaniała, i pod którą była tak silna!

D'Artagnan odwrócił od nienawistnego jej Buckinghama (bo nienawidzi go, jak wszystko, co kiedyś kochała) burzę grożącą mu od Richelieu'go z powodu królowej.

D'Artagnan udawał de Wardesa, dla którego miała jedną z tych fantazyj zwierzęcych, niepohamowanych, jakim podlegają kobiety jej charakteru. D'Artagnan zna straszną tajemnicę i żyje jednak, a przysięgła przecież, iż każdy, co ją pozna, umrzeć musi...

Nakoniec w chwili, gdy zdobyła wyrok od kardynała, za pomocą którego pewna była zemsty nad nieprzyjacielem, wydarto jej ten wyrok, a teraz znów d'Artagnan wepchnął

ją do więzienia i przyczynił się, iż zostanie wysłana do Botany — Bay, do ohydnego Tyburn, za ocean Indyjski!...

Wszystko to jego sprawa napewno; skądżeby mogło przyjść tyle nieszczęść? On tylko mógł lordowi de Winter odkryć jej straszną przeszłość, poznaną dziwnem zrządzeniem losu... On zna jej szwagra i napisał do niego bezwątpienia. Jakaż nienawiść wzbiera w jej sercu, gdy siedzi nieruchoma, z oczami pałającemi, utkwionemi w pokój pusty; co chwila z piersi wydobywa się jęk stłumiony, a wtóruje mu łoskot bałwanów morskich, rozbijających się z rykiem, jak rozpacz wieczna a bezsilna, o podnóża skały, na której stoi zamek ponury.

W głowie roją się tysiączne plany zemsty, nad panią Bonacieux, Buckinghamem, a nadewszystko nad d'Artagnanem!

Tak, lecz chcąc się mścić, trzeba być wolną; więzień, chcący się wydostać na swobodę, musi przebić mury, wyłamać kraty, wyrywać podłogi. Wszystko to dobre dla mężczyzny silnego i cierpliwego, lecz nie dla kobiety nerwowej i słabej fizycznie. W dodatku potrzeba na to czasu, miesięcy, lat całych, a ona... ona ma dwanaście dni, jak jej zapowiedział lord Winter, okrutny dozorca więzienny. Jednak, gdyby była mężczyzną, próbowałaby wszystkiego, możeby się udało uwolnić; oh! poco Stwórca się pomylił i duszę męską i silną dał kobiecie słabej i delikatnej! Pierwsze chwile niewoli były straszne; szarpała się, trzęsła, nie mogąc powstrzymać objawów słabości kobiecej.

Powoli uspakajała się, pokonała wybuchy szalonego gniewu, drżenie nerwowe ustało i rozmyślała, siedząc bezczynnie, jak wąż znużony, gdy odpoczywa.

— Dosyć tego, szalona byłam, unosząc się w ten sposób — rzekła do siebie, patrząc w lustro, odbijające wzrok pałający, jakim przypatrywała się sobie. — Dosyć gwałtów i krzyków, to dowód właśnie słabości. W ten sposób nigdy nie postawiłam na swojem: gdybym użyła siły z kobietą, może byłaby słabsza odemnie, lecz ja walczę z mężczyzną i powinnam o tem pamiętać... Walczmy zatem, jak kobieta; siła moja jest właśnie w słabości...

Następnie dla przekonania, jakie zmiany nakazać może twarzy swojej, przybierała po kolei od wyrazu złości, wykrzywiającej rysy, aż do najczulszego, tkliwego i najponętniejszego uśmiechu.

Potem rozpuściła włosy i ułożyła tak, aby podnosiły piękność twarzy. Nakoniec zadowolona szepnęła:

— Nic niema straconego... Jestem zawsze bardzo piękna...

Wieczór się zbliżył, godzina ósma wybiła, milady spostrzegła łóżko zasłane. Pomyślała, że kilka godzin spoczynku nietylko umysł odświeży, lecz doda blasku śnieżnej płci. Przed położeniem się jednak powzięła inne postanowienie.

Słyszała, iż mówiono o kolacji, a że od godziny przeszło zamknięta już była, spodziewała się zatem, iż niebawem posiłek jej przyniosą. Nie chciała czasu tracić i postanowiła od chwili obecnej zbadać położenie, studjując charaktery ludzi, którym straż nad nią powierzono.

Światło ukazało się przez drzwi; zwiastowało ono powrót dozorców. Milady rzuciła się coprędzej na fotel, głowę w tył przechyliła; piękne włosy rozpuszczone sięgały podłogi, pierś na pół odkryta wyglądała z pod koronek sukni, ręką jedną trzymała się za serce, drugą bezwładnie spuściła ku ziemi.

Otworzono zamki, drzwi na zawiasach zgrzytnęły, do pokoju weszło osób kilka.

— Postawcie ten stół — dał się słyszeć głos, po którym milady poznała Feltona.

Wykonano rozkaz bezzwłocznie.

— Przynieście tu światło i każcie zmienić wartę — mówił Felton.

Milady domyśliła się po tym rozkazie, że ludzie jej usługujący byli żołnierzami.

Polecenie Feltona wykonano szybko i w milczeniu, co dawało dobre wyobrażenie o karności, w jakiej trzymał podwładnych. Nakoniec Felton, który dotąd nie patrzył na milady, zwrócił się do niej.

— A!... — wyrzekł — ona śpi; to dobrze, po przebudzeniu zje kolację.

I zawrócił się ku wyjściu.

— Panie poruczniku — odezwał się jeden z żołnierzy, mniej surowy, niż jego dowódzca — ona nie śpi...

— Jakto nie śpi?... — rzekł Felton — cóż robi zatem?

— Zemdlała; patrz pan, jaka blada leży i bez oddechu!

— Masz rację — przyznał Felton, przyjrzawszy się milady zdaleka — idź, donieś lordowi de Winter, że tapani zemdlała, ja nie wiem, co na to poradzić, ponieważ nie przewidzieliśmy tego wypadku.

Żołnierz wyszedł, a Felton usiadł przy drzwiach i czekał, nic nie mówiąc. Milady posiadała dar widzenia poprzez rzęsy, nie otwierając oczu wcale. Widziała, że Felton jest obrócony tyłem i, przez jakie dziesięć minut patrząc na niego, przekonała się, że jej nieczuły dozorca nie odwrócił się ani razu.

Przyszło jej na myśl, że z przybyciem lorda, Felton umocni się jeszcze w obojętności. Pierwsza próba nie udała się; co robić, rachowała na inne jeszcze sposoby, podniosła też głowę, otworzyła oczy i westchnęła lekko.

Na odgłos ten, młody oficer odwrócił się nareszcie.

— A! obudziłaś się, pani — rzekł — niepotrzebny więc tu już jestem. Jak pani będziesz czego potrzebować, proszę zadzwonić.

— O Boże, mój Boże! jakże cierpiałam!... — wymówiła milady głosem harmonijnym, jakim czarodziejki starożytne usidlały tych, których zgubić postanowiły.

Felton się podniósł.

— Podadzą pani posiłek trzy razy na dzień — powiedział — o dziewiątej rano, pierwszej z południa i ósmej wieczorem. Jeżeli to nie podoba się, pani, oznacz inne godziny, a pod tym względem, zastosujemy się do życzeń twoich.

— Czyż zawsze mam być sama jedna w tym wielkim i ponurym pokoju?... — zapytała milady.

— Będziesz pani miała od jutra kobietę do usług, która stawi się na każde zawołanie.

— Dziękuję panu — odpowiedziała milady pokornie.

Felton skłonił się lekko i skierował ku drzwiom. Gdy miał próg przestąpić, lord Winter ukazał się na korytarzu wraz z żołnierzem, który go uwiadomił o zemdleniu milady. Lord trzymał w ręku flakon z solami trzeźwiącemi.

— Co tu się dzieje?.. — zapytał drwiąco, ujrzawszy milady na nogach, a Feltona wychodzącego. — Czy nieboszczka już zmartwychwstała?... Przebóg, Feltonie, mój synu, czy nie widzisz, że mają cię za nowicjusza i odgrywają przed tobą pierwszy akt komedji, której dalszy ciąg będziemy mieli przyjemność ujrzeć w przyszłości?

— Tak też myślałem, milordzie — rzekł Felton — leczponieważ to kobieta, więc, jako człowiek dobrze urodzony, chciałem okazać względy należne płci, nie już przez szacunek dla niej, lecz dla siebie samego.

Milady dreszcz przeszedł. Słowa Feltona ścięły jej krew w żyłach.

— Zatem — mówił lord Winter — te piękne włosy do ziemi rozpuszczone i te spojrzenia omdlewające nie zwiodły cię, ty, człowieku z kamiennem sercem?

— Nie, milordzie — odrzekł obojętnie młodzieniec — wierz mi, potrzeba daleko więcej sztuki i kokieterji, aby mnie oszukać.

— W takim razie, dzielny mój poruczniku, zostawmy milady, niech szuka innych sposobów, a sami chodźmy na kolację. Bądź spokojny! ma ona płodną imaginację, drugi akt komedji nastąpi niebawem po pierwszym.

Z temi słowy lord Winter wziął pod rękę Feltona i, śmiejąc się, zmierzał ku drzwiom.

— O! znajdę, co ci potrzeba — mruczała milady przez zęby — bądź pewny, biedny mnichu niedoszły! znajdę sposób, biedny żołnierzu nawrócony, który wykroiłeś sobie mundur z habitu!

— Ale, ale — dodał lord Winter, zatrzymując się na progu — droga milady, niech ci ten zawód apetytu nie psuje. Spróbuj kurczęcia i ryb, nie kazałem ich zatruć, słowo honoru. Dobrego mam kucharza, a ponieważ nie dziedziczy po mnie, pokładam w nim ufność zupełną. Ufaj mu więc także. Adieu, kochana siostrzyczko, zobaczymy się przy zemdleniu powtórnem.

Tego już zawiele było dla milady; zacisnęła ręce kurczowo, zgrzytnęła zębami i wzrok ponury utkwiła w drzwi, zamykające się za lordem i Feltonem. Gdy już sama została, nowy paroksyzm rozpaczy ją napadł, spostrzegła nóż na stole, zerwała się i schwyciła go; niestety! rozczarowanie ją spotkało okrutne: ostrze było tępe, ze srebra miękkiego…

Śmiech głośny się rozległ, drzwi się roztworzyły.

— A! a!… — wołał lord Winter — a! a! a! widzisz, dzielny Feltonie, czy ci nie mówiłem?… Ten nóż, dla ciebie był przeznaczony; dla ciebie, moje dziecko, onaby cię nim przebiła. Jest to jeden z jej sposobów pozbywania się ludzi, którzy jej zawadzają. Gdybym cię był posłuchał, dałbym jej był nóż stalowy i ostry: a wtedy już poFeltonie! byłaby ci gardło poderżnęła, a potem wszystkim, którychby na drodze swej napotkała. Spójrz no, John, jak ona umie nóż trzymać doskonale.

Rzeczywiście, milady trzymała wciąż w ręce zaciśniętej nóż srebrny, lecz ostatnie słowa, zawierające najwyższą zniewagę, odebrały jej siłę… nóż upadł na ziemię.

— Prawdę mówiłeś, milordzie — rzekł Felton z głęboką pogardą — masz rację, jak zawsze, ja to byłem w błędzie.

I obydwaj opuścili pokój. Lecz teraz milady słuchała uważniej, niż za pierwszym razem, dopóki ostatnie echo kroków nie ucichło w głębi korytarza.

— Zgubionam — mruczała — zgubionam bezpowrotnie… Jestem w mocy ludzi zimnych, okrutnych; nie zdobędę ich sobie, to posągi z bronzu, czy z granitu. Zrozumieli mnie, odgadli i opancerzyli się stosownie na wszystkie moje pociski… Niepodobna jednak, aby to się miało tak skończyć, jak oni pragną…

Milady zasiadła do stołu, jadła z apetytem, wypiła trochę wina hiszpańskiego i poczuła, że odwaga jej powróciła.

Przed udaniem się na spoczynek, przeszła w pamięci każde słowo, każde stąpnięcie, gest, poruszenie, aż do milczenia swoich interlokutorów, a z tego przeglądu ścisłego wypadło, że Felton, pomimo pozorów łatwiejszy był do podejścia, niż lord Winter.

Jedno przedewszystkiem przychodziło jej na pamięć.

— Gdybym cię był posłuchał — powiedział lord do Feltona.

Zatem Felton ujmował się za nią, skoro Winter nie chciał go usłuchać.

— Słaby jest, czy silny — powtórzyła milady — człowiek ten ma jednak iskrę litości w duszy; z tej iskry rozniecę pożar, który go pochłonie.

Co się tyczy tamtego, on zna mnie dobrze, lęka się i wie, czego może się spodziewać, jeżeli kiedykolwiek z rąk jego się wydostanę. Nie warto zatem próbować z nim czegokolwiek. Felton to co innego; młody jest, naiwny, czysty i wydaje się cnotliwy; na tego mam sposób pewny...

Milady położyła się i zasnęła z uśmiechem na ustach; widząc ją śpiącą, rzekłbyś, młode dziewczę, śniące o wieńcu z kwiatów, którym ma nazajutrz główkę przyozdobić.

Rozdział XXVI. Drugi dzień niewoli

Milady śniła, iż dostała nakoniec d'Artagnana, iż patrzy na śmierć jego i właśnie widok krwi nienawistnej, płynącej z pod topora katowskiego, wywołał na usteczka te uśmiech prześliczny. Spała, jak śpi więzień, kołysany pierwszą nadzieją wolności.

Nazajutrz, gdy zajrzano do pokoju, leżała jeszcze w łóżku. Felton zatrzymał się na korytarzu: przyprowadził właśnie kobietę, o której wczoraj wspomniał. Kobieta przystąpiła do łóżka, ofiarując usługi. Milady była zwykle blada, wygląd jej zatem mógł oszukać każdego, co ją po raz pierwszy zobaczył.

— Mam gorączkę — rzekła — całą noc długą spędziłam bezsennie, cierpię straszliwie: czy będziesz litościwszą, niż ci, którzy mnie wczoraj odwiedzali? Niczego nie pragnę, tylko pozwolenia na pozostanie w łóżku.

— Czy chce pani, abym przywołała doktora? — odpowiedziała kobieta.

Felton słuchał rozmowy, lecz się nie odzywał.

Milady rozważyła, że im więcej ludzi będzie koło niej, tem więcej będzie roboty z ich rozczulaniem, a lord Winter czujność podwoi. Doktór wreszcie może poznać, że choroba udana, a milady po przegraniu pierwszej partji, drugiej przegrać nie chciała.

— Na co wołać doktora — rzekła — ci panowie zdecydowali wczoraj, że moja choroba jest komedją, tak samo byłoby i dzisiaj; od wczorajszego wieczoru mieli dość czasu, aby doktora uprzedzić.

— A więc — rzekł Felton zniecierpliwiony — niech pani sama powie, jakiego chce lekarstwa.

— O mój Boże, czyż ja wiem? czuję się chora, ot i wszystko; dajcie mi, czego chcecie, mało mnie to obchodzi.

— Poproście lorda de Winter — rzekł Felton, znudzony ciągłem narzekaniem.

— O! nie, nie! — krzyknęła milady — nie wołajcie go, błagam pana, zdrowa jestem, nic mi nie trzeba, niech nie przychodzi.

Tyle było pośpiechu, tyle wymowy pociągającej w tym okrzyku, że Felton pomimo woli wszedł do pokoju.

— Aha, przyszedł — pomyślała milady.

— Jednakże, jeżeli pani cierpi rzeczywiście — odezwał się — poślemy po doktora, a jeżeli pani nas zwodzi, ha! tem gorzej dla niej, my przynajmniej z naszej strony nie będziemy mieli sobie nic do wyrzucenia.

Milady nie odpowiedziała; tylko, przechyliwszy na poduszkę śliczną główkę, zaczęła łkać głośno.

Felton patrzył przez chwilę ze zwykłą obojętnością; nareszcie, widząc, że kryzys się przeciąga, wyszedł z pokoju; za nim wyszła i kobieta. Lord de Winter nie ukazał się.

— Zdaje mi się, że zaczynam pojmować jasno — szeptała milady z dziką radością, nakrywając się prześcieradłami, by ukryć przed oczami, mogącemi ją podpatrywać, wybuch zadowolenia.

Dwie godziny upłynęły.

— Czas już wyzdrowieć — rzekła — wstawajmy i starajmy się otrzymać jakąkolwiek korzyść z dnia dzisiejszego; mam tylko dni dziesięć, a dziś wieczorem dwa już upłyną.

Nazajutrz rano przyniesiono milady śniadanie; pewna była, iż niebawem przyjdą stół zabrać i że wtedy Feltona zobaczy.

Nie omyliła się; Felton wszedł i, nie zważając, czy milady jadła już, rozkazał wynieść stół, który zwykle przynoszono nakryty i zastawiony.

Felton został jeszcze; w ręku trzymał jakąś książkę.

Milady, wyciągnięta w fotelu obok kominka, piękna, blada, z wyrazem rezygnacji na twarzy, wyglądała, jak święta dziewica, oczekująca męczeństwa.

Młody człowiek zbliżył się i rzekł:

— Lord de Winter, będąc sam katolikiem jako i ty pani, pomyślał, iż brak modlitw i obrządków twojego wyznania może być pani przykry; zgadza się zatem, abyś pani choć przeczytała każdego dnia mszę swoją, a oto książka, zawierająca cały rytuał.

Widząc minę, z jaką Felton położył książkę na stoliczku obok niej, słysząc głos, jakim wymówił te słowa swoję mszę, i uśmiech wzgardliwy, towarzyszący tym słowom, milady podniosła głowę i patrzyła na niego uważnie.

Wtedy z włosów, zaczesanych gładko, z ubrania skromnego do przesady, z czoła gładkiego, jak marmur, lecz, jak tenże twardego i nieprzeniknionego, domyśliła się w nim jednego z tych ponurych purytanów, jakich spotykała tak często na dworze króla Jakóba, jak i na dworze króla Francji, gdzie pomimo wspomnienia nocy Świętego Bartłomieja, przebywali niekiedy, szukając schronienia. Przyszło jej nagle jedno z tych natchnień, jakie miewają tylko ludzie genjalni w chwilach stanowczych, decydujących, o losie całego życia.

Dwa te słowa msza swoja i spojrzenie uważne na Feltona objaśniły ją o całej ważności odpowiedzi, jaką dać zamierzała.

Z szybkością sobie właściwą znalazła ją gotową:

— Ja? — rzekła z równą pogardą, jaką zauważyła w głosie Feltona — ja mam odczytywać mszę swoją? Lord de Winter, katolik skażony, wie doskonale, że nie jestem tego, co on wyznania, a to są zapewne nowe sidła, które na mnie zastawia.

— Jakiejże religji pani jesteś? — zapytał Felton, ze źle ukrytem zdziwieniem.

— Wyznam to — zawołała milady, udając egzaltację — lecz wyznam w dniu, w którym już dosyć wycierpię za moją wiarę.

Spojrzenie Feltona odkryło milady, jaki wyłom zrobiła w jego przekonaniach.

Młody oficer pozostał jednak milczący i nieruchomy; wzrok jego mówił jedynie.

— Jestem w rękach nieprzyjaciół moich — ciągnęła z entuzjazmem, właściwym purytanom — czy mnie Bóg mój wybawi, czy zginę dla Boga mojego, wszystko mi jedno! Oto odpowiedź, którą, proszę, zanieś pan lordowi de Winter. A co do tej książki — dodała, wskazując ją końcem palca zdaleka, jak gdyby się obawiała splamić dotknięciem — możesz ją pan zabrać i użyć dla siebie; bezwątpienia bowiem jesteś podwójnym wspólnikiem lorda Wintera, wspólnikiem w prześladowaniu i wspólnikiem w herezji.

Felton nie odpowiedział, zabrał książkę z tem samem uczuciem pogardy, jak, kiedy ją przyniósł, i wyszedł zamyślony.

O piątej wieczorem przyszedł lord Winter; milady miała czas przez dzień cały nakreślić plan postępowania; przyjęła go też, jak kobieta, czująca, że przy niej zwycięstwo.

— Zdaje się — rzekł baron, siadając na fotelu naprzeciw milady i wyciągając niedbale nogi przed ogniem — zdaje się, że popełniliśmy małą apostazję!

— Co pan chcesz przez to powiedzieć?

— Chcę powiedzieć, że od ostatniego naszego widzenia się zmieniliśmy religję; czyś pani przypadkiem nie wyszła trzeci raz zamąż, za protestanta?...

— Wytłomacz się, milordzie — odparła uwięziona z powagą — oświadczam, iż nie rozumiem wcale słów twoich.

— To znaczy, że nie masz żadnej religji; wolę cię nawet taką — rzekł drwiąco milord.

— Z pewnością, że przypadałoby to bardziej do twoich przekonań.

— O! przyznaję, iż mi to wszystko jedno.

— Choćbyś się nie przyznał do religijnej obojętności, poznać ją łatwo po rozwiązłem życiu i twoich występkach.

— Co! ty mówisz o rozpuście, pani Messalino!... ty, lady Makbet!... Albo mnie słuch myli, lub też jesteś bardzo bezczelna!...

— Mówisz w ten sposób, bo wiesz, że nas podsłuchują, mój panie — odrzekła wyniośle milady — chcesz podburzyć przeciwko mnie dozorców i prześladowców moich!

— Dozorców!... prześladowców!... O, pani, zanadto patetycznie się wyrażasz; wczorajsza komedja zamienia się w tragedję, jak widzę. Mniejsza o to, za osiem dni znajdziesz się pani na właściwem miejscu, a wtedy skończy się moje zadanie.

— Zadanie haniebne! bezbożne!... — odparła milady z uniesieniem ofiary, wyzywającej sędzięgo.

— Na honor! sądzę, że ta hultajka dostaje warjacji. No, no, uspokój się zacna purytanko, w przeciwnym razie w lochu cię zamknę. Prawdopodobnie wino szampańskie poszło ci do głowy?... Uspokój się, to przejdzie bez śladu i szkodliwych następstw.

Lord Winter wyszedł, klnąc straszliwie, co w owym czasie było przyzwyczajeniem wysokiej szlachty.

Felton znajdował się rzeczywiście za drzwiami i nie stracił ani słowa z prowadzonej rozmowy.

Milady wiedziała, co robi.

— Idź, idź — mówiła w myśli do szwagra — zbliża się stanowcza chwila, lecz ty się dowiesz o wszystkiem, stary głupcze, gdy będzie już po niewczasie.

Cisza zaległa, znów dwie godziny upłynęły, przyniesiono kolację; milady odmawiała głośno modlitwy, jakich się nauczyła od zażartego purytanina, starego sługi swego drugiego męża.

Była, jak w zachwyceniu, i udawała, że nie słyszy, co się koło niej dzieje. Felton skinął, by jej nie przeszkadzano i wyszedł pocichu razem z żołnierzami.

Milady wiedziała, że ją obeserwują, odmawiała też modlitwy do końca i zdawało się jej, że żołnierze, będący na warcie, przestali chodzić, tylko słuchali jej głosu.

Tego właśnie pragnęła; po ukończeniu nabożeństwa, powstała, usiadła przy stole, zjadła trochę i piła jedynie wodę.

W godzinę potem żołnierze zabrali stolik z nakryciem, lecz tym razem Felton im nie towarzyszył.

— Obawia się więc za często mnie widywać... — pomyślała i odwróciła się do ściany, by ukryć uśmiech triumfu, mogący ją zdradzić.

Po niejakiej chwili cisza zaległa stary zamek, słychać było jedynie nieustający szmer fali morskiej; wtedy głosem harmonijnym i dźwięcznym zaczęła śpiewać pierwszą strofkę psalmu, znanego i najwięcej ulubionego przez purytanów:

Boże! odwracasz się od nas,
Pozostawiasz własnym siłom,
Lecz w chwilach niedoli
Wyciągasz ku nam prawicę wszechmocną.

Wiersz nie był dobry, nie było w nim miary ni rymu, lecz purytanie nie znali się na poezji.

Milady, śpiewając, nasłuchiwała; straż zatrzymała się, jak skamieniała. Mogła zatem osądzić, iż uczyniła wrażenie.

Śpiewała dalej zawzięcie z niewymownem uczuciem; zdawało jej się, że śpiew rozlega się daleko pod sklepieniami i jak urok magiczny miękczy serca jej stróżów.

Pokazało się jednak, że żołnierz na warcie, zapewne zagorzały katolik, otrząsł się z wrażenia i przez drzwi zawołał:

— Ucisz się pani nareszcie, śpiew twój smutny, jak De profundis, a połączony z przyjemnością stania na warcie, staje się nie do wytrzymania.

— Milczeć!... — odezwał się poważny głos, po którym rozpoznała Feltona — nie mieszaj się w nieswoje rzeczy, błaźnie! Czy masz rozkaz nie pozwalać śpiewać tej kobiecie?... Nie. Kazano ci pilnować, kazano strzelać do niej, gdyby chciała uciekać. Strzeż jej zatem; zabij, gdy będzie trzeba, lecz nie zmieniaj rozkazów, jakie otrzymałeś.

Radość niepohamowana rozjaśniła oblicze milady i, jak błyskawica, przemknęła po twarzy, lecz, udając, że nie słyszy rozmowy, z której każde słówko zapamiętała, zaczęła znów, nadając głosowi urok, rozciągłość i dźwięk, któremi ją sam szatan obdarzył:

W nagrodę łez i niedoli
Za wygnanie i kajdany
Mam tylko młodość i modlitwę
I Boga, który cierpienia policzy.

Głos cudowny nadawał prostym wierszom psalmu wyraz i urok, jakie purytanie najzapamiętalsi rzadko znajdowali w śpiewach swych braci; Feltonowi też zdawało się, że słyszy śpiew anioła, pocieszającego trzech Hebrajczyków, w piec gorejący rzuconych na spalenie.

Milady ciągnęła dalej:

Lecz dzień wyzwolenia nadejdzie dla nas;
O Boże mocny, Boże sprawiedliwy;
A gdy i tego odmówisz nam biednym,
Przyjmiemy cierpienie i śmierć z ręki Twojej.

Ostatnią strofkę okrutna czarodziejka oddała z takiem uczuciem porywającem, że młody oficer nie był w stanie słuchać dłużej: otworzył drzwi gwałtownie i ukazał się na progu blady; jak zawsze, jeno oczy mu ogniem pałały.

— Dlaczego pani śpiewasz — odezwał się — i po co takim głosem rozdzierającym?

— Przebacz pan — rzekła milady łagodnie — zapomniałam, że pieśni moje źle brzmią w tym domu. Obraziłam pana, jako katolika, lecz, przysięgam, nieumyślnie; przebacz mi winę, wielką zapewne, lecz mimowolną.

Milady piękna była, mówiąc to, uniesienie religijne, w jakiem zdawała się być pogrążona, taki nadziemski wyraz nadawało jej fizjognomji, iż Felton olśniony sądził, że widzi teraz anioła, którego przedtem słyszał jedynie.

— Tak, pani — odpowiedział — zakłócasz spokój ludzi, mieszkających w zamku.

Biedny szaleniec nie spostrzegł, iż odpowiedź ta bez związku, odkrywa milady głębie jego duszy.

— Nie będę już śpiewała — rzekła milady, spuszczając oczy z pokorą i rezygnacją.

— Tego nie żądam; śpiewaj pani, tylko nie tak głośno, a głównie podczas nocy…

Z temi słowy, czując, że dłużej nie potrafi być surowym, młody człowiek oddalił się pośpiesznie.

— Dobrze zrobiłeś, panie poruczniku — odezwał się żołnierz — te psalmy zakłócają spokój duszy… można się jednak do nich przyzwyczaić: ona głos ma taki piękny!

Rozdział XXVII. Trzeci dzień niewoli

Felton przyszedł nareszcie… lecz tego nie dosyć; potrzeba, aby sam z nią pozostał; a milady nie wiedziała jeszcze, jakiego sposobu użyć, aby tego dokazać.

Trzeba nakoniec rozruszać go, uczynić rozmowniejszym, aby móc do niego także wprost przemówić; bo milady wiedziała, że głos jej ma urok nieprzyzwyciężony, że nikt mu się oprzeć nie zdoła.

Pomimo tylu ponęt, mogło jej się nie udać, bo Felton był uprzedzony na wszelkie pokusy z jej strony.

Zaczęła też odtąd obserwować go pilnie, każde słowo, spojrzenie, gest każdy, a nawet oddech przyśpieszony, mogący uchodzić za westchnienie, nie uszły jej uwagi. Robiła nakoniec, jak zręczny aktor, któremu dano rolę, jakiej nie grał jeszcze.

Łatwiej było dać sobie radę z lordem de Winter; od wczoraj też nakreśliła plan postępowania zamierzonego: milczeć z godnością w jego obecności, od czasu do czasu oburzyć go pogardą udaną, słowem znieważającem, zmusić do pogróżek i gwałtów, aby lepiej uwydatnić swoją rezygnację; taki był jej projekt. Felton będzie świadkiem i choć się nie odezwie, lecz zobaczy…

Rano przyszedł Felton, jak zwykle; milady pozwoliła mu zająć się przygotowaniem śniadania, nie zwracając się wcale do niego. Zdawało jej się, że w chwili wyjścia miał zamiar przemówić, poruszył nawet ustami, lecz powstrzymał się i wyszedł.

Około południa ukazał się lord de Winter.

Dzień był piękny, blady promień słońca przedzierałsię przez kraty więzienne, oświecając, lecz nie grzejąc, jak to bywa w Anglji.

Milady patrzyła przez okno, udając, że nic nie słyszy.

— O!... — odezwał się lord Winter — po komedji graliśmy tragedję, a teraz przyszła kolej na melancholję.

Uwięziona nie odpowiedziała.

— Tak... tak... — ciągnął lord Winter — rozumiem; chciałabyś się wydostać na wybrzeże; wsiąść na okręt i pruć fale szmaragdowe; pragnęłabyś na lądzie lub na wodzie urządzić mi zasadzkę, jedną z tych, które tak doskonale obmyślać potrafisz. Cierpliwości!... cierpliwości... moja pani! Za cztery dni znajdziesz się na wybrzeżu, potem na pełnem morzu; za cztery dni bowiem uwolnię Anglję od twej obecności.

Milady złożyła rączki, a piękne oczy w niebie utkwiła:

— Boże!... Boże wszechmocny!... — wyrzekła z anielską słodyczą — przebacz temu człowiekowi, jak ja mu przebaczam!...

— Módl się, módl przeklęta — zawołał lord — proś Boga o przebaczenie dla mnie, bo przysięgam ci, że jesteś w rękach człowieka, który tobie nigdy nie przebaczy...

Z temi słowy opuścił pokój.

Gdy drzwi otwierał, milady spostrzegła Feltona, jak chował się, aby nie być przez nią widzianym.

Wtedy padła na kolana i głośno mówiła:

— Boże, mój Boże!... Ty wiesz, dla jak świętej sprawy znoszę cierpienia; dodaj mi siły, o Boże wielki!

Drzwi cicho się uchyliły; piękna pokutnica, udając, że nic nie słyszy, modliła się dalej.

— Boże mścicielu!... Boże dobroci!... czyż pozwolisz, aby się spełniły ohydne zamiary tego człowieka!

Teraz dopiero niby usłyszała kroki Feltona, zerwała się szybko, zarumieniła, jak gdyby zawstydzona, iż ją widziano klęczącą.

— Nie lubię przerywać modlitwy — rzekł Felton poważnie — niech pani nie wstaje, zaklinam panią.

— Skąd pan wie, że ja się modliłam — mówiła milady głosem, przez łkanie przyrywanym — mylisz się pan, nie modliłam się wcale.

— Myślisz pani zatem — odrzekł Felton poważnie, lecz słodko zarazem — iż czuję się w prawie przeszkadzać istocie stworzonej, gdy korzy się przed Stworzycielem? O niech Bóg uchowa! Winowajca powinien żałować za grzechy; choćby nawet zbrodnię popełnił, nietykalny jest dla mnie, gdy modli się do Boga.

— Ja!... posądzona o zbrodnię — rzekła milady z uśmiechem, któryby anioła rozbroił w dniu sądu ostatecznego. — Ja!... zbrodniarką!... mój Boże... Ty wiesz, czy nią jestem... Powiedz pan, że jestem skazaną, potępioną, to będziesz miał rację. Ale wiesz pewnie, że Bóg kocha cierpiących i pozwala niekiedy, aby skazywano niewinnych.

— Czyś pani potępiona niesłusznie, niewinna lub męczennica — odparł Felton — to jeden powód więcej do błagania Boga; i ja sam modlić się będę za ciebie.

— O!... ty jesteś sprawiedliwy — zawołała milady, do nóg mu się rzucając — dłużej już nie wytrzymam, lękam się, iż sił mi zbraknie w chwili walki, gdy będę musiała wyznać moją wiarę; wysłuchaj więc błagania kobiety, przywiedzionej do rozpaczy. Oszukują pana, nie wierz im, tu chodzi o co innego, ja tylko o jedną łaskę proszę, a jeśli mnie wysłuchasz, błogosławić cię będę na tym i na tamtym świecie.

— Mów pani z moim przełożonym — rzekł Felton — na szczęście nie polecono mi przebaczać, ani karać; wyżej ode mnie postawieni dostali od Boga tę władzę.

— Z panem... z panem tylko chcę mówić. Wysłuchaj mnie... nie przyczyniaj się do mej zguby, do hańby!...

— Jeżeli zasłużyłaś pani na ten wstyd i hańbę, trzeba znieść z pokorą, ofiarując to Bogu.

— Co pan mówisz!... O!... nie zrozumiałeś mnie! Mówię o hańbie, a ty myślisz, że mówię o karze za nią, o więzieniu lub śmierci!... O!... dałby Bóg, żeby tak było! Cóż dla mnie znaczy śmierć lub niewola!

— Teraz ja pani nie rozumiem!

— Lub udajesz, że nie rozumiesz!... — odparła milady z uśmiechem powątpiewania.

— Nie, pani, na honor żołnierski, na wiarę moją przysięgam!

— Jakto?.. więc nie domyślasz się pan zamiarów lorda de Winter?...

— Nie wiem o niczem.

— Niepodobna... pan, jego powiernik?...

— Pani, ja nigdy nie kłamię.

— O!... mogłeś pan sam odgadnąć.

— Nie staram się odgadywać... czekam, aż mi powiedzą, a prócz tego, co mówił przy pani lord de Winter, z niczem mi się nie zwierzał.

— Nie jesteś zatem jego spólnikiem — zawołała milady z akcentem prawdy w głosie — nie wiesz, że przeznacza mi hańbę... przewyższającą w okropności najstraszniejszą karę na ziemi?

— Mylisz się pani — rzekł Felton, czerwieniąc się — lord de Winter niezdolny jest do zbrodni podobnej.

— Dobrze — pomyślała milady, nie wie, o co chodzi, a już nazywa to zbrodnią!... — i głośno dodała:

— Przyjaciel pozbawionego czci, zdolny jest do wszystkiego.

— Kogo pani nazywasz czci pozbawionym?... — zapytał Felton.

— Czyż jest w Anglji dwóch ludzi, godnych tego imienia?

— Chcesz pani mówić o Jerzym Villier? — rzekł Felton, a wzrok mu zapałał.

— Którego poganie niewierni nazywają księciem Buckingham — odparła milady — nie przypuszczałam, aby znalazł się w Anglji choć jeden prawdziwy syn tej ziemi, któremuby trzeba było tak długiego tłumaczenia, dla poznania, o kim chcę mówić.

— Ręka Stwórcy ciąży nad nim i nie uniknie kary zasłużonej.

Felton wyraził jedynie opinję, jaką książę miał u rodaków; nawet katolicy nazywali go zdziercą, łupiezcą i rozwiązłym, a purytanie poprostu szatanem.

— O!... Boże, mój Boże!... — wołała milady — zrozumiejże pan nakoniec, iż, błagając cię o ukaranie tego człowieka, nie pragnę zemsty, mnie przynależnej, lecz oswobodzenia narodu, jęczącego pod jego przemocą!...

— Znasz go pani zatem?... — zapytał Felton.

— Nareszcie zapytuje — pomyślała milady u szczytu radości. — O!... tak!... znam go na moje nieszczęście! — powiedziała i załamała ręce w paroksyzmie boleści.

Felton czuł, że siły go opuszczają i postąpił ku wyjściu; milady nie spuszczała go z oczu, poskoczyła za nim i powstrzymała.

— Panie!... — krzyknęła — łaski!... miłosierdzia!... wysłuchaj mej prośby: oddaj nóż, wydarty przez mego prześladowcą, bo wie on, jaki użytek z niego zrobię... O! wysłuchaj mnie do końca!... ten nóż... daj go na chwilę jedną, przez litość daj mi go!... Całuję nogi twoje!... Zamkniesz sam drzwi, bo ja nie godzę na twoje życie!... Jakże mogłabym powziąć myśl podobną, ty!... jedyna istoto sprawiedliwa, dobra i litościwa, jaką napotkałam, ty!... mój zbawco prawdopodobnie. Daj na chwilkę ten nóż, na jedną minutę, zwrócę ci go przez szparę we drzwiach. Na jedną minutę, panie Felton, a ocalisz cześć moją niewieścią!...

— Chcesz się zabić!... — krzyknął Felton przerażony, zapominając wyrwać rąk z objęć uwięzionej — chcesz się zabić?

— Tak, panie — narzekała milady, głos zniżając i padając bezsilna na ziemię — wydałam moją tajemnicę! On wie wszystko!... mój Boże, jestem zgubiona!...

Felton stał nieruchomy, nie wiedząc, co robić!

— Wątpi jeszcze, waha się — myślała milady — niedość prawdziwie odegrałam rolę.

W korytarzu rozległ się szelest; milady poznała chód lorda de Winter.

Felton poznał także i ku drzwiom postąpił.

Milady rzuciła się za nim:

— O!... ani słowa — rzekła głosem stłumionym — ani słowa przed tym człowiekiem, co ci mówiłam, albo będę zgubiona, i ty... ty...

Ponieważ zbliżano się, ucichła ze strachu, aby nie usłyszano głosu; następnie z gestem przerażenia położyła piękną rączkę na ustach Feltona.

Młody człowiek odsunął delikatnie milady, a ona padła wyczerpana na sofę.

Lord de Winter minął drzwi i słychać było, że poszedł w inną stronę.

Felton, jak śmierć blady, stał przez chwilę nasłuchując, a gdy odgłos kroków ucichł zupełnie, odetchnął ciężko, jak ze snu zbudzony, i wybiegł z pokoju.

— A!... — mówiła milady, słysząc, że Felton poszedł w przeciwną stronę, niż lord Winter — nakoniec! do mnie już należysz!...

Następnie — zachmurzyła czoło.

— Jeżeli opowie lordowi — mówiła — jestem zgubiona... lord wie dobrze, że ja sobie życia nie odbiorę, da mi nóż w rękę w jego obecności i wtedy przekona go, że ta straszna rozpacz była tylko komedją...

Przystąpiła do lustra i napawała się widokiem swoim; nigdy jeszcze nie była tak piękna.

— Mogę być spokojna — pomyślała — on nic nie powie...

Wieczorem, razem z kolacją, przyszedł lord de Winter.

— Panie — rzekła milady — czy obecność twoja jest koniecznym dodatkiem do mojej niewoli? czy nie mógłbyś mi oszczędzić dodatkowej tortury, jaką mi sprawiają odwiedziny twoje?

— Jakto?... droga siostrzyczko!... — rzekł Winter — czyż nie słyszałem na własne uszy, jak te śliczne usteczka, tak srogie obecnie, zapewniały mnie, że przybyłaś do Anglji, aby się nacieszyć moim widokiem i że w tym celu jedynie naraziłaś się na chorobę morską, burzę, niewolę!... Otóż jestem, ciesz się, kochanko; tym razem jednak odwiedziny moje nie są bez powodu...

Milady zadrżała, sądziła, że Felton się wygadał. Nigdy w życiu ta kobieta, która doświadczyła tyle wrażeń przeróżnych, nie czuła tak silnego bicia serca.

Siedziała na fotelu, lord Winter przysunął drugi i usiadł obok, następnie wyjął z kieszeni papier i rozłożył powolnie.

— Otóż — rzekł do niej — mam zamiar pokazać ci pewien rodzaj paszportu, jaki ci będzie służył za numer porządkowy na resztę życia.

I zwracając z milady oczu na papier, czytał:

„Rozkaz odstawienia do. ..... Nazwa miejsca nie wpisana — przerwał de Winter — pozwalam ci wybierać, byleby tylko znajdowało się ono o jakie tysiąc mil ode mnie, z ochotą je wpiszę. Zaczynam tedy:

Rozkaz odstawienia do. ..... tak zwanej Karoliny Backson, a piętnowanej z wyroku sądów królestwa Francuskiego i uwolnionej po odcierpieniu kary. Skazana jest na przebywanie w miejscu wyż wymienionem i niewydalanie się z niego dalej, nad trzy mile. W razie zamiaru ucieczki, śmiercią zostanie ukarana. Pobierać będzie pięć szylingów dziennie na mieszkanie i życie".

— Rozkaz ten mnie nie dotyczy — rzekła chłodno milady — ponieważ nie na moje nazwisko jest wydany.

— Czyż pani masz jakie nazwisko?

— Mam to, jakie mi brat twój nadał.

— Jesteś w błędzie, brat mój był drugim mężem tylko, a pierwszy żyje jeszcze... Powiedz mi jego nazwisko, położę go na miejscu Karoliny Backson. Nie?... nie chcesz?... milczysz uparcie? Dobrze! będziesz skazana pod imieniem Karoliny Backson.

Milady nie odezwała się; siedziała, jak martwa; tylko tym razem nie było to udane, lecz prawdziwe przerażenie.

Widziała wyrok, sądziła, że go wykonają natychmiast, że lord Winter przyśpieszy deportację, że skazana jest na wyjazd w tej chwili...

Wszystko stracone zatem... lecz, myśląc tak, rzuciła okiem na papier i spostrzegła, iż niema żadnego podpisu.

Nie mogła ukryć radości z tego powodu.

— Tak, tak — rzekł lord Winter, który widział, co się z nią dzieje — szukasz podpisu i mówisz sobie: nie wszystko stracone, bo akt niepodpisany; pokazują mi go, aby zastraszyć... Otóż mylisz się, moja pani; jutro ten wyrok poślę do księcia Buckinghama; pojutrze wróci do mnie, podpisany jego ręką i opatrzony pieczęcią, a we dwadześcia cztery godziny, ja ci to zaręczam, zacznie się jego wykonanie. Żegnam panią, oto wszystko, co miałem ci powiedzieć.

— A ja ci powiadam, mój panie, że nadużycie władzy, że to wygnanie pod obcem nazwiskiem jest podłością…

— Czy wolisz być powieszoną pod własnem nazwiskiem? Wiesz o tem, że prawa angielskie surowe są dla frymarczących małżeństwem; powiedz otwarcie: pomimo, że nazwisko moje, a raczej mego brata wmieszane jest w tę sprawę, narażę się na skandal procesu publicznego, aby tylko być pewnym, że uwolnię się od ciebie.

Milady nie odpowiadała, lecz, jak trup zbladła.

— O!… widzę, że wolisz się przejechać. Masz pani rację; stare przysłowie powiada, że podróże kształcą młodość. Na honor, dobrze pani robisz, boć, mimo wszystko, życie jest niezłe… Dlatego też nie życzę sobie, żebyś mnie go pozbawiła. Pozostaje nam jeszcze kwestja pięciu szylingów; jestem trochę skąpy, nieprawdaż? a to dlatego, ażebyś nie mogła przekupić straży!… A! prawda, pozostają ci jeszcze wdzięki, masz czem uwodzić. Probuj pani, jeżeli cię nie zniechęcił zawód, jaki cię spotkał u Feltona, probuj używania sztuczek w tym rodzaju.

— Felton nic nie powiedział — myślała milady — zatem nie wszystko stracone…

— A teraz do widzenia pani, przyjdę jutro oznajmić o wyjeździe posłańca.

Lord powstał, skłonił się ironicznie i wyszedł.

Milady odetchnęła: miała jeszcze cztery dni przed sobą; cztery dni wystarczą do uwiedzenia Feltona.

Straszna myśl przyszła jej do głowy; lord Winter może wysłać Feltona z wyrokiem do podpisania; wtedy Felton się wymknie, a tu ażeby dopiąć celu, trzeba go mieć przy sobie.

Jedna rzecz ją uspakajała jednakże. Felton nic nie powiedział lordowi.

Nie chciała okazać, że ją groźby lorda przeraziły, zabrała się zatem do jedzenia.

Następnie, jak dnia poprzedniego, uklękła i modliła się głośno.

Tak samo, jak wczoraj, żołnierz przestał chodzić i słuchał pode drzwiami.

Za chwilę usłyszała lekkie kroki, zbliżające się z głębi korytarza i zatrzymujące się przy drzwiach.

— To on — rzekła do siebie i zaczęła śpiewać ten sam psalm, który wczoraj tak rozegzaltował Feltona. Pomimo, że głos jej słodki, pełny i dźwięczny, rozbrzmiewał bardziej harmonijnie i przejmująco, niż zawsze, drzwi się nie rozwarły.

Zdawało się milady, że widzi w małym otworze wzrok pałający młodzieńca; niewiadomo, czy była to rzeczywistość, czy złudzenie, to tylko pewne, iż znalazł dość

siły, by nie wejść do pokoju. Jednak, gdy skończyła śpiewać, usłyszała głębokie westchnienie i cichy chód, oddalający się, jak gdyby z żalem.

Rozdział XXVIII. Czwarty dzień niewoli

Nazajutrz, gdy Felton wszedł do milady, zastał ją stojącą na fotelu; w ręku trzymała sznur, skręcony z chusteczek batystowych, podartych na pasy i powiązanych.

Na odgłos drzwi otwieranych, milady zeskoczyła lekko na ziemię i starała się ukryć poza sobą improwizowaną linę, jaką w ręce trzymała.

Młodzieniec był bldeszy, niż zwykle, a oczy zaczerwienione od bezsenności, świadczyły o nocy spędzonej w gorączce.

Na czole widniała surowość niezwykła.

Zbliżył się powoli ku milady, siedzącej teraz, i biorąc koniec sznura, który przez nieuwagę lub umyślnie źle był ukryty, zapytał surowo:

— Co to jest, proszę pani?...

— To?... nic... — odparła milady, z bolesnym usmiechem — nuda jest śmiertelnym wrogiem więźniów; nudziłam się i bawiło mnie splatanie tej liny.

Felton spojrzał na ścianę pokoju, przed którą zastał milady, stojącą na tym samym fotelu, na którym siedziała obecnie; po nad jej głową spostrzegł wbity w mur hak pozłacany, do wieszania ubrania i broni.

Zadrżał, a milady, pomimo oczu spuszczonych, widziała to dobrze.

— Czemu przypisać, że zastałem panią, stojącą na fotelu? — zapytał.

— Co to pana może obchodzić? — odpowiedziała.

— Pragnę wiedzieć koniecznie.

— Nie pytaj mnie pan — rzekła uwodzicielka — wiesz dobrze, że nam, prawdziwym chrześcijanom nie wolno jest mówić nieprawdy.

— Otóż ja powiem, co pani robiłaś, a raczej, co zamierzałaś zrobić; chciałaś dokończyć dzieła fatalnego, jakie masz na myśli; pamiętaj pani jednak, że jeżeli Bóg nasz zabrania kłamstwa, zabrania surowiej daleko samobójstwa.

— Gdy Bóg widzi istotę, cierpiącą niesłusznie, mającą do wyboru samobójstwo lub hańbę, wierz mi panie — mówiła milady tonem głębokiego przekonania — że Bóg przebacza samobójstwo, bo jest ono wtedy męczeństwem.

— Mówisz pani za wiele, lub za mało; na Boga, wytłumacz się jaśniej!...

— Mamże panu opowiadać moją niedolę, abyś to uważał za bajkę; mamże zwierzać się z zamiarów, abyś doniósł o nich memu prześladowcy; nie, panie; a przytem, cóż cię obchodzić może życie lub śmierć biednej skazanej?... Odpowiadasz tylko za ciało moje... wszak prawda?... i bylebyś przedstawił trupa, którego uznają za mnie, nic więcej od pana żądać nie będą... a może nawet dostałbyś podwójną nagrodę!...

— Ja... pani, ja?... — zawołał Felton — przypuszczasz, że wziąłbym nagrodę za życie twoje?... o!... nie myślisz tego, co mówisz.

— Pozwól mi zrobić, co chcę, Feltonie, pozwól mi — rzekła milady, unosząc się — każdy żołnierz powinien być ambitny, wszak prawda?.. jesteś porucznikiem, otóż za moim pogrzebem będziesz szedł już, jako kapitan.

— Cóż zawiniłem — odrzekł Felton złamany, że obarczasz mnie pani taką odpowiedzialnością przed ludźmi i Bogiem?... Za kilka dni będziesz stąd daleko, życie twoje nie będzie pod moją strażą i — dodał z westchnieniem — wtedy zrobisz z niem, co będziesz chciała.

— A więc tak — zawołał milady, jakby nie mogła powstrzymać oburzenia — pan, człowiek religijny, którego zowią sprawiedliwym, pan pragniesz tylko jednej rzeczy: nie odpowiadać za śmierć moją.

— Strzec powinienem życia pani i strzec go będę.

— Czy pojmujesz pan swoje zadanie?... jest ono okrutne, jeśli jestem winną; lecz jakże nazwiesz je, gdy Bóg osądzi, żem niewinna?

— Żołnierzem jestem i spełniam rozkazy.

— Czy myślisz, że w dzień sądu ostatecznego Bóg odłączy katów zaślepionych od sędziów niesprawiedliwych?... nie chcesz, bym zabiła ciało, a pomagasz temu, który chce zabić moją duszę?

— Powtarzam pani — podjął Felton zachwiany — żadne niebezpieczeństwo ci nie grozi... ręczę za lorda de Winter, jak za siebie samego.

— Biedny szaleńcze — zawołała milady — ośmielasz się ręczyć za drugiego, gdy najmędrsi nawet, według Boga, wahają się ręczyć za siebie samych!... on staje po stronie mocniejszego i szczęśliwszego, aby zgnębić słabą i nieszczęśliwą!

— Niepodobna, pani, niepodobna — mówił Felton, czując w głębi serca prawdę tego argumentu — dopókiś uwięziona, nie otrzymasz przeze mnie wolności; dopóki żyjesz, nie stracisz przeze mnie życia.

— Tak! — krzyknęła milady — lecz stracę to, co mi jest droższe, niż życie, stracę honor, Feltonie; i to ty! ty odpowiesz przed Bogiem i ludźmi za mój wstyd i niesławę.

Tym razem Felton, pomimo obojętności prawdziwej czy udanej, nie mógł oprzeć się tajemnemu wpływowi, jaki już nim owładnął. Patrzył na kobietę piękną, jasną, jak najczystsze marzenie, naprzemian we łzach tonącą lub groźną; wytrzymać naraz wpływ piękności i boleści zanadto było dla fanatyka, zanadto dla głowy zapalonej, sekciarskiej, dla serca, płonącego miłością nieba i pożeranego nienawiścią do ludzi.

Milady spostrzegła pomieszanie, odczuła płomień żądzy, palący krew w żyłach młodego ascety i, na podobieństwo umiejętnego wodza, który w chwili, gdy nieprzyjaciel słabnie, uderza na niego z okrzykiem zwycięstwa, podniosła się, piękna, jak bóstwo starożytne, natchniona, jak dziewica chrześcijańska, z ręką w górę wzniesioną, z szyją odkrytą, z włosami rozpuszczonemi, ściągając skromnie drugą ręką suknię na piersiach, i z ogniem w spojrzeniu, który już pobudził zmysły młodego purytanina, szła prosto do niego, i podniesionym głosem, z akcentem wstrząsającym śpiewała:

Wydaj Baalowi jego ofiarę,
Lwom na pożarcie ją oddaj,
Odpowiesz za to przed Bogiem!...
Wołam do niego z otchłani...

Felton stał, jak wryty.

— Kto ty jesteś? — zawołał, składając ręce — czy zesłanką Boga?... czy piekło cię wydało? czyś anioł, czy szatan, na imię ci Eloe, czy Astarte?...

— Czyś mnie nie poznał, Feltonie?... nie jestem ani aniołem, ani szatanem, jestem córką tej ziemi i siostrą twoją, jednej z tobą wiary.

— Tak!... tak!... — rzekł Felton — wątpiłem jeszcze, lecz teraz wierzę.

— Wierzysz... a jednak spiskujesz z synem Beliala, którego nazywają lordem de Winter!... Wierzysz, a pozostawiasz mnie w mocy nieprzyjaciół, nie tylko moich, lecz Anglji i Boga?... Wierzysz, a wydajesz mnie temu, co świat gorszy herezją i życiem rozwiązłem, temu Sardanapalowi ohydnemu, którego zaślepieni zwą księciem Buckingham, a prawowierni Antychrystem nazywają.

— Ja, miałbym cię wydać Buckinghamowi? ja? co mówisz?...

— Mają oczy — zawołała milady — a nie będą widzieli; mają uszy, a nie będą słyszeli!

— Tak, tak — rzekł Felton, trąc ręką czoło, potem zlane, jakby dla odpędzenia ostatnich wątpliwości — tak, słyszę ten głos w snach moich; tak, poznaję rysy anioła,

ukazującego mi się podczas nocy bezsennych i mówiącego do duszy mojej: „Uderz śmiało, zbaw Anglję, zbaw siebie samego, albowiem umrzesz, nie przebłagawszy Boga!” Mów, mów pani! — zawołał Felton — teraz już cię rozumiem.

Błyskawica okrutnej radości, szybka, jak myśl błysnęła w oczach milady.

Felton dojrzał zabójcze światło i zadrżał, zdawało mu się, że ujrzał głębię serca tej kobiety.

Przyszły mu na pamięć przestrogi lorda Winter, powaby milady i pierwsze jej próby uwiedzenia skoro tylko przybyła; cofnął się, spuścił głowę, lecz patrzył, jak oczarowany przez tę dziwną istotę; oczy jego nie mogły się oderwać od jej oczu.

Milady spostrzegła wahanie. Pomimo pozorów egzaltacji, zachowała zimną krew. Felton nie zdążył przemówić, a ona, czując, że nie zdoła dalej utrzymać się w roli tak trudnej, opuściła ręce i głowę, zwalczona niby słabością kobiecą.

— O nie — rzekła — ja nie potrafię zostać Judytą, uwalniającą Betulję od Holofernesa. Miecz sprawiedliwości przedwiecznej za ciężki dla mego ramienia. Pozwól mi uniknąć hańby przez śmierć... pozwól mi zostać męczennicą. Nie żądam wolności, jakby to zrobiła występna, ani zemsty, jak bezbożna. Pozwól mi umrzeć, tego tylko pragnę. Proszę cię, błagam na kolanach; pozwól mi umrzeć, a ostatnie moje westchnienie będzie błogosławieństwem dla zbawcy!

Na ten głos słodki i błagalny, na spojrzenie nieśmiałe, Felton znowu się zbliżył.

Powoli czarodziejka przybrała się we wszystkie swoje powaby, a temi były: piękność, słodycz, łzy a nadewszystko powab rozkoszy mistycznej, najniebezpieczniejszy ze wszystkich powabów.

— Niestety! — rzekł Felton — jedno tylko jest w mocy mojej: żałować panią, jeżeli dowiedziesz, że jesteś ofiarą przemocy. Jesteś chrześcijanką, jednej ze mną religji; czuję pociąg do ciebie, ja, który dotąd kochałem tylko mego dobroczyńcę; ja, który w życiu napotykałem jedynie zdrajców bezbożnych. Lecz ty pani, tak piękna, tak napozór czysta, skoro lord de Winter prześladował cię tak okrutnie, musiałaś chyba spełnić niesłychane zbrodnie!

— Mają oczy — powtórzyła milady z wyrazem bezmiernej boleści — a nie będą widzieli; mają uszy, a słyszeć nie będą.

— Więc powiedz mi pani! — zawołał młody oficer — o! powiedz wszystko!...

— Zwierzyć mam ci moją hańbę! — krzyknęła milady z rumieńcem wstydu na twarzy, bo często bywa, że zbrodnia jednego, jest wstydem dla drugiego — ja, kobieta,

mam opowiadać mężczyźnie! O! — ciągnęła, zakrywając rączką cudne oczy — o! nigdy, nigdybym nie mogła!...

— Jakto, mnie, bratu? — dodał Felton.

Miiady patrzyła na niego długo z wyrazem, który młody człowiek wziął za niedowierzenie, a który był tylko badaniem i chęcią ujarzmienia.

Teraz Felton złożył ręce błagalnie.

— Więc zaufam bratu! — rzekła milady — i znajdę odwagę!...

Naraz dały się słyszeć kroki lorda Wintera; lecz tym razem okrutny szwagier milady, nie postąpił, jak wczoraj, nie minął drzwi więzienia, lecz zatrzymał się, przemówił do straży i wszedł do pokoju.

Felton miał czas odskoczyć na bok i lord zastał go w przyzwoitem oddaleniu od uwięzionej.

Baron wszedł powoli i patrzył bacznie na młodego człowieka i jego towarzyszkę.

— Coś bardzo długo, Johnie, siedzisz tutaj, czy ta pani opowiadała ci o wszystkich swoich zbrodniach?... W takim razie nie dziwiłbym się długości posiedzenia.

Felton przeraził się, a milady czuła się zgubiona, jeżeli nie przyjdzie w pomoc zmieszanemu purytaninowi.

— O! lękasz się, żeby ci się ofiara nie wymknęła — rzekła — otóż zapytaj twego godnego pomocnika, o jaką łaskę prosiłam go właśnie.

— Żądałaś łaski?... — zapytał baron podejrzliwie.

— Tak, milordzie — odrzekł młody człowiek.

— Jakiej-że to łaski, powiedz-no?

— Żądała noża, który miała mi oddać za chwilę przez okienko we drzwiach — odpowiedział Felton.

— Jest więc tu ktoś ukryty, któremu ta miła osóbka chce gardło poderżnąć? — rzekł lord Winter z pogardą.

— Ja jestem — odparła milady.

— Dałem ci do wyboru Amerykę i Tyburn — mówił lord — wybierz Tyburn, milady: wierz mi, postronek pewniejszy od noża.

Felton zbladł, wspomniał, iż, gdy wszedł tutaj, milady właśnie sznur w ręku trzymała.

— Masz rację — rzekła — myślałam już i o tem — i dodała stłumionym głosem: — I pomyślę jeszcze...

Felton poczuł dreszcz, przebiegający go aż do szpiku kości; prawdopodobnie lord Winter to spostrzegł.

— Nie dowierzaj jej, John — powiedział — John, mój przyjacielu, zaufałem ci bezwarunkowo, miej się na baczności! Uprzedziłem cię przecie!... A wreszcie odwagi, mój chłopcze, za trzy dni uwolnimy się od tego stworzenia; tam, dokąd ją poślę, nie będzie już szkodziła nikomu.

— Czy słyszysz go? — zawolała milady, wybuchająctak, aby baron myślał, że wzywa na świadka niebo, a Felton wziął to do siebie.

Purytanin opuścił głowę w zadumie.

Baron wziął oficera za rękę, pociągnął za sobą, nie spuszczając wzroku z milady, dopóki się drzwi za nimi nie zamknęły.

— Widzę — rzekła uwięziona, pozostawszy sama — że dużo mam jeszcze do zrobienia. Winter ze zwyczajnego głupca przemienił się w przezornego nad wyraz; co to znaczy chęć zemsty i jak to pragnienie jej kształci człowieka! Felton zaś waha się jeszcze! Nie jest on taki, jak ten przeklęty d'Artagnan! Purytanin uwielbia tylko czyste dziewice, uwielbia je ze złożonemi rękami. Muszkieter kocha kobiety, kocha, ściskając w objęciach.

Jednakże milady oczekiwała niecierpliwie, pewna, że dziś jeszcze zobaczy Feltona. Nakoniec w godzinę po scenie, przez nas opisanej, usłyszała cichą rozmowę, następnie drzwi się otworzyły i Felton się ukazał.

Młodzieniec wszedł prędko, zostawiając drzwi otwarte, i dawał znaki milady by się nie odzywała; twarz miał okrutnie zmienioną.

— Czego chcesz odemnie? — zapytała.

— Słuchaj — odparł Felton po cichu — oddaliłem straż, aby zostać u ciebie i rozmówić się bez wiedzy niczyjej. Baron opowiedział mi straszną historję...

Milady kiwała głową i uśmiechała się, jak ofiara, na wszystko zrezygnowana.

— Albo jesteś wcielonym szatanem — ciągnął Felton — albo baron, mój dobroczyńca, mój ojciec, jest potworem. Znam cię od czterech dni, jego kocham od dwóch lat; mogę zatem wahać się, któremu z was wierzyć: nie przerażaj się, ja potrzebuję dowodów. Dziś po północy przyjdę tutaj, a pani mnie przekonasz...

— Nie, Feltonie, nie mój bracie, poświęcenie to za wielkie z twej strony, czuję, ile cię to kosztuje... Jestem już zgubiona, nie gub się ze mną razem... Zgon mój będzie wymowniejszy, niż życie, a milczenie trupa przekona lepiej stokroć, niż słowa uwięzionej.

— Milcz pani! — krzyknął Felton — nie mów do mnie w ten sposób; przyszedłem poto, abyś mi przyrzekła na honor, abyś przysięgła na wszystko, co najświętsze, iż nie będziesz godziła na swoje życie.

— Nie mogę przyrzekać — rzekła milady — za wiele mam szacunku dla przysięgi i musiałabym jej dotrzymać.

— Przyrzeknij zatem, tylko do chwili, aż się zobaczymy. Jeżeli potem będziesz jeszcze pragnęła śmierci, zostawię ci swobodę, a nawet sam przyniosę broń, jakiej pragniesz.

— Przyrzekam! będę czekała na ciebie…

— Przysięgnij!

— Przysięgam na imię Boga naszego… Czyś zadowolony?…

— Dobrze, do widzenia, dziś w nocy!…

Wybiegł z pokoju, zamknął drzwi i oczekiwał z bronią żołnierską w ręku, jak gdyby straż pełnił w zastępstwie warty.

Żołnierz powrócił, Felton broń mu oddał.

Wtedy przez otwór w drzwiach, milady dojrzała, jak młodzieniec przeżegnał się nabożnie i poszedł w głąb korytarza.

Ona zaś powróciła na miejsce z uśmiechem pogardy na ustach, bluźniąc przeciw Bogu, na którego imię przysięgała, a którego nie znała i nie umiała kochać.

— Oszalały fanatyk! — mówiła — moim Bogiem jest ten, który mi dopomoże w zemście.

Rozdział XXIX. Piąty dzień niewoli

Milady jednak zwyciężyła w połowie, a to podwajało jej energję. Łatwo dotąd zwyciężała ludzi światowych, których wychowanie dworskie pociągało w zastawione sieci. Milady pięknością podbijała zmysły, a zręcznością i sprytem działała i zwyciężała stronę moralną. Lecz obecnie miała do zwalczenia naturę zamkniętą w sobie i niedostępną, z powodu surowości obyczajów; religja i prywacje uczyniły z Feltona człowieka, nieczułego na zwyczajne pokusy. Głowę miał nabitą planami rozległemi, nieokreślonemi i egzaltowanemi, nie było tam miejsca dla miłości i zachcianek zmysłowych, tych uczuć, jakie podsyca próżnowanie i zepsucie. Milady z udaną cnotą zrobiła już wyłom w wyobrażeniach człowieka, uprzedzonego straszliwie, a urodą swoją w sercu i uczuciach człowieka skromnego i czystego. Przyznawała sama, że

najtrudniejszem zadaniem, jakie miała w życiu, było właśnie podbicie młodzieńca, opancerzonego fanatyzmem. Pomimo to przez cały wieczór napadało ją zwątpienie; nie wierzyła sobie ani losowi. Nie wzywała Boga, wiemy o tem, lecz ufała w moc złego, w tę nieskończoną potęgę, rządzącą w życiu ludzkiem, której, według baśni arabskiej, dosyć jednego ziarnka granatu, dla odbudowania świata zburzonego.

Milady, umiejętnie przygotowana na przyjęcie Feltona, marzyła, co dzień jutrzejszy przyniesie. Wiedziała, że ma już dwa dni zaledwie, że skoro tylko Buckingham wyrok podpisze (a podpisze go tem łatwiej, że było tam nazwisko fałszywe, i nie domyśli się nawet, o jaką kobietę chodzi), baron wsadzi ją na okręt natychmiast. Wiedziała także, że kobiety skazane na zesłanie daleko mniej mają powabu, niż kobiety, uważane za cnotliwe, otoczone blaskiem wielkiego świata, podnoszącym ich urodę, będące w modzie, bogate, a w dodatku pochodzenia arystokratycznego. Kobieta, skazana na karę hańbiącą, może być jeszcze piękna, lecz nie może już zostać znakomita. Jak wszyscy ludzie rozumni, milady wiedziała, jakie otoczenie przypada najlepiej jej naturze i upodobaniom. Czuła odrazę do ubóstwa, pogarda świata przejmowała ją strachem. Milady królowała, otoczona dworem; potrzebowała koniecznie dumę zadowolić. Rządzić istotami bez znaczenia było dla niej poniżeniem, nie zaś przyjemnością. Z pewnością powróciłaby z wygnania, nie wątpiła o tem na chwilę nawet; lecz, jak długo to wygnanie trwać mogło?

Dla natury czynnej i ambitnej, jaką posiadała, dnie, w których się nie wznosi, są dniami feralnemi! jakże nazwać zatem dnie, w których się na dół zstępuje! Stracić rok, dwa, trzy lata, to wieczność cała; powrócić wtedy, gdy d'Artagnan, szczęśliwy i triumfujący, otrzyma już wraz z przyjaciółmi zasłużoną nagrodę od królowej, za usługi oddane, były to przypuszczenia, których taka kobieta, jak milady, znieść nie była w stanie. Burza, która się wewnątrz niej srożyła, podwajała zawziętość, i rozbiłaby mury więzienia, gdyby siły fizyczne odpowiadały moralnym.

W dodatku pobudzało ją jeszcze do czynu wspomnienie kardynała. Co mógł myśleć, co powiedzieć o jej milczeniu, kardynał niedowierzający, niespokojny, podejrzliwy; kardynał, jej podpora jedyna, jedyny protektor w teraźniejszości i główny czynnik powodzenia i zemsty w przyszłości? Znała go, wiedziała, że za powrotem, po bezowocnej podróży, choćby niewiadomo jak opowiadała o więzieniu, cierpiniach przebytych, kardynał odpowie ze spokojem sceptyka, silnego władzą i genjuszem: „Trzeba było nie dać się podejść".

Wtedy milady zbierała całą energję, wymawiając w myśli nazwisko Feltona, jedyne światełko, przebłyskujące w piekle, do którego się dostała; i jak wąż, rozwijający pierścienie, by się przekonać o swej sile, otaczała naprzód Feltona tysiącznemi podejściami bujnej imaginacji.

Czas ubiegał, godziny jedna za drugą zdawały się budzić dzwon w przechodzie a każde uderzenie młotka spiżowego odzywało się w sercu uwięzionej. O dziewiątej lord de Winter przyszedł, jak zwykle, obejrzał okno i kraty żelazne, zbadał posadzkę, ściany, kominek i drzwi, a podczas tej długiej rewizji ani on ani milady nie przemówili do siebie.

— No, no — rzekł baron, odchodząc — nie uciekniesz jeszcze tej nocy!

O dziesiątej Felton przyszedł straż rozstawić; milady poznała go po chodzie. Odgadywała, jak kochanka odgaduje wybranego sercem, a pomimo to nienawidziła go i pogardzała słabym fanatykiem.

Godzina umówiona nie nadeszła jeszcze, Felton nie wszedł. W dwie godziny potem, gdy północ uderzyła, zmieniła się warta. Teraz milady oczekiwała niecierpliwie.

Po upływie dziesięciu minut Felton nadszedł.

— Słuchaj — rzekł młody człowiek do szyldwacha — pod żadnym pozorem nie oddalaj się od tych drzwi; wiesz, że przeszłej nocy, milord ukarał żołnierza, który opuścił stanowisko na chwilę, a jednak to ja sam przez krótką nieobecność jego czuwałem w zastępstwie.

— Wiem o tem — odparł żołnierz.

— Polecam ci baczność jak największą. Ja zaś — dodał — wejdę dla obejrzenia powtórnego pokoju tej kobiety, która, jak się zdaje, ma samobójcze zamiary i której mam rozkaz pilnować.

— Dobrze — szepnęła milady — surowy purytanin kłamać zaczyna.

Żołnierz uśmiechnął się tylko.

— Do licha! panie poruczniku — powiedział — nie wielkie to nieszczęście dostać takie polecenie, nadewszystko, jeżeli milord upoważnił cię pilnować jej nawet w łóżku.

Felton poczerwieniał i w innej okoliczności, byłby złajał żołnierza za żart podobny, lecz teraz sumienie nieczyste nie pozwoliło mu ust otworzyć.

— Jeżeli cię zawołam, wchodź natychmiast; tak samo, jeżeli kto nadejdzie, to ty mnie zawołaj.

— Dobrze, panie poruczniku.

Felton udał się do milady, ona zerwała się z siedzenia.

— Jesteś więc? — zawołała.

— Przyrzekłem przyjść — odpowiedział Felton — i dotrzymałem słowa.

— Jedną rzecz mi jeszcze obiecałeś.

— Co takiego? na Boga — rzekł młody człowiek, który, pomimo panowania nad sobą, czuł, że kolana uginają się pod nim i pot kroplisty występuje na czoło.

— Przyrzekłeś przynieść nóż i zostawić go po naszej rozmowie.

— Nie wspominaj pani o tem, niema tak rozpaczliwego położenia, któreby upoważniało istotę, stworzoną na obraz i podobieństwo boskie, do odebrania sobie życia. Zastanawiałem się i przekonałem, że nie mogę pomagać do takiego grzechu.

— A! zastanawiałeś się — rzekła uwięziona, siadając na fotelu i śmiejąc się pogardliwie — i ja także się zastanawiałam.

— Nad czem?

— Że nie mam nic do powiedzenia człowiekowi, niedotrzymującemu danego słowa.

— O Boże! mój Boże — wyszeptał Felton.

— Możesz pan odejść, nic mu nie powiem.

— Oto jest nóż! — rzekł Felton, wyciągając z kieszeni broń obiecaną, którą wahał się dotąd dać w ręce milady.

— Pokaż pan...

— Co chcesz pani uczynić?

— Honorem ręczę, że oddam za chwilę, położysz go tylko na stole i staniesz pomiędzy nim i mną.

Felton podał nóż milady, ona obejrzała pilnie oprawę i spróbowała ostrza na palcu.

— Dobrze — rzekła, oddając — nóż jest z doskonałej stali; wierny z ciebie przyjaciel, Feltonie.

Młody człowiek odebrał nóż, i według umowy, położył go na stoliku. Milady spostrzegła to z ukontentowaniem.

— A teraz posłuchaj pan!

Zalecenie było niepotrzebne. Felton stał przed nią i oczekiwał niecierpliwie.

— Feltonie! — zaczęła milady z powagą i melancholją — Feltonie, gdyby siostra twoja, córka twojego ojca powiedziała ci:

„Młoda i na nieszczęście piękna, wpadłam w zasadzkę i oparłam się; otoczono mnie matnią niegodziwości; próbowano gwałtu, ale oparłam się; bluźniono przeciw religji, jaką wyznaję, przeciw Bogu, którego wielbię, bo przyzywam go na pomoc, oparłam się

jednak; wtedy znieważono mnie, a nie mogąc zgubić mej duszy, postanowiono splamić na zawsze ciało moje, nakoniec…”

Milady przerwała i gorzki uśmiech ukazał się na jej ustach.

— Nakoniec — rzekł Felton — nakoniec co z tobą zrobiono?…

— Postanowiono podejściem pokonać mój upór. Pewnego wieczora domieszano mi do wody silnego narkotyku; zaledwie skończyłam skromny posiłek, uczułam ociężałość, napadającą mnie stopniowo. Chociaż nic nie podejrzewałam, jednak strach mnie ogarnął i walczyłam ze snem, zamykającym mi oczy; wstałam, chciałam biec do okna, wołać na pomoc, lecz nogi odmówiły mi posłuszeństwa. Wyciągnęłam ręce, próbowałam mówić, lecz tylko słowa bez związku wydobywały się z gardła zaciśnionego… Zdrętwiałam cała… chwyciłam się krzesła, czując, że padam, lecz i ta podpora okazała się bezskuteczna; upadłam na kolana, chciałam się modlić… język mi zesztywniał… Bóg opuścił mnie widać w tej chwili… osunęłam się na podłogę i zasnęłam snem twardym…

„Co się stało podczas snu mego i jak długo trwał, nic nie wiem; jedno tylko przypominam sobie, iż obudziłam się w pokoju okrągłym, zbytkownie umeblowanym, do którego światło wpadało przez otwór w suficie.

Zresztą żadne drzwi nie prowadziły do niego, rzekłbyś więzienie wspaniałe.

Nie mogłam długo zdać sobie sprawy, gdzie się znajduję, jak i ze wszystkich szczegółów wyżej przytoczonych; umysł mój walczył bezskutecznie z ciężkim snem, z którego otrząsnąć się nie byłam w stanie. Miałam niejasne wspomnienie przestrzeni przebytej, turkotu powozowego, snów strasznych i czułam wyczerpanie sił fizycznych.

Wszystko to majaczyło ciemno i niewyraźnie w głowie, tak, że zdawało się dotyczeć innej jakiejś osoby, związanej ze mną fantastycznem podobieństwem.

Stan, w jakim się znajdowałam, trudny był do pojęcia, myślałam, że znowu śnię.

Podniosłam się, chwiejąc na nogach; ubranie moje leżało na krześle: nie pamiętałam, czy się rozbierałam i kładłam do łóżka…

Wtedy, zwolna, rzeczywistość stanęła przedemną, pełna przypuszczeń, obrażających skromność dziewiczą.

Znajdowałam się w domu nieznanym; o ile mogłam wnosić ze słońca, dzień już był na schyłku!… więc to wczoraj wieczorem straciłam przytomność; sen zatem trwał blisko dobę całą Co się działo ze mną, podczas tego snu długiego?…

Ubrałam się, jak mogłam najprędzej. Ociężałość w członkach dowodziła, iż działanie narkotyku nie ustało jeszcze.

Wreszcie pokój był przygotowany dla kobiety, a kokietka najbardziej wymagająca musiałaby czuć się zadowolona z otoczenia.

Nie ja pierwsza, z pewnością, dostałam się do tego pysznego więzienia, lecz pojmujesz, Feltonie, im piękniejsze było więzienie, tem większą obawą mnie przejmowało.

Napróżno szukałam wyjścia, badałam ściany, nigdzie żadnego śladu... Dwadzieścia razy najmniej obeszłam pokój, szukając, zawsze napróżno, nareszcie wyczerpana padłam na fotel, jak nieżywa.

Przez ten czas ściemniło się, a z ciemnością przerażenie me rosło; bałam się zostać na miejscu, zdawało mi się, że na każdym kroku zguba czyha na mnie.

Pomimo, że od wczoraj nic w ustach nie miałam, wcale nie czułam głodu.

Żaden głos zzewnątrz nie dochodził, nic, z czego mogłabym czas obliczyć; przeczuwałam tylko, że musi być około ósmej wieczorem, a że to było w październiku, zatem noc czarna już zapadła.

Naraz zadrżałam: drzwi na zawiasach skrzypnęły, okno w górze zajaśniało, rzucając snop światła do pokoju, i ujrzałam z przerażeniem mężczyznę, stojącego o parę kroków przede mną.

Stolik z parą nakryć i jedzeniem przygotowanem znalazł się cudownym sposobem na środku.

W mężczyźnie tym poznałam tego, co mnie od roku prześladował, co zaprzysiągł mnie posiąść i który, odezwawszy się, dał mi do zrozumienia, że należałam do niego zeszłej nocy".

— Podły!... — mruknął Felton.

— O!... tak, podły — zawołała milady, widząc, jak całą duszą młody oficer słucha tej historji, o! tak, podły! — powtórzyła — sądził, iż dosyć było zwyciężyć mnie w śnie głębokim, abym zgodziła się na hańbę i następnie z własnej woli należała do niego; przychodził ofiarować mi bogactwa wzamian za miłość moją...

„Cały ogrom pogardy, jaki może wezbrać w sercu kobiety, popłynął z ust moich w słowach obelżywych...

Człowiek ten musiał być przyzwyczajony do wyrzutów podobnych, słuchał bowiem spokojnie, z uśmiechem, z rękami na piersiach skrzyżowanemi. Następnie, myśląc, że skończyłam, zbliżył się, poskoczyłam do stołu, porwałam nóż i przyłożyłam go do piersi.

— Uczyń krok jeden więcej — zawołałam — a oprócz hańby, mieć będziesz śmierć moją na sumieniu.

Była bezwątpienia w mojem spojrzeniu, w głosie, w całej postaci taka prawda, jaka przekonywa dusze najbardziej zepsute; zatrzymał się bowiem...

— Twoją śmierć!... — powiedział — o! nie, jesteś zanadto przyjemną kochanką, abym w ten sposób chciał cię postradać, gdyś zaledwie raz jeden do mnie należała. Do widzenia moja piękna! poczekam z drugą wizytą na łaskawsze usposobienie.

Po tych słowach dał znak gwizdnięciem; światło zniknęło, znalazłam się pogrążona w ciemnościach. Drzwi znów obróciły się na zawiasach, potem rozjaśniło się w pokoju, lecz znalazłam się już sama.

Chwila to była straszna; nie wątpiłam już o swojej niedoli; wszystko pierzchło wobec rzeczywistości rozpaczliwej: byłam w mocy człowieka, którego nietylko nienawidziłam, lecz którym pogardzałam; człowieka, ważącego się na wszystko, który dał mi już miarę, do czego jest zdolny".

— Lecz któż on był? — zapytał Felton.

— Spędziłam noc na krześle, drżąc za najmniejszym hałasem; około północy lampa zagasła i znów znalazłam się w ciemności. Lecz noc przeszła, mój prześladowca nie dawał znaku życia; rozwidniło się: stół z nakryciem przepadł gdzieś, został mi tylko nóż w ręce.

W nożu tym złożyłam całą nadzieję.

Byłam zmęczona śmiertelnie, bezsenność paliła mioczy; nie śmiałam oka zmrużyć przez całą noc, dzień mi dopiero odwagi dodał; rzuciłam się na łóżko, nie rozłączając się z nożem, który włożyłam pod poduszkę.

Obudziwszy się, zastałam znów stolik nakryty.

Tym razem, pomimo strachu, pomimo udręczenia, poczułam głód okrutny. Od czterdziestu ośmiu godzin nic w ustach nie miałam, zjadłam więc kawałek chleba i trochę owoców. Wspomniawszy narkotyk, jaki wypiłam z wodą, nie dotknęłam się stojącej na stole, lecz napełniłam szklankę wodą, tryskającą z fontanny, umieszczonej obok tualety. Pomimo tej ostrożności, niepokój mnie ogarnął; tym razem jednak obawy okazały się nieuzasadnione: spędziłam dzień, nie doświadczywszy niczego takiego, czego się obawiałam. Wypróżniłam karafkę do połowy, aby nie spostrzeżono mojej nieufności.

Nadszedł wieczór, a z nim ciemności; wzrok mój zaczął się przyzwyczajać, mogłam rozróżniać przedmioty i widziałam stolik, zapadający w podłogę; po kwadransie może, ukazał się znowu z potrawami zastawionemi, a po chwili lampa oświeciła mój pokój.

Postanowiłam używać jedynie pokarmów, do jakich nie można domieszać substancyj usypiających; parę jaj i trochę owoców wystarczyło mi w zupełności, następnie napiłam się wody z opiekuńczej fontanny.

Po wypiciu pół szklanki, poczułam, że smak ma inny niż rano: przestałam pić, podejrzenie mnie ogarnęło.

Wylałam resztę z odrazą i czekałam, zlana potem z przestrachu. Zapewne jakiś niewidzialny świadek obserwował mnie i skorzystał z mojej ufności, aby tem pewniej doprowadzić swój plan do skutku.

Nie upłynęło pół godziny, a już poczułam działanie narkotyku; ponieważ jednak tym razem wypiłam tylko pół szklanki, nie poddawałam się długo i zamiast usnąć, wpadłam w półsen, pozwalający rozumieć, co się działo dokoła... lecz nie miałam siły bronić się ani uciekać.

Zawlokłam się do łóżka, aby poszukać jedynej obrony, zbawczego noża, lecz nie byłam w stanie dojść do celu, padłam na kolana, uczepiwszy się rękami kolumny, podpierającej łóżko, wtedy pojęłam, że jestem zgubiona bez ratunku..."

Felton zbladł okrutnie, dreszcz konwulsyjny przeszedł go całego.

„Najokropniejsze jednak było — ciągnęła milady głosem zmienionym, jak gdyby obecnie jeszcze czuła niebezpieczeństwo, grożące w owej strasznej chwili — najstraszniejsze to, że dusza moja czuwała, a chociaż ciało we śnie pogrążonem było, widziałam, słyszałam wszystko: prawda, że wydawało mi się to jakby snem, ale tembardziej było przerażające.

Widziałam światło unoszące się w górę, i pozostawiające mnie w ciemności; następnie słyszałam znane mi już skrzypnięcie drzwi, choć je dopiero dwa razy słyszałam.

Czułam instynktownie, że zbliżano się do mnie: powiadają, że nieszczęśliwy zbłąkany w puszczach Ameryki czuje także zbliżanie się węża jadowitego.

Zebrałam wszystkie siły, próbowałam krzyknąć; wysiłkiem woli zerwałam się nawet, lecz upadłam zaraz... i upadłam w objęcia prześladowcy mojego".

— Powiedz mi pani, kto był ten człowiek?... — zawołał młody oficer.

Milady widziała, jak jej opowiadanie przejmuje Feltona, jak cierpi nad każdym szczegółem, nie chciała mu jednak oszczędzić tortury. O ile więcej zakrwawi mu serce, o tyle pewniej go zwycięży. Mówiła dalej, udając, że nie słyszy zapytania, a może osądziła, że nie czas jeszcze na odpowiedź.

— „Tym razem jednak już nie ciało nieczułe, bez życia, niecny uwodziciel trzymał w objęciach… Mówiłam ci już: nie mogłam władać sobą, pozostało mi wszakże poczucie niebezpieczeństwa: broniłam się z całych sił i z pewnością, pomimo osłabienia, długo się opierałam, ponieważ słyszałam, jak zawołał:

— Przeklęte purytanki! wiedziałem dobrze, że potrafią znużyć swych oprawców, lecz sądziłem, że z kochankami nie są tak oporne.

Niestety! opór desperacki nie mógł trwać długo, czułam, że siły mnie opuszczają i tym razem nie ze snu mojego skorzystał niegodziwiec, lecz z omdlenia…”

Felton wydał jęk głuchy; pot kroplisty spływał mu z czoła, a ręka pod ubraniem pierś szarpała.

„Pierwszą myślą, jaka mi przyszła po wróceniu do przytomności, było poszukać noża pod poduszką, którego nie miałam siły przedtem wydostać: do obrony mi nie posłużył, chciałam, aby przynajmniej winy moje zmazał.

Lecz gdy poczułam nóż w ręce, Feltonie, straszna myśl przyszła mi do głowy. Przysięgłam ci wszystko wyjawić, obiecałam prawdę i powiem ją, choćby mnie miała zgubić”.

— Przyszła ci myśl zemsty nad tym człowiekiem, wszak prawda?… — zawołał Felton.

— A więc tak!… — rzekła milady — myśl to niegodna chrześcijanki, wiem o tem; podsunął mi ją pewnie wieczny nieprzyjaciel duszy, co, jak lew rozjuszony, krąży bezustannie dokoła człowieka; on mi ją pewnie podszepnął. Cóż ci mam powiedzieć więcej?… — ciągnęła milady tonem kobiety, przyznającej się do zbrodni — myśl ta mnie opanowała i nie mogłam jej odpędzić od siebie… Za tę chęć zabójstwa ponoszę teraz karę…

— Mów pani, mów dalej — przerwał Felton — pilno mi usłyszeć, jakeś się zemściła…

— O!… postanowiłam zrobić to jak najprędzej; nie wątpiłam, że mój prześladowca powróci nocy następnej.

„W dzień biały nie miałam się czego obawiać.

Gdy nadeszła godzina śniadania, nie wahałam się jeść i pić, wieczorem zato postanowiłam udawać, że spożywam kolację, lecz nic do ust nie brać: miał zatem posiłek ranny ochronić mnie od głodu wieczorem.

Szklankę wody ukryłam jedynie z mojego śniadania, bo pragnienie mi dokuczało.

Dzień cały upłynął, lecz nie przyniósł zmiany w powziętem postanowieniu: starałam się tylko, aby twarz moja nie zdradziła zamiarów tajemnych, nie wątpiłam bowiem, że nmie obserwują; kilka razy nawet uśmiech zagościł na moich ustach… Feltonie! nie

mam odwagi wyznać ci, do jakiej myśli się uśmiechałam… odwróciłbyś się odemnie ze wstrętem…”

— Mów pani, mów dalej — rzekł Felton — widzisz, że słucham i pragnę dowiedzieć się końca…

— „Wieczorem wszystko odbyło się, jak zwykle; kolacja zjawiła się po ciemku, następnie lampa zajaśniała i usiadłam do stołu.

Zjadłam parę owoców jedynie; udawałam, że nalewam wody z karafki, a piłam tylko tę, którą rano schowałam; przemieniłam ją zresztą tak szybko i zręcznie, że gdyby nawet szpiegi nasadzeni patrzyli, nie mogliby powziąć najmniejszego podejrzenia.

Po kolacji udałam ociężałość, jak dnia poprzedniego; lecz tym razem, jak gdybym upadała ze zmęczenia, lub jak gdybym się już oswoiła z niebezpieczeństwem, powlokłam się do łóżka, zrzuciłam ubranie i położyłam się…

Znalazłam teraz nóż pod poduszką i, śpiąc niby, ściskałam go w ręce konwulsyjnie.

Dwie godziny minęły, nikt nie przychodził — tym razem, o mój Boże, ktoby to przewidział wczoraj!… — zaczynałam się bać, że może nie przyjdzie!

Nakoniec lampa uniosła się w górę i znikła w otworze sufitu; pokój zaległy ciemności, lecz wysilałam się, żeby je przebić wzrokiem. Przez jakiś czas cicho było; słyszałam tylko bicie własnego serca.

Błagałam nieba, ażeby przyszedł nareszcie. Naraz usłyszałam znany mi szelest drzwi otwieranych; usłyszałam, pomimo grubości dywanu, skrzyp podłogi; dostrzegłam, pomimo ciemności, cień, zbliżający się do łóżka”.

— Śpiesz się pani! śpiesz się!… — przerwał Felton — czyż nie widzisz, że każde słowo twoje pali mnie, jak ołów roztopiony!

— „Wtedy — mówiła milady — wtedy zebrałam wszystkie siły, przywiodłam na pamięć, że wybiła godzina zemsty, a raczej sprawiedliwości. Wyobrażałam sobie, że jestem drugą Judytą; usiadłam z nożem w ręce, i gdy już blisko i wyciągnął ręce, szukając ofiary swojej, wtedy z krzykiem boleści i rozpaczy, uderzyłam go w piersi.

Nędznik!… wszystko przewidział: pierś miał opancerzoną siatką stalową; nóż obsunął się tylko!

— A! a!… — zawołał, chwytając mnie za rekę i wyrywając broń, która mi tak źle posłużyła — chcesz mi życie odebrać, piękna purytanko! to coś więcej, niż nienawiść, to niewdzięczność! No, no, uspokój się piękne dziecię! sądziłem, żeś się już udobruchała. Nie jestem ja tyranem, trzymającym kobiety przemocą: nie kochasz mnie, byłem tyle zarozumiały, że sądziłem inaczej; obecnie się przekonałem… Jutro będziesz wolna.

Miałam tylko jedno życzenie... ażeby mnie zabił.

— Strzeż się!... — powiedziałam — wolność moja, to twoja hańba.

— Wytłumacz się jaśniej, piękna Sybillo?

— Tak, bo skoro tylko stąd wyjdę, opowiem wszystko, opowiem, jakiego gwałtu użyłeś nade mną, jak mnie więziłeś. Ogłoszę o tym pałacu, przeznaczonym dla rozpusty; wysokie zajmujesz stanowisko, milordzie, lecz drżyj! Ponad tobą jest król, ponad królem jest Bóg!

Chociaż mój prześladowca panował nad sobą, zatrząsł się jednak z gniewu. Nie mogłam widzieć wyrazu twarzy, lecz czułam drżenie ramienia, na którem rękę trzymałam.

— Skoro tak, nie wyjdziesz stąd nigdy!... powiedział.

— Bardzo dobrze!... — zawołałam — wtedy miejsce moich cierpień, stanie się także grobem moim. Umrę tutaj! a przekonasz się wtedy, że widmo oskarżające straszniejsze jest jeszcze, niż groźby żyjącej!

— Nie pozostawię ci żadnej broni.

— Jest jedna, jaką rozpacz uczyniła przystępną każdej istocie, mającej odwagę jej użyć... Zamorzę się głodem.

— Posłuchaj — rzekł nędznik — czyż pokój nie lepszy jest od takiej wojny? Powracam ci wolność natychmiast, ogłaszam i wychwalam twoją cnotę, nazywam cię Lukrecją Anglji...

— A ja cię nazywam Sekstusem, wydaję twoje zbrodnie przed ludźmi, jak już oskarżyłam cię przed Bogiem; a gdy będzie potrzeba, abym, jak Lukrecja, krwią podpisała akt oskarżenia, podpiszę go z ochotą.

— A! a!... — odezwał się wróg mój tonem szyderczym — to zmienia postać rzeczy zupełnie. Na honor! zważywszy wszystko, bardzo ci tu dobrze, niczego ci nie braknie, a jeżeli umrzesz z głodu, to będzie twoją winą jedynie.

Po tych słowach oddalił się; słyszałam, jak drzwi zamknął, a ja pogrążyłam się nie tyle w rozpaczy, przyznaję, jak we wstydzie, że się nie zemściłam. Dotrzymał słowa. Upłynął dzień i noc i nie pokazał się... Ja także dotrzymałam obietnicy, nie jadłam i nie piłam wcale; postanowiłam, jak mu to powiedziałam, umrzeć z głodu. Cały dzień i noc całą modliłam się, błagając Boga, aby mi przebaczył samobójstwo.

Na drugą noc drzwi się znów otworzyły; leżałam na podłodze, siły zaczynały mnie opuszczać.

Słysząc szelest, uniosłam się na rękach.

— Na i cóż?... — odezwał się głos, dobrze mi znany — czy uspokoiłaś się trochę i opłacisz wolność obietnicą milczenia?... Ja jestem władcą łaskawym i choć nie lubię purytanów, oddaję im jednak sprawiedliwość, jak i purytankom, jeżeli są ładne. No, dalej przysięgnij mi na ten krzyż; więcej niczego nie żądam.

— Ja mam przysięgać!... — zawołałam, powstając, gdyż na ten głos wstrętny odzyskałam siły. — Otóż przysięgam na krzyż Zbawiciela, że żadna obietnica, żadna groźba, tortura nie zmusi mnie do milczenia; przysięgam, że okrzyczę cię wszędzie jako zbójcę, łotra bez honoru, jako podłego rozpustnika: przysięgam! że jeżeli kiedy stąd się uwolnię, błagać będę cały świat o zemstę nad tobą.

— Strzeż się!... — rzekł groźnie — mam ja sposób nieomylny, którego użyję tylko w ostateczności, aby ci zamknąć usta, lub przynajmniej, aby cię o tyle nieszkodliwą uczynić, że nikt twoim słowom nie będzie wierzył.

Zebrałam wszystkie siły, aby mu odpowiedzieć wybuchem śmiechu. Poznał, że odtąd między nami wojna wieczna; wojna na śmierć.

— Posłuchaj — rzekł — zostawiam ci jeszcze tę noc i dzień jutrzejszy — namyśl się: przyrzeknij, że będziesz milczała, a bogactwa, szacunek, dostojeństwa nawet będą twym udziałem; w przeciwnym razie, skażę cię na hańbę.

— Ty!... — krzyknęłam — ty?

— Na hańbę wieczną, niezmazaną!

— Ty?... — powtórzyłam. — O! Feltonie, myślałam, że ten człowiek zmysły postradał.

— Tak, ja!... — odparł.

— A!... zostaw mnie — powiedziałam — wychodź, jeżeli nie chcesz, abym w twoich oczach głowę o mur roztrzaskała!

— Wychodzę — odrzekł — chcesz tego, a więc do jutra wieczorem!

— Do jutra!... — odpowiedziałam i padłam na ziemię, gryząc kobierzec z wściekłości...”

Felton oparł się o krzesło, milady spostrzegła z radością szatańską, iż może mu sił zbraknąć przed końcem opowiadania.

Rozdział XXX. Scena z tragedji klasycznej

Po chwili przerwy milady ciągnęła opowiadanie:

„Od trzech dni już prawie nic nie jadłam, ani piłam, cierpiałam tortury niesłychane; chwilami mgła zasłaniała mi oczy i ciążyła na czole; był to początek obłędu.

Z nadejściem wieczoru tak osłabłam, iż co chwila omdlewałam, a za każdym razem dziękowałam Bogu, bo sądziłam, że już umieram.

Podczas jednego z tych omdleń, posłyszałam otwieranie drzwi; przerażenie wróciło mi przytomność.

Wszedł mój prześladowca, za nim człowiek jakiś zamaskowany; i on także miał maskę na twarzy, lecz poznałam go po chodzie, po głosie, po postawie, nakazującej szacunek, jaką piekło mu pewnie dało na zgubę i nieszczęście ludzi.

— No, cóż? — zapytał — zdecydowałaś się nareszcie wykonać przysięgę, jakiej wymagałem?...

— Wiesz o tem, purytanie mają tylko jedno słowo; moje słyszałeś, a mianowicie, że będę dochodziła krzywdy na ziemi przed trybunałem Boskim!

— Zatem obstajesz przy swojem?

— Przysięgam przed Bogiem, który mnie słyszy, że wzywać będę świat cały na świadka twej zbrodni, aż dopóki nie znajdę mściciela.

— Jesteś nierządnicą — zawołał głosem grzmiącym — i jako taka, poniesiesz karę! Zbezczeszczona w oczach świata, do którego się odwołujesz, spróbuj go przekonać, że nie jesteś ani występna, ani szalona!

„Następnie, zwracając się do człowieka, który mu towarzyszył:

— Zbliż się kacie — rzekł — i czyń powinność swoją!

— O!... nazwisko jego!... — zawołał Felton — powiedz mi jego nazwisko!...

— Wtedy, pomimo krzyków, pomimo oporu mojego (dorozumiewałam się bowiem, że chodziło o coś gorszego, niż o śmierć nawet) kat porwał mnie, przewrócił na podłogę, obezwładnił silnemi rękami i, wtedy to łkając boleśnie, wzywając Boga, który mnie nie słyszał, wydałam naraz jęk okrutny z bólu i wstydu. Żelazo rozpalone, żelazo katowskie, odbiło się na mojem ramieniu. Patrz! — rzekła milady, podnosząc się z godnością królowej — patrz Feltonie, jakie wymyślono nowe męczeństwo dla dziewczyny młodej, niewinnej, a pomimo to ofiary zwierzęcej namiętności człowieka bez sumienia. Naucz się znać lepiej serca ludzkie, i odtąd bądź mniej powolny w służeniu za narzędzie zemsty niesprawiedliwej...

Szybkim ruchem rozpięła suknię, rozdarła batyst, okrywający łono, i zaczerwieniona udanym gniewem i niby zawstydzona, pokazała młodemu człowiekowi znak, niczem niezatarty, który hańbił to śliczne ramię.

— Ale — krzyknął Felton — to jest kwiat lilji!...

— W tem właśnie jest cała podłość — odrzekła milady. — Gdyby to było piętno angielskie!... trzebaby dowieść, jaki sąd je nakazał, a ja wtedy odwołałabym się do wszystkich trybunałów królestwa; lecz piętno francuskie... o!... takie mnie rzeczywiście hańbiło.

Blady, nieruchomy, przybity strasznem wyznaniem, olśniony nadludzką pięknością tej kobiety, obnażającej się bezwstydnie, co on uważał za wzniosłe, Felton upadł na kolana przed nią, jak czynili pierwsi chrześcijanie przed czystemi, świętemi męczennicami, które prześladowania Cezarów skazywały na krwawe igrzyska w cyrkach. Nie widział piętna hańbiącego, widział piękność jedynie.

— Przebacz!... o!... przebacz!... — wołał.

Milady czytała w oczach jego: kocham! kocham!...

— Co mam przebaczyć? — zapytała.

— Przebacz! że pomagałem twoim prześladowcom!...

Milady podała mu rączkę.

— Taka piękna!... taka młoda!... — wołał Felton, okrywając tę rączkę pocałunkami.

Felton był purytaninem; puścił rękę kobiety, aby całować jej nogi. Obecnie już jej nie kochał, uwielbiał ją...

Gdy ochłonął trochę, gdy milady odzyskała zimną krew, której, coprawda nigdy nie traciła; gdy nareszcie zakryła skromnie przed nim powaby, aby ich pragnął goręcej:

— A!... obecnie — wyrzekł — o jedno jeszcze pytam?... o nazwisko prawdziwego kata, podług mnie bowiem jest tylko jeden, bo ten drugi ślepe narzędzie jedynie!

— Jakto... mój bracie!... — zawołała milady — czy potrzeba, żebym ci go nazwała, nie odgadłeś sam dotąd.

— Co?... — odparł Felton — on?... znów on?...

— Prawdziwym winowajcą!... — przerwała milady — jest ciemięzca Anglji, prześladowca prawowiernych, podły przeniewierca honoru kobiecego, ten, który dla fantazji serca zepsutego, każe przelewać krew anglikom, co dziś proteguje protestantów, a jutro ich zdradzi...

— Więc to Buckingham!... — wykrzyknął Felton.

Milady zakryła twarz rękami, jak gdyby nie mogła bez wstydu słyszeć tego nazwiska.

— Buckingham katem tej anielskiej istoty!... — wołał Felton. — I Tyś go nie spiorunował! o Boże!... pozwoliłeś mu zostać wielkim, czczonym, wszechwładnym na naszą zgubę!

— Bóg opuszcza tych, co sobie nie pomagają — rzekła milady.

— Więc on chce ściągnąć na głowę swoją karę, przeznaczoną dla przeklętych!... — ciągnął Felton z wzrastającą egzaltacją — chce, aby zemsta ludzka uprzedziła sprawiedliwość Boską!...

— Ludzie lękają się go i przebaczają.

— O!... ja — rzekł Felton — ja go się nie boję i nie będę go oszczędzał!...

Milady uczuła w duszy radość piekielną.

— W jaki sposób lord de Winter, mój opiekun, mój ojciec, wmieszany jest w to wszystko?...

— Posłuchaj, Feltonie — odparła milady — pomiędzy podłymi i godnymi pogardy, znajdą się jeszcze ludzie wyżsi i szlachetni. Miałam narzeczonego; kochaliśmy się wzajemnie; serce miał, jak ty, Feltonie, jak ty był prawdziwym człowiekiem. Przyszłam do niego i opowiedziałam wszystko; znał on mnie dobrze i ani na chwilę nie wątpił. Był to wielki pan i pod każdym względem stał na równi z Buckinghamem. Nie nie mówił, tylko przypasałszpadę, narzucił płaszcz i udał się wprost do pałacu Buckinghama.

— Tak, tak — rzekł Felton — rozumiem; chociaż z ludźmi podobnymi, nie szpady używać trzeba, lecz sztyletu...

— Buckingham w przeddzień wyjechał, wysłany jako ambasador do Hiszpanji, gdzie miał prosić o rękę infantki dla króla Karola I-go, wówczas jeszcze księcia Walji, nie zastał go więc i powrócił z niczem.

— Posłuchaj — rzekł do mnie — człowiek ten wyjechał i w ten sposób uniknął na razie zemsty mojej; lecz my się połączymy; jak to już było postanowione, a potem zdaj na lorda de Winter troskę o honor jego i jego żony.

— Lorda de Winter? — wykrzyknął Felton.

— Tak — odparła milady — lorda de Winter, a teraz powinieneś wszystko zrozumieć, wszak prawda? Buckingham rok cały bawił w Hiszpanji. Na tydzień przed jego powrotem, lord de Winter umarł nagle, a ja zostałam jedyną jego spadkobierczynią. Kto był winien jego śmierci? Bóg, wszystko wiedzący, wie i to zapewne, ja, nie obwiniam nikogo!...

— O!... co za straszne rzeczy!... — wołał Felton.

— Lord de Winter umarł, nie powiedziawszy nic bratu. Okrutną tajemnicę ukrywał przed światem, aż do chwili, gdy miała spaść, jak piorun, na głowę winowajcy. Twój opiekun niechętny był małżeństwu brata starszego z dziewczyną ubogą. Czułam to dobrze, że nie mogę spodziewać się opieki od człowieka, zawiedzionego w nadziei otrzymania dziedzictwa. Wyjechałam tedy do Francji z postanowieniem spędzenia tam

reszty życia. Lecz całe mienie moje znajduje się w Anglji, komunikacja z powodu wojny jest utrudniona, zabrakło mi zatem funduszów i zmuszona zostałam powrócić; sześć dni temu wylądowałam w Portsmouth!...

— Cóż dalej?... — rzekł Felton.

— Co dalej?... Buckingham oto dowiedział się zapewne o moim powrocie, mówił z lordem de Winter, który zawsze był źle dla mnie uprzedzony, i nagadał mu, że jego bratowa jest nierządnicą, kobietą piętnowaną... Lord de Winter uwierzył wszystkiemu tem łatwiej, że leżało to w jego interesie. Rozkazał mnie przytrzymać, sprowadził tutaj i oddał pod straż twoją. Reszta ci wiadoma: pojutrze skazuje mnie on na wygnanie, na deportację... pojutrze strąca mnie pomiędzy zbrodniarki. O!... spisek dobrze uknuty, podstęp zręczny, zabije cześć moją na zawsze!... Widzisz sam, iż winnam umrzeć... Feltonie!... Feltonie!... daj mi ten nóż!...

Przy tych słowach, jak gdyby siły traciła, milady pochyliła się słaba i omdlewająca w ramiona młodego oficera, który, pijany miłością, oburzeniem i żądzą nieznaną, objął ją, przycisnął do serca, drżąc pod oddechem usteczek cudownych, pod dotknięciem łona drgającego.

— Nie, nie — mówił — ty będziesz żyła, otoczona szacunkiem, czysta; żyć będziesz, aby upokorzyć wrogów.

Milady odpychała go niby rączką, lecz wzrokiem wabiła; Felton nie potrzebował już zachęty, trzymał ją w objęciach i błagał jak bóstwo.

— O!... śmierci... śmierci!... — wołała słabym głosem i, przymykając oczy — śmierć przenoszę nad hańbę; Feltonie, bracie, przyjacielu, zaklinam cię!...

— Nie — zawołał Felton — nie, ty będziesz żyła i będziesz pomszczona!

— Feltonie, ja sprowadzam nieszczęście na tych, co mnie otaczają! opuść mnie, Feltonie, pozwól mi umrzeć!

— Umrzemy więc razem! — zawołał, przyciskając usta do ust uwięzionej.

Dało się słyszeć pukanie do drzwi; tym razem milady naprawdę go odepchnęła.

— Czy słyszysz?... — rzekła — ktoś nadchodzi, podsłuchano nas!... już po wszystkiem, jesteśmy zgubieni!

— Nie — rzekł Felton — to straż tylko daje mi znać, że patrol nadchodzi.

— Biegnij zatem i sam otwórz...

Felton usłuchał; zaprzedał już tej kobiecie ciało i duszę.

W drzwiach ukazał się sierżant, dowodzący patrolem.

— Co się stało? — zapytał porucznik.

— Kazałeś mi pan otworzyć na wypadek, gdybym słyszał wołanie o pomoc — odezwał się żołnierz — a zapomniałeś pan klucz mi zostawić, słyszałem krzyki niezrozumiałe, chciałem drzwi roztworzyć, lecz były zewnątrz zamknięte; zatem przywołałem sierżanta.

— Ja się też stawiłem natychmiast — dodał sierżant.

Felton, bezprzytomny, obłąkany prawie, stał, nie mogąc głosu wydobyć. Milady zrozumiała, że musi zawładnąć położeniem, pobiegła do stołu i schwyciła nóż.

— Jakiem prawem zabraniasz mi umrzeć?... — zawołała.

— Boże wielki!... — krzyknął Felton, widząc nóż, błyszczący w jej ręce.

W tej chwili właśnie śmiech ironiczny rozległ się na korytarzu. Lord, zwabiony hałasem, w szlafroku, bez szpady, stanął na progu.

— A!... a!... — odezwał się — jesteśmy, jak widzę, w ostatnim akcie tragedji; a co, Feltonie, przekonałeś się, dramat przechodził wszystkie fazy, jakie ci przepowiedziałem... Bądź jednak spokojny, obejdzie się tu bez krwi rozlewu.

Milady zrozumiała, że będzie zgubiona w opinji Feltona, jeśli nie da dowodu szybkiej i strasznej odwagi.

— Mylisz się, milordzie, krew tu popłynie i niech ta krew spadnie na tych, którzy doprowadzili do tego!...

Felton wydał okrzyk przerażenia i rzucił się ku niej, zapóźno jednak, milady ugodziła w pierś nożem.

Lecz trafił on szczęśliwie, przyznać musimy, bardzo zręcznie, w bryklę żelazną, jaka w owej epoce, osłaniała, jak pancerz, piersi kobiet, ześlizgnął się, rozdzierając suknię i zadrasnął ukosem ciało pomiędzy żebrami.

Suknia jednak w tej chwili krwią się splamiła. Milady padła na wznak, udając zemdloną. Felton wyrwał jej nóż.

— Spojrzyj, milordzie — rzekł ponuro — ta kobieta, oddana pod moją opiekę, życie sobie odebrała!

— Uspokój się, Feltonie — rzekł lord — nie zabiła się ona, szatani nie umierają tak łatwo; uspokój się, idź do mnie i czekaj tam...

— Ależ, milordzie...

— Idź, rozkazuję ci.

Na takie polecenie zwierzchnika, Felton był posłuszny, lecz, wychodząc, ukrył nóż na piersiach.

Lord de Winter przywołał jedynie kobietę, usługującą milady.

A że rana, pomimo jego podejrzeń, mogła być rzeczywiście niebezpieczna, posłał natychmiast służącego na koniu, aby sprowadził doktora.

Rozdział XXXI. Ucieczka

Jak to lord de Winter przewidział, rana milady nie była niebezpieczna; skoro tylko została sama z kobietą, przywołaną przez barona, która rozbierała ją pośpiesznie, uznała za właściwe otworzyć oczy.

Potrzeba było jednak grać rolę słabej i cierpiącej; nie było to trudne dla tak wytrawnej komedjantki, oszukała też kompletnie prostą kobietę, która pomimo usilnej prośby milady, uparła się, iż siedzieć będzie przy niej noc całą. Lecz obecność dozorczyni nie przeszkadzała milady rozmyślać.

Nie ulegało wątpliwości, że Felton został przekonany i należał do niej zupełnie: gdyby anioł z nieba zstąpił i potępiał milady, on w takiem usposobieniu, jak obecnie, wziąłby go za wysłańca z piekła.

Milady uśmiechała się, myśląc o tem, albowiem Felton był teraz jedyną jej nadzieją, jedynym sposobem ocalenia. Lord de Winter może go jednak podejrzewać, może nad nim czuwać...

Około czwartej zrana zjawił się doktór; rana już się zasklepiła, doktór nie mógł zbadać jej głębokości, poznał tylko po pulsie chorej, iż jest bardzo mało znacząca.

Rano milady pod pozorem, iż całą noc nie spała i potrzebuje spoczynku, odprawiła kobietę, czuwającą przy niej. Spodziewała się zobaczyć Feltona w porze śniadania; lecz Felton nie przyszedł. Czyż jej obawy się sprawdziły?

Miałżeby Felton nie dopisać w chwili stanowczej? tylko jeden dzień jej pozostał: lord de Winter oznajmił, że odstawi ją na okręt 23-go, a oto poranek 22-go.

Pomimo to czekała cierpliwie do południa.

Obiad przyniesiono jej o zwykłej godzinie: milady ujrzała wtedy z trwogą niesłychaną, że już inni żołnierze jej pilnują.

Zapytała nieśmiało, co się dzieje z Feltonem.

Zapytała nieśmiało, co się dzieje z Feltonem. Odpowiedziano, że Felton przed godziną wyjechał gdzieś na koniu.

Starała się dowiedzieć, czy baron znajduje się w zamku; żołnierz odpowiedział, że tak i że ma rozkaz uprzedzić go, jeżeli uwięziona pragnęłaby z nim pomówić.

Milady odparła, że czuje się zbyt słaba w tej chwili, a jedynem życzeniem jej jest samotność.

Żołnierz wyszedł, pozostawiając obiad na stole. Feltona oddalono, straż zamieniono, nie ufano więc Feltonowi.

Był to okrutny cios dla uwięzionej.

Zostawszy sama, podniosła się; łóżko, na którem leżała przez ostrożność, a także, aby myślano, że jest ciężko ranna, piekło ją, jak trzon gorący. Rzuciła okiem na drzwi: baron kazał przybić deskę w miejscu, gdzie było okienko. Bał się z pewnością, aby przez otwór nie uwiodła straży jaką szatańską sztuką.

Milady uśmiechnęła się; mogła zatem nie hamować uniesień, bo jej nie obserwowano. Biegała po pokoju, jak furjatka lub, jak tygrysica, zamknięta w klatce żelaznej.

Gdyby choć nóż zostawiono, byłaby pomyślała z pewnością nie o zabiciu siebie samej, lecz tym razem o zamordowaniu barona.

O szóstej wieczorem wszedł lord Winter, uzbrojony kompletnie. Człowiek ten, uważany dotąd przez milady za szlachcica dosyć głupkowatego, stał się znakomitym dozorcą więziennym. Jedno spojrzenie na milady odkryło mu stan jej duszy.

— Oho!... — powiedział — nie zabijesz mnie dziś jeszcze, moja pani; nie masz już broni, a przytem ja mam się na baczności. Zaczęłaś przewracać w głowie biednemu Feltonowi: poddawał się już wpływom twoim szatańskim, lecz chcę go ratować, nie ujrzy cię więcej, wszystko skończone. Zbierz swoje manatki, jutro wyjedziesz. Postanowiłem odjazd na 24-go, lecz myślę, że im prędzej, tem pewniej. Jutro w południe będę już miał w rękach wyrok na ciebie, podpisany przez Buckinghama. Jeżeli słówko piśniesz do kogokolwiekbądź, nim wsiądziesz na okręt, sierżant mój głowę ci roztrzaska, taki ma rozkaz; jeżeli zaś na okręcie przemówisz do kogo bez pozwolenia kapitana, tenże kapitan każe cię w morze wrzucić! Do widzenia! Jutro jeszcze zobaczę cię i pożegnam na wieki!

To powiedziawszy, baron się oddalił.

Milady słuchała tych pogróżek z uśmiechem pogardy na ustach, ale w sercu z wściekłością straszną.

Podano kolację; milady czuła potrzebę pokrzepienia sił, nie wiedziała, co stać się może w nocy, która zapowiadała się groźnie. Straszna też burza wybuchła około dziesiątej wieczorem: milady doznała ulgi, widząc, że stan natury odpowiada temu, co się w jej duszy dzieje. Pioruny huczały w powietrzu, jak wściekłość w jej głowie; zdawało

jej się, że fala, przelatując, muska jej czoło, jak drzew wierzchołki, które pochyla i odziera z liści.

Naraz usłyszała stuknięcie w szybę a przy świetle błyskawicy spostrzegła twarz mężczyzny poza kratami.

Poskoczyła do okna i otworzyła.

— Felton!.. — krzyknęła — jestem ocalona!

— Tak — rzekł Felton — lecz cicho na Boga! potrzebuję czasu na przepiłowanie kraty. Uważaj tylko, aby cię nie dostrzeżono prze otwór we drzwiach.

— O!... to dowód, że Bóg jest z nami, Feltonie — odparła milady — zabili dziś otwór deską...

— To dobrze, Bóg im rozum odebrał! — rzekł Felton.

— Cóż mam robić?... — zapytała.

— Nic, nic, zamknij okno. Połóż się spać, lub przynajmniej połóż się do łóżka w ubraniu; jak skończę, zastukam w szybę. Lecz czy będziesz w stanie iść z mną?

— O! tak!

— A twoja rana?

— Boli mnie jeszcze, lecz nie przeszkodzi do ucieczki.

— Bądź gotowa na pierwsze wezwanie.

Milady zamknęła okno, zgasiła lampę i, według zalecenia Feltona, wsunęła się pod kołdrę. Pośród huku burzy słyszała zgrzyt piły o żelazo.

Tak leżała godzinę, bez tchu prawie, oblana potem, z sercem, zamierającem ze strasznej obawy na każdy najmniejszy ruch, jaki ją dochodził z korytarza. Są w życiu godziny, jak lata długie. Nareszcie Felton zastukał.

Milady wyskoczyła z łóżka i pobiegła otworzyć. Dwie kraty wypiłowane dawały możliwe przejście.

— Czy jesteś gotowa?... — zapytał Felton.

— Tak... czy mam zabrać co z sobą?

— Złoto, jeżeli je posiadasz.

— Na szczęście, nie zabrano mi tego, co miałam.

— Tem lepiej, bo ja użyłem swego na wynajęcie barki.

— Weź to — rzekła, podając mu worek luidorów, który Felton wziął i rzucił go na dół pod mur.

— Teraz — rzekł — czy chcesz wyjść?

— Jestem.

Milady stanęła na fotelu i przesunęła się do połowy ciała przez okno: ujrzała młodego oficera, wiszącego nad przepaścią na drabinie sznurowej.

Pierwszy raz w życiu zlękła się, jak prawdziwa kobieta. Przepaść ją przeraziła.

— Spodziewałem się tego — rzekł Felton.

— To nic, to nic!... — odparła milady — zejdę z zamkniętemi oczami.

— Czy ufasz mi pani?

— O! jeszcze się pytasz!

— Złóż ręce na krzyż: tak, dobrze.

Związał jej ręce chustką, a z wierzchu potem mocnym sznurem.

— Co robisz?... — zapytała milady zdziwiona.

— Załóż mi ręce na szyję i nie bój się niczego.

— Stracisz równowagę i spadniemy w przepaść oboje.

— Bądź spokojna, jestem marynarzem.

Nie było chwili do stracenia; milady zarzuciła ręce na szyję Feltonowi i dała się wyciągnąć przez okno.

Młody człowiek zaczął schodzić powoli z drabiny. Pomimo ciężaru dwojga ciał, huragan bujał niemi w powietrzu. Naraz Felton stanął.

— Co się stało?... — zapytała milady.

— Cicho — rzekł Felton — słyszę nadchodzących.

— Odkryto nas!

Nastała cisza chwilowa.

— Nie — rzekł Felton — to nic nie znaczy.

— A ten szmer?

— Patrol idzie zwyczajną drogą.

— Którędy przechodzić będzie?

— Pod naszemi nogami.

— Spostrzegą nas.

— Nie, bo już się nie błyska.

— Potrącą o koniec drabiny.

— Na szczęście za krótka jest o sześć stóp.

— Nadchodzą już, mój Boże!

— Cicho!

I oboje pozostali zawieszeni, bez ruchu, bojąc się odetchnąć, o dwadzieścia stóp ponad ziemią, gdy żołnierze przechodzili pod nimi, śmiejąc się i rozmawiając głośno.

Patrol przeszedł, słychać było odgłos kroków oddalających się i szmer głosów coraz cichszy.

— O! teraz — odezwał się Felton — jesteśmy ocaleni.

Milady westchnęła i zemdlała.

Felton nie przestawał opuszczać się. Gdy poczuł już koniec drabiny i próżnię pod nogami uczepił się silnie rękami i tak zstąpił na ostatni szczebel, następnie zwisł w powietrzu, puścił drabinę i stanął na ziemi. Nachylił się, podniósł woreczek ze złotem i ujął go w zęby.

Potem wziął milady na ręce i oddalił się szybko w przeciwną stronę, niż patrol. Niedługo zmienił kierunek, zeszedł na dół pomiędzy skałami i, przybywszy na brzeg morza, gwizdnął donośnie.

Odpowiedziano mu podobnie: w pięć minut potem ujrzał barkę, wiosłowaną przez czterech ludzi.

Statek zbliżył się do wybrzeża, ale nie mógł dotrzeć do lądu; Felton wszedł po pas w wodę, nie chcąc powierzyć nikomu drogiego ciężaru.

— Dalej, odbijać — rzekł Felton — i płynąć, jak najśpieszniej.

Czterech ludzi rzuciło się do wioseł; lecz morze zanadto było wzburzone, aby mu podołać mogli.

Noc ciemna i burzliwa osłoniła płaszczem uciekających, nie widać było lądu, a tem bardziej niepodobna było dojrzeć barki z wybrzeża.

Podczas, gdy łódź oddalała się, popychana siłą wioseł, Felton odwiązywał sznur, a potem chustkę, krępujące rączki milady. Następnie, gdy ręce już były wolne, zaczerpnął wody morskiej i zlał jej twarz całą.

Milady westchnęła i otworzyła oczy.

— Gdzie jestem?... — wyrzekła.

— Ocalona — odparł młodzieniec.

— Ocalona! ocalona!... — zawołała. — Tak, jak widzę, niebo, widzę morze! Powietrze, którem oddycham!... wszystko mówi mi o wolności. A! dzięki... dzięki ci, Feltonie!

Młodzieniec przycisnął ją do serca.

— Co to się stało z mojemi rękami?... — zapytała milady — mam takie uczucie, jak gdyby były zgruchotane?

— Niestety!... — rzekł Felton, patrząc na te śliczne rączki i, kiwając głową z rozrzewnieniem.

— O! to nic nie znaczy!... — zawołała milady — przypominam sobie teraz wszystko!

Potem zaczęła szukać dokoła siebie.

— On jest tam — rzekł Felton, trącając nogą worek ze złotem.

Zbliżano się do statku, stojącego na pełnem morzu. Majtek na straży odezwał się: odpowiedziano mu z barki.

— Co to za statek?... — zapytała milady.

— Ten, który nająłem dla ciebie.

— Dokąd mnie on zawiezie?

— Dokąd zechcesz, bylebyś mnie wysadzić kazała na ląd w Portsmouth.

— Co masz do czynienia w Portsmouth?... — zapytała.

— Muszę wykonać polecenie lorda de Winter — odrzekł z uśmiechem zagadkowym.

— Jakie polecenie?

— Czyż nie rozumiesz?

— Nie; wytłumacz mi, proszę...

— Nie ufał mi, więc zapragnął sam cię pilnować, a mnie wysłał do Buckinghama, żeby podpisał twój wyrok na deportację.

— Jeżeli ci nie ufał, jak mógł ci powierzyć ten wyrok?

— Myślał, że nie wiem, co wiozę.

— To prawda. Jedziesz więc do Portsmouth?

— Muszę się śpieszyć: jutro 23-ci i Buckingham odpływa z flotą.

— Jutro już?... a dokąd się udaje?

— Do Roszelli.

— Nie powinien odpłynąć!... — zawołała milady, zapominając zwykłej roztropności.

— Bądź spokojna — odparł Felton — nie odpłynie...

Milady zadrżała z radości; czytała w głębi serca młodego człowieka: śmierć Buckinghama wypisana tam była wyraźnie.

— Feltonie... — rzekła — jesteś wielki, jak Juda Machabeusz! Jeśli umrzesz, ja umrę z tobą razem: to wszystko, co powiedzieć ci mogę.

— Cicho!... — rzekł Felton — już przybyliśmy.

Przybijano do statku. Felton wstąpił pierwszy na drabinę i podał rękę milady, a majtkowie ją podtrzymywali, ponieważ morze było jeszcze bardzo wzburzone.

— Kapitanie — przemówił Felton — oto osoba, o której ci mówiłem, odprowadzisz ją z całą troskliwością do Francji.

— Za cenę tysiąca pistolów — odrzekł kapitan

— Wyliczyłem ci już pięćset.

— Prawda — rzekł kapitan.

— Oto jest drugie pięćset — odezwała się milady, biorąc worek ze złotem.

— Nie — rzekł kapitan — teraz nie wezmę; dałem słowo temu młodemu panu: drugie pięćset pistolów należą mi się dopiero po przybyciu do Boulogne.

— A przybędziemy tam?

— Cali i zdrowi — rzekł kapitan — zaręczam honorem Jakóba Buttlera.

— Dobrze więc!... — rzekła milady — jeżeli dotrzymasz słowa, to nie pięćset a tysiąc pistolów dostaniesz ode mnie.

— Niech żyje piękna pani!... — zawołał kapitan — i niech Bóg raczy zsyłać często tak zacne osoby, abym mógł im usłużyć!

— A tymczasem — rzekł Felton — płyń z nami do małej zatoki... o której ci już mówiłem.

Kapitan w odpowiedzi wydał rozkazy stosowne, a około siódmej zrana, mały statek zarzucał kotwicę w oznaczonej zatoce.

Ze swej strony milady utwierdziła Feltona w powziętym zamiarze; spostrzegła jednak niebawem, że młody fanatyk potrzebował raczej, aby miarkowano jego zapał.

Ułożono, że milady oczekiwać będzie Feltona do dziesiątej; jeżeli o tej godzinie nie będzie z powrotem, wyruszy sama.

Wtedy, przypuszczając, że będzie wolny, podąży do Francji i połączy się tam z nią w klasztorze Karmelitek w Bethune.

Rozdział XXXII. Co się działo w portsmouth 21 sierpnia 1628 roku?

Felton pożegnał milady, jak brat siostrę, gdy idzie na niewinną przechadzkę, to jest, całując ją w rękę.

Wydawał się spokojny, jak zwykle, oczy mu tylko błyszczały gorączkowo; czoło miał bledsze, zęby zaciśnięte, a głos ostry i urywany zdradzał burzę wewnętrzną.

Stojąc na czółnie, odwożącem go do brzegu, patrzał ciągle na milady, ona też z pokładu ścigała go wzrokiem. Oboje pewni byli, że unikną pogoni: zwykle o dziewiątej dopiero przychodzono do pokoju milady, a zamek odalony był od Londynu o trzy godziny drogi.

Felton wysiadł na brzeg, wszedł na pagórek, pożegnał milady po raz ostatni i zwrócił się w stronę miasta.

Zaczął biec w stronę Portsmouth, ukazującego przed nim szczyty wieżyc i domów we mgle porannej.

Felton, idąc szybko, przywodził na pamięć wszystko, co przez dwa lata rozmyślał i długi pobyt pomiędzy purytanami słyszał z zarzutów prawdziwych lub zmyślonych przeciw ulubieńcowi Jakóba VI-go i Karola I-go.

Porównywał zbrodnie publiczne ministra wszechwładnego, zbrodnie świetne, europejskie, jeżeli można się tak wyrazić, ze zbrodniami prywatnemi i nieznanemi, o jakich milady mu opowiadała, i doszedł do wniosku, że z dwóch ludzi, z jakich składał się Buckingham, gorszym był ten, który działał w ukryciu. Uczucie nieznane, nowe, a gorące przedstawiało mu oskarżenia, podłe i wymyślone przez lady de Winter, tak, jak widzimy przez szkło powiększające atomy niedostrzeżone, powiększone do rozmiarów przerażających.

Szybkość biegu krew mu rozpalała; myśl, iż pozostawia za sobą wystawioną na zemstę okrutną kobietę, którą kochał, a raczej czcił, jak świętą; wzruszenia przebyte, zmęczenie obecne, wszystko podniecało umysł ponad zwykłe uczucia ludzkie.

Stanął w Portsmouth około ósmej rano; cała ludność była w ruchu; bębniono w porcie i na ulicach; oddziały wojska, przeznaczone na okręty, schodziły ku morzu.

Felton przyszedł do pałacu Admiralicji, zlany potem i kurzem okryty; twarz, zwykle blada, czerwieniła się od gorąca i gniewu. Straż pałacu zabroniła mu wstępu; Felton zawołał na dowodzącego i, wyjmując z kieszeni papier opieczętowany, powiedział:

— Zlecenie pilne od lorda de Winter.

Wiedziano, że lord de Winter posiadał zaufanie Jego Wysokości, dowodzący zatem strażą wydał rozkaz przepuszczenia Feltona, co tem łatwiej poszło, że młody człowiek miał na sobie mundur marynarki wojskowej.

W tej samej chwili, gdy nareszcie dostał się do przedsionka, wchodził tam człowiek okryty kurzawą, zmęczony, bez tchu prawie, który przed bramą pałacową zsiadł z konia, upadającego także z wycieńczenia.

Felton jednocześnie z nowoprzybyłym zwrócił się do Patrycego, ulubionego pokojowca księcia.

Felton wymienił lorda de Winter, a nieznajomy nie chciał powiedzieć, kto go przysyła i utrzymywał, że księciu jedynie może to oznajmić.

Każdy z nich żądał, aby wpierw go wpuszczono.

Patrycy wiedział, że lord de Winter miał interesy służbowe i stosunki przyjaźni z księciem, dał zatem pierwszeństwo przybyłemu w jego imieniu. Drugi czekać musiał, a widoczne było, jak przeklinał w duszy opóźnienie.

Pokojowiec prowadził Feltona przez wielką salę, gdzie oczekiwali deputowani z Roszelli, z księciem Soubisse na czele, i wpuścił go do gabinetu, w którym Buckingham, wyszedłszy z kąpieli, kończył się ubierać, z wielką starannością i elegancją, jak zawsze.

— Porucznik Felton — rzekł Patrycy — przysłany przez lorda de Winter.

— Od lorda de Winter! — powtórzył Buckingham — niech wejdzie.

Felton wszedł. Buckingham właśnie zrzucał na kanapęszlafrok, lamowany złotem, aby przywdziać spencer z aksamitu niebieskiego, cały perłami wyhaftowany.

— Dlaczego lord sam nie przybył? — zapytał Buckingham — oczekiwałem go dziś rano.

— Polecił oznajmić Waszej Wysokości — odparł Felton — iż przykro mu to bardzo, lecz zmuszony jest osobiście strzec swego zamku.

— Tak, tak — rzekł Buckingham — wiem o tem, ma tam jakąś uwięzioną.

— O tej uwięzionej właśnie chciałem mówić Waszej wysokości.

— Mów zatem!

— To, z czem przyszedłem, mogę tylko wam, milordzie, powiedzieć.

— Zostaw nas, Patryku — rzekł Buckingham — lecz nie oddalaj się, przywołam cię za chwilę.

Patrycy wyszedł.

— Sami jesteśmy — odezwał się Buckingham — zaczynaj pan.

— Milordzie — rzekł Felton — baron de Winter pisał do Waszej miłości z prośbą, abyś podpisał wyrok deportacji na młodą kobietę, Karolinę Backson.

— Tak, panie, a ja odpowiedziałem, ażeby przyniósł mi go, lub przysłał takowy, to go podpiszę.

— Oto jest, milordzie.

— Daj mi go pan, proszę.

Biorąc pismo z rąk Feltona, rzucił okiem na papier. Przekonawszy się, że to ten właśnie, jakiego się spodziewał, położył na stole, wziął pióro i zamierzał podpisać.

— Wybacz, milordzie — rzekł Felton, wstrzymując księcia — czy Wasza miłość wie, że nazwisko Karoliny Backson nie jest prawdziwem nazwiskiem tej kobiety?

— Tak, panie, wiem o tem — odparł książę, maczając pióro w kałamarzu.

— Zatem Wasza wysokość zna prawdziwe jej nazwisko? — zapytał Felton głosem ostrym.

— Znam je…

Książę zbliżył pióro do papieru.

Felton zbladł okrutnie.

— I znając jej prawdziwe nazwisko, książę jednak podpisze?…

— Z pewnością — rzekł Buckingham — podpisałbym dwa razy nawet.

— Nie mogę w to uwierzyć, — ciągnął Felton, głosem coraz więcej ostrym i urywanym — aby Wasza wysokość wiedział, że chodzi tu o lady de Winter…

— Wiem doskonale, choć dziwi mnie niezmiernie, że i pan wiesz o tem?

— I książę miłościwy podpisze bez wyrzutu sumienia?..

Buckingham spojrzał z dumą na młodzieńca.

— Czy wiesz, mój panie — rzekł do niego — że dziwne zadajesz pytania i że jestem bardzo naiwny, skoro ci odpowiadam?…

— Odpowiadaj, mości książę — mówił Felton — położenie ważniejsze jest, niż przypuścić możesz.

Buckingham pomyślał, że młody człowiek, przysłany przez lorda de Winter, odzywał się w jego imieniu w ten sposób, więc złagodniał nieco.

— Bez najmniejszego wyrzutu — mówił — lord wie tak, jak i ja, że milady de Winter jest bardzo występna i że przez skazanie na deportację czyni się jej prawie łaskę.

Książę dotknął piórem papieru.

— Nie podpiszesz tego wyroku, milordzie — rzekł Felton, przysuwając się do księcia.

— Ja, nie podpiszę?… — rzekł Buckingham — a to dlaczego?…

— Bo zastanowisz się, milordzie, i oddasz sprawiedliwość milady.

— Najlepsze dla niej uznanie to zesłanie do Tyburn — mówił Buckingham — milady jest zbrodniarką.

— Mości książę, milady jest aniołem, wiesz dobrze o tem, i ja żądam jej uwolnienia.

— Oho! — przerwał Buckingham — czyś oszalał, że śmiesz odzywać się do mnie w ten sposób?

— Milordzie, wybacz!… mówię, jak mogę; i staram się panować nad sobą. Jednak, milordzie, pomyśl dobrze nad tem, co uczynić zamierzasz i strzeż się, abyś miary nie przebrał.

— Czyż mnie słuch nie myli?… Boże miłosierdzia!… zdaje się, że on mi śmie grozić?

— Nie, milordzie, proszę jeszcze i powiadam ci: kropla jedna wody jest dostateczną, aby czarę przepełnić; mały błąd napozór, może ściągnąć karę na głowę, dotąd oszczędzaną, pomimo zbrodni bez liku.

— Panie Felton! — rzekł Buckingham — wyjdziesz stąd i udasz się do aresztu wojskowego w tej chwili.

— Wysłuchasz mnie do końca, milordzie. Uwiodłeś młodą dziewczynę, znieważyłeś ją, splamiłeś; napraw swą winę, wypuść ją na wolność, nic więcej nie będę wymagał.

— Nie będziesz wymagał?... — rzekł Buckingham, patrząc na Feltona z podziwieniem i wymawiając dobitnie te słowa.

— Milordzie — ciągnął Felton, egzaltując się własnemi słowy — milordzie, strzeż się, cała Anglja znużona już twojemi występkami; milordzie, nadużyłeś władzy królewskiej, którą posiadłeś bezprawnie, wstrętny jesteś ludziom i Bogu; Stwórca ukarze cię później, lecz ja uczynię to dziś jeszcze.

— O! tego już za wiele!... — krzyknął Buckingham i posunął się ku drzwiom.

Felton zagrodził mu drogę.

— Proszę pokornie — powiedział — podpisz pan rozkaz uwolnienia lady de Winter; pomyśl, że to kobieta, którą czci pozbawiłeś.

— Odsuń się, mój panie — rzekł Buckingham — albo zawołam ludzi i każę cię zakuć w kajdany.

— Nie zawołasz — przerwał Felton, zasłaniając sobą dzwonek umieszczony na gerydonie, srebrem inkrustowanym — strzeż się, milordzie, albowiem znajdziesz się w ręku Boga — mściciela!

— W ręku szatana, chciałeś powiedzieć — zawołał Buckingham, podnosząc głos, aby zwrócić uwagę służby, lecz wprost jej nie przyzywając.

— Podpisz, milordzie, podpisz uwolnienie lady de Winter — rzekł Felton, podsuwając papier księciu.

— Przemocą?... żartujesz chyba!... hola, Patrycy...

— Podpisz, milordzie!...

— Nigdy!

— Nigdy?

— Do mnie!... — krzyknął książę i jednocześnie porwał za szpadę.

Felton nie dał mu czasu na wyjęcie jej z pochwy; trzymał na piersiach otwarty nóż, którym milady się zraniła, i jednym skokiem był już przy księciu.

W tej chwili właśnie Patrycy wszedł do sali, wołając:

— Milordzie! list z Francji!...

— Z Francji!... — krzyknął Buckingham, zapomniawszy o wszystkiem, na myśl, od kogo list ten może pochodzić.

Felton skorzystał z tego i zagłębił mu nóż w boku, po samą rękojeść.

— A! zdrajco!... — jęknął Buckingham — zabiłeś mnie...

— Na pomoc!... — wrzasnął Patrycy.

Felton powiódł wzrokiem dokoła, szukając, którędyby uciec, a widząc drzwi wolne, wpadł do pokoju sąsiedniego, w którym oczekiwali, jak to już mówiliśmy, deputowani z Roszelli, przebiegł go pędem i rzucił się na schody.

Na pierwszym stopniu napotkał lorda de Winter, a ten, widząc go bladego, pomieszanego, ze śladami krwi na ręku i twarzy, schwytał go za kark, wołając:

— Wiedziałem, ale odgadłem zapóźno o jedną minutę!... O! ja nieszczęśliwy...

Felton nie opierał się; lord de Winter oddał go w ręce straży, która, czekając dalszych rozkazów, wyprowadziła mordercę na taras zamkowy z widokiem na morze, lord zaś pobiegł do gabinetu Buckinghama.

Na krzyk księcia, na wołanie Patrycego, człowiek, którego Felton spotkał w przedpokoju, wpadł także do gabinetu.

Zastał księcia, rozciągniętego na sofie, przyciskającego ranę ręką stygnącą.

— Laporte — mówił książę głosem gasnącym — Laporte, czy ty od niej przybywasz?

— Tak, mości książę — odrzekł wierny sługa Anny Austrjackiej — lecz może zapóźno.

Cicho... Laporte!... mogą cię usłyszeć; Patrycy, nie wpuszczaj tu nikogo: o! niech dowiem się, co ona pisze! Boże! Boże mój! umieram!...

Książę zemdlał.

Pomimo to, lord de Winter, deputowani, szef poselstwa, oficerowie pałacowi Buckinghama wdarli się do gabinetu; dokoła rozległy się krzyki rozpaczy.

Wieść bolesna, napełniając pałac jękami i żalem, przedostała się niezadługo i na miasto.

Wystrzał armatni oznajmił, że zaszło coś nowego i niespodziewanego.

Lord Winter włosy darł z głowy.

— Spóźniłem się o minutę — jęczał — o jedną minutę! o Boże! mój Boże! co za nieszczęście!

Około siódmej zrana powiedziano mu, iż drabina jest uwiązana u jednego z okien zamkowych; pobiegł natychmiast do pokoju milady, zastał go pustym, ujrzał okno otwarte, kraty przepiłowane. Przypomniał sobie ustne polecenie, jakie przesłał mu

d'Artagnan przez wysłańca swojego, zadrżał na myśl o księciu, pobiegł do stajni i, nie czekając aż mu konia osiodłają, wskoczył na pierwszego lepszego, popędził cwałem, zeskoczył z konia w podwórzu pałacowem, wpadł na schody i na pierwszym stopniu, jak to już mówiliśmy, napotkał Feltona.

Książę jednak nie umarł jeszcze: omdlenie przeszło, otworzył oczy, a nadzieja wstąpiła w serca otaczających.

— Panowie!... — odezwał się — zostawcie mnie z Patrycym i Laportem. A! to ty, de Winter?... przysłałeś mi dziś rano oryginalnego szaleńca, patrz, co ze mną zrobił!

— O milordzie!... — zawołał baron — nie pocieszę się nigdy...

— Źle zrobisz, kochany mój de Winter — mówił Buckingham, podając mu rękę — nie znam człowieka, któryby godnym był, aby go drugi żałował przez całe życie!... lecz zostaw nas, proszę cię.

Baron wyszedł, zanosząc się od płaczu.

W gabinecie pozostał tylko śmiertelnie ranny książę, Laporte i Patrycy.

Poszukiwano wszędzie doktora, nie mogąc go znaleźć.

— Będziesz żył, milordzie, będziesz żył — powtarzał, klęcząc obok sofy, wierny sługa Anny Austrjackiej.

— Co ona pisze do mnie?... — rzekł słabym głosem Buckingham, cały krwią zlany, pokonywając straszne boleści, aby mówić o ukochanej — co ona pisze? Czytaj mi jej list.

— O! milordzie!... — załkał Laporte.

— Bądź posłuszny, Laporte!... czy nie widzisz, że nie mam czasu do stracenia?...

Laporte złamał pieczęć i umieścił pergamin przed oczami księcia; lecz Buckingham napróżno wzrok wysilał.

— Czytaj-że — wymówił — czytaj prędzej... ja niewidzę już... czytaj!... niezadługo może... nie usłyszę nic i umrę, nie dowiedziawszy się, co ona pisze.

Laporte nie wzdragał się dłużej i czytał:

„Milordzie!

Ponieważ od czasu, jak cię poznałam, cierpiałam dla ciebie i przez ciebie, zaklinam cię, jeżeli dbasz o mój spokój, zaprzestań strasznych uzbrojeń przeciw Francji i daj pokój wojnie, o której mówią głośno, że powodem jawnym do niej jest religja, a po cichu, że miłość twoja dla mnie jest powodem ukrytym. Wojna ta może być nietylko przyczyną wielkich katastrof dla Francji i Anglji, lecz i dla ciebie, milordzie, może stać się nieszczęściem, po jakiem byłabym niepocieszona.

Strzeż twego życia, któremu grozi niebezpieczeństwo, a które droższe mi się jeszcze stanie od chwili, gdy nie będę zmuszona widzieć w tobie wroga mej ojczyzny.

Kochająca cię

Anna".

Buckingham zatrzymał siłą woli życie uciekające, dla wysłuchania listu; po skończeniu go doznał gorzkiego rozczarowania:

— I nie masz nic innego do powiedzenia mi od niej?... — zapytał.

— O tak, mości książę: królowa kazała mi powiedzieć, żebyś czuwał nad sobą, albowiem zawiadomiona została, że chcą cię zamordować.

— I to już wszystko, wszystko?... — przerwał Buckingham niecierpliwie.

— Kazała także powiedzieć, że kocha księcia zawsze jednakowo.

— A!... — rzekł Buckingham — chwała Bogu, śmierć moja zatem nie będzie dla niej śmiercią obcego...

Laporte płakał rzewnie.

— Patrycy — wymówił książę — przynieś szkatułkę, w której były zapinki brylantowe.

Patrycy przyniósł przedmiot żądany; Laporte poznał, że należał on kiedyś do królowej.

— Podaj także torebkę atłasową białą, gdzie jej cyfry wyhaftowane są perłami.

A gdy i to podano, powiedział:

— Weź to, Laporte, oto jedyne pamiątki, jakiem miałod niej, ta szkatułka srebrna i te dwie litery. Zwrócisz to Jej Królewskiej Mości, a jako ostatnie wspomnienie... (począł szukać dokoła czegoś drogocennego)... oddasz jej...

Szukał ciągle, lecz wzrok, przyćmiony mgłą śmierci, dojrzał jedynie nóż, wypadły z rąk Feltona, ociekły krwią purpurową na ostrzu...

— Oddasz jej ten nóż — rzekł książę, ściskając Laporta za rękę.

Włożył jeszcze torebkę do szkatułki srebrnej, dołączył nóż i dał znak Laportowi, że nie może już mówić.

Porwały go ostatnie konwulsje, nad któremi zapanować już nie był w stanie i zsunął się z sofy na posadzkę.

Patrycy zaczął krzyczeć...

Buckingham chciał uśmiechnąć się raz ostatni, lecz śmierć zatrzymała myśl jego i wyryła na czole wyraz szczęścia, jak przy pierwszym pocałunku miłosnym.

W tej chwili wszedł przerażony nadworny doktór księcia: znajdował się już na pokładzie okrętu admiralskiego i musiano go aż stamtąd sprowadzić.

Stanął nad księciem, ujął go za rękę, potrzymał chwilę i puścił.

— Nic nie pomogę — powiedział — on już nie żyje...

— Nie żyje, nie żyje!... — wołał Patrycy.

Na ten okrzyk tłum powrócił do sali, a stąd się rozproszył, siejąc dokoła popłoch i trwogę.

Skoro tylko lord de Winter przekonał się, że Buckingham nie żyje, pobiegł natychmiast do Feltona, będącego pod strażą na tarasie pałacowym.

— Nędzniku — rzekł do młodego człowieka, który od chwili zadania śmierci księciu, odzyskał spokój i zimną krew, jakie mu pozostały już do śmierci — nędzniku! coś uczynił?

— Zemściłem się — odpowiedział.

— Ty!... — zawołał baron — powiedz raczej, żeś był narzędziem tej przeklętej kobiety; lecz ja teraz ci przysięgam, że to jej ostatnia zbrodnia.

— Nie rozumiem, co pan mówisz — odrzekł Felton spokojnie — nie wiem, o kim mówisz, milordzie, zabiłem Buckingham, ponieważ odmówił podwakroć panu, podpisania nominacji mojej na kapitana: ukarałem go za niesprawiedliwość i na tem koniec.

De Winter osłupiały patrzył na ludzi, krępujących Feltona, sam, nie wiedząc, co sądzić o podobnej zatwardziałości.

Była jednak pewna rzecz, rzucająca cień na pogodne czoło Feltona.

Oto w szmerze każdym, jaki go dochodził, naiwny purytanin rozpoznawał kroki milady, biegnącej, by rzucić się w jego objęcia, oskarżyć się i zginąć z nim razem.

Naraz zatrząsł się cały i utkwił wzrok w punkt czarny na morzu, ponad którem taras się wznosił. Orlim wzrokiem marynarza rozpoznał tam, gdzie innyby widział tylko mewę bujającą ponad tonią, rozpoznał żagle małego statku, kierującego się do brzegów Francji.

Zbladł, uchwycił się za serce, pękające z bólu, i zrozumiał nareszcie podłą zdradę.

— Milordzie, błagam o ostatnią łaskę!... — rzekł do barona.

— Czego żądasz?... — zapytał tenże.

— Która godzina?

Baron wyjął zegarek.

— Dziewiąta, za dziesięć minut — powiedział.

Milady przyśpieszyła odjazd o półtorej godziny; skoro tylko usłyszała strzał armatni, zwiastujący nieszczęsny wypadek, wydała rozkaz podniesienia kotwicy.

Statek żeglował w niebieskiem przestworzu, oddalając się szybko od brzegu.

— Bóg chciał tego — rzekł z poddaniem się fanatyk, nie mogąc jednak oderwać oczu od statku, na którego pokładzie widział pewnie biały cień tej, dla której życie poświęcił.

De Winter patrzył w kierunku wzroku jego, widział rozpacz na twarzy młodzieńca i odgadł wszystko.

— Ty sam teraz poniesiesz karę, nędzniku — rzekł lord de Winter do Feltona, którego uprowadzano, a on ciągle jeszcze patrzył się na morze — lecz klnę się na pamięć brata, tak mi drogiego, że wspólniczka twoja, nie ujdzie mej zemsty. Felton spuścił głowę i milczał. De Winter zaś zbiegł gwałtownie ze schodów i udał się do portu.

Rozdział XXXIII. We Francji

Król angielski, Jakób I-szy, dowiedziawszy się o śmierci Buckinghama, zląkł się, aby straszna wieść nie zniechęciła oblężonych w Roszelli. Starał się, jak mówi Richelieu w swoich pamiętnikach, ukryć ją przed nimi, jak tylko da się, najdłużej, i w tym celu rozkazał pozamykać wszystkie porty w państwie, bacząc starannie, aby żaden okręt nie wydostał się na morze, dopóki armja zgromadzona przez Buckinghama nie wyruszy. Podjął się, w braku zmarłego wodza, sam osobiście dopilnować odjazdu.

Posunął ostrożność do tego stopnia, iż zatrzymał w Anglji posłów duńskich, którzy już mieli pozwolenie na powrót do kraju i posła holenderskiego, który miał odprowadzić do portu Flissingen okręty z Indyj, jakie Karol I-szy rozkazał zwrócić.

Rozkaz wydany został w pięć godzin po wypadku, to jest o drugiej po południu, gdy już dwa statki wypłynęły z portu.

Jeden z nich, jak wiadomo, uwoził milady, która nie wątpiła o tem, co się stało, a w czem utwierdził ją jeszcze widok czarnej chorągwi, zawieszonej na szczycie masztu okrętu admiralskiego.

Co się tyczy drugiego statku, powiemy później, kto nim wypłynął i w jaki sposób z portu się wydostał.

W obozie pod Roszellą nic nie zaszło nowego; król tylko, jak zawsze zresztą, nudził się śmiertelnie, a może nawet więcej jeszcze w obozie, niż gdziekolwiekindziej. Postanowił zatem udać się incognito do Saint — Germain i tam spędzić dzień Świętego Ludwika. Wezwał kardynała, by mu zorganizował eskortę z dwudziestu muszkieterów

jedynie. Kardynał, któremu nuda królewska udzielałasię także niekiedy, dał z wielką radością urlop swemu dostojnemu adjutantowi, a ten przyobiecał wrócić do obozu około 15-go września. Pan de Tréville, zawiadomiony przez Eminencję, spakował manatki, a choć nie znał przyczyny, wiedział, że jego przyjaciele mają gorącą chęć, a nawet potrzebę nieodzowną powrócić do Paryża; ich też wyznaczył do eskorty królewskiej.

W kwadrans po panu de Tréville czterej młodzieńcy wiedzieli już o postanowieniu; ich pierwszych zawiadomił dowódca. Wtedy d'Artagnan ocenił w pełni łaskę kardynała, iż go nakoniec przeniósł do muszkieterów; gdyby nie ta okoliczność, byłby zmuszony pozostać w obozie, a jego towarzysze wyjechaliby sami.

Domyślają się czytelnicy, że gwałtowna chęć powrotu do Paryża miała źródło w obawie o panią Bonacieux, której groziło spotkanie z milady w klasztorze de Bethune, z milady, jej śmiertelną nieprzyjaciółką. To też, jak mówiliśmy, Aramis napisał bezzwłocznie do Marji Michon, owej właścicielki składu bielizny w Tours, mającej także wysokie stosunki, aby wyjednała u królowej upoważnienie dla pani Bonacieux, do opuszczenia klasztoru i udania się do Lotaryngji lub Belgji. Nie czekano długo na odpowiedź; w dziesięć dni już odebrał Aramis list tej treści:

„Kochany kuzynku!

Posyłam ci upoważnienie mojej siostry, za którem odbierzesz z klasztoru w Bethune naszą poczciwą dziewczynkę, bo, jak mówisz, powietrze klasztorne jej nie służy. Siostra moja z wielką przyjemnością udziela ci tego pozwolenia, ponieważ kocha serdecznie tę dziewczynę i przyrzekła jej nadal swoją opiekę. Całuję cię

Marya Michon".

Do listu dołączono upoważnienie w tych słowach:

„Przełożona klasztoru de Bethune wyda w ręce oddawcy niniejszego biletu nowicjuszkę, która wstąpiła do klasztoru na moje polecenie i pod moją opieką.

W Luwrze 10 sierpnia 1628 roku.

Anna".

Można sobie wyobrazić, jak stosunki pokrewieństwa Aramisa ze szwaczką, nazywającą królowę siostrą, pobudzały wesołość i dowcip młodych ludzi; lecz Aramis, zaczerwieniwszy się kilkakroć na grube żarty Porthosa, prosił przyjaciół, aby dali pokój,

oświadczając, że w przeciwnym razie nie użyje nigdy kuzynki swojej za pośredniczkę w tego rodzaju interesach.

Nie było odtąd wzmianki o Maryi Michon pomiędzy muszkieterami, którzy wreszcie posiadali już to, o co im najwięcej chodziło, mianowicie rozkaz wypuszczenia pani Bonacieux z klasztoru Karmelitek w Bethune.

Wprawdzie rozkaz nie miał żadnej wartości, dopóki siedzieli w obozie pod Roszellą, to jest na drugim końcu Francji. D'Artagnan zamierzał właśnie prosić pana de Tréville o urlop i powiedzieć mu otwarcie, jak gwałtownie pragnie wyjechać, gdy dostał zawiadomienie, jak i trzej jego towarzysze, że król wyjeżdża do Paryża z eskortą, złożoną z dwudziestu muszkieterów i że oni do tej liczby należą.

Pomimo pośpiechu i chęci przybycia do Paryża na 23-go król, szukający rozrywki w nudach, zatrzymywał się od czasu do czasu dla śledzenia lotu srok; nabrał on kiedyś gustu do tego sportu w towarzystwie de Luynesa i zachował go przez całe życie. Gdy król się zatrzymywał, na dwudziestu muszkieterów szesnastu cieszyło się z odpoczynku i zabawy, czterech zaś przeklinało w duszy opóźnienie.

D'Artagnan zwłaszcza z niecierpliwości dostał ciągłego dzwonienia w uszach, co Porthos tłomaczył w ten sposób:

— Pewna bardzo wielka dama powiedziała mi, iż to znaczy, że mówią o tobie.

Nareszcie orszak minął Paryż 23-go w nocy; król podziękował panu de Tréville i pozwolił rozdać urlopy na cztery dni, z warunkiem, że żaden z wybranych nie ukaże się w miejscu publicznem, pod karą zamknięcia w Bastylji.

Cztery pierwsze urlopy, jak można się domyśleć, dostały się czterem naszym przyjaciołom. A nadto Athos otrzymał od pana de Tréville sześć dni zamiast czterech.

— O, mój Boże!... — mówił d'Artagnan, nie wątpiący nigdy o niczem — zdaje mi się, że za wiele zadajemy sobie ambarasu dla rzeczy tak prostej; przez dwa dni, zajeździwszy dwa lub trzy konie (mniejsza o liczbę, mam przecie pieniądze), jestem w Bethune, oddaję przełożonej list królowej, zabieram swój skarb najdroższy i ukrywam nie w Lotaryngji ani w Belgji, lecz w Paryżu, gdzie będzie najbezpieczniej, dopóki mianowicie pan kardynał jest pod Roszellą. Następnie po skończonej kampanji, trochę przez protekcję kuzynki, trochę w nagrodę naszych zasług osobistych, otrzymamy od królowej, czego tylko będziemy pragnęli. Zostańcie tutaj i nie trudźcie się napróżno; ja z Planchetem, aż nadto wystarczymy na taką wyprawę łatwą.

Na to Athos odparł spokojnie:

— My także mamy pieniądze; bo nie przepiłem jeszcze zupełnie resztek z djamentu, a Porthos i Aramis nie zdążyli przejeść. Potrafimy także zamordować po jakie cztery konie. Pamiętaj jednak d'Artagnan — dodał głosem ponurym, na dźwięk którego młodzieniec zadrżał — pamiętaj, że Bethune jest miastem, gdzie kardynał rozkazał zatrzymać się tej kobiecie, a gdzie ona jest, nieszczęście sprowadza nieodzownie. Gdybyś miał sprawę z czterema mężczyznami, puściłbym cię samego; ale masz do czynienia z tą kobietą, jedźmy zatem we czterech, dałby Bóg, abyśmy nawet z pomocą służących naszych byli w dostatecznej liczbie!

— Przerażasz mnie, Athosie — zawołał d'Artagnan — czegóż się obawiasz, na Boga?

— Wszystkiego!... — odparł Athos.

Wieczorem 25-go wjeżdżali do Arras. Gdy d'Artagnan miał właśnie zsiąść z konia przed oberżą pod Złotą Broną, aby wypić szklankę wina, jeździec jakiś wyjeżdżał z dziedzińca stacji pocztowej, gdzie konia zmieniał i skręcił w wielkim pędzie na drogę, wiodącą do Paryża. W chwili, gdy wyjeżdżał z bramy na ulicę, wiatr uniósł płaszcz, jakim był okryty pomimo ciepła sierpniowego i zerwał mu kapelusz z głowy, który podróżny złapał w powietrzu i nacisnął gwałtownie na oczy. D'Artagnan patrzył na tego człowieka; naraz zbladł i wypuścił szklankę.

— Co panu jest?... — rzekł Planchet. — Panowie, chodźcie prędzej, pan mój zachorował!

Wszyscy trzej przyjaciele przybiegli i zastali d'Artagnana, który, zamiast chorować, leciał już do konia.

— Co to jest? dokąd, u djabła, tak lecisz?... — krzyknął Athos.

— To on!... — wołał d'Artagnan, blady z wściekłościi zlany potem na czole — to on! puszczajcie mnie, muszę go dopędzić!

— Co za on?... — zapytał Athos.

— On, ten człowiek!...

— Jaki człowiek?

— Ten przeklęty, ten mój zły duch, którego zawsze spotykam, gdy mi nieszczęście grozi; on towarzyszył tej okrutnej kobiecie, gdym ją raz pierwszy spotkał, jego to szukałem, gdy wyzwałem naszego przyjaciela, Athosa; jego widziałem tego samego dnia rano, gdy panią Bonacieux uwieźli! I teraz go widziałem, to on był, we własnej osobie! Poznałem go, gdy wiatr mu płaszcz uniósł!

— Tam do djabła!... — rzekł Athos zamyślony.

— Na koń, panowie, na koń! pędźmy za nim, a złapiemy go z pewnością.

— Mój drogi — odezwał się Aramis — pomyśl, że pojechał w przeciwną stronę, nie tam, dokąd my się udajemy; że ma konia świeżego, a nasze pomęczone i, co za tem idzie, zabijemy swoje, a jego nie dogonimy. Porzućmy go, d'Artagnanie, a śpieszmy ratować kobietę.

— Panie! panie!... — wołał chłopiec stajenny, biegnąc za nieznajomym — hola! panie! papier jakiś wyleciał z pańskiego kapelusza!

— Przyjacielu — rzekł d'Artagnan — pół pistola za ten papier!

— Na uczciwość! proszę pana, oddam z przyjemnością!

Chłopak, uszczęśliwiony z dobrego interesu, powrócił na podwórze oberży; d'Artagnan rozłożył papier.

— No, cóż tam jest?... — pytali towarzysze, stając koło niego.

— Tylko jedno słowo!... — odparł d'Artagnan.

— Tak — rzekł Aramis — jest to nazwa wsi lub miasta.

— Armentières — przeczytał Porthos. Armentières, nie znam wcale!

— Nazwa ta jest napisana jej ręką!

— No, no, schowajmy starannie ten świstek — rzekł d'Artagnan — może nienapróżno wydałem ostatniego pistola. A teraz dosiądźmy koni, przyjaciele, i ruszajmy w drogę.

Czterej towarzysze ruszyli galopem drogą do Bethune.

Rozdział XXXIV. Klasztor karmelitek w Bethune

Wielcy zbrodniarze posiadają talizman jakiś, czy też fatalizm, pomagający im zwalczać przeszkody, omijać niebezpieczeństwa, aż do czasu, gdy Opatrzność urażona nareszcie zawyrokuje: tu się rozbijesz, tu koniec powodzeniu bezbożnemu.

Tak było z milady: przesunęła się pomiędzy przedniemi strażami morskiemi dwóch narodów nieprzyjacielskich i przybyła do Boulogne bez wypadku.

Wysiadając w Portsmouth, milady była Angielką, uciekającą przed prześladowaniem Francuzów z Roszelli; gdy wylądowała w Boulogne, po dwudniowej przeprawie, podała się za Francuskę, prześladowaną w Portsmouth przez Anglików, żywiących nienawiść dla Francji.

Milady posiadała prócz tego najskuteczniejszy z paszportów: piękność, pozory wielkiej damy i hojność, z jaką rozrzucała pistole.

Stary gubernator portu, z uśmiechem przyjaznym i manierami dworskiemi, uwolnił ją od wymaganych formalności i jeszcze w rękę pocałował. W Boulogne zatrzymała się tylko tyle czasu, ile trzeba było do oddania na pocztę listu następującego:

„Do Jego Eminencji, Kardynała de Richelieu, w obozie pod Roszellą.

Niech Wasza Eminencja będzie spokojny, Jego Wysokość książę de Buckingham nie wyruszy do Francji.

Boulogne, 25-go wieczór

Milady de Winter.

P. S. Według życzenia, Waszej Eminencji, udaję się do klasztoru Karmelitek w Bethune, gdzie czekać będę Jego rozkazów".

Rzeczywiście milady tego samego wieczora udała się w drogę; noc ją zaskoczyła: zatrzymała się i przespała w oberży przy drodze; nazajutrz o piątej zrana wyjechała, a w trzy godziny potem była już w Bethune. Zapytała o klasztor Karmelitek i poszła tam natychmiast.

Przełożona wyszła na jej spotkanie; milady okazała list kardynała; przełożona wyznaczyła jej pokój i przysłała śniadanie.

Wszystko, co przeszło, zatarło się w umyśle tej kobiety, a spojrzeniem, utkwionem w przyszłość, widziała znaczenie i dostatki, jakie spłyną na nią od kardynała, któremu służyła tak wiernie i szczęśliwie, że nawet nazwisko jej nie zostało wmieszane w te krwawe dzieje. Namiętności coraz inne, pożerając ją, nadawały jej egzystencji pozór obłoków, płynących po niebiosach, odbijających naprzemian błękit, to znów czerwoność ognistą, lub matową czarność burzy, a pozostawiających na ziemi jedynie zniszczenie.

Po śniadaniu, przełożona przyszła do niej w odwiedziny; tak mało jest rozrywek w klasztorze, że zacnej kobiecie pilno było poznać nową pensjonarkę.

Milady pragnęła podobać się; łatwo to przyszło kobiecie naprawdę sprytnej; starała się być przyjemna, a była zachwycająca, i poczciwą przełożoną podbiła zupełnie rozmową zajmującą, pełną zwrotów niespodzianych, oraz wdziękiem i ułożeniem.

Przełożona pochodziła ze szlachetnej rodziny, lubiła też przedewszystkiem opowiadania o dworze królewskim, tak rzadko dochodzące do krańców państwa, a nadewszystko z taką trudnością przedostające się poza mury klasztorne, na którego progach milkną echa światowe.

Milady była wtajemniczona w intrygi towarzystw arystokratycznych, pośród których obracała się od lat pięciu.

Opowiadała zakonnicy o zwyczajach światowych dworu francuskiego, obok krańcowej dewocji samego króla.

Wyrecytowała kronikę skandaliczną panów i pań dworskich, których przełożona znała doskonale z nazwiska; naszkicowała lekko miłostki królowej i Buckinghama, mówiąc jak najwięcej, żeby coś wyciągnąć ze słuchaczki.

Przełożona słuchała, uśmiechała się, lecz milczała.

Milady, widząc, że ten rodzaj opowiadania bawi jąbardzo, ciągnęła dalej, tylko zwróciła rozmowę na kardynała.

Przeszkadzało jej to jedynie, iż nie wiedziała, czy przełożona jest rojalistką, czy też stronniczką kardynała; starała się też zachować umiarkowanie. Zakonnica ze swej strony trzymała się jeszcze ostrożniej, skłaniając głowę pokornie, ile razy nowoprzybyła wspomniała o Jego Eminencji.

Milady zaczęła przypuszczać, że na śmierć się zanudzi w klasztorze; postanowiła więc zaryzykować cośkolwiek, by wiedzieć następnie, czego się trzymać.

Chcąc poznać, jak daleko sięga dyskrecja dobrej zakonnicy, poczęła naprzód ogródkowo, a potem już wyraźnie obmawiać kardynała, opowiadała o stosunkach miłosnych ministra z panią d'Aiguillon, z Marion de Lorne i jeszcze z kilkoma paniami znanemi ze swobodnego życia.

— Dobrze, myślała milady, gustuje w mojej rozmowie; jeżeli jest kardynalistką, to przynajmniej nie posuniętą do fanatyzmu.

Przeszła wtedy do opisu prześladowań nieprzyjaciół osobistych kardynała. Przełożona przeżegnała się, nie potwierdzając, ni przecząc.

Utwierdziło to milady w przekonaniu, że zakonnica więcej jest rojalistką, niż stronniczką kardynała.

Prawiła też dalej, nie oszczędzając go wcale.

— Jestem bardzo nieświadoma w tych sprawach, rzekła nakoniec zakonnica; lecz, choć oddalone od dworu, obce interesom tego świata, mamy jednak smutny przykład tego, co pani opowiadasz, jedna z naszych pensjonarek cierpiała okrutnie, z powodu zemsty i prześladowań kardynała.

— Jedna z waszych pensjonarek? — zawołała milady; — o mój Boże! jakże jej żałuję!

— Masz pani słuszność, albowiem godna jest politowania: więzienie, groźby, najgorsze obejście, wszystko to wycierpiała. Może jednak — dodała przełożona — pan

kardynał miał słuszne powody postępować, w ten sposób, a choć ona wygląda na anioła, nie zawsze można sądzić ludzi z powierzchowności.

— Oho! — pomyślała milady — może ja tu co odkryję, jakoś mi się wiedzie.

I starała się przybrać wyraz niewinności i słodyczy anielskiej.

— Niestety! — mówiła — wiem o tem; powiadają, że nie trzeba ufać fizjognomji; lecz czemuż wierzą ludzie, jeśli nie temu najpiękniejszemu dziełu Stwórcy? Co do mnie, może całe życie będę oszukiwana, lecz zawsze zaufam osobie, której twarz budzi we mnie sympatję.

— Zdaje się pani zatem — powiedziała zakonnica — że ta młoda kobieta jest niewinna?

— Pan kardynał niezawsze karze za zbrodnie — odrzekła — są cnoty, które prześladuje zawzięciej od złych skłonności.

— Pozwól pani, że wyrażę zdziwienie...

— Co panią zadziwia? — rzekła milady naiwnie.

— To, co pani mówi.

— Czyż mówię coś niepodobnego do prawdy? — zapytała milady z uśmiechem.

— Jesteś pani przyjaciółką kardynała, ponieważ przysłał cię tutaj, a jednak...

— A jednak źle o nim mówię — rzekła milady, kończąc myśl przełożonej.

— To jest, nic dobrego o nim nie powiedziałaś.

— Bo ja nie jestem przyjaciółką — odparła wzdychając — lecz ofiarą kardynała.

— Cóż znaczył list, w którym polecił mi panią?

— Jest to rozkaz dla mnie, bym tu siedziała, jak w więzieniu, aż każe mnie stąd zabrać jednemu z satelitów swoich...

— Dlaczegóż pani nie próbowałaś uciekać?

— Dokądżebym poszła? sądzisz pani, że jest na ziemi kącik, gdzieby kardynał nie był w stanie dosięgnąć, jeżeli tylko zechce wyciągnąć rękę?

Gdybym była mężczyzną, możeby to się udało; lecz cóż chcesz, by uczyniła kobieta? Młoda pensjonarka, jaką macie u siebie, czyż próbowała uciekać?

— Nie, to prawda; lecz co innego, zdaje mi się, zatrzymuje ją we Francji: uczucie serdeczne.

— O! — rzekła milady, wzdychając — jeżeli kocha i jest kochana, nie może nazwać się nieszczęśliwą.

— Tak więc — mówiła przełożona, patrząc z wzrastającem zajęciem — to jeszcze jedną nieszczęsną prześladowaną mam przed sobą?

— Niestety! — tak — odparła.

Zakonnica popatrzyła bacznie na milady: jak gdyby jej myśl nowa przyszła do głowy.

— Jesteś może nieprzyjaciółką naszej świętej wiary? —

— Ja? — zawołała milady — ja? protestantką?... O nie! świadczę się Bogiem, który nas słyszy; przeciwnie, jestem gorliwą katoliczką!...

— Kiedy tak — rzekła przełożona z uśmiechem — uspokój się pani; miejsce, w jakiem się znajdujesz, nie będzie dla ciebie więzieniem, zrobimy wszystko, co w mocy naszej, byś polubiła niewolę. Co więcej, znajdziesz tu młodą kobietę, prześladowaną, bezwątpienia, w skutek jakiejś intrygi dworskiej, bardzo przyjemną i zajmującą.

— Jak się nazywa?

— Polecił mi ją ktoś wysoko postawiony, pod imieniem Katty. Nie starałam się dowiedzieć nic więcej.

— Katty! — krzyknęła milady — jakto? czy pani jesteś pewną?...

— Że się każe tak nazywać? Tak, pani, czy znasz ją?...

Milady uśmiechnęła się do siebie, na myśl, że ta kobieta może być jej dawną pokojową. Wspomnienie tej dziewczyny obudziło wściekłość w milady, a przypomnienie zemsty zmieniło jej rysy; lecz prawie natychmiast przybrała wyraz spokoju i dobroci, jaki ta kobieta o stu twarzach potrafiła na rozkaz przywołać.

— Kiedyż będę mogła zobaczyć tę panią, dla której czuję już wielką sympatję? — zapytała.

— Dziś wieczorem — rzekła przełożona — a nawet i prędzej. Od czterech dni jesteś pani w podróży, jak sama mówiłaś zrana; potrzebujesz zatem odpoczynku. Połóż się pani i zaśnij trochę, obudzimy cię, gdy obiad podadzą.

Chociaż milady obeszłaby się bez spania, podtrzymywana podnieceniem, jakie nowa awantura nastręczała sercu jej chciwemu intrygi, zgodziła się jednak na propozycję przełożonej: od dwóch tygodni przeszła tyle wrażeń różnorodnych, iż, choć ciało żelazne nie upadało ze znużenia, umysł potrzebował spoczynku.

Pożegnała więc przełożoną i położyła się. kołysana przyjemnie projektami zemsty, do jakich naturalnie usposobiło ją imię Katty.

Przypomniała obietnicę, prawie nieograniczoną, jaką jejdał kardynał, jeżeli uda jej się to, co przedsięwzięła. Dokonała wszystkiego, zatem d'Artagnan do niej należał!...

Jedna tylko rzecz ją przerażała... wspomnienie męża, hrabiego de la Fère, o którym słyszała, że nie żyje, lub przynajmniej wydalił się z kraju, a którego spotkała pod nazwiskiem Athosa, najlepszego przyjaciela d'Artagnana!...

A ponieważ był przyjacielem d'Artagnana, zapewne pomagał mu w intrygach, wskutek czego królowa w niwecz obróciła zamiary Jego Eminencji; jako przyjaciel d'Artagnana musiał być koniecznie wrogiem kardynała; z pewnością zatem uda jej się za jednym zamachem wtrącić w przepaść Athosa, razem z młodym muszkieterem.

Rozkoszne marzenia o zemście ukołysały nareszcie do snu milady.

Obudził ją głos słodki, usłyszany obok łóżka. Otworzyła oczy i ujrzała przełożoną w towarzystwie kobiety młodej o cudnych blond włosach, o płci śnieżnej; wpatrywała się w nią z wyrazem dobroci i ciekawości zarazem.

Twarz młodej osoby nieznana była milady; obydwie badały się wzrokiem z drobiazgową uwagą, zamieniając zwykłe powitanie; obydwie były znakomicie piękne, lecz urodą odmienną.

Jednak milady uśmiechnęła się triumfująco, zobaczywszy, że ma wyższość nad młodą kobietą przez ułożenie i arystokratyczne maniery. Coprawda, strój nowicjuszki ujmował dużo powabu nowoprzybyłej.

Przełożona przedstawiła je wzajemnie, a po tej formalności, ponieważ obowiązek wzywał ją do kościoła, zostawiła same młode kobiety.

Nowicjuszka, widząc milady w łóżku, chciała iść za przełożoną, lecz ta ją zatrzymała.

— Jakto? — rzekła — zaledwie panią ujrzałam, i już pragniesz mnie opuścić? a ja tak liczyłam na twoje towarzystwo przez czas mojego pobytu w klasztorze?

— O, proszę pani — odpowiedziała nowicjuszka — chciałam odejść, bo sądziłam, że nie w porę przyszłam; pani spałaś, jesteś zmęczona...

— Czegóż można więcej wymagać? — rzekła milady — jak słodkiego przebudzenia? A to mnie właśnie spotkało z pani łaski! pozwólże mi kosztować tej przyjemności.

Wzięła ją za rękę, przyciągnęła i posadziła na fotelu obok łóżka. Nowicjuszka usiadła.

— Mój Boże — powiedziała — ja to prawdziwie jestem nieszczęśliwa, oto już blisko sześć miesięcy siedzę tu zamknięta, bez najmniejszej rozrywki; pani przybywasz, twoja obecność i towarzystwo stałyby się przyjemnością niezrównaną, ale cóż kiedy, według wszelkiego prawdopodobieństwa, wyjdę już z klasztoru.

— Jakto! wyjeżdżasz stąd niebawem?

— Tak się spodziewam przynajmniej — odrzekła, nie starając się bynajmniej ukryć widocznej radości.

— Dowiedziałam się, że pani cierpiałaś przez kardynała — podjęła milady — byłby to jeden powód więcej do wspólnej sympatji.

— Więc to prawda, co mi powiedziała dobra przełożona, iż jesteś także ofiarą tego złośliwego klechy?

— Cicho! — przerwała milady — nawet tutaj strzeżmy się wspominać w ten sposób kardynała; cała moja niedola, wszystkie nieszczęścia moje, spowodowało niebaczne odezwanie się o nim do kobiety, którą uważałam za przyjaciółkę serdeczną. Czy pani także jesteś ofiarą zdrady?

— Nie — odparła nowicjuszka — jestem ofiarą poświęcenia się dla kobiety, którą kochałam, dla której życiebym oddała tak samo dzisiaj, jak i wtedy.

— A która cię teraz opuściła, czy tak?

— Myślałam tak w istocie, lecz od kilku dni przekonałam się, iż byłam niesprawiedliwa względem pani, i Bogu za to dziękuję: zanadto cierpiałam, sądząc, że o mnie zapomniała. Lecz ty pani — ciągnęła nowicjuszka — wydajesz się wolna, i gdybyś chciała uciekać, od ciebie tylko to zależy…

— Dokąd chcesz abym poszła? bez przyjaciół, bez pieniędzy, w obcym kraju, bo nigdy w tej stronie Francji nie byłam?

— Oh! — zawołała nowicjuszka — przyjaciół znajdziesz pani wszędzie, gdzie się tylko pokażesz, wydajesz się dobra, a jesteś przytem cudownie piękna!

— Pomimo to — podjęła milady z anielską słodyczą w głosie — jestem sama i prześladowana.

— Posłuchaj pani — przerwała nowicjuszka — miej ufność w Bogu; nadchodzi zawsze chwila, kiedy dobre nasze uczynki, jednają nam miłosierdzie Stwórcy. Może i teraz szczęściem będzie dla ciebie pani znajomość ze mną. Choć nic nie mogę i nic nie znaczę, lecz, gdystąd wyjdę, mieć będę przyjaciół wszechwładnych, którzy, upomniawszy się teraz o mnie, upomną się i o ciebie.

— Mówiłam, że jestem sama — rzekła milady, w nadziei, że nowicjuszka wygada się ze wszystkiem, gdy będzie ciągle mówiła o sobie — lecz to nie znaczy, abym i ja nie miała znajomości w wyższych sferach: lecz cóż z tego, oni sami drżą przed kardynałem; królowa nawet nie śmie się opierać strasznemu ministrowi. Mam dowody, że najjaśniejsza pani, pomimo dobroci serca, zmuszona była oddać na pastwę zawziętości Jego Eminencji, tych, którzy jej służyli wiernie.

— Wierz mi, pani, może się zdawać niekiedy, że królowa zapomina i wiernych sobie; lecz to pozory jedynie: im więcej są prześladowani, tem więcej o nich myśli, i często bardzo w chwili, gdy najmniej się spodziewają, otrzymują dowody jej pamięci.

— Niestety! — rzekła milady — chcę temu wierzyć; królowa taka dobra!…

— Więc znasz pani tę piękną i szlachetną królowę, skoro mówisz o niej? — zawołała nowicjuszka z zapałem.

— To jest… — odparła milady, zaskoczona znienacka — nie mam zaszczytu znać jej osobiście, lecz znam dużo jej przyjaciół od serca: znam pana de Putange; w Anglji znam pana Dujart; znam także pana de Tréville.

— Znasz pani pana de Tréville! — zawołała nowicjuszka.

— Bardzo nawet dobrze.

— Dowódcę muszkieterów królewskich?

— Tak, dowódcę muszkieterów królewskich.

— O! kiedy tak, staniemy się nietylko znajomemi, lecz przyjaciółkami prawie; znasz pani pana de Tréville, to pewnie bywałaś u niego?

— Bardzo często — rzekła milady — która, wszedłszy na drogę kłamstwa i fałszu, nie mogła się już cofnąć.

— Musiałaś tam pani widywać niektórych muszkieterów?

— Wszystkich, których zwykle przyjmuje — odparła milady, coraz bardziej zaciekawiona.

— Wymień mi pani ich nazwiska; przekonam się, czy to są i moi znajomi.

— Oto — rzekła milady zmieszana — znam pana de Souvigny, pana de Courtivron, pana de Ferussac.

Nowicjuszka słuchała pilnie, następnie, widząc, że milady się zatrzymała, rzekła:

— Czy znasz pani szlachcica, nazwiskiem Athos?

Milady zbielała, jak pościel, na której leżała i chociaż umiała panować nad sobą, wydała krzyk dziki, chwyciła za rękę swoją interlokutorkę i przeszyła ją wzrokiem.

— Co pani jest? na Boga! — zapytała biedaczka — czy powiedziałam coś, co cię zraniło?

— Nie, nie, zdziwiło mnie to imię jedynie, bo znałam tego szlachcica i wydało mi się dziwne, że spotykam kogoś, kto go zna także.

— O tak! znam go doskonale, i nie tylko jego, lecz znam jeszcze jego przyjaciół: panów Porthosa i Aramisa!

— Doprawdy? i ja także ich znam! — zawołała milady, uczuwszy chłód w głębi serca.

— Ponieważ ich pani znasz, wiesz zapewne, jacy to zacni i dobrzy koledzy; czemu nie udasz się do nich, kiedy potrzebujesz pomocy?

— To jest… — jąkała milady — nie jestem związana przyjaźnią z żadnym, znam ich z opowiadania jednego z nich przyjaciół, pana d'Artagnan.

— Znasz pana d‘Artagnan! — krzyknęła nowicjuszka, chwytając milady za rękę.

Następnie, spostrzegłszy dziwny wyraz oczu milady:

— Wybacz pani — rzekła — lecz jakie są wasze stosunki?

— Tylko przyjacielskie — odparła milady, zmieszana.

— Zwodzisz mnie pani: byłaś jego kochanką.

— To pani nią byłaś! — zawołała z kolei milady.

— Ja? — rzekła nowicjuszka.

— Tak, pani; wiem teraz, kto jesteś: jesteś pani Bonacieux.

Młoda kobieta cofnęła się, przerażona.

— Nie zapieraj się! odpowiadaj! — kończyła milady.

— A więc tak... pani! — rzekła nowicjuszka — czyż jesteśmy rywalkami?

Teraz milady zapłonęła dzikim ogniem; gdyby pani Bonacieux zazdrość nie zaślepiła, byłaby uciekła ze strachu.

— Dalej, mów pani — ciągnęła pani Bonacieux z ener gją, o jaką trudno ją było posądzić — czy byłaś, czy jesteś jego kochanką?

— O! nie, nie — zawołała milady z akcentem prawdy w głosie — nie jestem i nie byłam nigdy!

— Wierzę ci — rzekła pani Bonacieux — lecz dlaczego tak się przeraziłaś?

— Jakto, czyż nie rozumiesz? — odparła milady, której przytomność umysłu i spokój powróciły.

— Jakże mam rozumieć, kiedy o niczem nie wiem?

— Nie rozumiesz tego, że pan d‘Artagnan był moim przyjacielem i miał we mnie powiernicę?

— Czy doprawdy?

— Czyż nie pojmujesz, że wiem o wszystkiem: o porwaniu ciebie z ustronnego domku w Saint-Germain, o rozpaczy jego i jego przyjaciół, o poszukiwaniach bezowocnych do chwili obecnej? Jakże chcesz, żebym się nie dziwiła, kiedy niespodzianie znalazłam się razem z tobą; z tobą, o której tak często rozmawialiśmy, którą on kocha z całej duszy i którą nauczył i mnie kochać, chociaż cię nigdy nie widziałam! O! droga Konstancjo, znalazłam cię nareszcie i patrzę na ciebie!...

Milady wyciągnęła ręce do pani Bonacieux, a ta przekonana tem, co słyszała, widziała odtąd w kobiecie, uważanej przed chwilą za rywalkę, jedynie przyjaciółkę szczerą i oddaną.

— O! przebacz mi, przebacz! — zawołała, skłaniając głowę na ramię milady — ale ja go tak bardzo kocham!

I tak trzymały się w objęciach czas jakiś. Gdyby siły fizyczne milady odpowiadały wielkości jej nienawiści, byłaby na śmierć udusiła panią Bonacieux w tym uścisku.

Nie mogąc zadusić, uśmiechnęła się do niej.

— Kochana moja, śliczna moja — mówiła — co za radość! Pozwól, niech się na ciebie napatrzę.

Mówiąc to, rzeczywiście pożerała ją wzrokiem.

— Tak; to ty jesteś! Jakże mi wiernie cię opisał, poznaję cię doskonale!

Biedna kobieta nie przypuszczała nawet, jakie okropne myśli gnieżdżą się poza tem czołem czystem, co wyrażają oczy błyszczące, w których czytała jedynie współczucie.

— Wiesz zatem, ile wycierpiałam — odezwała się pani Bonacieux — ponieważ opowiedział ci także o swojej boleści; lecz cierpieć dla niego to jeszcze szczęście!

Milady odparła machinalnie:

— Tak, to szczęście.

Myślała zupełnie o czem innem.

— A teraz — ciągnęła pani Bonacieux — moje męczarnie skończone: jutro, dziś wieczorem może zobaczę go.

— Dziś wieczorem?... jutro?... — zawołała milady, obudzona z marzeń, — co mówisz? czy spodziewasz się wiadomości od niego?...

— Jego samego się spodziewam.

— D'Artagnan przyjedzie tutaj?

— Tak, d'Artagnan.

— Niepodobna, on jest przy kardynale w obozie pod Roszellą i powróci dopiero po wzięciu tego miasta.

— Tak pani sądzisz, lecz dla d'Artagnana, dla mojego zacnego i prawego rycerza, nic niema niepodobnego!

— Nie mogę temu uwierzyć.

— Przeczytaj pani to! — rzekła pod wpływem dumy i radości niebaczna kobieta, list podając do rąk milady.

— Pismo pani de Chevreuse — pomyślała milady. — Byłam pewna tych stosunków. I czytała chciwie podany bilecik:

„Drogie dziecię, bądź gotowa; nasz przyjaciel odwiedzi cię wkrótce i wydobędzie z więzienia, gdzie byłaś ukryta dla bezpieczeństwa: przygotuj się do drogi i ufaj nam

zawsze. Nasz szlachetny gaskończyk okazał się waleczny i wierny, jak zawsze, powiedz mu, że zasłużył na wdzięczność za daną przestrogę".

— Tak, tak — rzekła milady — list jest stanowczy. Czy wiesz, co to za przestroga?

— Nie. Domyślam się tylko, że pewnie uprzedził królową o nowej jakiej machinacji kardynała.

— Tak, to najpewniej! — rzekła milady, spuszczając głowę w zamyśleniu.

Naraz usłyszały — tętent konia, pędzącego galopem.

— O!... — krzyknęła pani Bonacieux, biegnąc do okna — czyż to już on przybywa?

Milady leżała w łóżku, obezwładniona niespodzianką; od nawału wrażeń, wypadków nieoczekiwanych, nawet jej się w głowie pomieszało!

— On!... on!... — mruczała — czyżby naprawdę? — i leżała z oczami w sufit utkwionemi.

— Niestety!... to nie on — odezwała się pani Bonacieux — to jakiś mężczyzna nieznajomy zbliża się do klasztoru; tak, zatrzymuje konia przed bramą, dzwoni....

Milady wyskoczyła z łóżka.

— Jesteś pewna, że to nie on?... — zapytała.

— O, tak, najpewniejsza.

— Może go nie poznałaś?...

— Dosyć mi ujrzeć pióro na kapeluszu i jego brzeg płaszcza, abym go poznała!

Milady ubierała się śpiesznie.

— Powiadasz, że ten mężczyzna przyjechał tutaj?

— Tak, już wszedł.

— To do ciebie, lub do mnie.

— Mój Boże!... jakżeś pani wzburzona!...

— Tak, przyznaję, nie posiadam twojej ufności, obawiam się wszystkiego od kardynała.

— Cicho!... — rzekła pani Bonacieux — już nadchodzą...

Przełożona weszła do pokoju.

— Czy to pani przybyłaś z Boulogne?... — zapytała milady.

— Tak, to ja — odparła, starając się zapanować nad wzruszeniem — kto taki chce się ze mną widzieć?

— Jakiś mężczyzna, ale wzbrania się powiedzieć swego nazwiska, przybywa wprost od pana kardynała.

— W takim razie niech wejdzie, proszę pani.

— O Boże!... Boże!... — rzekła pani Bonacieux — czyż znowu jaka zła nowina!

— Boję się tego.

— Odchodzę, lecz, jak tylko ten nieznajomy odjedzie, pozwolisz pani, powrócę.

— Proszę, bardzo proszę.

Przełożona i pani Bonacieux wyszły.

Milady została z oczami w drzwi utkwionemi; za chwilę posłyszała brzęk ostróg na schodach, nareszcie drzwi się rozwarły i nieznajomy stanął na progu.

Milady krzyknęła: był to hrabia de Rochefort, duszą i ciałem zaprzedany Jego Eminencji.

Rozdział XXXV. Dwie odmiany szatanów

— A!... — wykrzyknęli jednocześnie Rochefort milady — to ty?...

— Tak, to ja.

— Przybywasz?... — zapytała milady.

— Z pod Roszelli. A ty?...

— Z Anglji.

— Cóż Buckingham?

— Nie żyje, lub śmiertelnie ranny; wyjeżdżałam właśnie, nic odeń nie uzyskawszy, gdy jakiś fanatyk go zabił.

— A!... — odezwał się Rochefort — oto, co się nazywa szczęśliwy traf, który ucieszy niezmiernie Jego Eminencję! Czy mu już doniosłaś?...

— Pisałam z Boulogne. Lecz, w jaki sposób ty się tu znalazłeś?

— Jego Eminencja, zaniepokojony, wysłał mnie do ciebie.

— Nie straciłam czasu napróżno.

— O! byłem tego pewny.

— Wiesz, kogo tu spotkałam?

— Nie.

— Zgadnij?

— Nie potrafię.

— Młodą kobietę, którą królowa z więzienia uwolniła.

— Kochankę tego smarkacza, d'Artagnana?

— Tak, panią Bonacieux, o której schronieniu kardynał nie mógł się dowiedzieć.

— Więc znów szczęśliwy traf, mogący iść w parze z tamtym; pan kardynał doprawdy jest człowiekiem uprzywilejowanym.

— Wystaw sobie moje zdziwienie — ciągnęła milady — gdy ta kobieta stanęła przede mną.

— Czy ona wie, kto ty jesteś?

— Nie.

— Więc uważa cię za obcą?

Milady roześmiała się.

— Jestem jej najlepszą przyjaciółką.

— Na honor — rzekł Rochefort — ty jedna tylko, hrabino, zdolna jesteś cuda tworzyć.

— Dobrze się stało — powiedziała milady — bo wiesz, co się tu dzieje?

— Nie.

— Przyjadą po nią jutro lub pojutrze z rozkazem królowej.

Doprawdy! a ktoż taki?

— D'Artagnan i jego przyjaciele.

— Przekonany jestem, że oni póty dokazywać będą, aż dostaną się do Bastylji nareszcie.

— Dlaczego oddawna ich tam nie zamknięto?

— Co chcesz!... pan kardynał ma jakąś słabość do tych ludzi, czego ja pojąć nie mogę.

— Doprawdy?

— Tak.

— Rocheforcie, powiedz mu tylko to: w oberży pod „Czerwonym gołębnikiem" ci czterej rozmowę naszą wysłuchali; powiedz mu, że, po jego odjeździe, jeden z nich wszedł do mnie i wydarł mi przemocą list bezpieczeństwa, który od kardynała dostałam; powiedz, że kazał uprzedzić lorda de Winter o wylądowaniu mojem w Portsmouth; że ledwie nie obrócili w niwecz całej sprawy mojej, jak to uczynili ze sprawą zapinek djamentowych; powiedz, że z pomiędzy czterech dwóch tylko należy się obawiać: d'Artagnana i Athosa; trzeci Aramis, jest kochankiem pani de Chevreuse: temu trzeba życie darować, znamy jego tajemnicę, więc może być użytecznym; co się tyczy czwartego, Porthosa, to słaba głowa, zarozumiały i głupi, nie warto się nim zajmować.

— Skądże się tu wzięli wszyscy czterej, bo powinni być w tej chwili pod Roszellą?

— I ja tak myślałam, lecz list, który pani Bonacieux odebrała od Konetablowej i który — była na tyle niemądra — dała mi do przeczytania, przekonał mnie, że są wszyscy w drodze do klasztoru, aby ją porwać.

— Co tu począć, u djabła?

— Cóż ci kardynał polecił co do mnie?

— Kazał zabrać depesze piśmienne lub ustne, wracać pocztą jak najśpieszniej, a skoro się dowie, czego dokazałaś, osądzi, co masz dalej robić.

— Więc ja mam tu pozostać?

— Tutaj, lub gdziekolwiek w tych stronach.

— Czy nie możesz zabrać mnie z sobą?

— Nie; mam rozkaz wyraźny; w okolicy obozu poznanoby ciebie, a to, jak pojmujesz, kompromitowałoby kardynała.

— Będę zatem oczekiwała na dalsze rozkazy tutaj, lub gdzieś niedaleko.

— Powiedz mi tylko, gdzie się obrócisz, ażebym mógł cię znaleźć.

— Prawdopodobnie tu nie będę mogła pozostać. Czy zapomniałeś, że wrogi moje przybędą wkrótce?

— A! to prawda! lecz w takim razie ta mała kupcowa, wymknie się Jego Eminencji.

— Ba! — rzekła milady z uśmiechem, sobie właściwym — pamiętaj, że jestem najlepszą jej przyjaciółką…

— Prawda; mogę zatem powiedzieć kardynałowi, że co do tej kobiety…

— Niech będzie spokojny.

— Nic więcej?…

— Zrozumie on, co to znaczy.

— Domyśli się, że… A teraz, co ja mam zrobić?…

— Wracać jak najprędzej; sądzę, że wiadomości, jakie wieziesz, warte są pośpiechu.

— Mój powóz zepsuł się, gdy wjeżdżałam do Lilliers.

— A to przewybornie!…

— Dlaczegóż?…

— Potrzebuję twojego powozu.

— A jakże ja pojadę?…

— Konno, mój panie.

— Dobrze ci mówić; sto mil przeszło.

— Cóż to wielkiego?

— Ma się rozumieć, że pojadę. A potem?

— Potem, przejeżdżając przez Lilliers, odeślesz mi powóz i rozkażesz służącemu, aby mi był posłuszny.

— Dobrze.

— Masz zapewne przy sobie jakieś pismo od kardynała?

— Mam pełnomocnictwo.

— Pokażesz je przełożonej i dodasz, że przyślesz po mnie dziś albo jutro i że powinnam się udać z osobą, przybywającą w twojem imieniu.

— Dobrze, rozumiem.

— Wyrażaj się ostro do przełożonej, mówiąc o mnie.

— A toż znów po co?

— Jestem przecie ofiarą, prześladowaną przez kardynała. Muszę zyskać zaufanie pani Bonacieux.

— Masz rację. Napisz mi tylko raport dokładny o twoich czynnościach.

— Opowiedziałam ci wszystko; pamięć masz doskonałą, powtórz, coś usłyszał; papier możesz zgubić.

— Masz rację, jak zawsze, chcę tylko wiedzieć, gdzie cię odnaleźć, żeby napróżno w okolicy nie szukać.

— To prawda, poczekajno…

— Może chcesz mapy?

— O, znam te strony doskonałe.

— Byłaś już tutaj kiedy?

— Tu się wychowałam.

— Będziesz zatem oczekiwała?

— Zaraz, zaraz, pomyślę trochę… a!… otóż mam w Armentières.

— Co to jest Armentières?

— Małe miasteczko nad rzeką Lys; w razie czego przeprawię się tylko za rzekę i jestem już zagranicą.

— Ale chyba tylko w razie niebezpieczeństwa?…

— Ma się rozumieć…

— A wtedy, jak się dowiem, gdzie jesteś?…

— Czy tobie lokaj potrzebny?…

— Nie.

— A czy to pewny człowiek.

— Wypróbowany.

— Zostaw mi go; nie zna go tu nikt, pozostanie w miejscu, skąd się oddalę i doprowadzi cię tam, gdzie będę.

— Mówisz zatem, że oczekiwać będziesz w Armentières? Napisz mi to na kawałku papieru, gdyż boję się zapomnieć; przecie nazwa miasteczka nie może cię skompromitować, wszak prawda?

— Kto wie?... lecz mniejsza o to — rzekła milady, pisząc na półarkuszu papieru — kompromituję się...

— Dobrze — rzekł Rochefort, biorąc papier, któryzłożył i schował w kapelusz — chociażbym go zgubił, zrobię, jak dzieci mają zwyczaj robić: będę powtarzał przez całą drogę: Armentières. Czy to wszystko?

— Tak sądzę.

— Zastanówmy się: Buckingham nie żyje, lub ranny śmiertelnie; rozmowa twoja z kardynałem podsłuchana przez czterech muszkieterów; lord de Winter zawiadomiony o twojem przybyciu do Portsmouth; d'Artagnana i Athosa zamknąć w Bastylji; Aramis kochankiem pani de Chevreuse; Porthos głupiec; pani Bonacieux odnaleziona; przysłać ci powóz jaknajspieszniej; mojego lokaja zostawić do twego rozporządzenia; zrobić z ciebie ofiarę kardynała, aby przełożona nie powzięła jakich podejrzeń; Armentières nad rzeką Lys. Czy wszystko?

— Doprawdy, kochany hrabio, cudowną masz pamięć. Ale, ale, dodaj jedno jeszcze...

— Co takiego?...

— Zauważyłem prześliczny lasek, dotykający ogrodu klasztornego; powiedz, że wolno mi po nim spacerować, kto wie? może będę zmuszona wyjść tylnemi drzwiami?

— Myślisz o wszystkiem.

— A ty zapominasz o jednej rzeczy...

— O czem?

— Nie pytasz, czy mam pieniądze.

— Ile żądasz?...

— Wszystko, co masz przy sobie.

— Mam około pięciuset pistolów.

— Ja posiadam tyleż; z tysiącem pistolów można wiele dokonać; dalej, wypróżnij kieszenie.

— Oto masz...

— Dziękuję. A ty odjeżdżasz?

— Za godzinę, zjem tymczasem cokolwiek.

— Wybornie… Adieu, hrabio!

— Adieu, hrabino.

— Poleć mnie względom kardynała.

— A ty mnie łasce szatana.

W godzinę potem Rochefort pędził co koń wyskoczy; w pięć godzin mijał Arras. Czytelnicy wiedzą już, jak go d'Artagnan poznał i jak z tego powodu obawy muszkieterów wzrosły i dodały im podniety do dalszej podróży.

Rozdział XXXVI. Kropla, przepełniająca czarę

Zaledwie Rochefort wyszedł, pani Bonacieux wbiegła i zastała milady rozpromienioną.

— No cóż — odezwała się — stało się, czegoś się obawiała? dziś wieczorem lub jutro kardynał przyśle po ciebie?

— Kto ci o tem powiedział, moje dziecię?… — zapytała milady.

— Słyszałam z własnych ust tego pana.

— Usiądź tu przy mnie — rzekła milady.

— Już jestem.

— Poczekaj, przekonam się, czy nas kto nie podsłuchuje.

— Na co te wszystkie ostrożności?

— Dowiesz się zaraz.

Milady poszła, otworzyła drzwi, wyjrzała na korytarz, poczem dopiero wróciła i usiadła obok pani Bonacieux.

— Zatem — rzekła — dobrze swoją rolę odegrał?

— Kto taki?

— Ten rzekomy wysłannik kardynała.

— Więc on grał tylko rolę?

— Tak, moje dziecię.

— Więc ten człowiek?…

— Jest moim bratem — rzekła milady, zniżając głos.

— Twoim bratem?… — krzyknęła pani Bonacieux.

— Tobie jednej powierzam tę tajemnicę, moja droga; jeżeli powiesz o niej komukolwiek, zgubisz mnie bezpowrotnie, a może i siebie w dodatku.

— O! mój Boże!

— Powiem ci zaraz, co znaczy to wszystko: brat mój, jadąc tutaj, żeby mnie zabrać gwałtem, jeśliby tego było potrzeba, spotkał w drodze wysłańca kardynała (który także po mnie dążył), i jechał ciągle za nim. Aż nareszcie w miejscu jakiemś pustem i odludnem dobył szpady i zażądał od niego papierów, w jakie był opatrzony; ten chciał się bronić... brat mój go zabił.

— To okropne — rzekła pani Bonacieux, drżąc cała.

— W ten sposób jedynie mógł zdobyć papiery... Zabrał pismo kardynalskie, przedstawił się tutaj, jako przysłany od niego, a teraz za parę godzin najdalej przyśle ekwipaż po mnie, niby z polecenia Jego Eminencji.

— Rozumiem, ten powóz będzie od brata twojego.

— Tak, ale to nie wszystko jeszcze: czy sądzisz, że list który otrzymałaś, pisała pani de Chevreuse....

— Więc co?

— Jest on podrobiony.

— Jakto?

— Nie od niej on pochodzi: to zasadzka, żebyś nie stawiała oporu, gdy przyjdą po ciebie...

— Przecież to d'Artagnan przyjdzie?

— Nie wierz temu; d'Artagnan i jego przyjaciele są pod Roszellą, nie wolno im wyjeżdżać z obozu.

— Skąd wiesz o tem?

— Brat spotkał emisarjuszów kardynalskich w przebraniu muszkieterów. Zamierzali wywołać cię do bramy; porwaliby cię i odstawili z powrotem do Paryża.

— O, mój Boże! tracę zmysły w tym chaosie... Czuję, że gdyby tak dłużej potrwało, rozumbym straciła.

— Czekajno...

— Co takiego?

— Słyszę stuk kopyt końskich...

Milady otworzyła okno i skinęła na panią Bonacieux, aby się zbliżyła. Młoda kobieta podeszła ku niej.

Rochefort właśnie przejeżdżał.

— Adieu, braciszku — zawołała milady.

Jeździec podniósł głowę, zobaczył obydwie kobiety i nie zatrzymując konia, ukłonił się z galanterją.

— Poczciwy Jerzy!... — powiedziała milady, zamykając okno, a twarz jej wyrażała smutek i przywiązanie.

— Kochana moja — odezwała się pani Bonacieux — przebacz, że ci przerywam! lecz, na miłość Boską, poradź, co mam robić? Masz więcej doświadczenia, mów!

— Najpierw — odparła milady — może się mylę, może d'Artagnan wraz z przyjaciółmi rzeczywiście przybędą cię oswobodzić.

— O!... to za wielkie szczęście dla mnie!

— W takim razie byłaby to kwestja czasu jedynie, rodzaj wyścigów, kto pierw tu przybędzie. Jeżeli twoi przyjaciele, jesteś uratowana, jeżeli zaś zausznicy kardynała, pojmujesz, żeś zgubiona.

— O tak, zgubiona bez ratunku? Co robić tedy, co robić?

— Znalazłby się sposób bardzo prosty...

— Jaki, powiedz mi?

— Czekać ukryta w tych stronach i w ten sposób przekonać się, co za jedni przybędą tu upominać się o ciebie.

— Ale gdzie czekać?

— Nic łatwiejszego; ja sama myślę ukryć się o jakie kilka mil stąd i czekać, aż brat przyjedzie... Wiesz co! zabiorę cię z sobą... razem się ukryjemy i razem będziemy oczekiwać...

— Mnie stąd nie wypuszczą, jestem prawie, jak w więzieniu.

— Ponieważ przypuszczają, iż wyjeżdżam z rozkazu kardynała, nie pomyślą, że masz ochotę iść ze mną.

— Więc cóż mam zrobić?

— Ot tak: powóz stanie przed bramą, będziesz się niby ze mną żegnała i wejdziesz na stopień, by mnie uścisnąć raz ostatni; służący mego brata będzie już uprzedzony, da znak pocztyljonowi i ruszymy galopem...

— A jeżeli d'Artagnan przyjedzie?

— Czyż nie dowiemy się o tem?

— W jaki sposób?

— Bardzo prosty. Odeślemy służącego do Bethune, zamieszka naprzeciw klasztoru: jeżeli zobaczy wysłańców kardynała, nie ruszy się z miejsca, jeżeli d'Artagnan i jego towarzyszy, przyprowadzi ich do nas.

— O! tak, tak, masz rację; wszystko będzie dobrze, jak najlepiej, lecz nie oddalajmy się bardzo od klasztoru.

— O jakie kilka mil najwyżej; osiądziemy przy granicy, a na wypadek trwogi, uciekniemy z Francji.

— A teraz co robić?

— Zrób jedną rzecz…

— Jaką?

— Powiedz tej poczciwej przełożonej, że pragniesz ze mną razem jadać, abyśmy jak najwięcej były z sobą…

— O! bardzo dobrze!… w ten sposób będziemy ciągle razem.

— Idź zaraz i poproś… ja czuję się zmęczona.

— Idź, najdroższa, a gdzie się znów spotkamy?

— W tym pokoju, za godzinę.

— Tutaj, za godzinę?… o! jakaś ty dobra, jak ja ci jestem wdzięczna.

— Jakżebym mogła nie zajmować się tobą? gdybyś nawet nie była piękna i miła, czyż nie jesteś kochana przez jednego z moich najlepszych przyjaciół?

— D'Artagnan ci za mnie podziękuje.

— I ja się tego spodziewam. A teraz, kiedy wszystko ułożone, żegnam cię…

Młode kobiety rozstały się z uśmiechem na ustach.

Milady prawdę powiedziała, czuła się zmęczona, głowa jej ciążyła; nie zdołała jeszcze uporządkować zamiarów i stąd w umyśle jej powstało zamieszanie.

Odczuwała potrzebę samotności. Nie widziała jasno przeszłości, lecz wystarczało jej trochę ciszy i spokoju, aby projekty niewyraźne nabrały formy stanowczej.

Najpilniejsze było, jak na teraz, porwanie pani Bonacieux i trzymanie w miejscu bezpiecznem, a dopiero w razie potrzeby gwałtownej użycie jej, jako zakładniczki. Milady zaczynała obawiać się wyniku strasznego pojedynku, w którym z jednej strony wchodziła w grę wytrwałość jej wrogów, z drugiej osobista jej nienawiść i zawziętość.

W dodatku przeczuwała tak, jak przeczuwa się burzę nadchodzącą, że koniec jest bliski, a będzie przerażający.

Najważniejsze dla niej, jak to już powiedzieliśmy, było posiadać w swej mocy panią Bonacieux, a tem samem i życie d'Artagnana. Więcej to znaczyło nawet, niż jego życie, bo było to życie kobiety, przez niego ukochanej. Był to jedyny środek, w razie niepowodzenia, do otrzymania dobrych warunków ugody.

Postanowiła zatem, że panią Bonacieux, nic nie podejrzewającą, zabierze z sobą, ukryje w Armentiéres, a tam łatwo ją przekona, iż d'Artagnan wcale do Bethune nie przybył.

Za dwa tygodnie najdalej Rochefort powróci; przez dwa tygodnie zatem rozmyślać będzie, w jaki sposób zemścić się nad nienawistnymi jej muszkieterami. Nie znudzi się wcale, dzięki Bogu, będzie miała najmilsze zajęcie, jakietylko mieć może kobieta z jej charakterem, to jest: przeżuwanie zemsty. Marząc tak, przypatrywała się położeniu ogrodu i rozkład jego starała się zapamiętać.

Milady, jak dobry generał, obliczała naprzód szanse zwycięstwa, jak i porażki, chcąc mieć pewność tak w razie ataku, jak i odwrotu.

Po upływie godziny usłyszała głos słodki; to pani Bonacieux ją przywołała. Dobra przełożona przystała na wszystko i zaraz na początek miały jeść razem kolację. Gdy weszły w podwórze, powóz jakiś stanął przed bramą.

Milady zatrzymała się.

— Czy słyszysz?... — zapytała.

— Słyszę turkot powozu.

— To mój brat przysyła po nas.

— O mój Boże!

— Odwagi, kochanko!...

Dzwonek odezwał się u bramy klasztornej.

— Idź do twego pokoju — powiedziała do pani Bonacieux — masz pewnie jakie kosztowności, którebyś zabrać pragnęła.

— Mam listy od niego.

— No to idź, zabierz je i wracaj do mnie, zjemy trochę naprędce; wypadnie nam może późno w noc jechać, trzeba się zatem posilić.

— Boże wielki!... — rzekła pani Bonacieux, kładąc rękę na piersiach — serce mi tak bije, nie mogę się z miejsca ruszyć.

— Bądź mężna, pomyśl, że za kwadrans będziesz wolna, pomyśl, że wszystko to dla niego robisz.

— O! tak, wszystko dla niego. Tem jednem słowem wróciłaś mi odwagę; idź już, przyjdę za chwilę do ciebie!..

Milady pobiegła do siebie, zastała już lokaja Rocheforta i powiedziała mu, co ma robić.

Czekać miał przy bramie; gdyby wypadkiem muszkieterowie nadjechali, powóz powinien zmykać coprędzej, objechać dokoła klasztor i czekać na milady w małej wiosce po drugiej stronie lasku. W takim razie milady przejdzie lasek piechotą i dotrze do wioski. Powiedzieliśmy już, że milady znała wybornie te okolice Francji.

Jeżeli zaś muszkieterowie nie nadjadą, wszystko stanie się według ułożonego planu, pani Bonacieux wejdzie do powozu i milady uwiezie ją w ten sposób.

Pani Bonacieux wróciła. Milady, ażeby nie wzbudzić w niej podejrzeń, powtórzyła służącemu ostatnie instrukcje.

Zadała kilka pytań o stan ekwipażu: był to powóz zaprzężony w trzy dzielne konie z pocztyljonem na koźle; lokaj Rocheforta pojedzie przodem w roli kurjera.

Niesłusznie milady obawiała się podejrzeń pani Bonacieux; biedna kobiecina zanadto była czysta i prawa, by posądzać mogła kogo o przewrotność, w dodatku nazwisko lady de Winter, słyszane od przełożonej, obce jej było zupełnie i nie przypuszczała, aby ta kobieta mogła kiedykolwiek wywierać wpływ na jej życie.

— Wszystko już gotowe — rzekła milady, po odejściu lokaja. — Przełożona nie domyśla się niczego i wierzy, że przyjechano po mnie z woli kardynała. Służący poszedł wydać ostateczne rozkazy; zjedz cokolwiek, wypij trochę wina i jedźmy już.

— Tak — rzekła pani Bonacieux machinalnie — tak, jedźmy już...

Milady posadziła ją przy stole, nalała kieliszek wina hiszpańskiego i podsunęła kawałek kurczęcia.

— Widzisz, jak nam okoliczności sprzyjają: noc oto zapada; o świtaniu będziemy już w naszem schronieniu; nikt nie domyśli się nawet, gdzie jesteśmy. No, no, otrząśnij się z apatji, zjedz cokolwiek.

Pani Bonacieux zjadła parę kawałków i umoczyła usta w kieliszku.

— Dalej, kochanko — rzekła milady, biorąc kieliszek — zrób tak, jak ja...

Lecz, gdy miała dotknąć ustami, ręka jej zatrzymała się nieruchomo: doleciał ją z oddalenia odgłos zbliżającego się orszaku, a jednocześnie słychać było rżenie koni.

Odgłos ten spłoszył jej radość tak, jak szum burzy spędza z powiek sen rozkoszny; zbladła i pobiegła do okna, gdy pani Bonacieux powstała drżąca i aby nie upaść, trzymała się krzesła. Nic nie było widać, tylko odgłos kopyt końskich stawał się coraz wyraźniejszy.

— O! mój Boże!... — rzekła pani Bonacieux — co znaczy ta wrzawa?

— Przybywają obrońcy nasi lub nieprzyjaciele — odparła milady z okrutną zimną krwią — zostań, gdzie jesteś, a ja ci powiem, co zobaczę...

Pani Bonacieux stała milcząca, nieruchoma, jak posąg.

Wrzawa stawała się coraz głośniejsza, orszak znajdował się o jakie sto pięćdziesiąt kroków najwyżej; widać go nie było tylko z powodu zakrętu drogi.

Coraz jednak wyraźniej tętent dolatywał, można było prawie poznać ilość koni, po odgłosie podków na drodze.

Milady wytężała wzrok z całej siły.

Nagle na skręcie drogi ujrzała kapelusze, błyszczące od galonów i pióropusze, z wiatrem igrające; najpierw dwóch... potem pięciu, nareszcie ośmiu jeźdźców narachowała... Jeden z nich pędził przodem na długość dwóch koni...

Milady jęknęła głucho. W jeźdźcu poznała d'Artagnana.

— O! Boże mój!... — zawołała pani Bonacieux — co tam zobaczyłaś?

— Mundury straży kardynalskiej; nie mamy ani chwili do stracenia — krzyknęła milady. — Uciekajmy! uciekajmy!

— Tak, tak, uciekajmy!... — powtórzyła pani Bonacieux, nie mogąc kroku postąpić, bo przykuta była do miejsca przerażeniem.

Jeźdźcy właśnie przejeżdżali pod oknem. Milady próbowała wziąć ją na ręce i wynieść, lecz nie mogła poradzić.

Usłyszała turkot powozu, umykającego za ukazaniem się muszkieterów; następnie rozległo się kilka strzałów.

— Ostatni raz cię wzywam, czy pójdziesz ze mną?... — krzyknęła milady.

— O! mój Boże! mój Boże! widzisz przecie, że nie mam siły; widzisz, że nie mogę na nogach się utrzymać... uciekaj sama!...

— Uciekać sama? ciebie zostawić? nie, nie, nigdy! — wołała milady.

Naraz wyprostowała się, groźny ogień zabłysnął w jej oczach; pobiegła do stołu i wpuściła w szklankę pani Bonacieux zawartość pierścienia, który otworzyła szybko.

Było to ziarnko czerwone, które rozpuściło się natychmiast.

Ujęła szklankę ręką pewną:

— Wypij — rzekła — to wino sił ci doda; wypij prędko.

Przytknęła szklankę do ust młodej kobiety, a ta wypiła bez oporu.

— A! nie tak pragnęłam się zemścić — rzekła miladyz uśmiechem szatańskim, stawiając szklankę na stole — lecz, na honor! trzeba robić, co można...

Po tych słowach uciekła z pokoju.

Pani Bonacieux patrzała, nie mogąc już iść za nią; było z nią jak z tymi, którzy śnią, że ich ścigają, a oni napróżno wysilają się, aby powstać na nogi.

Tak przeszło kilka minut, wrzawa okrutna przysuwała się do drzwi; pani Bonacieux czekała na powrót milady.

Kilka razy, z trwogi zapewne, pot zimny zlewał jej czoło pałające.

Nareszcie usłyszała zgrzyt kraty żelaznej, rozmowa głośna coraz się zbliżała i pewna była, że słyszy imię swoje powtarzane. Krzyknęła radośnie i do drzwi się rzuciła, poznała bowiem głos kochanka.

— D'Artagnan! d'Artagnan! — wołała — czy to ty jesteś? Tutaj, chodź tutaj!

— Konstancjo! Konstancjo — odpowiedział młodzieniec — gdzie jesteś? na Boga!

W tejże chwili drzwi celi rozwarły się raptownie; kilku mężczyzn wbiegło do pokoju; pani Bonacieux upadła na fotel, prawie nieprzytomna.

D'Artagnan cisnął na ziemię pistolet, dymiący jeszcze, i rzucił się na kolana przed ukochaną; Athos swój za pas założył, a Porthos i Aramis chowali szpady do pochew.

— O! d'Artagnan! mój najdroższy! przybyłeś nakoniec, nie zawiodłeś mnie, ty wierny mój przyjacielu.

— Tak, tak, Konstancjo, jesteśmy już razem!...

— O! ona ciągle mówiła, że nie przyjedziesz, ja jednak nie traciłem nadziei, nie chciałam uciekać: o! jak dobrze zrobiłam, jak jestem szczęśliwa!

Na ten wyraz ona, Athos, który siedział spokojnie, zerwał się na nogi.

— Ona? co za ona? — zapytał d'Artagnan.

— Moja towarzyszka, która z przyjaźni chciała mnie uchronić od prześladowania; ta sama która wzięła was za straż kardynalską i właśnie tylko co uciekła...

— Twoja towarzyszka! — zawołał d'Artagnan, blednąc, jak płótno — o jakiej towarzyszce mówisz?

— O tej, której powóz stał przed bramą, która mówiła, że jest twoją przyjaciółką i że zwierzyłeś się jej ze wszystkiego.

— Jak ona się nazywa? — wołał d'Artagnan! na Boga! czy znasz jej nazwisko?

— O! wiem, słyszałem, jak o niej mówiono, czekaj... to dziwne... o mój Boże!... ciemno mi przed oczami...

— Do mnie przyjaciele! do mnie! ręce jej lodowacieją — zawołał d'Artagnan — mdleje, wielki Boże, straciła przytomność!...

Podczas gdy Porthos z całych sił wołał o pomoc, Aramis podbiegł do stołu po szklankę wody; zatrzymał się jednak; widząc straszną zmianę na twarzy Athosa, który, stojąc obok stołu, z włosem najeżonym, błędnym wzrokiem patrzył w jedną ze szklanek i zdawał się być pod wpływem podejrzeń okrutnych.

— O! — mówił Athos — nie, to niepodobna! Bóg niedopuściłby do podobnej zbrodni.

— Wody! wody! — krzyczał d'Artagnan.

— Nieszczęśliwa kobieta! — szepnął Athos.

Pani Bonacieux otworzyła oczy, wilgotne od pocałunków d‘Artagnana.

— Przychodzi do siebie! — zawołał młodzieniec. — Dzięki ci: Boże!

— Pani — odezwał się Athos — pani, na imię Boskie, powiedz, kto pił z tej szklanki?

— Ja, panie… — odpowiedziała głosem gasnącym.

— Kto wino nalewał?

— Ona.

— Co za ona?

— A!… przypominam sobie, hrabina de Winter…

Czterech muszkieterów krzyknęło jednocześnie, lecz Athos najgłośniej. W chwili tej właśnie twarz pani Bonacieux stała się blada i przejrzysta, boleści straszne porwały ją… upadła na ręce Porthosa i Aramisa. D‘Artagnan w rozpaczy nieopisanej porwał za rękę Athosa.

— Jakto? — rzekł — przypuszczasz… — łkanie głos mu zatamowało.

— Wszystkiego się spodziewam — odparł Athos, przygryzając do krwi usta, by nie jęknąć.

— D‘Artagnan! d‘Artagnan!… — zawołała pani Bonacieux — gdzie jesteś? widzisz, że umieram!…

D‘Artagnan opuścił rękę Athosa i podbiegł do niej. Sliczna twarzyczka młodej kobiety pokryła się trupią bladością, oczy, jak szklane, patrzały, nie widząc, drżenie konwulsyjne wstrząsnęło ciałem, pot kroplisty wystąpił na czoło.

— Na miłość Boską, biegnijcie, wołajcie ludzi. Porthos! gdy ona poda komu trucizny, niema już lekarstwa…

— Ratujcie! ratujcie!… — szeptała pani Bonacieux.

Poczem, zebrawszy ostatnie siły, ujęła w dłonie głowę młodzieńca, popatrzyła w oczy, jak gdyby duszę oddać mu pragnęła i, płacząc, przycisnęła usta do ust jego.

— Konstancjo! droga Konstancjo!… — wołał d‘Artagnan.

Lekkie westchnienie poczuł na ustach… to dusza Konstancji, czysta i kochająca, powracała do nieba…

D‘Artagnan już tylko trupa trzymał w objęciach…

Nareszcie krzyknął przeraźliwie i padł na ziemię sztywny i blady, równie jak jego ukochana! Porthos płakał; Aramis pięścią niebu wygrażał, Athos się przeżegnał.

W tej chwili właśnie mężczyzna jakiś stanął we drzwiach, tak blady prawie, jak wszyscy zgromadzeni w pokoju. Potoczył okiem dokoła; ujrzał panią Bonacieux

nieżywą, a d‘Artagnana zemdlonego. Trafił na chwilę osłupienia, następującą po wielkich katastrofach.

— Nie omyliłem się — powiedział — oto pan d‘Artagnan i jego trzej przyjaciele, panowie: Athos, Porthos i Aramis!

Przyjaciele patrzeli na nieznajomego, zdziwieni; wszystkim trzem zdawało się, że go znają.

— Panowie — ciągnął nowoprzybyły — poszukujecie również, jak ja, kobiety, która — dodał z uśmiechem gorzkim — była tu z pewnością, bo widzę oto ślady jej przejścia…

Trzej przyjaciele oniemieli; głos i twarz nieznajomego budziły w nich niejasne wspomnienia.

— Panowie — mówił dalej — ponieważ nie chcecie poznać człowieka, który wam podwakroć życie zawdzięcza, zmuszony jestem dopomóc waszej pamięci: jestem lord de Winter, szwagier owej kobiety…

Athos wstał i podał mu rękę.

— Witaj, milordzie — powiedział — domyślam się, że z nami trzymasz…

— Wyruszyłem w pięć godzin po niej z Portsmouth — odparł lord de Winter — przybyłem do Boulogne zapóźno; w Saint-Omer pięć minut tylko chybiłem; nakoniec w Lilliers ślad jej straciłem. Szukałem wszędzie w okolicy, pytałem napotkanych w drodze; widziałem was, pędzących galopem, poznałem pana d‘Artagnan… Wołałem na was, nie odpowiedzieliście; chciałem was dopędzić. lecz koń mój zmęczony ustawał. Pomimo pośpiechu, przybyliście jednak zapóźno.

— Przypatrz się, milordzie — rzekł Athos wskazując panią Bonacieux nieżywą i d‘Artagnana, którego Porthos i Aramis starali się ocucić.

— Czy oboje nie żyją? — zapytał chłodno lord de Winter.

— Nie, na szczęście — odrzekł Athos — pan d‘Artagnan zemdlał jedynie.

— A! tem lepiej — rzekł de Winter.

— D‘Artagnan otworzył oczy, wyrwał się z rąk Porthosa i Aramisa, jak szalony, rzucił się na ciało kochanki.

Athos powstał i krokiem uroczystym podszedł do przyjaciela; uścisnął czule zanoszącego się od płaczu i rzekł głosem poważnym a serdecznym.

— Przyjacielu, bądź mężny: kobiety opłakują umarłych, mężczyźni mszczą się za nich…

— O!… tak — rzekł d‘Artagnan — jeżeli idzie o pomszczenie śmierci tego anioła, gotów jestem pójść z tobą!

Athos skorzystał z chwili odwagi, jaką nadzieja zemsty natchnęła nieszczęśliwego młodzieńca i skinął na Porthosa i Aramisa, aby poszli po przełożoną.

Spotkali ją na korytarzu, wzruszoną i wylękłą wobec tylu wypadków niespodzianych; przywołała kilka zakonnic. które, wzbrew regule klasztornej, znalazły się w obecności aż pięciu mężczyzn odrazu.

— Szanowna pani! — przemówił Athos, biorąc d'Artagnana pod rękę, — twoim staraniom polecamy zwłoki tej nieszczęśliwej kobiety. Była aniołem na ziemi, a teraz jest pewnie aniołem w niebie. Pochowaj ją pani, jak siostrę klasztorną; wrócimy kiedyś pomodlić się na jej grobie.

D'Artagnan ukrył twarz na piersiach przyjaciela i wybuchnął płaczem.

— Płacz — rzekł Athos — płacz!... serce pełne miłości, ognia i życia! Niestety, jakżebym pragnął móc tak, jak ty zapłakać!

I wyprowadził przyjaciela, czuły, jak ojciec, pocieszający, jak duchowny, a wielki jak człowiek, który dużo w życiu wycierpiał.

Poszli w pięciu wszyscy do miasta Bethune, aż zatrzymali się przed pierwszą napotkaną oberżą.

— Czy nie udamy się w pogoń za tym potworem? — zapytał d'Artagnan.

— Później — odparł Athos — muszę jeszcze załatwić niektóre sprawy.

— Jeżeli się nam wymknie — przerwał młodzieniec — to z twojej winy jedynie...

— Odpowiadam za nią — rzekł Athos.

Tak wielka była wiara d'Artagnana w słowa przyjaciela, że opuścił głowę i, nic nie mówiąc, udał się za nim do oberży.

Porthos i Aramis spojrzeli na siebie, nie rozumiejąc tej pewności Athosa. Lord de Winter sądził, że mówi on tak, aby ulżyć boleści d'Artagnana.

— A teraz, panowie — rzekł znów Athos, gdy go zapewniono, iż jest w oberży pięć wolnych pokojów — rozejdźmy się; d'Artagnan potrzebuje samotności, aby się wypłakać i przespać. Ja biorę na siebie odpowiedzialność za wszystko, bądźcie zatem spokojni.

— Zdaje mi się jednak — przemówił lord de Winter — jeżeli mamy wystąpić przeciw hrabinie, do mnie to należy: jest ona bowiem moją bratową.

— Mnie bardziej to dotyczy, — rzekł Athos — bo ona jest moją żoną...

D'Artagnan uśmiechnął się, poznał, że Athos pewny jest zemsty, kiedy wyjawił tajemnicę swoję.

Porthos i Aramis spojrzeli na siebie, bladzi z przerażenia.

Lord de Winter zaś myślał, że Athos zmysły postradał.

— Idźcie, panowie, do siebie — rzekł Athos — a mnie działać pozwólcie. Widzicie teraz, że, jako mąż, mam do tego prawo niezaprzeczone. D'Artagnan, jeżeli nie zgubiłeś, oddaj mi papier, który wypadł z kapelusza owemu jeźdźcowi; na nim wypisana jest nazwa wioski...

— A!... — zawołał d'Artagnan — rozumiem — nazwa wypisana jej ręką.

— Poznajesz teraz — rzekł Athos — że jest Bóg w niebie!

Rozdział XXXVII. Człowiek w czerwonym płaszczu

Gniew i wściekłość Athosa przybrały charakter łagodniejszy, znamionujący w całym blasku zdolności umysłowe tego człowieka, zaprawdę wyższego.

Pochłonięty cały ważnością uczynionej obietnicy i przyjętej odpowiedzialności, ostatni poszedł do swego pokoju. Poprosił gospodarza o mapę prowincji, w której się znajdowali, i oglądał ją szczegółowo. Przekonawszy się, że cztery drogi prowadzą z Bethune do Armentières, przywołał czterech pachołków.

Planchet, Grimaud, Mousqueton i Bazin stawili się natychmiast i otrzymali polecenia jasne i szczegółowe.

Mieli wyjechać nazajutrz przededniem i udać się do Armentières, każdy inną drogą. Planchet, jako najsprytniejszy, powinien był jechać tą, którą udał się powóz.

Athos wziął do pomocy lokajów, ponieważ ci nie wzbudzają takich podejrzeń jak panowie, i znajdują więcej sympatji u tych, których się wypytują.

Co więcej, milady znała muszkieterów, a nie widziała nigdy pachołków, a przeciwnie oni znali ją doskonale.

Wszyscy czterej powinni byli zjechać się razem w Armentières o jedenastej rano; jeżeliby odkryli schronienie milady, trzech pozostanie, by jej pilnować, czwarty powróci i zaprowadzi czterech przyjaciół na miejsce.

Po wyjściu służących Athos wstał i wyszedł; była już dziesiąta; widocznie poszukiwał kogoś, aby o coś zapytać. Podszedł do zapóźnionego przechodnia i kilka słów powiedział; zapytany cofnął się, przerażony, nic nie odpowiedział, tylko ręką wskazał. Athos dawał mu pół pistola, żeby szedł z nim, lecz odmówił.

Athos zapuścił się w wskazaną ulicę, doszedł do placu i znów się zatrzymał. Ponieważ tutaj spodziewał się spotkać kogoś, czekał zatem. Rzeczywiście, po chwili

zjawił się jakiś człowiek. Athos powtórzył pytanie, lecz tak samo i tutaj trafił na upór: nie chciał mu towarzyszyć zapytany, ograniczył się tylko do wskazania ręką.

Szedł zatem w kierunku wskazanym i znalazł się na przedmieściu, położonem z przeciwnej strony, niż ta, którą wjechali do miasta. Tu znów nie wiedział, dokąd się udać.

Na szczęście spotkał żebraka, któremu obiecał talara. Żebrak na widok monety zdecydował się pójść.

Gdy doszli do skrętu ulicy, wskazał mu w oddaleniu domostwo opuszczone; Athos udał się w tamtą stronę, a żebrak wziął jałmużnę i uciekł, jak mógł najprędzej.

Muszkieter okrążył dom kilka razy, zanim odszukał drzwi, pomalowane na czerwono równie jak cały budynek. Ciemno było, cisza grobowa panowała w mieszkaniu.

Zapukał do drzwi. Usłyszał szmer niewyraźny, uchylono je i mężczyzna wysoki, blady, z czarnym zarostem, stanął na progu. Zamienili kilka słów po cichu i mężczyzna dał znak, że Athos wejść może. Muszkieter skorzystał z pozwolenia.

Człowiek, którego Athos tak długo i z takim trudem poszukiwał, wprowadził go do swego laboratorjum, gdzie właśnie zajęty był składaniem i umocowywaniem żelaznym drutem kości szkieletu.

Korpus był już gotowy: głowa jedynie leżała na stole.

Otoczenie wskazywało, że gospodarz domu uprawia nauki przyrodnicze: były tam słoje z wężami, jaszczurki wysuszone, pęki ziół, dziko rosnących, wonnych zapełniały kąty pokoju. Człowiek ten żył samotnie w domku opuszczonym.

Na zaproszenie gospodarza Athos usiadł obok niego.

Wtedy wyjaśnił mu, jakiej usługi wymaga; lecz nieznajomy cofnął się ze wstrętem i odmówił stanowczo. Athos dobył kawałek papieru, na którym było nakreślone parę słów, u spodu zaś podpis i wielka pieczęć.

Nieznajomy, przeczytawszy pismo, zobaczył podpis i pieczęć, skłonił się na znak, że gotów jest do posłuszeństwa.

Athos podniósł się, ukłonił i wyszedł. O świcie przyszedł doń d'Artagnan z zapytaniem, co robić.

— Czekać — odpowiedział Athos.

Niedługo przełożona klasztoru przysłała z zawiadomieniem, że pogrzeb odbędzie się w południe. O trucicielce nic nie wiedziano; musiała jednak uciekać przez ogród,

rozpoznano bowiem ślady na piasku, furtkę ogrodową znaleziono zamkniętą, a klucz od niej widać zabrała.

W godzinie oznaczonej lord de Winter i czterech muszkieterów, udali się do klasztoru: wszystkie dzwony były w ruchu, kaplica otwarta, a kraty zamknięte.

Pośrodku chóru wystawiono zwłoki ofiary, przybrane w strój nowicjuszki. Po bokach chóru, poza kratami, zebrały się zakonnice i, nic widząc nikogo, i same niewidziane, łączyły śpiew swój ze śpiewem księży.

U progu kaplicy d'Artagnan zachwiał się i obrócił, szukając wzrokiem Athosa, lecz Athos znikł bez śladu.

Wierny swej myśli przewodniej, kazał się on zaprowadzić do ogrodu i, idąc za lekkiemi śladami na piasku dotarł do furtki, prowadzącej do lasku, kazał ją otworzyć i zapuścił się w gęstwinę. Wtedy potwierdziły się jego przypuszczenia: powóz tędy przejeżdżał.

Athos szedł jakiś czas z wzrokiem, w ziemię utkwionym; od czasu do czasu napotykał plamy krwawe, jakie zapewne pochodziły albo z rany, zadanej człowiekowi, poprzedzającemu powóz, lub może który z koni otrzymał ranę od strzału muszkieterów. Po trzech kwadransach takiej drogi, o pięćdziesiąt kroków od Festubert, napotkał dużą plamę krwi i grunt, stratowany kopytami końskiemi. Pomiędzy laskiem tym i kawałkiem ziemi znów ukazywały się ślady nóg kobiecych, powóz zatem tutaj się zatrzymał.

Tutaj więc milady wyszła z lasu i wsiadła do powozu.

Zadowolony z odkrycia, potwierdzającego podejrzenia, Athos powrócił do oberży, gdzie oczekiwał już Planchet.

Wszystko stało się, według przepowiedni Athosa.

Planchet jechał tą samą drogą, widział plamy krwawe i poznał także miejsce, gdzie konie stanęły.

Lecz dotarł dalej, niż Athos, bo do wioski Festubert i, pijąc tam w oberży, bez pytania, dowiedział się, że dnia poprzedniego o wpół do dziewiątej rano człowiek jakiś, towarzyszący damie, jadącej powozem pocztowym, zmuszony był zatrzymać się tamże, nie będąc w stanie jechaćdalej. Opowiadał on, że złodzieje napadli ich w lesie, przyczem został raniony. Dama zmieniła konie na poczcie i pojechała dalej. Planchet odszukał pocztyljona i dowiedział się, że tenże odwiózł damę do Fromelles, skąd udała się do Armentières. Planchet pojechał bliższą drogą i o siódmej rano był także w Armentières.

Była jedna tylko oberża za stacją pocztową. Planchet udał się tam, jako lokaj, szukający służby. Rozgadał się z ludźmi miejscowymi i dowiedział się, że jakaś pani przybyła sama jedna o jedenastej wieczorem, wzięła pokój w oberży, kazała przywołać gospodarza i oświadczyła, że pragnie zamieszkać jakiś czas tutaj.

Planchet nie dopytywał się więcej. Pobiegł na miejsce umówione, zastał trzech pachołków na czatach, kazał im pilnować wszystkich drzwi oberży, a sam udał się do Athosa, któremu właśnie kończył zdawać relację, gdy przyjaciele jego powrócili. Smutni byli i zamyśleni, nawet słodka twarz Aramisa chmurą się pokryła.

— Co teraz będziemy czynić?... — zapytał d'Artagnan.

— Czekać — odpowiedział Athos.

Bez odpowiedzi zawrócili i poszli, każdy do siebie.

O ósmej wieczorem Athos rozkazał konie posiodłać i uprzedzić lorda de Winter i przyjaciół swoich, że powinni gotować się do wyprawy.

Za chwilę wszyscy pięciu stanęli pod bronią. Obejrzeli ponabijali muszkiety. Athos wyszedł ostatni.

— Cierpliwości!... — rzekł — brakuje jeszcze kogoś.

Wszyscy obejrzeli się dokoła, nie mogąc poznać, kogoby im brakowało. Athos wskoczył na siodło.

— Czekajcie na mnie — powiedział — zaraz powrócę.

I ruszył z kopyta. Za kwadrans powrócił w towarzystwie mężczyzny z maską na twarzy, owiniętego w ogromny czerwony płaszcz.

Lord Winter i trzech muszkieterów spoglądali po sobie. Żaden z nich nie mógł objaśnić drugiemu, bo żaden nie wiedział kim jest ten mężczyzna. Pomyśleli jednak, że tak być powinno, skoro Athos tak postanowił.

O dziewiątej udali się drogą, którą powóz przejeżdżał.

Straszny był widok tych sześciu ludzi, pędzących w milczeniu, pogrążonych w rozmyślaniach, jak rozpacz, cichych, jak przeznaczenie, nieubłaganych.

Rozdział XXXVIII. Wyrok

Noc była ciemna i burzliwa, horyzont okrył się chmurami, ani jedna gwiazdka nie widniała.

Przejechali w ciszy wioskę Festubert, a gdy przybyli do Herlier, Planchet, dowodzący orszakiem, zawrócił na prawo. Lord de Winter, Porthos i Aramis, próbowali zawiązać

rozmowę z mężczyzną w płaszczu czerwonym, lecz ten na zapytania pochylał jeno głowę z szacunkiem i milczał.

Domyślili się nasi podróżni, iż nieznajomy miał powód zachowywać incognito i przestali go zaczepiać.

Ruszyli cwałem. Niedaleko za Fromelles burza wybuchła z wściekłością; okryli się płaszczami i ostatnie trzy mile przebyli podczas najstraszniejszej ulewy.

D'Artagnan zdjął kapelusz i płaszcz zrzucił; przyjemność mu sprawiała woda, spływająca po czole gorącem i po całem ciele, wstrząsanem dreszczem gorączkowym.

Gdy mijali Goscal i zawracali do poczty, człowiek jakiś wystąpił z cienia drzew i z palcem na ustach stanął na środku drogi. Athos poznał Grimauda.

— Co słychać? — krzyknął d'Artagnan — czyżby uciekła z Armentières?

Grimaud kiwnął głową. D'Artagnan zgrzytnął zębami.

— Cicho d'Artagnanie — przemówił Athos — ja wziąłem wszystko na siebie, do mnie należy wybadać Grimauda.

— Gdzież ona jest? — zapytał.

Grimaud wyciągnął rękę w kierunku rzeki Lys.

— Daleko stąd?

Grimaud podniósł palec wskazujący, napół zgięty.

— Sama?...

Grimaud znów kiwnął głową.

— Panowie!... — rzekł Athos — ona jest sama, stąd o pół mili, w stronie, gdzie rzeka płynie.

— Prowadź nas, Grimaud — odezwał się d'Artagnan.

Grimaud poszedł przodem. Po pięciu minutach natrafili na strumień i wpław go przebyli.

— Czy tam?.. — zapytał Athos.

Grimaud pokręcił głową przecząco.

— Cicho zatem! — rzekł Athos.

Pojechali dalej. Znów błyskawica rozdarła chmury; Grimaud wskazał ręką mały, odosobniony domek o sto kroków od przewozu. Świeciło się w jednem oknie.

— Jesteśmy u celu — rzekł Athos.

W tej chwil podniósł się z rowu cień jakiś, to Mousqueton: wskazywał ręką okno oświetlone.

— Ona jest tam — powiedział.

— Gdzie Bazin? — zapytał Athos.

— Gdy ja strzegę okna, on drzwi pilnuje.

— Dobrze — rzekł Athos — wierni z was słudzy.

Zeskoczył z konia, oddał lejce Grimaudowi; postąpił do okna, reszcie kazał drzwi otoczyć.

Żywopłot, na kilka stóp wysoki, okalał domostwo; Athos go przeskoczył i stanął pod oknem bez okiennic.

Przy świetle lampy widać było kobietę, otuloną szarym płaszczem, siedzącą na stołku przy ogniu dogasającym: łokcie oparła na brudnym stole, a głowę ukryła w dłoniach. białych jak kość słoniowa.

W tejże chwili koń zarżał... milady podniosła głowę, zobaczyła bladą twarz w szybie okna i krzyknęła!...

Athos, widząc, że jest poznany, pchnął okno kolanem, aż szyby posypały się po ziemi, i jak duch zemsty, stanął w izbie. Milady do drzwi się rzuciła; bledszy i groźniejszy jeszcze, niż Athos, d'Artagnan stał już na progu.

Milady cofnęła się z okrzykiem.

D'Artagnan, sądząc, że chce uciekać, i bojąc się, aby znów nie uszła, wyjął pistolet; Athos go powstrzymał.

— Schowaj broń — rzekł — trzeba osądzić tę kobietę, a nie zamordować. Chwilkę cierpliwości, d'Artagnanie, a będziesz zadowolony. Panowie, wejdźcie, proszę.

Wszedł lord de Winter, Porthos, Aramis i człowiek w płaszczu czerwonym. Czterech pachołków strzegło drzwii okna. Milady padła na krzesło, z rękoma, jakby odegnać chciała marę straszną. Poznała szwagra i krzyknęła przeraźliwie.

— Czego żądacie?... — zawołała.

— Żądamy — rzekł Athos — Karoliny Backson, która najpierw nosiła nazwisko hrabiny de La Fere, następnie lady de Winter, baronowej Scheffield.

— To ja nią jestem — mruknęła wylękła — czego chcecie odemnie?...

— Pragniemy osądzić cię, według zbrodni twoich — rzekł Athos — wolno ci bronić się i uniewinnić, jeżeli potrafisz. Panie d'Artagnan, wystąp najpierwszy, jako oskarżyciel.

D'Artagnan wysunął się naprzód.

— W obliczu Boga i ludzi — powiedział — oskarżam tę kobietę, iż otruła Konstancję Bonacieux, zmarłą wczoraj wieczorem.

Obrócił się do Porthosa i Aramisa.

— Świadczymy — odezwali się razem muszkieterowie.

D‘Artagnan mówił dalej.

— W obliczu Boga i ludzi oskarżam tę kobietę o zamiar otrucia mnie samego winem, przysłanem z Villeroi, wraz z listem fałszywym, jakoby pochodziło od moich przyjaciół, a winem tem otruł się człowiek, nazwiskiem Brisemont.

— Świadczymy — rzekli jednym głosem Porthos i Aramis.

— W obliczu Boga i ludzi oskarżam tę kobietę, że namawiała mnie do zabicia barona de Wardes, a ponieważ nie mam na to świadka, osobiście zaświadczam. Skończyłem.

D‘Artagnan odszedł na bok z Porthosem i Aramisem.

— Na ciebie kolej, milordzie!... — rzekł Athos.

Baron stanął na środku pokoju.

— Przed Bogiem i ludźmi — rzekł — oskarżam tę kobietę o zamordowanie księcia Buckinghama.

— Książę Buckingham zamordowany?... — krzyknęli jednym głosem zgromadzeni.

— Tak — odpowiedział baron — zamordowany!... Odebrałem wasze ostrzeżenie, kazałem zatrzymać tę kobietę i oddałem pod straż wiernego sługi... Obałamuciła tego człowieka, włożyła mu sztylet do ręki, kazała zabić księcia — w tej chwili może i Felton płaci głową za zbrodnię tej furji piekielnej.

Sędziowie oniemieli, słysząc o zbrodniach, nieznanych im jeszcze.

— To nie wszystko — ciągnął lord de Winter — brat mój, który ją uczynił spadkobierczynią swoją, umarł nagle na dziwną chorobę, po jakiej na całem ciele zostają plamy sine. Siostro, powiedz, skutkiem czego mąż twój umarł?

— Okropność!... — zawołali Porthos i Aramis.

— Zabójczyni Buckinghama, zabójczyni Feltona, zabójczyni brata mojego, żądam sprawiedliwości nad tobą i oświadczam, jeżeli mi jej nie wymierzą, sam tego dokonam.

Lord de Winter stanął obok d‘Artagnana, Ustępując miejsca innemu oskarżycielowi.

Milady opuściła głowę na ręce i starała się zebrać rozpierzchłe myśli.

— Na mnie teraz kolej — odezwał się Athos, drżąc, jak lew drży na widok węża jadowitego. — Pojąłem za żonę tę kobietę, gdy była młodą dziewczyną, wziąłem ją pomimo woli całej mojej rodziny; otoczyłem dostatkiem, dałem moje nazwisko; aż pewnego dnia przekonałem się, że jest piętnowaną; ta kobieta ma wypalony kwiat lilji na lewem ramieniu!

— O!... — zawołała milady, powstając — gdzie jest trybunał, co wydał wyrok nikczemny, gdzie człowiek, który go wykonał?... nie znajdziecie jednego ani drugiego!

— Milcz! — odezwał się głos jakiś — ja na to odpowiem!

I człowiek w czerwonym płaszczu zbliżył się także.

— Kto ty jesteś?... kto ty jesteś?.. — krzyknęła milady, skamieniała ze strachu, a włosy na głowie powstały jej, jak żywe.

Wszyscy spojrzeli na tego człowieka, nikt go nie znał, prócz Athosa, który także ze zdziwieniem patrzył, nie przypuszczając, że i ten należy do sprawy, jaką właśnie sądzili. Nieznajomy stanął naprzeciw milady i zdjął maskę z twarzy. Milady patrzyła czas jakiś z wzrastającą trwogą na twarz bladą, okoloną czarnym zarostem, na twarz obojętną i zimną, jak kamień; naraz zawołała, podnosząc się i cofając do ściany:

— O!... nie, nie, to widmo piekielne!... to nie on!... Ratunku! ratunku! — krzyczała głosem dzikim, odwracając się, jakby przez ścianę uciec pragnęła.

— Kat miasta Lille! — zawołała milady, czepiając się rękami muru, aby nie paść na ziemię.

Wszyscy ustąpili na stronę, człowiek w płaszczu czerwonym sam został na środku izby.

— Łaski!... łaski!... przebaczenia — krzyczała nędznica, padając na kolana.

Nieznajomy czekał, aż się uciszy.

— Powiedziałem panom, że mnie poznała!... — zaczął — tak, jestem katem miasta Lille, a oto moja historia:

— Ta kobieta była swego czasu młodą dziewczyną, równie piękną, jak obecnie. Była zakonnicą w klasztorze Benedyktynek w Templemar. Młody ksiądz z sercem niewinnem i pełnem wiary, sprawował służbę kapelana klasztornego; postanowiła zbałamucić go i dokonała swego... o!... onaby świętego uwiodła...

„Oboje wykonali śluby święte, nieodwołalne; stosunek ich zatem nie mógł trwać długo, a odkryty, mógł ich zgubić. Wymogła na nim, że uciekną w dalekie strony; do wykonania zamiaru, do przeniesienia się w inną część Francji, potrzeba było pieniędzy. Ksiądz skradł kielichy złote i posprzedawał; a gdy już wszystko przygotowali do ucieczki, wyśledzono ich i wpakowano do więzienia oboje.

W tydzień potem uwiodła syna dozorcy i wydostała się na wolność. Księdza skazano na dziesięć lat w kajdany i na piętnowanie. Byłem katem miasta Lilie, jak powiedziała już ta kobieta, i musiałem piętnować winnego... a ten nieszczęśliwy... był moim bratem!...

Przysiągłem wtedy, że ta, co go zgubiła, spólniczka, co go do zbrodni popchnęła, otrzyma taką samą karę...

Nie wiedziałem, gdzie się ukryła, lecz ścigałem ją, pochwyciłem, związałem i wypaliłem na ramieniu znak upadlający, tak, jak bratu mojemu…

Powróciwszy do Lille, dowiedziałem się, że brat mój umknął także, a mnie posądzono o wspólnictwo i zamknięto w więzieniu, dopóki się on nie znajdzie.

Nieszczęśliwy brat nie wiedział nic o wyroku; połączył się z kochanką, uciekli razem do Berry, a tam otrzymał małe probostwo… Ona uchodziła za jego siostrę…

Właściciel dóbr, gdzie było probostwo, ujrzał tę niby siostrę, zakochał się i zapragnął ją poślubić. Wtedy ona porzuciła przez siebie zgubionego, dla drugiego, którego zgubić miała… i została hrabiną de La Fère."

Wszyscy spojrzeli na Athosa, który właśnie tak się nazywał, a on dał znak, że to, co kat mówi, prawdą jest rzetelną.

— „Brat mój — ciągnął tenże — oszalały z rozpaczy, postanowił skończyć życie, odarte przez nią ze czci i szczęścia. Powrócił do Lille, a, dowiedziawszy się, że mnie skazano za niego oddał się sam w ręce sprawiedliwości i tegoż wieczora powiesił się w więzieniu.

Oto zbrodnia, o jaką ją oskarżam, oto przyczyna, dla której jest piętnowana".

— Panie d'Artagnan — rzekł Athos — jakiej kary żądasz dla tej kobiety?

— Kary śmierci — odparł d'Artagnan.

— Milordzie de Winter — ciągnął Athos — jakiej kary żądasz dla tej kobiety?

— Kary śmierci.

— Panowie Portbos i Aramis, wy, którzy jesteście sędziami, jaką jej karę przeznaczacie?

— Karę śmierci — wyrzekli obydwaj głosem grobowym.

Athos wyciągnął ku niej rękę.

— Karolino Backson, hrabino de La Fère, milady de Winter, zbrodnie twoje znużyły ludzi na ziemi i Boga w niebie. Módl się, jeżeli potrafisz, albowiem skazana jesteś i umrzesz…

Na te słowa. nie pozostawiające żadnej nadziei, milady powstała i chciała mówić, lecz siły ją opuściły. Poczuła silną rękę chwytającą ją za włosy i ciągnącą nieubłaganie, jak przeznaczenie: nie próbowała się opierać i wyszła, popychana przez kata.

Lord de Winter, d'Artagnan, Athos, Porthos i Aramis podążyli za nimi. Pachołkowie poszli za śladem panów, a izba została pusta, z oknem wybitem, z drzwiami, naoścież otwartemi i z lampą kopcącą na stole.

Rozdział XXXIX. Śmierć milady

Północ była prawie, księżyc poszczerbiony i krwawy po burzy minionej, wschodził poza miasteczkiem Armentières i oświecał ponuro domy i czarną sylwetkę dzwonnicy ze szczytem przejrzystym.

Nawprost rzeka Lys toczyła wody, a światło księżyca barwiło je kolorem miedzi roztopionej. Poza rzeką las odwieczny sięgał konarami obłoków i tworzył z niemi całość ponurą.

Na lewo majaczył młyn opustoszały, w którego ruinach puszczyk odzywał się złowrogo.

Przy drodze rosły rzadkie drzewa, niskie i nieforemne i wydawały się, jak karły złośliwe, czyhające na podróżnych i w tej godzinie duchów.

Od czasu do czasu horyzont oświecała błyskawica, to znów wąż ognisty, jak miecz olbrzymi, przecinał chmury, las czarny i wodę.

Powietrze duszne, bez wiatru, prawie przygniatało; dokoła cisza grobowa, droga oślizgła po deszczu, i zioła, wydające zapach odurzający.

Dwóch służących prowadziło milady, trzymając ją pod ręce, kat szedł tuż za nią, a lord de Winter, d'Artagnan, Athos, Porthos i Aramis postępowali za katem.

Planchet i Bazin szli na ostatku. Prowadzono milady w stronę rzeki. Usta miała zamknięte, lecz oczy mówiły z nieopisaną wymową, błagając, każdego, co na nią spojrzał.

W pewnej chwili przemówiła cicho do pachołków.

— Tysiąc pistolów dla każdego z was za ułatwienie ucieczki, jeżeli zaś oddacie mnie waszym panom, to pamiętajcie!... mam niedaleko mścicieli, którzy drogo każą zapłacić za moją śmierć.

Grimaud zawahał się. Mousqueton drżał cały.

Athos posłyszał głos milady, przysunął się szybko, lord de Winter uczynił to samo.

— Odpędź tych ludzi — powiedział — mówiła do nich, nie można im ufać.

Przywołano Plancheta i Bazina, na miejsce Grimauda i Mousquetona.

Nad brzegiem rzeki kat przystąpił i związał milady ręce i nogi.

Wtedy wybuchnęła krzycząc:

— Podli! nędzni zbóje!... znęcacie się nad kobietą bezbronną; strzeżcie się, chociaż mi pomoc doraźna nie nadejdzie, będę jednak pomszczona...

— Tyś nie kobieta — rzekł Athos chłodno nie należysz do rodzaju ludzkiego, tyś szatan, zbiegły z piekła, którego wyprawimy tam, skąd przyszedł.

— O! wy cnotliwi!... — odparła milady — pamiętajcie! każdy, który dotknie jednego włosa z mej głowy, będzie także mordercą.

— Kat ma prawo zabijać, nie stając się przez to mordercą — rzekł człowiek w płaszczu czerwonym, uderzając ręką po mieczu — jest tylko ostatnim sędzią: „Nachrichter", jak powiadają Niemcy, nasi sąsiedzi.

A ponieważ mówiąc to, krępował ją, milady krzyknęła po kilkakroć dzikim głosem, który rozległ się ponuro dokoła i zginął w głębi lasu.

— Jeżelim winna, jeżeli spełniłam zbrodnie zarzucane ryczała milady — prowadźcie mnie przed trybunał, nie macie prawa sądzić i potępiać!

— Proponowałem Tyburn — rzekł lord de Winter — czemuż nie chciałaś?

— Bo nie chcę umierać!... — ryknęła, szarpiąc się — bo za młoda jestem na to!...

— Ta, którą otrułaś w Bethune, młodsza była, a jednak umarła — odezwał się d'Artagnan.

— Wstąpię do klasztoru!... zostanę zakonnicą — rzekła milady.

— Byłaś w klasztorze — przerwał kat — i wyszłaś z niego na zgubę mojego brata.

Milady jęknęła przeraźliwie i padła na kolana.

Kat wziął ją pod ręce i chciał zanieść do łodzi.

— O Boże mój!... — zawołała — Boże mój! Więc chcesz mnie utopić?

Krzyczała tak rozdzierająco, że d'Artagnan, najzawziętszy z początku, nie mógł już słuchać; usiadł na pniu suchym: zatkał uszy rękami, a jednak słyszał wciąż skargi i groźby.

Znać było zaraz, że d'Artagnan jest najmłodszy...

— O! nie mogę patrzeć na te okropności — mówił — nie mogę pozwolić, aby kobieta skończyła w ten sposób!

Milady usłyszała i nadzieja w nią wstąpiła.

— D'Artagnan! d'Artagnan! — zawołała — wspomnij, że cię kochałam!

Młodzieniec powstał i podszedł ku niej.

Athos dobył szpady i zastąpił mu drogę.

— Jeśli krok jeden postąpisz, skrzyżujemy szpady.

D'Artagnan padł na kolana i modlił się.

— No dalej — mówił Athos — panie kacie, czyń swoją powinność.

— Z chęcią, panie łaskawy — odparł kat — albowiem przysięgam, jakem prawowierny katolik, tak mam przekonanie, że jestem sprawiedliwy, spełniając wyrok na tej kobiecie.

— To dobrze.

Athos zbliżył się do milady.

— Przebaczam ci — rzekł — wszystko złe, jakieś mi wyrządziła; przebaczam przyszłość złamaną, honor stracony, miłość splamioną i zbawienie, którego nie dostąpię z powodu rozpaczy, w jakąś mnie pogrążyła. Umieraj w pokoju.

Lord de Winter przystąpił.

— Przebaczam ci — powiedział — otrucie brata, zabójstwo księcia Buckinghama; przebaczam śmierć nieszczęśliwego Feltona i wszystkie zamachy na moją osobę. Umieraj w pokoju.

— A ja — rzekł d'Artagnan — proszę, przebacz pani, że przez zarozumiałość i podejście, niegodne szlachcica, wywołałem twoją zawziętość; ja w zamian przebaczam ci śmierć ukochanej i okrutną zemstę nade mną, przebaczam i płaczę nad tobą... Umieraj w pokoju.

— I am lost!... — mruknęła milady po angielsku. — I must die.

Stanęła o własnych siłach, wyprostowała się patrzyła dokoła płomiennym wzrokiem.

Nic nie ujrzała.

Nadstawiła uszu... — nic nie usłyszała.

Otoczona była wrogami jedynie.

— Gdzież mam umrzeć?... — zapytała.

— Po drugiej stronie rzeki — odpowiedział kat.

Wprowadził ją do łodzi i sam miał wsiadać, gdy Athos podał mu woreczek i z pieniędzmi.

— Weź pan — rzekł — to zapłata za czynność twoją; niech wiedzą wszyscy, że postępujemy, jak należy.

— Dziękuję — odpowiedział kat — a teraz, niech pozna zbrodniarka, że nie rzemiosło moje, lecz spełniam powinność świętą.

I cisnął pieniądze w głąb rzeki. Łódka sunęła wolno, oświecona bladym obłoczkiem. Widać było, jak do brzegu przybiła; dwie postacie rysowały się czarno na tle horyzontu.

Milady podczas przeprawy zdołała rozwiązać powróz, krępujący nogi dopłynąwszy do brzegu, wyskoczyła z łódki i poczęła biec szybko.

Grunt rozmiękły utrudniał ucieczkę, poślizgnęła się i padła na kolana. Straciła odwagę; pojęła nakoniec, że niebo odmawia jej pomocy.

Ujrzano wtedy z przeciwnego brzegu kata, podnoszącego ręce powoli; blask księżyca odbił się w ostrzu miecza szerokiego… ręce opadły… nastąpił zgrzyt stali i krzyk ofiary… potem tułów bez głowy osunął się na ziemię. Kat zdjął i rozpostarł płaszcz swój czerwony, złożył na nim ciało, dorzucił głowę, związał mocno. wziął na plecy i wsiadł do łodzi. Na środku rzeki stanął i, unosząc w górę ciężar, zawołał:

— Spełniła się sprawiedliwość Boska!…

Poczem cisnął trupa w nurty Lys.

W trzy dni potem czterech muszkieterów wróciło do Paryża; nie przedłużyli urlopu wcale i tego samego wieczora poszli złożyć wizytę panu de Tréville.

— No cóż, kochani panowie — pytał zacny dowódca — czy udała się wycieczka, dobrzeście się zabawili?

— Wyśmienicie!… — odpowiedział Athos za siebie i za swoich przyjaciół.

Rozdział XL. Zakończenie

Dnia 6-go następnego miesiąca, król, wierny obietnicy, danej kardynałowi, wracał z Paryża do Roszelli, odurzony wieścią o zamordowaniu księcia Buckinghama.

Królowa, chociaż uprzedzona, że człowiekowi przez nią ukochanemu grozi niebezpieczeństwo, gdy doniesiono jej o zgonie jego, zawołała niebacznie:

— To fałsz! przecież pisał do mnie!

Nazajutrz musiała uwierzyć strasznej nowinie; Laporte, jak wszyscy, zatrzymany w Anglji z rozkazu Karola I-go, przybył nareszcie i doręczył królowej ostatni smutny upominek od Buckinghama.

Radość króla była wielka; nie ukrywał jej wcale wobec królowej. Ludwik XIII-ty, jak wszyscy ludzie słabego charakteru, nie odznaczał się szlachetnością ani delikatnością uczuć. Przeczuwał, że za powrotem do obozu popadnie znów w niewolę kardynała; a jednak powracał.

Dlatego też orszak królewski smutno wyglądał.

Czterej nasi przyjaciele jechali obok siebie, milczący, z głowami pospuszczanemi.

Athos tylko niekiedy prostował się, oczy mu świeciły, a gorzki uśmiech zjawiał się na ustach, lecz za chwilę, podobnie jak przyjaciele, wpadał w głęboką zadumę.

Gdy przybyli do jakiegokolwiek miasta i odprowadzili króla do przygotowanego mieszkania, usuwali się do kwatery lub do oberży i szeptali tylko pomiędzy sobą.

Pewnego dnia, gdy zostali tak w oberży przydrożnej, mężczyzna jakiś, jadący konno od Roszeni, stanął przed karczmą dla wypicia szklanki wina i spojrzał do wnętrza izby, gdzie przy stole siedzieli muszkieterowie.

— Hola! panie d'Artagnan — zawołał — czy to ciebie tam widzę?

D'Artagnan podniósł głowę i aż krzyknął z radości.

Człowiek, którego nazywał duchem swym prześladowczym, nieznajomy z Meung i z ulicy Grabarzy z Arras wołał na niego. Dobył szpady i do drzwi się rzucił.

Tym razem zamiast uciekać, nieznajomy zsiadł z konia i postąpił na spotkanie d'Artagnana.

— A! panie — rzekł młodzieniec — mam cię nareszcie, nie ujdziesz mi teraz.

— Nie mam wcale tego zamiaru, bo właśnie pana poszukuję; w imieniu króla, aresztuję cię!... Proszę oddać mi szpadę, uprzedzam, że chodzi tu o głowę pańską.

— Któż pan jesteś? — zapytał d'Artagnan, zniżając broń, lecz nie myśląc oddawać.

— Jestem kawaler de Rochefort — odpowiedział nieznajomy — koniuszy kardynała de Richelieu, i mam rozkaz odprowadzić pana do Jego Eminencji.

— Powracamy właśnie do Jego Eminencji — rzekł Athos, zbliżając się — można zatem zaufać panu d'Artagnan na słowo, iż uda się prosto do Roszelli.

— Mam rozkaz odstawić go pod strażą do obozu.

— My sami pilnować go będziemy, mój panie, pod słowem honoru; ale dajemy również szlacheckie słowo, że pana d'Artagnan samego nie puścimy.

Rochefort rzucił okiem w głąb izby, widział, że Porthos i Aramis stanęli przy drzwiach; był na łasce muszkieterów.

— Panowie! — odezwał się — jeżeli pan d'Artagnan odda szpadę i zaręczy słowem honoru, zadowolę się przyrzeczeniem panów, iż go odprowadzicie do kwatery kardynała.

— Masz pan moje słowo — rzekł d'Artagnan — a w dodatku oddaję szpadę.

— Lepiej to nawet dla mnie — dorzucił Rochefort — ponieważ muszę dalej jechać.

— Jeżeli do milady — odezwał się Athos — to na próżno, nie znajdziesz jej pan...

— Cóż się z nią stało? — zapytał żywo Rochefort.

— Wróć pan do obozu, dowiesz się tam o wszystkiem.

Rochefort po namyśle postanowił usłuchać rady Athosa i zawrócił wraz z nimi. Ruszono więc w drogę.

Nazajutrz o trzeciej po południu stanęli w Surgères.

Kardynał oczekiwał tu Ludwika XIII-go.

Minister i król przesadzali się w czułościach, winszowali sobie szczęśliwego wypadku, jaki uwolnił Francję od wroga zajadłego, buntującego przeciw niej całą Europę. Poczem kardynał, uprzedzony przez Rocheforta o aresztowaniu d'Artagnana i, pragnąc zobaczyć się z nim corychlej, pożegnał króla, zapraszając, by obejrzał tamę morską, tylko co ukończoną.

Powróciwszy wieczorem do kwatery przy moście Kamiennym, kardynał zastał przy drzwiach d'Artagnana, bez broni i trzech muszkieterów uzbrojonych. Tym razem, ponieważ siłę miał po swej stronie, spojrzał na nich groźnie i dał znak ręką, by d'Artagnan udał się za nim.

— Czekamy na ciebie — odezwał się Athos, tak, by go kardynał usłyszał.

Eminencja zmarszczył brwi, przystanął na chwilę, nareszcie poszedł, słowa nie wyrzekłszy. D'Artagnan poszedł za nim, przyjaciele pilnowali drzwi. Kardynał wszedł do gabinetu i skinął na Rocheforta, aby d'Artagnana wyprowadził.

Rochefort uczynił, według rozkazu, poczem się oddalił.

D'Artagnan został sam na sam z kardynałem; poraz drugi stawał przed Richelieu, a sądził, że po raz ostatni.

Richelieu stał wsparty o kominek, stolik go tylko przedzielał od młodzieńca.

— Wiedz o tem, mój panie — powiedział — że z mego rozkazu zostałeś aresztowany.

— Tak mi powiedziano, Eminencjo.

— Czy wiesz za co?

— Nie, Eminencjo, ponieważ jedyna rzecz, za którą mogłoby to nastąpić, nie jest wiadomą jeszcze Waszej Eminencji.

Richelieu spojrzał bacznie na młodego człowieka.

— Hola! — zawołał — co to ma znaczyć?

— Jeżeli, Eminencjo, raczysz mnie oświecić, jakie zbrodnie mi zarzucają, powiem następnie, czego dokonałem.

— Zarzucają ci zbrodnie, jakie zgubiły wyżej od ciebie postawionych, mój panie!

— Jakież to, Eminencjo? — zapytał d'Artagnan ze spokojem, wprawiającym w podziw nawet kardynała.

— Zarzucają ci, żeś korespondował z wrogami ojczyzny, podchwyciłeś tajemnice stanu, że starałeś się pokrzyżować plany dowódcy.

— Któż mi to zarzuca, Eminencjo? — rzekł d'Artagnan, który pewny był, że oskarżenie wyszło od milady — czy kobieta, piętnowana i sądzona kryminalnie, mająca jednego męża we Francji, drugiego w Anglji, kobieta, która otruła tego drugiego i mnie samego chciała otruć?...

— Co to znaczy? — krzyknął kardynał — o jakiej kobiecie mówisz?

— O milady de Winter, — odparł d'Artagnan — o której zbrodniach Wasza Eminencja nie wiedziałeś bezwątpienia, kiedyś ją zaszczycał swojem zaufaniem.

— Jeżeli jest ona zbrodniarką, zostanie ukarana.

— To już zrobione, Eminencjo.

— Kto ją ukarał?

— My...

— Czy uwięziona jest?

— Nie żyje....

— Nie żyje?... — powtórzył kardynał, nie mogąc dać temu wiary, — czyś ty powiedział, że ona nie żyje?

— Potrzykroć na moje życie nastawała, przebaczałem jej, wkońcu zabiła kobietę, którą kochałem!... Wtedy ja i moi przyjaciele pojmaliśmy ją, osądzili i ukarali.

D'Artagnan opisał otrucie pani Bonacieux w klaszorze Karmelitek w Bethune, sąd, jaki nad milady uczynili i egzekucję na brzegu rzeki Lys. Kardynał niełatwo czem się przerażał, zadrżał jednakże.

Lecz naraz, pod wpływem jakby myśli tajemnej, oblicze Jego Eminencji, groźne dotąd, rozjaśniło się i przybrało wyraz pogodny.

— A zatem — rzekł głosem łagodnyn, niestosownym do słów ostrych, jakie wypowiadał — przybraliście rolę sędziów, zapominając, że ci, co nie posiadając prawa, karę wymierzają, równają się zabójcom.

— Eminencjo, przysięgam, iż nie myślę bronić głowy mojej. Poniosę karę, jaką mi Wasza łaskawość przeznaczy. Nie dbam o życie, a zatem śmierci się nie boję.

— Wiem o tem, jesteś człowiekiem odważnym — rzekł kardynał prawie z uczuciem — mogę ci zatem oznajmić, że będziesz sądzony, a nawet skazany...

— Kto inny odpowiedziałby, że ma w kieszeni ułaskawienie, ja zaś powiem jedynie: rozkazuj Eminencjo, przygotowany jestem na wszystko.

— Masz ułaskawienie?

— Tak, Eminencjo.

— Z czyim podpisem? z królewskim? — Ostatnie słowa wymówił kardynał z pogardą.

— Z podpisem Waszej Eminencji.

— Z moim? zwarjowałeś chyba, mój panie!

— Wasza łaskawość pozna zapewne pismo swoje.

D'Artagnan podał kardynałowi papier drogocenny, wydarty milady przez Athosa i dany przyjacielowi, aby mu za tarczę służył.

Eminencja wziął papier i czytał wolno i dobitnie

„Z mojego rozkazu posiadacz tego papieru uczynił to, co uczynił.

W obozie pod Roszellą, 5 sierpnia 1628 r.

Richelieu".

Po przeczytaniu kardynał popadł w zadumę.

— Rozmyśla, jaki rodzaj śmierci wybrać dla mnie mówił d'Artagnan — otóż, na honor!... zobaczy, jak umiera prawdziwy szlachcic.

Richelieu rozmyślał ciągle i obracał papier w ręce.

Nakoniec podniósł głowę, wlepił wzrok orli w tę twarz uczciwą, otwartą i rozumną, wyczytał w rysach, łzami pooranych, cierpienia, jakie znosił od miesiąca i pomyślał po raz trzeci, a może i czwarty, że to dziecko dwudziestojednoletnie długą ma przyszłość przed sobą, a przedsiębiorczość jego, odwaga i rozum, pod dobrym kierunkiem, dużo mogą przynieść korzyści.

Z drugiej znów strony zbrodnie, chęć panowania i spryt piekielny milady przerażały go już nieraz... Uczuwał radość z pozbycia się wspólniczki tak niebezpiecznej.

Podarł powoli papier, który mu d'Artagnan oddał z takiem zaufaniem.

— Oho! zginąłem!... — myślał młodzieniec. Pochylił się nisko przed kardynałem, jak człowiek, który mówi:

„Dziej się wola Twoja, Panie."

Richelieu podszedł do stołu i, nie siadając, napisał kilka wierszy na pergaminie, w dwóch trzecich już zapisanym i położył swoją pieczęć.

— To wyrok na mnie — pomyślał d'Artagnan — oszczędza mi nudów w Bastylji i procesu rozwlekłego. Bardzo to grzecznie z jego strony.

— Zabrałem list bezpieczeństwa — odezwał się kardynał — lecz daję ci natomiast inny... Brakuje nazwiska w tym dyplomie, sam je musisz dopisać.

D‘Artagnan wziął papier nieśmiało i spojrzał. Była to nominacja na namiestnika w kompanji muszkieterów.

— Ekscelencjo!... — zawołał, padając do nóg kardynałowi — życie moje do ciebie należy, rozporządzaj niem podług woli... nie zasłużyłem na łaskę, jaką mi wyświadczasz: posiadam trzech przyjaciół zasłużeńszych, godniejszych...

— Zacny z ciebie chłopak, d‘Artagnanie — przerwał kardynał, klepiąc go po ramieniu, uszczęśliwiony, że zwalczył nareszcie naturę niesforną. — Zrób z dyplomem, co ci się podoba. Pamiętaj jednak, że chociaż nazwisko nie wymienione, ja tobie go daję.

— Nie zapomnę nigdy!... — odparł d‘Artagnan. — Wasza łaskawość może być pewny....

Kardynał odwrócił się i zawołał:

— Rochefort!

Hrabia musiał być tuż, bo wszedł natychmiast.

— Rochefort — mówił kardynał — oto pan d‘Artagnan, którego zaliczam odtąd do przyjaciół moich. Podajcie sobie ręce i żyjcie w zgodzie, jeżeli wam życie miłe.

Rochefort i d‘Artagnan pocałowali się końcem ust; kardynał mierzył ich okiem badawczem. Wyszli jednocześnie.

— Spotkamy się jeszcze, prawda, mój panie?

— Kiedy tylko pan zechcesz — rzekł d‘Artagnan.

— Znajdzie się sposobność — dodał Rochefort.

— Co mówicie?.. — zawołał za nimi kardynał.

Rochefort i d‘Artagnan uśmiechnęli się do siebie, ścisnęli za ręce i pokłonili Jego Eminencji.

— Zaczynaliśmy się już niecierpliwić — rzekł Athos, gdy d‘Artagnan powrócił.

— Otóż jestem, drodzy przyjaciele!... — odparł d‘Artagnan — nietylko wolny, lecz nawet w łaskach...

— Opowiesz nam wszystko?

— Dziś wieczorem.

O zmroku d‘Artagnan udał się do Athosa, którego zastał wypróżniającego butelkę wina hiszpańskiego, co religijnie spełniał każdego wieczora. Opowiedział mu, co zaszło pomiędzy nim i kardynałem.

— Masz, kochany Athosie — powiedział, wyjmując dyplom z kieszeni — to ci się sprawiedliwie należy.

— Przyjacielu — odrzekł Athos — dla Athosa to zawiele, dla hrabiego de la Fère za mało. Schowaj dyplom dla siebie… niestety, Bóg widzi, żeś go drogo okupił.

D‘Artagnan pożegnał Athosa i udał się do Porthosa.

Zastał go we wspaniałem ubraniu, lśniącem od haftów złocistych, przeglądającego się w lustrze.

— A! a!… — zawołał Porthos — to ty, drogi przyjacielu, jak uważasz, czy dobrze mi w tem ubraniu?

— Doskonale — odparł d‘Artagnan — lecz przyszedłem zaproponować strój, w jakim ci będzie jeszcze lepiej.

— Jakiż to?… — zapytał Porthos.

— Mundur namiestnika muszkieterów.

I znów opowiedział spotkanie z kardynałem, a wyciągając dyplom z kieszeni:

— Weź to, mój drogi — rzekł — wypisz swoje nazwisko i bądź dla mnie szefem łaskawym.

Porthos spojrzał na dyplom i ku wielkiemu zdziwieniu młodego człowieka, oddał mu go napowrót.

— Tak — powiedział — pochlebiałoby mi to bardzo, lecz nie mógłbym tą łaską cieszyć się długo. Podczas naszej wyprawy do Bethune, mąż mojej księżnej rozstał się z tym światem. A zatem, drogi przyjacielu, ponieważ szkatuła nieboszczyka wyciąga ku mnie ręce, żenię się z jego wdową. Właśnie przymierzam ubranie ślubne, zachowaj dla siebie namiestnikostwo mój kochany…

I oddał dyplom d‘Artagnanowi.

Młodzieniec poszedł do Aramisa.

Zastał go na kolanach przed ołtarzykiem, z czołem, wspartem na otwartej książce do modlitwy.

Po raz trzeci wyciągnął dyplom z kieszeni.

— Przyjacielu nasz, światło nasze, opiekunie i protektorze niewidzialny — powiedział — przyjmij ten dyplom, zasłużyłeś na niego więcej, niż ktokolwiek, mądrością i radami, jakie nam zawsze na dobre wychodziły.

— Niestety! drogi przyjacielu — rzekł Aramis — ostatnie wypadki zniechęciły mnie zupełnie do świata i do służby wojskowej, Postanowienie moje tym razem jest niewzruszone: po ukończeniu oblężenia wstąpię doLazarystów. Zatrzymaj dyplom dla siebie, rzemiosło wojskowe przystoi ci najlepiej, będziesz dzielnym i przedsiębiorczym dowódcą.

D‘Artagnan ze łzami wdzięczności i radością w sercu powrócił do Athosa; zastał go przy stole, oglądającego pod światło ostatnią lampkę madery.

— Otóż widzisz — odezwał się — oni także odmówili!... Bo nikt nad ciebie nie jest godniejszy tego zaszczytu.

Athos wziął pióro, wypisał na dyplomie nazwisko d‘Artagnana i podał mu z uśmiechem.

— Nie będę już miał koło siebie przyjaciół — rzekł młodzieniec — nic, nic, tylko gorzkie wspomnienia...

Opuścił głowę a łzy twarz mu zalały.

— Młody jesteś — przemówił Athos — gorzkie wspomnienia twoje mogą jeszcze zamienić się na słodkie...

Epilog

Roszella, pozbawiona pomocy floty angielskiej i wojska, przyobiecanego przez Buckinghama, poddała się po całorocznem oblężeniu i 28-go października 1628 roku podpisano kapitulację.

Król powrócił do Paryża tegoż roku. Przyjmowano go triumfalnie, jak gdyby zwyciężył wrogów, nie zaś Francuzów.

D‘Artagnan objął swoje stanowisko. Porthos rzucił służbę i w ciągu roku ożenił się z panią Coquenard.

Kufer, tyle pożądany, zawierał 800, 000 liwrów.

Mousqueton otrzymał wspaniałą liberję, i dostąpił satysfakcji, o jakiej całe życie marzył, to jest: stał poza karetą złoconą.

Aramis, po odbyciu podróży do Lotaryngji, przepadł gdzieś nagle, a nawet przestał korespondować z przyjaciółmi. Dowiedziano się później przez panią de Chevreuse, która powiedziała o tem dwum czy trzem kochankom swoim, iż oblókł habit w jednym z klasztorów w Nancy.

Bazin został braciszkiem klasztornym.

Athos służył w muszkieterach pod rozkazami d‘Artagnana, aż do roku 1631, kiedy, w następstwie podróży do Turenji, porzucił także służbę pod pretekstem, że odziedziczył niewielki majątek. Grimaud poszedł za Athosem.

D‘Artagnan bił się trzy razy z Rochefortem i trzy razy go ranił.

— Zabiję cię prawdopodobnie przy czwartem spotkaniu — powiedział, podnosząc go z ziemi.

— Lepiej będzie dla mnie i dla ciebie, jeżeli przestaniemy na tem, co jest — odrzekł raniony. — Cóż, u djabła, nie domyślasz się, że jestem przyjacielem twoim? od pierwszego pojedynku bowiem, gdybym był szepnął słówko kardynałowi, mógłbym cię był na tamten świat wysłać.

Uścisnęli się tym razem naprawdę serdecznie.

Planchet otrzymał od Rocheforta stopień sierżanta.

Pan Bonacieux żył spokojnie, nie wiedząc nic, co się stało z żoną i nie turbując się tem wcale.

Pewnego dnia, przyszło mu do głowy przypomnieć się kardynałowi; Richelieu kazał mu odpowiedzieć, iż postara się, aby mu odtąd na niczem nie zbywało.

I rzeczywiście, nazajutrz pan Bonacieux, wyszedłszy z domu wieczorem o siódmej, aby się udać do Luwru, nie pokazał się już więcej na ulicy Grabarzy. Dobrze poinformowani utrzymywali, że dostał mieszkanie i utrzymanie w jednym z zamków królewskich, na koszt wspaniałomyślnego kardynała de Richelieu.

Koniec

Przeczytaj także:

Trzej muszkieterowie - Streszczenie szczegółowe

Trzej muszkieterowie - Streszczenie krótkie

Trzej muszkieterowie - Plan wydarzeń

Trzej muszkieterowie - Charakterystyka bohaterów

Trzej muszkieterowie - Czas i miejsce akcji

Trzej muszkieterowie - Geneza utworu i gatunek

Trzej muszkieterowie - Problematyka

Trzej muszkieterowie - Biografia autora

Utwór znajduje się w domenie publicznej. Masz prawo do jego wykorzystywania, publikowania i rozpowszechniania.

Tekst opracowany na podstawie: Aleksander Dumas, Trzej Muszkieterowie, Tom I i II, Nakładem Biblioteki Rodzinnej, Warszawa 1927